

BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBIA

Romain Rolland

DUSZA
ZACZARO
WANA



ANETKA i SYLWIA

I

RWEGNER WARSZAWA

BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBIA

Romain Rolland

DUSZA
ZACZARO
WANA



L • A • T • O

II

RWEGNER WARSZAWA

ROMAIN ROLLAND

DUSZA

ZACZAROWANA

Tom I i II

2

ower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

3

TYTUŁ ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO

<LAME ENCHANTEE>

przełożył Franciszek Mirandola

4

PRZESTROGA DLA CZYTELNIKA

Stając u początku nowej wędrówki, nie tak długiej jak Jana Krzysztofa, która, jednak obejmie także kilka etapów, przypominam czytelnikom przyjacielską prośbę rzuconą w jednym z punktów zwrotnych dziejów mego muzyka. We wstępie do Buntu podkreśliłem, że każdy tom winno się traktować jako rozdział dzieła będącego w ruchu, którego myśl rozwija się wraz z tokiem życia, jakie przedstawia. Cytując stare powiedzenie: – Koniec jest życia pochwałą, wieczór chlubą, dnia minionego – dodałem: – Gdy dotrzemy do kresu, osądzicie, ile był wart nasz wysiłek.

Niewątpliwie każdy z tomów musi posiadać swoiste cechy i stanowić pewną całość jako dzieło sztuki, ale przedwczesne byłoby sądzić wedle niego o idei ogólnej. Pisząc powieść obieram istotę posiadającą ze mną coś wspólnego (a raczej ona to dokonywa wyboru). Od tej chwili pozostawiam jej swobodę, nie wprowadzając wcale własnej osobowości. Ciężkie to, zaiste, brzemie ta dźwigana od przeszło półwiecza osobowość i właśnie niebiański dar sztuki przynosi wyzwolenie: możliwość pojęcia się inną duszą i przechodzenia w inne egzystencje (nasi indyjscy przyjaciele powiedzieliby: inne nasze egzystencje; gdyż wszystko jest w każ-

dym z nas).

Przeistoczony w Jana Krzysztofa, Golasa czy Anetkę Riviere jestem tylko sekretarzem ich myśli. Słucham, co mówią, widzę ich czyny i patrzę ich oczyma. W miarę jak nabierają wiedzy, czerpiąc z serca swego i z ludzi, uczę, się wraz z nimi; gdy się mylą, padam, wstaje, gdy odzyskują równowagę, i ruszamy w drogę. Nie twierdzę, że droga to najlepsza, lecz jest ona naszą drogą. Choćby nie mieli

racji Krzysztof, Colas i Anetka, jednak żyją, a życie to nie naj-gorsza z racji.

Nie doszukujcie się tutaj też ni teoryj. Macie przed sobą same jeno wewnętrzne dzieje życia szczerego, długiego i płodnego w radości i bóle. Obarczone jest ono niezawodnie sprzeczno-

ściami, obfituje w błędy, ale także usiłuje osiągnąć w braku niedostępnej prawdy harmonię ducha, która jest naszą prawdą najwyższą.

R. R.

Sierpień 1922 r.

5

TOM PIERWSZY

ANETKA I SYLWIA

Miłość to pierwsza z istot zrodzonych,

Miłość, która wydała później myśl... ,

Rigveda

6

Część pierwsza

Siedziała zwrócona tyłem do okna, a promienie zachodzącego słońca igrały po silnym jej karku i ramionach. Wróciła właśnie do domu. Pierwszy to raz od wielu miesięcy Anetka spędziła dzień cały na wsi, przechadzając się i pojąc słońcem wczesnej wiosny, co oszałamia niby czyste wino, słońcem, którego blasku nie mąci cień bezlistnych drzew, a rzeźwi chłodny wiew uciekającej zimy. W głowie jej huczało, tętniło w żyłach, oczy miała zalane potokami światła. Pod spuszczone powiekami czerwone i złote błyski, złotoczerwony nurt przelewał

się przez całe jej ciało. Nieruchoma, odrętwiała na krześle, zatraciła na chwilę świadomość...
Pośrodku lasu – staw z plamą słońca podobny oku. Wokoło drzewa o konarach mchem porośłych. Odczuwa chęć kąpieli. Spozstrzega, że jest rozebrana. Lodowata dłoń wody dotyka jej stóp i kolan. Przejmuje ją dreszcz rozkoszy. Naga, przegląda się w złotoczerwonym stawie...

Ogarnia ją zawstydzenie nagłe i nieokreślone, jakby czyjeś oczy patrzyły na nią z ukrycia.

Aby im ująć, wchodzi głębiej w wodę, która jej sięga po szyję. Wiry wody obejmują ją żywym

oplotem, a grube liany wiją się wokół jej nóg. Chcę się uwolnić, a grzęźnie w mule.

Wysoko, na powierzchni stawu, śpi źrenica słońca. Rozgniewana, uderza stopą w dno i wynurza się. Woda jest teraz szara, mętna, brudna. Ale na połyskliwej jej tafli błyszczą nadal słoń-

ce. Anetka, chcąc wydobyć się z mokrej, nieczystej toni, chwyta gałąź wierzby pochylonej nad wodą. Liściaste, podobne skrzydłu witki okrywają nagie jej ramiona i biodra. Spływa cień nocy, Anetka czuje na karku dotknięcie wieczornego chłodu.

Przychodzi do siebie. Kilka zaledwie sekund minęło od chwili, kiedy zapadła w marzenia.

Słońce kryje się za wzgórze Saint-Cloud. Nadciąga rzeźwe tchnienie wieczoru.

Ocknęła się. Wstaje, drżąc trochę i marszcząc brwi, gniewna, że tak się zapamiętała; siada w głębi pokoju u kominka, przy ogniu. Miły to ogień, a palące się jasno polana mają raczej nęcić spojrzenie i dotrzymywać towarzystwa niż ogrzewać. Przez otwarte okno płynie wraz z wilgotnym powiewem wiosennej nocy melodyjny świergot ptaków, co wróciły do gniazd i układają się do spoczynku. Anetka marzy. Ale tym razem oczy ma otwarte. Z powrotem znalazła się w świecie realnym, we własnym domu. Jest znowu sobą, Anetką Rivière. Pochylona ku ognisku różowiącemu jej młodą twarz, drażniąc stopą czarną kotkę nadstawiającą brzuch ku złotym blaskom kominka, przypomina sobie żalobę swą, na chwilę zapomnianą, przywo-

luje (zniknięty z serca) obraz istoty, którą utraciła. Ubrana jest w ciężką żalobę, niezatarte ślady przeżyć bolesnych rysują się na czole i w zaciśnięciu ust, a powieki nabrzmiałe są jeszcze od niedawno przelanych łez. Jest jednak zdrowa, świeża, pełna soków żywotnych, jak budząca się natura; silna, rozrosła, niezbyt ładna, ale dobrze zbudowana, ma bujne, kasztanowate włosy, złociste na karku, policzki i oczy jak kwiaty, a rozwiewająca się, jak mgła, melancholia, którą osłonić pragnie krągłość ramion i przyćmić błędzące w dali spojrzenia, czyni ją podobną do młodej wdowy wpatrzonyj w nikiący cień ukochanego.

Anetka była wdową w sercu swoim, ale ten, którego cień zatrzymać chciała wyciągniętymi dłońmi, był jej ojcem.

Straciła go przed pół rokiem, w końcu jesieni. Młody jeszcze Raul Rivière (miał niespełna pięćdziesiąt lat) zmarł po dwudniowej chorobie na atak uremii. Od kilku już lat czuł się niezdrowy i winien był szczerzyć siłę, nie zwracał jednak na to uwagi, nie spodziewając się tak nagłego końca. Był znanym w Paryżu architektem, dawnym stypendystą Villa Romana; przystojny, urodzony spryciarz, był obdarzony znakomitym apetytem. Fetowany po salonach, lu-7

biany w sferach urzędowych, umiał przez całe życie, pozornie bez zabiegania o to, zbierać korzystne zamówienia, zaszczyty i dobre okazji. Postać jego, iście paryska, spopularyzowana była przez fotografie i rysunki w pismach oraz przez karykatury. Czoło miał mocno sklepienie, wydatne skronie, a głowę nosił pochyło jak byk gotujący się do ataku. Wypukłe oczy błyszczały odwagą, włosy miał białe, bujne, przyszczyżone na jeża, muszkę pod roze-

śmianymi, żarłocznymi ustami, minę sprytną, trochę bezczelną, ale pełną wdzięku i efronterii.

Wszyscy go znali w Paryżu sztuki i użycia, a jednak naprawdę nie znał go nikt. Posiadał naturę dwoistą i umiał się cudownie przystosowywać do środowiska, aby je eksploatować, jednocześnie zaś potrafił sobie stworzyć życie tajne, własne. Był człowiekiem o silnych namiętno-

ściach i potężnych nałogach, którym bynajmniej nie stawiał tamy, starannie się z tym jednak ukrywając, aby nie gorszyć klientów. Urządził sobie sekretne muzeum (fos ac nefas!), którego drzwi uchylał tylko nielicznym wtajemniczonym; nie liczył się zgoła z upodobaniami i moralnością ogółu, a jednocześnie dostosowywał do nich swoje jawne życie i oficjalne prace.

Nie znał go nikt ani spośród przyjaciół, ani wrogów. Nie miał zresztą wrogów, co najwyżej rywali, którzy ciężko płacili za to, iż stanęli mu na drodze; pogiębiwszy ostatecznie, umiał

ich sobie potem zjednywać, tak że nie tylko nie czuli doń urazy, ale niemal gotowi byli z uśmiechem prosić o przebaczenie, jak ów nieśmiały, który przeprosza za to, iż mu deptają po nogach. Bezwzględny i chytry, umiał dokonać nie lada sztuki podtrzymując dobre stosunki zarówno z pokonanymi współzawodnikami jak i z kochankami, które porzucił.

Mniej był szczęśliwy w małżeństwie, gdyż żona nie nauczyła się tolerować niewierności męża, mimo iż – jak myślał – w ciągu dwudziestu pięciu lat pożycia powinna się być z tym w pełni oswoić. Uczciwość jej była ponura, obojętnie chłodne, chłodna też piękność. Pochodziła z Lyonu; uczucia jej były mocne, lecz zbyt wyłączone; nie umiała przywiązać do siebie męża i brakło jej praktycznego talentu niedostrzegania tego, czemu przeszkodzić nie mogła. Była zbyt ambitna, aby się skarżyć, ale nie umiała zrezygnować z okazywania mu, że wie o wszystkim i cierpi. Był wrażliwy (tak przynajmniej sądził), przeto unikał myślenia o tym, lecz żywił urazę do żony, że nie umie lepiej przysłać swoich „egoistycznych porywów”. Od lat całych żyli niemal w separacji, choć kryli to milcząco a zgodnie przed światem, tak że nawet córka Anetka nie zdawała sobie sprawy z sytuacji. Nie badała zresztą przyczyn nieporozumień zachodzących pomiędzy rodzicami: było jej to niemiłe. Młodość ma dość własnych spraw. Tym gorzej dla spraw innych.

Szczytem zręczności Raula Rivière było pozyskanie córki. Nie uczynił właściwie nic w tym celu – zwyciężyła jego sztuka. Nie padło żadne słowo wymówki, nie wymknęła się ani jedna aluzja do jakichś błędów żony. Był rycerski; córce pozostawił trud domysłu. Uczyniła to nader prędko pod wpływem swoistego czaru ojca. Cała rzecz polegała na tym, że nigdy nie obwiniał kobiety, która będąc jego żoną okazała się na tyle niezręczna, że zepsuła sobie to szczęście. W owej nierównej walce pani Rivière musiała zostać pokonana, a śmierć dopełniła jej klęski: umarła przed mężem. Raul pozostał panem pola bitwy i serca córki. Przez pięć ostatnich lat Anetka żyła w atmosferze moralnej swego czarującego ojca, który ją kochał i bez złej woli zresztą, otoczył pokusami stanowiącymi przyrodzone mu środowisko. Szafował ni-mi tym hojniej, że nie mógł wyżyć się na zewnątrz: przez dwa ostatnie lata życia zapowiedź

choroby, która go zabiła, – zmuszała Raula do zamknięcia się w zaciszu domowego ogniska.

Nic tedy nie mąciło gorącej zażyłości łączącej ojca z córką i wypełniającej rozbudzone na poły serce Anetki. Liczyła około dwudziestu czterech lat, ale serce miała młodsze, gdyż zmysły jej były jeszcze uśpione. Ponieważ należała do tych, którzy mają długą przyszłość przed sobą, i ponieważ wyczuwała w sobie głęboki nurt życia, dlatego, być może, pozwalała, by ono płynęło, i nie śpieszyła się, by je

sobie uświadomić.

Dziedziczyła po obojgu rodzicach; po ojcu wzięła rysy twarzy i ujmujący uśmiech, który u niego obiecywał znacznie więcej, niżli zamierzał dać, a u niej, czystej jeszcze, więcej znac-1 Fas ac nefas (łac.) – godziwe i niegodziwe.

8

nie, niżby dać pragnęła; od matki zaś otrzymała pozorny spokój, umiar w zachowaniu i surową moralność mimo poglądów nader liberalnych. Owa dwoistość pociągała czarem uwodzieńskim jednej i rezerwą drugiej strony. Trudno było odgadnąć, który z temperamentów miał

w niej przewagę. Prawdziwa jej natura nie była dotąd znana. Ani ludziom, ani jej samej. Nikt nie domyślał się, co kryje jej serce. Była niby Ewa pólśniąca w raj. Nie uświadamiała sobie własnych pożądań. Były jeszcze uspięne, nic ich jeszcze nie rozbudziło. Starczyło wyciągnąć ręce, by dać im ujście, ale nie czyniła tego, zasłuchana w ich radosny rozgwar, a może też nie chciała tego uczynić... Czyż wiadomo, do jakiego stopnia sami się ludzimy unikając spoglą-

dania tam, skąd zagraża niepokój? Wolała nie dostrzegać owego morza wewnętrznego. Anetka taka, jaką znano, Anetka świadoma samej siebie, była to osóbką spokojną, rozsądną, praktyczną, panująca nad sobą, wyposażona w silną wolę i własny pogląd na świat, osóbką, która jednak nie miała dotąd żadnej sposobności wypróbowania tych swoich cech w walce z zasadami panującymi w świecie czy też obowiązującymi w środowisku domowym.

Nie zaniedbywała świata, nie była też zblazowana jego ponętami, przeciwnie – smakowała je z doskonałym apetytem, równocześnie jednak odczuwała potrzebę poważniejszego zajęcia.

Nabyła dużo wiadomości, skończyła uniwersytet i zdobyła dwa dyplomy. Obdarzona inteligencją

żywą, spragniona działania, lubiła precyzyjne metody pracy umysłowej, zwłaszcza w zakresie nauk ścisłych, do których była szczególnie uzdolniona. Zdrowa jej natura, wiedzona instynktowną koniecznością równowagi, czuła potrzebę przeciwstawienia ścisłej metody naukowej, wolnej od niedomówień i mgieł, temu właśnie niepokojącemu czarowi życia we-wnętrznego, którego się bała, a które wbrew jej wysiłkom, w momentach słabości czy bezwładu umysłowego, jawiło się u progu duszy. Aktywność ta, jasna, czysta, jędrna i prosta, zadowalała ją na razie. Nie chciała myśleć, co nastąpi potem. Małżeństwo nie pociągało jej i odsuwała od siebie myśl o nim. Ojciec z pobłażliwym uśmiechem słuchał jej postanowień, ale ich nie zwalczał, gdyż było mu z tym dobrze.

Zniknięcie Raula Rivière zachwiało aż do fundamentów życiem Anetki i dopiero teraz przekonała się, jak silne znajdowała w ojcu oparcie. A przecież, oblicze śmierci nie było jej obce. Już wcześniej poznała je, kiedy przed pięciu laty straciła matkę. Ale oblicze to nie zawsze bywa jednakie. Pani Rivière spędziła kilka miesięcy w sanatorium i odeszła w milczeniu, jak żyła, zabierając z sobą tajemnicę cierpienia i walk przedzgonnych oraz trosk całego życia.

Naiwny egoizm młodości sprawił, iż Anetka odczuła jedynie łagodny żal, podobny temu, jaki wywołuje pierwszy deszcz wiosenny, a jednocześnie doznała ulgi, do której trudno przyznać się przed sobą; ostatni cień wyrzutu zniknął wkrótce w promieniach beztroskich i pogodnych dni.

Inaczej umierał Raul Rivière. Cios dosięgnął go w pełni szczęścia, kiedy mniemał, że dłu-go jeszcze będzie się nim poił, i nie miał odchodząc ze świata żadnej filozofii na pocieszenie.

Cierpienie i widmo śmierci przyjął krzykiem buntu. Walczył, przejęty zgrozą aż do ostatniego tchnienia, niby koń dopadający w galopie wzgórza. Te straszliwe obrazy odbiły się niby w wosku na rozgorączkowanym umyśle Anetki. Po nocach dręczyły ją przywidzenia. Nieraz, gdy leżała w mroku sypialni, mając już zasnąć, zrywała się nagle i ponownie przeżywała agonię ojca; obraz jego śmierci i twarz jego jawiły się przed nią z tak straszliwym realizmem, że zdawało się jej, iż sama umiera; nie odróżniała jego spojrzenia od swego, jego tchnienia od własnego oddechu – i w jego zamierających oczach widziała rozpaczliwe wołanie. Męka ta załamałaby ją, gdyby nie siła młodości i odporność organizmu. Im silniej napięta jest cięciwa, tym dalej leci strzała życia. Oślepiająca światłość owych omamień zgasła, zglądzona swą 9

własną siłą, pozostawiając po sobie mrok. Przepadły gdzieś rysy twarzy, głos i jakby promieniowanie osobowości zmarłego, wszystko znikło: Anetka, usiłująca aż do wyczerpania zatrzymać i utrwalić cień żyjący w niej dotąd, spostrzegła, że go już nie ma. Została tylko ona...

Sama... Zupełnie sama. Ewa zbudziła się w raju bez towarzysza obok siebie, bez tego, który, jak wiedziała, był zawsze tak bliski, że nie próbowała go nawet poznać; on zaś niepostrzeżenie przybierał w jej myślach niepewny jeszcze kształt miłości. Nagle raj utracił swe bezpieczeństwo. I tam dotarły niespokojne podmuchy z zewnątrz; dotarło tchnienie śmierci i tchnienie życia. Anetka rozwarła oczy wśród mroków, jak pierwsi ludzie świadoma rozlicznych, czyhających wokoło niebezpieczeństw i instynktem wyczuwająca walki, które będzie musiała stoczyć. Zaraz też zbudziła się uśpiona dotąd energia i czekała, gotowa do walki. Samotność jej zaludniła się potęgami namiętności.

Równowaga została zwichnięta. Niczym wydawały jej się teraz studia i prace, a stanowisko, które im wyznaczyła w życiu, zgoła śmieszne. Druga część obszaru duszy, dotknięta bó-

lem, rozszerzała się w nieskończoność, a wstrząs wywołany ciosem obudził wszystkie nerwy: wokół rany zadanej stratą ukochanego towarzysza, zbiegły się z najbardziej ukrytych głębi jej istoty wszystkie moce miłosne, tajne i nieznane, przyciągnięte otwierającą się pustką. Zdziwiona tą inwazją, Anetka starała się nadać im odmienne znaczenie. Wysiłała się, by kierować je wszystkie ku określonemu obiektowi swego cierpienia – zarówno dotkliwe wołania zmysłów, które rozpały jej krew wraz ze zbliżaniem się wiosny, jak i niejasny a silny żal za szczęściem... straconym czy upragnionym? Wyciągała ramiona ku temu, co jeszcze nie istniało, a serce wyrywało się ku przeszłości, a może przyszłości... Ale wysiłki te kończyły się tym jeno, że żałoba jej roztapiała się w dziwnym misterium bólu, namiętności i jakiejś tajemnej żądzy. Trawiło ją to i jednocześnie podniecało do buntu...

Tego wieczora kwietniowego bunt ów nią o władnął. Rozum dziewczyny oburzał się na marzenia bezplanowe, nie kontrolowane od długich miesięcy, a tak niebezpieczne. Chciał je stłumić, ale

stawiały opór, nie słuchały, on zaś zatracił już zdolność rozkazywania... Anetka oderwała w końcu oczy od ognia i wyzwalając się spod przemożnego czaru nocy, która nadeszła tymczasem, wstała i otuliwszy się szlafrokiem ojca, zapaliła lampę.

Gabinet Raula Rivière przytykał do ogrodu, a przez uchylone drzwi widać było teraz wskroś młodego listowia drzew błyszczące w ciemności fale Sekwany. W dali rzeka tworzyła ciemną masę, zda się nieruchomą, na której kładły się odbicia domów przeciwległego brzegu, usiane jasnymi punktami rozświetlających się jedno po drugim okien. Ponad wzgórzami Saint-Cloud gasły ostatnie błyski dnia. Raul Rivière miał wyrobiony gust i chociaż nie okazywał

go w stosunkach z bogatą klientelą, której tępą rutynę i śmieszne kaprysy zawsze szanował, to jednak zamiast stawiać dla siebie dom, wybrał położony na Quai de Boulogne stary pałacyk w stylu Ludwika XVI i zajął się tylko jego wewnętrznym urządzeniem. Gabinet, gdzie pracował, mógł służyć również poczynaniom miłosnym i niezawodnie pełnił nieraz tę drugą powinność. Rivière przyjmował tu niejedną miłą wizytę bez budzenia niczyich podejrzeń, gdyż do gabinetu wchodziło się wprost z ogrodu. Ale od dwu lat nie używano tych drzwi, a jedyną odwiedzającą ojca kobietą była Anetka. Tutaj najmilej im było rozmawiać. Anetka chodziła z kąta w kąt, to i owo porządkując, dolewając wody do wazonu z kwiatami, czasem zaś siadała nagle bez ruchu, z książką w ręku, wciśnięta w róg sofy, patrzyła na gładką powierzchnię rzeki i z roztargnieniem, nie przerywając niedbalejszej lektury, rozmawiała z ojcem. On siedział

w pozie wygodnej, świadczącej o znużeniu, a oczy jego chwytały bystro każde poruszenie córki. To stare rozpieszczone dziecko musiało stanowić ośrodek myśli wszystkich osób, z którymi obcował. Zasypywał ją tedy pytaniami, uwagami, przymówkami, wyrzutami, serdecznościami dotąd, aż zwrócił na siebie całą jej uwagę i przekonał się, że słyszy każde jego słowo. Podrażniona tym, a zarazem uszczęśliwiona, że nie może się bez niej obejść ani chwili, Anetka porzuciła wszystko, aby zająć się tylko nim, a on, pewny teraz słuchaczki i zadowolony, hojnie szafował zasobami swego błyskotliwego umysłu. Puszczając rakiety dowcipu, 10

obrywał płatki kwiecica wspomnień, wybierając, oczywiście, jeno pochlebne i przysposobione ad usum delphini², a raczej delfinki, której upodobania, tajne zainteresowania i nagłe odrazy znał tak dobrze. Zawsze opowiadał jej to właśnie, co słyszeć pragnęła. Anetka, cała w słuch zamieniona, dumna była z jego zwierzeń i słuchała, wierząc, że uzyskała ze strony ojca znacznie więcej, niżli to udawało się przez całe życie jej matce. Była jedyną, jak mniemała, powiernicą intymnej strony jego życia.

Atoli inny jeszcze powiernik znalazł się w jej rękach, mianowicie wszystkie papiery pozostałe po ojcu. Anetka nie starała się ich poznać, cześć i miłość mówiły jej, że nie ma do tego prawa, ale wchodziły w grę inne względy. Należało zadecydować o ich losie, bo Anetka, jedyna spadkobierczyni, mogła również umrzeć, a papierów rodzinnych nie należało oddawać w obce ręce. Konieczne tedy musiała je przejrzeć, aby jedne zniszczyć, inne przechować.

Zdecydowała się na to już kilka dni temu. Ilekroć jednak znalazła się w gabinecie przepojonym obecnością umiłowanego ojca, nie była zdolna do niczego prócz sycenia się tą atmosferą i godzinami siedziała bez ruchu. Bała się, że otwierając stare listy zetknie się zbyt bezpośrednio z rzeczywistością...

Ale trzeba to było uczynić i owego właśnie wieczora zdecydowała się. Tej nocy, rozma-rzającej, przesyconej tkliwością, z niepokojem czuła, jak rozprasza się jej boleść, i chciała utwierdzić się w przekonaniu, że zmarły jest jej niepodzielną własnością. Przystąpiła do me-belka z różanego drzewa, nadającego się raczej do buduaru kokietki niżli do gabinetu męż-

czynny. Wysoka szyfonierka, w stylu Ludwika XV, pełna była listów i papierów osobistych, zawartych w siedmiu czy ośmiu piętach szufladek – był to bowiem miniaturowy czarujący prototyp amerykańskich sky-scraper³. Anetka uklękła, otworzyła dolną szufladę, wyjęła ją i wróciwszy na swe miejsce u kominka, położyła na kolanach, aby wygodnie zbadać zawartość.

Cisza była zupełna. Anetka mieszkała tylko ze starą ciotką, która prowadziła gospodarstwo i nie liczyła się wcale. Zawsze w cieniu brata, ciotka Wiktoryna służyła mu przez całe życie, uważając to za naturalne, i teraz zgodziła się pozostać w roli gospodyni u bratanicy. Jak stary kot stanowiła część inwentarza domowego, a zapewne przywiązana była do mebli równie mocno jak do ich właścicieli. Wieczorem wczesnie udawała się do swego pokoju i daleka jej obecność oraz powolne, miękkie, starcze stapanie nie przeszkadzały Anetce w marzeniach więcej, niżby to czyniło zwierzę domowe.

Zaczęła czytać, zaciekawiona i nieco trwożna. Obdarzona jednak instynktem porządku i spokoju oraz pragnieniem, by wokół niej wszystko było jasne i uładzone, opanowała się, rozkładała listy bardzo powoli i z taką obojętnością, że sama chwilami odnosiła wrażenie, iż ją to wszystko nic nie obchodzi.

Z początku przeczytała kilka listów matki. Uporczywy ton smutku, znany z własnego, nie zawsze miłego doświadczenia, dotknął ją i upatrując w tym, jak zawsze, chorobliwy nastrój umysłu zmarłej, szepnęła: – Biedna mama! – W miarę jednak dalszej lektury zaczęła dostrzegać po raz pierwszy, że po stronie matki było wiele słuszności. Zaniepokoiły ją wzmianki o niewierności ojca, ale zbyt stronnico usposobiona, pominęła je udając, że nie dość dobrze rozumie. Miłość ojca kazała jej zamykać oczy, dostarczając po temu niezwalczonych racji.

Jednak niebawem odkryła, jak wielka była powaga duszy pani Rivière i jak głęboko zostały zranione jej uczucia; zaczęła też wyrzucać sobie, że zapoznawszy ją przysporzyła nieraz cierpień jej pełnemu poświęceń życiu.

W tejże samej szufladzie drzemały i inne paczki listów, niektóre nawet rozwiązane i po-mieszane z listami matki, jakby na świadectwo lekkomyślności Raula, który beztrósco stosował tę samą metodę i w korespondencji, i w życiu.

2 Ad usum delphini (tac.) – dosłownie: na użytek delfina; w znaczeniu przenośnym: słowa czy wiadomości przeznaczone dla osoby, której przychylność pragnie się pozyskać.

3 Sky-acrapers (ang.) – drapacze chmur.

Tym razem wymuszony spokój Anetki został wystawiony na ciężką próbę. Z listów tych dochodziły stanowcze głosy, świadczące swym tonem o większej intymności i pewniejszej swym władzy nad

Raulem niżli biedna pani Rivière: stwierdzały wobec niego swoje „prawo własności”. Anetką owładnęło uczucie buntu i w pierwszej chwili zmiąwszy listy w dłoni, cisnęła cały plik w ogień. Ale zaraz dobyła go z płomieni.

Spoglądała z wahaniem na osmolone już i nadgryzione żarem kartki. Skoro przed chwilą miała dostateczne racje, by nie chcieć poznawać minionych sporów między rodzicami, to tym bardziej nie powinna teraz pragnąć poznać intymnych związków ojca. Ale racja ta wydała się jej już zbyt nikła. Uczuła się osobiście dotknięta. Nie umiała tego uzasadnić, powiedzieć jak i dlaczego. Nachylona nad papierami, w bezruchu, ze zmarszczonym nosem i ustami odę –

tymi grymasem rozczarowania, podobna gniewnej kotce, drżała chęcią ponownego rzucenia w ogień bezczelnych świstków. Ale gdy rozluźniała już zaciśnięte palce, nie mogła powstrzymać chęci spojrzenia i nagle zdecydowana, wyprostowała kartki, starannie palcem je wygładzając, i przeczytała. Przeczytała wszystko.

Z odrazą (nie bez pewnego jednak pociągu) śledziła te miłosne związki, zupełnie jej dotąd nie znane. Stanowiły one bukiet bardzo fantastyczny i wielce urozmaicony. W miłości, podobnie jak w sztuce, Raul szedł za prądem czasu i zachceniem chwili. Anetka napotykała na-zwiska kobiet należących do jej świata i wrogo wspominała uśmiechy i pieszczoty, którymi ją ongi darzyły te kochanice ojca. Inne znów należały do niższych sfer społecznych, a ortografia ich listów była równie swobodna jak wyrażane uczucia. Grymas Anetki pogłębiał się, ale umysł miała tak żywy i skłonny do drwiny jak ojciec, przeto widziała w wyobraźni owe przeróżne damy gryzmolące po papierze, w śmiesznych pozycjach, z lokami opadają-

cymi na twarz i wysuniętym koniuszkiem języka. Wszystkie te awanturki, krótsze czy dłuż-

sze, ale nigdy zbyt długie, snuły się nieprzerwanym szeregiem, wypierając jedna drugą. Anetka była z tego zadowolona, mimo że nie opuściła jej uraza i wzgarda.

Nie dotarła jednak jeszcze do kresu odkryć. W jednej z szuflad znalazła spory pakiet listów staranniej przechowanych od listów matki i przekonała się, że ten stosunek ojca trwał dłużej.

Daty notowane były niedbale, ale łatwo się domyśliła, że korespondencja obejmuje długi szereg lat. Pismo świadczyło o dwu osobach. Listy pierwszej, złą ortografią i krzywo pisane, koń-

czyły się w połowie paczki, listy drugiej, zrazu dziecięcym, później coraz to bardziej wyrobionym charakterem kreślone, ciągnęły się do lat ostatnich, co więcej – aż do ostatnich miesięcy życia ojca, i fakt ten sprawił Anetce szczególną przykrość. Ponadto owa nieznana korespondentka, zagarniająca część jej świętego okresu, który uważała za wyłączną swą własność, jak intruz dwojako wdzierająca się w jej prawa, w listach do jej ojca pisała: „Mój ojczel!...” Doznała wrażenia bolesnego ciosu. Gestem wściekłości zrzuciła z ramion ojcowski szlafrok. Listy wypadły jej z rąk, skuliła się w fotelu i siedziała tak, z oczyma suchymi i pałają-

cymi policzkami. Nie analizowała swych uczuć, zbyt podniecona, aby wiedzieć, co myśli, ale całą

siłą namiętności wołała w duszy: „Oszukał mnie!”

Podniosła znowu przeklęte świstki i nie puściła już z rąk, dopóki z nich nie dożyła wszystkiego, aż do ostatniego wiersza. Czytała, ciężko dysząc, zacisnąwszy usta, trawiona ogniem zazdrości oraz jakimś innym, trudnym do określenia uczuciem. Wertując tę poufną korespondencję . nie doznała ani razu wyrzutu sumienia z powodu przejęcia tajemnicy ojca. Ani chwili nie wątpiła w swe prawo! (Jej prawo! Tu rozum nie działał. Władowała nią inna, despotyczna potęga.) Przeciwnie, sądziła, że to ona została obrażona, odarta ze swych praw – ze swych bezsprzecznych praw – przez własnego ojca!

12

Po chwili jednak opanowała. się. Na moment dostrzegła, że pretensje jej są potworne.

Wzruszyła ramionami. Jakież miała doń prawa? Cóż był jej winien? Władczy głos namiętno-

ści powiedział: „Wszystko!” Nie było nad czym dyskutować. Anetka, pogrążona w bezrozumnym rozczarowaniu, cierpiała z powodu rany, a jednocześnie poczuła gorzką radość w obliczu owych sił okrutnych, po raz pierwszy wbijających ostre szpony w jej ciało.

Część nocy spędziła na czytaniu. Gdy się wreszcie zdecydowała położyć, długo widziała pod zamkniętymi powiekami zdania i słowa, od których drżała. W końcu jednak zwyciężył

zdrowy sen młodości. Leżała rozciągnięta bez ruchu, oddychając głęboko i spokojnie, jakby wyładowanie uczuć przyniosło jej ulgę.

Odczytała nazajutrz listy. Odczytała wielokroć, i przez kilka dni nie schodziły jej z myśli.

Mogła teraz odtworzyć sobie to życie – podwójne życie toczące się równoległe z jej życiem.

Matka była kwiaciarką, której Raul dostarczył środków na założenie sklepu, córka pracowała u modniarki czy szwaczki (dobrze nie wiadomo). Jedna miała na imię Delfina, druga (młodsza) Sylwia. Sądząc wedle stylu fantastycznego i niedbałego, który posiadał jednak pewien urok, obie podobne były do siebie. Delfina wydawała się powabną osobką, która mimo prowadzenia drobnych intryzek, tu i ówdzie widocznych w jej listach, nie męczyła zbytnio Raula Rivière swymi wymaganiami. Ni matka, ni córka nie brały życia tragicznie, przy tym pewne były przywiązania Raula, i to był może najlepszy sposób, by je zachować naprawdę. Owa impertynencka pewność dotykała jednak Anetkę równie silnie jak niesłychana poufałość tonu, jakim się do niego zwracały.

Była zazdrosna przede wszystkim o Sylwię. Tamta znikła, a zresztą duma Anetki pogardzała takim związkim, jaki łączył ojca z Delfina. Zapomniała już nawet, że przed kilku dniami samo wykrycie miłostek tego typu obraziło ją do żywego. Teraz wstąpiło w szranki uczucie dużo głębsze, toteż wszystkie inne rywalki wydawały się jej bez znaczenia. Wysilała myśl, aby wyobrazić sobie ową obcą, która, ku jej rozczarowaniu, była jej tylko na pół obca.

Oburzała ją beztroska swoboda, z którą Sylwia spokojnie „tykająca” ojca w listach rozporządzała nim tak, jakby posiadała go wyłącznie dla siebie. Chcąc ją zmieszać, ostrym wzrokiem mierzyła bezczelną nieznajomą. Ale mała intruzka śmiało wytrzymywała spojrzenie.

Zdawało się, że mówi:

– On jest mój, mam jego krew w żyłach! Im bardziej złościła się Anetka, tym silniej twierdzenie to przenikało w jej duszę. Walczyła z nim tak uporczywie, że w końcu nawykła do walki i nawet do przeciwniczki. Wreszcie nie mogła się już bez niej obejść. Pierwsza myśl, która jej się jawiła rano, była myślą o Sylwii, a przekorny głos rywalki twierdził teraz:

– Mam twoją krew!

Słyszała ją tak wyraźnie, tak żywa stała się wizja nieznannej siostry, że pewnej nocy Anetka wyciągnęła w półśnie ramiona, by ją pochwycić.

Nazajutrz, zagniewana, z protestem w sercu, ale zwyciężona, uczuła, że ogarnęło ją pragnienie, któremu oprzeć się nie zdoła. Ruszyła tedy z domu na poszukiwanie Sylwii.

Adres był w listach i Anetka udała się na Boulevard du Maine. Ale po południu Sylwia była w pracowni, tam zaś Anetka nie miała odwagi jej szukać. Przeczekała parę dni i poszła wieczorem, po obiedzie. Sylwia jeszcze nie wróciła, a może już wyszła, nikt nie wiedział na pewno. Anetka odeszła rozczarowana – każda taka wyprawa utrzymywała ją przezwały dzień w stanie nerwowego, pełnego napięcia oczekiwania, a jakieś tajne tchórzostwo doradzało zaprzestać wszystkiego. Ale należała do tych, którzy raz postanowiwszy nie umieją rezygnować; przeszkody i lęk przed tym, co nastąpi, wzmagały jej upór.

13

Poszła ponownie w końcu maja, około dziewiątej wieczór. Tym razem powiedziano jej, że Sylwia jest w domu. Mieszkała na szóstym piętrze. Anetka wbiegła szybko, gdyż nie chciała mieć dość czasu, by znaleźć argumenty do zawrócenia z drogi. Na górze zbrakło jej tchu i musiała odpocząć. Przystanąła na schodach, niepewna tego, co ją czeka.

Znalazła się w długim wspólnym korytarzu o posadzce w kostkę, nie pokrytej dywanem. Z

prawej i lewej strony słyhać było z uchylonych drzwi mieszkań prowadzoną przez korytarz rozmowę. Przez szparę w drzwiach po lewej stronie padał na czerwone kwadraty podłogi odbłask zachodzącego słońca. Tu właśnie był pokój Sylwii.

Anetka zapukała.

– Proszę! – zawołał ktoś nie przestając paplać. Otworzyła drzwi i nagle prosto w twarz padła jej złocista łuna zachodu. Ujrzała młodą, na pół rozebraną dziewczynę, w spódnicy tylko, z obnażonymi ramionami, w różowych pantofelkach na bosych nogach; kręciła się po pokoju, zwrócona do przybyłej plecami kształtnymi i pulchnymi. Szukała czegoś na toalecie i mówiła do siebie pudrując sobie nos.

– No, a któż tam znowu? – spytała sepleniac, gdyż w kąciku ust trzymała kilka szpilek do włosów.

W tej chwili spojrzawszy nagle na gałąź bzu, tkwiącą w dzbanku na wodę, zanurzyła nos w kwiatach, wydając pomruk radości. Podniosła głowę i zerknąwszy roześmianymi oczyma w lustro ujrzała za sobą stojącą na progu, zakłopotaną, oblaną słońcem Anetkę. Wydała okrzyk zdziwienia, odwróciła się i unosząc nagie ramiona, szybko poprawiła włosy, wetknęła w nie szpilki, po czym podeszła z wyciągniętymi rękami. Ale zaraz je opuściła czyniąc gest powitalny uprzejmy, lecz pełen rezerwy. Anetka weszła, na próżno usiłując przemówić. Sylwia również milczała. Podsunęła przybyłej krzesło i narzuciwszy na ramiona kaftanik w błękitne pasy, bardzo już zniszczony, siadła naprzeciw niej na łóżku. Patrzyły na siebie. Każda czeka-

ła, by druga zaczęła mówić.

Jakże były odmienne! Badały się spojrzeniem byстрыm, uważnym, bezlitosnym, pytając:

„A ty kim jesteś?”

Sylwia widziała, że Anetka jest wysoka, świeża, ma twarz szeroką, nos nieco płaski, czoło młodej jałowicy pod falą złotokasztanowatych, falujących włosów, bardzo gęste brwi, wielkie, jasnoszafirowe oczy, to omdlewające, to patrzące twardo, zależnie od uczuć przepływają-

cych przez jej serce; usta duże, pełne wargi z jasnym puszkim w kącikach, zazwyczaj zamknięte w wyrazie obrony, baczny i uparty; gdy się wszakże rozchyliły w uroczym, nie-

śmiałym i promiennym uśmiechu, rozjaśniały i przeistaczały całą twarz. Podbródek jej i policzki były zaokrąglone, ale nie za pełne, o zdecydowanym zarysie; kark, szyja i ręce miały kolor złocistego miodu; pod gładką i elastyczną skórą płynęła zdrowa krew. Była niezbyt szczupła w pasie, mocno zbudowana, o piersiach wysokich i pełnych. Wprawne oczy Sylwii dostrzegły to wszystko pod cienką materią sukni; zwłaszcza zwróciły jej uwagę piękne ramiona – ich harmonijne linie wraz z jasną i krągłą kolumną szyi tworzyły najdoskonalszą część postaci Anetki. Ubrana była dobrze i starannie, nieco nawet za starannie, zdaniem Sylwii; włosy miała porządnie uczesane, ani jeden lok nie buntował się, ani jedna szpilka nie była wpięta krzywo, a Sylwia zadała sobie pytanie: „Czy aby wewnątrz jest tak samo?” Anetka zauważyła, że Sylwia jest niemal jej wzrostu, ale szczuplejsza, ma głowę nieco za małą w stosunku do na pół nagiego pod matinką ciała, biust nie duży, ale tłuściutki, ramiona toczone. Siedziała kołysząc się na małym kuperku, z ramionami opartymi na krągłych kolanach. Również krągłe miała czoło i brodę, nasek mały, zadarty, włosy jasnokasztanowate, puszyste i zarastające nisko skronie, loki spadające na policzki i mnóstwo nieposłusznych kosmyków na karczku, bardzo białym i powabnym. Przypominała roślinę pokojową. Oglądając z profilu, twarz jej robiła wrażenie asymetrycznej: z prawej strony przypominała rozkosz-nego, sentymentalnego kotka, który śpi, z lewej – chytrego i przyczajonego, który gotów dra-14

pać. Gdy mówiła, unosiła nieco górną wargę ukazując śmiejące się zębki. Anetka pomyślała:

„Biada temu, kogo zechce schrupać!”

Jakże były różne!... A mimo to obie od pierwszego wejrzenia rozpoznały w sobie to samo spojrzenie

jasnych oczu, to samo czoło i układ kącików ust – dziedzictwo ojca.

Anetka, onieśmielona, sztywna, zebrała całą odwagę i głosem zmatowiałym od nadmiaru wrażeń powiedziała swe nazwisko. Sylwia wpatrywała się w nią milcząc, po czym rzekła spokojnie, unosząc górną wargę w nieco okrutnym uśmiechu:

– Wiedziałam, kim pani jest! Anetka zadrżała.

– Jak to?

– Widywałam panią często... z ojcem.

Ostatnie wyrazy rzekła z niedostrzegalnym wahaniem. Może chciała powiedzieć złośliwie:

„z moim ojcem”, ale ulitowała się dojrzwyszy, nie bez pewnej ironii, spojrzenie Anetki, która usiłowała wyczytać z jej warg słowa, nim zostały one wypowiedziane. Anetka zrozumiała, odwróciła głowę i oblała się rumieńcem upokorzenia.

Nic z tego nie uszło uwadze Sylwii, która napawała się zakłopotaniem Anetki. Mówiła dalej powoli, rzeczowo. Opowiadała, że była w kościele podczas pogrzebu, w bocznej nawie, i wszystko widziała. Głos miała śpiewny, nieco nosowy i prawiała swoje nie okazując wzruszenia. Umiała patrzeć, ale Anetka umiała słuchać, i gdy Sylwia skończyła, Anetka spytała podnosząc oczy:

– Kochała go pani bardzo?

Spojrzenia sióstr stały się serdeczne, ale trwało to tylko chwilę. W oczach Anetki błysnął, cień zazdrości i dodała:

– On panią bardzo kochał...

Szczerze chciała zrobić Sylwii przyjemność, ale w głosie jej mimo woli zabrzmiała niechęć. Sylwii wydało się, że słyszy w nim ton protekcyjny, toteż wysuwając zaraz ostre, kocie pazurki odparła:

– O tak, kochał mnie bardzo!

Zrobiła małą pauzę, potem dorzuciła uprzejmie:

– I panią również bardzo kochał. Nieraz mi o tym mówił. Namiętne ręce Anetki, duże, nerwowe ręce, drgnęły i zacisnęły się. Sylwia objęła je spojrzeniem. Anetka spytała z gardłem ściśniętym od wzruszenia:

– Mówił o mnie z panią... często?

– O tak, często! – potwierdziła niewinnie Sylwia. Trudno ocenić, czy mówiła prawdę.

Anetka nie nawykła kryć swych myśli, wierzyła słowom ludzkim; słowa Sylwii raniły ją w serce. A więc ojciec mówił o niej Sylwii, rozmawiali o niej! Ona zaś aż do ostatniego dnia nie wiedziała o

niczym. Wydawało się jej, że ojciec jest szczery, tymczasem oszukiwał ją i trzymał na uboczu, tając nawet istnienie siostry!... To nierówne, tak niesprawiedliwe traktowanie przygnębiło ją. Czuła się zwyciężona, ale nie chcąc tego okazać szukała broni. Znalazła ją wreszcie i rzekła:

– Ale w ostatnich latach mało go pani widywała.

– Tak, w ostatnich latach mało – przyznała Sylwia niechętnie. – To prawda, był chory i trzymano go w zamknięciu.

Zapadła wroga cisza. Uśmiechały się obie, gotując się do natarcia. Anetka wyniosła i sztywna, Sylwia fałszywa jak liczman, pieszczotliwa i wyraźnie sztuczna. Przed wznowieniem gry liczyły punkty. Anetka, pocieszona nieco odniesionym (niewielkim zresztą) sukcesem i w duszy zawstydzona złymi myślami, próbowała nadać rozmowie ton bardziej przyjacielski. Opowiadała, jak bardzo pragnęła zbliżyć się do tej, w której przecie żyje także „coś z ojca”. Niestety, krok ten nie powiódł się: mimo woli podkreśliła zachodzące pomiędzy siostrami różnice, dając do zrozumienia, że to ona była uprzywilejowana. Opowiedziała Sylwii dzieje ostatnich lat Raula i znowu nie mogła powstrzymać się od podkreślenia, o ile serdecz-

niejsze było ich zbliżenie. Sylwia skorzystała z przerwy w opowiadaniu i przedłożyła w zamian Anetce własne dowody miłości ojca. Każda bezwiednie zazdrościła drugiej i sławiła to, co sama posiadała. Mówiąc czy słuchając (starły się wzajemnie nie słuchać, na próżno jednak) lustrowały się od stóp do głów. Sylwia, bardzo uprzejma, porównywała swe nogi, długie i cienkie w kostce, oraz maleńkie nagie stopki z grubą nieco osadą stóp Anetki. W zamian Anetka patrząc na ręce Sylwii nie omieszkała dostrzec, że paznokcie jej są sztucznie wydłu-

żone i zbyt różowe. Stały tu naprzeciw siebie nie tylko dwie młode dziewczyny, ale dwie rodziny rywalizujące ze sobą. Toteż mimo pozornej swobody rozmowy obie, panując nad wzrokiem i słowem, miały się na baczności i obserwowały się czujnie. Zazdrość osiągnęła tak silne napięcie, że od pierwszego rzutu oka dostrzegały wszystkie, chociażby na samym dnie duszy ukryte, skazy i przywary starannie tajone, których istnienia zainteresowana może się nawet nie domyślała. Sylwia dostrzegła w Anetce szatańską pychę, bezwzględność zasad i despotyczną gwałtowność, które nie miały jeszcze sposobności wyjść na jaw, Anetka zaś widziała głęboko zakorzoną oschłość serca Sylwii i fałsz pokryty uśmiechem. Pokochawszy się później, czyniły wysiłki, by zapomnieć o tym, co wtedy w sobie wyczytały, na razie jednak, wrogo nastrojone, widziały wszystko jak w szkle powiększającym. W pewnych momentach nienawidziły się. Anetka myślała w przerażeniu:

„To źle, to źle! Ja powinnam dać przykład!”

Rozglądała się po skromnym pokoiku, patrzyła na okno, szydełkowe firanki, dach i kominy przeciwległego domu, zalane blaskiem księżyca, oraz na gałąź bzu w wyszczerbionym dzbanku na wodę.

Z miną chłodną, tym więcej, że była wzburzona w duszy, zaofiarowała Sylwii przyjaźń i pomoc. Sylwia przyjęła to lekceważąco, ze złośliwym uśmieszkiem i bez słowa. Anetka, zmartwiona i upokorzona, wstała szybko, niezręcznie kryjąc urażoną dumę i budzącą się wściekłość. Zamieniły słowa pożegnania, uprzejme i banalne, po czym Anetka wyszła, smutna i zła.

Gdy jednak znalazła się na końcu korytarza i schodziła już z pierwszego stopnia, Sylwia przybiegła do niej gubiąc jeden pantofelek i objęła ją z tyłu za szyję. Anetka odwróciła się z okrzykiem wzruszenia. Namiętnym uściskiem objęła Sylwię, która również krzyknęła, rozbawiona tą gwałtownością. Usta ich zwały się porywczo. Słowa miłości. Czule szepty. Potem podziękowania i obietnice wzajemnych rychłych odwiedzin.

Rozłączyły się na koniec, a roześmiana ze szczęścia Anetka znalazła się, nie wiedząc kiedy, na dole. Posłyszała z góry gwizd łobuzerski, jakby na psa, i głos Sylwii, szept prawie:

– Anetko!

Podniosła głowę i dostrzegła gdzieś w górze, w kręgu światła pochyloną, śmiejącą się twarzyczkę.

– Trzymaj! – zawołała Sylwia.

W tej chwili spadł na nią deszcz kropel i mokra gałąź bzu, rzucona przez Sylwię, która teraz z góry zaczęła ślać jej oburącz całusy...

Sylwia znikła, a Anetka, z podniesioną głową, długo jej jeszcze wypatrywała, potem zaś ucałowała mokra gałąź bzu, tuląc ją do piersi.

Anetka wracała pieszo, mimo że mieszkała daleko i mimo że o tak późnej porze niektóre ulice nie były całkiem bezpieczne. Chciało się jej tańczyć z radości. Znalazłszy się wreszcie w domu, szczęśliwa i zmęczona, nie spoczęła, zanim nie ułożyła kwiatów w wazonie przy łóżku. Po chwili jednak wstała, wyjęła je i umieściła, jak Sylwia, w dzbanku na wodę. Leżąc w łóżku nie zgasiła lampy, gdyż nie chciała się rozstawać z minionym dniem. W trzy godziny 16

potem obudziła się w środku nocy, ale kwiaty świadczyły, że nie śniła, że widziała Sylwię...

Zasnęła więc ponownie, kołysana słodkimi marzeniami.

Dni następne wypełnione zostały niby brzękiem pszczół budujących nowy ul. Jak wokół

młodej królowej gromadzi się rój, tak Anetka budowała wokół ukochanej Sylwii swą nową przyszłość. Stary ul opustoszał, bo królowej nie stało. Starając się zamaskować tę rewolucję pałacową przed własnym namiętnym sercem, udawała, że miłość ku ojcu przeniosła się na Sylwię i trwać będzie dalej w tej formie. Wiedziała jednak dobrze, że się z nią rozstała.

Władczą siłę ma miłość nowa, która stwarza i burzy. Pamiątki po ojcu zostały bezlitośnie usunięte sprzed oczu i z należną im czcią przeniesione w cień pokojów, gdzie im nie zagra-

zało zbyt częste zakłócanie spoczynku. Szlafrok został złożony na spodzie starej szafy. Anetka wydobyła go zaraz ponownie, niepewna, co czynić, przytuliła go do twarzy, potem nagle rzuciła, pełna urazy. Tak nielogiczna bywa namiętność! Kto z nich dwojga był teraz zdrajcą?

Rozkochała się w odnalezionej siostrze, a wszak nie знаła jej dobrze! Ale owa niepewność stanowi jeden więcej urok z chwilą, gdy kochamy. Tajnia rzeczy niezbadanych dopełnia powabów tego, co wydaje się nam znane. Z Sylwii przelotnie widzianej chciała tylko to zachować, co ją pociągało. Przyznawała po cichu, że obraz ów nie był zbyt wiemy; gdy jednak uczciwie usiłowała dojrzeć jego cienie, słyszała tylko stukanie pantofelków Sylwii po korytarzu i czuła uścisk nagich ramion otaczających jej szyję.

Sylwia miała przyjść. Obiecała to. Anetka więc przygotowywała wszystko na jej przyjęcie.

Gdziez ją wprowadzi? Tu, do swego pięknego pokoju; Sylwia usiadzie na jej ulubionym miejscu, przy otwartym oknie. Anetka spoglądała oczyma siostry, radowała się, że pokaże jej swój dam, drobiazgi, drzewa pokryte zielenią i kwietne wzgórza widniejące w dali. Na myśl, że Sylwia podzieli z nią wdzięk i komfort życia, cieszyła się nimi z ową świeżością, jaką przynoszą nowe uczucia. Ale oto pomyślała, że oczy Sylwii uczynią porównanie między własnym pokojem a pałacykiem w Boulogne. Wówczas na radość jej padł cień. Ta nierówność jej zaciążyła, jakby była temu winna. Miała wprawdzie możność naprawić ją, ofiarując siostrze udział w tych przywilejach losu. Tak, ale byłoby to znowu przyznaniem sobie przewagi i Anetka spodziewała się oporu. Pamiętała owo szydercze milczenie, którym Sylwia przyjęła pierwszą propozycję pomocy. Należało oszczędzać jej drażliwość. Cóż tedy począć? Ułożyła kilka planów, ale żaden jej nie zadowolił. Zmieniła dziesięć razy umeblowanie pokoju. Zgro-madziwszy tu zrazu z dziecięcą radością wszystko, co najcenniejsze, kazała to potem wynieść, zostawiając przedmioty najprostsze. Nie było szczegółu, miejsca na portret, kwiatu na etażerce, nad którym, by nie dyskutowała z sobą... Byle tylko Sylwia nie przyszła, zanim skończy! Ale Sylwii się jakoś nie śpieszyło i Anetka miała dość czasu, aby przewrócić do góry nogami cały dom. Wydało się jej trochę dziwne to opóźnianie wizyty, ale korzystała z niego, by przeprowadzić wszystkie plany. Podświadoma komedia! Sama się oszukiwała przypisując jakieś znaczenie tym drobiazgom, gdy zamieszanie wywołane porządkami było tylko pretekstem mającym pokryć inne zamieszanie – gwałtownych myśli mącących zwykły tok jej rozsądnego życia.

Ale te preteksty wyczerpały się także, gdy wszystko było gotowe, a Sylwia wciąż się nie pokazywała. Anetka w wyobraźni przyjęła ją już dziesięć razy; wyczerpana była oczekiwaniem. Nie mogła jednak iść do Sylwii ponownie. A jeśli wyczyta w jej znudzonych oczach, że jest niepotrzebna! Dumę Anetki raniła nawet myśl o tym. Lepiej już nie zobaczyć jej nigdy, niż doznać takiego upokorzenia. A jednak, mimo wszystko... Zdecydowała się nagle i wzięła okrycie, by iść po niewdzięczną. Nie skończywszy jednak zapinać rękawiczek straciła odwagę, nogi się pod nią ugięły i siadła na krześle w przedpokoju, nie wiedząc, co czynić. I wła-

śnie w tej chwili, gdy osłabła u drzwi niemal, gotowa do wyjścia, w kapeluszu, wciąż niezdecydowana, w tej chwili właśnie – zadzwoniła Sylwia...

Od dzwonka do otwarcia drzwi nie minęło dziesięć sekund, i ta szybkość oraz rozradowane oczy Anetki powiedziały Sylwii dość wyraźnie, że czekano na nią. W progu już, nim wy-17

rzekły słowo, złączyły pyszczki pocałunkiem, Anetka porywczo ciągnęła Sylwię przez cały dom i nie puszczając jej rąk pożerała ją oczyma, śmiejąc się gardłowo a niemądrze, jak uszczęśliwione dziecko...

Nic się nie odbyło tak, jak przewidywała. Nie przyszło jej na myśl ani jedno z przygotowanych zdań powitalnych. Nie posadziła nawet Sylwii na wybranym miejscu. Odwrócone plecami do okna, usiadły obok siebie na sofie i nie słysząc niemal tego, co mówiły, rozmawiały wzrokiem.

Anetka: „No, jesteś nareszcie!”

Sylwia: „Widzisz, że przyszedłam.”

Sylwia spojrzawszy na Anetkę spytała:

– Miałaś wyjść?

Anetka potrząsnęła głową, nie chcąc wyjaśniać. Sylwia zrozumiała i, pochylona, szepnęła:

– Wybierałaś się do mnie?

Anetka zadrżała i odparła opierając policzek na jej ramieniu:

– Niedobra!

– Dlaczegoż to? – spytała Sylwia dotykając wargami jasnych brwi Anetki.

Nic nie odrzekła, ale Sylwia wiedziała, co chce powiedzieć. Uśmiechnęła się szelmowsko, śledząc siostrę, która teraz unikała jej wzroku. Jakże szybko załamała się pewność siebie tej gwałtownej dziewczyny. Nagła nieśmiałość oplotła ją niby siecią. Siedziały bez ruchu, starsza siostra oparta o ramię młodszej, zadowolonej, że tak szybko ugruntowała swą władzę.

Po chwili Anetka podniosła głowę i teraz, opanowawszy pierwsze wzruszenie, zaczęły rozmawiać jak stare przyjaciółki.

Tym razem nie miały wrogich zamiarów. Przeciwnie, każda pragnęła dać siebie drugiej.

Ale nie całkowicie, o nie. Wiedziały, że w każdej duszy są rzeczy, których pokazywać nie wolno. Nawet wówczas, gdy się kocha? Właśnie wówczas! Tylko nie wiedziały, co ukryć.

Każda, zwierając się drugiej, kryła swe tajemnice śledząc, co znieść może miłość siostry, i niejedno zwierzenie, zaczęte szczerze, urywało się w połowie, a zdanie kończyło małe kłam-stewko. Nie znały się wcale, a pod wielu względami stanowiły dla siebie oszołamiającą tajemnicę – były to dwa charaktery, dwa światy obce sobie mimo wszystko. Sylwia podczas tych odwiedzin (a myślała o nich więcej, niżli chciała przyznać) starała się być tak czarująca, jak tylko mogła – a mogła wiele, przeto Anetka była pod jej urokiem i tylko pewne sztuczki kokieterii wprawiały ją w zakłopotanie. Sylwia to spostrzegła, ale nie próbowała nic zmienić, a owa starsza siostra, swobodna i naiwna, płomienna a powściągliwa, pociągała ją i onie-

śmielała zarazem. (Słyszając jej paplanie, nikt by się tego nie domyślił.) Obie były sprytnie i obdarzone zmysłem spostrzegawczym, żadne spojrzenie ani chwila wahania nie uszły ich uwagi. Nie były jeszcze pewne jedna drugiej. Nieufne, a skłonne do wynurzeń, chciały dać się sobie, ale tak, by coś w

zamian otrzymać. W obu tkwił diablik pychy, u Anetki może silniejszy. Ale silniejsze były w niej również odruchy miłości i to ją zdradzało. Ile razy dawała wię-

cej, niżby chciała, ponosiła klęskę, a Sylwia upajała się nią. Były podobne do dwóch kupców, którzy pałając chęcią dobicia targu działają jednak ostrożnie, roztropnie i badając każdy ruch postępują naprzód krok po kroku.

Pojedynek był nierówny. Bardzo szybko Sylwia zrozumiała, jak silna i żądna wzajemności jest miłość Anetki: zdała z niej sobie lepiej sprawę niżli sama Anetka i nieznacznie poddała ją próbie, miękką kocią łapką igrając jej sercem. Anetka czuła się pokonana, a to ją zawstydziło i uradowało jednocześnie.

Na prośbę Sylwii pokazała jej cały pałacyk. Nie uczyniłaby tego z własnej inicjatywy, bo-jąc się urazić siostrę roztaczaniem swego dobrobytu; jednak ku jej wielkiej uldze Sylwia nie okazała najmniejszego skrępowania. Czuła się jak u siebie, chodziła przyglądając się i dotykając wszystkiego z zupełną swobodą. Właściwie uraziła Anetkę owa bezceremonialność, a jednocześnie rozczuliło ją to bardzo. Mijając łóżko siostry Sylwia klapnęła po przyjacielsku 18

poduszkę, potem ciekawie obejrzała toaletę, rzuciła badawcze spojrzenie na flakony, przeszła z roztargnieniem przez bibliotekę, wydała okrzyk zachwyty na widok firanek, skrytykowała jeden fotel, wypróbowała drugi, wetknęła nosek w uchyloną szafę, dotknęła jedwabiu sukni, a obszedłszy wszystko wróciła do sypialni Anetki, siadła w niskim foteliku przy łóżku i podjęła przerwana rozmowę. Anetka zaproponowała herbatę, ale Sylwia poprosiła o odrobinę słodkiego wina. Ssąc końcem warg biszkopt spoglądała na wahającą się a widocznie pragnącą mówić Anetkę, jakby miała ochotę jej powiedzieć:

„No, dalejże, jazda!”

Wreszcie Anetka, w porywie serca, z szorstkością zrodzoną z powściągananej czułości, zaproponowała siostrze, by zamieszkały razem. Sylwia uśmiechnęła się milcząc, ugryzła kęs biszkopta, umoczyła w maładze resztę wraz z palcami, uśmiechnęła się znowu grzecznie, dziękując spojrzeniem i pełnymi ustami, wreszcie potrząsnęła głową, jak ktoś, kto przemawia do dziecka, i rzekła:

– Droga moja...

Potem odmówiła stanowczo.

Anetka nalegała, z władcą gwałtownością usiłowała wymusić zgodę, wszystko daremnie.

Teraz Sylwia nie chciała mówić, wykręcała się półsłówkami, pieszczotliwym głosikiem, trochę zakłopotana, lecz z nieco szelmowskim uśmiechem. (Bardzo kochała tę starszą siostrę, porywczą, tkliwą i naiwną.) Ciągłe powtarzała:

– Nie mogę!

– Ale dlaczego! – spytała wreszcie Anetka.

– Mam przyjaciela! – odparła Sylwia.

Anetka przez sekundę nie mogła jej zrozumieć. Potem zrozumiała zbyt dobrze i zdrętwiała.

Sylwia, obserwująca ją nieznacznie, wstała, wciąż uśmiechnięta, i wyszła nagadawszy masę uroczych słówek i zasypawszy siostrę pocałunkami.

Anetka ujrzała nagle ruinę swych zamków na lodzie. Doznawała jakiegoś niewyraźnego a skomplikowanego uczucia. Była to gorycz, której wolałaby nie znać, gorycz dławiąca ją chwilami za gardło. Wszak uważała się za wolną od przesądów, a tu myśl, że jej śliczna siostra... To zbyt bolesne! Była bliska płaczu... O cóż jednak płakać? To nie ma sensu! Czyżby znowu zazdrość?... Nie!

Wzruszyła ramionami i wstała, nie chcąc więcej o tym myśleć. A jednak myślała ciągle...

Dużymi krokami przechadzała się po pokojach, chcąc oderwać myśli, i niebawem stwierdziła, że bezwiednie stąpa po niedawnych śladach siostry. Myślała wyłącznie o niej i... o tym człowieku... Więc jednak zazdrość? Nie! Nie! Tupnęła ze złością. Nie chciała się do tego przyznać. Ale czy przyznawała się, czy nie, ból wżerał się w jej serce. Zaczęła szukać argumentów etycznych i znalazła je. Cierpiała jej czystość. Była naturą złożoną, bogatą w sprzeczne instynkty, które nie miały dotąd sposobności zetrzeć się z sobą, toteż nie brak jej było również purytanizmu. Nie miała jednak religijnych skrupułów. Wychowana poza wszelkim wyznaniem przez ojca sceptyka i matkę wolnomyślną, nawykła o wszystkim dyskutować, nie ważyła się poddawać krytyce rozumu żadnego z przesądów społecznych. W teorii godziła się na wolną miłość i często podtrzymywała jej prawa w rozmowach z ojcem czy towarzyszami studiów. W poglądach tych nieznacznie tylko rolę odgrywało młodzieńcze pragnienie, by okazać się „postępową”. Szczerze sądziła, iż wolność w zakresie miłości jest najzupełniej uprawnia, naturalna, a nawet rozsądna, nigdy też nie miała za złe pięknym paryżaneczkom, że żyją, jak im się podoba; traktowała je z większą znacznie sympatią niżli kobiety ze swego mieszczańskiego świata. Cóż ją zatem drażniło w tym właśnie wypadku? Wszak Sylwia korzystała 19

tylko ze swego prawa. Swego prawa?... Nie, ona tego prawa nie posiada! Inne tak, ale nie ona!... Przyznajemy zazwyczaj więcej swobody tym ludziom, których stawiamy niżej. Wobec swej siostry i siebie samej Anetka sięgała słusznie lub niesłusznie... tak, słusznie! po surowszą miarę moralną. Miłość jedyna i wyłączna wydawała się jej arystokratyzmem serca. Sylwia się poniżyła i Anetka miała jej to za złe. „Miłość wyłączna!... Nie, miłość ku tobie! Zazdro-

śnico. Sama siebie okłamujesz!” Ale im bardziej zazdrosna była o Sylwię, tym więcej ją kochała.

Im ostrzej ją potępiała, tym miłowała ją bardziej. Najwięcej wszak zwykliśmy żądać od osób ukochanych.

Tymczasem urok małej siostrzyczki działał niepostrzeżenie. Anetka uczyła, że gniew jest daremny, że trudno żądać, by Sylwia była inna, niż jest, i doznawała teraz nowego uczucia: ciekawości. Wbrew woli umysł jej starał się sobie: wyobrazić życie Sylwii. Rozmyślała nad tym zbyt wiele, nieraz

stawiając się na jej miejscu, i czuła zakłopotanie, gdyż nie czuła się tam bynajmniej źle. Różnicowanie oburzenie na siebie samą i bunt czyniły ją surowszą względem Sylwii. Gniewała się na nią dalej i zabroniła sobie odwiedzać siostrę.

Sylwia nie troszczyła się wcale brakiem jakiegokolwiek znaku życia od starszej siostry.

Poznała ją, osądziła i pewna była, że Anetka wróci. Czekanie nie ciążyło jej wcale. Miała czym zająć serce. Przede wszystkim posiadała kochanka, który – co prawda – zajmował jeno kącik w jej sercu, zresztą nie na długo. A poza tym jeszcze tak wiele! Polubiła Anetkę szczerze, ale żyła bez niej blisko dwadzieścia lat! Mogła czekać jeszcze kilka tygodni. Domyślała się, co zaszło w duszy siostry, i to właśnie ją bawiło, a przy tym budziły się jakieś resztki wrogości. Rywalizacja dwu odmiennych ras. Różnice klasy społecznej. Nie dając tego poznać po sobie Sylwia podczas wizyty u siostry porównała jej życie ze swoim.

Myślała:

„Koniec końcem, widzisz, i ja mogę mieć nad tobą przewagę. Posiadam to, czego ci brak.

Sądziłaś, że mnie «masz», a to nieprawda. Rób sobie dalej pogardliwe miny, odymaj wargi.

Wstrząsnęłam twymi przesadami!... Co za cios, biedna moja Anetko!...” Śmiejąc się z osłupienia, jakie wyczytała na twarzy siostry, przesyłała jej dłonią pocałunek. To, że Anetce jest przykro i że ciężko jej się pogodzić z sytuacją, nie gniewało Sylwii.

Mówiła jak do dziecka, które nie chce połknąć łyżki gorzkiego lekarstwa, mówiła niby to dmuchając i przybierając ton żartobliwie serdeczny.

– Ano... otwórz dzióbek, moje śliczne! Hopla!... Już po wszystkim!

Nie szło zresztą o same konwenanse. Sylwia wiedziała,

że zraniła inne, głębsze uczucia siostry, takie, do których trudniej się przyznać i, szelma, cieszyła się czując, jaką ma nad nią władzę. Wiedziała, że tamta uczyni, co tylko ona zechce.

„Biedna Anetko – mówiła sobie czując się pewna, że ją «dostanie» – położyć się trochę! –

I szyderczo a zarazem czule szeptała w myślach: – Nie bój się, ja tego nie wyzyskam!” Czy nie wyzyska? A czemuż by nie? Wszak wyzyskanie czyjegoś uczucia to zabawa nie lada. Życie jest wojną, a zwycięzcy należy się wszystko! Jeśli przy tym pokonany nie oponuje, to znaczy, że nie czuje się pokrzywdzony.

– Basta! – zawołała. – Zobaczymy, co z tego będzie!

Pewnego poniedziałku Sylwia wyszła rano po sprawunki i nagle na ulicy de Sèvres spostrzegła o kilka kroków przed sobą Anetkę idącą w tym samym kierunku. Poszła za nią i z przyjemnością

obserwowała. Anetka stawiała, jak zawsze, duże kroki. Sylwia dreptała żywo, zwinnie, tanecznie. Śmiała się z chłopięcego, sportowego chodu siostry, podziwiając jednak harmonię linii jej silnego ciała. Anetka szła zamyślona, nie rozglądając się, z głową podnie-20

sioną. Sylwia ją dogoniła i, nie zauważona przez nią, kroczyła tuż obok, naśladowując chód starszej siostry; zerknęła na jej twarz nieco przybladłą, jakby omroczoną smutkiem, i nie obracając głowy poruszyła wargami, szepcząc cicho:

– Anetko!

W rozgwarze ulicznym nie można było jej dosłyszeć i sama Sylwia zaledwie mogła pochwycić dźwięk własnych słów, mimo to jednak Anetka usłyszała. A może raczej uświadomiła sobie obecność owego kpiącego sobowtóra, który od pewnego czasu towarzyszył jej w milczeniu. Nagle tuż przy sobie ujrzała z profilu rozbawioną twarz, wargi poruszające się komicznie i roześmiane, zerkające ku niej oko. Zatrzymała się i z odruchem gwałtownej rado-

ści, który raz już zdumiał i zachwycił Sylwię, wyciągnęła ramiona w porywie całej swej istoty. Sylwia pomyślała:

„Rzuci się na mnie...”

Lecz chwilę później Anetka opanowała się i rzekła niemal chłodno:

– Dzień dobry, Sylwio!

Ale policzki jej zarumieniły się i nie mogąc zachować sztywnej miny wobec wybuchu śmiechu młodszej siostry, uszczęśliwionej swą psotą, zaśmiała się wraz z nią, mówiąc:

– Ach, złapałaś mnie!

Sylwia ujęła ją pod ramię i ruszyły razem, starając się w odruchu serdeczności dostosować wzajem swe kroki.

– Szłaś za mną długo? – spytała Anetka.

– O, już pół godziny! – zapewniła bez wahania Sylwia.

– Nie podobna! – krzyknęła łatwowierna siostra.

– Patrzyłam na ciebie! Widziałam wszystko! Wszystko! Mówiłaś głośno do siebie.

– To nieprawda! Nieprawda! – przeczyła Anetka. – Ach, ty mały kłamczuchu!...

Mocniej przytuliły się do siebie. Rozradowane, zaczęły paplać o porobionych sprawunkach. Zajęło je bardzo opowiadanie o „Białym Tygodniu” w pewnym magazynie, gdzie jedna już była, a druga dopiero pójść miała. Szły wśród rozgwaru ulic, z nieomylnym instynktem paryżanek przeciskając się pomiędzy szeregami powozów, gdy nagle Sylwia szepnęła Anetce do ucha.

– Jeszcześ mnie nie pocałowała!

Gwałtowny ruch Anetki o mało nie stał się przyczyną wypadku, po czym dotarły do chodnika i nie przestając iść przycisnęły usta do ust. Objęły się jeszcze mocniej i zboczyły w spokojniejszą ulicę prowadzącą... dokądże ona właściwie prowadziła?

– Dokąd idziemy? – spytała Anetka. Stały, ubawione tym, że gadając zbłądziły. Sylwia, przyciskając ramię Anetki, odpowiedziała bez namysłu:

– Idziemy razem na śniadanie!

Anetka broniła się (rzeczy niespodziane pociągały ją wprawdzie swym urokiem, ale i sprawiały nieco kłopotu, gdyż była systematyczna), wspomniała o starej ciotce, która czeka w domu. Ale Sylwia nie przejmowała się takimi drobiazgami, zawładnęła Anetką i nie miała zamiaru jej puścić. Kazała jej zatelefonować do ciotki z jakiegoś urzędu pocztowego i poszły do znanej Sylwii kawiarenki. Skromne to śniadanko stało się radosnym wydarzeniem dla obu dziewcząt, zwłaszcza dla Anetki. Sylwia oświadczyła, że chce ugościć zamożniejszą od siebie siostrę (i siostra rozumiała). Anetka zachwycała się wszystkim: chlebem i doskonale przyrządzonym kotлетem, a największą radość sprawił im deser – poziomki ze śmietaną; jadły je powoli, delektując się smakiem.

Ale rozmowa bardziej jeszcze niż jedzenie absorbowwała języki. Paplały tylko o drobnostkach, pojąc się wzajemnie sobą, swymi spojrzeniami, głosem i promiennością. Instynkt ma własne drogi, najkrótsze i najpewniejsze. Nie czas było jeszcze na tematy ważne. Krążyły wokół nich wesoło i niefrasobliwie, niby osy, co dziesięć razy oblatują z brzękiem talerz, zanim na nim usiądą. Nie usiadły jednak...

21

Sylwia wstała mówiąc:

– Teraz czas do pracy.

Anetka naburmuszyła się jak dziecko, któremu nagle odebrano ciastko:

– Tak nam było dobrze! Szkoda, że to już koniec.

– I ja żałuję! – zaśmiała się Sylwia. – Kiedy się znów spotkamy?

– Jak najprędzej, i to na długo! Tym razem było za krótko.

– A więc dziś wieczór. Przyjdź po mnie pod pracownię, koło szóstej. Anetka wyglądała na zmieszaną.

– A czy będziemy same? – spytała, zaniepokojona, że może spotkać „tamtego”.

Sylwia rozumiała i zapewniła pobłaźliwie, z odrobiną ironii:

– Tak, całkiem same!

Potem opowiedziała zupełnie spokojnie, że przyjaciel jej wyjechał na kilka dni na prowincję, do rodziców. Anetka zarumieniła się na myśl, że siostra wie, o co jej chodziło, i zapomniała zupełnie, że poprzedniego dnia postanowiła wyrazić Sylwii swą naganę. W kąć poszły względy moralności, pamiętała już tylko o jednym: „jego” dziś nie będzie.

– Co za szczęście, spędzimy razem cały wieczór! Powiedziała to klaszcząc w ręce, a Sylwia tanecznym ruchem zakołysała nogą, skrzywiła się zabawnie i zawołała:

– A więc wszyscy są zadowoleni!

Potem przybrała dystygowaną minę na widok wchodzącego do kawiarni mężczyzny, rzuciła jeszcze:

– Do widzenia, moja droga! – i pobiegła jak strzała.

Spotkały się w kilka godzin później u wylotu hałaśliwego ula, z którego jak pszczoły roiły się szwaczki, rozgadane, zerkające, drepcące lub kończące fryzurę przed kieszonkowym lustrem czy też szybą wystawy. Przechodząc koło Anetki odwracały się i przyglądały się jej oczami zmęczonymi, ale żywymi i zaciekawionymi. Po dziesięciu krokach przystawały i znowu gadały, kręciły się i odwracając zerkwały na Sylwię całującą Anetkę, której było bardzo niemiło, że siostra wygadała się przed koleżankami.

Poszły na obiad do pałacyku przy Quai de Boulogne, dokąd Sylwia zaprosiła się sama.

Chcąc oszczędzić ciotkę, która mogła robić jakieś „ochy” i „achy”, postanowiły w drodze, że Sylwia zostanie przedstawiona jako przyjaciółka. Mimo to jednak, gdy staruszka udała się po skończeniu obiadu do siebie, pozyskana zresztą urokiem sprytnej dziewczyny, Sylwia, niby to w poufałym żarcie, zaczęła ją nazywać ciotką.

Znalazły się same pośród wielkiego ogrodu w jasną letnią noc i objawszy się czule, kroczyły zwolna, pojąc się wonnym oddechem znużonych po upalnym dniu kwiatów. Podobnie jak kwiaty, dusze ich tchnęły swoje tajemnice. Sylwia odpowiadała na pytania Anetki nie ukrywając tym razem zbyt wiele. Opowiedziała swe życie od najwcześniejszego dzieciństwa, a przede wszystkim wspomnienia o ojcu. Rozmawiały o nim teraz, bez zakłopotania ani wzajemnej zazdrości, był wszak ich wspólną własnością. Uśmiechały się to pobłaźliwie, to ironicznie, traktując go jak starego urwisa, zabawnego, uroczonego, niezbyt rozsądnego ani po-ważnego, co prawda... ale przecież wszyscy mężczyźni są tacy sami. Nie miały już do niego urazy.

– Prawda, Anetko, że gdyby był człowiekiem poważnym, nie byłoby mnie tu... Anetka uściśniła jej dłoń.

– Aj! – krzyknęła Sylwia. – Nie ściskaj tak mocno! Opowiadała potem o sklepie kwiaciar-ki, gdzie dzieckiem siadywała pod ladą, bawiąc się przywiedłymi kwiatami i snując pierwsze marzenia. Tam też, słuchając rozmów matki z klientami, poznała życie Paryża. Gdy Delfina umarła, Sylwia miała trzynaście lat i poszła na naukę do krawcowej, przyjaciółki matczynej, która ją przygarnęła. Po roku

opiekunka zmarła, sterana pracą (w Paryżu siły szybko się wyczerpują), a Sylwia doznała różnych przygód. Wyliczała bez ogródek rozmaite gorzkie do-

świadczenia, a opowiadała wesoło, często z dużą dozą humoru. Przelotnie kreśliła typy i cha-22

raktery, niby cieniutką igłą wyszywając hafty na tkaninie opowieści; tu rzucała jakiś rys, ówdzie cięte powiedzonko, zręczne słówko lub charakterystyczny profil. Nie opowiadała wszystkiego, znacznie więcej doświadczyła w życiu, niż się przyznawała i – być może – wię-

cej, niż by chciała pamiętać. Dłużej zatrzymała się na ostatnim rozdziale swego życia (jeśli były inne – zachowała to dla siebie): przyjaciel jej studiował medycynę, a poznał się z nią na sali tańca (nie jadła wtedy obiadu, by tańczyć). Przyjaciel nie odznaczał się pięknnością, ale był miły, wysoki, miał ciemne włosy, zmarszczki od śmiechu w kącikach wesołych oczu i zadarty nos poczciwego psa; był przy tym zabawny i serdeczny. Opisywała go bez specjalnego uniesienia, ale życzliwie, sławiąc jego zalety, trochę zresztą przesadnie, gdyż była zadowolona z wyboru. Przerzywała sama sobie śmiechem wobec pewnych wspomnień, o których mówiła, i innych, które przemilczała. Anetka, zmieszana, zaciekawiona, słuchała, czasem jeno wtrącając trwożne słówko. Sylwia trzymała jej dłoń, a drugą, wolną ręką, nie przestając przy tym mówić, dotykała pieszczotliwie jej palców, po kolei, jakby liczyła ziarnka różańca.

Dostrzegła zmieszanie siostry, kochała ją za to i bawiła się tym jednocześnie.

Dziewczęta siedziały na ławce pod drzewami, nie widząc się, gdyż mrok już zapadł.

Ukryty w Sylwii diablik skorzystał z tego. Przytoczyła kilka scen śmiałych a nader czułych, chcąc do reszty onieśmielić starszą siostrę. Anetka przejrzała jej chytryść, nie wiedziała, czy śmiać się, czy ganić; rada by udzielić nagany, ale młodsza siostrzyczka była tak śliczna! Głos jej takim dźwięczał śmiechem, a radość wydawała się tak zdrowa! Anetka wstrzymywała oddech, by nie zdradzić wzruszenia, którego doznawała słuchając tych miłosnych opowieści, ale Sylwia czuła drżenie jej rąk, toteż zamilkła na chwilę, by się tym nacieszyć i przygotować nową psotę. Pochyliła się ku siostrze i spytała cicho i niewinnie, czy i ona ma kochanka.

Anetka zadrżała nie spodziewając się tego i oblała się rumieńcem. Sylwia chciała przenikliwym spojrzeniem dostrzec w ciemności jej rysy, ale nie udało się jej – pogłaskała Anetkę dłonią po twarzy i powiedziała ze śmiechem:

– Ach, jaka gorąca!

Anetka zaśmiała się, zmieszana, i jeszcze silniejsze rumieńce wystąpiły jej na twarz. Sylwia rzuciła się siostrze na szyję.

– O, mój głuptasku! Jakaś ty śliczna! – zawołała. – Nie, to naprawdę coś niesłychanego!

Nie gniewaj się na mnie. Pęknę chyba ze śmiechu. Kocham cię bardzo, Kochaj też odrobinę twoją Sylwią. Niewiele warta, ale jest twoja! Anetko, ty moje kaczątko, daj buzi! Uwielbiam cię!

Anetka objęła ją namiętnie, aż dziewczyna straciła oddech i wysuwając się jej z ramion spytała

tonem znawcy :

– Ależ ty umiesz całować! Powiedz, kto cię tego nauczył?

Anetka gwałtownie zamknęła jej ręką usta. – Przestań już raz żartować! – powiedziała.

Sylwia ucałowała jej rękę mówiąc:

– Przebacz, już nie będę!

Oparła policzek o ramię siostry i siedziała potulna, milcząca, zasłuchana i wpatrzona w twarz Anetki, rysującą się w półmroku na tle niewielkiego skrawka nieba jaśniejącego w kształcie półksiężyca wśród gałęzi drzew. Anetka, nachylona nad nią, mówiła.

Otworzyła całe swe serce. Opowiadała z kolei o szczęśliwej pełni swojej samotnej młodości, o tym zaraniu życia małej Diany, namiętnej, ale wolnej od niepokojów, która cieszy się tym, czego pragnie, nie mniej niż tym, co posiada, gdyż między jednym a drugim nie ma dla niej innej różnicy jak ta, co dzieli dzień wczorajszy od jutra; jutra tego tak zaś jest pewna, że rozkoszuje się wonią jaśminu na krzewie i nie spieszo jej go zerwać.

Wspominała beztroski egoizm owych lat bez zdarzeń, lat wezbranych marzeniami,

opowiadała, jak bliska była ojcu i jak wyłączna czułość ją z nim wiązała. Wśród opowiadania zachodziła rzecz dziwna: oto poznawała samą siebie, gdyż w istocie aż do tej chwili nie miała okazji zanalizować swej przeszłości. Chwilami ogarniało ją nawet przerażenie i milkła, to 23

znów nie znajdowała słów lub też mówiła obrazowo, z pełnym niepokojem żarem. Sylwia nie zawsze ją rozumiała, i nie tyle słuchała, co bawiła się obserwowaniem wyrazu twarzy, gestów i głosu.

Anetka przyznała się teraz, ile, zazdrosna, cierpiała, gdy odkryła, iż ojciec zataił przed nią posiadanie drugiej rodziny, i odmalowała wstrząs, którego doznała na wieść o istnieniu siostry-rywalki. Ze zwykłą sobie płomienną szczerością nie tajiła żadnego z przeżyć, na których wspomnienie oblewała się rumieńcem wstydu? w miarę wywoływanych obrazów wzrastała również namiętność; wreszcie wykrzyknęła gwałtownie:

– Nienawidziłam cię!

Zamilkła, przerażona tonem swego głosu, a znacznie mniej wzruszona, choć zaciekawiona Sylwia uczuła na swej twarzy drżenie dłoni siostrzanej i pomyślała:

„Jakież w niej ogień!”

Anetka podjęła wątek tak trudnych dla niej zwierzeń, a Sylwia pomyślała:

„Śmieszna jest z tym opowiadaniem o wszystkim!”

Równocześnie odczuła jednak, że dla tej dziwnej siostry budzi się w niej szacunek, nie bez domieszki

ironii, co prawda, ale nieskończenie serdeczny. Otarła się przymilnie policzkiem o dłoń siostry.

Anetka w opowiadaniu swym doszła wreszcie do chwili, kiedy to pragnienie poznania nie znanej dotąd siostry owładnęło nią mimo oporu i kiedy po raz pierwszy ujrzała Sylwię. Ale tu szczerłość nie zdołała zapanować nad wzruszeniem. Anetka próbowała ciągnąć rzecz dalej, lecz urwała i rezygnując szepnęła:

– Nie mogę dłużej...

Zapadła cisza Sylwia, uśmiechnięta, uniosła się i zbliżając twarz do twarzy siostry oraz szczypiąc ją z lekka w podbródek, szepnęła cicho:

– Jesteś wielką miłośnicą!

– Ja? – protestowała Anetka, mocno zmieszana. Sylwia wstała z ławki, ujęła jej głowę i tuląc ją serdecznie do siebie, powiedziała:

– Biedna... biedna Anetko!

Od tego wieczoru siostry widywały się stale. Nie minął tydzień bez spotkania. Sylwia wieczorem przychodziła po Anetkę na Quai de Boulogne; rzadziej zdarzało się, by Anetka do niej przyszła. Milcząco porozumiały się i urządziły wszystko tak, aby Anetka nie spotkała się z przyjacielem siostry. Wybrały stały dzień na wspólne śniadanie w kawiarence, poza tym umawiały się na mieście to tu, to tam. Obydwom jednaką radość sprawiały wspólnie spędzane chwile, bez których obejść się już nie mogły. W dniach, gdy się nie widziały, czas dłużył się im nieskończenie, ciotka Anetki nie mogła z niej wyciągnąć słówka, Sylwia zaś, nachmurzona, dręczyła swego przyjaciela, który miał już tego zdecydowanie dosyć. Jedyne obmyślanie tego, co sobie powiedzą, skracало im czas. Ale i to zawodziło i Anetka nigdy nie była tak szczęśliwa jak pewnego dnia, kiedy, już po dziewiątej, Sylwia zadzwoniła do drzwi, mówiąc, że przyszła ją dziś pocałować, gdyż nie może doczekać się jutra. Anetka koniecznie chciała ją zatrzymać, ale dziewczyna, nie mająca, jak przysięgała, więcej nad pięć minut czasu, wybiegła pędem po godzinnym paplaniu bez odetchnienia, Anetka pragnęła, by siostra korzystała z jej dobrobytu i zamieszkała u niej, ale Sylwia odrzucała szorstko wszystkie te propozycje, wbiła sobie w głowę, w małą upartą głowinę, że nigdy nie przyjmie pożyczki pieniężnej. Za to bez żadnych skrpułów przyjmowała i „pożyczała” różne drobiazgi (zapominając, oczywi-

ście, oddać). Zdarzyło się nawet parę razy, że coś zwędziła – ot, jakieś głupstewko. Oczywi-

ście – nic cennego. Nigdy też nie ważyłaby się tknąć pieniędzy. Pieniądze to rzecz święta.

24

Inaczej było z cackami czy błyskotkami. W takim wypadku nie mogła oprzeć się pokusie.

Anetka zauważyła ów instynkt sroczki-złodziejki i sprawiło jej to przykrość graniczącą ze wstydem. Czemuż Sylwia nie poprosiła? Byłaby jej wszystko z radością darowała. Udawała, że nie widzi.

Największą przyjemność sprawiała im zamiana bluzek czy staniczków lub bielizny zdjętej z siebie. Uczucie Anetki syciło się tym. Sylwia z wielką wprawą przerabiała na siebie suknie siostry, a gust jej dodał wkrótce wdzięku surowszym upodobaniom Anetki; tu jednak rezultat nie zawsze był szczęśliwy, gdyż zbyt oczarowana siostrą dziewczyna przesadzała często w naśladownictwie i odstępowała tak dalece od osobistego stylu, że Sylwia, ubawiona, musiała powstrzymać jej zapał. Znacznie rozsądniejsza, umiała, nie przyznając się do tego, brać wzór z powściągliwej dystynkcji starszej siostry, a naśladowała pewien jej sposób mówienia, gesty i zachowanie w sposób tak zręczny, iż wydawało się, że jest modelem, a nie kopią.

Mimo ich zażyłości Anetka zdołała poznać życie siostry tylko częściowo. Sylwia umiała zachować niezależność i lubiła to dać odczuć. Nie wyzbyła się zresztą doszczętnie wrogości klasowej i rozmyślnie okazywała siostrze, że nie można nią dowolnie dysponować i że przyjmuje Anetkę o tyle, o ile jej się to podoba. Miłość własna mówiła jej przy tym, że siostra przygania jej w niejednym, zwłaszcza w sprawie związku miłosnego. Anetka czyniła wysiłki, by się z tym pogodzić, ale nie umiała ukryć zakłopotania i albo unikała tego tematu, albo gdy zmuszała się do mówienia, szczerze pragnąc zrobić przyjemność Sylwii, w głosie jej wyczuwało się ton przymusu; nie uchodziło to baczności siostry, która wówczas jednym słowem zmieniała temat. Anetkę martwiło to; pragnęła przecież z całego serca, by Sylwia była szczę-

śliwa na swój sposób, i nie chciała okazywać, że ten właśnie sposób niezbyt jej odpowiada.

Nie umiała jednak tego ukryć, gdyż ludzie silnych uczuć są często niezręczni. Sylwia miała do niej o to żal i mściła się milczeniem. Tylko dzięki przypadkowi, w kilka tygodni potem, Anetka dowiedziała się o ważnych wydarzeniach w życiu młodszej siostry.

Sylwia nie przypisywała im zresztą wagi i może rzeczywiście ześliznęły się one po niej dzięki giętkości jej usposobienia, a może miłość własna nie pozwoliła przyznać im znaczenia.

Anetka dowiedziała się przypadkiem, że „od pewnego czasu” (nie podobna go określić, gdyż zaliczało się to już do „dziejów starożytnych”) przyjaciel znikł, a związek przestał istnieć.

Sylwia nic sobie z tego nie robiła, lecz Anetka przejęła się, nie żałując naturalnie tego, co się stało. Usiłowała niezręcznie poznać przyczynę, ale Sylwia wzruszyła ramionami, roześmiała się i rzekła:

– Nie było żadnej przyczyny. Po prostu minęło, i basta!

Anetka powinna się była cieszyć, ale słowa siostry zrobiły jej przykrość. Jak dziwne było uczucie Sylwii! Jakaż ona jest? „Minęło, i basta!” Czyż tak powie człowiek z sercem? I to jeszcze śmiejąc się!...

Po tej wielkiej nowinie (wielkiej dla Anetki) wkrótce nastąpiło nowe odkrycie. Gdy pewnego dnia wyraziła chęć zabrania siostry po robocie z pracowni, Sylwia odparła spokojnie:

– Nie, nie, już tam nie pracuję!

– Jak to? – zawołała Anetka zdziwiona. – Od kiedyż to? – Et, od pewnego czasu!...

(Zawsze tak nieściśle liczyła czas, że słowa jej mogły jednocześnie oznaczać dzień wczorajszy i rok zeszły.)

– Cóż się stało?

– To, co każdego roku! (Tak jak w piosence o Malbroughu: „na Wielkanoc lub na Świętą Trójcę.”) Zaraz po wyścigach „Grand Prix” zaczyna się martwy sezon. Krawcowe robią się wówczas złe jak osy i zaczynają się awanturować, żeby móc z byle powodu wyrzucić nas za drzwi.

– Gdzież więc jesteś?

– Gdzie? Jak się zdarzy: to tu, to tam. Chodzę; biegam, zajmuję się wszystkim po trochu.

Anetka słuchała, przerażona.

25

– Nie masz zatem posady i nic mi o tym nie mówisz? Sylwia udawała, że nic sobie z tego nie robi i że jest do tego przyzwyczajona. Lekceważąco, z wyrazem pewnej wyższości (zadowolona zresztą z wrażenia, jakie robiła) objaśniała, że kleci tanie kostiumy dla handlarek konfekcji, robi na drutach sukienki dziecięce oraz szyje męskie spodnie (oczywiście błaznowała opowiadając). Ale Anetka nie żartowała. Przycisnąwszy siostrę do muru dowiedziała się, że Sylwia rozbija się wszędzie za robotą i podejmuje się często prac wyczerpujących jej siły lub wstrętnych. Teraz zrozumiała, dlaczego siostra wydawała jej się „od pewnego czasu” blada, dlaczego po kilka dni się nie zjawiała, podając nieprawdopodobne preteksty i wykrę-

cając się absurdalnymi bredniami. Oto po nocach musiała, szyć, psując palce i oczy. Sylwia w tonie szyderyczym i sztucznie obojętnym ciągnęła dalej opowieść o swych niepowodzeniach.

Nagle zauważyła, że wargi siostry drżą ze złości. Anetka wybuchnęła:

– Nie! To niegodziwe! – krzyknęła. – Nie mogę znieść tego! Jak to, powiadasz, że mnie kochasz, sama żądałaś mej przyjaźni, uważasz się za moją przyjaciółkę, a zatajasz najważ-

niejsze rzeczy ciębie dotyczące? (Sylwia wyduła wargi, jakby chciała powiedzieć: „Phi! Cóż to ważnego!” Ale Anetka nie dopuściła jej do słowa. Potok przerwał tamy.)

– Ufałam ci, sądziłam, że mi się zwierzysz z każdej troski i cierpienia, jak ja ci się zwierzę, i że wszystko dzielić będziemy z sobą... Tymczasem trzymasz mnie na uboczu jak obcą i nic nie wiem, nic nie wiem w ogóle! Gdyby nie przypadek, nie dowiedziałabym się o twych kłopotach, że szukasz pracy, że niszczysz zdrowie i raczej gotowaś wziąć byle jaką robotę niż zwierzyć się siostrze, mimo że wiesz, z jaką radością bym ci pomogła. To źle, to bardzo źle!

Zraniłaś mnie! To brak szczerości, brak przyjaźni! Ale nie ścierpię tego dłużej. Natychmiast sprowadzisz się do mnie i pozostaniesz aż do nowego sezonu! (Sylwia potrząsnęła głową.)

– Tak być musi, nie próbuj oponować! Posłuchajże, Sylwio, nigdy bym ci nie przebaczyła.

Jeśli mi powiesz: nie, nie zobaczymy się więcej nigdy w życiu.

Nie racząc nawet tłumaczyć ni wyjaśniać Sylwia powtarzała z upartym uśmiechem:

– Nie, nie, moja droga!

Radowało ją uniesienie Anetki, która, doprowadzona do ostateczności, gotowa była płakać lub bić siostrę.

Sylwia myślała:

„O ileż ona jest ładniejsza w tym wzburzeniu!”

Ale nie ustępowała. Szło jej o to, by okazać, że ona także ma swoją wolę.

Anetka z twarzą purpurową ze złości powtarzała swe żądanie, prosząc i nakazując zarazem:

– Zostań! Zostaniesz! Ja tak chcę. Skończona sprawa. Prawda, zostaniesz? Mów... mów!

Tak, prawda?

Mały uparciuch odpowiadał z uśmiechem mogącym doprowadzić do wściekłości:

– A jednak nie, moja droga!

Anetka gwałtownie odsunęła się od niej.

– W takim razie wszystko skończone! – krzyknęła. Obróciła się plecami, podeszła do okna i zdawało się, że nie widzi Sylwii. Tamta poczekała chwilę, potem wstała i rzekła pieszczotliwym głosem:

– Do widzenia, Anetko!

Anetka nie odwróciła się.

– Żegnaj! – odpowiedziała stojąc z zaciśniętymi kurczowo rękami. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby uczyniła najmniejszy ruch. Płakałaby... krzyczała... Nie drgnęła jednak, dumna, lodowata. Sylwia uczuła zakłopotanie i lekki niepokój, ale mimo wszystko ubawiona tą sceną, wyszła i za drzwiami zagrała siostrze palcami na nosie.

Niezbyt była dumna (może tylko troszkę) ze swego dzielnego oporu, podobnie jak Anetka z uniesienia; starsza siostra przyznawała z przerażeniem, że niestety, spaliła mosty za sobą i zamiast pozyskać zręcznie i cierpliwie Sylwzię, wygnała ją niemal. Że Sylwia nie wróci, była 26

pewna, swoim sposobem postawienia sprawy zamknęła przed nią drzwi domu. I nie będzie mogła ich znowu otworzyć, bo jakże po takiej deklaracji iść do Sylwii? Znaczyłoby to przyznać się do porażki, na co nie pozwalała duma ani też słuszność sprawy, Sylwia bowiem po-stąpiła źle... Nie, nie, nie pójdzie!

Nałożyła kapelusz i poszła prosto do niej.

Sylwia wróciła przed chwilą. Zadumana, rozważała zawikłaną sytuację. Stwierdziła, że jest bezsensowna, ale nie widziała z niej wyjścia, gdyż ani na myśl jej nie przyszło ulec woli siostry, ani nie spodziewała się, by Anetka jej uległa. W głębi duszy przyznawała, że kaczątka miała rację. Nie chciała jednak ustąpić. Nie była obojętna na dostatki i choć tego nie okazywała, to, co widziała u Anetki, obudziło w niej żądzę posiadania i zazdrość. (Nie można się ustrzec od tego uczucia, nawet gdy się nie jest – o, prawie wcale! – zazdrosną. Nie, nie można się ustrzec, gdy się ma młode ciało pełne różnych pragnień i wie się, że korzystałoby się z darów losu lepiej niż ci, którym pieczone gołąbki wpadły same do gąbki.) Sylwia, nie przyznając się do tego przed samą sobą, miała Anetce trochę za złe, że jest bogata. Wprawdzie Anetka usiłowała naprawić tę winę – jeśli to była wina – i uzyskać przebaczenie, lecz Sylwia bynajmniej nie pragnęła jej wybaczyć. Och! Wszystkiego tego nie wyzna! Każdy z nas bowiem nosi w sobie kilka małych potworków i starannie ukrywa je w głębi duszy. Zapewne, nie chwalimy się nimi, udajemy, że ich nie widzimy, ale nikt się nie kwapi ich pozbyć. Prę-

dzej już przyznać się mogła do tego, że zdobywa się na luksus udawania pogardy dla zbytku, który, ją pociąga – ale w gruncie rzeczy luksus ten nie robił jej wielkiej przyjemności i nie dawał pożytku. Nie, doprawdy, Sylwii nie cieszyło zwycięstwo i nie miała czym się chwalić, gdyż odniosła je na własną niekorzyść. Stwierdzenie to było tym bardziej przykre, że w istocie sytuacja jej nie była zbyt różowa i trudno z niej było znaleźć jakieś wyjście – bezrobotnych było wielu, a przedsiębiorcy oczywiście z tego korzystali. Prócz tego zdrowie jej zaczęło szwankować; zabójcze upały lipcowe, czuwanie po nocach, złe pożywienie i niezdrowa woda wywołały katar kiszek w połączeniu z dezynterią, co ją bardzo osłabiło. W pokoiku swym, pod rozpalonym od słońca dachem, przy zapuszczonych żaluzjach Sylwia siedziała półnaga, z rozpaloną skórą, daremnie szukając chłodnego przedmiotu, by na nim położyć dłonie. My-

ślała, jak dobrze byłoby w pięknym pałacyku przy Quai de Boulogne, że zaś z braku innych dóbr doczesnych dostatnio była wyposażona w ironię, bawiła się swoją głupotą. Ładnie się urządziła! I pomyśleć, że Anetka i ona były w istocie jednego zdania! A teraz obie się upar-

ły... Mój Boże, jakież były głupie! Cóż... żadna nie ustąpi, to rzecz pewna!

I przekonana, że nie ustąpi, że zostanie głupia do końca, zaśmiała się gorzko, rozchylając blade wargi. Nagle postyszała w korytarzu zdecydowane kroki Anetki. Poznała je zaraz i zerwała się z krzesła.

Anetka wraca! Dobra, kochana dziewczyna! Nie czekała na nią. Naturalnie, przecież to ona jest tą „lepszą”.

Anetka wbiegła, zarumieniona i podniecona szybkim marszem. Idąc nie wiedziała, co uczyni, ale wątpliwości ustały, gdy tylko weszła. Atmosfera pieca ognistego panująca w pół-

ciemnym pokoju dławiała oddech i w Anetce znów rozbudził się gwałtowny gniew. Zbliżyła się do Sylwii, która rzuciła się jej na szyję, ścisnęła niecierpliwymi rękami jej wilgotne od potu ramiona i nie oddając pocałunków powiedziała z pasją:

– Zabieram cię... Ubieraj się... I nie gadaj nic!

Sylwia jednak zaczęła gadać, by nie stracić wprawy, udawała, że protestuje, ale nie opierała się. Anetka ubrała ją porywczo, włożyła jej na nogi buciki, zapięła bluzkę, szorstkim gestem wsadziła na głowę kapelusz, potrząsając siostrą niby pakunkiem. Sylwia powtarzała: nie, nie, nie;

dla zachowania pozorów wydawała okrzyki oburzenia, ale ta brutalność zachwycała ją.

Gdy Anetka skończyła, Sylwia ujęła obie jej dłonie, pocałowała zostawiając ślady ząbków i rzekła śmiejąc się z radości:

27

– Oj, ty Panno Burzo... Nie ma rady? Poddaję się. Zabieraj mnie!

Anetka porwała ją, chwyciła za ramię silnymi jak kleszcze dłońmi i wyprowadziła. Wsiadły w taksówkę. Gdy przybyły na miejsce, Sylwia powiedziała:

– Teraz mogę ci wyznać, że niczego więcej nie pragnęłam.

– Czemuż byłaś tak uparta? – burknęła uszczęśliwiona Anetka.

Sylwia ujęła jej dłoń i palcem wskazującym uderzyła się po swoim małym, wypukłym czole. – O tak, dużo w nim przekory – powiedziała Anetka.

– Podobne do twego – odparła Sylwia pokazując w lustrze czoła dwu uparciuchów.

Uśmiechnęły się do siebie.

– Wiadomo, po kim to – dodała Sylwia.

Pokój Sylwii czekał na nią od dawna. Jeszcze zanim dowiedziała się o istnieniu siostry, Anetka trzymała go w pogotowiu dla przyszłej przyjaciółki. Przyjaciółka nie zjawiała się, kilka razy zaledwie cień jej przelotnie zamajaczył. Rówieśniczki stroniły od Anetki; mimo szacunku dla niej i poczucia wpływu, który na nie wywierała, przezornie trzymały się daleko. Osobowość jej była zbyt od nich różna, zachowanie zmienne: lodowate, to znów płomienne; miała nagłe, gwałtowne porywy, dziwne w naturze tak powściągliwej, wreszcie w charakterze jej kryło się coś niezwykłego, władczego i wyłącznego, co bez jej wiedzy tliło się i rzucało błyski, nawet w chwilach, kiedy przepelniało ją żarliwe pragnienie ofiarowania – siebie z peł-

ną namiętności pokorą.

Sylwia pierwsza rozgościła się w przygotowanej dla przyjaciółki kliteczce. Uczyniła to z zupełnym spokojem, wiedząc dobrze, że bez trudu może ją opuścić, kiedy jej się spodoba.

Anetka bynajmniej jej nie onieśmiała. Nie zdziwił jej też widok pokoju, w którym zamieszkała, gdyż przy pierwszej zaraz bytności poznała po pewnych szczegółach przygotowanych pomysłowo a serdecznie, oraz po niespokojnym zakłopotaniu pokazującej go Anetki, że jest dla niej przeznaczony.

Teraz uznawszy się za pokonaną, i to na swoją korzyść, nie stawiała najmniejszego oporu.

Oslabiona jeszcze po dyzenterii, mała rekonwalescentka poddała się z radością troskliwości siostry. Wezwany lekarz stwierdził anemię i zalecił zmianę powietrza i pobyt w górach. Ale ani jednej, ani drugiej nie spieszo było porzucać wspólne gniazdko, więc przymilając się do lekarza wymogły na nim opinię, że ostatecznie w Boulogne powietrze jest równie dobre, a pod pewnym względem będzie nawet lepiej, by Sylwia, nim się znajdzie w ostrym górskim klimacie, naprzód przysłała do sił w zupełnym spokoju.

Sylwia mogła tedy leniuchować, co jej się dawno nie przydarzyło. Jakże rozkosznie było spać, wysypiać się do syta, za wszystkie czasy, a najrozkoszniejszą rzeczą wydawało się jej nie spać, ale leżeć wyciągnąwszy się w ładnej, miękkiej pościeli, gdy ciało przejmuje rozkoszne odrętwienie, a stopa szuka chłodnego miejsca na prześcieradle. Nade wszystko zaś marzyć... marzyć... Ach! Niezbyt daleko wybiegały te jej marzenia, krążąc w kółko, niby muchy na suficie. Czasem urywały się nagle, jakby wpół zdania. Po dwadzieścia razy powtarzał

się w nich jakiś niewyraźny obraz, jakaś historia miłosna lub wspomnienie z pracowni czy wreszcie marzenie o kapeluszu. W połowie każdego obrazu wszystko tonęło w jeziorze snu.

– Ależ, Sylwio, powiedz sama! – protestowała przez sen. – Jakże możesz tak żyć. Trzeba z tym skończyć.

Otwierała jedno oko i spostrzegając pochyloną nad sobą siostrę czyniła wysiłki, by powiedzieć (ledwo wymawiała słowa):

– Obudź mnie, Anetko! Anetka mówiła:

– Wstawaj, śpiochu! – śmiała się i potrząsała nią. Sylwia udawała dziecko.

28

– Cóż mi się stało, mamusieńku, żem taka śpiąca? Wielka miłość Anetki przejawiała się w czułości macierzyńskiej. Kiedy siedząc na łóżku patrzyła na tę ukochaną, przytuloną do swej piersi głowę, miała czasem wrażenie, że to jej własna córka. Sylwia poddawała się biernie, czasem jeno narzekając pół serio:

– Ach! Jakże trudno mi będzie potem wrócić do roboty!

– Nie będziesz już pracowała!

– Ale cóż znowu! – buntowała się Sylwia. – Muszę! Zbudzona natychmiast, odsuwała się od siostry, siadała w łóżku rozczochrana i z wyrazem wyzwania ostro spoglądała na Anetkę.

– Masz tobie! – wołała Anetka ze śmiechem. – Ona ciągle jeszcze myśli, że ktoś ją zatrzyma przemocą! Idźże sobie, dziewczyno, jeśli chcesz. Nikomu na tobie tak znów nie zale-

ży!

– Jeśli tak, zostaję! – odpowiadała mała przekora i wyciągała się na pościeli, znużona wy-siłkiem.

Jednakże leniuchowanie takie trwało zaledwie kilka dni. Nasycona snem, nie mogła potem usiedzieć spokojnie ani chwili. Biegała po całych dniach z pokoju do pokoju, na pół ubrana, w pantoflach siostry, za dużych na jej bosc nóżki, w peniuarze Anetki zarzuconym niby toga, z nagimi ramionami i łydkami, i ciekawie przypatrywała się wszystkiemu. Nie miała zbyt głębokiego zrozumienia dla słowa „twoje” (słowo „moje” rozumiała znacznie lepiej), a że Anetka jej powiedziała: „Jesteś u siebie” – więc wzięła te wyrazy dosłownie. Wścibiała wszędzie nasek i musiała wypróbować wszystko. Chlapała się całymi godzinami w łazience, nie zostawiła kącika bez zlustrowania, a Anetka zastała ją pewnego dnia nad swymi papierami, które zresztą rychło Sylwii znużyły. Osłupiała ciotka przyjęła z poddaniem inwazję ma-

łej ciekawskiej, nader skąpo ubranej, która obejrzała wszystkie jej meble, poprzestawiała wszystkie przedmioty, nagadała wiele słodkich słówek właścicielce, śledzącej z niepokojem każdy jej ruch, i zostawiwszy po sobie ogromny nieład, ruszyła dalej, pozostawiając starą pannę przerażoną i zachwyconą.

Cały dom rozbrzmiewał teraz nie kończącą się paplaniną, gadaniem bez sensu, bez ładu ni składu. Przyjaciółki rozmawiały bez końca, po całych godzinach i dniach, bez względu na miejsce czy ubiór, siedząc z grzebieniem w ręku na poręczy fotela i rozczesując włosy, przy-stając nagle na stopniu schodów czy wreszcie rano, wychodząc w szlafroku kąpielowym z łazienki. Rozmawiały tak zapamiętale, że zapominały o spaniu; ciotka daremnie protestowała, pokaszliwała, stukała w sufit, one zaś, dusząc się od śmiechu, usiłowały przyciszyć głosy. Ale już po pięciu minutach... pafl! rozlegał się ponownie flecik Sylwii i słyhać było okrzyki rado-

ści lub oburzenia, wydawane przez Anetkę, która zawsze dawała się wciągnąć opowiadaniom małej spryciary. Pewnego razu ciotka zaczęła stukać z rzeczywistym już gniewem, i musiały usłuchać, ale minął jeszcze jakiś czas, nim się rozebrały. Sypialnie sąsiadowały z sobą, drzwi były otwarte, obie przekraczały nieustannie granice swych terytoriów i rozmawiały to w spódnicach, to bez nich i niezawodnie wiodłyby dalej dysputę z łóżka do łóżka, gdyby całej tej paplaninie nie kładł nagle kresu zdrowy sen młodości, który rzucał się na nie niby jastrząb na kurczę. Padały tedy na poduszki wpół zdania, z otwartymi ustami. Anetka miała sen ciężki, często niespokojny, burzliwy, pełen zwidzeń, miotała się po pościeli, mówiła przez sen, ale nie budziła się. Sylwia spała lekko, z cicha chrapiąc (gdyby jej ktoś o tym powiedział, przybrałaby wyraz urażonej godności), budziła się, rozbawiona nadśluchiwała mamrotania siostry, czasem wstawiała i podchodziła do jej łóżka patrząc na Anetkę, która leżała pod uniesioną skurczonymi nogami kołdrą. Nachylona nad nią w świetle lampki nocnej (Anetka spać nie mogła bez światła), Sylwia, zaciekawiona, śledziła grę uczuć na twarzy uspiętej, pogrążonej w oceanie snów, siostry. Rysy jej były jakby grubsze, obrzmiała twarz dziwnie namiętna, czasem tragiczna. Wydawała się Sylwii nieznana...

„Czyż to Anetka? Moja siostra?” – pytała, ogarnięta chęcią nagłego obudzenia śpiącej ob-jęciem jej

za szyć i słowami: „Wilk idzie!”

29

Zbyt jednak pewna była istnienia owego wilka, aby czynić próbę. Sylwia, mniej czysta, ale normalniejsza od swej niebezpiecznej przyjaciółki, igrała z ogniem nie parząc się wcale.

Przyglądały się sobie wzajemnie przy ubieraniu i rozbieraniu, porównując z zaciekawieniem. Anetka miewała czasem napady odruchowej wstydlivosti, z których śmiała się Sylwia, swobodniejsza i zarazem znacznie prostsza w tych sprawach. Anetka często wydawała się zimna, niemal odpychająca, niekiedy bez przyczyny wybuchała gniewem lub płaczem. Niewiele zostało z owego zrównoważenia właściwego jej przodkom, lyończykom, z którego była ongiś tak dumna; przy tym, co najważniejsze, nie żałowała tego wcale.

Zwierały się sobie teraz z rzeczy bardzo intymnych, tak iż trudno by wszystko powtórzyć.

Kochające się dziewczęta dochodzą w rozmowach do wyznań nader śmiałych, które zachowują wprawdzie w ustach każdej z nich ton półniewinny, utraciłyby go jednak powtórzone przez kogokolwiek innego. W rozmowach ich przejawiały się różnice dwu charakterów: –

niefrasobliwy, dobroduszny, spokojny amoralizm jednej, namiętna, niepokojąca, jakby naładowana elektrycznością powaga drugiej. Czasem zdarzały się starcia: Anetkę gniewała swoboda, łakomstwo i świadoma rozwiązłość, z którymi Sylwia mówiła o sprawach miłosnych.

Śmiała w duszy, Anetka była powściągliwa w słowach, zdawało się, że lęka się usłyszeć to, co myśli. Czasem zamykała się niespodzianie w zaciętym milczeniu, dlaczego, sama nie pojmowała. Sylwia rozumiała to znacznie lepiej i przez dwa tygodnie wspólnego życia poznała Anetkę dokładniej, niż Anetka znała siebie samą.

Sylwia umysłowo nie przekraczała jednak poziomu przeciętnej sympatycznej dziewczyny z ludu paryskiego. Była praktyczna i rozsądna, ale nie wyciągała wszystkich korzyści z tych zalet, gdyż najczęściej wolała iść za własną zachcianką. Na ogół nie wychodziła poza poziom swojej sfery. Wszystko ją zajmowało, ale nic nie interesowało do głębi poza modą, głębi tej wszak nie posiadającą. Nie sięgała poza przeciętność, nie dosięgała jej nawet często, o ile Szło o obrazy, muzykę czy książkę. Anetkę raziły nieraz jej upodobania. Spostrzegając to Sylwia wykrzykiwała:

– Och! Znowu strzeliłam bąka... Powiedz mi, co się nosi w świecie wyższym? (Wyrażała się o obrazie tak jak o kapeluszu.) Powiedz mi, co trzeba podziwiać, a będę to czyniła równie dobrze jak inni.

Niekiedy jednak nie była tak zgodna i staczała boje o jakiegoś bohatera odcinka powie-

ściowego lub broniła ckliwego romansu, uważając go za najszczytniejszy wyraz sztuki czy uczucia. Pod jej wszakże wpływem Anetka odkryła wartość artystyczną, a raczej zapowiedź

tej wartości, w filmie, za którym Sylwia szalała, a który dotychczas Anetka, nie znając, uparcie potępiała.

Zdarzało się też czasem, że niezdolna odczuć piękna czytanej wspólnie książki, Sylwia pojmowała lepiej siłę pewnych kart, których przedziwna prawda odstręczała Anetkę, a to dlatego, że młodsza siostra lepiej znała życie, ową księgę ponad wszystkie księgi. Nie odczyta jej każdy, kto zechce. Nosimy ją w sobie zapisaną od pierwszej do ostatniej kartki, ale chcąc ją odczytać, należy nauczyć się jej języka od srogięgo mistrza zwanego doświadczeniem.

Sylwia bardzo wcześnie zaczęła lekcje, czytała tedy biegle, Anetka zaczynała późno, ale nauka miała za to przeniknąć w nią o wiele głębiej.

Lato tego roku było niezmiernie upalne i już w połowie sierpnia w ogrodzie poschły liście drzew, Sylwia zaś w parne noce chciwie chwytała ustami każdy powiew wiatru. Przyszła do siebie, ale była jeszcze blada i nie miała apetytu. Zawsze jadła niewiele i gdyby to od niej zależało, chętnie poprzestałaby na porcji lodów czy kilku owocach zamiast obiadu. Ale Anetka czuwała... Anetka gniewała się... Miała teraz sporo zajęcia, ponieważ postanowiła wreszcie 30

wyjazd w góry, odkładany z tygodnia na tydzień z uboczną myślą, że się bez niego obejdzie.

Na całe lato chciały mieć siostrę wyłącznie dla siebie.

Udały się do pewnej miejscowości klimatycznej w kantonie Graubunden, znanej Anetce z dawnego pobytu jako cichy zakątek wiejski starej Szwajcarii, gdzie znajdował się przyzwoity skromny hotel. Ale w ciągu kilku lat wszystko się zmieniło: znalazły się w wielkim, rojnym hotelu w miejscowości pełnej pretensjonalnych willi. Łąki pocięto szosami, a z głębi lasu dolatywał zgrzyt tramwaju. Anetka chciała uciekać, lecz były zmęczone długą podróżą w skwa-rze, nie wiedziały, dokąd jechać, i miały ochotę wyciągnąć się bez ruchu i odpocząć, powietrze zaś, mimo wszystkich zmian, zachowało swą krystaliczną czystość. Sylwia smakowała je, niby lody zajadane w Paryżu na stojąco pośród zgiełku ulicy z miseczki wędrownego przekupnia. Powiedziały sobie, że zabawią kilka dni, aż miną upały, potem przywykły i dalszy pobyt nabrał dla nich uroku.

Sezon był w pełni; turniej tenisowy ściągnął wesołą młodzież trzech czy czterech narodowości, odbywały się bale i przedstawienia amatorskie. Brzękliwy rój tłoczył się, flirtował i jaśniał całym swoim blaskiem. Anetka obeszlaby się bez tego, ale Sylwia bawiła się szczerze, a radość jej udzieliła się siostrze. Obie miały dobre humory i nie było powodu stronięcia od rozrywek odpowiednich dla ich wieku.

Młode, wesołe, pociągające, zupełnie różne, niebawem zgromadziły wokół siebie mnó-

stwo osób. Anetka promieniowała pięknnością, gdyż dla jej urody szczególnie korzystna była pełnia słońca i uprawiane na otwartym powietrzu sporty. Silna, dobrze zbudowana, zamiłowana w wycieczkach pieszych i grach ruchowych, była w tenisie pierwszorzędną partnerką o pewnym oku i elastycznych ruchach, a wprawna jej ręka miotła błyskawiczne riposty. Zazwyczaj powściągliwa w gestach, w momentach decydujących miała niezwykły rozmach i uderzenie gwałtowne jak piorun. Zachwycona Sylwia klaskała w ręce patrząc na jej grę, była dumna z siostry i podziwiała ją tym

bardziej, że sama czuła się niezdolna do naśladowania. Ta wiotka paryżanka nie miała najmniejszych zdolności do gier sportowych i nie znajdowała w nich wielkiego uroku. Za dużo wymagały ruchu, uznała tedy, że przyjemniej, a przede wszystkim roztropniej, zostać widzem; zresztą czasu nie marnowała...

Otoczona małym dworem, królowała tak, jakby przez całe życie nie robiła nic innego.

Sprytna dziewczyna umiała podpatrywać światowe damy i wybierać to, co w ich zachowaniu było wykwintne, ponętne a błyskotliwe, i łatwe do naśladowania. Z miną obojętną, rozkosznie roztargniona, bacznie śledziła wszystko i nic nie uchodziło jej uwagi. Najlepszym jej wzorem była wciąż Anetka, którą z bezbłędnym instynktem nie tylko naśladowała w licznych szczegółach, ale nadawała tej kopii różne warianty, w pewnych wypadkach przechodząc nawet do czegoś wprost przeciwnego, mianowicie wtedy, gdy chciała wydać się nie całkiem poprawną, co stanowiło jeden więcej wyrafinowany urok. Większą jeszcze inteligencję okazywała w nieprzekraczaniu granic terytorium, po którym stąpała pewną stopą. Tutaj zaś zachwycała wprost sposobem bycia, postawą i tonem, była pełna wytworności podkreślonej odrobiną ekstrawagancji. Anetka śmiała się mimo woli, słysząc, jak Sylwia z zachwycającym tupetem wyklada swemu dworowi to, co zasłyszała od niej dnia poprzedniego. Sylwia rzucała jej fi-glarne spojrzenie i śmiała się także. Nie trudno byłoby ją, co prawda, w rozmowie zapędzić w kozi róg, bo mimo sprytu i doskonałej pamięci musiałyby zdradzić się z nieuctwem, ale nie dopuszczała do tego, znając swoje możliwości i dobierając umiejętnie partnerów.

Byli to przeważnie młodzi sportsmeni cudzoziemscy, Anglosasi i Rumuni, wrażliwsi na błędy gry niż na błędy języka. Ulubieńcem małego kółka kobiecego był pewien Włoch, no-szący dźwięczne nazwisko starej rodziny lombardzkiej (wymarłej zresztą od wieków, ale nazwisko, jak wiadomo, nigdy nie umiera). Należał on do typu znanego pośród modnej młodzieży, związanego raczej z epoką niż z rasą; składa się nań Amerykanin z Fifth Avenue i kondotier quattrocenta⁴. Połączenie to wytwarza postaci o sylwetce dość imponującej, choć w 4 Quattrocento (wł.) – wiek piętnasty.

31

stylu teatralnym. Tullio był pięknym chłopcem – wysoki i zgrabny, dobrze zbudowany, o wydatnym torsie i szczupłych biodrach, miał okrągłą głowę, wygoloną twarz, ciemne włosy i płomienne oczy, duży zdobywczy nos, nozdrza sinawe i mocne szczęki. W zachowaniu jego wyniosłość łączyła się z unieżoną kurtuazją i sporą dozą brutalności. Był typem mężczyzny, któremu nie sposób się oprzeć, a serca kobiece padały mu do stóp. Nie schylał się jednak po nie, czekając, aż mu je złożą w ręce.

Może dlatego właśnie, że Anetka nie ofiarowała mu swego serca, pierwszy zwrócił na nią uwagę. Jako mistrz tenisa, ocenił w pełni walory fizyczne silnej dziewczyny, a w rozmowie przekonał się, że mają oboje i inne wspólne sportowe upodobania, na przykład jazdę konną i żeglarstwo, uprawiane przez Anetkę namiętnie, jak zresztą wszystko, co robiła. Długi jego nos wyczuł nadmiar energii wypełniający to dziewicze ciało. Zapragnął jej. Anetka dostrzegła jego żądzę, zraniło ją to i podbiło jednocześnie. Silne potrzeby zmysłowe, hamowane przez tyle lat spędzonych na poły w zamknięciu, rozpromieniły się teraz w żarze wspaniałego lata, wśród młodzieży myślącej tylko o użyciu, wśród podniecającej atmosfery gier fizycznych.

Ostatnie tygodnie przepędzone z Sylwią, swobodne słowa siostry, przepajająca Anetkę nadmierną czułość, wszystko to zmąciło jej naturę, której możliwości znała tak mało i tak mylnie.

Dom źle był strzeżony przed atakiem zmysłów i po raz pierwszy Anetka poczuła ukąszenie namiętności płciowej. Zawstydziała się i rozgniewała, jakby ją spoliczkowano, ale pożądanie nie znikło. Miast cofnąć się, stawiała mu czoło, chłodna i dumna, z drżącym sercem. Tullio zaś pokrywając, jak zawsze, zupełną obojętnością drapieżną żądzę, rozgorzał tym więcej, że spostrzegł, iż Anetka go rozumiała i stawia opór. Rozpoczęły się nowe zawody, inaczej pasjonujące niż poprzednie. Przyszło do ciężkich zmagañ, padły groźne ciosy, a na zewnątrz nie było nic widać. Tullio schylał się z męską uprzejmością, by ją pocałować w rękę, a ona uśmiechała się z dumnym wdziękiem, czytając w jego oczach:

„Będziesz moja!”

Zaciśnięte jej wargi odpowiadały:

„Nigdy!”

Sylwia spojrzeniem rysia śledziła pojedynek: bawił ją, a przy tym nabrała ochoty, by wziąć w nim udział. Jaki? Nie wiedziała dobrze... Pragnęła się zabawić... dopomóc Anetce... oczywiście. Chłopak był śliczny, Anetka także. Jakże upiększało ją każde silne uczucie! Ta duma płomienna, to czoło młodego byka gotującego się do walki, te fale nagłych rumieńców lub nagła bladość. Sylwii zdawało się, że widzi dreszcze przebiegające jej ciało. On zaś zapalił się do tej gry...

„Nic z tego, chłopcze... – myślała – nic! Nie zdobędziesz jej wbrew jej woli, a nie wiadomo, czy chce, czy nie! Zdecydujże się, Anetko! Jest twój, skończże już z tym! Głupia dziewczyna, nie wie o niczym... Ano, trzeba jej dopomóc.”

Zaznajomili się wychwalając razem Anetkę. Podziwiali ją oboje. Włoch był ostatecznie podbity. Uradowana, z rozbłysłymi oczami, Sylwia rozplýwała się w zachwytach nad siostrą i czyniła to bardzo zręcznie. Również zręcznie jednak uzbroiła się we wszystkie swoje powaby, a gdy raz zaczęła grę, nic jej już powstrzymać nie było w stanie. Daremnie tłumaczyła sobie sama:

„Daj temu spokój, dość już, idziesz za daleko.”

Temperament ją ponosił, musiała mu być powolna. To było tak zabawne! Oczywiście, ten idiota zapalił się od razu. O, jakże głupi są mężczyźni! Myślał, że wdzięczy się doń dla jego pięknych oczu... Co prawda, piękne to były oczy... Cóż teraz uczyni ryba pośród dwu haczyków? Czyżby miał ochotę połknąć obie przynęty? Na którą się zdecyduje? Dalejże, chłopcze, wybieraj!

Nie uczyniła nic, by mu wybór ułatwić, nie cofnęła się poza Anetkę, a Anetka tym bardziej nie ustępowała. Od tej chwili instynktownie zdwoiła wysiłki, by usunąć Sylwię. Siostry kochały się czule, Sylwia była równie dumna z pochwał oddawanych Anetce jak Anetka z wra-

żenia, które czyniła Sylwia. Doradzały sobie wzajem, baczyły na szczegóły stroju. Wiedziały doskonale, jak kontrastowaniem podnosić wzajemne zalety, toteż wieczorami w hotelu przyciągały

wszystkie spojrzenia. Ale mimo zadowolenia, które im to sprawiało, spojrzenia owe wywołały pomiędzy nimi rywalizację. Daremnie się broniły, mimo woli podczas tańca szacowały wzajem swoje sukcesy, a zwłaszcza powodzenie u tego, który je zajmował stanowczo dużo więcej, niżby chciały... Zajmował właśnie od chwili, kiedy przestał wiedzieć, która go więcej pociąga. Anetka na widok zainteresowania się Tulią siostrą zaczynała doznawać nieokreślonej przykrości. Obie tańczyły dobrze, a każda w inny sposób. Anetka starała się, ile sił, wziąć górę i w oczach znawców odnosiła zwycięstwo, ale mniej poprawna Sylwia zachowywała więcej swobody i gdy tylko zrozumiała zamiary Anetki, stała się tak czarująca, że nie sposób jej się było oprzeć. Tullio uległ i Anetka z bólem spostrzegła, że jest opuszczona.

Przetańczywszy z sobą szereg tańców Tullio i Sylwia wyszli rozmawiając i śmiejąc się we-soło. Była piękna letnia noc. Anetka nie mogła się opanować i również opuściła salon. Nie mając odwagi iść za nimi w głąb ogrodu, postanowiła przynajmniej patrzeć na nich z oszklonej galerii przy wejściu i rzeczywiście dostrzegła w alei pochyloną ku sobie i całującą się parę.

Ból ten był jednak niczym wobec tego, który niebawem miał ją spotkać. Gdy wróciła do siebie i usiadła w ciemności, po chwili weszła Sylwia, bardzo ożywiona. Krzyknęła znalazł-

szy Anetkę samą, siedzącą przy zgaszonym świetle, pogładziła jej rękę, ucałowała policzki i zasypała tysiącnymi, jak zwykle, serdecznościami. Anetka powiedziała, że dostała nagle migreny, musiała tedy opuścić zabawę, i spytała siostrę, jak spędziła resztę wieczoru i czy była na przechadzce z Tulliem. Sylwia odrzekła z naiwną miną, że nie była i że nie wie, co się z Tulliem stało. Dodała, że Tullio zaczyna ją nudzić, że nie cierpi zbyt pięknych męż-

czyn, że jest pyszałkowaty i niezbyt mądry. Powiedziawszy to poszła spać, nucąc półgłosem walca.

Anetka nie mogła zasnąć. Sylwia natomiast spała świetnie, nie wiedząc, jaką rozpętała burzę. Anetka stała się łupem spuszczonej z uwięzi demonów; to, co zaszło, stanowiło katastrofę – i to podwójną. Sylwia była jej rywalką. Sylwia kłamała. Sylwia, jej ukochana siostra, jej radość i wiara!... Wszystko runęło. Nie mogła jej już kochać... Nie kochać? Czyż było to możliwe? O, jakże ta miłość zakorzeniła się w niej... Głębiej, niż przypuszczała!... Czyż jednak można kochać kogoś, kim się pogardza? Niczym byłaby jeszcze zdrada siostry... Gorsza rzecz to, to... no, cóż? Szło o tego mężczyznę, którego Anetka nie szanowała, nie kochała... a pokochała teraz... nie, nie... którego pożądać zaczęła. Zazdrość i duma gorączkowo domagały się, by za wszelką cenę odebrać go „tamtej”, a przede wszystkim nie dać go sobie tamtej wydrzeć („tamta”, oto czym stała się Sylwia dla siostry!...).

Anetka tej nocy ani na godzinę nie zmrużyła oka. Pościel parzyła jej ciało. Z drugiego łóżka dolatywał cichy oddech niewinnego snu.

Kiedy rankiem spotkały się twarzą w twarz, Sylwia spostrzegła zaraz, że wszystko się zmieniło, lecz nie mogła odgadnąć przyczyny. Anetka miała oczy podkrążone, była blada, twarda, dumna, ale przedziwnie piękna (piękniejsza i brzydsza jednocześnie, jak gdyby na jakieś wezwanie podniosły głowę wszystkie tajne moce jej duszy). Zbrojna w pychę, zimna, wroga, zamknięta w sobie, patrzyła i słuchała Sylwii plotącej, jak zwykle, głupstwa, ledwo się z nią przywitała i wyszła z pokoju...

Szczębiot Sylwii urwał się w pół słowa. Wyszła również i ujrzała Anetkę schodzącą na dół.

Teraz rozumiała. Anetka spostrzegła Tullia siedzącego w hallu i podeszła prosto do niego.

I on rozumiał, że sytuacja uległa zmianie. Anetka siadła przy nim i zaczęli rozmawiać o rzeczach banalnych. Trzymając sztywno głowę patrzyła przed siebie pogardliwie, unikając jego oczu. Ale nie miał wątpliwości, że właśnie w niego wpija wzrok. Spojrzenie jej, skryte pod niebieskawymi powiekami, jakby dla ucieczki przed zbyt jaskrawym światłem, pytało:

„Czy chcesz mnie?”

33

Zadowolony, opowiadał jakąś błahą historyjkę patrząc na swe paznokcie, a jednocześnie śledził spod oka, niby tygrys, całe jej pełne pożądania ciało. Pytał w milczeniu:

„Więc i ty chcesz?”

„Chcę, byś mnie pożądał!” – brzmiała odpowiedź.

Sylwia nie wahała się ani chwili. Okrążywszy hall zbliżyła się, wzięła krzesło i usiadła pomiędzy Anetką a Tulliem. Gniew Anetki przejawiał się jednym jedynym spojrzeniem, ale to starczyło: był to strzał pogardy prosto w oczy Sylwii. Ona zatrzepotała rękami, udając, że nie widzi, ale najeżyła się jak kotka pod wpływem prądu elektrycznego. Uśmiechnięta, czekała sposobności, by ugryźć. Tych troje zaczęło pojedynek, pokryty pozorną słodyczą słów. Anetka udając, że nie widzi obecności siostry, nie licząc się z jej słowami, rozmawiała ponad jej głową z Tulliem, bardzo zmieszany, czasem zaś zmuszona słuchać wygadanej spryciary, podkreślała uśmiechem lub ironicznym słowem ten i ów z rozlicznych błędów językowych, których mała kumoszka nie mogła dotąd, mimo całej zręczności, wypłenić z ogródka swej konwersacji. Śmiertelnie dotknięta, Sylwia przestała widzieć przed sobą siostrę i widząc tylko rywalkę pomyślała:

„Odpląć ci z nawiązką!”

Warga jej uniosła się w górę, drgnęła drapieżnie i w myśl zasady: ząb za ząb, oko za oko...

nie, dwoje oczu za jedno!... Sylwia rzuciła się w bój. Jakże nierozważna była Anetka! Sylwia nie krępowała się, jak ona, dumą, a każdą broń uważała za dobrą. Anetka, opancerzona pychą, sądziłaby, że jest poniżona, gdyby Tullio dostrzegł bodaj cień jej pożądania. Sylwia nie dbała o podobne skrupuły i postanowiła zagrać mu piosenkę najbardziej pochlebną.

„Co wolisz? – myślała. – Czy wspaniałą pogardę, czy miły podziw?” Znała mężczyznę, owo próżne zwierzę, a Tullio był szczególnie wrażliwy na kadzidła.

Toteż dała mu ich do syta. Z naiwną i pełną spokoju bezczelnością mała spryciara wyliczała doskonałości ciała, ducha i stroju młodego Gattamelaty⁵ z Palace-Hotelu. Położyła zwłaszcza nacisk na strój, gdyż jak sądziła, na tym mu najbardziej musiało zależeć. Lubił wszelkie hoł-

dy, to pewne, ale nie trzeba mu było mówić, że jest piękny – sam o tym wiedział, a zalety ducha gwarantowało jego wielkie nazwisko. Strój zaś stanowił dzieło osobiste, Włoch musiał

być tedy wrażliwy na opinię wytrawnej paryżanki. Sylwia lustrowała go od stóp do głów okiem znawczyni, ubawiona pewnymi dowodami naiwności gustu i jaskrawych zamiłowań, a Anetka rumieniła się ze wstydu i złości. Podstęp siostry wydawał się tak grubo szyty, że pytała w duchu:

„Czyż możliwe, aby to zniósł?”

Ale zniósł wyśmienie i nawet rozanielił się. Przeszedłszy stopniowo od pomarańczowej krawatki do blado fioletowego paska i złotozielonych skarpetek, Sylwia zamilkła, przyszła jej bowiem doskonała myśl. Zachwycając się pięknymi liniami nóg Tullia (z których był bardzo dumny) pokazała swoje, w istocie prześliczne. Z łobuzerską kokieterią odkryła nogę po kolano i zbliżyła do jego nogi, niby to porównując, potem zaś zwróciła się do Anetki, rozpartej z pogardliwą miną w swym fotelu, i powiedziała z rozkosznym uśmiechem:

– Pokaż i ty swoje, kochanie!

Błyskawicznym ruchem odsłoniła je, ukazując grubawe kostki i całe nieco ciężkie kolumny nóg starszej siostry. Trwało to zaledwie dwie sekundy, Anetka wyrwała spódnice ze zło-

śliwych pazurków, które cofnęły się zadowolone: Tullio już zobaczył...

Nie poprzestając na tym, przez cały ranek wymyślała różne tego rodzaju porównania, na pozór mimowolne, na których jednak Anetka nie najlepiej wychodziła. Pod pozorem zasię-

gnięcia cennej opinii Tullia co do bluzki, kołnierzyka czy szarfy zwracała umiejętnie jego uwagę na to, co u niej było piękniejsze niż u siostry. Anetka drżała, udawała, że nie słyszy, 5 Gattamelata Stefano Gkwanni – kondotier włoski 2 XV w. Służył papieżowi Eugeniuszowi IV oraz Wene-cji. W Padwie znajduje się jego posąg konny dłuta Donatella.

34

lecz z trudem panowała nad sobą, by jej nie udusić. Sylwia z niezrównanym urokiem po każdym świństewku posyłała jej całusa, czasem jednak ich spojrzenia krzyżowały się nagle.

Anetki mówiło: „Gardzę tobą!”

Sylwii odpowiadało: „Ha, trudno. Ale on mnie tylko kocha!”

„Nie! Nie!” – wołała Anetka.

„Tak! Tak!” – odpowiadała Sylwia.

Oczy ich rzucały prowokujące błyski.

Anetka nie umiała długo ukrywać wrogości pod uśmiechem, niby węża wśród kwiatów.

Gdyby dłużej trwała na stanowisku, wybuchnęłaby krzykiem. Wstała tedy nagle i zostawiła Sylwii pole. Odeszła z podniesioną głową, rzucając jej ostatnie, pełne wyzwania spojrzenie, przekorne zaś oczy Sylwii odpowiedziały:

„Zobaczymy, kto będzie górą!”

Nazajutrz i dni następnych walka toczyła się dalej, a patrzała na nią galeria rozbawionych widzów; goście hotelowi bowiem zauważyli, co się dzieje. Dwadzieścia par próżniaczych oczu szpiegowało je kpiąco, czyniono nawet zakłady, obie zaś rywalki, pochłonięte swoją grą, przestały zwracać uwagę na innych.

W rzeczywistości nie było to już dla nich grą. Sylwia rozpałała się tak samo jak Anetka, demon zmaćcił i wzburzył ich zmysły. Dumny z niespodziewanego sukcesu, Tullio nie potrzebował podsycać ognia. Był naprawdę piękny, nie brak mu było sprytu, a sam płonął pożądaniem, które wzbudził. Wart był zdobycia i wiedział o tym doskonale.

Siostry-nieprzyjaciółki schodziły się co wieczór w swych pokojach. Nienawidziły się; udawały jednak, że nic o tym nie wiedzą. Sypiając w jednym pokoju, nie mogłyby wytrwać w takiej sytuacji, gdyby milcząco nie uznały, że nie można dopuścić do publicznego skandalu.

Staraly się wracać i wychodzić o różnych porach, unikać rozmów i udawać, że się nie widzą.

Kiedy było to niemożliwe, mówiły sobie obojętnie dzień dobry i dobranoc, jak gdyby nic nie zaszło. Najlojalniej byłoby i najrozsądniej rzecz wyjaśnić, ale nie chciały i nie mogły tego uczynić. Kobieta opanowana namiętnością nie dba o lojalność, a mniej jeszcze o zdrowy rozsądek.

Namiętność Anetki stała się dla niej trucizną. Pewnego wieczoru Tullio, korzystając ze swej przewagi na zakręcie alei gwałtownie pocałował ją w usta. Dumna dziewczyna nie broniła się, lecz pocałunek ów rozpętał w niej burzę zmysłów. Upokorzona i wściekła, walczyła z nią, ale nie umiała się bronić, tym więcej że po raz pierwszy zalała ją ta fala. Biada sercom zbyt pilnie strzeżonym! Gdy się zjawi namiętność, najczystsze staje się najbezbронniejszym...

Pewnej nocy Anetka, trawiona gorączkową bezsennością, usnęła, sama o tym nie wiedząc i sądząc, że wciąż jeszcze czuwa. Zdawało się jej, że leży w łóżku z oczyma otwartymi, ale bez możliwości ruchu, jakby była związana. Wiedziała, że Sylwia udaje tylko, że śpi, a niebawem ma nadejść Tullio. Po chwili usłyszała skrzyp posadzki w korytarzu i ostrożne, skradające się kroki. Ujrzała, jak Sylwia podnosi głowę z poduszki, spuszcza nogi, wstaje i prześlizguje do otwierających się właśnie drzwi. Anetka też chciała wstać, ale nie mogła. Sylwia, jak gdyby coś dosłyszawszy, odwróciła się, przystąpiła do jej łóżka, spojrzała i pochyliła się, by lepiej ją widzieć. Nie wyglądała jak Sylwia prawdziwa, nie była do niej wcale podobna, a jednak była Sylwią i śmiała się złośliwie, odsłaniając dziąsła. Miała długie czarne włosy, proste, twarde i sztywne, które, w chwili gdy się pochyliła, opadły jej na twarz, wciskając się w oczy i usta Anetki. Czuła na języku smak tej szorstkiej grzywy i

jej gorący zapach. Twarz rywalki zbli-

żała się coraz bardziej, wreszcie Sylwia podniosła kołdrę i weszła do łóżka. Anetka uczuła 35

twarde kolano na swym biodrze. Dławiło ją w gardle. Sylwia miała nóż, a ostrze jego dotknęło gardła Anetki, która broniła się krzycząc...

Obudziła się wśród rozrzuconej pościeli; w pokoju panowała cisza. Sylwia spała spokojnie. Anetka, wstrzymując bicie serca, słuchała miarowego oddechu siostry, a przy tym drżała z nienawiści i strachu...

Nienawidziła... Kogóż to nienawidziła? A kogo kochała? Surowo sądziła Tullia, nie szanowała go, bała się nawet i nie miała doń wcale zaufania. A mimo to dla tego człowieka, przed dwoma tygodniami nieznanego i który był jej niczym, gotowa była nienawidzić tę, któ-

ra była jej siostrą, którą kochała najgoręcej, tę, którą kochała dotąd... (nie... tak... której nigdy kochać nie przestała!). A przecież poświęciłaby natychmiast dla tego człowieka resztę swego życia. Ach... jakże to możliwe, jak możliwe?...

Ogarniała ją trwoga, ale tylko mogła stwierdzać potęgę szaleństwa. W pewnych chwilach błysk zdrowego rozsądku, poryw ironii, nawrót fali dawnej czułości dla Sylwii unosił jej głowę ponad prąd. Ale starczyło jedno zazdrosne spojrzenie, widok Tullia szepczącego z Sylwią, aby zapadła znowu w otchłań.

Najwyraźniej przegrywała i dlatego właśnie wzrastała jej namiętność. Była niezręczna, nie umiała ukrywać ran zadanych swej godności. Tullio, jako łaskawy książę, zgodziłby się nie czynić wyboru między nimi i rzucił obydwom chustkę. Sylwia podniosła ją natychmiast bez żadnych fochów, rezerwując sobie na potem wyuczenie Tullia, by tańczył, jak mu zagra. Nic sobie nie robiła z tego, że ten Don Juan uszczknie zapewne parę jagódek z winnicy Anetki.

Nawet gdyby się to jej nie podobało, nie okazywałaby niezadowolenia. Wszakże można udawać... Anetka była do tego niezdolna, nie uznawała podziału i zbyt wyraźnie dawała do zrozumienia, jaką odrazę czuje do podwójnej gry Tullia.

Tullio stawał się wobec niej coraz chłodniejszy. Owa powaga namiętności wprawiała go w zakłopotanie i nudziła. W miłości odrobina powagi jest dobra, ale nadmiar czyniłby z uczucia pańszczyznę, a nie przyjemność. Wyobrażał sobie namiętności pod postacią primadonny, któ-

ra skończywszy swą wielką cavatinę⁶ zwraca się z wyciągniętymi ramionami do słuchaczy i składa ukłon. Namiętność Anetki zdawała się nie wiedzieć o istnieniu publiczności, grała tylko dla siebie i dlatego grała źle...

Anetka była nadto prawdziwa, zbyt szczerze namiętna, aby myśleć o przystosowaniu się, o ukrywaniu śladów swych przeżyć i cierpień, o zacieraniu lub łagodzeniu chwilowych niedoskonałości, jak to czyni kilka razy na dzień każda dbała o swą urodę kobieta. Nie wyglądała teraz korzystnie, a gdy uczyła, że poniosła porażkę, stała się nawet zupełnie brzydka.

Sylwia triumfowała i, pewna wygranej, spoglądała na osamotnioną siostrę z pełną zadowolenia ironią, zaprawną odrobiną złośliwości, a w głębi duszy także i politowania...

„Masz, na coś zasłużyła! – myślała. – Samaś tego przecież chciała, czemuż się tedy bo-czysz? Masz minę obitego psa...”

Chwilami miała ochotę pobiec do niej i ucałować ją, ale gdy się tylko zbliżyła, Anetka okazywała jej taką wrogość, że dotknięta tym Sylwia odwracała się do niej plecami, mrużąc:

– Nie chcesz, moja droga? Dobrze! Rób, co ci się podoba, mniejsza z tym! Każdy sobie rzepkę skrobie. Jeśli ta idiotka cierpi, to jej własna wina! Czemuż przyjmuje wszystko z tak śmieszną powagą?

(Wszyscy byli tego samego zdania.) W końcu Anetka wycofała się z walki. Sylwia organizowała z Tulliem wieczór żywych obrazów, w których miała uczestniczyć, ukazując wszystkie swe powaby i kilka innych w dodatku. Ta mała czarodziejka paryska potrafiła przy pomocy kilku szmatek przeistaczać się, tworzyć sobowtóry piękniejsze jeszcze od oryginału, które jednak dopełniając jej uroków czyniły oryginał stokroć bardziej uroczym niż one – wszakże wszystkie w nim były zawarte.

Anetka chcąc na tym terenie walczyć z siostrą poniosłaby na 6 Cauattna (wł.) – krótka aria na jeden głos, zwykle jednoczęściowa, odznaczająca się szczególną melodyjnością.

36

pewno klęskę. Wiedziała o tym aż nazbyt dobrze i uznając się z góry za pokonaną usunęła się od udziału w występach pod pozorem niedyspozycji, co zresztą uzasadniał jej obecny wygląd.

Tullio nie nalegał. Odmówiwszy uczuła natychmiast żal, że wyzbyła się wszelkiej broni.

Walka, nawet beznadziejna, zawiera jeszcze nadzieję. Teraz musiała zostawiać Sylwię sam na sam z Tulliem przez dłuższą, część dnia. Umyśliła tedy brać udział w każdej próbie, by im przeszkadzać. Ale stało się przeciwnie, podniecała ich tym bardziej, szczególnie bezwstydną Sylwię, powtarzającą po dziesięć razy scenę porwania zemdlonej odaliski przez bajronowskiego korsarza, który błyskał posępnymi oczyma, zgrzytał zębami, demoniczny i pieszczotliwy, gotów doskoku jak rozżarty jaguar. Grał swą rolę tak, jakby chciał spalić i wymordować cały Palace-Hotel. Sylwia ze swej strony starczyła za dwadzieścia tysięcy hurys drapią-

cych po brodzie proroka w jego raju.

Nadszedł dzień przedstawienia. Anetka ukryła się w ostatnim rzędzie, na szczęście zapomniana przez rozentuzjasmowaną publiczność. Nie mogąc dotrzeć do końca, wyszła udrę-

czona, z głową w ogniu. W ustach czuła gorycz. Przeżuwała swoje cierpienie, wzgardzona namiętność trawiła jej wnętrzności.

Szła przez łąki otaczające hotel, ale nie była zdolna odejść daleko i krążyła ciągle wokół

płonącej światłem sali. Słońce zaszło, zapadł mrok. Zwierzęcym instynktem kierowana, śledziła zazdrośnie te drzwi, którymi zapewne wyjdą oboje, małe drzwiczki pozwalające aktorom bez przechodzenia przez salę dostać się do szatni w skrzydle gmachu. Wyszli rzeczywi-

ście i nie oddalając się bardzo, przystanęli na tonącej w mroku łące. Skryta za kępą drzew, Anetka słyszała nieustanny śmiech Sylwii.

– Nie, nie, nie tej nocy! – mówiła. Tullio nalegał:

– Czemuż to?– Przede wszystkim chcę się wyspać.

– Na sen zostanie jeszcze dużo czasu. – O, nigdy za wiele snu!

– Więc dobrze, jutro w nocy?

– Ani jutro, ani pojutrze! Zresztą w nocy nie jestem sama. Pilnują mnie.

– Więc nigdy?

Na to, zanosząc się od śmiechu, mała szelma odpowiedziała:

– Ależ ja się nie boję światła, wcale! Czyżby pan się obawiał?

Anetka nie mogła słuchać dłużej. Ogarnięta falą wstrętu, wściekłości i bólu, pobiegła przez pola w mroki nocy. Może usłyszeli odgłos jej szaleńczego biegu i szelest gałęzi, które potra-

cała jak uciekające w popłochu zwierzę. Nie troszczyła się o to wcale, było to jej obojętne, uciekała coraz dalej i dalej, nie wiedząc dokąd. Nigdy się tego nie dowiedziała. Biegła w ciemności, jęcząc, biegła może pięć, może dwadzieścia minut, a może godzinę. Nigdy się tego nie dowiedziała. Wreszcie potknęła się o jakiś korzeń i padła jak długa, uderzając głową o pień drzewa. Zaczęła krzyczeć i wyć, jak ranne zwierzę, przyciskając do ziemi usta.

Wokoło niej była noc, niebo bez księżyca, bez gwiazd, czarne, ziemia jakby niema, ani najlżejszego powiewu, ani brzęku owadów. Cicho tylko szemrał strumień po kamykach u stóp sosny, o którą uderzyła czołem, i z dala dolatywał od gardzieli skalnej, przecinającej urwiste płaskowzgórze, groźny pomruk górskiego potoku. Jęk ten łączył się z jękiem zranionej kobiety i zdał się być wiekuistą skargą ziemi.

Jak długo krzyczała, nie myślała o niczym. Konwulsyjne łkanie wstrząsające jej ciałem uwalniało ją od bólu, którego brzemie miażdżyło ją od tyłu już dni. Umysł milczał. Wreszcie, wyczerpana, przestała jęczeć, a cierpienie ducha powróciło. Anetka uświadomiła sobie ponownie, że jest samotna, opuszczona i zdradzona. Myśli jej nie wychodziły poza ten krąg, nie miała sił zebrać ich rozproszonej gromady, nie miała nawet siły wstać. Leżała na ziemi bezwładna. Ach, gdybyż ziemia chciała ją przyjąć!... Huczący potok górski mówił i myślał za nią, chłodził i obmywał jej ranę.

Po jakimś czasie (a musiał on być długi) prostracji i bólu Anetka z wolna podniosła swe zbolące ciało. Stłuczenie czoła dokuczało jej bardzo, ale ten ból fizyczny odwracając myśli 37

sprawiał jej ulgę. Zanurzyła w wodzie podrapane ręce i ochłodziła nimi zranione, palące czo-

ło. Siedziała przykładając mokre dłonie do czoła i oczu, czując, jak przenika ją ta lodowata czystość i chłód. Z wolna stawała się daleka swemu cierpieniu, obcymi oczami patrzyła na swój ból, coraz to mniej rozumiejąc sens tych szaleństw. Myślała:

„Po cóż to? Na co? Czyż warto?”

Potok górski dudnił z oddali:

...Szaleństwo, szaleństwo, szaleństwo... wszystko daremne, wszystko jest niczym...

Anetka uśmiechnęła się z pełnym goryczy politowaniem:

„Czegóżem chciała? Już sama nie wiem! Gdzież jest owo wielkie szczęście? Niech je bierze, kto chce! Nie wzbronię mu wcale...”

Potem nagle zaczęły wracać, niby fale, obrazy owego szczęścia, którego mimo wszystko pragnęła, i gorące tchnienie tych żądz, które ogarnęły i ogarniać będą długo jej ciało, choć rozum im się sprzeciwiał. Śladem wyżłobionym ich twardą ostrogą wlokły się, niby woń stę-

chlizny, uniesienia zazdrości. Wytrzymała ich natarcie, pochylona, milcząca, jakby ugięta uderzeniem skrzydeł przelatującego wichru. Potem, podnosząc głowę, rzekła głośno:

– Nie mam racji... Sylwią bardziej kocha, i to jest słuszne... Ona raczej stworzona jest do miłości niż ja. „Jest piękniejsza, wiem to i kocham ją za to właśnie, że jest taka. Powinnam się więc radować jej szczęściem. Egoistka ze mnie... Ale czemu, czemu mnie okłamywała?”

Wszystko – tylko nie to... Czemu mnie oszukała? Czemu nie wyznała; mi szczerze, że go kocha? Czemu zachowuje się jak wróg? Dużo jest w niej takich cech, których bym widzieć nie chciała, dużo rzeczy nieczystych, niedobrych, niepięknych... Ale to nie jej wina. Czyż wiedziała, co czyni? Jakież było to życie, które musiała wieść od dzieciństwa? Czyż zresztą ja mam prawo czynić jej wyrzuty? Czy byłam szczerą? Czy sama jestem czystsza? Czyż tego samego nie było we mnie... Czyż tego nie ma dotąd? Wiem, że tkwi, że jest... Westchnęła, znużona, potem szepnęła:

– Dość tego! Trzeba skończyć! Jestem starsza, a mimo to bardziej szalona! Niech Sylwia będzie szczęśliwa!

Ale powiedziawszy: „Dość tego!”, siedziała jeszcze chwilę bez ruchu, wsłuchując się w ci-szę i gryząc w zamyśleniu końce podrapanych palców. A potem westchnęła, wstała bez słowa i ruszyła z powrotem.

Wracała nocą. Księżyc jeszcze niewidoczny miał się dopiero ukazać, ale czuło się już, że wschodzi i zaraz wynurzy się zza horyzontu, z przepastnych ciemności. Słaby poblask obrze-

zać zaczął linię szczytów otaczających dolinę niby krawędź pucharu i z minuty na minutę coraz to wyraźniej rysowały się na jaśniejącym tle ich czarne sylwety. Anetka szła nie śpiesząc się, chłonąc zapachy skoszonych łąk w pierś coraz spokojniej oddychającą.

Daleko w mroku posłyszała nagle na drodze szybkie kroki. Zabiło jej serce. Przystanęła.

Poznała, kto idzie, potem ruszyła prędzej na spotkanie. Posłyszano ją naprzeciw, a niespokojny głos zawołał:

– Anetko!

Nie odpowiedziała, nie mogła odpowiedzieć, tak bardzo była wstrząśnięta. Przeniknął ją prąd radości zmywając resztki bólu, unosząc wszystko. Nie odpowiedziała, ale przyspieszyła kroku i szła coraz prędzej. Tamta biegła teraz, powtarzając głosem pełnym trwogi:

– Anetko!

Z rzadziejących już mroków wynurzyła się mała, niewyraźna postać obłana mglistą światłością księżycy, który wznosił się w górę za czarnymi ścianami skał. Anetka zawołała:

– Droga moja!

38

Rzuciła się naprzód, wyciągając ramiona jak człowiek ślepy.

W pośpiechu tęsknoty wpadły na siebie. Porwały się w ramiona. Usta ich spotkały się...

– Moja Anetko!

– Sylwio moja!

– Moje ty kochanie!

– Najdroższa maleńka!

Ręce ich szukały w ciemności policzków, włosów, gładziły kark, szyję, ramiona, brały wzajem w posiadanie skarb utraconej przyjaźni.

– Kochanie! – zawołała Sylwia dotykając obnażonych ramion przyjaciółki. – Ależ ty nie masz płaszcza! Nie masz się czym okryć.

Anetka teraz dopiero spostrzegła, że jest w sukni wieczorowej, i chłód przejął ją dreszczem.

– Szalona jesteś, szalona! – wołała Sylwia otulając szczelnie swoją peleryną, a ręce jej obejmujące siostrę wyczuły, jak zniszczone jest ubranie Anetki. – Suknia podarta!... Coś ty robiła? Co się z tobą działo? Włosy na policzkach. A tu, cóż to masz na czole? Anetko, tyś upadła!

Anetka nie odpowiadała. Stała bezwładnie, z ustami na ramieniu Sylwii, i płakała. Sylwia posadziła ją przy sobie na przydrożnym kopczyku. Księżyc, przekroczywszy wreszcie zaporę gór, oświecił zranione czoło Anetki, którą Sylwia okrywała pocałunkami.

– Powiedz mi, coś robiła? Powiedz, co się stało? Skarbie mój, kruszyno moja, tak niepokoiłam się o ciebie nie zastawszy cię w twym pokoju... Wołałam wszędzie, szukam cię od godziny. Czułam się tak nieszczęśliwa i bałam się, bałam tak strasznie... nie chcę nawet mó-

wić, czego się bałam! Czemu wyszłaś, czemuś uciekła?

Anetka nie chciała odpowiedzieć.

– Nie wiem – szepnęła – czułam się bardzo nieswojo, chciałam... przejść się... odetchnąć...

– Nie, nie mówisz prawdy! Anetko, wyznaj wszystko! – pochyliła się nad nią i szeptała ci-szej: – Serduszko moje, powiedz, może to przez niego... przez tego...

Anetka przerwała:

– Nie, nie!

Ale Sylwia nalegała:

– Nie kłam! Powiedz prawdę, powiedz swojej małej siostrzyczce... To z jego powodu?

Anetka otarła oczy i spróbowała się uśmiechnąć.

– Nie, zaręczam ci... Trochę mi było przykro, przyznaję... Głupia byłam! Ale to już skończone! Cieszę się, że on cię kocha!

Sylwia podskoczyła, klasnęła w ręce ze złością i zawołała:

– A więc przez niego! Otóż wiedz, że ja go wcale nie kocham, nie kocham tego bydlaka!

– Kochasz go!

– Nie, nie, nie! Sylwia tupiała.

– Bawiło mnie wodzić go za nos, robiłam to dla rozrywki, ale jest mi niczym, niczym w porównaniu z tobą...

Ach, pocałunki wszystkich mężczyzn nie warte są jednej twojej łzy...

Anetka zadrżała ze szczęścia:

– Czy to prawda? Czy to prawda?

Sylwia rzuciła się jej w ramiona.

Gdy się nieco uspokoiły, Sylwia powiedziała Anecie:

– Przyznaj teraz, że i ty go także kochałaś!

– I ty? A widzisz, Sylwio, sama przyznajesz, żeś go kochała!

– Nie, przysięgam, zabraniam ci... Nie chcę o tym słyszeć ani słowa! Rzecz skończona, i basta. – Skończona! – powtórzyła Anetka.

39

Wracały drogą skąpaną w świetle księżyca, uśmiechając się do siebie, uszczęśliwione, że się odnalazły.

Nagle Sylwia stanęła i grożąc zaciśniętą pięścią księżycowi, zawołała:

– A, bydlę! On mi jeszcze za to zapłaci! Młodość nie traci nigdy swych praw, przeto obie wybuchnęły śmiechem, rozbawione tą pogrózką.

– Wiesz, co zrobimy? – powiedziała zawzięcie Sylwia. – Oto spakujemy manatki zaraz, natychmiast po powrocie, a jutro, jutro rano uciekamy pierwszym pociągiem. Gdy przyjdzie na śniadanie, nie zastanie nikogo. Ptaszki uciekły... To dopiero będzie!... cha, cha, cha! (par-sknęła śmiechem). Prawda, zapomniałam... Wyznaczyłam mu randkę na dziesiątą, w lesie, na górze... Będzie mnie szukał przez cały ranek...

Śmiała się w najlepsze i Anetka jej wtórowała. Bawiły się doskonale, wyobrażając sobie minę Tullia, oszukanego i wściekłego. Szalone dziewczęta! Troski ich były już daleko.

– Ale mimo wszystko – ozwała się wreszcie Anetka – nie powinnaś się w ten sposób kompromitować, kochanie!

– Ba! Cóż mi to szkodzi? – zaśmiała się Sylwia. – Ja przecież nie zaliczam się do towarzystwa! Tak – dodała, lekko przytrzymując zębami rękę Anetki, która jej dawała żartobliwe klapsy po policzku – powinna bym zachowywać się rozsądniej, teraz, gdy jestem twoją siostrą... Będę rozsądna, przyrzekam ci. Ale przyznaj, siostrzyczko, że ty niewiele lepiej zachowałeś się ode mnie!

– To prawda! – przyznała skruszona Anetka. – Chwilami, wydaje mi się, że nawet gorzej.

Ach – dodała tuląc się silniej do siostry – cóż to za dziwna rzecz: serce. Nigdy nie wiadomo, co w nim się zbudzi i dokąd poniesie...

– Tak! – powiedziała Sylwia ściskając ją. – i dlatego właśnie cię kocham, że twoje serce ponosi cię tak daleko!

Zbliżyły się do hotelu, którego dachy lśniły w promieniach księżyca. Sylwia otoczyła ramieniem szyję Anetki i szepnęła jej do ucha z niezwykłą u niej powagą:

– Siostrzyczko moja! Nigdy nie zapomnę, ile przecierpiałaś tej nocy, ile przecierpiałaś z mojej winy. Tak, tak, nie zaprzeczaj... Miałam czas to zrozumieć, gdy biegałam szukając ciebie, drżąc z obawy, że może stało się jakieś nieszczęście... Gdyby tak było... Nie... Nie wiem, co bym zrobiła... nie wróciłabym już chyba nigdy do domu!

– Droga moja, nie ponosisz winy, nie mogłaś wiedzieć, ile mi sprawisz bólu – odparła wzruszona Anetka.

– Wiedziałam doskonale!. Wiedziałam, że cię ranię, a nawet... słuchaj, Anetko... sprawiało mi to przyjemność.

Serce Anetki ścisnęło się, lecz pomyślała, że i ona niedawno była w takim nastroju, iż radość sprawiłby jej widok cierpienia Sylwii, że gotowa była ranić ją boleśnie. Powiedziała jej to i objęły się silniejszym jeszcze uściskiem.

– Co się z nami dzieje, cóż to znaczy? – pytały się wzajem, zawstydzone, przybite, ale mimo

wszystko uspokojone myślą, że się niczym nie różnią.

– To miłość! – rzekła Sylwia.

– Miłość! – powtórzyła bezwiednie Anetka i dodała z przerażeniem: – Więc to jest miłość?

– I wiesz – pouczała Sylwia – że jeśli się raz zacznie... Anetka protestowała energicznie, oświadczając, że nie chce już kochać.

Sylwia ją wyśmiała, ale Anetka powtórzyła z ogromną powagą:

– Nie chcę! Nie nadaję się do tego!

– Aha! – odparła śmiejąc się Sylwia. – Nic z tego, biedna Anetko! Ty właśnie będziesz kochała przez całe życie, aż do śmierci.

40

Część druga

Pierwsze dni października, szare i łagodne. Nieruchome, bezszmerne powietrze. Ciepły deszcz pada prosto i równo. Gorący i zmysłowy zapach mokrej ziemi, owoców dojrzałych w piwnicach i winogron w tłoczniach...

W willi wiejskiej Rivière'ów w Burgundii obie siostry siedziały przy otwartym oknie naprzeciw siebie i szyły z głowami spuszczone nad robotą, jakby za chwilę miały się zderzyć czołami krągłymi, bez zmarszczki. Obie miały czoła wypukłe, lecz Sylwii było mniejsze, Anetki zaś silniej zarysowane; u pierwszej wyrażało kaprys, u drugiej upór. Koza i młoda jałowica. Ilekroć podniosły głowy, zamieniały porozumiewawcze spojrzenia. Języczki odpo-czywały po wielodniowej paplaninie. Siostry rozmyślały nad tym, co je podniecało, porywa-

ło, rozważały dawniej wyrzeczone słowa oraz wszystko, co wzięły i czego się od siebie nauczyły w dniach minionych. Tym razem bowiem ofiarowywały się sobie całkowicie, chciwe brania i dawania wzajem wszystkiego. Milczały teraz, by móc spokojnie rozmyślać nad ową tajoną zdobyczą.

Daremnie jednak chciały wszystko wiedzieć i osiąść, w rezultacie pozostały dla siebie tajemnicą. Każda istota niewątpliwie jest dla drugiej tajemnicą i to stanowi właśnie jej urok.

Ileż rzeczy w każdej, których druga nie zrozumie nigdy. Wiedząc o tym, mówiły sobie:

– Cóż to znaczy zrozumieć? Zrozumieć to znaczy wyjaśniać. Nie trzeba zaś wyjaśniać, aby kochać.

A jednak ma to wielkie znaczenie, gdyż nie rozumiejąc nie można brać wszystkiego. Przy tym jakżeż one kochały? Nie miały bynajmniej tego samego sposobu kochania. Obie córki Raula Rivière odziedziczyły po ojcu bogatą naturę, ale u jednej objawiała się ona w skupieniu, u drugiej zaś w

ciąglým rozpraszeniu się. Nic zaś nie było tak różne u dwu sióstr jak wła-

śnie miłość. Prześliczna była tkliwość Sylwii, roześmianej, trzpiotowatej, bezczelnej, ale w istocie bardzo rozsądnej; ruchliwość nie przeszkadzała jej zachować kierunku, trzepotała skrzydełkami, ale latała tylko wokół swego gołębnika. W Anetce zaś żył dziwny demon miło-

ści, o którego istnieniu wiedziała dopiero od pół roku; starała się go okiełznać, usiłowała ukryć, gdyż się go lękała. Instynkt mówił jej, że ludzie jej nie rozumieją. Więc Eros był wię-

ziony w klatce, z zawiązanymi oczyma, niespokojny, chciwy i zgłodniały, kaleczył się o kraty i w milczeniu drażył powoli serce, w którym go zamknięto. Nieustanne, płomienne, milczące ukąszenia nieznacznie zaczynały wstrząsać umysłem Anetki, czuła szum bolesnego odrętwienia, nie pozbawionego jednak rozkoszy podobnej do tej, którą pozostawiają pewne niemiłe wrażenia, jak dotknięcie szorstkiej materii lub kanciastego mebla, ucisk bielizny czy chłód chropowatego muru. Żując gorzką korę machinalnie gryzionej gałązki, zatracala chwilami świadomość własnego istnienia i czasu, a owe chwile zapomnienia trwały Bóg wie jak długo, ćwierć sekundy czy godzinę. Budziła się z nich pospiesznie, pełna podejrzliwości i wstydu, czując niedostrzegalne spojrzenie Sylwii, która niby to pracując śledziła ją przekornie spod oka i nie odzywała się słowem. Żadna z nich nawet nie drgnęła; a jednak fale płomieni zalewały policzki Anetki. Sylwia, nie rozumiejąc dobrze, węszyła małym swym noskiem owo życie wewnętrzne drzemiące wśród słońca, życie, które nagłym rzutem cofało się i kryło jak jaszczurka pod liśćmi. Uważała starszą siostrę za dziwaczkę, trochę zblizowaną, inną niż wszyscy... Dziwiły ją w niej nie tyle odruchy namiętności, porywy uczuć i przejścia duchowe, których się domyślała, ile tragiczna wprost powaga, którą Anetka wkładała we wszystko.

41

Tragizm? Ach, cóż za pomysł! Powaga? Cóż po niej? Rzeczy należy brać, jakimi są. Sylwii nie wprawiały w zakłopotanie tysiączne fantazje przelatujące przez jej głowę. Przeleca i znikną. Wszystko, co dobre i miłe, jest proste i naturalne. Tak samo zresztą to, co niedobre i niemiłe. Zresztą, dobre czy niedobre, gwizdź na to, przejdzie i koniec. Po cóż robić tyle cere-gieli. A Anetka! Ileż w niej powikłań! Jaki gąszcz myśli gorących i chłodnych, co za gma-twanina pożądań i strachu, jaki splot namiętności i wstydlivosti nagromadzonych po wszystkich zakamarkach duszy!... Któż ją z tego wyzwoli? Jednak to, że była tak niezwykła, krań-

cowa i niezrozumiała, bawiło Sylwię, intrygowało ją i pociągało, i z tych właśnie powodów kochała siostrę jeszcze bardziej...

Długie milczenie ciężkie było od niepokojących tajemnic. Sylwia wyrywała się z niego gwałtownie, zaczynając pleść trzy po trzy. Paplała prędiutko, cichutko, wetknąwszy nos w robotę, jakby na nią miotała klątwy. Mamrotała litanie drobnych, zwariowanych słówek, nie-artykułowanych, przeważnie zakończonych na „i”, jakieś „kikikiki” zięby trzepocącej się z uciechy. Potem nagle przybierała minkę poważną, jakby chciała pytać: „Kto? Ja? Ależ ja nic nie zrobiłam!” To znów gryząc nitkę nuciła falsetem, przez nos, jakąś arcygłupią romancę, gdzie była mowa o kwiatach lub „ptaszkach-pleciugach”. Na koniec z niewinną minką grzecznego dziecka i z szelmowskim uśmiechem opowiadała dykteryjkę kończąc ją jakimś większym świństwem.

Anetka, na poły rozweselona, na poły gniewna, zachnąwszy się wołała:

– Będziesz ty mi cicho!

Przynosiło im to ulgę. Atmosfera ulegała odprężeniu. Słowa nie mają wielkiego znaczenia!

To dźwięk głosu, podobnie jak ręce, przywraca kontakt. Znów jesteśmy razem. Gdzieśmy byli? Strzeżmy się milczenia! Czy wiesz, dokąd ciebie lub mnie może ono w lot unieść w ciągu jednej sekundy zapomnienia? Mów do mnie. Ja będę do ciebie mówiła. Trzymam cię.

Trzymaj mnie mocno!...

Trzymały się mocno, zdecydowane nie zwalniać uścisku bez względu na to, co by zaszło.

Okoliczności nie mogły zmienić zasadniczego faktu. „Ja jestem ja. Ty jesteś ty. Wymieniamy się.. Na tym koniec! Cofnąć się nie wolno!” Był to podarek wzajemny, milcząca umowa, rodzaj zaślubin dusz, tym donioślejszy, że nie obciążał go żaden przymus zewnętrzny – ni zobowiązanie pisemne, ni sankcja religijna, ni społeczna. Różniły się, ale to nie stanowiło przeszkody. Myli się ten, kto twierdzi, że najtrwalsze związki oparte są na powinowactwie czy też na kontrastach. Tak nie jest, ważny jest akt wewnętrzny, wyrażający się słowami: „Wybór dokonany, chcę i ślubuję. Lecz akt taki musi być mocny i stanowczy, okuty twardą obopólną decyzją, jak to było w wypadku tych dwu dziewcząt o wydatnych czołach. „Posiadam cię i nie w mojej już mocy oddać cię ani siebie odebrać. Poza tym wolno ci kochać, kogo chcesz, czynić, co chcesz, robić szaleństwa, dopuścić się nawet jakiegoś niewielkiego przestępstwa, jeśli masz ochotę (wiem, że nie uczynisz tego, ale mniejsza!...), a wszystko to nie naruszy paktu!” Niechże to kto wytłumaczy! Gdyby skrupulatna Anetka miała odwagę doprowadzić do końca swoje rozumowanie, musiałaby przyznać, że zupełnie nie jest pewna wartości moralnej Sylwii i jej przyszłych czynów. A Sylwia, patrząc jasno, nie byłaby włożyła ręki w ogień, by przysiąc, że Anetka nie uczyni kiedyś czegoś okropnego. Ale to obchodzić mogło ludzi postronnych, nie zaś obie siostry. One obie były siebie pewne i darzyły się nawzajem całkowitym zaufaniem. Reszta świata mogła sobie robić, co się jej podoba. Wszystko, cokolwiek by uczyniły, skoro to nie mogło naruszyć ich wzajemnej miłości, przebaczyły sobie z góry, z zamkniętymi oczyma.

Nie było to może zbyt moralne, ale mniejsza z tym... Znajdzie się jeszcze czas i na moralność.

42

Nieco pedantyczna Anetka, znająca życie z książek, co jej zresztą nie przeszkadzało odkrywać je potem na nowo (bo życie ma zgoła inny ton, gdy się je słyszy poza sferą książki), wspominała piękny wiersz Schillera⁷:

– O synowie moi, świat pełen jest kłamstwa i nienawiści, a każdy siebie tylko kocha. Niepewne są wszystkie węzły, kruchym szczęściem splecione... Co kaprys złączył, drugi kaprys rozłączyć może. Sama tylko przyroda jest szczerą, ona jedynie na fundamentach spoczywa niewstrząśnionych. Wszystko inne zdane na łaskę burzliwych fal... Skłonność daje ci przyjaciela, interes – towarzysza. Szczęsny ten, któremu urodzenie daje brata, we dwu się bowiem wówczas opierać mogą wspólnie walkom i zdradzie tego świata...

Sylwia nie знаła, oczywiście, tego wiersza i byłaby uważała, że zawiera aż nadto słów mętnych, zgoła zbytecznych dla wyrażenia tak prostego uczucia. Patrzyła na Anetkę, która przerwawszy pracę pochyliła czoło. Obserwowała jej silny kark, jej bujne, falą spływające włosy i myślała:

„Znowu marzy moja duża siostra, znowu błądzi w swoim ogródku szaleństw. Ach, czegoż tam nie ma! Na szczęście jestem teraz przy niej! Odtąd nie otworzy go bez mego zezwolenia...”

Młodsza siostra miała nieco przesadne, być może, przekonanie, że posiada więcej zdrowego sensu i doświadczenia. Powiedziała sobie:

„Ja się nią zaopiekuję!”

Powinna była przede wszystkim zaopiekować się sobą. Miała i ona własny ogródek szaleństw. Tylko znała je wszystkie dobrze i traktowała tak jak kamienicznik swych lokatorów.

Dawała im mieszkanie, ale nie darmo... zapłać, a potem rób, co chcesz! Póki szło o nią samą, nie miało to wielkiego znaczenia, była pewna, że zawsze sobie poradzi... Teraz jednak szło o opiekę nad tą drugą, więc było to uczucie nowe i arcyprzyjemne.

Tak, lecz... Anetka, która porzuciwszy robotę siedziała z opuszczoną głową, oddawała się tym samym uczuciom. Myślała:

„Moja mała, szalona siostrzyczko! Szczęściem, przybyłam na czas, by tobą pokierować.” Zaczynała snuć plany – zaiste cudne plany – przyszłości Sylwii, tylko niestety, nie pytała jej wcale o zdanie.

Gdy już każda z nich dostatecznie obmyśliła szczęście drugiej (rozumie się, i swoje też w dodatku), Sylwia zawołała:

– Do licha! Złamałam igłę. I już nic nie widać!

Porzuciły robotę i wyszły razem, by rozprostować trochę nogi. Szły wśród deszczu, okryte jedną peleryną, i dotarły aż do końca ogrodu, pod drzewa rozplakane nad utratą swego listowia. Zjadły kilka winnych gron, tym smaczniejszych, że były mokre, a przez cały czas rozmawiały, rozmawiały... Nagle umilkły, nad słuchując i wdychając wiatr jesienny, woń dojrzałych owoców (chciałoby się to zjeść), zwiędłych liści, senne światło październikowe, ga-snące już o czwartej, milczenie uspiionych pól, wchłaniającą deszcz ziemię i noc...

Szły trzymając się za ręce, marząc, jak marzy pełna drżenia przyroda, w której tętni trwoż-

na a płomienna nadzieja wiosny – zagadka przyszłości...

Zbliżenie owo, które zrodziło się w piękne i mgliste, jakby pajęczyną osnute dni październikowe, stało się im tak niezbędne, że zadawały sobie nieraz pytanie, jak mogły się bez niego obejść dotychczas.

7 Cauattna (wł.) – krótka aria na jeden głos, zwykle jednoczęściowa, odznaczająca się szczególną melodyjnością.

ścią.

43

A jednak obchodziły się dawniej i w przyszłości miały się również obchodzić. Gdy się ma dwadzieścia lat, nie można ograniczyć życia do wyłącznej przyjaźni, choćby najdroższej sercu, zwłaszcza gdy idzie o życie dwu istot tak bujnych. Wabią je szerokie przestwory powietrza. Jakkolwiek silna byłaby wola ich serc, musi przeważyć instynkt lotu. Gdy Anetka i Sylwia tkliwie sobie mówiły:

– Jakżeśmy mogły żyć tak długo bez siebie? – wówczas nie przyznawały się, że: – Prędzej czy później trzeba nam będzie (jakaż szkoda!) żyć jedna bez drugiej, z dala od siebie.

Wszakże jedna nie może żyć zamiast drugiej na jej miejscu i ta druga nawet by tego nie chciała. Zaiste, ich wzajemna potrzeba miłości była bardzo głęboka, ale miały obie potrzebę silniejszą, sięgającą dalej, aż do źródeł ich istoty: obie córki Raula Rivière odczuwały potrzebę niezależności. Mając tyle cech odmiennych, posiadały (a nie było to zgoła pomyślnie) ten właśnie wspólny rys. Wiedziały o tym dobrze, był to nawet jeden z powodów, dlaczego, nie mówiąc o tym, jeszcze więcej się kochały, oto bowiem: rozpoznały się w nim. Cóż tedy znaczyły projekty stopienia ich dwóch istnień w jedno? Gdy snuły marzenia o wzajemnej opiece, każda dobrze wiedziała, że druga nie zgodzi się na to, podobnie jak nie zgodziłaby się ona sama. Było to tklive marzenie, którym się bawiły. Staraly się, by trwało możliwie najdłużej.

Ale długo trwać nie mogło.

Niczym by jeszcze było pragnienie samodzielności, lecz owe dwie małe republiki, zazdro-

śnie strzegące swojej swobody, wyposażone były, jak wszystkie republiki, w bezwiedne instynkty despotyczne. Każda skłonna była prawa swoje, uznane przez nią za dobre, narzucić drugiej. Anetka, zdolna do krytycznej oceny, potępiała siebie zawsze, ile razy wtargnęła na terytorium siostry, ale nadal czyniła to samo. Miała charakter żądny wyłączności, gwałtowny, dążący wbrew jej woli do panowania. Wielka miłość mogła na pewien czas złagodzić jej naturę, ale potem wracała ona do swoich praw. Trzeba zresztą przyznać, że ilekroć Anetka usi-

łowała przystosować się do woli Sylwii, Sylwia wcale jej nie ułatwiała zadania. Postępowała po swej myśli, a myśli tych i zachceń, nie zawsze zgodnych z sobą, jawiło się w jej głowie w ciągu doby więcej, niż doba ma godzin. Dokładna i systematyczna Anetka śmiała się zrazu z tych szalonych kaprysów, potem zaś zaczynała się niecierpliwić. Nazywała siostrę: „Różą wiatrów” lub „Chcę, ale czego?” W zamian Sylwia zwała ją: „Burzą”, „Rozkazniczką” lub też, rozdrażniona jej punktualnością, „Południem o dwunastej”.

Mimo że się kochały, trudno by im było dostosować się na dłużej do jednego trybu życia.

Nie miały podobnych upodobań i nawyków. Kochały się wzajemnie, Anetka więc mogła słuchać pobłażliwie ploteczek przynoszonych przez Sylwię, która wprawdzie doskonale umiała wszystko podpatrzeć i podsłuchać, ale nie umiała równie dobrze opowiedzieć. Sylwia zaś mogła udawać, ukrywając ziewanie („Przestańże! Skończ wreszcie!”), że interesuje się nudną lekturą, której rozkosze Anetka pragnęła z nią dzielić.

Wykrzykiwała więc w czasie wspólnego czytania:

– Ach, jakież to piękne, moja droga! – gdy szło o szczytne myśli na temat życia, śmierci czy społeczeństwa.

(„A to piła! Turlututu! Ileż ci ludzie marnują czasu!” – myślała.)

– Cóż sądzisz, Sylwio? – pytała Anetka. („Gwiżdżę!” – myślała.)

– Sądzę to samo co ty, najdroższa! – odpowiadała. Nie przeszkadzało im to wcale zachwycać się sobą wzajemnie, ale mimo wszystko stanowiło pewną przeszkodę w rozmowie.

Czymże zresztą zapełnić samotne dni w ponurym domu na skraju lasu, w otoku pustych pól, nakrytych pochmurnym nieboskłonem jesiennym, stapiającym się we mgle z nagą równiną?

Sylwia daremnie powtarzała z przekonaniem, że zachwyca się wsią, rychło wyczerpała wszystkie jej uciechy i popadła w stan nudy, zatraciła się w tym otoczeniu i nie wiedziała, co czynić. Przyroda! Przyroda! Bądźmy szczerzy... przyroda ta doprowadzała ją do pasji... do zielonej pasji! Znieść nie mogła drobnych niewygód życia na wsi, wiatru, deszczu i błota (w porównaniu z tym wszystkim błoto paryskie wydawało jej się przyjemne), myszy biegających 44

za starym obiciem, pajaków wracających na zimowe leże w pokojach, a nade wszystko owych ohydnych, brzęczących donośnie komarów, które ucztowały na jej stopach i rękach. Rozdraż-

niona i znudzona, nieraz miała ochotę płakać. Anetka, przeciwnie, w samotni tej rozkoszowała się świeżym powietrzem i towarzystwem ukochanej siostry; niedostępna nudzie, śmiała się z ukąszeń i usiłowała zachęcić Sylwię do długich wędrówek po błocie, nie dostrzegając jej zniechęconej i kwaśnej miny. Upajała się wiatrem i zacinającym deszczem i zapominając o siostrze sadziła wielkimi krokami przez rozmiękłe zagony lub przez lasy, gdzie z potrąconych gałęzi spadały na nią strumienie wody. Często po długim dopiero czasie przypominała sobie o biednej, opuszczonej małej. Tymczasem nadąsana Sylwia przyglądając się w lusterku swojej napuchłej od ukąszeń komarzych twarzyczce, zniecierpliwiona, zadawała sobie pytanie:

„Ach, kiedyż wreszcie wrócimy?”

Spośród tysiąca i jednej zachcianek młodszej siostry jedna była dobra, a przy tym nie przemijająca, pobyt zaś na wsi przydał jej nowych powabów. Sylwia lubiła swój zawód, lubiła naprawdę. Ponieważ wywodziła się z dobrej robotniczej rodziny paryskiej, trzeba jej było pracy, igły i napastrka, aby zająć palce i myśli. Miała wrodzone upodobanie do szycia. Doznawała fizycznej wprost rozkoszy, godzinami obracając w rękach jakąś materię, lekką tkaninę, muślin czy jedwab,

plisując i marszcząc lub jednym niezawodnym ruchem układając wstążki w fantazyjne węzły. Przy tym, chociaż Sylwia, Bogu dzięki, nie łudziła się, iż jej główka-makówka zdolna jest pojąć myśli rodzące się w wielkim mózgu Anetki, to jednak wiedziała dobrze, iż w swoim państwie, w królestwie szmatek, może się poszczycić tylu ideami i pomysłami, że mogłaby je sprzedawać innym. Czy mogła więc z nich zrezygnować?

Zazwyczaj sądzymy, że największą przyjemnością dla kobiety jest nosić piękne suknie. Kobieta naprawdę zdolna doznaje stokroć większej przyjemności mogąc je sporządzać. Raz za-kosztowawszy tej rozkoszy, trudno się bez niej obejść. Podczas gdy piękne ręce Anetki biegały po klawiszach pianina, Sylwia w zaciszu wygodnego lenistwa, gdzie zamknęła ją siostra, tęskniła za zgrzytem wielkich nożyc i łoskotem maszyny do szycia. Oddałaby wszystkie dzieła sztuki za poczciwy manekin bez głowy, który można ubierać wedle własnej fantazji, obracać na wszystkie strony, przed którym można siadać w kucki, maltretować do woli, z którym wreszcie, gdy wyjdzie kierowniczką pracowni, można zatańczyć dokoła sali. Kilka przypadkowych słów pozwalało Anetce odgadywać bez trudu tok jej myśli, a gdy widziała rozbłyśnięcie oczu Sylwii, wówczas niecierpliwiła się, wiedząc na pewno, że znów będzie musiała wysłuchać jakiejś historyjki z pracowni.

Gdy tylko wróciły do Paryża, Sylwia oświadczyła, że wraca do siebie i bierze się do systematycznej pracy. Anetka westchnęła, ale nie była zdziwiona. Sylwią, spodziewającą się sprzeciwu, owo milczące westchnienie wzruszyło bardziej niż jakiegokolwiek słowa. Przybiegła do siedzącej siostry i klękawszy objęła ją w pół, nadstawiając usta do pocałunku.

– Anetko, nie miej mi tego za złe! – prosiła.

– Kochanie – odparła Anetka – wiesz dobrze, że twoje szczęście jest moim!

Ale było jej przykro. I Sylwii także.

– To nie moja wina! – powiedziała. – Wiesz, jak cię kocham.

– Wiem, jestem tego pewna.

Uśmiechnęła się, ale raz jeszcze ciężko westchnęła. Sylwia, wciąż klęcząc, ujęła jej twarz w dłonie i zbliżając do swojej rzekła:

– Zabraniam ci wzdychać... szkaradnico jedna! Jeśli tak będziesz wzdychała, nie będę mogła odejść. Nie jestem katem.

– Nie, nie jesteś katem, kochana. Źle robię, już więcej nie będę... Ale nie chciałam ci robić wymówek, żal mi tylko, że się rozłączamy...

– Rozłączamy się?... Też pomyśl!... Niedobra! Będziemy się widywały codziennie. To ty przyjdiesz, to znów ja przyjdę. Mój pokój zostanie nadal moim. A może przypadkiem chcesz mi go odebrać? O, spróbuj tylko... nie dam! Kiedy się zmęczę, przyjdę tu sobie poleniucho-45

wać. Czasem, któregoś wieczora, kiedy się mnie nie będziesz spodziewać, przylecę nieprzewoźnicie późno, mam klucz, wpadnę i przyłapię cię... Biada ci, jeśli będziesz robiła głupstwa...

Zobaczysz, zobaczysz, pokochamy się jeszcze bardziej, tak będzie jeszcze stokroć lepiej...

Rozłączyć się? Czy sądzisz, żebym się zgodziła, że mogłabym się obejść bez mojej ślicznej Anetki?

– Ty pochlebnie niegodziwa! – odparła śmiejąc się Anetka. – Jak to umie tumanić – Przekłety, mały kłamczuch!

– Anetko, nie klij! Cóż to znowu!

– Więc po prostu kłamczuch. Czy tak wolno?

– No, jeszcze ujdzie! – zgodziła się wspaniałomyślnie Sylwia. Rzuciła się siostrze na szyję ściskając ją do utraty tchu. – Kłamczuch pożre cię teraz! Zemści się!

Tkliwa i sprytna dziewczyna miała inny jeszcze sposób prześlągnięcia Anetki. Poprosiła, by jej pomogła w założeniu własnej pracowni. Ta młódka dwudziestoletnia chciała być panią na swych śmieciach, nie słuchać rozkazów, ale rozkazywać, bodaj manekinowi. Anetka była zachwycona, że może jej dać pieniędzy. Zaczęły wspólnie rzecz obmyślać, dyskutowały zaciekle na temat urządzenia, biegały po całych dniach szukając lokalu, potem kupując meble, potem pilnowały sprowadzania ich, następnie załatwiały sprawę z władzami, a wieczorami spisywały listę klientek, układały przeróżne projekty, i w końcu Anetka doznała złudzenia, że razem z Sylwią zakłada wspólną pracownię. Pod wpływem tej złudy zapomniała, że wkrótce życie ich potoczy się odmiennymi drogami.

Klientki bardzo prędko zaczęły zjawiać się u Sylwii. Anetka składała liczne wizyty de-monstrując piękne toalety będące dziełem młodej mistrzyni, którą wychwalała pod niebiosa.

Udało jej się zwerbować wiele młodych kobiet ze swej sfery na odbiorczynię. Sylwia ze swej strony wykorzystywała bez skrupułów adresy klientek swych dawnych chlebodawczyń. Była jednak rozsądna i nie powiększała zbyt pośpiesznie zakresu swej działalności. Powoli. Życie jest dość długie. Mamy czas... Lubiła pracę, ale nie popadała w manię, jak dużo mrówek ludzkich, zwłaszcza rodzaju żeńskiego, które zabijają się wysiłkiem. Umiała znaleźć czas na przyjemność. Praca to jedna z licznych przyjemności, ale nie jedyna. „Wszystkiego po trochu.” Jej dewizą było jeść niewiele, ale potrawy musiały być smaczne i urozmaicone.

Wkrótce życie jej wypełniło się tak, że niewiele w nim zostało dla Anetki. Sylwia pamię-

tała, cokolwiek się zdarzyło, o należytą siostrze części, ale dla serca Anetki cząstka to było zbyt mało. Nie umiała oddawać się połowicznie, w jednej trzeciej czy czwartej. Teraz miała się przekonać, że świat w uczuciach swych podobny jest do drobnego przekupnia, który sprzedaje na deka. Długi czas nie mogła tego zrozumieć, dłużej jeszcze nie umiała się z tym pogodzić. Były to dopiero jej pierwsze lekcje.

Cierpiała bez słowa, widząc, jak zwolna zostaje wyłączona z życia Sylwii. Sylwia w pracowni nie była teraz nigdy sama, a niebawem i poza nią przestała być sama. Wzięła ponownie kochankę. Anetka

zamknęła się w sobie. Miłość ku siostrze nie dopuszczała teraz zazdrosnej urazy i tak surowego jak niegdyś jej osądzania. Nie chroniła jednak od smutku. Sylwia dostatecznie kochała siostrę, aby mimo lekkomyślności intuicyjnie odczuwać, że sprawia jej ból, toteż wyrwała się często z zawrotnego kręgu swych zajęć, poważnych czy przyjemnych, i nagle, wśród pracy lub miłosnego sam na sam, zrywała się, rzucając wszystkie pilne sprawy, i biegła do niej. Spadał wówczas na Anetkę huragan serdeczności, a w chwilach tych czułość Sylwii nie mniejsza była niż Anetki. Trwało to jednak niedługo, wichur znów porywał Sylwiię, sytą Anetki, do pracy lub w objęcia kochanka. Anetka zaś, wdzięczna za tę zamieć czu-46

tych słówek, szaleńczych zwierzeń, pocałunków i śmiechu, wzdychała ciężko i czuła się bardziej jeszcze samotna i rozstrojona.

Nie brakło jej jednak zajęcia i dni Anetki wypełnione były równie obficie jak Sylwii.

Podwójne jej życie, intelektualne i światowe, przerwane śmiercią ojca, wróciło do dawnego łożyska. Potrzeby umysłu, paraliżowane w roku zeszłym porywami serca, powróciły z większą jeszcze mocą. Chciała zapełnić pustkę spowodowaną nieobecnością Sylwii, a zresztą

– jak to bywa u bogatych natur – inteligencja jej dojrzała pod wpływem przeżyć uczucio-wych; toteż zabrała się do studiów, zdziwiona, że rozumie teraz wszystko jaśniej niż przedtem. Zajęła się biologią i powzięła myśl napisania pracy o źródłach uczuć estetycznych i ich przejawach w przyrodzie.

Wznowiła również stosunki towarzyskie wracając do środowiska, w którym bywała ongiś wraz z ojcem. Sprawiało jej to nową przyjemność, polegającą głównie na zaspokajaniu ciekawości. Umysł jej, sięgający teraz głębiej, odkrywał w osobach znanych rzeczy niespodziane, jakich nie domyślała się dawniej. Wiązały się z tym inne jeszcze przyjemności, odmiennego rodzaju, takie, do których się przyznajemy, i inne, których nie chcielibyśmy wyznać, więc rozkosz podobania się, owe tajemne siły przyciągania (a także odrazy) budzące się w nas i wokół nas, związki magnetyczne powstające pod osłoną złudnych słów a łączące umysły i dusze, głuche instynkty posiadania, co wypływają chwilami na gładką i jednostajną powierzchnię banalnych myśli salonów i nikną potem dla oczu, ale drżą w głębi...

Życie towarzyskie i praca wypełniały niewielką część dnia Anetki. Nigdy nie było gwaru w jej duszy, niż kiedy znalazła się sama. Podczas długich wieczorów i nocy, gdy sen ka-zał duszy powracać do dnia poprzedniego z jego gorączkowymi myślami, podobnie jak cofa-jąca się fala pozostawia za sobą miriady organizmów wydobytych z ciemnych przepaści oce-anu – Anetka obserwowała przyływy i odpływy swego morza wewnętrznego i posiew kieł-

kujący na jego wybrzeżach. Było to wielkie wiosenne zrównanie dnia z nocą.

Znała już część owych sił w niej żyjących ale teraz energia ich wzmożła się dziesięcio-krotnie, umysł zaś uświadamiał je sobie z niezwykłą wyrazistością. Sprzeczność ich rytmów budziła w sercu upojenie i niepokój... Nie podobna było dociec, jaki ład kryje się w tym chaosie. Gwałtowny wstrząs zmysłowy, który jak burza letnia zatargał sercem Anetki, pozostawił

trwałe ślady. Mimo że zatarło się wspomnienie Tullia, równowaga całej jej istoty na długo była zachwiana. Spokojny tok życia i brak wszelkich zdarzeń dawały Anetce złudzenie, że nie dzieje się nic, i chętnie by powtórzyła beztroski okrzyk stróżów nocnych podczas pogodnych nocy włoskich: „Tempo sereno!”⁸Ale po gorącej nocy zrywały się nowe burze, a niepewne powietrze drżało od niespokojnych podmuchów. Wieczysty chaos. Dusze zmarłych ozywając ścierały się bezustannie w tej kształtującej się duszy, Z jednej strony groźne dziedzictwo ojca, żądze, zazwyczaj zapomniane i uspione, powstawały nagle, wynurzając się z głębin jak szlam z dna jeziora. Z drugiej strony siły przeciwne, dumna moralność, umiłowanie czystości i żą-

dza niezależności, której kłopotliwą potęgę odczuła już Anetka w swoim współżyciu z Sylwią. Z niepokojem też przeczuwała tragiczniejsze jeszcze konflikty mające nadejść wraz z miłością. Całe to zmaganie się wewnętrzne zajmowało ją bardzo i wypełniało długie dni zimowe. Dusza, jak chryzalida, osnuta kokonem przyćmionego mgłami światła, marzyła o przyszłości i wsłuchiwała się we własne marzenia...

Czasem traciła nagle grunt pod nogami. Zdarzały jej się takie momenty zaniku świadomo-

ści, jak ostatniej jesieni, w czasie pobytu w Burgundii, gdy chwilami doznawała uczucia, że wpada w otchłań pustki. Pustki? Nie była to pustka, nie wiedziała tylko, co się dzieje tam, w głębi... Coraz częstsze stawały się teraz owe zjawiska dziwne, niedostrzegalne, nie istniejące jeszcze może przed dziesięciu miesiącami, a wywołane, zda się, głównie przełomem uczuciowym ubiegłego lata. Anetka miała niejasne wrażenie, że owe tonie podświadomości rozwierały się także nocą, kiedy spała ciężkim hipnotycznym snem. Wynurzając się z nich wra-8 Tempo sereno (wł.) – pogodny czas.

47

cała skądś z bardzo daleka i nie pozostawało jej żadne wspomnienie. Czowała, nie wiadomo czemu, że działy się tam rzeczy niezmiernej wagi, dotyczące całych światów, rzeczy bez nazwy, spoza granic tego, co dozwolone rozumowi i znośne dlań jeszcze, coś bestialsko nad-ludzkiego, coś, czego wyrazem są greckie potwory i maskary katedr.

Jakaś magma bezkształtna czepiała się rąk Anetki, która czuła się związana z ową pod-

świadomą istotą snu. Ciężył jej smutek, hańba, dławiące brzemie współwiny z czymś, czego nie mogła w żaden sposób określić. Ciało jej nawet przepojone było mdłą wonią, która nie ustępowała przez kilka dni. Była to jakby tajemnica, którą niosła wśród ciżby przelotnych obrazów dnia, skrytą za zamkniętymi wrotami gładkiego, nie zdradzającego myśli czoła, z oczyma obojętnymi, patrzącymi w głąb duszy, i rękoma skrzyżowanymi w skupieniu na piersiach – senne jezioro...

Anetka nosiła ze sobą wszędzie owo nie przemijające marzenie. Towarzyszyło jej w zgieł-

ku ulicznym, wśród skupienia naukowego na wykładach i w bibliotekach, wśród miłej banalności rozmów towarzyskich urozmaiconych ziarnkiem flirtu i ironii. Niejednokrotnie zauwa-

żono na przyjęciach nieobecne jakby spojrzenie dziewczyny uśmiechającej się z roztargnieniem nie z tego, co do niej mówiono, lecz do tego, co sama snuła w myśli. Chwytała czasem kilka

przypadkowych słów, a potem znów myśl odbiegała daleko, nadsłuchując śpiewu jakichś ptaków ukrytych w głębi jej własnej ptaszarni.

Koncert owej rozkrzyczanej rzeszy ukrytych w duszy śpiewaków musiał być donośny, jeśli nawet Sylwia przyłapała ją pewnego dnia na takim zasłuchaniu. Droga, kochana Sylwia stała przed nią śmiejąc się i szczebiocąc swe kochane głupstewka, mówiła do niej... cóż to ona mówiła? Sylwia spostrzegła jej roztargnienie, potrząsnęła nią ze śmiechem i zawołała:

– Anetko, ty śpisz, ty na pewno śpisz! Anetka przeczyła.

– Ależ tak, widzę przecie, śpisz na stojąco, jak stary koń dorożkarski! A co robisz w nocy?

– Ty mała szelmo! A co ty robisz?

– Chcesz wiedzieć, co? Doskonale, zaraz ci opowiem. Zaręczam, że cię to nie znudzi!

– Nie, nie! – protestowała śmiejąc się, całkiem już rozbudzona.

Zakryła dłonią usta siostry, ale Sylwia wywinęła się i ujawszy jej głowę w obie ręce, spojrzała w oczy:

– Pokaż no, co się mieści w tych pięknych oczach lunatyczki. O czym śniesz, Anetko? Powiedz! Opowiedz wszystko!

– Cóż ci mam opowiedzieć?

– Powiedz, o czym myślałaś?

Anetka wzbraniała się, ale zawsze w końcu ustępowała. Mówić sobie wszystko było dla obu wielką przyjemnością, przejawem czułości, a może i egoizmu. Nie nużyło ich to nigdy.

Anetka próbowała przeto tłumaczyć swój sen nie tyle dla Sylwii, ile raczej dla sprawienia sobie ulgi. Tłumaczyła nie bez trudu, ale bardzo dokładnie i z wielką powagą – co szczerze rozśmieszało Sylwię – wszystkie swoje szalone myśli, naiwne, niewinne, dziwaczne, zuchwałe, a nawet czasem...

– Jak to? – wołała Sylwia udając zgorszenie. – Anetko, jakże możesz pozwalać sobie na coś podobnego?

Sylwia posiadała może równie dziwne życie wewnętrzne (podobnie jak my wszyscy), ale nie domyślała się go nawet i nie ciekawiło jej ono, była bowiem osobką praktyczną, wierzącą zawsze li tylko w to, co widzi, czego dotyka, snującą rozsądne i pospolite marzenia o zwykłym, przeciętnym życiu. Żyła sprawami ziemskimi, odsuwając od siebie jako bzdurę wszystko, co by mogło to życie zmącić.

Śmiała się z całego serca, słuchając siostry. Ach, któż by przypuszczał coś podobnego u Anetki. Czasem z niewinną miną, poważnie opowiada rzeczy straszne, potem zaś przeraża się rzeczami prostymi, o których wszyscy doskonale wiedzą. Mówiła o tym Sylwii z jakimś śmiesznym

przejęciem. Bóg raczy wiedzieć, co za dziwaczne myśli przechodzą jej przez głowę-48

wę! Sylwia orzekła, że siostra jej jest istotą skomplikowaną i zachwycającą, przekomiczną i niemożliwą, zupełnie niepojętą. Ciągłe to samo: coraz to sobie czymś nabija głowę, gdy należałoby zostawić wszystko w spokoju, „i niech tam sobie śpiewa wedle własnego gardziołka!”

– Wtedy jednak śpiewa pół tuzina melodii na raz! odparła Anetka.

– Tym lepiej, to jeszcze zabawniejsze! – mówiła Sylwia. – Przypomina zabawy uliczne przy Lwie Belforckim.

– Okropność! – wołała Anetka zatykając sobie uszy.

– Ja przepadam za tym. Trzy lub cztery karuzele, strzelnice, trąbki tramwajowe, katarynki, dzwony, gwizdki, wszyscy krzyczą na raz, nikt już nic nie słyszy. Krzyczę więc głośniej od innych, piszczę, śmieję się, a serce skacze mi z radości.

– Och, ty mała plebejko!

– Wielka mi artystokratka! Ty sama (powiedziałaś to przecież) jesteś właśnie taką! Jeśli ci się to nie podoba, czyń, co ja czynię. U mnie wszystko jest w porządku. Każda rzecz na swoim miejscu, każde sitko na swoim kołku.

Mówiła szczerą prawdę. Bez względu na to, jaki by tumult wrzał na placu Denfert czy w jej małym mózdzku, umiała się zorientować w jednym i drugim. Zaprowadziłaby natychmiast ład w najbardziej beznadziejnym chaosie. Umiała godzić wszystkie potrzeby swego ciała i, serca, mieszczańskiej i tej drugiej, innej strony swego życia. Oddać każdemu, co mu się nale-

ży! Anetka mówiła:

– Jesteś komodą z szufladami! O, taką! (Pokazała jej pamiętną szyfonierkę, mebelek w stylu Ludwika XV, gdzie ojciec ich przechowywał swoją korespondencję.)

– Tak! – przyznała Sylwia przekornie. – Podobny do mnie...

(Nie myślała bynajmniej o meblu.)

– ...W gruncie rzeczy ja jestem jego prawdziwą córką. Chciała się z siostrą podroczyć, ale Anetka machnęła już na to ręką. Przestała być zazdrosna o dziedzictwo po ojcu. Miała swój w nim udział i chętnie by się go zrzekła. Był to spadek niekiedy mocno kłopotliwy.

Nie wiedziała, w jaki sposób, ale w ostatnim roku utraciła pewność swego logicznego umysłu i silnych nóg, mocno tkwiących w świecie realnym, nie miała też pojęcia, jak odzyskać równowagę. Dużo by dała, aby obuć małe buciki Sylwii, która pewnym krokiem stąpała bez wahania, tupiąc

obcasikami. Czula, że nie jest już wystarczająco silnie związana z życiem codziennym, z życiem wszystkich ludzi, życiem każdej chwili. W przeciwieństwie do siostry zanadto zagłębiła się w swym życiu wewnętrznym, nadmiernie obojętniejąc w stosunku do tego, które oświetla słońce. Stan ten trwać miał zapewne tak długo, póki nie zostanie schwy-tana w groźną pułapkę zmysłów, w którą marzyciele wpadają o wiele prędzej i dużo niezręczniejsz niż inni ludzie. Zbliżała się zdradziecka godzina i sposobila się już sieć...

Ale czyż ta nawet sieć długo potrafi utrzymać w swych więzach duszę dziką i wielką?

Nie wiedząc na razie o niczym, krążyła wokoło, oczywiście nieświadomie, w przeciwnym bowiem razie byłaby się cofnęła z gniewnym oburzeniem. Na próżno! Każdy krok zbliżał ją do zasadzki.

Musiała przyznać się samej sobie, że ona, która rok temu odnosiła się do mężczyzn po ko-leżeńsku, ze spokojną pewnością siebie, wkładając niewątpliwie w ten stosunek pewną dozę kokieterii, ale pozostając obojętna, niczego od nich nie żądając i nie lękając się niczego –

obecnie patrzyła na nich innymi oczami. Poprzestawała na obserwacji i pełnym niepokojem wyczekiwaniu. Od czasu przygody z Tulliem zatracila swój piękny, zuchwały spokój.

Wiedziała teraz, że bez mężczyzny obejść się nie zdoła, i na ustach jej pojawiał się uśmiech podobny do uśmiechu ojca, gdy sobie przypominała swoje dziecinne wywody na 49

temat małżeństwa. Namiętność zostawiła w jej ciele zatrute żądło. Czysta a płonąca, naiwna a świadoma, znała teraz swe pożądanja i chociaż je spychała w mrok myśli, znaczyły one swą obecność przez chaos, który wprowadzały we wszystkie jej pojęcia. Aktywność umysłu rozpręgła się całkowicie. Zdolność myślenia została sparaliżowana. Przy pracy, gdy czytała lub pisała, miała wrażenie, że zmniejszyła się jej sprawność umysłowa. Skupienie uwagi na jednym przedmiocie wymagało zupełnie nieproporcjonalnego wysiłku, po którym czuła wstręt i wyczerpanie. Mimo jej starań węzeł uwagi rozluźniał się ustawicznie, a wszystko, o czym myślała, osnuwały mgły. Cele określone, może nawet zbyt wyraźnie określone i zbyt jasne, które stawiała swemu intelektowi, obecnie przysłaniały chmury. Prosta droga, co miała ją do nich zaprowadzić, urywała się ciągle zniechęcona, Anetka myślała:

„Nie dotrę chyba nigdy.”

Dawniej przyznawała kobiecie wszystkie intelektualnej zdolności mężczyzny, teraz mówiła sobie z uczuciem upokorzenia:

„Myliłam się.”

Pod wrażeniem ogarniającego ją znużenia sądziła teraz (słusznie czy nie), że zdolności umysłowe kobiety są mniejsze, być może z powodu wiekowego braku tradycji bezinteresownego myślenia, owej aktywności umysłu obiektywnego i wyzwolonego od własnego ja, któ-

rych wymaga prawdziwa wiedza i sztuka. Upośledzenie to, myślała, ma prawdopodobnie źród-

dło w tajnej przemocy wielkich, świętych instynktów, które natura złożyła w kobiecie jako bogaty i ciężący zarazem depozyt. Anetka czuła, że będąc samotna jest niepełna: umysł jej, ciało i serce, żądają dopełnienia. O tych dwu ostatnich tęsknotach mówiła sobie jednak moż-

liwie najmniej, gdyż nasuwały się jej myślom aż nazbyt często.

Była w tym okresie rozwoju, kiedy nie podobna żyć bez towarzysza; szczególnie zaś nie może się bez niego obejść kobieta, gdyż miłość budzi w niej nie tylko kochankę, ale, także matkę. Nie zdaje sobie z tego sprawy, bo oba te pragnienia zlewają się w jedno uczucie.

Anetka nie myślała jeszcze o nikim określonym, lecz serce jej wezbrane było potrzebą oddania się jakiejś istocie silniejszej i słabszej zarazem, która by ją wzięła w ramiona i piła z jej piersi. Na tę myśl zalewała ją fala czułości, pragnęła, by wszystka jej krew zmieniła się w mleko, które by dać mogła... Pij!... O, ukochany!...

Oddać wszystko!... Lecz nie! Nie mogła oddać wszystkiego. Nie było jej wolno... Dać wszystko!... – Tak, krew, ciało, miłość... Ale wszystko, całą duszę swoją, całą wolę?... I to na całe życie? Nie!... Wiedziała, że nigdy, nawet gdyby chciała, nie zdoła tego uczynić. Nie można dać tego, co nie jest naszą własnością. „Dusza moja, wolna moja dusza nie jest moją!

To ja właśnie – myślała – jestem własnością mojej wolnej duszy. Nie mogę nią rozporządzać.

Ocalić swą wolność to więcej niż prawo, to obowiązek religijny...” W tych myślach taito się nieco nieugiętości, moralnej matki, ale u Anetki wszystko przepajała namiętność; mogła rozpalić swoją burzliwą krwią najbardziej abstrakcyjne idee. Jej

„dusza”! Często używała tego „buntowniczego” (to jej wyrażenie) słowa. Czyż jednak córka Raula Rivière posiadała jedną tylko duszę? Miała ich całą gromadę, a pośród niej znajdowało się kilka dusz wielkich, nie zawsze ze sobą zgodnych...

Mimo wszystko owa wewnętrzna walka toczyła się w sferze nieokreślonej. Anetka nie miała dotąd sposobności doświadczyć tych sprzecznych namiętności. Opór ich był dotąd raczej igraszką umysłu, płomienną, dosyć podniecającą, ale bez ryzyka. Nic jej nie zmuszało do decyzji, mogła sobie pozwolić na zbytek próbowania w myśli różnych rozwiązań.

Był to przedmiot wesołych dyskusji z Sylwią, jeden z tych problemów serca, które rozplamieniają serce młodzieńcze w okresach bezczynności czy oczekiwania, aż do dnia, w którym rzeczywistość zadecyduje nagle za nas, nie troszcząc się zgoła o nasze wygodne postanowienia. Sylwia rozumiała dobrze dwoistość pragnień Anetki, ale ze swego punktu widzenia nie dostrzegała w nich żadnej sprzeczności. Należało po prostu czynić jak ona: kochać, kiedy przyjdzie ochota, zerwać, kiedy się spodoba...

50

Anetka potrząsała głową.

– Nie!

– Cóż to znaczy: nie? Odmawiała wyjaśnień, Sylwia mówiła drwiąco:

– Sądzisz, że to dobre tylko dla mnie? Anetka żywo przeczyła:

– Nie, kochanie. Wiesz dobrze, że cię kocham taką, jaką jesteś.

Ale Sylwia się nie myliła. Przywiązanie do niej wstrzymywało Anetkę od osądzania (choć nie mogła się wstrzymać od cichego westchnienia) miłostek Sylwii, lecz w stosunku do siebie odrzucała nawet myśl o nich. Nie tylko purytanizm matki uważałyby to za hańbę, ale sama jej żadna wyłączności natura, sama pełnia jej pożądanego nie mogły się pogodzić z takim rozmielenianiem miłości na drobną monetę. Mimo tajnego a potężnego wołania zmysłów nie mogła w tym momencie życia przyjąć bez buntu miłości, w której nie uczestniczyłoby na równi wszystko: a więc cała dusza, zmysły, serce, myśl, szacunek dla samej siebie i szacunek dla ukochanego, religijny wzlot namiętnej duszy. Dać swoje ciało, a zachować dla siebie myśl...

Nie, o tym nie mogło być mowy... To zdrada! Pozostawało tedy jedno tylko rozwiązanie: małżeństwo, czyli miłość wyłączna. Czyż jednak w stosunku do Anetki marzenie to mogło się ziścić?

Czy mogło, czy nie, to wszakże nic nie przeszkadzało, by je snuła marząc o przyszłości.

Nie broniła więc sobie tego. Doszła na skraj lasu pierwszej młodości, do pięknego momentu końcowego, w którym rozkoszując się jeszcze cienistą osłoną snów, widzimy długie, białe gościńce na skąpanej w słońcu równinie. Na którym z nich zarysuje się ślad stóp naszych?

Nic jeszcze nie nagli do wyboru. Umysł zwleka z decyzją, aby z uśmiechem wybrać wszystkie drogi. Młoda, szczęśliwa dziewczyna, wolna od trosk materialnych, promieniejąca miło-

ścią, niosąca w ramionach naręcze nadziei, czuje, iż serce jej ma możliwość wyboru pomiędzy dwudziestu różnymi drogami życia, i zanim zdoła zapytać:

„Którą bym iść chciała?”

Bierze je wszystkie, aby odetchnąć ich wonią. Anetka kolejno rozkoszowała się w wyobraźni przyszłością dzieloną z tym, potem z tamtym, a wreszcie z owym towarzyszem, porzucała nadgryziony owoc biorąc w usta drugi i dotykając trzeciego, po czym nie decydowała się na żaden z nich. Szczęśliwy to początkowo wiek niepewności, który jednak poznaje niebawem znużenie i dławiące przygnębienie, a czasem nawet zwątpienie rozpaczy.

Tak oto Anetka marzyła o swym życiu, o przyszłych drogach swego życia, zwierając się jednej jedynej Sylwii z wrażeń pełnego niepewności oczekiwania. Sylwii zaś bawiło owo niespokojne, pełne tęsknoty niezdecydowanie siostry. Nie znała go wcale, sama bowiem zwykle (chlubiła się tym, by gorszyć Anetkę) decydowała jeszcze przed wyborem. Należy zawsze, mówiła, decydować się natychmiast, potem zaś starczy aż nadto czasu na namysł i wybór...

– W ten sposób – zapewniała z właściwą sobie fanfaronadą – człowiek wie przynajmniej, o co idzie.

Anetka miała wielkie powodzenie w świecie, w którym się obracała, i większość młodych ludzi składała jej hołdy. Panny natomiast, nieraz od niej dużo piękniejsze, były dotknięte, a miały tym większy powód do urazy, że Anetka nie bardzo się nawet starała podobać. Roztargniona, daleka, nie czyniła nic, by pobudzić zainteresowanie lub pochlebić miłości własnej mężczyzn, którzy się o nią ubiegali. Siedząc spokojnie w salonie przyciągała ich do siebie, zdając się nie dostrzegać ich obecności, słuchała uśmiechnięta (nigdy nie było pewności, czy słyszy), a gdy odpowiadała, nie wychodziła poza uprzejmą banalność. Mimo to zbliżali się do 51

niej wszyscy, chcąc ją sobie zjednać, wytworni światowcy, złoci młodzieńcy i poważnie myślący, uczciwi chłopcy.

Zawistne twierdziły, że Anetka prowadzi ukrytą grę, a jej obojętność jest tylko chytrym podstępem wytrawnej kokietki; zwracały przy tym uwagę na fakt, że od pewnego czasu nieco chłodna poprawność jej stroju ustąpiła miejsca elegancji, której fantazyjny ton zręcznie zacierał uśpioną brzydotę Anetki. Złośliwe plotkarki dodawały, że mężczyźni starają się raczej o jej majątek niż o nią samą. Nie Anetce jednak należało przypisywać zasługę powabu i artyzmu jej toalet – było to wyłącznie dzieło gustu i zdolności Sylwii. Niewątpliwie też Anetka była „dobrą partią” i mały jej dwór zdawał sobie z tego sprawę, ale okoliczność ta przydawała tylko ich hołdom pewien odcień szacunku; gdyby nawet była biedniejsza, ubiegaliby się o jej względy tak samo, tylko z większą śmiałością.

Istotna ponęta kryła się głębiej. Anetka nie była zalotna, lecz bogate i silne instynkty przychodziły jej z pomocą; nie trzeba im było wskazywać, co mają czynić, działały niezawodnie, gdyż wola ich nie tamowała. Ciało samo mówiło za nią, wówczas gdy ona, uśmiechnięta, beczynna, jakby wtopiona w życie wewnętrzne, dawała się unosić rozkosznym falom mi-

łych, nieuchwytnych marzeń, co jej nie przeszkadzało mieć oczy i uszy otwarte. Wielką moc przyciągania miały jej oczy, usta, ciało świeże i silne oraz młodzieńczość jej miłością przepełnionej duszy, podobnej do rozkwitającej glicynii. Urok był tak silny, że patrząc na nią nikt by nie przypuścił (chyba tylko kobieta), iż może być brzydka, a chociaż mówiła niewiele, to kilka tu i ówdzie w jałową rozmowę wtrąconych słów otwierało niezwykle horyzonty myśli.

Przeto zarówno pociągała tych, którzy szukali duszy, jak też budziła żądze w tych, którzy poznali, że w owym uśpionym ciele (drzemiąca woda) kryją się nie uświadomione mu jeszcze skarby rozkoszy.

Zdawało się, że tego nie dostrzega, ale dostrzegała bardzo dobrze. Jest to przywilej kobiety. Dopełniała go w Anetce siła intuicji, będąca często cechą silnej żywotności, co bez słów czy gestów pozwala na bezpośrednią rozmowę dusz. Kiedy się wydawała roztargniona, wsłuchiwała się w nią właśnie. Mroczna puszcza serc! Oni i ona – byli na łowach: każde szukało jakiegoś tropu. Po dłuższym okresie wahania Anetka znalazła swój.

Młodzieńcy, spośród których miała wybierać, należeli do sfery bogatej, inteligentnej i czynnej burżuazji, o ideach postępowych (tak przynajmniej sądzą), do której zaliczał się Raul Rivière.

Niedawno minęła burza, wywołana sprawą Dreyfusa⁹. Zbliżyła ona ludzi z róż-

nych środowisk, o najrozmaitszych poglądach, których złączył wspólny im instynkt sprawiedliwości społecznej. Instynkt ów, jak się potem okazało, nie odznaczał się trwałością. Pojęcie niesprawiedliwości socjalnej ograniczyło się tu do jednego tylko wypadku krzywdy. Przykładem jednym spośród tysięcy był sam Rivière, któremu nieprawości świata nie przerywały spokojnego snu, który nawet umiał bez wyrzutów sumienia prowadzić korzystne interesy z sułtanem, wówczas kiedy padyszach wśród milczenia usłużnej Europy z zimną krwią przeprowadzał pierwsze masakry Ormian¹⁰ – a który był zupełnie szczerze wzruszony sprawą 9 Sprawa Dreyfusa – Dreyfus Alfred (1859 – 1935), kapitan armii francuskiej, Żyd z pochodzenia, w r. 1894

został oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec i na podstawie wątpliwych poszlak skazany na degradację i dożywotnie więzienie na Czarciej Wyspie. Nowy szef wywiadu francuskiego Picquart stwierdził, iż winnym był

inny oficer, hrabia Esterhazy, i wystąpił o rewizję procesu. Dowództwo nie zgodziło się na to i zatuszowało sprawę. Podjęła ją prasa opozycyjna. Francja podzieliła się na dwa obozy – zwolenników Dreyfusa, przekonanych o jego niewinności, oraz jego wrogów, przedstawicieli kół reakcyjno-nacjonalistycznych. M.in. Dreyfusa gorąco bronił Emil Zola, ogłaszając w tej sprawie swój słynny „List do Feliksa Faure, Prezydenta Republiki”, znany pt. Oskarżam, oraz szereg innych artykułów i listów otwartych. Wzburzenie wywołane sprawą rosło i wreszcie w r. 1899 pod naciskiem opinii publicznej została przeprowadzona rewizja procesu, jednak mimo wszelkich dowodów wyrok na Dreyfusa został zatwierdzany; ułaskawiono go w tymże r. 1899, a dopiero w r.

1902 przy drugiej rewizji procesu Dreyfus został uniewinniony.

¹⁰Masakry Ormian – mowa o masowych pogromach Ormian, które były przeprowadzone w Turcji w latach 1895 – 96, na rozkaz sułtana Abdul-Hamida; celem ich było stłumienie dążeń wywoleńczych szerzących się 52

Dreyfusa. Nie można zbyt wiele wymagać od ludzi! Gdy raz tylko w życiu stoczą walkę o sprawiedliwość, brak im tchu. Wszelako byli przynajmniej przez jeden dzień sprawiedliwi i za to należy im się uznanie. Sami zresztą oddają sobie hołd należny. Ludzie ze sfery Rivière-

re'a, rodziny, których synowie byli teraz adoratorami Anetki, nie wątpili ani na chwilę, że położyli niespożyte zasługi w walce o Prawo, i uważali za rzecz zgoła zbyteczną ponawianie tego wysiłku. Sądzieli, że raz na zawsze weszli w szeregi szermierzy Postępu i że pozostaną w nich nawet założywszy beczynn timerce.

Sumienia ich były uspokojone, a zresztą na widowni międzynarodowej, w tej właśnie przejściowej chwili, konflikty wewnętrzne przytłumiły niemal zupełnie nienawiści między narodami, z wyjątkiem starego zarzewia anglofobii, które dymiło jeszcze po wojnie bur-skiej¹¹. Patriotyzm tych ludzi nie był zbyt silny, niezdolny porwać ich do walki; skłonni byli do tolerancji i pogodnej beztroski, gdyż jako przedstawiciele zwycięskiego obozu, zapewnili sobie niemałe korzyści. Czynili wrażenie grupy społecznej skłonnej do życia łatwego, o szerokich horyzontach moralnych, mglistym humanitaryzmie i nierównie wyraźniejszym utylitaryzmie, sceptyków, bez wzniosłych zasad, ale też bez zbyt wielkich

przesądów... (nie należało jednak temu ufać). W szeregach ich znajdowało się kilku liberalnych katolików, wielu protestantów, znacznie więcej Żydów, główny zaś trzon stanowiło stare mieszczaństwo francuskie, obojętne dla wszelkiej religii, zastąpiła ją bowiem polityka. Polityka ta nosiła rozmaite etykiety, ale nie oddalała się od republikanizmu, który przetrwawszy trzydzieści lat zaczął przybierać formę najpraktyczniejszą – konserwatyizmu. Socjalizm był również reprezentowany, ale tylko przez młodych intelektualistów pochodzących z bogatej burżuazji, pozyskanych wspaniałą wymową i osobistym przykładem Jauresa¹². Były to jeszcze miodowe miesiące jego pożycia z republiką.

Anetka nigdy nie interesowała się poważnie polityką, bogate życie wewnętrzne nie zostawiało jej na to czasu. Jednak i ona, podobnie jak inni, przeszła swą godzinę uniesienia podczas sprawy Dreyfusa. Miłość do ojca kształtowała jej uczucia na podobieństwo jego uczuć.

Wrażliwość serca oraz żyjący w jej krwi instynkt wolności skłaniały ją zawsze do opowiadania się po stronie uciemżonych. Przeżyła tedy momenty namiętnego wzruszenia, kiedy Zola i Picquart zaatakowali wielką Bestię – rozpętaną opinię publiczną, i prawdopodobnie, gdy przechodziła obok więzienia Cherche-Midi, serce jej, na równi z sercami wielu innych dziewcząt, biło współczuciem dla zamkniętego tam człowieka. Ale uczuć tych nie poparło rozumowanie i Anetka nie mogła się nigdy zdobyć na krytyczne przestudiowanie „sprawy”. Polityka napawała ją odrazą; ilekroć przyjrzała jej się z bliska, odsuwała się znudzona i pełna wstrętu, nie usiłując analizować tych uczuć. Patrzyła zbyt uczciwie, by nie dostrzec mnóstwa małości i świństw, które w równej niemal mierze przypadały obu stronom. Serce jej, nie tak, uczciwe jak oczy, chciało nadal wierzyć że do partii sprawiedliwości należą ludzie najbardziej prawi. Czyniła sobie wyrzuty, że przez lenistwo – jak to nazywała – nie zaznajomiła się lepiej z ich działalnością. Dlatego to zmuszała się do zachowania postawy pełnego życzyliwiania, podobnie jak to czyni słuchacz nowego utworu muzycznego, za które-wśród różnych ludów wchodzących w skład państwa słowiańskiego przez wzniesienie nienawiści narodo-

ściowych.

11 Wojna burska – mowa o wojnie Anglii z republikami Oranii i Transwalu broniącymi swej niepodległości w latach 1899 – 1902. Wojna ta, przygotowana przez grupę imperialistów angielskich z Cecilem Rhodes na czele, miała na celu zagarnięcie bogatych terenów obfitujących w pola diamentowe i stanowiła jeden z głównych etapów rozwoju imperializmu.

12 Jaures Jean Leon (1859 – 1914) – przywódca socjalistów francuskich w ostatnich latach XIX i początku XX wieku. W piśmie „La Petite Republique” prowadził energiczną kampanię w obronie Dreyfusa. W francuskim ruchu robotniczym Jaures był przedstawicielem tendencji reformistycznych. Był założycielem (r. 1904) i aż do śmierci redaktorem pisma „Humanite”, na którego łamach występował przeciw wojnie i militarystyce, stając w obronie idei pacyfistycznych. W przededniu pierwszej wojny światowej został zamordowany z poduszczenia kół nacjonalistyczno-szowinistycznych.

są w niej uroki, które może kiedyś odkryje...

Anetka była lojalna, wierzyła tedy w uczciwość etykiet, nie wiedząc, że nigdzie oszustwa nie zdarzają się tak często jak tam, gdzie handlują ideami. Przypisywała jeszcze pewne realne istnienie owym sztucznie fabrykowanym „izmom”, których pieczętka odróżnia jedne wyroby polityczne od innych, i pociągały ją te, co zapowiadały firmy najbardziej postępowe. Tajemne złudzenie kazało jej wierzyć, że tam właśnie ma najwięcej szans na spotkanie swego przyszłego towarzysza. Nawykła do swobodnego oddechu, zbliżała się do tych, którzy, jak ona –

pragnęli świeżego powietrza, odrzucając stare przesady, manie odwieczne i zaduch domostwa przeszłości. Nie mówiła źle o tym starym gmachu, gdyż całe pokolenia znajdowały w nim schronienie dla marzeń swego życia. Ale powietrze było tam duszne. Kto chce, niech pozostanie! Ona musiała oddychać. Szukała spojrzeniem przyjaciela, który by jej pomógł zbudować dom zdrowy i jasny.

W salonach, gdzie bywała, nie brakło młodych ludzi zdolnych, na pozór przynajmniej, zrozumieć ją i dopomóc. Z etykietką głoszącą śmiałość ducha czy bez niej, wielu z nich odznaczało się rzeczywiście tą śmiałością. Niestety jednak odwaga ich nie stawiała sobie tych samych celów. Jak powiada filozof, „pęd życiowy” jest ograniczony i nigdy nie działa równocześnie we wszystkich kierunkach. Niezmiernie rzadko spotyka się umysły, które idąc naprzód rzucają w krąg siebie promienie światła. Większość spośród tych, którym się powiodło zapalić swą latarkę (a i ci nie są liczni), kieruje światło przed siebie, na jeden jedyny punkt, wokoło zaś nie widzi zupełnie nic. Można by powiedzieć, że postęp w jednym kierunku okupiony bywa niemal zawsze cofnięciem się w innych. Człowiek będący rewolucjonistą w polityce – bywa w dziedzinie sztuki zaciętrzewionym konserwatystą, a jeśli pozbył się garści przesądów (zazwyczaj tych, na których mu najmniej zależy), to tym zazdrośniej, trzymając oburącz, zachowuje resztę.

Nigdzie nie ujawniła się lepiej nierówność tego kulejącego marszu niż w rozwoju moralnym obu płci. Kobieta, która starając się zerwać z błędami przeszłości wkroczyła na jedną ze ścieżek wiodących w nowe społeczeństwo, rzadko spotyka na niej mężczyznę pragnącego również stworzyć świat nowy. On szedł innym szlakiem. A jeśli nawet drogi ich prowadzące wzwyż mają się spotkać na szczycie, to na razie oboje odwracają się od siebie. Owa rozbież-

ność dążeń rzucała się w oczy szczególnie w tej właśnie epoce, kiedy umysł kobiecy, we Francji dłużej zatrzymany w swym rozwoju, niespodzianie w ciągu kilku lat przebył daleką drogę. Ówczesni mężczyźni nie zdawali sobie z tego sprawy, kobiety zaś nie zawsze umiały ocenić przebytą przestrzeń i dopiero doświadczenie osobiste uświadamiało im istnienie muru dzielącego je od towarzyszy. Cios bywał nieraz dotkliwy. Anetka własnym kosztem miała przekonać się o tym bolesnym nieporozumieniu.

Pośród otaczającego ją roju dusz roztargnione jej oczy, nieznacznie każdą z nich obserwujące, dokonały na koniec wyboru. Nie przyznały się jednak do tego. Starła się jak najdłu-

żej zachować złudzenie, że się jeszcze waha. Gdy trud postanowienia jest już poza nami, słodko jest szeptać:

„Nic mnie jeszcze nie wiąże...”

Wówczas to po raz ostatni otwieramy na ścież wszystkie bramy nadziei.

Lubiła zwłaszcza marzyć, iż przyszłość swą zostawia w zawieszeniu pomiędzy dwoma mężczyznami, mimo że wiedziała dobrze, którego z nich wybrała. Byli to dwaj młodzi ludzie dwudziestoosmio- czy trzydziestoletni: Marceli Franck i Roger Brissot. Obaj byli synami za-możnych rodzin mieszczańskich, obaj byli ujmujący i inteligentni, o zachowaniu pełnym 54

dystynkcji, ale należeli do różnych środowisk umysłowych i charaktery mieli zupełnie odmienne.

Marceli Franck pochodził z rodziny na poły semickiej; był to człowiek pełen uroku, ów typ, jaki wytwarzają czasem małżeństwa mieszane pomiędzy dobrze dobranymi przedstawicielami obu ras. Średniego wzrostu, szczupły, delikatny, elegancki, miał oczy błękitne, białą, matową cerę, nos z niewielkim garbkiem, małą jasną bródkę; profil wydłużony, nieco koński, przypominał Alfreda de Musset. Spojrzenie jego było pełne dowcipu, pieszczotliwe, czasem czułe, czasem takie, że zdawało się, iż dostrzega ciało przez suknię. Ojciec jego, bogaty przemysłowiec handlujący sukniem, człowiek o silnych namiętnościach, znający się na interesach, lubował się w nowej sztuce, patronował młodym pismom artystycznym, skupywał obrazy Van Gogha i Rousseau. Ożenił się z piękną tuluzanką, która otrzymała drugą nagrodę w sekcji dramatycznej Konserwatorium i przez czas jakiś występowała nawet u Antoine’a i Po-rela. Wzięta zrazu błyskawicznym szturmem, została potem legalną żoną energicznego Jona-sza Francka i w pełni sukcesów porzuciła scenę po to, aby z wrodzoną inteligencją zająć się jednocześnie interesami swego męża i własnym, dobrze znanym artystom, salonem literackim. Małżeństwo żyło bardzo przykładowie, a może milcząca ugoda sprawiła, że żadna ze stron nie badała z bliska postępowania drugiej. Oboje wiedzieli zresztą, że trzeba we własnym interesie strzec się obmowy. Wychowali jedyne go syna w atmosferze tolerancji i wyrafinowanej inteligencji. Marceli Franck nabrał w domu przekonania, że istnieje harmonia pracy i rozrywek i że rozumne ich połączenie stanowi sztukę życia.

Sztukę tę uprawiał na równi z innymi, których był bardzo wybitnym znawcą. Pracując w dyrekcji muzeów narodowych wcześniej zyskał poważne nazwisko jako historyk sztuki. Podobnie jak obrazy, umiał też obserwować żywe postacie, patrząc na nie wzrokiem niedbałym i zarazem przenikliwym, zuchwałym i pobłażającym. Spośród otaczających Anetkę mężczyzn czytał w niej najlepiej, a ona wiedziała o tym. Czasem, ocknąwszy się z zamyślenia, gdy podczas rozmowy – roztargniona – snuła zgoła inne myśli niż te, które wyrażała, spotykała jego rozciekawione oczy, mówiące:

„Anetko! Widzę panią nagą.”

Najdziwniejsze było, że nie czuła się tym wcale zawstydzona, ona, skromna Anetka, i miała ochotę odpowiedzieć:

„A jak się panu podobam?”

Zamieniali porozumiewawcze spojrzenia. Nie miało to znaczenia, jeśli ją widział bez osłon, wiedziała bowiem, że jej nigdy nie będzie posiadał. Marceli czytał w niej ową pewność i nie czuł zakłopotania. Myślał:

„Zobaczmy!”

Albowiem znał „tego drugiego”.

„Ten drugi”, Roger Brissot, był jego kolegą z liceum. Franek doskonale rozumiał, dlaczego Anetka woli Rogera... na początek przynajmniej (potem?... to inna sprawa!...). Brissot był

pięknym chłopcem o ujmującej, jasnej twarzy, regularnych, dość grubych rysach i szczerym wyrazie wesołych ciemnych oczu. Policzki miał pełne, gładko wygolone, zęby zdrowe; młodzieńczo bujne, czarne włosy, przedzielone z boku, podnosiły się nad inteligentnym czołem.

Wysoki, o szerokiej piersi, długich nogach i muskularnych ramionach, poruszał się swobodnie, żywo gestykulował. Mówił dobrze, nawet bardzo dobrze, głosem ciepłym, dźwięcznym, dość niskim i metalicznym, który podobał się wszystkim – który podobał się jemu samemu.

Był rywalem Francka w nauce, posiadał inteligencję żywą, bystrą i błyskotliwą, a nawykły do sukcesów na polu umysłowym, miał również upodobanie do ćwiczeń fizycznych. Podczas pobytu w Burgundii, gdzie lasy i winnice majątku jego rodziców przytykały do posiadłości wiejskiej Rivière’ów, odbywał dalekie piesze spacerunki, polował i doskonale jeździł konno; Anetka dawniej spotykała go nieraz na przechadzkach. Ale wówczas nie pragnęła towarzysza; 55

wolała samotne wędrówki. Podobnie i Roger, wypuszczony z murów Paryża, w owych miesiącach swobody grał rolę młodego Hipolita¹³, udając, że woli konia i psa niż dziewczynę.

Mijając się zamieniali tylko pozdrowienia i spojrzenia. Nie wszystko z tych czasów przepadło. Pozostały miłe obrazy i nieokreślony bliżej pociąg dwu istot fizycznie jakby stworzonych dla siebie.

Rodzina Brissotów pragnęła tego związku, bowiem w równej mierze majątności jak i osoby młodych stworzone były na to, żeby się połączyć. Jednak dopóki żył Raul Rivière, stosunki ich, przy obustronnej uprzejmości, były chłodne i dalekie. Dziwnym zbiegiem okoliczności Rivière, który liberalizmem umysłu nie dałby się nikomu prześcignąć, jako architekt, aż do czasów sprawy Dreyfusa, zaliczał do swych klientów samą niemal arystokrację i reakcjonistów. Zbyt zręczny na to, by im nie „służyć do mszy”, a nawet (bez metafory), by na nią nie chodzić, o ile to było potrzebne dla uzyskania dobrej opinii, był uważany za wstecznika, a nawet klerykała (śmiał się z tego serdecznie) w oczach radykałów republikańskich swej prowincji. Brissotowie byli natomiast ostoją radykalizmu. Ta rodzina prawników – adwokaci, prokuratorzy itd. – twierdziła z dumą, że od stu lat przeszło jest republikańską. Była nią w istocie za czasu pierwszej republiki, zapominali tylko dodać, że ich pradziad, był członkiem Konwentu, otrzymał po powrocie Burbonów order Lili. Wierzyli wszyscy w republikę, jak inni wierzą w Boga Ojca, i uważali się za związanych tradycją: noblesse oblige!¹⁴ Toteż uznali za stosowne trzymać się z dala od Raula Rivière, aby w ten sposób wyrazić mu niedwuznacznie swe surowe potępienie. Nic sobie z tego nie robił, gdyż nie spodziewał się od nich żadnego zamówienia. Nadeszła w końcu słynna „sprawa” i Rivière znalazł się, sam nie wiedząc jak, w partii postępowej. Spostrzegł, że nagle jakby go rehabilitowano; zapomniano o przeszłości, jak gdyby gąbka jakaś przesunęła się wymazując ją całą; odkryto w nim nawet wielkie zalety obywatelskie i republikańskie, o których nie miał pojęcia, z których by jednak: nie zaniedbał wyciągnąć znacznych korzyści, gdyby śmierć nie pokrzyżowała jego planów.

Plany Brissotów nie doznały szwanku. Zagorzali republikanie, którzy wiek cały umieli trzymać wysoko wzniesiony sztandar swych przekonań i interesów, byli bogaci i oczywiście pragnęli się dalej bogacić. Wiedzieli, że Rivière zostawił córce duży majątek. Bardzo im było na rękę połączyć dobra swe w Burgundii z jej posiadłością, która by je pięknie zaokrągliła.

Ale dla ludzi mających zasady Brissotów sprawy majątkowe stały na drugim planie, nawet wówczas, kiedy o nich najpierw myślano. Gdy rozważano sprawę małżeństwa, najważniejsza była osoba wybranki. W tym zaś wypadku wybranka ta zaspokajała wszystkie wymagania.

Anetka podobała się rodzinie Brissotów, gdyż była poważna, dobrze ułożona i – jak mówiono

– okazała wielkie przywiązanie do ojca. Jej inteligencja i prostota czyniły najlepsze wrażenie; w towarzystwie umiała się zachować doskonale. Dużo spokoju. Dostyc dowcipu. Zupełnie zdrowa. Zapewne uznano za przesadę jej studia w Sorbonie, badania naukowe i dyplomy, ale sądzono, że była to tylko rozrywka młodej inteligentnej dziewczyny, która się nudzi. Oczywiście

ście pójdzie to w kąć przy pierwszym zaraz dziecku. Brissotowie byli zresztą zadowoleni ze sposobności okazania, że umieją cenić wykształcenie nawet u kobiet, oczywiście pod warunkiem, by nie sprawiało kłopotu! Zresztą Anetka nie byłaby, dzięki Bogu, pierwszą intelektualistką w rodzinie. Matka Rogera i jego siostra Adela cieszyły się sławą kobiet o szerokim umyśle (w pewnym sensie uzasadnioną), a zarazem kobiet wielkiego serca, zdolnych brać udział w życiu umysłowym i pracach mężczyzn swego rodu. Intelektualizm Anetki stanowił

gwarancję, iż (ważny punkt!) nie ma obawy, żeby z jej strony groziło niebezpieczeństwo klerikalizmu. Zresztą znajdzie w nowej rodzinie serdeczną opiekę, która uchroni ją od wszelkiej przesady. Kochane to dziecko bez żadnej trudności wejdzie w grono tych, których nazwisko 13 Hipolit – w mitologii greckiej syn Tezeusza, króla Aten. Piękny młodzieniec, czysty i wstydlivy, czciciel Artemidy; zamiłowany myśliwy.

14 Woblesse oblifife (fr.) – szlachectwo obowiązuje.

56

przybierze, nie ma już rodziców i z największą radością podda się egidzie swej drugiej matki i nieco starszej siostry, które niczego bardziej nie pragną, jak nią kierować. Panie Brissot, dobre obserwatoria, uznały, że Anetka jest naprawdę sympatyczna, dystyngowana, łagodna, uprzejma, powściągliwa, nieśmiała (z ich punktu widzenia nie było to złe) i dość chłodna (było to niemal cnotą).

Roger tedy zaczął starania o rękę Anetki za zupełną zgodą całej rodziny, której opinii naprzód zasięgnął. Nigdy się przed nią z niczym nie ukrywał, zawsze pewny uznania. Ten dorosły już chłopak był bożyszczem swych bliskich i odwzajemniał to uczucie. W rodzinie Brissotów uprawiano wzajemną adorację. Istniała w tym hierarchia, ale każdy przedstawiał pewną wartość. Przyznać należy, że los obdarzył ich dość hojnie, nie skąpiąc zarówno zalet umysłu i ciała jak i majątku. Wiedzieli o tym doskonale, lecz jako ludzie dobrze wychowani umieli się utrzymać w granicach dobrego smaku i nie okazywali swych uczuć tym wszystkim, których z zasady uważali na „niższych”

niż oni sami. Słodkie uczucie pewności siebie malujące się na ich twarzach nie pozwalało jednak wątpić, jak wysoko się cenią. Najbardziej zaś byli pewni Rogera. W nim złożyli największą i może najbardziej usprawiedliwioną dumę. Nigdy drzewo Brissotów nie wydało piękniejszego owocu. Roger wyposażony był w największe zalety swego rodu, a jeśli posiadał również jego błędy, to nie raziły one zgoła. Ujmujące zachowanie i młodość pozwalały o nich zapomnieć. Był bardzo zdolny i wszystko przychodziło mu z łatwością, szczególnie słowa. Krasomówstwo wchodziło w skład dóbr dziedzicznych rodziny Brissotów. Jeden z jej członków był obrońcą sądowym, wszyscy zaś przynosili z sobą na świat zamiłowanie do pięknego wystawiania się. niesprawiedliwy byłby sąd, że wzorem ga-dułów Południa musieli mówić, by myśleć; że odczuwali wszelako przymus mówienia, to pewne. Rzeczywiste ich zdolności rozwijały się w płynnych frazach, obumarłyby zaś w milczeniu. Ojciec Rogera, jeden z najśłynniejszych gadułów, którymi szczyciła się trybuna par-lamentu, dławił się swą zahamowaną wymową, gdy wyborcy zrobili mu brzydki kawał i nie wybrali go ponownie. Sześćioletni wówczas Roger często prosił go naiwnie, gdy byli sam na sam w domu:

– Papo, powiedz mi jaką mowę!

Teraz układał je na własny rachunek, a młoda jego sława rozbłysła świetnym blaskiem podczas występów adwokackich w Paryżu, w Pałacu Sprawiedliwości. Jak wszyscy Brissotowie skierował swe talenty ku polityce, i mityngi w czasie sprawy Dreyfusa stały mu się doskonałą odskocznią, z której rzucił się na arenę, by prowadzić zażartą walkę słowną. Młodzieńczy rozmach, brawura, i płomienna wymowa tego pięknego chłopca zjednały mu entuzjastyczne uznanie młodych kobiet przychylnych Dreyfusowi oraz wielu młodszych kolegów.

Brissotowie zawsze gorąco pragnęli, by nie dać się prześcignąć na drodze postępu, ale jednocześnie baczyli pilnie, by nie uczynić ani jednego zbytecznego lub przedwczesnego kroku.

Zbadawszy tedy roztropnie teren pchnęli swego syna, swą młodą chwałę, na drogę „dobrze myślącego” socjalizmu. Roger, raz natrafiwszy na trop, sam pomknął dalej tym śladem. Wzorem najwybitniejszych spośród ówczesnej młodzieży uległ wpływowi Jaurès’a i starał się wzorować swe krasomówcze występy na wspaniałych, pełnych proroczych wizji i złudnych mira-

żów słowach wielkiego oratora. Głosił obowiązek zbliżenia się intelektualistów do ludu, co dało mu sposobność do licznych świetnych przemówień. Jeśli nie poruszyły one ludu, który nie miał czasu ich słuchać, to w każdym razie wywarły wielkie wrażenie na młodej burżuazji, której wolnego czasu nie brakowało. Dzięki pomocy finansowej i współpracy grupki najbliż-

szych przyjaciół Roger założył klub polityczny, dziennik, partię. Zużył na to dużo czasu i trochę pieniędzy. Brissotowie, umiejący rachować, we właściwym czasie umieli również wydawać. Podobało im się, że oto syn ich staje się przywódcą nowego pokolenia. Przygotowali w terenie nadchodzące wybory, a Roger miał już wyznaczone sobie z góry miejsce w przyszłej Izbie, o czym dobrze wiedział. Nawykły od dzieciństwa do tego, że rodzina weń wierzy, sam wierzył w siebie również. Nie wiedząc zaś dokładnie, jakie idee wyznaje, wyznawał je 57

wszakże bez zastrzeżeń, z niezachwianą wiarą. Nie był bynajmniej zarozumiały, lecz zajęty wyłącznie sobą, a robił to w sposób tak naturalny! Wszystko mu się przecież udawało i tak się do tego przyzwyczaił, że nie widział w tym nawet powodów do dumy; niesłuchanie by go jednak zdziwiło,

gdyby, miało być inaczej. Zachwiałyby się wówczas jego najbardziej nie-wzruszone dogmaty. Jakże był sympatyczny! Egoista bezwiedny i naiwny, nie szukał dla swego egoizmu żadnego uzasadnienia; dobry i ładny chłopiec, gotów był wprawdzie dawać, ale jednocześnie zdecydowany przyjmować; nie mógł pojąć, aby mu można było czegokolwiek odmówić, odznaczał się przy tym prostotą i uprzejmością; serdeczny, lecz wymagający, zdawał się czekać, aż świat padnie mu do nóg... Był naprawdę uroczy.

Anetka uległa urokowi. Oceniała Rogera dość trafnie, ale tym więcej kochała. Z uśmiechem myślała o jego słabostkach, które były jej bezgranicznie drogie. Wydawało się jej, że czynią go one mniej mężczyzną, a więcej dzieckiem. Serce radowało się, że był jednym i drugim. Jeden z uroków Rogera stanowiło to, że nic nie krył i ukazywał siebie całego. Naiwne samozadowolenie czyniło go prostym i naturalnym.

Był tym bardziej szczery, że zakochał się w Anetce gorąco i bez zastrzeżeń. Nie kochał nic połowicznie, natomiast wszystko widział z jednej tylko strony.

Uczucie jego rozplonęło jednego wieczora, kiedy w pewnym salonie przemawiał z wyjątkową swadą. Anetka nie mówiła nic, za to wspaniale słuchała (tak przynajmniej sądził). Jej pełne inteligencji oczy rozjaśniały mu myśli i dodawały im skrzydeł. Jej uśmiech sprawiał mu podwójną radość: było w tym zadowolenie, że tak dobrze umie się wypowiedzieć, i słodsza jeszcze świadomość, że ona podziela to jego uczucie... Jakże była piękna, gdy go tak słuchała!

Jakiż miała przedziwny umysł, jaka wyjątkowa dusza wyzierała z jej oczu uważnych i wymownych, przejawiając się również w uśmiechu pełnym zrozumienia!... Mimo że mówił sam tylko, miał wrażenie, że z nią rozmawia. W każdym razie mówił wyłącznie dla niej i czuł się wzniesiony ponad siebie samego przez ten dialog wewnętrzny przez tajemniczą wymianę myśli bez słów...

Prawdę mówiąc, Anetka nie słuchała wcale. Dość inteligentna, by uchwycić sens ogólny słów Rogera, ze zwykłym roztargnieniem dała się unosić kołyszącej fali potocznych zdań.

Korzystała z tego, że zajęty był swą wymową, i przyglądała mu się uważnie; obejmowała spojrzeniem jego ręce, oczy, usta, piękne nozdrza rżącego źrebca, ruch brody, gdy mówił, wsłuchiwała się w miłe „rulowanie” niektórych liter; chciała też wiedzieć, jakich cech charakteru jest to wszystko wyrazem, jednym słowem, poznać i stronę zewnętrzną, i duchową.

Umiała patrzeć, widziała, że pragnie, by go podziwiano, że sprawia mu przyjemność to, że się podoba, że ona uznaje go za pięknego, inteligentnego, wymownego i wprost niezwykłego.

Nie myślała (a może jednak troszkę, troszeczkę tylko), że jest komiczny. Przeciwnie, czuła rozrzewnienie.

(„Tak, najdroższy, jesteś piękny, czarujący, inteligentny, wymowny, niezwykły!... Chcesz dostać za to mały uśmieszek? Oto masz dwa, mój kochany... Patrz, jak się słodko uśmiecham... Czyś zadowolony?”)

Serce jej się śmiało, że jest tak szczęśliwy, tak dumny, że głos jego brzmiał coraz większym zapalem, jak świergot ptaka na wiosnę.

Delektował się jej uznaniem, pił ten hołd czysty, bez kropli ironii, pragnął więcej, więcej jeszcze, nigdy niesyty. Upajał się własnym śpiewem, nie odróżniając go już od tej, która go podziwiała. Wydała mu się wcieleniem wszystkiego, co było w nim piękne, czyste i genialne.

Wielbił ją.

58

Ona zaś, odkąd wraz z pierwszymi zamienionymi spojrzeniami miłość wkradła się do jej duszy, gdy skapała się w tej fali uwielbienia, odtąd nie stawiała najmniejszego oporu. Opadła nawet zasłona czulej ironii, którą jak pancerzem okrywała bicie swego serca, i bezbronna wyszła na spotkanie miłości. Tak jej była spragniona! Jakże słodko zaspokoić tę żądzę (radowała się tym z góry) na ustach człowieka, który ją oczarował. To zaś, że uprzedzając jej pragnienie, wychodził jej naprzeciw z tak płomiennym porywem, przepajało ją namiętą wdzięcznością.

Ogień rozпалиł się tedy na dobre. Każde płonęło żądzą drugiego i syciło ją swym własnym pożądaniem. Im większe było uniesienie Anetki, tym więcej spodziewała się od niego, on zaś tym usilniej pragnął przewyższyć jej oczekiwania. Było to wprawdzie nużące, ale mieli do dyspozycji niezmierne siły młodości.

Na razie Anetka skazana była na rolę bierną i nie mogła pełnić innej, gdyż Roger zagarnął

ją zupełnie. Tonęła. w fali jego wymowy, zaledwie mogąc chwycić oddech. Ekspansywny z natury, kipiący życiem, czuł potrzebę wypowiedzenia wszystkiego, z wszystkiego pragnął się zwierzyć, z przyszłości, z chwili obecnej, z tego, co minęło. A to było niemało! Roger tak absorbował! Lecz on także chciał wszystko wiedzieć, wszystko osiąść. Wkraczał przemocą w tajemnice Anetki, która z nie lada trudem broniła swych ostatnich kryjówek. Trochę oburzona, lecz szczęśliwa i ubawiona, doznawała czasem przelotnej chęci oparcia się tej inwazji, ale najeźdźca był tak zachwycający! Przyzwalała więc z rozkoszą i ulegając owemu gwałtowi dokonywanemu

na jej myślach (Et cognovit eam. 15 Nie znał jej wcale!) wyczuwała tajne odruchy buntu i upojenie...

Nie było roztropnie zwierzać się z wszystkiego. Pewne wyznania, poczynione w chwilach ufności, mogą być potem przez powiernika użyte jako broń. Ni Roger, ni Anetka nie troszczyli się jednak o to. W owe godziny miłości nic w ukochanej nie mogło go razić i nic dziwić.

Wszystkie jej zwierzenia, nie zadziwiając go bynajmniej, zdawały się odpowiadać niewyra-

żonym jego pragnieniom. Roger nie więcej – nawet znacznie mniej strzegł się niedyskretnych wyznań, które pobłażliwe ucho Anetki notowało nieświadomie a wiernie.

Choć szczęściem było dla nich wzajemne poznawanie i wspólne przeżywanie chwili minioniej i obecnej, to wszakże i przeszłość, i teraźniejszość tonęły w marzeniach o przyszłości, o ich przyszłości. Anetka nie powiedziała nic, nic nie przyrzekła, jednak zgodę jej z góry przewidziano,

uwzględniono i zażądano tak stanowczo, że ona sama uwierzyła w końcu, iż jej udzieliła. Szczęśliwa, z na poły przymkniętymi oczyma, słuchała, jak Roger (zaliczał się on bowiem do ludzi radujących się więcej przyszłością niżli dniem bieżącym) kreślił z nie słabnącym entuzjazmem wspaniałe życie myśli i czynu, które miał przed sobą. Kto? On, Roger...

Ona też oczywiście, bo wszakże stanowiła jego część. Nie raziła jej ta zaborczość, zanadto była zajęta słuchaniem, patrzeniem, syceniem się tym zachwycającym Rogerem. Mówił dużo o socjalizmie, sprawiedliwości, miłości wyzwoleniu człowieka. Był naprawdę porywający. W

słowach wspaniałomyślność jego nie знаła granic. Anetka była wzruszona. Upajała ją myśl, że może wziąć udział w tym potężnym dziele dobroci. Roger nie pytał nigdy, co ona o tym sądzi. Rozumiało się samo przez się, że to co on. Czyż mogła myśleć inaczej? Wszakże mó-

wił za nią, mówił za dwoje, umiał się bowiem lepiej wystowić. Zwykł był mówić:

– Zrobimy... Będziemy...

Ona nie protestowała, raczej była skłonna dziękować. Wszystko to było tak rozległe, tak niejasne, tak bezosobiste, że nie miała żadnego powodu do zakłopotania. Roger był niby wolność i światło. Nieco tylko rozproszone, być może.

Anetka wolałaby raczej coś ściślej określonego, ale pewna była, że to przyjdzie później, nie podobna przecież powiedzieć wszystkiego od razu. Niechże jak najdłużej trwa radość...

Na dziś cieszyli się tymi bezkresnymi horyzontami...

15 Etcognovit eam (łac.) – i poznał ją.

59

Radowała się zwłaszcza jego śliczną postacią, namiętym przyciąganiem się ich zakochanych w sobie ciał, owymi nagle jawiącymi się prądami elektrycznymi, falą zmysłową wprowadzającą oboje w stan napięcia, oboje bogatych w zasoby nieskalanej młodości, zdrowych, silnych i płonących uczuciem.

Wymowa Rogera nigdy nie bywała wspanialsza niż w owych chwilach, kiedy nagle urywał się potok słów, które ukazały im ekstatyczne wizje, a wśród zamierających dźwięków spotykały się ich oczy. Owo nagle zetknięcie było jak uścisk. Wówczas takie się w nich rozpałało pożądanie, że oddech im w piersi zamierał. Roger nie myślał już, by olśniewać i mó-

wić. Anetka nie pamiętała o przyszłości świata i własnej nawet. Zapominali wówczas o wszystkim, co ich otaczało, ginął im z oczu salon i obecni. W chwilach tych jedną się stawali istotą, zatracali siebie jak wosk ogarnięty płomieniem. Nie zostawało nic prócz pożądania natury, jedyne, pożerającego, czystego jak ogień. Po chwili Anetka, z zamglonym spojrzeniem i pałającymi policzkami, wyrывała się z upojenia i oszołomiona jeszcze, z drżeniem uświadamiała sobie, że niebawem będzie musiała ulec...

Miłość ich nie była już dla nikogo tajemnicą, żadne bowiem nie umiało jej ukryć. Daremnie Anetka milczała, oczy mówiły za nią, a owo nieme przyzwolenie było tak wymowne, że zarówno świat jak i Roger uznali je za bezsłowne zobowiązanie.

Jedynie rodzina Brissotów pamiętała, że tak nie było. Anetka z przyjemnością słuchała wyznań Rogera, ale unikała odpowiedzi i z wielką zręcznością kierowała wówczas rozmowę na jakieś wielkiej wagi zagadnienie. Naiwny Roger, porzucając realną zdobycz dla cienia, rzucał się na oślep, szczęśliwy, że może mówić, a Anetce znów udawało się nie powiedzieć nic wiążącego.

Zauważywszy dwa czy trzy razy ów manewr, Brissotowie, jako ludzie rozważni, postanowili wmieszać się w tę sprawę. Nie mieli najmniejszych wątpliwości co do decyzji Anetki, pewni, że uszczęśliwi ją tak świetne zamążpójście. Ale trzeba zawsze liczyć się z dziwnymi kapryсами dziewcząt. Znali życie i jego zasadzki. Byli to nie w ciemę bici prowincjusze francuscy. Gdy spodziewana decyzja opóźnia się, rozważa nakazuje wyjść jej naprzeciw, aby ją pozyskać. Obie panie Brissot ruszyły zatem w drogę.

W Paryżu, w kole znajomych, zwano wówczas pewien rodzaj uśmiechu uśmiechem „brissotowskim”: był on lepki i słodki, ugrzeczniony a pełen wyższości, swawolny, oczywiście w miarę – iż poczuciem swej wagi, przewidujący wszystko, pełen życzliwości, a doskonale obojętny, ofiarujący wszystko hojną dłonią – w ten jednak sposób, że dłonie pozostawały peł-

ne. Obie panie Brissot były mistrzyniami tego uśmiechu.

Pani Brissot matka, piękna, wysoka kobieta o szerokiej twarzy i pełnych policzkach, dobrze odżywiona, tęga, miała imponującą postawę i obfity biust, a słowa jej pełne namaszczenia zawierały nadmierną dozę pochlebstw, co bardzo krępowało szczerą Anetkę. Nie dla niej jednej wszakże, jak to niebawem z ulgą spostrzegła, były one przeznaczone. Pani Brissot hojnie wszystkim rozdierała pochwały, a towarzyszyły temu nieustanne żarciki, co było u Brissotów pełną kurtuazji oznaką wrodzonej dobrodusznej pewności siebie.

Siostra Rogera, panna Brissot, była również wysoka i rozrosła; włosy miała bardzo jasne, niemal białe jak u albinoski, policzki z mgiełką jasnego pudru i odrobinę karminu na wargach. Starła się zbliżyć do ideału, jakim był dla niej pastel w stylu Ludwika XV. Mogła pozować Nattierowi do portretu jakiejś burgundzkiej Feby, afektowanej, pulchnej i bladej. Matka zwała tę silną dziewczynę: „moje biedne maleństwo”, bo panna Brissot, zdrowa jak ryba, widząc w lustrze swą bladość, wyobrażała sobie, że ma delikatne zdrowie. Ale nie korzystała z tego, by dać się rozpieszczać. Przeciwnie, służyło jej to dla tym lepszego wykazania swej 60

energii i zyskania prawa pogardy wobec słabszych przedstawicielek jej płci, utyskujących ciągle na swe drobne dolegliwości. Była naprawdę godna podziwu: czynna, nieznużona, czytała, widziała i wiedziała wszystko, malowała, znała się na muzyce, rozprawiała o literaturze i codziennie wraz z matką wypełniała przewidzianą część programu dwustu czy trzystu wizyt, które miały złożyć w danym okresie. Nawzajem przyjmowała gości, dawała obiady, uczęszczała na koncerty, chodziła do teatrów, na posiedzenia i wystawy, nieugięta, nie objawiająca znużenia inaczej jak kilku mężnie

tłumionymi westchnieniami, wydawanymi zawsze w odpowiednich chwilach. Umiała przy tym należycie dbać o ciało, nad którym tak doskonale panowała, jadła obficie – jak zresztą cała rodzina – i przesyiała całą noc jednym snem, pozbawionym marzeń. Była władczynią zarówno swego serca jak ciała. Sposobiła się rozważnie do małżeństwa z pewnym czterdziestoletnim podówczas mężem stanu, gubernatorem jednej z większych kolonii zamorskich. Ale bynajmniej nie zamierzała jechać tam wraz z nim. Postanowiła porzucić Paryż i nazwisko Brissotów wtedy dopiero, kiedy szczęśliwy małżonek bę-

dzie mógł jej ofiarować w granicach Francji godne wybranki stanowisko. Umiała zresztą tak pokierować sprawą, by o nim nie zapomniano „u wielkiego ołtarza”. Pisywali do siebie regularnie listy, serdeczne i dotyczące interesów. Owe konkury na odległość trwały już kilka lat.

Panna Brissot była pewna, że małżeństwo nastąpi we właściwym terminie, i nie śpieszyła się.

Wprawdzie małżonek mógł tymczasem przekroczyć wiek dojrzały, ale wtedy przypadłby jej tym, bardziej do gustu. Panna Brissot miała tęgą głowę. Tęgich głów nie brakło zresztą nigdy w rodzinie Brissotów, a umysł tej, jak ją matka zwała, Egerii 16 z powołania, był wybitnie dyplomatyczny. Pani Brissot podziwiała talenty panny Brissot, pannę Brissot zaś zachwyciły genialne zdolności gospodarcze i spryt pani Brissot. Obie wdzięczyły się do siebie ciągle i całowały w obecności Anetki. Było to naprawdę urocze.

Nałożyły teraz jednak tłumik na ten wzajemny kult i jęły się razem przymilać do Anetki.

Zasypywały ją nieustannie komplementami, chwając ją samą i jej dom, toalety, gust, rozum i piękność. Ów ton przesadnej pochwały drażnił trochę Anetkę, ale trudno pozostać obojętną na pochlebną opinię ludzi o sobie, zwłaszcza jeśli ci ludzie wydają się posłannikami tego, kogo się kocha. Nie sposób zaś było wątpić w tę misję pań Brissot, w tym bowiem, co mówiły, powtarzało się nieustannie imię Rogera. Łączyły pochwały dla niego z pochwałami dla Anetki, z uśmiechem czyniły nieustanne aluzje do wrażenia, jakie na nim wywarta, i do słów, któ-

re mu powiedziała, powtarzanych przezeń z zachwytem. (Powtarzał wszystko – Anetkę gniewało to i rozczulało jednocześnie.) Poza tym rozwodziły się szeroko nad jego świetną przyszłością, a pani Brissot tonem pełnym wzruszenia wyrażała nadzieję, że Roger znajdzie – że znalazł – godną siebie towarzyszkę. Nie wymieniała nikogo, ale to się rozumiało samo przez się. Wszystkie te małe podstępki łatwo dawały się zauważyć, co było zresztą zamierzone. Stanowiło to rodzaj gry towarzyskiej, polegającej na zręcznym krążeniu koło pewnego słowa, którego wymówić nie wolno. Pani Brissot, uśmiechnięta, zdawała się śledzić owo słowo, zrywające się już z ust Anetki, aby zawołać:

„Fant!”

Anetka z uśmiechem otwierała usta, ale nie padało z nich pożądane słowo.

Brissotowie zaprosili ją na wieczorne zebrania towarzyskie w bardzo ścisłym gronie znajomych w ich mieszkaniu przy rue de Provence. Poznała tam Brissota-ojca, wysokiego, tęgiego mężczyznę, o chytrych oczkach ukrytych pod krzaczastymi brwiami, czerwonej twarzy i małej szpakowatej bródce.

Miał wygląd szczerwanego adwokata i dobroduszny, ojcowski sposób bycia; Anetkę zasypał staroświeckimi komplementami i żarcikami. Próbował także owej gry towarzyskiej, ale z niedźwiedzią zręcznością stawiał kropki nad „i”, Anetka spłoszyła się, a pani Brissot dała znak mężowi, by nie mieszał się do tej sprawy. Odtąd wycofał się z gry i 16 Egeria – w mitologu Rzymian nimfa Lacjum, która rzekomo dyktowała królowi Numie prawa rzymskie; w znaczeniu przenośnym: kobieta, której zdanie jest autorytetem, zwłaszcza w sprawach politycznych.

61

śledził jej tok spod oka, z drwiącą miną, przyznając, że to nie jego rzecz i że kobiety wywiążą się z tego znacznie lepiej.

Zręczna pani Brissot zaprosiła najpierw wraz z Anetką tylko trzy czy cztery osoby z kręgu bliskich przyjaciół, potem dwie, potem jedną, a wreszcie Anetka znalazła się sama z czterogim Brissotów w „kółku rodzinnym”, jak mówiła pani Brissot tonem pełnym obietnic, na-maszczonego

i macierzyńskim. Anetka spostrzegła pułapkę, ale nie cofnęła się – zbyt wielką radość sprawiało jej przebywanie z Rogerem. Przez miłość do niego stała się wyrozumiała dla jego rodziny i zamknęła oczy na to, co ją skrycie drażniło w tym środowisku. Czujny instykt kobiecy ostrzegł panię Brissot. Mimo silnie rozwiniętej miłości własnej nie szkodziły nigdy swym interesom, toteż porozumiawszy się milcząco, usunęły się na drugi plan, mówiły mniej, osłaniały swe myśli, ułatwiały zakochanym częste sam na sam, nie przeszkadzając im wcale.

Sprawa Rogera miała w nim samym najlepszego rzecznika. Coraz bardziej zakochany, zaniepokoił się rezerwą Anetki, której by nie dostrzegł tak wyraźnie, gdyby matka i siostra nie zwróciły mu na to uwagi. Nie był nigdy tak czarujący jak teraz, gdy jego wiara w siebie została zachwiana. Przestał dyskutować, znikł cały jego dar wymowy. Po raz pierwszy w życiu starał się czytać w duszy drugiego człowieka. Siedząc obok Anetki, oczyma pokornymi a płomiennymi pożerał zagadkową dziewczynę, usiłując ją przeniknąć błagalnym spojrzeniem.

Anetkę radowało to niezwykle u niego zakłopotanie i nieśmiałość, to trwożne wyczekiwanie, z którym śledził każdy jej ruch. Do głębi wzruszona, chwilami, pochyliwszy się ku niemu, bliska była wyrzeczenia decydujących słów. A jednak nie wypowiadała ich. W ostatniej sekundzie instyktownie cofała się, nieświadoma przyczyn, odsuwając gwałtownie od siebie zbliżające się oświadczyzny Rogera i własną decyzję. Wymykała się...

Wówczas sieć się zacieśniła. Pani i panna Brissot poczęły niepostrzeżenie śledzić z sąsiedniego pokoju bezowocne rozmowy. Czasem przechodziły przez salon, uśmiechnięte i jakby czymś bardzo zajęte, rzucając przelotnie serdeczne słówko, nie zatrzymując się jednak. A młodzi wiedli dalej długie gawędy.

Pewnego wieczora przeglądali razem od niechcienia jakiś album, co było tylko pretekstem do zbliżenia głów, i półgłosem wymieniali swe myśli. Nagle umilkli. Anetka dostrzegła niebezpieczeństwo. Chciała wstać, ale Roger objął ją wpół. Namiętne usta młodego człowieka dotknęły jej rozchylonych warg. Usiłowała się bronić, ale jakże bronić się przeciw samej sobie? Chcąc oderwać usta zaczęła mu oddawać pocałunki. Wysuwała się już jednak z jego ramion, gdy

usłyszała z drugiego końca salonu wzruszony głos pani Brissot, która z triumfem zawołała:

– Ach, moja droga córko! – a potem: – Adelciu! Panie Brissot!

Zdumiona Anetka została w jednej chwili otoczona przez całą rodzinę, rozradowaną i roz-czuloną. Pani Brissot okrywała ją pocałunkami i trąc oczy chustką powtarzała:

– Kochaj go!

Panna Brissot mówiła:

– Moja mała siostrzyczko!

A pan Brissot, jak zawsze niezręczny, dodał:

– No, nareszcie, aleśmy się naczekali!...

Roger klęcząc całował jej ręce; jego błagalne spojrzenie, trwożne i trochę zawstydzone, przeproszało i prosiło:

„Nie odmawiaj mi, błagam!”

Anetka, osłupiała, pozwalała się całować, owa niema prośba ukochanych oczu do reszty skrępowała jej wolę. Ostatnim wysiłkiem próbowała przeczyć:

– Ależ ja nic nie powiedziałam...

W tej chwili jednak dostrzegła w oczach Rogera tak szczyry smutek, że znieść go było ponad jej siły. Zmusiła się do uśmiechu, a na widok szczęścia, którym rozblęśla twarz Rogera, 62

sama rozpromieniła się radością, jaką dawała. Roger wstał z okrzykiem wesela. Potem zamienili pocałunek narzeczeński pod pełnymi namaszczonej aprobaty spojrzeniami rodziców.

Anetka była zdruzgotana, gdy znalazła się w nocy sama we własnym domu. Nie należała już do siebie. Oddała się... Oddała swe życie! Serce jej ścisnęła trwoga.

Wyolbrzymiała ciężar więzów, które przyjęła. Nie zaliczała się do współczesnych dziewcząt, co w rozmowie z narzeczoną żartująco wesoło na temat rozwodu. Nie dawała jedną ręką, po to, by drugą odbierać. Nie była już własnością swoją, lecz Brissotów. I nagle Brissotowie wydali jej się wrogami. Z niezwykłą ostrością zarysowało się przed nią teraz wszystko, na co patrzyła w ostatnich tygodniach, wszystkie wysiłki zbliżenia się i osaczenia jej, spisek przeciw jej wolności, wreszcie komedia końcowa, którą zaskoczono ją i wymuszono decyzję.

(Czy sam Roger nie należał również do spisku?) Najeżyła się jak zwierzę, który wpadł w matnię, a widząc zwięzające się koło prześladowców spuszcza głowę i gotuje się do ataku, by utorować sobie

przejście lub zemścić się i zginąć. Po raz pierwszy to wszystko, co ją raziło u Brissotów, a o czym myśleć dotąd nie chciała, ukazało jej się niby w powiększeniu, wstrętne i nie do zniesienia... Sam nawet Roger! Nigdy nie będzie mogła żyć zamknięta w kręgu tego człowieka, tej rodziny, tej sfery interesów, z którymi nic wspólnego nie miała i z którymi nigdy nic wspólnego jej łączyć nie może. Postanowiła zerwać...

Czyż jednak mogła zerwać teraz, gdy dała już słowo? Czyż Roger na to pozwoli? Musi pozwolić! Nie ma prawa przeszkodzić! Na myśl, że może się sprzeciwić, znienawidziła go. W

tej chwili nie brała w rachubę jego cierpień; bez wahania zraniłaby mu serce, byle odzyskać wolność. A potem przypomniawszy sobie jego błagające oczy i doznała wstrząsu. Mniejsza o to!

Egoizm zagrożonego życia, instynkt samozachowawczy okazały się silniejsze nad wszystko, silniejsze nad miłość czy litość. Uczuła, że musi się wyrwać. Biada temu, kto by jej próbował

zastąpić drogę!

Przewracała się przez całą noc na łóżku, trawiona gorączkową bezsennością, i przeżywała scenę, jaka ją czekała przy rozmowie z Rogerem. Mówiła próbując wszystkich słów, które może powiedzieć on i ona sama. Starła się go przekonać, dyskutowała, unosiła się, żałowała go i nienawidziła. O świcie, zupełnie wyczerpana, powzięła stanowczą decyzję. Pójdzie do Rogera... Choć nie! Lepiej napisać. Będzie mogła z większą swobodą wypowiedzieć aż do końca wszystko, co chce, bez żadnych przeszkód. Zerwie. Dla zabezpieczenia się przed naj-

ściem Brissotów postanowiła uciec z Paryża i zamieszkać przez kilka dni w którymś z hoteli podmiejskich. Wstała i skreśliła list, którego wszystkie zdania po stokroć przedtem w myśli roztrząsała; potem zaczęła pospieszne przygotowania do wyjazdu.

Jeszcze nie skończyła, gdy niespodzianie zjawił się Roger. Nie pomyślała o tym, by zabronić przyjmowania go, gdyż nie sądziła, że przyjdzie tak wcześnie. Wszedł, tak niecierpliwy jej widoku, że wyprzedził lokaja, który go miał zaanonsować. Przyniósł kwiaty. Przepęłniało go szczęście i wdzięczność. Był tak tkliwy, młodzieńczy i czarujący, że widząc go Anetka nie mogła powiedzieć mu o swej decyzji. Zapomniała o wszystkich pięknych postanowieniach i serce jej od pierwszego spojrzenia ponownie poddało się uczuciu. Niekonsekwencja miłości natychmiast pomogła jej znaleźć tyle racji przemawiających za małżeństwem, ile ich przed minutą zaledwie zgromadziła przeciw niemu. Próbowwała walczyć, ale radość błyszczała w jej oczach podkrążonych po bolesnych przejściach nocy. Patrzyła na swego Rogera, który chłonał ją pełnym upojenia wzrokiem, i mówiła sobie:

– „A przecież postanowiłam... powinnam przecie postanowić... Ale co ja właściwie postanowiłam?...”

Jak myśleć, jak zebrać myśli? Nie wiedziała już nic, była stracona! Chwilowo jednak jakże słodko było czuć się kochaną! Z największym wysiłkiem zdobyła się na to tylko, aby prosić Rogera o niespieszenie się z terminem ślubu. On zaś przybrał od razu wyraz takiego rozczarowania i żalu, że brakło jej odwagi, by mówić dalej. Czyż miała sprawiać ból temu kochanemu chłopcu? Pospiesznie i tkliwie zapewniła go o swej miłości, starając się jednak wytrwać przy żądaniu zwłoki, on wszakże zwalczał ten pomysł z taką energią, jakby szło o życie. W

końcu po obustronnych targach i wzajemnych ustępstwach zakochani zgodzili się częściowo ustąpić, tak że termin ślubu został wyznaczony na połowę lata.

Potem Roger wyszedł. Anetka przejrzała się z zakłopotaniem w lustrze i zobaczyła na swej twarzy tenże sam co przedtem wyraz niepewności. Jak z tego wybrnąć? Pomyślała o prze-rwanych przygotowaniach do wyjazdu.

– A to dobre! – powiedziała.

Wzruszyła ramionami i roześmiała się. Roger był tak uroczy!... Włożyła z powrotem do szafy bieliznę i drobiazgi, które wyjęła poprzednio, by je umieścić w walizce.

„A mimo wszystko – pomyślała – nie chcę, nie chcę!...”

Zdenerwowana, upuściła trzymane żabociki... Trach! Posypały się na ziemię, a w ślad za nimi spadać zaczęły różne szczoteczki i inne przybory toaletowe. W zniecierpliwieniu kopnęła cały stos...

Potem pochyliwszy się pozbierała wszystko. Znużyło ją to, więc siadła na podłodze. Niezbyt była dumna ze swej siły woli.

– Głupstwo! – powiedziała wyciągając się na dywanie. – Mam jeszcze cztery miesiące czasu...

Leżąc na brzuchu, z twarzą ukrytą w poduszce, zaczęła liczyć dni...

Roztropni Brissotowie zastosowali się do życzenia Anetki i zgodzili się na przedłużenie okresu narzeczeństwa, nie chcąc zbytnio nalegać, by nie stracić owoców odniesionego zwycięstwa. Wydało im się jednak konieczne otaczać dziewczynę przez ten czas czujną opieką.

Nie można było zostawić jej samej sobie: dziwna ta osóbką gotowa była wymknąć się każdej chwili.

Zbliżała się Wielkanoc i Brissotowie zaprosili Anetkę, by spędziła z nimi święta w ich majątku w Burgundii. Anetka z niechęcią przyjęła propozycję – nęciła ją wprawdzie, lecz jednocześnie napęłniała trwogą. Bała się dorzucić nowe ogniwo do łańcucha, który ją oplatał, bała się, że popadnie do reszty w niewolę lub zerwie ostatecznie, bała się innych, jeszcze groźniejszych rzeczy, o których myśleć nawet nie chciała. Nie pragnęła wyrwać się ze stanu niepewności, w który zapadła, kołysana marzeniami o miłości; cierpiąc, ulegała jednak jego czarowi. Rada by była go nawet przedłużyć, wiedziała jednak, że nie byłoby to lojalne i że nie ma do tego prawa ze względu na Rogera.

Postanowiła w końcu zwierzyć się Sylwii z trawiącego ją niepokoju. Nigdy ani słówkiem nie wspomniała jej o miłości do Rogera, mimo że o innych młodych ludziach mówiła jej wszystko. To prawda... ale owych innych nie kochała! Imię zaś Rogera trzymała w ukryciu.

Sylwia wydała okrzyk zdumienia, nazwała ją „Panną Tajemnicą” i śmiała się do łez słuchając Anetki, która próbowała wyjaśnić jej przyczyny swego niezdecydowania, swych skrupułów i udręczeń.

– Powiedź mi – pytała Sylwia – czy ten twój ptaszek przynajmniej ładny?

– Tak – odparła Anetka.

– A kocha cię?

64

– Tak.

– A ty go kochasz?

– Kocham.

– No więc, cóż ci przeszkadza?

– Ach, to trudno wytłumaczyć! Jakże ci powiem? Kocham go... bardzo kocham... jest zachwycający!

(Zaczęła go opisywać bardzo pochlebnie, a oczy Sylwii błyszczały przekorą. Nagle urwała, by po chwili ciągnąć dalej.)

– Tak, kocham go bardzo... bardzo... a jednocześnie nie kocham go wcale... Jest w nim coś takiego... Nie mogłabym z nim żyć... nie mogłabym, nigdy... Przy tym... przy tym kocha mnie zanadto... chciałby mnie połknąć...

(Sylwia wybuchnęła śmiechem.)

– Naprawdę, mówię ci, chciałby mnie wchłonąć w siebie całą, zabrać całe moje życie, wszystkie moje myśli, powietrze, którym oddycham. O, on ma doskonały apetyt, ten mój Roger. Miło popatrzeć na niego przy stole... Je, aż mu się uszy trzęsą... Ale ja nie chcę być po-

żarta!...

Śmiała się z całego serca, a Sylwia, siedząca na kolanach Anetki i obejmująca ją za szyję, śmiała się także. Anetka mówiła dalej:

– To straszna rzecz czuć, że mnie ktoś w ten sposób pożera żywcem, że nie mam już nic własnego, że nie mogę nic dla siebie zachować... A on się tego nawet nie domyśla. Kocha mnie do szaleństwa, ale mnie się wydaje, że ani przez chwilę nie starał się mnie zrozumieć, nie zatroszczył się nawet o to.

Przychodzi, bierze i porywa mnie...

– Ano, to najlepsza rzecz! – zawyrokowała Sylwia.

– Myślisz tylko o głupstwach! – powiedziała Anetka tuląc ją do siebie.

– A o czymże mam myśleć?

– O małżeństwie. To sprawa poważna.

– Poważna! Och! Nie tak znowu bardzo poważna.

– Jak to? Czyż nie jest to rzecz bardzo poważna dać wszystko z siebie, nic sobie nie zostawiając?

– A któż to mówi? Toż to szaleństwo!

– On chce mieć wszystko!

Sylwia wiła się ze śmiechu niby ryba na piasku.

– Ach... Anetko, kaczątko moje... Ty duży głuptasie ty gapiątko!

(Wydało się jej rzeczą zupełnie łatwą mówić to, co mężczyźni chcą słyszeć, dawać to, czego pragną, a resztę, nic nie mówiąc, zachować dla siebie. Traktowała ich z życzliwą ironią i niewiele sobie robiła z ich wymagań. Nie są przecież zbyt sprytni!...)

– Ale i ja nie jestem! – wyznała Anetka.

– A pewnie! – powiedziała Sylwia. – Bierzesz wszystko na serio...

Anetka ze skruchą przyznała jej słusność.

– Wiem, to źle, to bardzo źle! Chciałabym być do ciebie podobna. Ty masz szczęście!

– Zamieńmy się! Oddaj mi swoje szczęście! – zaproponowała Sylwia.

Anetka nie miała jednak ochoty na zamianę. Po odejściu Sylwii poczuła się silniejsza, lecz mimo wszystko nie rozumiała siebie samej i była zaintrygowana.

– Ciekawe! – mówiła sobie. – Chcę jednocześnie wszystko dać i. wszystko dla siebie zachować!...

Nazajutrz – a była to wigilia wyjazdu – gdy kończyła przygotowania i znów zaczynała się martwić, nieoczekiwana wizyta zwiększywszy jej niepokój, uczyniła jego przyczyną bardziej dla niej uchwytnymi. Zaanonsowano Marcelego Francka.

Po kilku uprzejmych, pełnych kurtuazji słowach nawiązał do zaręczyn Anetki, z czego Roger nie czynił tajemnicy.

Powinszował jej w bardzo miły sposób, a ton słów i wyraz oczu cechowała lekka, życzliwa ironia. Anetce było z nim bardzo dobrze, czuła, że to inteligentny przyjaciel, przed którym nie ma potrzeby nic ukrywać ani nic mówić, ponieważ obie strony rozumieją się w pół słowa.

Mówili o Rogerze i Marceli uśmiechając się wyraził swą zazdrość. Anetka wiedziała, że mówi prawdę i że jest w niej zakochany. Nie wprowadziło ich to jednak w zakłopotanie. Wypytywała o Rogera, którego znał blisko; Marceli wychwalał rywala. Gdy nalegała, by się wyrażał mniej banalnie, odrzekł żartobliwie, że byłoby zbyt ciężkie opisywać jej Rogera, gdyż ona zna go równie dobrze jak on. Mówiąc to wpatrywał się w nią tak przenikliwie, że zmieszana, na chwilę spuściła oczy. Potem, mierząc go z kolei bystrym spojrzeniem, dostrzegła subtelny uśmiech świadczący, że się zrozumieli. Rozmawiali chwilę o rzeczach obojętnych, gdy nagle Anetka przerwała mówiąc z przejęciem:

– Niech mi pan szczerze odpowie! Zdaniem pana postąpiłam źle, prawda?

– Nigdy bym nie śmiał twierdzić, że pani nie ma racji! – odparł.

– Nie, nie chcę uprzejmych słówek! Pan jeden może mi powiedzieć prawdę.

– Pani wie, że położenie moje jest wyjątkowo trudne, panno Anetko.

– Wiem o tym. Ale wiem także, że nie wpłynie ono na szczerłość pańskiego sądu.

– Dziękuję!

Podjęła na nowo:

– Sądzi pan więc, że oboje źle postępujemy, ja i Roger? – Sądzę, że... pani... myli się...

Spuściła głowę. Potem powiedziała:

– I ja tak sądzą.

Marceli nic nie odpowiedział. Patrzył na nią dalej i uśmiechał się.

– Czemuż się pan uśmiecha?

– Pewny byłem, że pani tak myśli.

Anetka pochyliła się ku niemu:

– Proszę, niech mi pan powie, co pan o mnie sądzi?

– Nic nowego powiedzieć nie zdołam.

– Dopomoże mi pan jaśniej zobaczyć samą siebie.

– Jest pani – rzekł zwolna – miłośnicą zbuntowaną (przepraszam!), wiecznie pożądaną miłości i wiecznie zbuntowaną. Odczuwając konieczność niepodzielnego oddania się, czuje pani niezbędną potrzebę zachowania wszystkiego dla siebie.

(Anetka nie mogła ukryć, że jest zaskoczona.)

– Czy to panią razi? – spytał.

– Nie, nie! Wprost przeciwnie. To prawda zupełna. Niech pan mówi dalej!...

– Jest pani istotą niezależną, która jednak nie może pozostać samotna. To prawo natury.

Odczuwa je pani żywiej niż inni, bo jest w pani więcej życia.

– O tak, pan mnie rozumie! Pan mnie rozumie lepiej od niego. Ale...

– Ale pani kocha właśnie jego...

Ni śladu gorczy nie było w tonie tych słów. Spoglądali na siebie bardzo przyjaźnie, z ciekawością i niezwykłością natury ludzkiej.

– Niełatwa to rzecz żyć we dwoje! – zauważyła.

– Owszem, sprawa byłaby nader łatwa, gdyby nie to, że od wieków ludzie silą się, by sobie komplikować życie za pomocą wzajemnego krępowania się. Wystarczy to odrzucić, i koniec.

Oczywiście jednak, kochany nasz Roger, jak wszyscy prawdziwi Francuzi, nie jest zdolny, by to pojąć, i uważałby się za zgubionego, gdyby nie czuł na sobie; brzemienia wszystkich przymusów przeszłości. „Gdzie nie ma trosk, tam nie ma i przyjemności”, tak powiadają – i to zwłaszcza wtedy, gdy dręczeni przez innych, dręczą wzajem najbliższego sąsiada.

– Jakże pan wyobraża sobie zatem małżeństwo? – spytała.

– Jako rozsądną spółkę dla interesu i przyjemności. Życie to winnica, którą się wspólnie eksploatuje. Razem się uprawia ziemię i razem odbywa winobranie, ale nie ma przymusu pi-66

cia wina zawsze razem i zawsze sam na sam. To wzajemne świadczenie: przyjmuje się kielich rozkoszy i z kolei ofiarowuje wybranemu własny, którym każdy do woli rozporządza, ale jednocześnie pozwala się na to, aby obie strony dyskretnie kończyły ucztę gdzie indziej.

– Ma pan na myśli wolność cudzołóstwa? – spytała.

– To stary wyświechtany frazes. Mam na myśli wolność kochania, a to rzecz najważniejsza ze wszystkich.

– Mnie na tym najmniej zależy! – odrzekła Anetka.

– Małżeństwo nie jest w mych oczach rozstajem, gdzie można się oddawać każdemu przechodniowi. Oddaję się wyłącznie jednemu. W dniu, w którym go kochać przestanę lub pokocham innego, rozłączę się z pierwszym. Nie będę się dzieliła. Nie zniosłabym podziału.

Marceli uczynił ironiczny gest, zdający się mówić:

„Czy to takie ważne?”

– Widzi pan tedy, drogi przyjacielu – zakonkludowała – że koniec końcem jestem jeszcze bardziej daleka od pana niż od Rogera.

– Zalicza się więc pani również – spytał Marceli – do owej starej szkoły pod godłem:

„Krępujemy jedni drugich?”

– Jedyne dostojeństwo związku małżeńskiego – powiedziała – stanowi miłość wyłączna, wierność

dwu serc. Jeśli to zniknie, cóż zostanie poza pewnymi korzyściami praktycznymi?

– Nie jest to mało – zauważył.

– To nie wystarczy – odrzekła – by nagrodzić poświęcenie.

– Jeśli pani tak myśli, na cóż się skarżyć? Zaciska pani przecież pęta, z których mogłaby się pani wyzwolić. – Nie domagam się wolności serca! – powiedziała. – Czuję się dość silna, by je dochować bez skazy temu, któremu je dałam.

– Jest pani tego tak pewna? – zapytał spokojnie. Antka wcale pewna nie była! Wiedziała, czym jest zwątpienie. W tej chwili przemawiała tylko jako córka swej matki, nie jako cała Anetka. Ale nie chciała przyznać tego, zwłaszcza w dyskusji z Marcelim. Powiedziała tylko:

– Tak chcę!

– Wola w tych sprawach?... – zdziwił się Marceli i uśmiechnął się znowu. – To zupełnie jakby ktoś twierdził, że płomień czerwony jest płomieniem zielonym. Miłość to latarnia morska o zmiennym świetle.

Ale Anetka uparcie przeczyła:

– Nie dla mnie! Ja nie chcę!

Odczuwała doskonale i w tym samym stopniu konieczność zmiany i trwania bez zmian, owe dwa przemożne instynkty każdego silnie tętniącego życia. Buntował się w niej kolejno ten z nich, który był w danej chwili zagrożony.

Marceli, który znał dobrze dumną i nieustępliwą dziewczynę, skłonił się tylko grzecznie.

Anetka, oceniająca siebie równie przenikliwie jak on, zawstydziała się trochę:

– To znaczy... nie chciałabym... – rzekła cicho. Po tym ustępstwie na rzecz prawdy cią-

gnęła dalej z większą odwagą, gdyż stąpała teraz po pewnym gruncie:

– Chciałabym jednak, by w zamian za obustronny dar wiernej miłości każdy z małżonków miał prawo ułożenia sobie życia według swoich pragnień, kroczenia swoją drogą, poszukiwania własnej prawdy, zapewnienia sobie, jeśli to potrzebne, własnego pola działalności, słowem, prawo do własnego życia duchowego, bez obowiązku poddania się zasadom uznanym przez kogoś innego, choćby to nawet była osoba najdroższa. Żadna bowiem istota nie ma prawa przyjmować w ofierze czyjejs duszy ani też nie ma obowiązku oddawania swojej. To zbrodnia.

– Prześlicznie, droga przyjaciółko! – odparł Marceli. – Ale wie pani... dusza... to przekracza moje kompetencje. Może Roger zna się na tym lepiej. Chociaż obawiam się, że nawet w tym wypadku – inaczej to rozumie. Nie wyobrażam sobie jakoś, by Brissotowie uznawali w 67

swym kółku rodzinnym możliwość jakiegoś innego „prawa duchowego” poza prawem kariery politycznej i osobistej Brissotów.

– Właśnie jutro – odparła śmiejąc się Anetka – jadę do nich, do Burgundii, na kilka tygodni.

– Będzie pani miała tedy sposobność skonfrontowania swego idealizmu z ich idealizmem!

– rzekł Marcelli. – O, to są wielcy idealisci, proszę mi wierzyć! Zresztą może się myłę, może się państwo doskonale zgodzicie. W gruncie rzeczy stworzeni jesteście na to, by żyć wspólnie.

– Kto wie! – zawołała. – Może wrócę stamtąd skończoną Brissotką!

– Do licha, to by było smutne!... Nie, nie, błagam panią... Czy będzie pani panią Brissot, czy nie, proszę pozostać Anetką.

– Niestety, obawiam się, że gdybym nawet chciała ją zatracić – nie potrafiłabym – odparła.

Pożegnał ją ucałowaniem ręki.

– Szkoda jednak! – powiedział i odszedł.

Anetka również myślała, że szkoda, choć nieco inaczej, to pojmowała niż on. Mimo że są-

dził ją wnikliwie i oceniał trafnie, nie rozumiał jej wcale, podobnie jak Roger, który jej nie znał zupełnie. By ją zrozumieć, należało mieć duszę i bardziej „religijną” – religią wolności –

niż którykolwiek bądź spośród wszystkich niemal młodych ludzi ówczesnej, Francji. Ci bowiem, którzy są religijni, zachowują tradycję katolicyzmu, to jest wyznają posłuszeństwo i rezygnują ze swobody ducha (zwłaszcza jeśli idzie o kobiety). Ci zaś, którzy są wolni duchem, rzadko wiedzą coś o najgłębszych potrzebach duszy.

Roger czekał nazajutrz z bryczuszką na małej stacyjce burgundzkiej, gdzie Anetka wysiadła. Kiedy go zobaczyła, pierzchły od razu wszystkie troski. Roger był tak szczęśliwy! Ona również czuła się szczęśliwa. Wdzięczna była paniom Brissot, że znalazły jakieś niezręczne wymówki i nie wyjechały na jej spotkanie.

Był pogodny wiosenny wieczór. Złoty widnokrąg podkreślał miękką falistość terenu, świe-

żą, jasną zieleń i różowy odcień zoranych pól. Śpiewały skowronki. Dwukółka toczyła się po białej drodze, a kopyta małego, ognistego konika dudniły po niej rozgłośnie. Rzeźwy powiew muskał różowe policzki Anetki. Siedziała przytulona do towarzysza, który powożąc śmiał się, mówił do niej, czasem zaś, pochylając się nagle, w przelocie brał z jej ust i dawał pocałunki.

Nie broniła mu. Kochała go, bardzo kochała! Nie przeszkadzało jej to zdawać sobie sprawę, że za chwilę zacznie sądzić i jego, i siebie samą. Inna rzecz sądzić, a inna kochać. Kochała go jak to

powietrze, jak niebo, jak powiew idący od łąk, jak część wiosny. Jutro czas będzie zrobić ład w swoich myślach. Na dziś dawała sobie urlop. Radujmy się, myślała, tą rozkoszną chwilą! Nie powtórzy się już... Zdawało jej się, że unosi się nad ziemią wraz z ukochanym.

Droga trwała zbyt krótko, mimo że na ostatnim zakręcie, jadąc pod górę topolową aleją, zwolnili bardzo, a nawet, chcąc dać wytchnąć konikowi, przystanęli pod wysokim żywopłotem zakrywającym fasadę pałacu; milcząc objęli się tu długim uściskiem.

Brissotowie otoczyli Anetkę troskliwością. Umieci w delikatny sposób obudzić w niej wspomnienie o ojcu. Pierwszego wieczora czuła się dobrze w ich rodzinnym kole, rozrzew-niona i wdzięczna. Od tak dawna już pozbawiona była serdecznego ciepła domowego ogniska. Chciała się ludzić; zresztą starały się o to obie strony. Chęć oporu została uśpiona.

W nocy zbudziła się słysząc mysz hałasującą za obiciem. Wśród ciszy starego domostwa szmer rozlegał się donośnie, przywodząc jej na myśl łapkę na myszy. Powiedziała sobie:

„Złapałam się!...” – Przerazona, usiłowała rozumować:

„Nie, nie, nie chcę... to nieprawda...” Pot nerwowego wyczerpania oblał jej ramiona.

68

„Jutro pomówię poważnie z Rogerem. Trzeba koniecznie, by mnie poznał. Musimy się lojalnie zastanowić, czy. możemy żyć razem...”

Ale nazajutrz widok Rogera napełnił ją taką radością, tak dobrze było czuć się objętą falą serdecznego przywiązania, z takim upojeniem oddychali razem oszałamiającą słodyczą wiosny, tak pięknie marzyli o szczęściu (nieosiągalnym może, ale kto wie... może tak bliskim, że tylko sięgnąć ręką...), że rozmowę odłożyła do jutra... a potem znowu do jutra... i znowu...

Co noc wracała trwoga kłując boleśnie serce.

„Koniecznie muszę pomówić, choćby ze względu na Rogera. Każdy dzień wiąże nas silniej, i mnie, i jego. Nie mam prawa milczeć. To tak, jakbym go oszukiwała...” O Boże, jakże była słaba! A wszakże nie była taka w codziennym życiu. Technienie miłości podobne jest do gorącego wiatru, od którego upalnej mocy słabną siły i omdlewa serce. W

ślad za mroczną żądzą przychodzi straszliwe wyczerpanie i lęk ogarnia, lęk przed najmniej-szym ruchem, lęk przed myślą – a dusza, jakby pogrążona we śnie, boi się zbudzić. Anetka wiedziała, że przy pierwszym jej poruszeniu marzenia prysną.

Choćbyśmy jednak trwali w bezruchu, czas porusza się za nas, a uciekające dni unoszą z sobą złudzenie, w którym trwać byśmy chcieli. Na nic się nie zda czuwanie nad sobą, nie sposób żyć wciąż razem od rana do wieczora, tak by po pewnym czasie me ukazać swej prawdziwej istoty.

– Rodzina Brissotów ukazała się w swej rzeczywistej postaci. Uśmiech był tylko fasadą.

Anetka zaś weszła teraz do wnętrza gmachu. Ujrzała zajętych interesami ponurych bourgeois¹⁷, którzy zawiadywali swym mieniem z jakąś cierpką przyjemnością. Nie było tu mowy o socjalizmie. Spośród nieśmiertelnych zasad uznawano tu tylko Deklarację Praw...¹⁸ Właściciela. Biada temu, kto by odważył się dokonać na nie zamachu. Czuwali pilnie i bezustannie nad swym stanem posiadania, a ów baczny nadzór dawał im coś w rodzaju zadowolenia splecionego z wiecznych trosk. Żyli w ustawicznej walce podjazdowej ze swą służbą, dzierżawcami, robotnikami z winnic oraz wszystkimi sąsiadami. Skłonność do pieniactwa, właściwa ich rodzinie i prowincji, kwitła tu w najlepsze. Papa Brissot śmiał się z całego serca, gdy mu się udało chwycić w pułapkę kogoś, na kogo czatował. Ale nie śmiał się ostatni, bo przeciwnik był z tejże samej burgundzkiej gliny ulepiony. Nie dając za wygraną, odpowiadał nazajutrz nowym kruczkiem. I sprawa rozpoczynała się na nowo...

Anetki nie wtajemniczano, oczywiście, w owe zatargi. Brissotowie mówili o nich między sobą w salonie lub przy stole, gdy Roger i Anetka wydawali się sobą tylko zajęci. Ale wyostrzona uwaga dziewczyny pilnie notowała wszystko, co mówiono. Roger zresztą sam czasem przerywał czułą pogawędkę i brał udział w dyskusji, która roznamiętniała ich wszystkich.

Zapalali się w takich razach, mówili jeden przez drugiego i zapominali o Anecie albo też brali ją na świadka faktów, których nie знаła. Trwało to aż do chwili, kiedy pani Brissot, przypominając sobie o obecności słuchaczki, przecinała dyskusję i rozplływając się w uśmiechu zwracała się znów ku niej, kierując rozmowę na lżejsze tematy. Zaraz, bez przejścia, wracano wówczas do uprzejmej dobroduszości. W ogólnym tonie rozmów w ciekawy sposób łączyła się pruderia i swoboda galicka, podobnie jak życie mieszkańców pałacu cechowała jednocze-

śnie wystawność i skrajne skąpstwo. Jowialny papa Brissot układał kalambury. Panna Adela rozprawiała o poezji i każdy wtrącał słówka na ten temat. Sądziło się, że znają się na nim, a tymczasem upodobania ich były o dwadzieścia lat spóźnione. Na ogół mieli wyrobione zdanie o wszystkich problemach sztuki i popierali je autorytetem takiego to a takiego obwieszzonego orderami „przyjaciela z Akademii”. Trudno sobie wyobrazić umysły trwożliwsze a zarazem bardziej despotyczne od tych, które mieli owi wielcy bourgeois, przekonani, że są równie postępowi w ocenie najnowszych prądów sztuki jak i ostatnich wydarzeń w zakresie polityki.

17 Bourgeois (fr.) — mieszczanie.

18 Deklaracja Praw... Właściciela – ironiczna aluzja do Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z r. 1789.

69

W rzeczywistości było inaczej, gdyż w obydwu tych dziedzinach opinie swe najzupełniej świadomie kształtowali w zależności od zwyciężającego kierunku.

Anetka czuła się im obca. Słuchała, patrzyła i mówiła sobie:

„Cóż ja mam do roboty pośród takich typów?” Na myśl, że ktoś z nich mógłby sobie rościć prawa do – roztaczania nad nią „opieki”, nie buntowała się nawet, ale odczuwała ochotę śmiechu. Przychodziło jej na myśl, co by powiedziała Sylwia, gdyby jej zaofiarowano rodzinę tego pokroju. Cóż by to był

za wrzask, co za wybuchy śmiechu!...

Reagowała czasem tak samo, znalazłszy się sama w ogrodzie. Zdarzało się, że posłyszał ją Roger i pytał zdumiony:

– Co cię tak rozśmieszyło?

– Nic, jedyny... Nie wiem... Ot, głupstwo i tyle! Starła się przybrać poważną minę, ale nie mogła się powstrzymać i na nowo wybuchała śmiechem, czasem nawet w obecności pań Brissot. Przepraszała, a pobłażliwe, choć nieco urażone Brissotki mówiły:

– Dziecko z niej jeszcze. Musi się wyśmiać do woli?

Nie zawsze się jednak śmiała. Wesołość jej przesłaniały nagle chmury. Po spędzonych z Rogerem promiennych godzinach, pełnych tkliwości i zaufania, przychodziły niespodzianie i bez przyczyny napady melancholii, zwątpienia i trwogi. Chwiejność myśli, trapiąca ją od ze-szłej jesieni, nie tylko nie zmniejszyła się, lecz przeciwnie, zaznaczała się coraz wyraźniej w ciągu tych miesięcy odwzajemnianej miłości. Budziły się w niej ni stąd, ni zowąd sprzeczne, dziwaczne popędy, niezwykła drażliwość sprawiała, że dumę jej byle czym można było zranić, stawała się nerwowa, kapryśna, ironiczna i złośliwa lub chmurna i wyniosła, odczuwała przy tym nie dające się wytłumaczyć urazy. Czyniła wysiłki, by wszystko to ukryć i stłumić, ale wyniki nie były najlepsze. Zapadała wówczas w milczenie, pełne nienawiści i niepokoju.

Nie zatraciła zwykłej jasności sądu, więc dziwiła się tym zmiennym nastrojom i wyrzucała je sobie. Niewiele to pomagało, ale poczucie własnej niedoskonałości czyniło ją pobłażliwą – co prawda, raczej z nakazu woli niżli ze szczerego serca – dla owych komicznych figur („znowu impertynencja... przepraszam, już nie będę!”). Wszakże byli rodzicami Rogera, trzeba więc było się na nich zgodzić, jeśli godziła się na samego Rogera... Cała rzecz w tym, czy godziła się na Rogera. Reszta, Boże drogi, nie miała wielkiego znaczenia, można się bowiem bronić we dwoje.

Czy jednak we dwoje? Czy Roger zechce jej bronić? Zresztą zanim zada sobie pytanie, czy godzi się na Rogera, winna była spytać, czy Roger zgodzi się na nią szczerze i wspaniało-myślnie, gdy wreszcie zobaczy ją taką, jaką jest naprawdę. Dotąd widział tylko jej usta i oczy.

Nie zdawało mu się bardzo zależeć na poznaniu prawdziwej Anetki – jej myśli i pragnień; dogodniej mu było kształtować jej obraz według własnej woli. Anetka jednak łudziła się nadzieją, że dzięki miłości nie będzie rzeczą niemożliwą, poznawszy się do głębi serca, powiedziec sobie wzajemnie:

„Biorę cię. Biorę cię, jakim jesteś. Biorę cię wraz z wadami twymi, z demonami, które w tobie żyją, z twymi wymaganiami, z twoim prawem życia. Jesteś, czym jesteś. Kocham cię takim, jakim jesteś.”

Ze swej strony uważała się za zdolną do takiego aktu miłości. W ostatnich dniach bacznie obserwowała Rogera swymi błękitnymi jak kwiaty oczyma, w których, choć nikt tego nie spostrzegwał, odbijało się wszystko dokoła. Roger, zaufawszy jej zupełnie, często okazywał się więcej Brissotem, niżby pragnęła; wciągały go sprawy i spory jego plemienia i traktował je z tą samą co oni skłonnością do pieniactwa. Wiele rzeczy w nim nie podobało się bynajmniej Anetce, raziły ją pewne

akcenty bezwzględności i skłonność do wykrętów, ale nie chciała go surowo sądzić, jakby to uczyniła w stosunku do innych. Zdawało jej się, że cechy te są przejęte od otoczenia. Roger pod wielu względami wydawał się jej jeszcze dzieckiem, chwiejny i podległy rodzinie, którą – błogo w nią wpatrzony – naśladował; umysł zaś jego wbrew zuchwałym słowom był bardzo nieśmiały. Mimo że zaczęła dostrzegać niestałość jego projek-70

tów odnowy społecznej i przestała wierzyć bez zastrzeżeń w jego oratorski idealizm, nie brała mu tego za złe, gdyż wiedziała, że nie chciał jej oszukiwać i że sam przede wszystkim ulega własnym złudzeniom. Z pełną tkliwością ironią była nawet gotowa usuwać mu z drogi wszystko, co by mogło rozwiązać złudzenia, których potrzebował, by żyć. Nawet naiwny egoizm, któ-

ry demonstrował czasem w sposób wręcz krępujący, nie odpychał jej, bo miała wrażenie, że brak mu złośliwości. W gruncie rzeczy wszystkie jego braki miały swe źródło w słabości; Bawiło ją to, że pozował na mocarza... człowieka z brązu... aes triplex...¹⁹ Biedny Roger! To było niemal wzruszające. Anetka śmiała się z niego po cichu, ale miała dla niego niewyczerpane skarby pobłażania. Kochała go bardzo. Mimo wszystko wydawał jej się dobry, szlachetny i płomienny. Była jak matka, co karci łagodnie małe i błahe w jej oczach błędy ukochanego dziecka, nie czyniąc go za nie odpowiedzialnym, skłonna raczej żałować je i pieścić... A zresztą Anetka patrzyła na Rogera nie tylko oczyma pobłażliwej matki! W spojrzeniu jej. była stronniczość kochanki. To ciało doszło do głosu, a głos ten brzmiał donośnie. Rozum mógł

sobie mówić, co chciał, ona umiała go słuchać w ten sposób, że nawet przygana budziła po-

żądanie. Widziała dobrze wszystko. Ale podobnie jak pochylając głowę i mrużąc powieki, harmonizujemy płaszczyzny pejzażu, Anetka, dostrzegając niepożądane cechy Rogera, patrzyła pod kątem znacznie je łagodzącym. Gotowa była niemal kochać nawet to, co w nim brzydkie, gdyż kochając wady ukochanego człowieka dajemy więcej z siebie. Miłując wy-

łącznie to, co piękne, nie dajemy, lecz tylko bierzemy.

Anetka myślała:

„Kocham cię za to, że jesteś niedoskonała. Gdybyś sobie zdawał sprawę, że to widzę, gniewałbyś się. Przepraszam! nic nie widziałam. Ale ja jestem inna, chcę, byś ty widział me braki! Tak, jestem niedoskonała; jestem – i cenię to sobie, gdyż właśnie wady są bardziej mną niż wszystko inne. Jeśli mnie chcesz, musisz je przyjąć wraz ze mną. Czy je weźmiesz? Niestety, nie chcesz na nie patrzeć. Kiedyż zadasz sobie wreszcie trud poznania mnie?”

Rogerowi nie było spieszno. Po wielu daremnych wysiłkach sprowadzenia go na to niebezpieczne terytorium, którego zdawał się unikać, Anetka przystanęła raz podczas przechadzki, przerwała rozmowę i ujmując jego dłonie powiedziała:

– Rogerze, musimy koniecznie pomówić.

– Pomówić! – zawołał ze śmiechem. – Ależ wydaje mi się, że nie żałujemy sobie tego!

– Nie – odparła. – Nie idzie o mówienie sobie miłych rzeczy, musimy pomówić poważnie.

Twarz jego natychmiast przybrała wyraz niepokoju.

– Nie bój się! – rzekła. – O sobie samej chciałabym z tobą pomówić.

– O sobie? – rzekł rozpogadzając się. – W takim razie będzie to rzecz piękna.

– Zaczekaj, zaczekaj! – rzuciła. – Wysłuchawszy zmienisz może zdanie.

– Cóż byś mi mogła powiedzieć nieoczekiwanego? Czyż w ciągu tylu dni razem spędzonych nie powiedzieliśmy już sobie wszystkiego?

– Co do mnie, zwykle mam tylko sposobność do powiedzenia: Amen! – odparła śmiejąc się. – Mówisz zawsze ty sam.

– Niedobra dziewczyno! – powiedział. – Czyż nie mówię wyłącznie o tobie?

– O tak, mówisz i o mnie – także. A nawet mówisz za mnie.

– Wydaje ci się, że mówię za dużo? – spytał naiwnie.

Anetka przygryzła usta.

19 Aestriplex (łac.) – część zwrotu: aes triplex circa pectus erat – dosłownie: pierś otoczona potrójnym pancerzem ze spiżu; w znaczeniu przenośnym: człowiek nie znający obawy.

71

– Nie, nie, drogi Rogerze. Lubię cię słuchać. Ale kiedy o mnie mówisz, słucham tylko, a to jest piękne, tak piękne, że powiadam: niechże więc tak będzie. Tymczasem jest zgoła inaczej.

– Jesteś pierwszą chyba kobietą, która się skarży z powodu piękności swego portretu.

– Wolałabym, aby był podobniejszy. Nie piękny portret zawieszysz, drogi Rogerze, w swym domu rodzinnym. Jestem kobietą żywą, obdarzoną wolą, namiętnościami, myślami. Czy pewny jesteś, że będę mogła wejść do ciebie z mym całym bagażem?

– Biorę wszystko z zamkniętymi oczyma.

– Proszę, byś je otworzył.

– Widzę twoją czystą duszę malującą się na twarzy.

– Biedny Rogerze! Dobry Rogerze... nie chcesz więc patrzeć?

- Kocham cię. To mi wystarcza.
- Kocham cię także. Ale mnie to nie wystarcza.
- Nie wystarcza? – spytał zmieszany.
- Nie. Muszę wiedzieć.
- Cóż chcesz wiedzieć?
- Chciałabym zobaczyć, jak mnie kochasz?
- Kocham cię więcej niż wszystko.
- Oczywiście! Nie możesz kochać mniej. Ale ja nie pytam o ilość, jeno o jakość twojej miłości. Wiem, że mnie chcesz, ale co zamierzasz naprawdę uczynić z twojej Anetki?
- Połowę siebie samego.
- Otóż właśnie! Dowiedz się, drogi przyjacielu, że nie jestem połową. Ja, twoja Anetka, jestem cała i niepodzielna.
- Tak się mówi przecież. Chciałem powiedzieć, że ty jesteś mną, a ja tobą.
- Nie, Rogerze, nie bądź mną! Pozwól, abym ja była sobą.
- Czyż nie uczynimy tego łącząc w jedno nasze dwa życia?
- To mnie właśnie niepokoi. Boję się, że nie będę mogła pozostać taką, jaką jestem.
- Cóż cię niepokoi, Anetko? Cóż to za myśli dziwne? Kochasz mnie, prawda? To rzecz najważniejsza! Nie troszcz się o resztę. Resztą ja się zajmę. Zobaczysz, wszystko urządzę – ja sam i moi bliscy, którzy będą też twoimi. Urządzimy ci życie tak, że nie będziesz miała nic innego do roboty, jak tylko dać się unosić fali.

Anetka patrzyła w ziemię rysując końcem bucika jakieś znaki na piasku. Uśmiechała się.

(Nic nie rozumiał ten kochany chłopak...)

Podniosła oczy na Rogera, który czekał spokojnie jej odpowiedzi. W końcu rzekła:

- Rogerze, spójrz na mnie. Czyż nie mam silnych nóg?
- Silne i piękne! – powiedział.
- Nie o to idzie teraz – pogroziła mu palcem. – Gzy nie dobry ze mnie piechur?

– Zapewne, i kocham cię za to także.

– Czy sądzisz zatem, że dam się unosić fali? Jesteś dobry, bardzo dobry, dziękuję ci, ale pozwól mi chodzić! Nie należę do osób lękających się zmęczenia drogą. Pozbawić mnie tego

– znaczyłoby odebrać mi całą chęć do życia. Mam wrażenie, że ty i twoi bliscy macie zamiar oszczędzić mi trudu działania i wyboru i chcecie wszystko urządzić w ustalonych z góry przegródkach, oczywiście, bardzo wygodnych, wyznaczyć kierunek twego życia, ich i mojego także – całą przyszłość. Ja bym tego nie chciała. Ja nie chcę. Czuję, że zaczynam dopiero, że szukam, i wiem, że muszę szukać, szukać samej siebie.

Roger patrzył życzliwie, ale trochę drwiąco.

– A czegoż to właściwie szukasz? W tym, co mówiła, widział tylko chimery dziewczęce.

Odczuła to i powiedziała z przejęciem:

– Nie kpij!... Znam swoją wartość i nie daję się ponosić zarozumiałości. Ale wiem, że jestem... i. że mam przed sobą życie... jedno ubogie życie... Tak krótko potrwa i nie powtórzy 72

się już nigdy!... Więc przysługuje mi prawo... nawet nie prawo, to zbyt egoistyczne, prawda?... mam tedy obowiązek nie marnować go, nie wydać na łaskę przypadku...

Zamiast się wzruszyć, uczuł się dotknięty.

– Sądzisz, że wydajesz się na łaskę przypadku, że życie twe będzie zmarnowane? Czyż nie będzie miało pięknego, bardzo pięknego celu?

– Piękny cel, niezawodnie... ale jaki? Co mi ofiarujesz? Zaczął opisywać ponownie z wielkim zapałem swą polityczną karierę, przyszłość, o której marzył, wielkie aspiracje osobiste i społeczne. Ona słuchała w milczeniu, potem zaś, przerywając łagodnie (temat ten bowiem nie nużył go nigdy), powiedziała:

– Tak, Rogerze, naturalnie, to wszystko interesuje mnie bardzo. Ale prawdę mówiąc...

niech cię to tylko nie urazi!... nie wierzę tak mocno jak ty w tę działalność polityczną, której się poświęcasz.

– Jak to? Nie wierzysz? A przecież wierzyłaś, gdym ci opowiadał wszystko, w pierwszych czasach znajomości naszej ,w Paryżu...

– Zmieniłam się trochę.

– Cóż by cię mogło zmienić? Nie, nie, to niemożliwe. Zmienisz się znowu. Moja wielko-duszna Anetka nie może pozostać obojętna na sprawy ludu, na sprawy przebudowy społecznej...

– Nie zobojętniałam na te sprawy, ale na ich stronę polityczną.

– Jedno łączy się z drugim.

– Niezupełnie.

– Zwycięstwo jednego będzie triumfem drugiego.

– Wątpię w to trochę.

– A jednak to jedyny sposób przysłużenia się sprawie postępu, sprawie ludu.

(Anetka pomyślała: „Przysługując się własnemu dobru!” – ale wzięła to sobie za złe.)

– Widzę inne sposoby! – rzekła.

– Jakież to?

– Najstarszy, a najlepszy chyba. Wszakże uczniowie Chrystusa rozdawali i porzucali wszystko, żeby iść pomiędzy lud.

– Cóż za utopia!

– Tak, to prawda. Ty nie jesteś utopistą, Rogerze. Myślałam tak z początku. Teraz już w to nie wierzę. W polityce kierujesz się względami realnymi. Pewna jestem, że przy swoich zdolnościach osiągniesz w przyszłości wielkie sukcesy. Powątpiewając w sprawę nie wątpię w ciebie. Zrobisz wspaniałą karierę. Widzę cię już jako przywódcę stronnictwa, jako oklaskiwanego mówcę, zbierzesz w parlamencie większość, zostaniesz ministrem...

– Dość tego! – powiedział. – „Makbecie, zostaniesz królem!...”

– Tak. Jestem trochę wróżką... gdy idzie o innych. Przykre tylko, że nie mam tego daru w stosunku do samej siebie.,

– Cóż w tym trudnego! Jeśli zostanę ministrem, i ciebie to również dotyczyć będzie... Powiedz szczerze, nie zrobiłoby ci to przyjemności?

– Co? Teka ministra? Wielkie nieba! Najmniejszej! Przepraszam, cieszyłoby mnie to ze względu na ciebie i gdybyśmy byli razem, wierz mi, grałabym jak najstaranniej swą rolę, by-

łabym szczęśliwa mogąc ci dopomagać. Ale mimo wszystko (prawda, chcesz, abym była szczerą?) przyznaję, że nie wypełniłoby to jeszcze wcale mego życia.

– Oczywiście, rozumiem – odpowiedział. – Nawet kobieta stworzona, aby być towarzyszką życia działacza politycznego, nie może się ograniczać do tego wyłącznie, weźmy na przykład mą matkę, kobietę naprawdę godną podziwu. Istotnym jej zadaniem jest piecza nad ogniskiem domowym, a istotnym powołaniem: macierzyństwo.

– Wiem – odrzekła. – Tego powołania nie kwestionujecie. Ale (boję się powiedzieć to, co myślę,

boję się, że mnie nie zrozumiesz)... nie wiem jeszcze, co mi przyniesie macierzyństwo.

73

Lubię dzieci. Przypuszczam, że będę bardzo przywiązana do swoich – nie podoba ci się to określenie... wiem, jest zbyt chłodne – może je więc będę bardzo kochała... Możliwe... nie wiem. Nie chcę mówić czegoś, czego nie odczuwam. Jeśli mam być szczerą, to „powołanie” owo nie jest jeszcze we mnie należycie rozbudzone. Zanim życie objawi mi to, czego na razie nie znam, sądzę, że kobieta nie powinna pod żadnym warunkiem zatracać całego życia swego w miłości do dziecka. (Nie marszcz brwi!...) Przekonana jestem, że można bardzo kochać swoje dziecko, dopełniać lojalnie obowiązków domowych, a jednocześnie zachować część swej istoty – jak to jest naszym obowiązkiem – dla tego, co najistotniejsze.

– Tego, co najistotniejsze?

– Dla własnej duszy.

– Nie rozumiem.

– Jakże dać komuś pojęcie o własnym życiu wewnętrznym? Słowa są tak niejasne, chwiejne, niezdarne... Dusza... jakże śmieszna rzecz mówić o swojej duszy! Cóż to właściwie znaczy? Nie potrafię wytłumaczyć. Ale jest. To jest to, czym jestem, Rogerze. To, co we mnie najprawdziwsze i najgłębsze.

– Czyż nie dajesz mi tego, co w tobie najprawdziwsze i najgłębsze?

– Nie mogę wszystkiego dać.

– Więc mnie nie kochasz.

– Kocham cię, Rogerze. Ale nikt nie może dać wszystkiego.

– A więc nie dość mnie kochasz. Kochając nie myśli się, by coś zachować dla siebie. Mi-

łość... miłość... miłość...

Dał się porwać potoków! wzniosłych słów. Wychwalał w patetycznych słowach ideę zupełnego oddania, radość ofiary dla szczęścia osoby kochanej. Ona zaś myślała tymczasem: („Czemuż mówisz to wszystko, najdroższy? Myślisz, że nie wiem? Sądzisz, że nie byłabym zdolna poświęcić się dla ciebie w razie potrzeby i że nie umiałabym znaleźć w tym rado-

ści? Uczyniłabym to, ale pod jednym warunkiem: byś tego nie żądał. Czemu żądasz? Czemu uważasz to za swoje prawo? Czemu nie masz zaufania do mnie i do mojej miłości?”) Gdy skończył, powiedziała:

– To bardzo piękne. Nie jestem, jak wiesz, zdolna wyrazić tego wszystkiego równie dobrze. Możliwe jednak, że mogłabym to przy sposobności odczuć.

– Możliwe?... Przy sposobności? – zawołał.

– Zdaje ci się, że to za mało... Prawda? To jest więcej, niż ci się zdaje... Nie lubię obiecywać więcej (bo może to właśnie będzie mniej), niżli mogę dotrzymać. Nic nie wiem z góry.

Trzeba sobie wzajem zaufać. Oboje jesteśmy rzetelni, Rogerze. Kochamy się. Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

Znów zachnął się.

– Wszystko, co w naszej mocy!... – wykrzyknął. Uśmiechnęła się i odrzekła:

– Zaufaj mi, Rogerze. Potrzebna mi twa ufność, bo chcę cię o wiele prosić.

– Mów! – powiedział ostrożnie.

– Kocham cię, Rogerze, ale chcę żyć prawdą. Od dziecięcych lat byłam dość samotna i miałam wiele swobody. Ojciec zostawił mi zupełną wolność, której nie nadużywałam, gdyż wydawała mi się całkiem naturalna i była zdrowa. Nabrałam przeto nawyków intelektualnych, bez których trudno by mi się było obejść. Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem nieco odmienna od większości młodych dziewcząt z mojej sfery. A jednak sądzę, że one odczuwają to samo co ja, tylko że ja mam odwagę to wypowiedzieć i lepiej potrafię sobie wszystko uświadomić. Chcesz, bym złączyła moje życie z twoim. I ja tego pragnę. Zresztą, najgłębszym pragnieniem każdej z nas jest pozyskanie ukochanego towarzysza. Mógłbyś nim zostać, Rogerze, gdybyś... gdybyś... chciał tylko.

– Gdybym chciał? – powiedział. – Żartujesz chyba! Wszakże chcę tylko tego.

74

– Gdybyś naprawdę chciał zostać mym towarzyszem, Rogerze. Nie żartuję wcale. Namysł się dobrze... Połączyć dwa życia to nie znaczy zdławić jedno z nich... Cóż ty mi ofiarujesz?

Nie dostrzegasz nawet tego, bo świat z dawien dawna nawykł do takich nierówności. Ale dla mnie to nowość... Przynosisz mi nie tylko swoje uczucie, przychodzisz wraz ze swymi bliźskimi, z przyjaciółmi, znajomymi, powinowatymi, z gotową, wykreśloną drogą życia, ustaloną karierą, z partią swą i jej dogmatami, z rodziną, która ma już swe tradycje, słowem, z ca-

łym światem własnym, ze światem, którym sam jesteś. Ja posiadam również swój świat, jestem tak samo światem. A ty mi mówisz: „Porzuć twój świat i wkrocz w granice mego.” Gotowa jestem przyjść do ciebie, ale cała, ze wszystkim, co jest we mnie. Czy chcesz mnie przyjąć całą?

– Chcę, ale toś ty powiedziała mi przed chwilą, że całej siebie dać nie możesz.

– Nie rozumiesz mnie. Pytam, czy weźmiesz mnie wolną i całkowitą?

– Wolną? – rzekł Roger ostrożnie. – Od czasu Wielkiej Rewolucji wszyscy we Francji są wolni.

(Anetka uśmiechnęła się. – Ładna gwarancja!...)

– Ale trzeba się porozumieć – ciągnął dalej. – Rzecz oczywista, że z chwilą małżeństwa nie będziesz całkiem wolna, zaciągniesz bowiem pewne zobowiązania.

– Nie lubię tego słowa, ale rzecz sama mnie nie przestrasza. Wezmę z radością i dobrowolnie na siebie część trosk i trudu człowieka kochanego oraz część obowiązków wspólnego życia. Im będą cięższe, tym dzięki miłości staną mi się droższe. Ale mimo to nie rezygnuję z obowiązków mego własnego życia.

– Jakież to obowiązki? – spytał. – Wedle tego, coś mi mówiła i co wiem, wydaje mi się, że dotychczasowe twoje życie, droga Anetko, tak spokojne, skromne, nie miało zbyt wielkich wymagań. Czegóż się może domagać teraz? Czy masz na myśli twoje studia? Chcesz je prowadzić dalej? Ten rodzaj działalności, wyznaję, nie wydaje mi się odpowiedni dla kobiety.

Chyba że idzie o powołanie. To zaś bardzo przeszkadza w małżeństwie; myślę jednak, że nie jesteś obciążona tym darem nieba. Jesteś na to zbyt prosta i zrównoważona.

– Nie, nie ma mowy o jakimś specjalnym powołaniu. Wówczas rzecz byłaby jasna, nale-

żałoby iść za nim, i koniec. Wymagania (jak powiadasz) mego życia nie tak łatwo sformułować, gdyż są mniej określone, a znacznie szersze. Idzie o prawo, jakie przysługuje każdej żywej duszy, o prawo przemiany.

– Przemiany?! – wykrzyknął Roger. – Chcesz zmian w miłości?

– Dusza, zostając nawet, jak tego chcę, zawsze wierna jednej miłości, ma prawo się zmieniać. Tak, wiem, Rogerze, że słowo to cię przestrasza. Mnie samą niepokoi. Jeśli piękna jest chwila, którą przeżywam, rada bym zastygnąć w bezruchu. Żał mi, że jej nie mogę utrwalić na zawsze! A jednak nie wolno tego czynić, Rogerze, i zresztą nie można. Nie stoimy w miejscu. Żyjemy, poruszamy się, jesteśmy popychani, prąd życia unosi nas z sobą... Trzeba, trzeba tedy koniecznie iść naprzód. Nie zagraża to w niczym miłości. Zabieramy ją wraz z sobą. Ale miłość nie powinna nas wstrzymywać, cofać wstecz i zamykać w pełnym słodczy bezruchu jednej myśli. Piękna miłość trwać może przez całe życie, ale nie wypełnia go po brzegi. Po-myśl, drogi Rogerze, że kochając cię, bardzo, mogę pewnego dnia uczuć, że mi ciasno (już to czuję) w kręgu twojej działalności i myśli. Nigdy nie będę przeczyć wartości tego, coś wybrał

dla siebie. Ale czy byłoby sprawiedliwe narzucanie mi tego samego? Czyż nie uważasz za słuszne, by mi wolno było otworzyć okno, jeśli zapragnę odetchnąć swobodnie, a nawet drzwi (o, nie odejdę zbyt daleko!), bym zachować mogła własny teren .działania, własne zainteresowania umysłowe, krąg przyjaciół, bym nie musiała tkwić ustawicznie w jednym zakątku globu, pod tym samym widnokregiem, bym miała swobodę zmiany klimatu, wyjazdu? Mówię ci to wszystko, choć nie wiem, czy to będzie potrzebne. Konieczne mi jest tylko poczucie wolności działania, świadomość, że mogę chcieć, mogę oddychać swobodnie, że jestem wolna, że mogę się czuć wolna, choćbym nawet nie korzystała z tej wolności.

Przebacz, Rogerze, może ci się to wyda absurdalne i dziecinne. Tak nie jest, zaręczam ci, to najgłębsza treść mej istoty, to tchnienie, które sprawia, że żyję. Umarłabym bez tej swobody... Uczynię wszystko z miłości, ale przymus mnie zabija, sama myśl o przymusie doprowadzałaby mnie do buntu. Nie, związek dwu istot nie powinien być wzajemnym okuwaniem się w kajdany. Powinien przypominać dwa kwiaty rozkwitające na jednej łodydze. Chciałabym, by każdy, miast zazdrościć drugiemu swobodnego rozwoju, czuł się szczęśliwy, że mu w nim może pomóc. Czy myślisz podobnie, Rogerze? Czy potrafiłbyś kochać tak bardzo, by kochać mnie wolną, wolną od ciebie?

(Myślała: „Będę wówczas stokroć więcej twoja!...”) Roger słuchał jej zatroskany, zdenerwowany, a nawet poniekąd dotknięty; tak przyjąłby to zresztą każdy mężczyzna, Anetka winna się była zdobyć na więcej zręczności. Powodowana wrodzoną potrzebą szczerości i obawą, by nie oszukać Rogera, skłonna była zawsze wyolbrzymiać to właśnie, co w jej poglądach mogło go dotknąć. Ale miłość silniejsza niżli jego miłość nie dałaby się temu zwieść. Roger, podrażniony w miłości własnej, wahał się pomiędzy dwoma uczuciami. Skłonny był nie brać na serio tego kobiecego kaprysu, z drugiej zaś strony rozgniewał go ów otwarty bunt. Nie dostrzegł, iż wzruszona, odwoływała się do jego serca, a zauważył tylko jakby ukrytą pogróż-

kę oraz zamach na swe prawa właściciela. Gdyby miał więcej zręczności w traktowaniu kobiet, byłby ukrył swe rozdrażnienie i obiecał... obiecał wszystko, czego pragnęła Anetka.

„Przysięgi zakochanego wiatr niesie. Po cóż ich tedy skąpić?...” Roger jednak obok wad miał także i zalety, był, jak to mówią, „porządny chłopcem”, a nazbyt zajmował się sobą, by znać dobrze kobiety, z którymi nie miał dotąd wiele do czynienia. Nie potrafił więc ukryć zręcznie urazy i w chwili gdy Anetka oczekiwała jakiegoś wiel-kodusznego słowa, przekonała się z rozczarowaniem, że słuchając jej myślał wyłącznie o sobie.

– Anetko – powiedział – wyznaję, że nie rozumiem, o co mnie prosisz. O małżeństwie naszym wyrażasz się jak o więzieniu i zdajesz się o tym tylko myśleć, jak z niego uciec. Dom mój nie ma krat w oknach i dość jest obszerny, by się w nim czuć swobodnie. Ale trudno żyć przy otwartych na oścież drzwiach, a dom mój po to istnieje, by w nim mieszkać. Mówisz o wyjściu z niego, chcesz wieść własne, odrębne życie, mieć własnych znajomych, przyjaciół, a nawet, jeśli dobrze zrozumiałem, domagasz się wolności odejścia, zależnie od twojej woli, od ogniska domowego, aby szukać Bóg wie czego, gdy ci się wyda, iż nie znajdujesz tego w do-mu, ja zaś mam czekać, aż ci się spodoba wrócić... Anetko, tego nie można brać poważnie!

Nie myślałaś tak chyba! Żaden mężczyzna nie mógłby zezwolić żonie na postępowanie tak poniżające dla niego, a dla niej tak dwuznaczne.

Uwagi te nie były może pozbawione zdrowego rozsądku. Ale są chwile, w których zdrowy sens, oschły, bez udziału serca, staje się nonsensem. Anetka, dotknięta nieco, odparła chłodno i dumnie, kryjąc w ten sposób wzruszenie:

– Rogerze, trzeba wierzyć w kobietę, którą się kocha. Żeniąc się z nią nie wolno jej krzywdzić posądzeniem, że nie będzie się troszczyła o cześć i honor męża. Czy sądzisz, że byłabym się zgodziła

na sytuację dwuznaczną i poniżającą dla ciebie? Wszak to wszystko, co byłoby dla ciebie upokorzeniem, upokarzałoby i mnie samą. Im większą bym miała swobodę, tym bardziej czułabym się obowiązana do czuwania nad tym, co mi powierzyłeś. Musisz mi więcej ufać. Czyż nie jesteś zdolny obdarzyć mnie zaufaniem?

Odczuł, że niebezpiecznie jest oddalać ją od siebie przez te wątpliwości, i uznał, że koniec końcem nie trzeba przywiązywać zbyt dużego znaczenia do słów kobiety. Wreszcie osądził, że będzie dość czasu zająć potem (o ile by pamiętała jeszcze o swych żądaniach) właściwe stanowisko. Powrócił przeto do pierwszej myśli, to jest, by obrócić wszystko w żart. Wydało mu się, że czyni najlepiej, gdy powiedział rycersko:

– Daję ci pełną wiarę i zaufanie, Anetko! Wierzę twym pięknym oczom. Przysięgnij mi tylko, że mnie zawsze będziesz kochała, że będziesz kochała tylko mnie! Nie chcę nic więcej.

76

Ale małej Kordelii nie zaspokoił ów żartobliwy sposób uchylania się od lojalnej odpowiedzi, która stanowiła o całym jej życiu, toteż zbuntowała się przeciw niewykonalnemu zobowiązaniu.

– Nie, Rogerze – odrzekła. – Nie mogę ci tego przysiąc. Kocham cię bardzo, ale nie mogę obiecywać tego, co nie ode mnie zależy. Byłoby to oszustwem, a ja nie oszukam cię nigdy.

Obiecuję ci tylko nie ukrywać niczego przed tobą. Gdybym cię kochać przestała lub pokochała innego, dowiedziałbyś się pierwszy, nawet jeszcze przed owym innym. Ty uczyn to samo! Rogerze drogi, żyjmy prawdą!

Było mu to zgoła nie na rękę. Niewygodna prawda nieczęsto gościła w domu Brissotów.

Ile razy zapukała do drzwi, odpowiadano pospiesznie:

„Państwa nie ma w domu!”

Tak też postąpił Roger.

– Droga moja – zawołał – jakaś ty śliczna!.... No, a teraz mówmy o czym innym.

Anetka wróciła rozczarowana. Pokładała wielkie nadzieje w szczerzej rozmowie z Rogerem. Przewidując opór liczyła jednak, że serce Rogera dopomoże jego umysłowi. Najbardziej zmartwiło ją nie to, że jej nie zrozumiał, ale to, że nie uczynił najmniejszego po temu wysił-

ku. Nie widział bynajmniej, ile prawdziwego patosu było w prośbie Anetki. Bardzo powierzchowny, wszystko osądzał własną miarą, a nic nie mogło być bardziej przykre dla kobiety o silnie rozwiniętym życiu wewnętrznym.

Nie myliła się. Rogera zaniepokoiły i rozdrażniły jej słowa, ale nie odczuł ich powagi, nie

przypisując im większego znaczenia. Osądził, że Anetka ma dziwaczne, nieco paradoksalne poglądy, że jest „oryginalna”, a to mu się bardzo nie podobało. Pani i panna Brissot były to istoty wyższe, umiały przy tym jednak nie być „oryginalne”. No, ale trudno od wszystkich żądać takiej doskonałości. Anetka posiadała inne zalety, których Roger nie cenił może tak wysoko, ale na których (przyznać trzeba) zależało mu na razie dużo więcej. Wyborem owym kierowały przede wszystkim zmysły, choć umysł odgrywał również pewną rolę. Rogerowi podobała się bardzo impulsywność i zapał Anetki, o ile nie szło o rzeczy wprawiające go w zakłopotanie. Prawa i uczciwa, Anetka okazała mu swą miłość i pewny był, że nigdy nie zdoła odejść od niego.

Nie domyślał się nawet dramatu sumienia, który rozgrywał się tuż obok niego. W istocie, Anetka kochała go tak bardzo, że nie mogła się pogodzić z myślą, by mógł być tak marnym człowiekiem. Chciała wierzyć, że się pomyliła. Ponowiła próby, robiła wszystko, co w jej mocy. Jeśli Roger nie przyznawał jej odrębnego, niezależnego życia, to jakąś jej przynajmniej pozostawiał część w swoim życiu?... Niestety, to, czego się dowiedziała, rozczarowało ją do reszty. Naiwny egoizm Rogera pozostawiał jej ostatecznie tylko salon, stół i łóżko. Zgadzał

się uprzejmie wtajemniczać ją w swe sprawy, ale przyznawał tylko prawo chwalenia, nie miał

zaś zgoła zamiaru przyznać żonie praw współpracownika, który by osądzał jego akcję polityczną i mógł na nią wpływać, lub też rozwijał własną działalność społeczną, odmienną od tej, którą on sam prowadził. Wydawało mu się rzeczą zupełnie naturalną (tak przecież zawsze było), że kobieta kochająca go winna mu oddać całe swe istnienie i dostać w zamian tylko cząstkę jego życia. W głębi duszy hołdował owej starej wierze w wyższość męzczyzny, która sprawia, że to, co on daje, zda mu się mieć znacznie większą wartość. Nie byłby się do tego jednak przyznał, gdyż był dobrym chłopcem i uprzejmym Francuzem. Ile razy Anetka domagała się jakichś praw dla kobiety powołując się na prawa męzczyzny męża:

– To całkiem co innego! – mówił Roger z uśmiechem.

– Czemuż to? – pytała.

77

Roger unikał odpowiedzi. Przekonanie, którego się nie poddaje dyskusji, mniej jest zagro-

żone. Poglądy Rogera były silnie zakorzenione i Anetka obrała złą drogę, by go doprowadzić do zwątpienia w ich słuszność. Wszystkie jej kroki i wysiłki, aby odnaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia po daremnej próbie narzucenia mu swych przekonań, były przez Rogera rozumiane jako nowy dowód władzy, którą miał nad nią. Był więc coraz pewniejszy siebie i nawet stawał się zarozumiały. Nagle Anetka wpadała w gniew, a głos jej drżał z rozdrażnienia.

Wówczas Roger urywał rozmowę i powracał do metody, która, jak sądził, przyniosła doskonałe rezultaty: śmiejąc się obiecywał wszystko, czego chciała. Sądził, że tym lekkim tonem załagodzi sprawę – ton przecież tyle znaczy. Anetka jednak odczuwała to jako obrazę.

Nasuwały się przy tym inne, poważniejsze wątpliwości. Oczywiście było, że zagrożona jest przyjaźń

Anetki i Sylwii. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna o tak swobodnym trybie życia, jak Sylwia, byłaby bardzo niechętnie widziana w tym środowisku, większą zaś jeszcze przeszkodę stanowiłby fakt, że jest szwaczką. Pyszni i sztywni Brissotowie nie zgodziliby się na tak skandaliczne stosunki rodzinne ani dla siebie, ani dla synowej. Trzeba by je ukryć, lecz ani Sylwia, ani Anetka nie przystałyby na to nigdy. Każda z nich posiadała swą dumę i obie nawzajem były z siebie dumne. Anetka kochała Rogera i pragnęła go dużo namiętniej, niżli chciała przyznać, nigdy jednak nie zgodziłaby się poświęcić dla niego Sylwii. Kochała ją bardzo i pamiętała, że jeśli nawet miłość ta przybladła, to były chwile, w których sięgała największej możliwej głębi uczucia (tylko ona sama o tym wiedziała, nawet Sylwia domyślała się zaledwie częściowo). Ale w godzinach wzajemnych zwierzeń powiedziała Rogerowi o wiele za dużo. Roger wydał się wówczas rozbawiony, a nawet wzruszony, z tym wszakże zastrzeżeniem, że sprawa dotyczy przeszłości; nie byłoby mu wcale na rękę, by owa kom-promitująca przyjaźń dwu sióstr miała trwać nadal. Zdecydował się nawet w głębi duszy, że powoli doprowadzi do tego, by zamarła, na pozór nie mieszając się do niczego. Nie chciał

dzielić z nikim uczuć żony. „Moja żona, mój pies.” Podobnie jak cała rodzina, miał bardzo silny instynkt posiadania.

Im dłużej Anetka bawiła u Brissotów, tym wyraźniejsze, mimo pozorów serdeczności, jakimi ją otaczano, stawało się objęcie jej osoby w posiadanie. Brissotowie mocno trzymali to, co im raz wpadło w ręce. „Domowy” despotyzm obu pań przejawiał się każdego dnia w mnó-

stwie szczegółów. Posiadały one tzw. „wytrobione zdanie” o wszystkim: o tym, co dotyczyło domu czy świata, codziennego życia czy wielkich problemów moralności. Wszystko było gotowe, utrwalone raz na zawsze. Wydały edykty, co należy chwalić, a co ganić i odrzucać, zwłaszcza, co należy odrzucać! Ileż rzeczy uległo ostracyzmowi! Ile ludzi, sposobów myślenia i postępowania osądziły, skazały bez apelacji na całą wieczność! Ton i uśmiech odbierały ochotę dyskusowania. Zdawało się, że mówią (mówiły to nawet czasem wyraźnie):

– Nie może być, drogie dziecko, dwu zapatrywań! Lub też, gdy usiłowała pokazać, że ma jednak własny sąd o rzeczy, odpowiadały:

– Zabawna jesteś, moja mała!

Rezultat był taki, że milkła natychmiast.

Traktowano ją już jak córkę domu, choć nieco krnąbrną, i wprowadzano we wszystko.

Dowiadywała się, w jakim porządku toczyć się winny brissotowskie dni, miesiące i pory ro-ku, jakie winny ją łączyć stosunki z mieszkańcami prowincji i Paryża, jakie ma obowiązki powinowactwa, jakie winna składać wizyty, dawać obiady, słowem, słuchać musiała litanii powinności towarzyskich, pod których brzemieniem uginają się kobiety, dumne zresztą z te-go, bo ów ruch nieustanny, choć męczy, daje im jednak złudzenie, że przecież przydają się na coś. Anetka znieść wprost nie mogła tego mechanicznego trybu życia, tego fałszu w stosunkach i tych wiecznych rządów konwenansu. Wszystko wydawało się być z góry unormowane: praca i rozrywki – były bowiem i rozrywki, ale z góry już przewidziane!... Niech żyją troski niespodziewane, wykraczające z ram programu! Nie było wszakże nadziei wyjścia z nich, 78

nawet w zakresie trosk. Anetka czuła, że ją przyciosują jak kamień przeznaczony na wmurowanie. Miała być osadzona na piasku i wapnie, na silnym cemencie firmy Brissot.

Przesadzała zresztą w ocenie surowej regularności tego życia: jak w każdym innym, przypadek, to co nieprzewidziane, grało w nim znaczną rolę. Panie Brissot groźniej się przedstawiały w słowach niż w czynach; rościły sobie prawo do kierowania wszystkim, ale było bardzo łatwo wodzić je za nos wyzyskując ich słabości, głaszcząc je, schlebiając i kadząc im mocno. Dziewczyna sprytna powiedziałaaby sobie, oceniając je wedle słusznej miary:

„Gadajcie sobie dalej! I tak zrobię, co zechcę!”

Łatwo było przewidzieć, że uparta energia Anetki nie pozwoliłaby się spętać. Ale Anetka przechodziła właśnie ów okres nerwowego podniecenia, częsty u kobiet, kiedy skutkiem nadmiernie długiego wpatrywania się w zaciekawiający je przedmiot, nie widzą go we wła-

ściwej postaci. Z kilku słów, posłyszanych w ciągu dnia, tworzyła sobie wieczorem, gdy była sama, potworne historie. Przerazona walką, którą miała wiecznie toczyć, powtarzała sobie, że nie zdoła obronić się wszystkim. Nie czuła już sił po temu. Zwątpiła we własną energię, bała się teraz swej własnej natury, ciągłych niespodziewanych wahań, którym podlegał jej niespokojny umysł, nagłych porywów, których nie umiała sobie wytłumaczyć. Przyczyną tych zjawisk była jej bogata, skomplikowana dusza, której nowa harmonia mogła się wytworzyć dopiero powoli z biegiem życia. Tymczasem jednak Anetce groziło, że zostanie wydana na wszystkie niebezpieczeństwa niepohamowania, słabości zmysłów i myśli, na podstępne zasadzki losu, które niesie każda nadchodząca chwila, losu, który czai się za zakrętem drogi i kryje pod przydrożnym kamieniem..

Niepokoilo ją to zwłaszcza, że nie była pewna swej miłości. Nie wiedziała już nic... Nie kochała już, a wciąż jeszcze kochała. Umysł walczył z sercem, rozum ze zmysłami. Rozum widział zbyt jasno i przestał ulegać złudzeniom. Ale serce nadal się łudziło, a ciało buntowało widząc, że może utracić przedmiot swego pożądania. Namiętność wołała głucho:

„Nie chcę rezygnować!...”

Anetka czuła ten bunt i to ją upokarzało. Z wrodzoną gwałtownością, reagowała silnie, odwołując się do zranionej dumy. Mówiła:

„Już go nie kocham!...”

– I wrogim spojrzeniem śledziła Rogera szukając przyczyn, by go nie kochać.

Roger nie widział nic. Zasypywał Anetkę grzecznościami, kwiatami, był uprzedzający. Ale sądził, że wygrał. Ani przez chwilę nie myślał o tej duszy dumnej i dzikiej, która śledziła go z ukrycia, żadna oddać się całkowicie temu, kto by rzekł jej tajemne hasło świadczące, że się odnaleźli. Roger nie rzucił tego hasła, bo go nie znał, natomiast mówił słowa nierozważne, które raniły serce Anetki, choć tego nie okazywała. W chwilę potem nie pamiętał już, co powiedział. Ale Anetka, która zdawała się nie słyszeć, mogłaby mu wszystko powtórzyć w dziesięć dni lub dziesięć lat później. Zachowywała żywe wspomnienie i rana pozostawała otwarta.

Działo się to wbrew jej woli, gdyż była wspaniałomyślna i czyniła sobie wyrzuty, że nie potrafi zapomnieć. A jednak najlepsza nawet z kobiet może przebaczyć, że zraniono jej uczucia, lecz nie zapomni o tym nigdy.

Dzień po dniu coraz to nowe rozdarcia powstawały w delikatnej tkaninie, którą utkała ich miłość. Lecz nie dostrzegano tego. Materia była napięta jak dawniej, najłżejszy jednak powiew wprawiał ją w niepokojące drżenie. Anetka obserwowała Rogera w jego kole rodzinnym, dostrzegając cechy wspólne, a więc surowość i oschłość zapatrywań oraz pogardę dla ludzi skromnej kondycji.

Mówiła sobie:

„Jak on traci przy bliższym poznaniu! Po kilku latach nie zostanie w nim ani odrobiny z tego, co w nim kochałam.”

Ponieważ kochała go jeszcze, pragnęła uniknąć gorzkiego rozczarowania i poniżających konfliktów, nieuniknionych, jeśli by doszło do ich małżeństwa.

79

W przeddzień Wielkanocy powzięła decyzję. Ciężka to była noc. Musiała przezwyciężyć niejedno pragnienie i zdeptać uporczywą nadzieję, która broniła się przed zagładą. Zbudowała w myśli gniazdko dla siebie i Rogera. Ileż marzeń o szczęściu, szeptanych sobie wzajem do ucha! „Jakże zrezygnować? Jakże przyznać, że nastąpiła omyłka! Jakże sobie powiedzieć, że się nie jest stworzoną do szczęścia?... Przyznawała się bowiem do tego w przystępie zniechę-

cenia. Inna na jej miejscu nie odrzucałaby szczęścia. Dlaczegoż ona nie mogła go przyjąć, czemu nie była zdolna poświęcić części swej natury?... Lecz nie, nie mogła! Jakże źle jest urządzone życie! Nie można się obejść bez wzajemnego uczucia, a jednocześnie nie sposób istnieć bez niezależności. Jedno i drugie jest równie święte. Jednego i drugiego trzeba, by oddychać. Jakże to pogodzić? Powiadają: „Trzeba się poświęcić. Kto do tego nie zdolny, nie kocha prawdziwie.” Tymczasem właśnie ludzie zdolni do wielkiej miłości posiadają prawie zawsze silne pragnienie swobody, wszystkie bowiem ich uczucia są równie potężne. Jeśli zaś poświęcają dla miłości to, co stanowi ostoję ich dumy, czują się poniżeni nawet w swojej miłości, zhańbieni miłością.. Nie, nie jest to tak proste, jak nam to wmawia moralność pokory czy moralność pychy – chrystianizm czy nietzscheanizm. Siła nie przeciwstawia się w nas słabości, cnota grzechowi, lecz przeciwstawiają się sobie dwie siły, dwie cnoty, dwa obowiązki... Jediną prawdziwą moralnością, moralnością prawdziwego życia, byłaby moralność harmonii. Ale aż do naszych czasów ludzkość znała tylko moralność ucisku i rezygnacji, zła-godzonych jeno kłamstwem. Anetka kłamać nie umiała...

Cóż czynić?... Wyjść z dwuznacznej sytuacji, co prędzej i za wszelką cenę! Ponieważ do-szła do przekonania, że nie będzie mogła żyć w tym związku, trzeba zerwać zaraz, jutro!...

Zerwać!... Wyobraziła sobie osłupienie rodziny, skandal!... Ale mniejsza z tym... Gorsza rzecz to cierpienie Rogera. Natychmiast ujrzała przed sobą w ciemnościach postać ukochanego. Porwał ją znów wir namiętności. Płonąca i zlodowaciała, leżała w łóżku na wznak, nieruchoma, z oczyma otwartymi, i tłumiała bicie serca.

„Rogerze, drogi mój, przebacz! – błagała. – Ach, gdybym ci mogła oszczędzić tego bólu!

Ale nie mogę, nie mogę!...”

Zalała ją taka fala miłości i żalu, że gotowa była biec do Rogera, paść na kolana przy jego łóżku całować mu ręce i mówić:

„Uczynię wszystko, co zechcesz...”

Jak to, czyż go jeszcze kochała? Bunt zbudził się znowu.

„Nie, nie kocham go już!...”

Kłamała dalej z pasją:

„Nie kocham go!”

Daremnie!... Kochała go jeszcze, kochała bardziej niż kiedykolwiek. Może nie najszlachetniejszą częścią swej istoty (ale cóż jest szlachetne, a co nie?)... Tak, najszlachetniejszą i najmniej szlachetną zarazem. Ciałem i duszą. O, gdybyż starczyło stracić szacunek, by przestać miłować! Jakżeby to było wygodne. Ale cierpienie z powodu ukochanego nigdy „nie uwalnia od miłości. Tym silniej czuje się wtedy, że nie podobna nie kochać!... Anetka cierpiała, zraniona w swym uczuciu brakiem zaufania Rogera, brakiem wiary w nią, brakiem głę-

bi jego uczuć. Cierpiała w gorzkiej świadomości tylu zburzonych nadziei, które kryła nie ukazując ich w świetle dziennym. Dlatego właśnie że tak gorąco kochała Rogera, pragnęła, by uznał jej niezależność. Nie chciała, by małżeństwo z nim było z jej strony bierną rezygnacją, chciała w zjednoczeniu z nim stać się dlań wolną i niezawodną towarzyszką. On nie dbał o to.

Czuła tedy ból i gniew obrażonej namiętności...

„Nie, nie, nie kocham go! Nie wolno mi! Nie chcę.”

Siły ją opuściły i nie kończąc okrzyku buntu rozplakała się... Dookoła panowała cisza no-cy. Płonąca mimo lodowatego tchnienia rozumu, Anetka nie chciała wyznać nawet sobie, że poświęciłaby z radością wszystko, co posiadała, nawet swoją niezależność, gdyby on uczynił

jeden bodaj gest wielkoduszny, jeden gest, prosty odruch, świadczący, że raczej sam wolałby 80

się poświęcić, niż żądać od niej poświęcenia! Nie dopuściłaby do tego, nie prosiłaby o nic więcej ponad to drgnienie serca, dowód prawdziwej miłości... Kochał ją na swój sposób, ale nie był zdolny do tego czynu. Nie mieściło się to w jego sposobie myślenia. Osądziłby pragnienie Anetki jako kobiecą zachciankę, którą należy przyjąć z uśmiechem, ale która niewiele ma sensu. Czegóż mogła chcieć jeszcze? Czemuż, u licha, płacze? Ponieważ kocha? W takim razie...

„Kochasz mnie, prawda? Kochasz? To przecież najważniejsze!” Nie zapomniała tych słów... o nie!...

Anetka uśmiechnęła się przez łzy. Biedny Roger! Był tym, czym był. Trudno mu brać to za złe. Nie podobna go jednak zmienić, jego ani jej. Nie mogą żyć razem...

Otarła oczy.

„Trzeba z tym skończyć...”

Po bezsennej nocy (zdrzemnęła się na godzinę czy dwie, już o świcie) Anetka wstała zupełnie zdecydowana. Wraz z blaskiem dnia wrócił jej spokój. Ubrała się, uczesała metodycznie, chłodno, usuwając z myśli wszystko, co mogło budzić wątpliwości. Z wielką starannością dokończyła stroju, czyniąc go jeszcze skrupulatniej poprawnym niż zazwyczaj.

Około dziewiątej Roger wesoło zapukał do jej drzwi. Przyszedł, jak co dzień, zabrać ją na przechadzkę.

Szli z psem, który biegł przed nimi w podskokach, drogą wiodącą w las. Młode, zieleniejące drzewka zalane były słońcem. Z gałęzi płynęły kaskadą pokrzyki i śpiew ptaków. Za każdym krokiem dwojga młodych coś podlatywało w powietrze, trzepotało skrzydełkami, szele-

ściło w gąszczu liści, potraçało gałązki i uciekało na oślep w głąb boru. Podniecony pies naszczekiwał, węszył i biegał zygzakiem pomiędzy drzewami. Sojki swarzyły się z sobą. W

koronie dębu gruchały dzikie gołębie. Gdzieś daleko przekomarzała się kukułka, kukając i kukając to bliżej, to znów dalej, niestrudzenie, jak to czyni od wieków. Wiosna była w naj-bujniejszym rozkwicie.

Roger był hałaśliwy, rozweselony, śmiał się, dokazywał z psem, sam podobny do młodego, rozswawolonego szczeniaka. Anetka, milcząca, pozostawała kilka kroków w tyle. Myśla-

ła:

„Tutaj?... Nie, tam, na zakręcie drogi...” Parzyła na Rogera, słuchała rozgwaru lasu. O, jakże się wszystko odmieni, gdy ona zacznie mówić! Minęli zakręt, a wciąż jeszcze nie rzekła słowa. Wreszcie zaczęła.

– Rogerze! – mówiła niepewnie, niemal cicho, a głos jej drżał. Nie słyszał. Nie zauważył

nic. Schylony tuż przed nią, zbierał fiołki i mówił, ciągle mówił. Podjęła znowu: – Rogerze? –

Tym razem miała w głosie akcent takiej rozpacz, że odwrócił się, przejęty, i od razu dostrzegł bladeść jej śmiertelnie poważnej twarzy. Podszedł ku niej, już przerażony. Powiedziała:

– Rogerze, musimy się rozstać.

W rysach jego odbiło się osłupienie i trwoga. Wyjąkał:

– Co mówisz? Co ty mówisz?!

Powtórzyła stanowczo, unikając jego wzroku:

– Trzeba się rozstać, Rogerze. To bolesne, ale nieuniknione. Przekonałam się, że nie mogę zostać twoją żoną... Chciała mówić dalej, ale przerwał:

– Nie, nie, to nieprawda!... Cicho bądź... cicho! Oszalałaś chyba!... Powiedziała:

– Muszę odejść, Rogerze. Krzyknął:

– Odejść? Nie, nie chcę!...

81

Chwycił ją za rękę i ścisnął brutalnie. Potem, spojrzawszy w tę twarz dumną, lodowatą i stanowczą, poznał, że wszystko przepadło, puścił ją, przeprosił i zaczął błagać:

– Anetko! Moja maleńka! Zostań, zostań! Nie, to niemożliwe... Co się stało? Czymże zawiniłem? Litość zjawiła się na jej skupionej twarzy. Powiedziała:

– Usiądźmy, Rogerze...

Siadł przy niej posłusznie na wzgórku porośłym mchem; nie spuszczał z niej oczu, z błagalnym spojrzeniem czekając jej każdego słowa.

– Uspokój się. Muszę ci wszystko wyjaśnić. Proszę cię, bądź spokojny! Wierz mi, że muszę wyteńczyć wszystkie siły, by również zachować spokój. Nie mogłabym mówić, gdybym się do tego nie zmuszała...

– Więc nie mów! – zawołał. – To szaleństwo!...

– Tak trzeba.

Chciał jej zamknąć usta, ale go odsunęła. Mimo wewnętrznej rozterki postanowienie jej zdawało się być tak niezłomne, że oddziało na Rogera, który rezygnując z walki, przybity, osłupiały, słuchał słów Anetki nie mając odwagi na nią spojrzeć.

Anetka mówiła głosem na pozór obojętnym, chłodnym, posepnym, który jednak załamywał się nagle; przerywała też kilka razy, aby zaczerpnąć tchu. Powiedziała wszystko, co postanowiła, w słowach jasnych, przemyślanych, umiarkowanych, a przez to tym bardziej nieubłaganych... Szczerze starała się zbadać, czy mogliby żyć razem. Miała początkowo nadzieję i pragnęła tego z całego serca. Przekonała się wszelako, że marzenie to ziścić się nie da. Za dużo ich dzieli, zbyt wielkie są różnice środowiska i umysłu. Wzięła całą winę na siebie: przekonała się, że stanowczo nie może żyć w małżeństwie. Jej poglądy na życie i pojęcie niezależności nie są zgodne z zapatrywaniami Rogera.

Być może, słusność jest po jego stronie, większość bowiem mężczyzn, a może nawet kobiet, myśli jak on. To na pewno jej wina. Ale czy ma słusność, czy też nie, zmienić się nie może. Nie powinna stawiać się przyczyną jego i własnego nieszczęścia. Stworzona jest, by żyć samotnie. Postanowiła zwolnić Rogera z wszystkich przyrzeczeń i sama odzyskać swobodę. Zresztą nie byli związani niczym i zachowali się wobec siebie lojalnie, toteż winni się rozstać lojalnie i po przyjacielsku...

Mówiąc patrzyła na trawę pod stopami i unikała oczu Rogera. Ale słyszała jego przyśpieszony oddech i z wielkim trudem doprowadziła rzecz do końca. Skończywszy ośmieliła się spojrzeć na niego. Przejęło ją do żywego to, co ujrzała. Roger Wyglądał jak człowiek tonący, twarz miał czerwoną, dyszał ciężko, nie miał sił, by krzyczeć. Niezdarnie poruszał zaciśnię-

tymi rękami, chwycił oddech i jęczał:

– Nie, nie, nie... nie mogę, nie mogę...

I nagle wybuchnął łkaniem.

Od skraju lasu dolatywało nawoływanie wieśniaka, który szedł za pługiem. Anetka, wstrząśnięta, wzięła Rogera za rękę i pociągnęła w gąszcz leśny, z dala od drogi. Dał się prowadzić, bezsilny, powtarzając tylko:

– Nie mogę... nie mogę... Co teraz będzie ze mną... Z tkliwością usiłowała nakazać mu milczenie. Ale Rogera zalewała fala rozpacz. Cierpiała miłość jego, ambicja, bolał nad publicznym upokorzeniem, ruiną szczęścia, które sobie obiecywał, wszystko mieszało się razem. Ów zepsuty przez życie wielki dzieciak, którego wszystkie pragnienia zawsze się speł-

niały, załamał się na skutek tej przegranej. Była to dla niego klęska, zawały się jego pewniki, stracił wiarę w siebie, grunt mu się spod nóg usuwał, nie wiedział, co począć. Anetka, wzruszona jego boleścią, rzekła:

– Drogi mój, drogi, nie płacz!... Masz przed sobą całe życie... piękne życie... nie jestem ci potrzebna... Jęczał dalej:

– Nie mogę obejść się bez ciebie. Nie wierzę już w nic... Nie wierzę w życie... Rzucił się przed nią na kolana.

– Zostań! Zostań! Uczynię wszystko, czego żądasz... wszystko!

82

Anetka wiedziała, że obiecuje więcej, niż może dotrzymać, mimo to ogarnęła ją tkliwość.

Odrzekła łagodnie:

– Nie, kochany, mówisz szczerze, ale nie mógłbyś spełnić przyrzeczenia albo cierpiałbyś, a ja wraz z tobą. Życie nasze byłoby nieprzerwanym szeregiem konfliktów.

Widząc, że nie zachwieje jej postanowienia, wybuchnął znów płaczem, tuląc się do jej nóg jak dziecko. Anetkę przejęła miłość i litość. Energia jej topniała. Chciała odzyskać równowagę, ale nie mogła oprzeć się tym łzom. Nie myślała już o sobie, ale wyłącznie o nim. Gładziła tę kochaną głowę, opartą o jej kolana, mówiła mu najczulsze słowa. Uniosła potem swego wielkiego zrozpaczonego chłopca, otarła mu łzy własną chusteczką, wzięła go pod ramię i zmusiła, by wstał. Był tak zgnębiony, że pozwolił z sobą robić wszystko, zdolny tylko do płaczu. Szli lasem nie wiedząc, dokąd idą, nie widząc nic. Potrącane gałęzie drzew uderzały ich twarze. Anetka czuła, jak ogarnia ją miłosne uniesienie. Mówiła podtrzymując Rogera:

– Nie płacz – drogi mój... miły... Serce mi pęka... Znieść tego nie mogę... Nie płacz... Kocham cię... kocham cię, biedny mój... Rogerze...

Odpowiedział przez łzy:

– Nie!

– Tak! Kocham cię, kocham tysiąc, razy silniej, niżli ty mnie kochałeś kiedykolwiek. Co chcesz, abym uczyniła? Uczynię wszystko, Rogerze mój...

Wyszedszy z lasu znaleźli się u bramy posiadłości Rivière'ów. Anetka poznała stary dom.

Spojrzała na Rogera. I nagle namiętność ogarnęła ją całą. Objął ją wicher płomieni. Uczuła zawrót głowy, jakby silny zapach kwitnącej akacji zmącił jej świadomość. Trzymając Rogera za rękę, pobiegła do drzwi. Weszli do pustego mieszkania. Okiennice były zamknięte. Oślepieni nagłym przejściem ze światła w ciemność, nie widzieli nic. Roger potrącał meble. Nie patrząc i nie myśląc dał sobą kierować owej gorącej dłoni, która go prowadziła przez pogrą-

żone w mroku pokoje parteru. Anetka nie wahała się, wiedzona nakazem przeznaczenia. Szła ku sypialni w głębi, do pokoju dwu sióstr, gdzie od zeszłej jesieni trwała jeszcze woń dwu ciał dziewczęcych, ku wielkiemu łożu, gdzie spały razem. Tam go prowadziła i ogarnięta szalem litości, pożądania i rozkoszy – oddała mu się.

Gdy się zbudzili z upojenia, które ich poraziło jak piorun, oczom przyzwyczajonym już do ciemności pokój wydał się niemal jasny. Przez szpary okiennic wciskały się roztańczone promienie słońca, przypominając im, że na świecie dzień w pełni. Roger okrywał pocałunkami nagie ciało Anetki. Mówił o swej wdzięczności w nieprzytomnych, pełnych miłości słowach. Po chwili zamilkł nagle i trwał tak oparty policzkiem o jej biodro, ona zaś marzyła, cicha, nieruchoma... Za oknem, w krzewie różanym rozpiętym na murze, brzęczały pszczoły.

Anetce wydało się, że słyszy jakby oddalający się śpiew – to miłość Rogera odlatywała...

Kochał ją już znacznie mniej. Czuł to sam, pełen gniewu i wstydu, nie chciał się jednak do tego przyznać. W głębi duszy dotknęło go bardzo, że Anetka uległa... Śmieszne wymagania mężczyzny! Pożąda kobiety, a gdy mu się odda szczerze i bez zastrzeżeń, gotów uważać ów akt zbyt wielkiej

wspaniałomyślności niemal za złamanie wiary!...

Anetka pochyliła się ku niemu, podniosła jego głowę i długo patrzyła mu w oczy, nie mó-

wiąc nic, tylko uśmiechając się smutnie. Czuł, że spojrzenie to przenika jego najgłębiej skryte myśli, chciał więc odwrócić jej uwagę. Postanowił okazać wielkie wzruszenie i powiedział:

– Teraz nie możesz już odejść, Anetko. Muszę cię poślubić.

Na twarzy Anetki znów pojawił się uśmiech pełen smutku. Nie omyliła się czytając w jego duszy.

– Nie, drogi mój – odparła – nic nie musisz. Zrozumiał swą niezręczność.

83

– Chcę tego! – rzekł. Ale ona szepnęła:

– Odjadę!

– Czemu? – spytał.

Zanim odpowiedziała, zrozumiał sam powody odjazdu. Uznał jednak za swój obowiązek protestować. Położyła mu dłoń na ustach. Ucałował tę dłoń, z gniewem i z miłością... Ach, jakże ją kochał! Czuł się upokorzony własnymi myślami. Czyżby je znała? Miękka, ciepła dłoń, położona pieszczotliwie na jego ustach, zdała się mówić:

„O niczym nie wiem...”

– Chwilami wiatr przynosił z pobliskiej wsi bicie dzwonów. Po długim milczeniu Anetka westchnęła... Nadszedł koniec. Powiedziała półgłosem:

– Rogerze, musimy wracać...

Ciała ich rozstały się. Klęcząc przy łóżku, oparł czoło o nagie stopy Anetki. Chciał ją przekonać:

– Jestem twój.

Ale nie mógł się pozbyć owych najbardziej tajnych myśli.

Wyszedł z pokoju zostawiając Anetkę zajęta ubieraniem się. Czekał, oparty o mur obrze-

żający podjazd, z roztargnieniem słuchał odgłosów wsi i poił się wspomnieniem ubiegłej chwili. Niemiłe myśli uleciały. Rozkoszował się poczuciem nasyconej miłości własnej i za-spokojenia zmysłów. Był z siebie dumny. Pomyślał:

„Biedna Anetka!”

Poprawił się zaraz:

„Kochana Anetka!...”

Wyszła z domu. Była jak przedtem spokojna, tylko bardzo blada... Któż by potrafił powiedzieć, co przeżyła w ciągu tych kilku chwil, gdy ją zostawił samą, jakie nią wstrząsały porywy namiętności, bólu i rezygnacji? Roger nic nie dostrzegł, zajęty wyłącznie sobą. Podszedł

ku niej, chcąc ponowić swoje sprzeciwy. Położyła palec na ustach – Cicho! – Stanąwszy u żywopłotu otaczającego ogród zerwała gałązkę tarniny, przełamała ją na dwoje i dała, mu połowę. Wychodząc z granic swej posiadłości, w bramie już, przycisnęła usta do ust Rogera.

Wracali przez las w milczeniu. Anetka prosiła, by nic nie mówił. Roger trzymał ją pod ramię, zdawał się bardzo czuły, a ona szła uśmiechnięta, z na pół przymkniętymi oczyma. On teraz kierował jej krokami. Nie pamiętał już, że przed godziną na tym samym miejscu płakał

rzewnie.

Z głębi lasu dochodziło szczekanie psa tropiącego zwierzynę...

Wyjechała nazajutrz, podając jako powód list z wiadomością o nagłym zaślabnięciu starej krewnej. Ale Brissotowie nie dali się zwieść. Przenikliwi od Rogera, od pewnego już czasu podejrzewali, że Anetka im się wymyka. Dostojeństwo ich nakazywało im jednak udawać, że nie przewidują podobnej możliwości i wierzą w przyczyny nagłego wyjazdu. Aż do ostatniej minuty grano tedy komedię i wyrażano nadzieję bliskiego zobaczenia się. Przymus ten niemiły był Anetce, ale Roger uprosił ją, by o decyzji zerwania zawiadomiła dopiero z Paryża, listownie. Zresztą sama przyznawała, że byłoby jej trudno powiedzieć to w oczy Brissotom.

Zamieniono tedy uśmiechy pożegnalne, banalne słowa i uściski, w których brakło serca.

Roger tą samą bryczuszką odwiózł Anetkę na stację. Oboje byli smutni. Roger uczciwie ponowił prośbę o rękę Anetki, uważał to za swój obowiązek – był dżentelmenem. Nawet do przesady. Przyznawał sobie obecnie prawo okazania swego autorytetu – w interesie Anetki.

Sądził, że Anetka oddając się kapitulowała, przeto ich wzajemny stosunek nie był już taki sam. Winien był teraz żądać małżeństwa. Anetka wiedziała aż nazbyt dobrze, że żeniąc się z 84

nią teraz, przypisałby sobie stokroć większe niż przedtem prawo wzięcia jej pod kuratelę.

Wdzięczna mu była za poprawne postępowanie i nalegania, lecz odmówiła. Rogera to w głębi rozgniewało. Nie rozumiał jej już... (Myślał, że ją kiedykolwiek rozumiał!) Osądził ją surowo, ale nie okazał tego. Domyśliła się jednak i ogarnęło ją dziwne uczucie, w którym łączyły się smutek, ironia i czułość... Tak, czułość... wszakże to był jej ukochany Roger!...

Tuż przed stacją położyła rękę w rękawiczce na dłoni Rogera. Zadrżał i szepnął:

– Anetko!

– Przebaczmy sobie nawzajem! – powiedziała.

Chciał mówić, ale nie mógł. Trzymali się za ręce, nie patrząc na siebie; oboje wstrzymywali łzy, gotowe popłynąć...

Znaleźli się na miejscu i musieli zapanować nad sobą. Roger usadowił Anetkę w wagonie.

Nie była sama w przedziale, musieli się tedy ograniczyć do paru banalnych słów, ale każde chciwie chłonęło ukochaną postać, by obraz jej zachować w pamięci.

Rozległ się gwizd parowozu. Powiedzieli sobie:

– Do widzenia! A pomyśleli:

„Nie zobaczymy się nigdy...”

Pociąg ruszył. Zapadała już noc, kiedy Roger wracał do domu. W sercu czuł ból i złość, był zły na Anetkę, zły na siebie, czuł się złamany... Czuł też – o wstydzie! – czuł ulgę...

Zatrzymał konia pośród opustoszałej drogi i zapłakał gorzko, ogarnięty pogardą dla siebie, pogardą i miłością.

Anetka wróciła do swego domu przy Quai de Boulogne i zamknęła się. List do Brissotów został wysłany. Zerwała wszelki kontakt ze światem zewnętrznym, nikt z przyjaciół nie wiedział o jej powrocie. Nie otwierała listów, całymi dniami nie opuszczała swego pokoju. Stara ciotka, przywykła do nierozumienia jej i nie przejmująca się tym, uszanowała tę samotność.

Życie zewnętrzne Anetki uległo jakby zawieszeniu, natomiast drugie, wewnętrzne, stało się tym bardziej intensywne. W ciszy pozorowanej szalały nieraz burze zranionego uczucia, którym człowiek tylko w samotności poddaje się tak bardzo, aż do wyczerpania. Pozostawiały ją one złamaną, usta miała wtedy suche, czoło rozpalone, ręce i nogi jak z lodu. Potem następowały okresy bezwładu i gnębiących snów. Marzyła po całych dniach, nie starając się nawet kierować myślami. Ogarnęła ją mętna fala pomieszanych z sobą uczuć. Na przemian odczuwała czarną melancholię i pełną goryczy słodycz, w ustach miała smak popiołu, sercem jej wstrzą-

sały nagle jawiące się błyski wspomnień, bolały zawiedzione nadzieje. Miewała napady rozpacz, dumy, żrącej namiętności. Budziło się w niej poczucie, że wszystko czeka zagładą, że wszystkim kieruje prawo nieodwracalne, los, przeciw któremu walczyć nie sposób. Uczucie to, zrazu przygnębiające, potem posępne, rozplynęło się z czasem w bezwładzie którego daleki smutek zaczął się nasycać przedziwną rozkoszą... Nie rozumiała...

Pewnej nocy zobaczyła we śnie siebie samą. W lesie pełnym nabrzmiałych pąków była samotna. Biegła poprzez gąszcz, a gałęzie czepiały się jej sukni. Chwytały ją mokre krzewy, wyrwała się im, ale rozdarła suknię i ze wstydem spostrzegła, że jest na pół naga. Pochyliła się naciągając na siebie strzępy sukni i nagle spostrzegła na ziemi, pod garstką prześwietlnych słońcem liści, owalny

koszyczek. Liście nie były żółte i złociste, lecz srebrzystobiałe, jak kora brzozy, jak biel delikatnej bielizny. Patrzyła, pełna wzruszenia, potem przyklękła obok. Bielizna zaczęła się poruszać. Wyciągnęła rękę, serce jej zabiło... Zbudziła się. Ale wzruszenie nie minęło... Nie rozumiała...

Lecz nadszedł dzień, gdy zrozumiała... Nie była już sama. Wstawało w niej drugie życie, życie nowe...

85

Mijały tygodnie, a ona trwała z tym ukrytym w sobie wszechświatem...

„Czyż to ty jesteś, o miłości? Ty, co uciekałaś, gdym cię schwytać chciała, ty żeś to zsta-
piła we mnie? Mam cię teraz i nie puszcę, maleńki więźniu, trzymam cię w swoim ciele.

Mścijże się! Zjedz mnie! Mały gryzoniu, gryź mój żywot! Żyw się mą krwią. Ty jesteś mną samą. Jesteś marzeniem moim. Nie mogłam cię znaleźć wśród świata, więc stworzyłam cię z ciała własnego... I teraz trzymam cię wreszcie. Miłości! Jestem sama tym, kogo miłuję!” 86

TOM DRUGI

LATO

To strive, to seek, not to find

and not to yield.

87

Część pierwsza

W półmroku pokoju zaciemnionego roletami, okryta białym peniuarem, Anetka siedziała na łóżku i uśmiechała się. Świeżo umyte, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. W

otwartym oknie stał nieporuszenie złoty żar sierpniowego południa. Nie widząc jej czuło się na zewnątrz leniwą senność drzemiącego w słońcu ogrodu bułońskiego. Anetka uczestniczyła w tej błogości. Mogła tak leżeć godzinami, wyciągnięta, bez ruchu, bez myśli, bez potrzeby myślenia. Wystarczała jej świadomość, że jest ich dwoje – i nawet nie siliła się na rozmowę z tym maleństwem, które w niej żyło, gdyż czuło ono (była tego pewna) wszystko, co sama czuła. Rozumieli się bez słów. Fale tkliwości przepływały przez błogą senność jej ciała, po czym znów pogrążała się w uśmiechnięty półsen.

Lecz mimo odrętwienia myśli zmysły jej zachowały przedziwną czujność – i łowiły z każ-

dą nadpływającą chwilą najbliższe drgania światła i powietrza... Słodki zapach poziomek w

ogrodzie... Czuła ich smak na języku, rozkoszowała się ich wonią. Słuch bawił się łowiąc najśłabsze odgłosy, szelest liści muśniętych wiatrem, szmer czyichś kroków na piasku, jakiś głos z ulicy, dźwięk nieszpornych dzwonów... I gwar unoszący się nad wielkim mrowiskiem: Paryż roku 1900... Lato Wielkiej Wystawy. W kadzi Pola Marsowego fermentowały w słońcu tysiące ludzkich gron.

Blisko, a nie za blisko tej potwornej kipieli – tyle ile trzeba, by mieć świadomość jej obecności, a zarazem czuć się bezpieczną – Anetka rozkoszowała się kontrastującą z tym ciszą i mrokiem swego gniazdka. „Czcie niepokoję! – myślała. – Prawda żyje we mnie.”

Słuch jej, jak u kota subtelny i roztargniony zarazem, chwycił, jeden po drugim, wszystkie dola-tujące szmery – i leniwie pozwalał im przebrzmieć. Dosłyszała z piętra głos dzwonka u drzwi wej-

ściowych i rozpoznała drobne kroki wiecznie śpieszącej się Sylwii. Wolałaby zostać sama, ale tak się już zadomowiła W swej szczęśliwości, że niczyje nadejście nie mogło zmącić jej spokoju.

Tydzień dopiero upłynął od chwili, gdy Sylwia dowiedziała się o wszystkim. Od ostatniej wiosny nie miała o siostrze żadnych wiadomości. Dotąd, zajęta jakąś osobistą, zresztą niezbyt głęboko przez siebie przeżytą przygodą, nie zdała sobie sprawy z długości milczenia Anetki.

Gdy wszakże po zakończeniu tej historii odzyskała swobodę myśli i czas na zastanowienie się

– poczuła niepokój. Wybrawszy się po nowiny do ciotki na Boulevard de Boulogne, dowiedziała się ze zdumieniem, że Anetka już od dawna wróciła. Zamierzała surowo zbesztać za-pominalską, lecz Anetka chowała dla niej inne zadziwiające niespodzianki: z tajonym wzruszeniem opowiedziała jej jednym tchem całą swą historię. Sylwia z trudem zdołała wysłuchać do końca. Żeby Anetka, rozsądna Anetka, popełniła takie szaleństwo i w dodatku wzbraniała się potem wyjść za mąż – nie! To było coś niesłychanego! Coś, na co ona nigdy nie pozwoli!... Mała Lukrecja²⁰ była zgorszona. Uniosła się, nazwała Anetkę szaloną. Anetka zachowała zupełny spokój. Było widoczne, że nic jej nie skłoni do zmiany stanowiska. Sylwia czuła, że nie ma żadnej władzy nad uporem siostry: miała ochotę ją bić!... Ale czyż można się gniewać 20 Lukrecja – małżonka jednego z Tarkwiniuszów, zhańbiona przez króla Tarkwiniusza Pysznego, popełniła samobójstwo w r. 510 p.n.e. W znaczeniu przenośnym: kobieta odznaczająca się bohaterską cnotą i niezłomną wiernością.

88

na tę kochaną twarzyczkę, która wszystko przyjmuje z rozbrajającym uśmiechem! No... i cichy urok tego macierzyństwa... Sylwia przeklinała je jak zły los, lecz była zanadto kobietą, by móc się nim nie rozczulać.

Dziś także przyszła z zamiarem wyłajani Anetki, złamania jej głupiego uporu, zmuszenia jej, by zażądała małżeństwa – a jeśli nie... „Jeśli nie, to się pogniewam!” Wpadła jak wichur do pokoju. Zapachniało pudrem i awanturą. Nie witając się zaczęła, dla nabrania rozmachu, wymyślać na tę głupią manię siostry zamykania się całymi dniami w mrocznym pokoju. Lecz gdy tylko ujrzała szczęśliwe oczy Anetki wyciągającej do niej ramiona, podbiegła i uściskała ją.

– Wariatka! Wariatka! Arcywariatka! – gderwała dalej. – Z tymi długimi włosami na białym peniuarze, aniołka udaje! Ładnie by się można nabrać – no!... Niewiniątko!... Ach, ty mały nicponiu!

Potrząsała nią. Anetka, znużona i zadowolona, nie broniła się. Nagle Sylwia urwała swój monolog i odgarniając włosy Anetki, w obie ręce ujęła jej czoło:

– Proszę, jaka to świeża, jaka różowa! Nigdy nie miała tak pięknych kolorów. No i ta mina triumfująca! Doprawdy, jest z czego być dumną! Nie wstydzisz się?

– Ani troszkę – odrzekła Anetka. – Jestem tak szczęśliwa jak nigdy dotychczas. I taka silna, zdrowa! Po raz pierwszy w życiu mam uczucie pełni i niczego już nie szukam. Tęsknota za dzieckiem, to pragnienie, które ma się teraz spełnić, od tak dawna już budziło się we mnie!

Kiedy sama byłam jeszcze dzieckiem... tak, nie miałam jeszcze siedmiu lat... już o tym marzyłam.

– Kłamiesz! – odpowiedziała Sylwia. – Nie ma sześciu miesięcy, jak mówiłaś, że nigdy nie czułaś powołania macierzyńskiego.

– Co ty mówisz? Naprawdę tak powiedziałam? – Anetka była zbita z tropu. – Prawda.

Mówiłam tak. Ale nie kłamałam ani wtedy, ani dziś... Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Ale nie zmyślam. Pamiętam bardzo dokładnie.

– Znam to dobrze – odpowiedziała Sylwia. – Gdy tylko wbiję sobie coś do głowy, natychmiast przypominam sobie, że odkąd żyję, tego tylko najbardziej pragnęłam.

Lecz Anetka nadąsała się, niezadowolona:

– Nie, nie rozumiesz mnie. To, co dziś w sobie czuję, to moja prawdziwa natura. Zawsze była taka. Nie śmiałam tylko sama przed sobą przyznać się do tego, zanim wybiła godzina.

Bałam się rozczarowania. Teraz... ach, teraz widzę, że to jest jeszcze piękniejsze, niż się spodziewałam... I to jestem ja cała. Nic innego już nie chcę.

– Gdy chciałaś Rogera czy Tullia – przekornie wtrąciła Sylwia – też nic innego nie chciałaś.

– Ach, ty nic nie rozumiesz! Czyż można porównywać? Gdy kochałam (to, co wy nazywa-cie „kochaniem”), nie chciałam tego z własnej woli. Byłam zmuszona. Jakżeż cierpiałam ulegając tej mocy, niezdolna jej stawić oporu. Ileż razy modliłam się o wyzwolenie!... I oto wła-

śnie w chwili, gdy miotałam się w więzach męki zwanej miłością – on, ten mój maleńki, przyszedł mi na pomoc, przyszedł i ocalił mnie... Mój mały zbawca!...

Sylwia zaczęła się śmiać. Nie pojęła nic z rozumowania siostry, lecz nie potrzebowała nic rozumieć, by pojąć jej instynkt macierzyński.

Na tym terenie siostrom zawsze łatwo było o zgodę. Zaczęły więc czułą pogwarke na temat małego

nieznajomego (mężczyzną będzie? czy kobietą?) oraz tysiąca drobnych spraw, ważnych i błahych, związanych z jego przyjściem – spraw, o których kobieta nigdy do syta nagadać się nie może.

Długo już tak rozmawiały, gdy Sylwia przypomniła sobie, że przyszła tu, by dać siostrze reprimendę, a nie po to, by śpiewać z nią duet.

– Anetko – rzekła – dosyć tych głupstw! Wszystko w swoim czasie. Roger ma obowiązek ożenić się z tobą – i ty musisz tego zażądać. Anetka wykonała gest znużenia.

– Po co wciąż wracać do tego? Powiedziałam ci, że Roger proponował mi małżeństwo i że odmówiłam.

– A zatem, gdy się zrobiło głupstwo, trzeba się do tego przyznać i zmienić zdanie.

– Nie mam na to wcale ochoty.

– Dlaczego nie chcesz? Kochałaś tego człowieka. Pewna jestem, że kochasz go jeszcze. Co w ogóle zaszło?

89

Anetka nie chciała odpowiadać. Sylwia nalegała, niedyskretnie doszukując się przyczyn nieporozumienia w dziedzinie spraw, intymnych. Anetka zachnęła się gwałtownie. Sylwia spojrzała na nią i osłupiała: Anetka miała zacięte w złości usta, zmarszczone brwi, oczy gniewne.

– Co ci się stało?

– Nic – odpowiedziała Anetka i odwróciła się porywczo.

Sylwia bezwiednie dotknęła rany, o której Anetka pragnęła zapomnieć. Przez niezrozumiałość dla niej, a z głębi natury płynącą sprzeczność ciesząc się na przyjscie dziecka czuła równocześnie urazę do mężczyzny, który dał jej to dziecko. Nie mogła sobie przebaczyć, że pozwoliła się zaskoczyć swym zmysłom, że uległa wzruszeniu, które uczyniło ją bezwolną; i jemu, który z tej chwili słabości skorzystał, także przebaczyć nie mogła. Ten bunt instynktu był (tak u niej jak i u wielu innych) istotnym, ukrytym powodem jej ucieczki od Rogera i odmowy ponownego widzenia się z nim. W gruncie rzeczy nienawidziła go. Nienawidziła za to właśnie, że go pokochała – ale lojalna z natury, starała się stłumić te instynkty, uznawszy je za złe. Czemu Sylwia zmuszała ją do uświadomienia ich sobie?

Nie nalegając już, Sylwia przypatrywała się siostrze. Anetka uspokoiła się i zawstydzona tym, z czym się zdradziła i co sama w sobie dostrzegła – pragnąc oszukać samą siebie powiedziała spokojnym głosem:

– Nie chcę wychodzić za mąż. Nie jestem stworzona do tych wyłącznych więzów. Zapewne powiesz mi, że miliony kobiet godzą się z nimi i że wyolbrzymiam sobie ich wagę. Ale ja już taka jestem, że wszystko biorę poważnie. Jeśli oddaję się komuś – oddaję się bez zastrze-

żeń. I wtedy duszę się. Wydaje mi się, że się topię, że mam kamień u szyi. Może nie jestem dość silna. Osobowość moja nie jest dość ustalona. Więzy nadto intymne niby liany wysysają moją energię – i brak mi jej potem dla mnie samej. Wszelkimi siłami staram się podobać „te-mu drugiemu”, stać się taką, jaką chciałby mnie widzieć. I to kończy się źle, bo nadmiernie wyrzekając się swej natury człowiek traci dla siebie szacunek – i już nie może żyć; albo też zaczyna się buntować i zadaje ból. Nie, Sylwio, ja jestem egoistką. Jestem, stworzona, by żyć samotnie.

(Ale mimo że nie kłamała, wymieniała tylko preteksty, które jej samej przesłaniały prawdę.)

– Zabawna jesteś – rzekła Sylwia. – Jesteś kobietą najmniej stworzoną do tego, by obchodzić się bez miłości.

– Nienawidzę jej – odpowiedziała Anetka. – Ale teraz już mnie nie dosięgnie. Jestem w bezpiecznym schronieniu.

– Ładne mi schronienie! – zawołała Sylwia. – Nie ochroni cię ono przed niczym i ty wła-

śnie będziesz musiała je ochronić. Ty, która nie chcesz się wiązać, czy zastanowiłaś się, jakim ciężarem będzie dla ciebie to zawiniątko?

– Ależ to szczęście! Mieć nareszcie pełne ramiona, te ramiona, które tak długo były puste!

– Nie wiesz, co mówisz. A któż je wychowa?

– Ja.

– A ojciec? On też ma prawa do swego dziecka. Nowa fala rozdrażnienia przemknęła pod brwiami Anetki. Prawda! Prawa do dziecka! Do swego dziecka! Dziecko tego człowieka, tej ślepej minuty, którą on już zapomniał, a która mnie na całe życie wiąże! Nie, nigdy! Moje dziecko do mnie należy!

– Mój syn – rzekła – należy tylko do mnie.

– Okaze się jeszcze, do kogo będzie chciał należeć.

– O! Ja wiem, do kogo...

– Uwodzicielko!... A gdyby ci kiedyś zarzucił, że pozbawiłaś go ojca?!

– Sama tak dobrze wypełnię jego serce, że nie zostawię w nim ani odrobiny miejsca na żal po kimś innym.

– Jesteś potworem egoizmu.

– Powiedziałam ci to przecież.

– Będziesz ukarana.

– Tym gorzej dla mnie, jeśli nie potrafię pozyskać jego miłości. Nic jednak mi nie przeszkodzi go kochać – i nic nie zmieni faktu, że jest mną samą.

– Jeśli naprawdę go kochasz, powinnaś przede wszystkim zatroszczyć się o jego przyszłość. Tyle jest innych kobiet, które dla dobra dziecka zgodziły się na niemiłe sobie małżeństwo.

– Oburzasz mnie – odpowiedziała Anetka – gdy chwalisz kobiety, które dla miłości dziecka wyszły za mąż skazując się na życie w kłamstwie, a czasem w nienawiści. Przypominasz mi tę matkę, co mówiła córce, że z miłości dla niej wycierpiała piekło trwając w małżeństwie.

Córka odpowiedziała: „Czy sądziłaś, że piekło jest dla dziecka dobrym ogniskiem domowym?”

– Dziecko potrzebuje ojca.

– A jakżeż radzą sobie miliony tych, co się obchodzą bez ojców? Czyż mało jest takich, co nigdy ojca nie znały? A ileż, straciwszy go w dzieciństwie, wychowało się pod opieką samej tylko matki? Czy są one dlatego gorsze od innych? Dziecko potrzebuje ciepła opiekuńczej miłości. Dlaczegoż moja miłość miałaby mu nie wystarczyć?

– Przeceniasz swoje siły; Czy wiesz, co cię czeka?

– Ależ wiem, wiem! Kamionka dziecka obejmujące mi szyję.

– A czy wiesz, jaką ceną świat ci to każe opłacić? Lepiej byłoby dla ciebie być czterokrotnie wiarogomną mężatką niż tym, co oni piętnują nazwą „panny z dzieckiem”.

– Niech kto spróbuje wziąć na siebie trudy i obowiązki macierzyństwa nie poddawszy się wpiernich oficjalnemu małżeńskiemu ostemplowaniu! To rzecz nie do przebaczenia osobie należącej do ich klasy. Mnie by to uszło! To, co my, dziewczęta z ludu, robimy z naszym ciałem, nie ma znaczenia. Nawet korzystają z tego ci twoi burżuje. Toteż u dziewcząt z ludu gotowi są sławić wolną miłość jak w Luizie21. Ale dziewczyna z burżuazji to strzeżony teren łowiecki. Jesteś ich własnością. Można cię kupić na mocy kontraktu, wobec notariusza, ale nie wolno ci podarować się samej w obliczu nieba i rzec: „To moje prawo.” A gdzieżbyśmy zaszli, na miłość boską, gdyby własność zbuntowała się przeciw właścicielowi i oświadczyła:

„Jestem wolna. Niech mnie obsiewa, kto chce!”

Sylwia nawet w oburzeniu nie umiała mówić poważnie. Anetka uśmiechnęła się.

– Obyczaje zostały stworzone przez mężczyznę. Wiem o tym. Potępia on kobietę, która ośmieli się mieć dzieci poza małżeństwem – i nie poświęca się na całe życie ojcu swych dzieci. Dla wielu kobiet, które nie kochają swych mężów, jest to niewolą. Niemało jest takich, które chętnie zostałyby wolne i same ze swymi dziećmi, gdyby tylko nie brakło im odwagi.

Postaram się ją mieć.

Sylwia odrzekła z politowaniem:

– Jakaś ty naiwna! Żyłaś chroniona przed twardością życia podwójnymi oknami tej burżuazji, która cię więzi swymi przesadami, ale zarazem i przywilejami. Gdy raz stamtąd wyjdiesz, nie wpuszczą cię już z powrotem. Wtedy dopiero poznasz, co to jest życie!

– I to będzie sprawiedliwe, Sylwio. Masz słuszność. Byłam uprzywilejowana i dobrze, że i ja z kolei wezmę udział w waszych cierpieniach.

– Za późno! Tego się trzeba uczyć od dzieciństwa. W twoim wieku to niemożliwe... Na szczęście jesteś bogata i nie zaznasz nigdy trosk materialnych. Ale te inne troski, moralne...

Twój klan cię odepchnie, opinia cię potępi, co dnia będziesz musiała znosić nowe afronty.

Masz wrażliwe i dumne serce. Będzie krwawiło.

– No to będzie. Szczęście ma większą wartość, gdy trzeba je opłacić. To, czego chcę, jest zdrowe i uczciwe. Opinii się nie boję.

– A jeśli twoje maleństwo będzie przez nich cierpieć?

– Czyżby się ośmielili?... W takim razie będziemy razem walczyć z tymi nikczemnikami!

– Siedząc wyprostowana na łóżku, jak lew potrzasała grzywą włosów.

21 Luiza – prawdopodobnie autor ma tu na myśli: Louise ou les douleurs d'une fille de joie (Luiza, czyli cierpienia dziewczyny ulicznej) – powieść pióra Regnier Destourbet, wyd. w r. 1830, opisująca tragiczne dzieje uwiedzionej dziewczyny, która zostaje prostytutką.

91

Sylwia patrzyła na nią przez chwilę, usiłując zachować powagę, lecz jej się to nie udało.

Roześmiała się, wzruszyła ramionami i westchnęła:

– Biedna, mała wariatko!... Anetka zapytała przymilnie:

– A będziesz nam pomagać?

Sylwia uściskała ją gwałtownie i grożąc „pięścią ścianie zawołała:

– Biada temu, kto by cię dotknął!

Poszła. Anetka, zmęczona dyskusją, znów pogрузyła się w marzeniach. Tym razem, z siostrą, wygrała! Ale po rozmowie został w niej pewien niepokój – jedno słowo wypowiedziane przez Sylwię... Czy dziecko kiedyś, w przyszłości, będzie jej mogło coś zarzucić?...

Leżąc na plecach, z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu, wsłuchiwała się w siebie. Maleń-

stwo w jej łonie zaczynało się poruszać. Anetka, jak nieraz, rozmawiała z nim bezgłośnie.

Pytała, czy dobrze czyni zachowując je dla siebie samej. Prosiła, by jej powiedziało, czy przyznaje jej słusność i czy jest zadowolone: nie chciała bowiem zrobić nic, co by mogło zganić. Maleństwo odpowiedziało oczywiście, że matka dobrze czyni i że jest zadowolone.

Oświadczyło, że pragnie ją mieć dla siebie, tylko dla siebie – i że chcąc mu się poświęcić powinna

pozostać wolna i żyć z nim sama jedna. Ona tylko i ono...

Anetka roześmiała się ze szczęścia. Serce jej było tak pełne, że słowa ucichły. I znużona, z głową ociężałą i upojoną szczęściem, zasnęła.

Z chwilą gdy wygląd Anetki zaczął już zdradzać jej stan, Sylwia nakłoniła siostrę do opuszczenia Paryża. Nadchodziła jesień i znajomi mieli wkrótce powrócić z wakacji. Anetka niespodziewanie nie stawiała oporu. Nie bała się wprawdzie opinii, ale w tym okresie nie zniosłaby żadnych rozdzwięków – nie chciała, by cokolwiek mogło zmącić jej wewnętrzną harmonię.

Zgodziła się więc, by Sylwia odwiozła ją do pewnej stacji klimatycznej na Jasnym Brzegu; ale nie zatrzymała się tam dłużej. Nie było tu dla niej możliwości skupienia. Anetka była człowiekiem lądu i w sąsiedztwie morza źle się czuła. Mogła podziwiać ocean, lecz nie potrafiła z nim współżyć. Ulegała potężnemu czarowi jego tchnienia, ale tchnienie to nie służyło jej. Rozbudzało w niej zbyt wiele ukrytych niepokojów, wydobywało na jaw rzeczy, o któ-

rych wolała nie wiedzieć... Jeszcze nie! Jeszcze nie teraz!... Są na świecie istoty, których się nie kocha, może z obawy przed pokochaniem ich (więc może właśnie dlatego, że już się je kocha?). Anetka broniąc się przed morzem, broniła się przed samą sobą, przed jakąś niebezpieczną Anetką, której wolałaby unikać.

Wyjechała dalej na północ, nad jeziora sabaudzkie, i małą miejscinę u podnóża gór obrała za kwatere zimową. Sylwia dowiedziała się o tym, kiedy Anetka już tam zamieszkała. Zwią-

zana stale z Paryżem obowiązkami zawodu, z rzadka tylko i na krótko przyjeżdżać mogła do siostry, toteż trapiła się myślą, że Anetka jest sama w tym zapadłym kącie. Lecz Anetka w owym okresie nie mogła nigdy czuć się zanadto sama, ani żaden kąt świata nie mógł się jej wydawać nadto zapadły. Najlepiej czułaby się w pustelni. W miarę jak wzbogacało się jej życie wewnętrzne, coraz bardziej pragnęła atmosfery czystej i pełnej ciszy.

Wbrew przypuszczeniom Sylwii nie cierpiała wcale nad tym, że w swym stanie powierzo-na została opiece obcych ludzi. Taki miała nadmiar uczucia do rozdania, że nikt nie wydawał

się jej obcy, a że sympatia budzi sympatię – i jej samej też nikt na dłuższą metę za obcą nie uważał. Co prawda ludzie miejscowi, z natury mało ciekawi, nie starali się jej bliżej poznać.

Pozdrawiano się, w przejściu zamieniano kilka przyjaznych słów poprzez płot lub na progu domu. Była w tym szczerza życzliwość. Rozumie się, że w razie jakichś kłopotów nie można by zbyt liczyć na tę dobrą wolę, ale w szarości powszednich dni znaczyła ona dużo; dzięki niej dni stawały się lżejsze. Anetka wolała obojętną przychylną obcych pocziwców zоста-92

wiających ją w spokoju niż despotyczną troskliwość krewnych i przyjaciół, roszczących sobie prawo do roztaczania nad nią uciążliwej opieki.

Nadeszła połowa listopada... Anetka siedziała przy oknie i szyjąc patrzyła na pola pokryte

pierwszym śniegiem i drzewa w białych perukach. Ale wzrok jej co chwila padał na list z zawiadomieniem o ślubie... o ślubie Rogera Brissot z młodą osobą z paryskich sfer politycznych (Anetka знаła ją również)... Roger nie tracił czasu. Panie Brissot, przykro dotknięte ucieczką Anetki, przyspieszyły zawarcie innego małżeństwa, zanim głośne się stało niepowodzenie syna domu – Roger zaś pod wpływem zniechęcenia przystał na ich wybór. Anetka nie mogła ani się dziwić, ani skarżyć. Wmawiała sobie nawet, że się cieszy przez wzgląd na tego biednego Rogera. Wiadomość ta jednak poruszyła ją głębiej, niżby chciała. Tyle wspomnień drżało jeszcze w jej duszy i ciele! W tym ciele, w którym rozwijało się istnienie przez niego obudzone do życia... W głębi mroków miały się dawne niepokoje... Nie, Anetka nie pozwoli im się ujawnić! Odrazą ją napawa miniona gorączka zmysłów! Wszystko, co nosi znamię zmysłowości, męczy ją... Wstręt, bunt... I ta wrogość... (Tym razem rozpoznała ją...) Echo pradawnej nienawiści samicy do samca, który ją zapłodnił.

Szyła, wciąż szyła, byle zapomnieć. Gdy w rozdrażnieniu dostrzegła nadciągającą zło-wrogą chmurę, uciekała się jakby do modlitewnego młynka: do pracy. Szyła – i znów myśli jej układały się porządnie, jak trzeba...

I dziś także ułożyły się. Po półgodzinnej skupionej pracy troska powoli znikła i powrócił

uśmiech. Podnosząc czoło znad robótki Anetka ukazała rozpogodzone oczy. – Niechże tak będzie! – powiedziała.

Słońce śmiało się na śniegu. Anetka odłożyła robotę i ubrała się do wyjścia. Miała kostki i stopy trochę napuchnięte. To nic, trzeba się zmuszać do chodzenia – a gdy już raz była na dworze, chodzenie sprawiało jej przyjemność. Przecież prowadziła ze sobą na spacer swego małego towarzysza. Teraz zaznaczał już swoją obecność. Zwłaszcza wieczorem badał po omacku, na wszystkie strony, rozmiary swego gniazdka...

„Boże! Jakże tu ciasno! – zdawał się mówić. – Czyż to się nigdy nie skończy?...” I zasypiał. W dzień, na przechadzce, zachowywał się grzecznie, ale rzec by można, że to on patrzył oczyma matki, bo oczom jej wszystko wydawało się nowe. Co za żywość barw!

Zda się, że przyroda świeżo położyła je na swym płótnie. A i Anetka miała piękne rumieńce.

Serce jej biło mocniej i krew żywiej napływała do twarzy. Rozkoszowała się każdym smakiem i zapachem. Gdy nikt jej nie widział, zjadała prędko trochę śniegu leżącego na drodze...

Przepyszne!... Przypominała sobie, jak dzieckiem będąc czyniła to samo, gdy tylko wychowawczyni spuściła ją z oka. Lubiła także ssać badyłe trzciny, zmarznięte, wilgotne: czuła wtedy w gardle dreszcz łakomego zachwyty, i – jak płatek śniegu tający na języku, tak ona rozpływała się w rozkoszy.

Gdy już przez godzinę lub dwie nachodziła się po polach, po zaśnieżonych drogach, sama, a we dwoje, pod szarym baldachimem nieba, zasłuchana w świergot swej własnej, małej wiosny – wracała potem do miasta z błyszczącymi oczyma „i czerwonymi, wysmaganymi wiatrem policzkami. Przechodząc koło cukierni zawsze ulegała pokusie jakiegoś słodkiego przy-smaku, miodu czy czekolady (ach, jakież ten malec łakomy!) – a potem szła o zmierzchu usiąść w kościele, przed ołtarzem, który był jak miód, ciemny i złoty. I ona, która nie praktykowała, która nie wierzyła

(myślała, że nie wierzy), pozostawała tam aż do zamknięcia bramy, śniąc, modląc się, kochając. Noc zapadała, lampy przed ołtarzem, kołysząc się lekko, połyskiwały przyciągając w mroku ostatnie błyski światła. Anetka zapadała w półsen; trochę zzięb-nięta mimo wełnianej peleryny, grzała się w ciepłe swego własnego słońca. Pokój święty był w niej.

Śniła dla swego dziecka życie otulone słodyczą i ciszą – i jej własnymi ramionami miłości.

W pierwszych dniach nowego roku dziecko przyszło na świat. Syn. Sylwia zdążyła w sam czas, by go odebrać. Zainteresowana, baczna pomimo bólów, które jej chwilami wyrzywały jęk skargi, ale nie łzy – Anetka, trochę zawiedziona, ze zdziwieniem uświadamiała sobie, że 93

raczej jest świadkiem tego faktu niż jego sprawcą. Oczekiwane wielkie wzruszenie nie zjawilo się. Z chwilą rozpoczęcia pracy jest się jak gdyby pochwyconą w pułapkę bez możliwości wymknięcia się z niej: trzeba więc iść, iść do końca. I wtedy, zrezygnowawszy, dobywa się wszystkich sił, by dotrzeć jak najprędzej. Umysł pozostaje jasny, lecz wszystkie moce zajęte są całkowicie wytrzymywaniem bólów. Nie myśli się wcale o dziecku. Nie ma miejsca na tkliwość i egzaltację. Uczucia te, które przedtem wypełniały serce, cofnęły się w cień. To już naprawdę „praca” – twarda i ciężka praca ciała i mięśni; praca wyłącznie fizyczna, która nie ma w sobie nic z piękna ani nie daje żadnego zadowolenia... Aż do wyzwajającej chwili, gdy się poczuje, jak z własnego ciała wyslizguje się małe ciało... Nareszcie!

Natychmiast radość odżywa. Anetka, szczękając zębami, wyczerpana, bliska zatonięcia w jakimś oceanie arktycznym, wyciągnęła zimne jak lód ręce, by pochwycić i utulić w rozbitych członkach swój owoc żywy: ukochanego!

A teraz jest rozdwojona. Już nie dwoje w jednym, jak w pierw. Poza nią żyje część jej samej, oderwana w przestrzeni, jak mały satelita krążący wokół planety, małeńka dodatkowa wartość o nieogarnionej mocy działania w świecie psychicznym. Rzecz dziwna, że w tej dwoistości powstałej z podziału jednej istoty – istota duża silniej opiera się na małej niż mała na dużej. To bezsilne kwilenie właśnie dzięki swej bezsilności stawało się dla Anetki źródłem siły. Jakimże bogactwem darzy umiłowana istota nie mogąca się bez nas obejść!... Małe zwierzątko chciwie ssało stwardniałe piersi Anetki – a ona z równą chciwością wlewała w ciało swego syna strumień mleka i nadziei, rozpierających jej wezbraną pierś.

I wówczas zaczął rozwijać się pierwszy, przejmujący cykl tej vita nuova²² – stare jak świat odkrywanie świata, które od nowa przeżywa każda pochylona nad kołyską matka. Z bijącym sercem czuwa niestrudzenie, oczekując przebudzenia swego „śpiącego królewicza”. W szafi-rach jego ciemnofioletkowych oczu Anetka mogła się przeglądać – tak były błyszczące. Cóż widziało to spojrzenie, nieokreślone i bezkresne jak wielkie oko nieba, o którym trudno powiedzieć, czy puste jest, czy głębokie, ale w błękitnym blasku jego kręgu zawarty jest świat...

Jakież to niespodziane cienie rzucają nagle na to czyste zwierciadło obłoki cierpień, niewi-dzialnych gniewów i nieznanych, nie wiadomo skąd rodzących się namiętności. Z przeszłości mojej, czy z twojej przyszłości? Dwie strony tego samego medalu. „Ty jesteś tym, czym ja byłam. Ja jestem tym, czym ty będziesz. Czymże ty będziesz? Czymże ja jestem?” Anetka sobie samej zadawała pytania patrząc w oczy swego sfinksa. I obserwując tę świadomość, z godziny na godzinę wyłaniającą się z

otchłani – nieświadomie przeżywała od nowa w tym homunkulusie narodziny ludzkości.

Jedno po drugim otwierał mały Mareczek swe okienka na świat. Po gładkiej powierzchni płynnego spojrzenia zaczęły przebiegać bardziej określone błyski, jakby przeloty ptaków szukających, na czym by spocząć. Po kilku tygodniach na żywym drzewku ukazał się kwiat uśmiechu. A potem ptaki gnieźdzące się w krzaczku zaczęły świegotać. W niepamięć poszła tragiczna zmora pierwszych dni. W niepamięć strach przed nieznaną ziemią, rozdzierające krzyki istoty brutalnie wyrwanej z łona matki i nago rzuconej w okrutne światło dnia. Czło-wieczek nabrał pewności siebie, wziął życie w swe posiadanie – i uznał je za dobre. Wszystko badał, wszystkiego dotykał i chciwie kosztował, ustami, oczyma, nogami, rękoma i pleckami.

Sławił te zdobycze, z zachwytem bawiąc się dźwiękami, które dobywał ze swej fujarki. Głos!

To jeszcze jedna zdobycz więcej. Wsłuchiwał się w swój śpiew. Lecz nie więcej rozkoszował się nim niż matka. Anetce serce topniało, gdy słyszała ten strumyczek głosu. Upajała się nim.

Najostrzejsze nawet piski, do których się wznosił, cudowną rozkoszą przeszywały jej słuch.

– Krzycz, krzycz, mój maleńki! Pokaż, że żyjesz! – A on pokazywał z energią nie potrzebującą zachęty. Z radości, z gniewu, z grymasów wrzeszczał na wszystkie tony. Anetka, po-czątkująca matka i żalonna wychowawczyni, zachwycała się wszystkim; nie miała siły oprzeć się tyrańskim wołaniom. Wolałaby wstawać co noc po dziesięć razy niż słyszeć, że mały pła-22 Vita nuova (wł.) – życie nowe.

94

cze. Od rana do wieczora pozwalała się ssać tej żarłocznej pijawce. Dziecku nie wychodziło to na dobre, ona zaś czuła się coraz gorzej.

Gdy wiosną Sylwia znów zobaczyła siostrę, spostrzegła jej wychudzenie – i zaniepokoiła się. Anetka nadal okazywała to samo rozradowanie, lecz przejawiała je trochę gorączkowo.

Dość było jednego serdecznego słowa, by oczy jej napełniły się łzami. Przyznała, że sypia za mało, że nie umie upomnieć się o dostateczną obsługę i że czuje się bezradna wobec trudności związanych z opieką nad dzieckiem i troską o jego zdrowie. Mówiąc to udawała, że śmieje się ze swej małoduszności, ale znać było, że załamała. się jej początkowa dumna pewność siebie.

Ze zdziwieniem przekonała się, że nie jest tak silna, jak sądziła. Nie będąc nigdy dotąd chora nie znała granic swych sił i sądziła, że może używać ich bez rachuby. Teraz spostrzegła, że granice te są ciasne i że nie można ich przekraczać bezkarnie. Jakże kruche jest życie ludzkie!

Kiedy indziej nie przejęłaby się tak tym stwierdzeniem – lecz teraz życie jej. zdwoiło się, a na tej tak kruchej rzeczy opierała się druga, jeszcze kruchsza. Boże! Cóż by się stało, gdyby jej miało zabraknąć! W ciągu bezsennych nocy Anetka niejednokrotnie przeżywała ten lęk.

Wsłuchiwała się w sen swego dziecka i najmniejsza zmiana w oddechu, jego przyśpieszenie, skarga

jakaś czy cisza chwilowa – wstrzymywały bicie jej serca. A z chwilą gdy niepokój uzyskał raz wstęp do jej duszy, zamieszkał już w niej na stałe. Anetka nie zaznała odtąd owego dostojnego, lekkiego spokoju godzin nocnego spoczynku, gdy ciało bez ruchu, a dusza bez myśli bezsennie śnią kołysząc się jak kwiaty wodne na ciemnym stawie nocy. Łaska elizej-skiej spokojności, z której dostąpienia serce zdaje sobie sprawę dopiero wtedy, gdy ją straci...

Odtąd każda chwila trzyma w nieufnym napięciu spłoszoną, czujną duszę. W tym nawet, co najbezpieczniejsze, kryje się drzenie lęku...

Sylwia nie dała się oszukać pozorom. Pod dzielnym uśmiechem Anetki, żartującej z własnej słabości, trafnie dostrzegła jej fizyczne rozbitcie i zwierzęcą potrzebę zbliżenia się do stada. Orzekła, że Anetka powinna opuścić swoje schronienie i zamieszkać gdzieś o kilka godzin jazdy od Paryża, na wsi, gdzie Sylwia będzie ją mogła prawie co dzień odwiedzać, nie przyczyniając się tym do rozgłoszenia jej powrotu. Anetka nie sprzeciwiła się myśli o powrocie, lecz chciała jawnie wrócić do Paryża, do swego własnego domu. Nie uwzględniała żadnych zastrzeżeń i na próżno Sylwia wykazywała jej, że to nierozsądne i że spokój jej może zostać zmacony. Anetka uparła się. Duma jej nie mogła ścierpieć, by ktoś pomyślał, że ukrywa się ze strachu przed opinią. Przez cały szczęśliwy rok, zajęta opieką nad dzieckiem, nie myślała wcale o opinii. Żyła we dwoje ze swym szczęściem i nie było miejsca na nic trzeciego.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy szczęście jej nie zmniejszyło się, lecz pragnęłaby podzielić się nim ze światem – i ciężko jej było powiedzieć sobie, że powinna je kryć. Myśl ta, „im dłużej ją zaprzętała, tym głębiej ją raniła. Cóż znowu? Miałaby nadal ukrywać jak coś wstydliviego ten klejnot, który jest całą jej dumą? Przecież to, wygląda, jakby chciała się go zaprzecé!...

– Zaprzecé się ciebie, mój skarbie! – okrywała dziecko namiętnymi pocałunkami. – Nie powinnam była uciekać, od pierwszego dnia powinnam była narzucić cię światu. Dość już tego ukrywania! Pokażę cię wszystkim i powiem: „Patrzcie, oto moje dziecko! Przyznajcie, inne matki, żadna z was nie ma równie pięknego!”

Wróciła do Paryża i zamieszkała w swym domu. Córka Raula Rivière dobrze wiedziała, że świat nie łatwo pogodzi się z jej sytuacją. Odziedziczyła wprawdzie po ojcu jego pogardę w stosunku do opinii – nie przejęła jednak po nim sztuki pozornego naginania się do przesądów świata, by tym łatwiej im się wymykać. Liczyła, że stawia im czoło i da sobie z nimi radę.

Pierwsza, próba wypadła dość pomyślnie. W czasie nieobecności Anetki, jak zresztą stale od lat, domem opiekowała się stara ciotka Wiktoryna. Była to drobna, niska, przeszło sześć-

dziesięcioletnia osoba o cerze świeżej, bez zmarszczek, i niedużych, ciasno zwiniętych loczkach przylegających do policzków. Cicha, łagodna, nieszkodliwa, niezwykle nieśmiała, potrafiła uchronić się od wszystkiego, co mogłoby zamącić jej spokój. Anetka od dzieciństwa przywykła do obecności tej Cioci-Drypci, która odciążała ją w domowych kłopotach, czuwała nad czystością, komfortem

życia i kuchnią (była bowiem smakoszką), pełniąc rolę pocziwej starej służącej; nie potrzeba się już wobec niej krępować, bo należy jakby do domowych mebli; ze zdaniem jej nikt się nie liczy – a zresztą nie ma ona wcale swego zdania. W ciągu trzydziestu lat spędzonych u brata ciotka Wiktoryna miała możność słyszenia i oglądania wielu dziwnych rzeczy. Nie słyszała jednak i nie widziała nic. Trzeba by chyba ją zmusić, aby zobaczyła to, czego widzieć nie chciała. Raul nie zmuszał jej, broń Boże! W kółku intymnych przyjaciół nazywał ją swoją głuchoniemą seraju. Drwił z niej w żywe oczy, nabierał ją i beształ nazywając głupią gęsią, doprowadzał do łez, a potem przymilał się, rozgłośnie całował

w oba policzki i dawał się rozpieszczać jak stary smarkacz. W pamięci ciotki Wiktoryny pozostał jako złote serce – i co więcej, jako święty. Dobrze by się tym Raul ubawił w grobie, gdyby dla tak niestrudzonego miłośnika powierzchni ziemi pobyt w jej wnętrzu nie był aż tak przekłętą historią!

Dla Anetki nie byłoby niczym trudnym utrwalić w oczach ciotki Wiktoryny równie pochlebny obraz swej osoby. Wraz z domem odziedziczyła także i kult, którym stara domowa kotka otaczała jego właściciela. Nie należało tylko naruszać jej złudzeń i Anetka długo odkła-dała tę chwilę. Dotychczas ani słowem nie wspomniała ciotce o swej przygodzie. Za pretekst wyjazdu z Paryża podała stan zdrowia oraz chęć podróżowania. Jakkolwiek nieprawdopodobne były te przyczyny, ciotka zdawała się w nie wierzyć. Z natury była mało ciekawa i lękała się wiadomości mogących zburzyć jej spokój. A jednak w końcu musiała się dowiedzieć o wszystkim. Gdy dziecko przyszło na świat, Sylwia podjęła się zawiadomić ją o tym. Biedna kobieta została zdruzgotana. Długo nie mogła zrozumieć sytuacji. Nigdy jeszcze nie spotkała się z czymś podobnym. Napisała do bratanicy szereg rozpaczliwych listów, tak ponurych w treści, że Anetka mogłaby pomyśleć (młodość nie zna litości), że to ciotka Wiktoryna urodziła dziecko. Pocieszała ją, jak mogła. Sylwia była przekonana, że staruszka opuści dom. Lecz myśl ta była ostatnią, jaka ciotce Wiktorynie mogła przyjść do głowy. Umysł jej miotał się, targany chaotycznymi myślami. Nie była zdolna nic doradzić. Sama raczej potrzebowała czyjejś rady. Umiała tylko rozpaczać. Ale samą tylko rozpaczą żyć nie można, a że mimo wszystko żyć trzeba, dopatrzyła się ostatecznie w nieszczęściu Anetki dopustu bożego. W

czasie nieobecności bratanicy, której wyjazd odsunął niejako fatalne zdarzenie, zaczynała się już z nim oswajać, gdy nagle Anetka zapowiedziała swój powrót.

Anetka ze wzruszeniem wchodziła do swego mieszkania. Sylwia wyszła po nią na stację.

Ciotka Wiktoryna nie zdobyła się na to, a gdy usłyszała, że otwierają się drzwi domu, wbiegła z powrotem na schody, z których już do połowy zeszała, i zamknęła się w swym pokoju. Anetka zastała ją tam we łzach. Ściskając bratanicę ciotka powtarzała:

– Moje biedne dziecko!... Ale jakże to się stało? Jakże się stało?

Anetka, bardziej zmieszana, niżby to chciała pokazać, udawała pewność siebie i śmiejąc się odpowiadała szorstko:

– Mamy czas mówić o tym!... Teraz chodźmy na obiad! Staruszka dała się uprowadzić.

Popłakiwała w dalszym ciągu, Anetka zaś uciszała ją:

– Cicho, cicho, cioteczko! Nie trzeba płakać... Ciotka usiłowała przypomnieć sobie, co zamierzała powiedzieć. Był tego cały stos: żale, wyrzuty, pytania, okrzyki... Ale z całego tego stosu nie mogła nic wydostać. Dobywały się z niego tylko ciężkie westchnienia. Anetka tak wszystkim pokierowała, że ciotka niespodziewanie zobaczyła dziecko, które z odrzuconą w tył główką, całym swym pulchnym i miękkim ciałkiem pogrążone było w błogim śnie. Ciotka wpadła w zachwyty. Złożyła ręce modlitewnym gestem – i jej stare serce służącej z miejsca zawarło umowę służbową z nowym panem domu. Z tą chwilą, odmłodzona, wprzęgła się do 96

rydwanu małego bożka. Chwilami przychodziło jej na myśl, że jest on mimo wszystko przedmiotem skandalu, i znów ogarniał ją niepokój. Anetka, rozmawiając z udaną beztroską i śledząc spod oka, jak żałośnie wydłuża się pocziwa, starcza twarz – pytała:

– Cóż znowu takiego? Cóż znowu? Trzeba przecież mieć rozsądek.

Wówczas ciotka na nowo zaczynała swoje zagmatwane skargi.

– Ależ tak, ależ tak – mówiła Anetka gładząc jej ręce. – Masz słuszość. Ale w końcu, czegoż ty właściwie chcesz? Czy chciałabyś, żebyśmy straciły naszego drogiego chłopczyka?

Wiedziała dobrze, co czyni podkreślając przymilnie słowo „naszego”.

Ciotka, zabobonna, broniła się z przerażeniem:

– Anetko! Nie mów tak! To niebezpieczne... Jak możesz... doprawdy!

– A więc nie rób takiej miny! Skoro nasz maleńki jest już na świecie, skoro nam się urodził

– cóż mamy teraz robić? Najlepsze, co można zrobić, to kochać go i być szczęśliwą.

Ciotka mogłaby wprawdzie powiedzieć:

„No tak, ale dlaczego się urodził?”

Nie miała już jednak siły życzyć sobie, by się to nie stało Moralność co prawda wymaga-

łaby tego. Świat i religia również, wreszcie godność i spokój... Być może, przede wszystkim spokój... Gdzieś głęboko, głęboko, na samym dnie serca, kryła się nie wyznana myśl:

„Mój Boże! Gdybyż przynajmniej ta nieszczęsna dziewczyna nie opowiedziała mi o wszystkim!...”

Ostatecznie, nie umiejąc uzgodnić tylu sprzecznych myśli, ciotka Wiktoryna w ogóle zrezygnowała z myślenia i poszła za swym instynktem, pozostając nadal starą kurą, która całe życie poświęciła wychowywaniu cudzych piskląt. Pogodziła się z losem.

Ale Anetka nie miała się czym tak bardzo cieszyć. Bywają zdobycze przynoszące więcej kłopotów niż korzyści. Wkrótce za pośrednictwem ciotki zaczęły z zewnątrz docierać do Anetki niepokojące echa. Ciotka Wiktoryna była gadatliwa i chętnie nadstawiała ucha temu, co sąsiedzi mówili o

powrocie bratanicy. Przybiegała wtedy z płaczem, by wszystko powtó-

rzyć Anetce. Anetka łajała ją z szorstką serdecznością, lecz w głębi duszy cierpiała z powodu tych głupich plotek. Ilekroć staruszka wracała do domu, Anetka z drzeniem zadawała sobie pytanie:

„Co ona mi znów opowie?”

Zabroniła jej mówić. Ale gdy ciotka zamilkła, gorsza jeszcze była sprawa z jej niedomó-

wieniami, westchnieniami i minami pełnymi bóleści. W sercu Anetki gromadził się gniewny żal do tej jadowitej opinii, którą pozornie ignorowała.

Gdyby była rozsądna, unikałaby przynajmniej okazji otarcia się o nią. Ale miała za dużo żywotności, by móc być rozsądną. Rozsądni stajemy się dopiero wtedy, gdy za nierozsądek dostaniemy dobrą naukę. Taka już jest natura ludzka – i Anetka, wzgardliwie odwracająca się plecami do sądów świata, płonęła żądzą dowiedzenia się, co poza jej plecami mówi o niej ten świat. Co rano drżała ze strachu, czy dzień nie przyniesie jej znów echa nieprzychylnych słów, a we dnie, kiedy słowa takie nie docierały do niej, gotowa była sama wyjść na ich poszukiwanie. Trud ten został jej jednak oszczędzony. Od rodziny, od kuzynów i kuzynek, takich nawet, z którymi łączyły ją tylko dalekie więzy pokrewieństwa, otrzymywała listy pełne oburzenia i nieznośnych pouczeń. Ich pretensje do występowania w charakterze obrońców honoru rodziny i sędziów prowadzenia się Anetki powinny by wydać się nie tyle irytujące co groteskowe komuś, kto wiedział równie dobrze jak Anetka (aż nazbyt dobrze znająca z opowiadań ojca sekretną kronikę rodzinną), ile wart łokieć krytyki tych Arystarchów²³. Lecz Anetka nie śmiała się. Chwytała za pióro i odpowiadała ciętą, kąśliwą repliką, która budząc urazę w przeciwnikach czyniła wyrok ich bardziej jeszcze nieubłaganym.

²³ Arystarch – słynny krytyk aleksandryjski ur. około r. 215 p.n.e., komentator i wydawca poetów klasycznych, m. in. Homera, Hezjoda, Pindara. W znaczeniu przenośnym: krytyk mądry, sprawiedliwy, ale surowy.

97

Surowi ci cenzorowie mogli przynajmniej na usprawiedliwienie swej interwencji powoływać się na nadużywane bezsprzecznie, lecz uświęcone obyczajem prawo pokrewieństwa. Ale jakimże prawem sądzili ją surowo ludzie obcy, którym nie przyniosła żadnej ujmy rozporzą-

dzając sobą wedle własnej woli? Spotkawszy na ulicy tę czy inną światową damę, w której salonie przedtem bywała – zatrzymywała się, by zamienić z nią kilka uprzejmych słów. Lecz dama, przypatrując się jej ciekawie, pozwalała jej mówić, po czym zaledwie odpowiedział-szy na jej słowa, oddalała się z chłodną grzecznością. Inna znów, do której Anetka pisała z prośbą o jakąś informację, nie odpowiedziała wcale na list. W dalszym ciągu badając sytuację zwróciła się Anetka do jednej z przyjaciółek swej matki, wiekowej damy, którą považała i która dawniej okazywała jej dużo serdeczności. Zapytała, czy może ją odwiedzić. W odpowiedzi dostała list, w którym dama” z pewnym zakłopotaniem wyrażała żal, że nie będzie mogła przyjąć Anetki, gdyż wyjeżdża na jakiś czas z Paryża. Owe drobne, powtarzające się ukłucia rozdrażniały wrażliwość Anetki. Bała się nowych afrontów – ale rzecz dziwna, obawa ta pchała ją do ich prowokowania.

Tak też zdarzyło się z przyjaciółką Anetki Lucylą Cordier. Obie młode kobiety znały się od dawna. W kołach towarzyskich, w których bywały, Anetka wyróżniała Lucylę. Nie żyły ze sobą zbyt blisko, lecz widywały się chętnie. Anetka dowiedziała się przez ciotkę, że siostra Lucyli wyszła za mąż. Choć od Lucyli nie otrzymała o tym żadnego zawiadomienia, napisała do niej z życzeniami. Lucyla nie odpisała. Anetka zrozumiała dosyć, by więcej nie nalegać. A jednak uczyniła jeszcze jedną próbę, kierowana dziwną potrzebą cierpienia i zdobycia pewno-

ści.

Poszła do Lucyli. Z salonu dochodził gwar głosów. Był to dzień przyjęć. Anetka przypominała sobie o tym w chwila gdy już wchodziła. Za późno, żeby się cofnąć. Rozmowa była ożywiona – około dwunastu osób – prawie wszyscy znani Anetce. Na jej widok głosy nagle umilkły. Na kilka sekund zaledwie. Anetka, wzruszona, lecz świadoma, że staje do walki, weszła z uśmiechem na ustach i nie patrząc w prawo ni w lewo poszła prosto ku Lucyli. Lucyla, zmieszana, wstała. Była to drobna blondynką o przymrużonych, pieszczotliwych a przebiegłych oczach i zmiętej twarzyczce, przypominającej mysi pyszczek z wystającymi trochę ząbkami. Sprytna, na pozór przywiązująca się do ludzi i pasjonująca się ideami, a w rzeczywistości jednakowo obojętna wobec jednych i drugich – była ostrożna, niezbyt szczerą, słaba, lubiąca się podobać i przede wszystkim starała się nie poróżnić z nikim i wszystkim kierować oględnie. Postępowanie Anetki osobiście w niczym jej nie dotknęło. Ciekawy, spiczasty nosek Lucyli węsząc skandal bawił się nim i cała ta, „jej zdaniem, niedorzeczna awantura dostarczyłaby jej tylko rozrywki, gdyby ze względów towarzyskich nie była dla niej kłopotliwa.

Kiedy Anetka listownie zawiadomiła ją o swym powrocie, Lucyla pomyślała:

„A to ładna historia! Cóż ja jej teraz odpowiem?”

Nie chciała dotknąć Anetki, ale nie chciała też narazić się na ujemne sądy. Nie mogąc wymyślić odpowiedzi odkładała ją z dnia na dzień. Zamierzała zobaczyć się z Anetką – ale dopiero później (to przecież nic pilnego!) i tak, aby świat nie dowiedział się o tym. Nie przeszkadzało jej to w obmawianiu Anetki i przybieraniu zgorzzonej miny. A nagle pojawienie się Anetki postawiło ją (nie, tego już za wiele!) wobec konieczności natychmiastowego wyboru.

Lucyla miała do Anetki dużo większy żal za ten złośliwy kawał niż za to, że dała sobie zrobić dziecko! („A choćby dwoje, jeśli ma na to ochotę, tylko niech mi da święty spokój!...”) Z błyskiem wściekłości w oczach, szybko zagasłym, ujęła wyciągniętą rękę Anetki odpowiadając na jej uśmiech miodowym, dobrze Anetce znanym uśmiechem (nie było sposobu oprzeć się jego słodkiej pokusie). Trwało to tylko sekundę. Rozejrzawszy się bystro i nastawiony uszu Lucyla natychmiast wyczuła ironiczny nastrój otoczenia. W jednej chwili zmroził się wyraz jej twarzy. Po kilku słowach powitania ostentacyjnie podjęła przerwana rozmowę i jakby na skutek cichego porozumienia wszyscy na raz zaczęli znów rozmawiać...

Anetka, znalazłszy się poza konwersacją, poczuła się odepchnięta. Lecz nie pogodziła się z tym. Dobrze знаła słabość charakteru Lucyli. Zbrojna w swój dumny uśmiech, siedziała w środku grupy

osób, które zdając się jej nie widzieć wyglądały na bardzo zajęte wymianą zdań, równie ożywionych jak pustych, i spokojnym wzrokiem robiła przegląd towarzystwa.

Oczy, z którymi spotykał się jej wzrok, odwracały się, by go uniknąć. Jedna tylko para oczu nie zdążyła na czas umknąć – iż wyrazem rozdrażnionej niechęci zwarła się z jej spojrzeniem.

Anetka poznała szeroką, puciołowatą twarz Marii Ludwiki de Baudru, córki bogatego notariusza a żony pewnego urzędnika, którego rodzina od dawna utrzymywała z Rivière'ami stosunki towarzyskie, nacechowane pozorną serdecznością, a właściwie głęboką antypatią. Masyw-na, tęga osoba Marii Ludwiki de Baudru była niejako wcieleniem najsolidniejszych cech jej klasy – wielkiej burżuazji, łączyła w sobie zamiłowanie do ładu, rzetelność, nieciekawość świata i ludzi, brak miłosierdzia serca, a zwłaszcza umysłu, wszystkie cnoty konwencjonalne, silną, czysto werbalną wiarę (do cna wypraną z wszelkich wątpliwości i przemyśleń) oraz religijny wprost kult Własności – i to każdej własności: swej rodziny, swego majątku, swej religii, swej moralności, swej tradycji, swych ujemnych ocen. Jednym słowem: „ja” twarde i zwarte jak blok skalny zasłaniający słońce. Nie ma już przy nim miejsca na beczkę Diogene-sa! Dla wszystkich Baudru najbardziej odrażającą rzeczą na świecie była wszelka niezależ-

ność: religijna, moralna, intelektualna, polityczna czy społeczna. Mieli do niej wrodzony wstręt – i wszystkie jej formy określali wspólnym obelżywym mianem „anarchizmu”. Anarchizm ów od dawna węszyli u Rivière'ów i Maria Ludwika oraz jej bliscy instynktownie podejrzewali Anetkę. Maria Ludwika nie mogła jej przebaczyć swobody, którą Anetka cieszyła się w swym wychowaniu i życiu dorosłej panny. Kto wie, czy te nieprzychylnie sądy wolne były od szczypty zazdrości. Jeden tylko wzgląd powstrzymywał od ich uzewnętrznienia: ma-jątek Rivière'ów. Bogactwo nakazuje szacunek, jest jednym z filarów – i to najmocniejszym –

porządku społecznego. Ale pod warunkiem, że nic nie zachwieje jego podstawą: legalną rodziną. Czuwają nad tym ludzie stanowiący podporę społeczeństwa – i niebezpiecznie jest z nimi zadrzeć. Anetka naruszyła podstawowe zasady. Pies-wartownik obudził się; siedział

jeszcze cicho, bo nie szczeka się przy wszystkich, ale oczy jego mówiły dość wyraźnie. W

spojrzeniu Marii Ludwiki de Baudru Anetka wyczytała oburzenie i pogardę. Wzrok jej spotkał się spokojnie ze wzrokiem pyzatej cenzorki. W poufałym ukłonie skinęła głową, zmuszając ją do odклонienia się. Dławiąc się wściekłością wobec przymusu, któremu nie mogła nie ulec, Maria Ludwika oddała ukłon, mszcząc się przy tym najtwardszym ze swych spojrzeń. Anetka tymczasem odwróciła się obojętnie i wzrok jej, błędzący po salonie, powrócił

znow do Lucyli.

Z całą swobodą wmieszała się w ogólną rozmowę i przerywając jakąś uwagą opowiadanie Lucyli zmusiła ją do odpowiedzi. Nie było już rady – musiano Anetce zrobić miejsce. Nie było też sposobu nie słuchać jej uprzejmie, z zaciekawieniem, a nawet z przyjemnością, gdyż była inteligentna. Ale na ogół nie odpowiadano jej, słuchano z roztargnieniem, zaczynało mówić o czymś innym. Rozmowa to przygasła, to znow ożywała nikłym płomyczkiem, przeskakując z tematu na temat. W ciszy, która zapadła, Anetka usłyszała swój własny głos rozprawiający swobodnie – i słuchała go jak głosu obcej

osoby. Była prawdziwą kobietą, sprytną, wrażliwą i dumną, toteż żadne z drobnych upokorzeń nie uszło jej uwagi. Przyuczona od dzieciństwa do rozumienia i władania kłamliwą mową salonów, umiała dostrzegać poprzez zasłonę umyślnych roztargnień, dwuznacznych uśmiechów i nieszczerych grzeczności istotne, obrażające intencje. Cierpiała, lecz śmiała się i nie przestawała mówić. Patrząc na nią myśla-no:

„Ależ ta mała ma tupet!”

Lucyla skorzystała z odejścia jednej z pań, aby odprowadzając ją do drzwi salonu oddalić się od Anetki, która znalazła się sama wśród grupy osób zdecydowanych ignorować ją kompletnie. Rezygnując z przedłużania próby miała już właśnie wstać i pożegnać się, gdy nagle 99

Marceli Franck przeszedł przez salon i zbliżył się do niej. Od dłuższej już chwili znajdował

się tutaj, ale Anetka go nie dostrzegła, zajęta walką z ogarniającym ją przygnębieniem. On tymczasem obserwował ją, gdy mówiła, i z drwiącym politowaniem, podziwiając jej śmia-

łość, myślał:

„Cóż ją zmusiło przyjść tutaj, by stawiać czoło tym chamom? Co za pomylenie z niej!

Ależ to śmieszne...”

Postanowił przyjść jej z pomocą. Przywitał się uprzejmie; oczy Anetki rozbłysły wdzięcznością. Dokoła zapadła cisza: śledziły ich wszystkie twarze, nieruchome, zamknięte...

– No, nareszcie – rzekł – wielka podróżniczko, jest pani z powrotem! Czy do syta napatrzyła się pani błękitom Morza Śródziemnego?

Chciał tym naprowadzić Anetkę na temat nie ryzykowny, lecz ona (któż zgadnie, jaki demon ją popchnął? duma, fanfaronada czy po prostu szczerłość?) odpowiedziała wesoło:

– Co się tyczy błękitów, to od wielu miesięcy podziwiałam je tylko w oczach mego dziecka.

W salonie powiał podmuch ironii. Pojawiły się uśmiechy, zamieniano dyskretnie spojrzenia. Lecz Maria Ludwika de Baudru zerwała się, oburzona. Cała czerwona z gniewu i pogardy rozpierającej jej tłąstą pierś, odepchnęła krzesło i nie żegnając się z nikim skierowała się do drzwi. Temperatura salonu spadła o kilka stopni. Anetka została w swym kącie sama z Marcelim. Przyglądał się jej z nie pozbawionym ironii współczuciem.

– Nieostrożna! – szepnęła.

– Jakaż to nieostrożność? – zapytała dźwięcznym głosem.

Przez chwilę zdawała się szukać oczyma czegoś u swych stóp. Potem bez pośpiechu wstała

– i kłaniając się chłodno, żegnana ukłonami obecnych – odeszła.

Gdy szła ulicą równym miarowym krokiem, z głową podniesioną – zimna, poprawna, obojętna – nikt patrząc na nią nie domyśliłby się, jaka burza pogardy targła jej zranionym sercem. Dopiero w Boulogne, gdy nareszcie mogła zamknąć się w pokoju sama ze swym dzieckiem, przyciskając je do piersi wybuchnęła gorzkimi łzami. I zaśmiała się, jakby rzucając wyzwanie.

Nie brak było w Paryżu inteligentnych środowisk, gdzie Anetka byłaby przyjęta z szacunkiem, zwłaszcza w świecie, który nie powinien być obcy dla córki architekta Rivière'a –

świecie artystów żyjących na marginesie filisterstwa społecznego; choć wyzbyci wszelkich przesądów, obdarzeni są zmysłem rodzinnym jak najbardziej tradycyjnym, a nawet w swoje wolne związki wnoszą sporo burżuazyjnych cnót. Lecz Anetka nie utrzymywała bliż-

szych stosunków z kobietami ze świata artystycznego. Obca wszelkiej cyganerii, obdarzona zmysłem porządku, bardzo powściągliwa, niezbyt lubiła ich sposób zachowania i rozmowy, mimo że miała pełne uznanie dla ich wielkich zalet: odwagi, dobroci serca i wytrwałości. Bo przyznać trzeba, że w życiu codziennym stosunki między ludźmi opierają się nie tyle na wzajemnym szacunku, ile na wspólnocie instynktów i przyzwyczajzeń. Zresztą Raul Rivière w swoim zwycięskim pochodzie od dawna już posiał na drodze swych dawnych towarzyszy.

Gdy tylko pierwsze sukcesy pozwoliły mu wejść w świat bogactw i oficjalnych honorów, ów człowiek wielkich apetytów natychmiast zerwał stosunki z *haud aurea mediocritas*²⁴. Zbyt inteligentny, by nie cenić towarzystwa ludzi pracy wyżej od towarzystwa salonów i klubów ²⁴ *Haud aurea mediocritas* (łac.) – nie złota mierność.

100

paryskich – które w kółku zaufanych osądzał z bezlitosną ironią – zadomowił się jednak wła-

śnie w nim, gdyż dawało mu to wielkie możliwości wszelkiego rodzaju zdobyczy. Równocze-

śnie pozostawił sobie możność tajnych wypraw w inne, bardzo mieszane środowiska, gdzie mógł zaspokajać swą żądzę uciech i potrzebę nie skrzepowanej niczym niezależności: wiódł

bowiem podwójne, a nawet potrójne życie. Lecz mało kto wiedział o tym i własna córka znała życie jego tylko od strony oficjalnej oraz od strony interesów.

Towarzyskie koło Anetki ograniczało się właściwie do wielkiej burżuazji, bogatej i sto-sunkowo dość dystygowanej. Nowa ta rządząca klasa doszła usilnym staraniem do stworzenia sobie jak gdyby cienia tradycji i nabycia wraz z innymi atrybutami władzy pewnych ogólnych wiadomości, których zakres jednak przypominał krąg światła nakrytej abażurem lampy lękającej się, by nie rozszerzyć lub nie przesunąć na stole swego blasku – najmniejsza nawet zmiana mogłaby bowiem zachwiać owe pewniki. Anetka, instynktownie lubiąca światło, szukała go, gdzie mogła, a więc w swych studiach uniwersyteckich, uznanych zresztą przez jej świat za pretensjonalne. Lecz światło, które tu znalazła, było jak gdyby przesiane przez zasłone: światło sal wykładowych i bibliotek,

zawsze odbite, nigdy bezpośrednie. Anetka nabrała tam owej śmiałości myśli wyłącznie abstrakcyjnej, która nie wykluczała u na j dzielniejszych nawet kolegów pewnej nieśmiałości praktycznej i zupełnej bezbronności w zetknięciu z rzeczywistością. Inną zasłoną kryjącą przed jej oczyma światło był majątek. Mimo wszystko bariera ta odgradzała ją od wielkiej , wspólnoty. Anetka nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zamknięta. Była to ciemna strona bogactwa: klatka, złota co prawda, ale jednak klatka. Pastwisko otoczone murem.

Nie koniec na tym: teraz, gdy trzeba było wyjść z ogrodzenia, Anetka, która od dawna i bez lęku liczyła się z tą ewentualnością – teraz właśnie wyjść zeń nie chciała. Niech ją potępi, kto potępia brak logiki! Człowiek, szczególnie zaś kobieta, nie jest istotą jednolitą, zwłaszcza w okresach przejściowych, kiedy instynkty buntu i odnowy mieszają się z paraliżującymi je zachowawczymi nawykami. Nie można się tak od razu wyzwolić z przesądów swego środowiska i nabytych potrzeb. Nie potrafią tego nawet dusze najbardziej niezależne. Odczuwa się wtedy różne żale i zwątpienia; chciałoby się wszystko osiąść, nic przy tym nie tracąc. Szczera, wzdragająca się przed kłamstwem Anetka, która odczuwała potrzebę kochania i potrzebę swobody, nie miała mimo wszystko ochoty poświęcić posiadanych przywilejów. Gotowa była sama opuścić swoją sferę społeczną, lecz nie mogła ścierpieć, by ją z niej wyrzucono. Nie godziła się zejść na niższy szczebel drabiny społecznej – i młoda jej duma, której życie nie zdążyło jeszcze przytrzeć rogów, wzbraniała się szukać przytułku w obcym i społecznie skromniejszym środowisku, choćby nawet cenila je wyżej niż swoje własne. Równałoby się to przyznaniu przed światem do klęski. Woląta być osamotniona niż zdeklasowana.

Troska ta, choć tak pozioma, nie była pozbawiona podstaw. W walce między konwenan-sami jakiejś klasy społecznej a jednym z jej członków, zbuntowanym i stawiającym im czoło

– jednocząca się przeciwko śmiałkowi klasa usiłuje wyprzeć go ze swych granic, zmusza do usunięcia się – i czyha na każde jego potknięcie, by usprawiedliwić tym wyrok skazujący go na banicję.

Podobnie i w dobrej Przyrodzie, niech tylko wystąpi gdziekolwiek jakiś symptom słabości lub zjawi się bezbronna ofiara – natychmiast rozsnuwają się dokoła sieci pajęcze. I nie ma zresztą w tym nic zdradliwego ani podstępnego! To jest dobra Przyroda. Nieustanne łowy – i każdy z nas jest na przemian to myśliwym, to zwierzyną. Anetka była teraz zwierzyną.

Zjawili się myśliwi. Z całą prostotą przyjęła Anetka wizytę przyjaciela, Marcelego, Francka.

Była sama w mieszkaniu. Dziecko, pod opieką ciotki, było na codziennym spacerze. Anetka, trochę zmęczona, została w domu. Nie spodziewała się nikogo, lecz gdy przyniesiono jej bilet Marcelego, z radością kazała go prosić. Wdzięczna mu była, że u Lucyli ujął się za nią.

Rzecz jasna, nie narażając się na kompromitację! Lecz Anetka nie wymagała aż tak wiele.

Jako starego przyjaciela, przyjęła go bezceremonialnie, leżąc na szezlongu. Była jeszcze w porannym negliżu. Odkąd została matką, nie miała już tego, wyśmiewanego nieraz przez Sylwię, kultu porządku i drobiazgowości poprawności. Marceli nie czuł się tym pokrzywdzony.

Uważał, że wyładniała, że miło zaokrągliły się jej kształty i że do twarzy jej ze słodkim rozrzwiniem i wilgotnym błyskiem oczu roz pogodzonych szczęściem. Anetka rozmawiała swobodnie. Cieszyło ją ponowne spotkanie z przenikliwym powiernikiem jej wahań; lubiła jego inteligencję i umiar w sposobie myślenia; miała doń zaufanie. Franck był, jak zawsze, serdeczny i pełen bystrego zrozumienia, ale w zachowaniu jego zaznaczała się nuta jakiejś nowej poufałości, która od początku rozmowy zwróciła uwagę Anetki.

Wspominali ostatnie spotkanie przed nieszczęsnym pobytem Anetki w Burgundii u Brissotów – i Anetka przyznała, że Marceli wówczas aż za dobrze wszystko przewidział. Mówiąc to myślała tylko o niemożliwości swego małżeństwa z Rogerem; lecz zarumieniła się w obawie, że Marceli może ją źle zrozumieć i że go to ubawi. Marceli mówił przekornie:

– Pani wiedziała to równie dobrze jak ja. I śmiał się z obrotu, jaki wzięła cała historia. Zachowywał się tak, jak gdyby czuł się trochę współwinny.

Anetka była zmieszana i starała się pokryć to ironią. Marceli licytował dalej:

– Pani wiedziała to o wiele lepiej ode mnie. My mężczyźni mamy tę śmieszłą słabość, że zdaje się nam, iż możemy obdzielać kobiety naszą cenną mądrością. I dajemy się złapać, gdy patrząc na nas wielkimi, pięknymi oczyma, niespokojnie, podstępny głośm pytają, co powinny czynić. Wiedzą .to doskonale! Schlebiają tylko naszej manii, bo my lubimy pouczać.

One same mogłyby nam dawać lekcje! Gdy przepowiadałem, że Brissotowie nie schwycą pani w swą sieć, nie domyślałem się co prawda, że pani tak po mistrzowsku wyrwie się z jej oczek. Cóż za wspaniałe zuchwalstwo! Znakomicie!... No, jak pani się do czegoś weźmie!

Gratuluję pani jej śmiałości!

Anetka słuchała, zmieszana. Jakież to dziwne! Domagała się przecież prawa do postąpienia tak, jak to uczyniła. Onegdaj u Lucyli była gotowa podtrzymywać to prawo na przekór całemu światu. A jednak przykro jej było słuchać wygłaszanych tym tonem pochwał Marcelego! Cierpiała jej wstydlivość i poczucie godności.

– Niech mi pan nie prawi komplementów – powiedziała. – Jestem mniej odważna, niż się panu wydaje. Ja z góry nie chciałam tego, co się stało. Nie przewidywałam tego nawet.

Była zbyt dumna, by kłamać – a czując budzące się wątplivości dodała:

– Mylę się. Tak, myślałam o tym. Lecz bałam się tego, a nie pragnęłam. I to właśnie jest dla mnie niezrozumiałe: jak mogłam sama wyjść na spotkanie czegoś, czego nie chciałam, czego się lękałam.

– Nic w tym dziwnego – odrzekł Marceli. – To, czego się boimy, hipnotyzuje nas. Bynajmniej nie jest powiedziane, że człowiek nie pragnie tego, czego się lęka, tylko że nie wszyscy są zdolni odważyć się na to, przed czym czują ów lęk. Pani się odważyła. Pani od-ważyła się omylić. W życiu trzeba się mylić. Mylić się – to poznawać, a poznawać trzeba...

Tylko że... kiedy się pani już odważyła, to sędzę, biedna moja przyjaciółko, że mogła pani zachować

pewne ostrożności. Partner pani bardzo zawinił składając na nią ten ciężar.

Anetka, trochę urażona, odrzekła:

– Dla mnie to nie jest ciężar.

Marceli pomyślał, że Anetka chce wspaniałomyślnie. uniewinniać Rogera.

– Kocha go pani jeszcze? – zapytał.

– Kogo?

– Rozumiem! – zaśmiał się Marceli. – To znaczy, że pani go już nie kocha.

– Kocham moje dziecko – odpowiedziała Anetka. – Reszta należy już do przeszłości. A przeszłość... nie wiadomo doprawdy, czy kiedykolwiek istniała. Przestaje się ją rozumieć.

Smutne to.

– Jest i w tym pewien urok.

102

– Nie dla mnie – odrzekła Anetka. – Nie jestem aż taką znawczynią. Ale mój syn to terazniejszość i to terazniejszość, która będzie trwać tak długo, jak ja sama.

– Terazniejszość, która nas wypiera, dla której pani z kolei też kiedyś będzie przeszłością.

– Mniejsza o mnie – odrzekła Anetka. – I tak jeszcze miło będzie czuć się podeptaną tymi małymi stopkami!

Marceli śmiał się z jej namiętnego uniesienia, Anetka zaś ciągnęła dalej:

– Pan nie jest w stanie mnie zrozumieć. Pan nie widział mojego Marka, mojego małego ar-cydziela. A nawet gdyby pan widział, to i tak nie umiałby go pan zobaczyć. Pan umie wydawać sądy o obrazach, o rzeźbach, o różnych niepotrzebnych cackach, ale nie jest pan zdolny ocenić jedyne prawdziwego cudu, jakim jest ciało małego dziecka. Na nic by się nie przydało, gdybym je panu opisała...

Opisała je mimo to długo, miłośnie. Sama śmiała się ze swych wyrażen płomiennych, przesadnych – ale była porwana swym opisem. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy spostrzegła pobłażliwie drwiące spojrzenie Marcelego.

– Nudzę pana... Przepraszam!... Pan mnie nie rozumie? Ależ tak! Marceli rozumiał. Marceli wszystko rozumiał. Różne bywają przyjemności. Nigdy temu nie przeczył.

– A zatem – rzekł – reasumując to wszystko, wybrała się pani „na wagary” ze swym macierzyństwem – i oto weszła pani w konflikt z ładem społecznym i legalną rodziną. Nie dość na tym: zamiast żałować, rzuca pani wyzwanie autorytetowi.

– Jakiemu autorytetowi? – zapytała Anetka. – Ja nie wyzywam niczego.

– Ejże?... A autorytet opinii, tradycji, kodeksu napoleońskiego...

– Nic mnie nie obchodzą ci ludzie!

– To właśnie jest najgorsze wyzwanie – wyzwanie, którego oni nie przebaczą nigdy. Ale niech tak będzie. Zerwała pani wszystkie więzy, wyzwoliła się pani ze swego klanu. Co myśli pani robić dalej?

– To, co robiłam przedtem.

Marceli przybrał sceptyczny wyraz twarzy.

– Cóż, myśli pan, że nie mogę żyć jak przedtem?

– Nie warto by tego próbować... A zresztą... Marceli miał łatwą grę. Wystarczyło mu przypomnieć wizytę u Lucyli: Anetka mało miała szans odzyskania swej dawnej pozycji w świecie. Nie trzeba jej było o tym mówić, sama dobrze wiedziała – i jej zraniona duma wcale nie pragnęła ponownych doświadczeń. Dziwiła ją jednak usilność, z jaką Marceli starał się jej to wykazać. Zazwyczaj bywał dyskretniejszy.

– Zresztą – rzekła – mało mi na tym zależy teraz, kiedy mam moje dziecko.

– Nie może pani przecież zacieśniać do niego życia!

– Wcale nie uważam, aby to miało być zacieśnieniem. Wręcz przeciwnie, to będzie rozszerzeniem mego życia. W dziecku moim widzę cały świat, świat, który będzie rósł. A ja będę rosła z nim razem.

Marceli z dużą usilnością i niemniejszą dozą ironii starał się przekonać Anetkę, że ów świat nie może wystarczyć naturze tak żądnej i wymagającej jak jej własna. Anetka słuchała ze zmarszczonymi brwiami i ściśniętym sercem. W duchu protestowała gniewnie:

„Nie, nie.”

A jednak nie była wolna od niepokoju przypominając sobie, że już raz Marceli czytał w niej jasno. Ale dlaczego tak uparcie starał się ją o tym przekonać? Dlaczego zadawał sobie tyle trudu, by jej wykazać, że powinna korzystać z pozyskanej wolności i nie bać się żyć na marginesie towarzystwa, a raczej (jak się wyrażał) „poza i ponad mieszczańskimi konwenansami”?

W Anetce były dwie lub trzy różne Anetki, które zawsze współistniały ze sobą. Zazwyczaj mówiła na raz tylko jedna, a tamte słuchały. W tej chwili mówiły dwie równocześnie: Anetka namiętna, sentymentalna, bezbronna wobec swych wrażeń i chętnie dająca się im oszukiwać –

i druga Anetka, obserwująca i bawiąca się tajnymi sprężynami serc. Ta druga miała bystry wzrok. Jasno czytała w Marcelim. Role się zmieniły. Niegdyś to on czytał w jej najskrytszych myślach. A dzisiaj... dzisiaj przybył Anetce (odkąd?... tak, dokładnie od chwili jej „metamor-fozy”) dar jasnego widzenia dusz i ich tajemnych poruszeń, dar przelotny co prawda, który nowością swoją zadziwił ją stanowiąc rozrywkę pośród zajęć i kłopotów.

Z rękoma splecionymi na karku, z głową odrzuconą do tyłu i z rozchyłonymi ustami, leżała na szezlongu i patrzyła w sufit; ale kątem oka, spod przymkniętych powiek, obserwowała mówiącego wciąż Marcelego. Mogłaby naprzód wypowiedzieć słowa, które on miał powiedzieć, mogłaby z góry przysiąc, co stanie się za chwilę. Z rozbawioną, trochę sarkastyczną ciekawością, którą sobie wyrzucała, pozwalała mu mówić dalej...

(Bo przecież sam powiedział przed chwilą, że trzeba patrzeć i wiedzieć – że trzeba poznawać... poznawać.)

Uczyła się poznawać przyjaciela...

(Ależ tak, rozumiem cię doskonale! Dobrze by było podjąć ją – Anetkę – z ziemi, jak owoc spadły z drzewa. Marcelem lekko potrząsał pnem, by owoc oderwał się ostatecznie. Liczył na zamęt jej uczuć. A przecież mimo wszystko kochał ją. Otóż to właśnie, kochał... Jak niecie-kawy jest ten brat-człowiek... Oto przybiera pieszczotliwy ton głosu... Masz, teraz się rozczula... A teraz... bacność... Idę w zakład, że się nade mną pochyli...) Na kilka sekund przedtem ujrzała chylącą się ku niej płową brodę Marcelego i usta złożone do pocałunku, które już... już... miały jej dotknąć. Woląca oszczędzić mu upokorzenia. Podniosła się w samą porę i lekko odpychając wyciągniętymi rękoma ramiona Marcelego rzekła:

– Żegnaj, przyjacielu.

Marcelem spojrział w jej bystre oczy, które, z iskierką złości na dnie, patrzyły w niego badawczo. Uśmiechnął się. Był zawiedziony. Ale to była czysta gra. Nie ukrywał przed sobą, że najspokojniej w świecie dano mu odprawę. A jednak mimo wszystko był pewny, że nie jest obojętny Anetce. Niech to pojmie, kto potrafi! Wymykała mu się ta dziwna dziewczyna.

Marcelem nie zjawił się więcej – i Anetka nie uczyniła nic, aby go przywołać. Byli nadal przyjaciółmi, lecz czuli do siebie urazę. Właśnie dlatego, że Marcelem nie był jej obojętny, Anetkę dotknęło to, co w nim wyczytała. Nie obraziła się bynajmniej: była to historia banalna... aż nadto banalna!... Nie, Anetka nie miała mu tego za złe... tylko... tylko wiedziała, że nie potrafi zapomnieć! Bywają takie przebaczenia, których udziela umysł, lecz serce nie zatwierdza. Tajną urazę Anetki pogłębiała może konieczność przyznania, że jej sytuacja zupeł-

nie się zmieniła, co zbyt śmiało wystąpienie Marcelego podkreśliło jeszcze silniej niż kwaśne przyjęcie w salonie Lucyli. Anetka nie czuła się już chroniona konwencjonalnymi względami, które

społeczeństwo ma zawsze dla swoich członków, o ile pozornie poddają się jego kodeksowi. Ona musiała się bronić sama, a była narażona na różne ataki.

Przestała zupełnie przyjmować. Ani słowem nie wspomniała Sylwii o swoich doświadczeniach. Sylwia je przepowiedziała i nie omieszkałaby triumfować. Zachowała więc wszystko w tajemnicy i zamknęła się wraz ze swym dzieckiem. Postanowiła odtąd żyć tylko dla niego.

Gdy wieczorem po wizycie Marcelego Marcetek powrócił ze spaceru, powitała go wybuchem radości. Na widok matki malec zaczął się śmiać, i wyciągał do niej swoje cztery trzepoczące łapki. Niby zgłodniała wilczyca rzuciła się nań jak na łup. Jadła go pocałunkami. Uda-104

wała, że pożera go po kawałku, wkładała sobie do ust jego piąstki i stopki i rozbierając, po całym ciałku łaskotała wargami.

– Ham! Zjem cię! A ten głupiec – zawołała biorąc maleństwo na świadka – ten głupiec śmiał mi powiedzieć, że ty mi nie wystarczysz! Co za bezczelność! Ty miałbyś mi nie wystarczyć! Ty, mój król, mój bóg maleńki! Powiedz, że jesteś moim bogiem! A kiedy tak, to kimże ja jestem? Mamusią boga! Nasz jest cały świat! Czegóż my nie dokážemy we dwoje!

Ach, wszystko widzieć, wszystko osiąść, wszystkiego doświadczyć, wszystkiego zakosztować, wszystko stworzyć!

I naprawdę stwarzali wszystko! Odkrywać czy stwarzać, czyż to nie to samo? Wymyślić, wynaleźć to prawie tyle, co znaleźć. Znajduje się to, co się wynalazło. Odkrywa się to, co się stwarza, o czym się śni, co się wyławia z toni snów. Dla obojga, dla matki i dziecka, wybiła godzina wielkich odkryć: pierwsze słowa malca, badawcze zabawy, kiedy członkami swoimi bierze miarę świata. Co rano Anetka wyruszała ze swym synem na owe podboje. Cieszyło ją to na równi z nim, a może nawet i więcej. Zdawało się jej, że przeżywa ponownie własne dzieciństwo, ale w pełni świadomości, a więc z pełnią wesela. A małemu urwisowi także nie brakło radości! Był to ładny chłopaczek, zdrowy, tłuściutki jak różowy prosiak – w sam raz na rożen. („Na cóż czekamy jeszcze?” – mawiała Sylwia.) W swym zwinnym i jędrnym ciał-

ku miał nadmiar sił, podobny piłce gumowej, co tylko pragnie odskoczyć. Każde nowe zetknięcie się z życiem powodowało wybuchy hałaśliwego rozradowania. Niezmierna potęga marzenia, właściwa każdemu dziecku, rozszerzała jego odkrycia i przedłużała dźwięcznymi echami wibracje jego radości. Anetka dotrzymywała mu kroku. Zdawać się mogło, że współ-

zawodniczą, które z nich dwojga potrafi być szczęśliwsze i narobić więcej hałasu. Sylwia twierdziła, że Anetka straciła rozum, lecz sama z pewnością postępowałyby tak samo. Gdy w końcu uspokajał się hałas, następowały dla obojga godziny rozkosznej, całkowitej ciszy. Malec, syty ruchu, spał jak zabity. Anetka upadała ze zmęczenia, ale długo jeszcze walczyła z sennością, aby móc się cieszyć widokiem jego snu. Miłość jej, cofnięta w głąb serca i przy-

ćmiona jak blask świecy, którą osłania się ręką, by nie raziła uspiionych oczu – paliła się długim, cichym, wznoszącym się ku niebu płomieniem. Anetka modliła się jak Maria przy żłobku... modliła się do dziecka...

Nastąpił jeszcze szereg pięknych, promiennych miesięcy nie tak czystych jednak jak miesiące ubiegłego roku. Nie tak przeźroczych. Pełnych egzaltowanej, nadmiernej, trochę przesadnej radości.

Każda natura zdrowa i silna jak natura Anetki musi tworzyć, ciągle tworzyć, tworzyć całą swoją istotą, tak ciałem jak duchem. Tworzyć – lub osłaniać swoimi skrzydłami budzące się do życia istnienie. Jest to najistotniejszą potrzebą, szczęście znajduje tylko w jej zaspokoje-niu. Każdy okres twórczości ma swoje ograniczone pole działania – i jego narastająca siła biegnie po krzywej, która potem z konieczności opada. Anetka minęła już szczytowy punkt krzywizny. Ale pęd twórczy trwa u matki jeszcze dość długo po urodzeniu dziecka. Karmie-nie przedłuża bezpośrednią wspólność, jest jakby dalszym przekazywaniem krwi – i niewidzialne więzy utrzymują oba ciała w łączności. Twórcze bogactwo duszy dziecka wyrównuje zubożenie duszy matki. Opadająca rzeka zasila się wodą wezbranego po brzegi potoku – i rwie naprzód, by tworzyć jedno z tym małym rwącym strumieniem. Lecz on wyprzedza ją i rzeka zostaje w tyle. Dziecko oddala się. Anetka z trudem tylko mogła mu nadążyć.

Malec nie umiał jeszcze zbudować całego zdania, a już miał własne kryjówki i szufladki myślowe, od których klucz zachowywał dla siebie. Bóg wie, czego tam nie chował! Swoje uwagi o ludziach, urywki rozumowań, rupieciarnię obrazów, wrażeń, słów-zabawek, których dźwiękiem cieszył się nie wiedząc, co znaczą, śpiewne monologi bez związku, bez początku ni końca. Miał pełną świadomość może nie tego, co ukrywa, – ale że coś ukrywa; bo im bardziej starano się dojść, o czym myśli, tym sprytniej umiał z niczym się nie zdradzić. Bawił się nawet czasami w mylenie tropów – i swym równie niezdarnym jak jego rączki, płaczącym się 105

w sylabach języczkiem już próbował kłamać, by ludzi wprowadzić w błąd. Czynił to wszystko dla przyjemności udowodnienia innym i sobie samemu ważności własnej osoby, drwiąc sobie z tych, co chcieli wtargnąć w jego dziedzictwo. Ten smyk, dopiero co urodzony, miał

już zasadniczy instynkt tego „co moje, a nie twoje”. Choć całym jego majątkiem było trochę ułamków myśli, już otaczał je murem, by ukryć przed oczyma matki. A ona, nieprzewidująca (jak zresztą wszystkie matki), dumna była, że jej synek tak pięknie umie mówić: „nie!” – i że tak wcześnie przejawia swoją indywidualność. Z dumą głosila:

– On ma żelazną wolę!

Myślała, że to ona sama wykuła to żelazo. Lecz przeciw komu?

Przede wszystkim przeciw sobie samej; bo w oczach tego małego „ja” ona była tym, co jest „nie-ja”, światem zewnętrznym. Oczywiście światem mieszkalnym, ciepłym, miękkim i przytulnym, z którego można czerpać i nad którym chce się panować – ale światem w stosunku do „ja” zewnętrznym. Ja nim nie jestem. Ja go mam. A on... on mnie nie ma!...

Nie, Anetka nie miała go! Zaczynała to już odczuwać: ten liliputek chciał należeć tylko do siebie. Potrzebował jej, ale ona też go potrzebowała. Pouczał go o tym instynkt. Być może nawet, że ten instynkt, poparty egocentryzmem dziecka, mówił mu, że ona potrzebuje go o wiele więcej i że zatem słuszną jest rzeczą, aby ją wykorzystywał. Zresztą, mój Boże, to była prawda: ona potrzebowała go o wiele więcej...

– A więc słusznie czy niesłusznie, wykorzystuj, potworku! Ale mimo to nie możesz i długo jeszcze nie będziesz mógł obejść się beze mnie. Trzymam cię w rękach. Masz! Zanurzam cię w kąpielu!... Protestujże teraz, ty małe karpiątko! Och, cóż za oburzona mina! Buzia otwarta, jakbyś się dusił z oburzenia – godność twoja cierpi, ty mała osóbkco, gdy obracam tobą jak pakunkiem... Tak, właśnie! Obracam cię i w tę, i w tamtą stronę! O Boże, cóż za muzyka!

Będziesz śpiewakiem, syneczku! No, dalej! Bierz wysokie C!... Brawo! Pięknie śpiewasz, ale tańczyć będziesz tak, jak ja ci zagram... Ach, to doprawdy okropne nadużywać tak twojej sła-bości! Podła, podła matka! Biedne maleństwo! Poczekaj, zemścisz się na niej, gdy dorośniesz.

A na razie protestuj! Na przekór twej godności, patrz, całuję teraz twoje pośladeczki!

Malec wierzgał. Ona śmiała się – ale trzymając go nawet najsilniej, trzymała tylko ze-wnętrzną jego powłokę. Zamknięte w powłoce tej zwierzątko zmykało do swoje kryjówki. Z

dniem każdym trudniej go było schwytać. Był to miłosny pościg i pasjonująca walka – ale jednak walka, ale jednak pościg. Zmuszał do ciągłego trzymania się w pogotowiu.

Dziecko wymaga tysiąca drobnych, regularnych starań, które szczerlnie wypełniają cały dzień. Choć proste i monotonne, nie pozwalają jednak myśleć o niczym innym. Nawet poza

„jego” sprawami „ono” tylko zajmuje wciąż myśli – i umysł jest zupełnie rozproszony. Naj-szybsza myśl dziesięć razy bywa przerywana. Dziecko zagarnia wszystko – i drobnym swym ciałkiem zasłania horyzont. Anetka nie skarżyła się. Nie miała nawet czasu, by się tym martwić. Żyła w nieustannej, wyczerpującej pracy, która początkowo była błogostanem, a potem z godziny na godzinę przechodziła w nieświadomione znużenie. Siły zużywają się, dusza zaś idzie dalej swoją drogą. Nie zatrzymuje się tam, gdzieśmy ją zostawili. Somnambulicznym krokiem posuwa się po dawnym szlaku – a gdy się nagle obudzi, nie wie już, gdzie jej droga.

Anetka przebudziła się pewnego dnia ze świadomością gromadzącego się od wielu miesięcy brzemienia i nieokreślony cień zmieszał się z radością, która w niej żyła.

Nie chciała dopatrywać się w tym innych przyczyn prócz wyczerpania fizycznego – i chcąc sobie dowieść, że nic się nie zmieniło w jej szczęściu, zaczęła je okazywać wybuchami hałaśliwymi, niż było potrzeba. Zwłaszcza czyniła to przy świadkach, jak gdyby bała się, aby nie odkryli w niej tego, czego sama nie chciała widzieć. Owa przesadna wesołość pozostawiała po sobie, w chwilach samotności, dziwną depresję. Smutek? Nie. Dziwne jakieś przygnębienie, nieokreślony niepokój i świadomie tłumione uczucie częściowego niedosytu.

Nie znaczy to, że oczekuje się czegoś od zewnętrznego świata (na razie można się jeszcze bez niego obejść), tylko cierpi się na skutek bezczynności jakiejś części swojej natury. Niektóre 106

władze umysłu próżnowały od dawna, co powodowało zachwianie równowagi całej istoty.

Pozbawiona towarzystwa, ograniczona do siebie samej, Anetka czując budzącą się nostalgię, którą rada by stłumić, szukała ucieczki w książkach. Ale książki pozostawały otwarte stale na jednej i tej

samej strony; mózg odzwyczaił się od wysiłku podążania w ślad za rozwijają-

cym się łańcuchem słów. Ciągłe przerwy w myśleniu, powodowane nieustanną pieczą nad dzieckiem, rozrywały senną i rozstrojoną uwagę i targały nią niby łódką, która uwiązana, tań-

czy na prądzie nie mogąc ani popłynąć, ani się zatrzymać. Zamiast przeciwdziałać temu, Anetka trwała w odosobnieniu, marząc półśnie nad otwartą książką, lub też otumaniała się potokiem gwałtownych i głupiutkich rozmów z dzieckiem. Sylwia widząc, że wielostronna energia Anetki nie może się w opiece nad nim całkowicie wydać, mawiała.

– Powinnaś więcej wychodzić, używać ruchu, spacerów, tak jak dawniej.

Dla świętego spokoju Anetka obiecywała, że wyjdzie. I nie ruszała się z domu. Nie było to bez powodu, ale powód ten chowała dla siebie: lękała się, by nie spotkać kogoś ze swych dawnych znajomych i nie narazić się na bolesny objaw chłodu i obcości. Lecz był to tylko powierzchowny pretekst. Kiedy indziej zlekceważyłaby te małostkowe afronty. W rzeczywistości miała teraz neurasteniczną skłonność do unikania wszelkich spotkań z ludźmi. Czemuż żartem nie wyjeżdżała z Paryża, aby żyć na wsi, tak jak radziła jej Sylwia? Anetka nie odmawiała zasadniczo – ale wiedziała, że tego nie uczyni, gdyż wymagałoby to powzięcia jakiejś decyzji, a Anetka nie chciała otrząsnąć się ze swego odrętwienia.

Pozwalała więc cicho i miękko przepływać owym nieruchomym, bezwietrznym dniom, podobnym wygładzonej powierzchni morza gotującego się do odpływu. Była to jak gdyby pauza, pozorny zastój w odwiecznym rytmie oddychania: moment zawieszenia oddechu. Cicho, na palcach odchodzi radość. Na miękkich stopach skrada się cierpienie. Nie ma go jeszcze, lecz jakieś „nescio quid”²⁵ ostrzega: „Nie ruszaj się!... Ono jest tuż za drzwiami.”

Weszło. Ale nie było wcale tym, którego oczekiwano. Nie można przewidzieć naprzód ani szczęścia, ani cierpienia. Kiedy nadejdą, twarze ich nie są nigdy owymi naprzód przewidzianymi twarzami.

Pewnej nocy, kiedy Anetka, zawieszona między niebem a morzem, na pograniczu szczę-

ścia i melancholii, okrążała przylądek snu nie wiedząc, czy jest po tej, czy już po tamtej jego stronie – dostrzegła niebezpieczeństwo. Nie wiedząc jeszcze, skąd ono nadchodzi i czym jest, sprężyła wszystkie siły, by biec na ratunek śpiącemu przy niej dziecku. Świadomość jej, która nigdy nie była całkowicie uspijona, poznała już, że mu coś grozi. Zbudziła się wysiłkiem woli

– i nasłuchiwała, zaniepokojona. Nie pomyliła się. Nawet w głębinie snu dosięgała ją najlżejsza zmiana w oddechu ukochanego maleństwa. Oddech dziecka był przyśpieszony. Cudem tajemniczej osmozy Anetka poczuła ucisk we własnej piersi. Zapaliła światło i pochyliła się nad kołyską. Mały nie obudził się. Rzucił się przez sen. Twarzyczka jego nie była czerwona i matce wydało się to pocieszającym symptomem. Dotknąwszy jego ciała przekonała się, że skóra jest sucha a kończyny zimne. Przykryła go cieplej. Zdawał się uspokajać. Obserwowała go przez chwilę, po czym zgasiła światło, usiłując wmówić sobie, że ten alarm pozostanie bez następstw. Ale po krótkiej przerwie

dziecko zaczęło znów dyszeć. Anetka okłamywała się, jak mogła najdłużej:

„Nie, nie oddycha prędeej ani silniej niż zwykle. To tylko ja jestem podniecona...” I tak jak gdyby swoją wolę mogła narzucić dziecku, zmusiła się do spokoju. Ale nie było już wątpliwości. Ucisk wzmagął się, oddech był coraz szybszy – i w nagłym ataku kaszlu dziecko obudziło się i zapłakało. Anetka wyskoczyła z łóżka. Wzięła dziecko na ręce. Ciało 25 nescio quid (łac.) – nie wiem co.

107

jego było rozpalone, twarzą biała, wargi sine. Anetkę ogarnęło przerażenie. Przywołana przez nią ciotka Wiktoryna zwiększyła jeszcze jej trwogę. Telefon, jak na złość, był tego dnia nieczynny z powodu jakiejś naprawy – i nie można było porozumieć się z lekarzem. Nigdzie apteki w pobliżu. Dom buloński był odosobniony, a służąca nie miała ochoty biegać po nocy pustymi ulicami. Trzeba było czekać do rana, a tymczasem stan dziecka pogarszał się. Doprawdy, można było stracić głowę! Anetka była już tego bliska, ale nie wolno było pozwolić sobie na to, zachowała więc spokój. Ciotka jęcząc krążyła po pokoju, jak mucha pod kloszem lampy. Anetka powiedziała jej twardo:

– Jęki tu nic nie poradzą! Pomóż mi! A jeśli jesteś całkiem do niczego, to zostaw mnie i idź spać! Sama go uratuję.

I ciotka, przestraszona, odzyskała zimną krew. Przypatrując się choremu swym doświadczonym okiem, wykluczyła najgorszą z obaw Anetki: krup. Anetka jednak wciąż jeszcze wątpiła – a być może, że i ciotka też. Zawsze można się omylić. A choćby to nawet nie był krup, tyle jest innych śmiertelnych chorób! Fakt, że się ich nie zna, powiększa jeszcze obawy...

Lecz choć serce Anetki było zlodowaciałe z trwogi – ruchy jej pozostały spokojne i takie, jak być powinny. Wiedziona instynktem macierzyńskim, nieświadomie czyniła to, co było dla dziecka najlepsze (lekarz przyznał jej to nazajutrz): nie pozwalała mu długo leżeć bez ruchu, układała je coraz to inaczej, by pomóc w zwalczaniu ataków duszności. Miłość dyktowała jej wszystko, czego nie dały wiedza ani doświadczenie, wszelkie bowiem cierpienia dziecka odczuwała jak własne. A nawet cierpiała bardziej od niego, bo czuła się za nie odpowiedzialna...

Odpowiedzialna! Napięcie każdej próby, a zwłaszcza choroba godząca w ukochaną istotę, wywołuje częstokroć pewien stan umysłu, w którym człowiek czuje zabobonną potrzebę oskarżania się o cierpienie tamtego, niewinnego. Anetka nie tylko oskarżała się o brak

ostrożności i niedostateczne czuwanie nad dzieckiem, lecz nawet wykrywała w sobie samej jakieś podświadome zbrodnicze myśli: chwilowe znużenie dzieckiem, cień jakiegoś nie wyznanego żalu, że zatopiła w nim swoje własne życie... Czyż miała pewność, że kiedykolwiek istotnie odczuła i stłumiła w sobie ten żal, to zmęczenie? Chyba tak, skoro ujawniały się w tej chwili. Ale kto wie, czy nie wyobrażała sobie tego po prostu z potrzeby działania myślą, gdy nie można działać materialnie – chociażby nawet zwracając przeciw sobie samemu swe własne zrotpaczone siły.

Zwracała je także przeciw Wielkiemu Wrogowi: nieznanemu Bogu. Gdy widziała, jak twarzą dziecka brzęknie i sinieje, unosiła je łagodnie, pewnym ruchem rąk, wdychała weń swój oddech – i namiętnie błagała, by jej przebaczyło, że dając mu życie wyrwała je z ciszy i spokoju i rzuciła w

świat na łup cierpieniom, wypadkom i złośliwym kaprysom niewiadome-go, ślepego władcy. Zjeżona jak zwierz u wylotu swej nory, warczała węsząc zbliżanie się wielkich morderczych bóstw i szczerząc zęby gotowała się do walki o swoje młode. Jak każda matka, gdy syn jej jest zagrożony – była Anetka tą odwieczną Niobe, która chcąc skierować na siebie śmiertelny pocisk rzuca mordercy wściekłe wyzwanie...

Ale nikt z otoczenia Anetki nie domyślił się tej niemej walki.

Lekarz przyszedł rano i pochwalił Anetkę za przytomność umysłu i trafność pierwszych zabiegów, gdy przeciwnie, często niezręczne, choć pełne miłości starania zatrwożonej matki szkodzą tylko dziecku. Lecz ze słów lekarza Anetka zapamiętała wyłącznie to, co powiedział

o srożących się w Paryżu epidemiach grypy i odry oraz o możliwości zarażenia się dziecka bronchialnym zapaleniem płuc. A więc jednak zawiniła wobec syna, gdy sprzeciwiała się doradzanemu jej wyjazdowi z Paryża! Osądziła się bez litości, lecz osąd ów miał przynajmniej tę dobrą stronę, że zacieśnił zakres jej odpowiedzialności i odsunął na dalszy plan inne wyrzuty sumienia.

Na pierwszą wiadomość natychmiast przybiegła Sylwia i małemu choremu nie brakło opieki. Lecz Anetka nie chciała ustąpić ze swego miejsca; mijały dni, noce i znowu dni, a ona niemal bez wytchnienia trwała na posterunku. Pot małego ciała oblewał jej ciało, duszności 108

maleństwa paliły ją gorącem. Choroba ugniatała ich dwoje w jedno ciasto. Dziecko zdawało się być tego świadome, bo w chwilach gdy strach przed atakiem kaszlu zaciskał jego krtań, ciężkim od wyrzutu i prośby wzrokiem szukało oczu matki. Zdawało się mówić:

„Znowu mnie będzie męczył! Już idzie! Ratuj mnie!”

A ona, tuląc syna do piersi, odpowiadała:

„Nie bój się! Ja cię obronię! Nie zabierze mi ciebie!”

Atak mimo wszystko przychodził – i dziecko dusiło się. Ale nie było samo; matka prężyła się wraz z nim, by zerwać dławiącą pętlę. Maleństwo czuło, że ona, ta duża opiekunka, walczy i go nie opuści, a jej słodki, spokojny głos i pewny uścisk palców napępiały dziecko ufnością i mówiły:

„Jestem przy tobie!”

Płacząc i bijąc rączkami powietrze dziecko wiedziało:

„Ona go zwycięży.”

I zwyciężyła – Nienazwanego. Zło ustępowało. Ucisk pętli słabł; drżące dziecko całym swym ptasim ciałkiem, powierzało się rąkom, które je ocaliły. Jak dobrze było obojgu oddychać wyrwawszy się z tej głębiny. Strumień powietrza płynący z ust dziecka oblewał szyję matki i lodowatym dreszczem rozkoszy przepępiał jej piersi.

Krótkie jednak były te chwile wytchnienia. Walka przeciągała się, a szczególnie wyczerpująca była zmienność jej wyników. Stan malutkiego już się polepszał, gdy nagle z niewyja-

śnionych powodów przyszła recydywa. Wierne opiekunki nie omieszkały pogłębić swej udę-

ki wyrzucając sobie, każda z osobna, jakąś chwilę nieuwagi, która mogła przekreślić pomyślne skutki leczenia. Anetka mówiła do siebie:

„Jeśli umrze, zabiję się.”

Od wielu nocy odzwyczaiła się od snu. Trzymała się dzielnie, póki dziecko potrzebowało jej opieki, ale w godzinach kiedy zapadało w sen, a więc w chwilach, z których umysł, spokojniejszy, powinien korzystać, aby się odprężyć – umysł jej był właśnie najbardziej podniecony. Wibrował jak sieć drutów telegraficznych na wietrze. Nie sposób zamknąć oczu: niebezpiecznie stanąć twarzą w twarz z rozszalałym mózgiem. Anetka zapalała lampę i szukając ratunku przed wciągającym ją zawrotnym wirem, starała się tworzyć jakiś logiczny łańcuch myśli; ale w rezultacie roztrząsała tylko różne pomysły zabobonne, dziecinne i ekstrawagancje, a przynajmniej oceniane jako takie przez jej umysł przyzwyczajony do racjonalistycznych metod. Wmawiała sobie, że jeśli nieszczęście nad nią zawisło, to dlatego, że była dotychczas zanadto szczęśliwa. I zdawało się jej, że aby syn wyzdrowiał, potrzeba, aby ona sama została na innym odcinku życia nawiedzona nieszczęściem. Potężna i mroczna wiara w konieczność twardej odpłaty, sięgająca dalekich dziejów ludzkości! Tylko że ludy pierwotne, chcąc zjednać sobie względy dzikiego boga-przekupnia, który nic nie daje za darmo a sprzedaje tylko za gotowiznę – składały mu w ofierze pierworodnego i za tę cenę kupowały bezpieczeństwo reszty swych dóbr. Anetka natomiast byłaby odkupiła pierworodnego za cenę całego swego życia i mienia.

Mówiła:

„Zabierz mi wszystko, ale niech on żyje!”

I natychmiast dodawała w myśli:

– „Cóż za głupota! Nikt mnie nie słucha!..

Na darmo! Stary, atawistyczny instynkt nadal węszył wokoło obecność zazdrosnego Boga.

I zawzięta, w twardym targu, mówiła:

„Podpisujmy! Płacę gotówką. Dziecko jest moje – a ty wybierz, co chcesz, spośród reszty!”

Jak gdyby dla usprawiedliwienia przesądu, los wziął Anetkę za słowo. Ciotka Wiktoryna udała się pewnego ranka do notariusza, aby podjąć kwotę, którą już od dość dawna winien był

przekazać – i wróciła zrozpaczona. Anetka tegoż rana doznała wielkiego szczęścia: została 109

wreszcie uspokojona co do zdrowia dziecka. Lekarz właśnie odszedł: tym razem stwierdził

całkowite wyzdrowienie. Anetka, uniesiona radością, ale jeszcze drżąca, nie śmiała w pełni zawierzyć swemu szczęściu. W tej chwili ujrzała, że otwierają się drzwi – i natychmiast dostrzegła zmienioną twarz ciotki. Serce jej zabiło niespokojnie. Pomyślała:

„Jakież to nowe nieszczęście?”

Staruszka w pierwszej chwili nie mogła przemówić. Wreszcie rzekła:

– Kancelaria zamknięta. Rejent Grenu zniknął.

Cały majątek Anetki był w jego rękach. Upłynęła chwila, zanim zrozumiała, a potem (kto potrafi, niech to wytłumaczy!) twarz jej się rozjaśniła. Pomyślała z ulgą:

„Tylko to!”

A zatem nadeszło zbawcze nieszczęście! Wróg wziął sobie swoją część.

Po chwili wzruszyła ramionami nad własną głupotą, ale choć z ironią, w dalszym ciągu mówiła do niego:

„Czy masz dosyć? Jesteś zadowolony? Spłaciłam cię teraz. Nic już nie jestem ci winna.” Z uśmiechem patrzyła przed siebie... Biedna ludzkość która czepia się swojej odrobiny szczęścia i widząc, jak to szczęście wciąż jej się wymyka, próbuje wejść w układy ze ślepą naturą, którą urabia sobie na swój własny obraz.

„Na mój obraz?... Czyż jestem podobna do niej, do tej natury zazdrosnej, drapieżnej, okrutnej?... Kto wie? Kto może powiedzieć: «Ja nie jestem taki»...?”

Anetka była zrujnowana. Z rozmiarów tej ruiny nie umiała jeszcze zdać sobie sprawy. Ale gdy minął pierwszy moment oszołomienia i na zimno rozpatrzyła się w sytuacji, musiała sprawiedliwie przyznać, że w pełni na to zasłużyła. Nie brakło jej zdolności potrzebnych do zajmowania się interesami. Podobnie jak jej ojciec miała tęgą głowę i cyfry jej nie przerażały.

Gdy ktoś wywodzący się z wielu pokoleń chłopów i drobnych mieszczan, przezornych i zapobiegliwych, traci pewność siebie w dziedzinie spraw praktycznych – to chyba czyni to rozmyślnie. Lecz Anetka wolna była od wszelkich trosk materialnych, dopóki żył jej ojciec.

Następnie zaś przechodziła długie przesilenie, w czasie którego wewnętrzne procesy życia uczuciowego zawładnęły nią bez reszty. W tym trochę anormalnym stanie, podtrzymywanym przez jej uprzywilejowaną beczynność, odczuwała (niezbyt zresztą zdrowy) wstręt do zajmowania się swoim majątkiem. Trzeba mieć odwagę to stwierdzić, że idealizm życia we-wnętrznego, gardzący bogactwem jako pasożytnictwem, zapomina, że prawo do tej pogardy ma tylko ten, co się bogactwa wyrzekł. Natomiast idealizm, który rosnąc na tłustej glebie twierdzi, że nic go ona nie obchodzi – jest sam najgorszym pasożytem.

By uwolnić się od kłopotów związanych z administracją majątku, Anetka oddała go w cał-

kowity zarząd swemu notariuszowi, zacnemu panu Grenu. Był to stary przyjaciel rodziny, człowiek powszechnie szanowany tak za swe wartości zawodowe jak i za nieposzlakowaną uczciwość. Przez kancelarię rejenta Grenu przechodziły od lat trzydziestu wszystkie interesy Rivière'ów. Co prawda Raul nie pozostawiał ich nigdy bez osobistego wglądu – i niezależnie od zaufania, którym darzył swego notariusza, nie przepuszczał ani jednego aktu bez skontro-lowania w nim wszystkich przecinków i kropek. Ale zaufanie miał (mimo że zachowywał

wszelkie ostrożności) – a na to, by człowiek obdarzony takim węchem jak Raul Rivière darzył

kogoś swoim zaufaniem, trzeba było, aby człowiek ów rzeczywiście na to zasługiwał. Rejent Grenu zasługiwał na nie – o ile (przy zachowaniu wszelkich ostrożności...) w ogóle jest na świecie człowiek, który...

Rola świeckiego spowiednika, którą notariusz odgrywa w łonie rodziny, wtajemniczyła rejenta

110

Grenu wiele sekretów rodziny Rivière. Z wybryków Raula i zmartwień pani Rivière niewiele uszło jego wiadomości. Zwierzeniom pani używał współczującego, zwierzeniom pana

– wyrozumiałego ucha. Jako doradca żony, cenił jej cnotliwość. Jako kompan męża, cenił

jego występki (to były także cnoty – galickie), a jak mówiono, nie stronił bynajmniej od jego tajnych hulanków. Rejent Grenu, siwiejący sześćdziesięcioparoletni człowiek o świeżej cerze, miał powierzchowność delikatną i wyszukanie poprawne maniery. Był przebiegły, wymowny, dobroduszny i umiał być dobrym aktorem. Lubił opowiadać i chcąc, by go uważniej słuchano, zaczynał głosem zmęczonym i cichym, jak zamierający oddech, a dopiero uzyskawszy u au-dytorium litościwe milczenie, doprowadzał stopniowo dźwięczny organ głosu do takiego stanu, że mógłby mu go pozazdrościć okazałych rozmiarów klarnet – i nie wypuszczał ustnika, póki nie dośpiewał do końca swej piosenki. Był to notariusz dawnego stylu, lecz człowiek słaby i ulegający wpływowi mody; zacny ten pater familias²⁶, stary bourgeois szczycił się, że ma wśród swej klienteli aktorki, hulaków i piękne kokoty; podkreślał stale swój wiek i nawet przesadnie zgrywał się na staruszkę; czyniąc to obawiał się, by mu nie uwierzono na słowo, i dokładał wszelkich starań, aby cichaczem udowodnić, że jest sprytniejszy od wszystkich młodych ludzi i że ich wszystkich potrafi zapędzić w kozi róg.

Anetkę znał od dzieciństwa i bardzo szczerze wziął sobie do serca jej sprawę. Uznał za rzecz zupełnie naturalną, że po śmierci rodziców powierzyła swoje sprawy właśnie jemu. Po-czątkowo, kierowany zawodową skrupulatnością, informował Anetkę o wszystkim. Nie chciał

bez jej zgody zrobić żadnego posunięcia, ale Anetce wkrótce się to sprzykrzyło. Wobec tego zaczął brać od niej specjalne pełnomocnictwa na załatwienie tych czy innych poszczególnych interesów, a Anetka tylko słuchała (lub nie słuchała) sprawozdania, zresztą, bardzo ogólniko-wego. Później zaś, wobec tego, że Anetka wyjeżdżała z Paryża, często nie zostawiając nawet swego adresu –

uzgodniono, że rejent Grenu będzie działał dla dobra jej interesów nieko-niecznie się z nią porozumiewając. Wszystko szło dobrze tym trybem: rejent zajmował się wszystkim, podejmował renty Anetki i w miarę potrzeby przekazywał jej gotówkę. W końcu dla uregulowania sytuacji postanowił wziąć od niej generalne pełnomocnictwo. Czas upływał.

Już rok przeszło Anetka nie widziała się z rejentem, który punktualnie, z początkiem każdego kwartału, przysyłał jej umówione kwoty. Żyjąc samotnie, z dala od towarzyskich kół Paryża i nie czytując gazet, Anetka dopiero teraz dowiedziała się o tym, co zdarzyło się już dość dawno. Okazało się, że stary rejent przechytrył sprawę. Choć nie dla korzyści osobistych, uległ

pociągowi do spekulacji i chcąc, aby kapitały jego klientów przynosiły większe zyski, umie-

ścił je w ryzykownych przedsięwzięciach, w których utonęły. Próbując zaś ratować, zaprzepaścił je do reszty. Bez porozumienia się z Anetką rozporządził nie tylko całą płynną gotówką i powierzonymi sobie papierami wartościowymi, ale – korzystając z pewnej elastyczności pełnomocnictwa – obciążył hipoteki domów w Paryżu i Burgundii. Gdy wszystko przepadło, uciekł przed śmiesznością faktu, że dał się nabrać – boleśniejszą może dla niego od utraty czci.

Na domiar nieszczęścia Anetka, zajęta całkowicie chorobą dziecka, już od kilku tygodni nie otwierała listów. Na pisma wierzycieli hipotecznych i następnie na wezwanie komornika nie odpowiedziała wcale. Było to w dniach recydywy choroby, kiedy Anetka zupełnie straciła głowę. Nie pojmując, dlaczego zwracano się do niej, a nie do jej pełnomocnika, nie zaglądała nawet do listów i odsyłała je notariuszowi, który także ich nie czytał. Miał, po temu powody: był jeszcze „w kursie”...

W chwili gdy wyzdrowienie dziecka dało Anetce możliwość rozejrzenia się w sytuacji – postępowanie sądowe posunęło się już tak daleko, że wierzyciele, których żądaniom Anetka nie uczyniła zadość, otrzymali zezwolenie wystawienia na sprzedaż nieruchomości obciążonych długami hipotecznymi. Anetka, przebudziwszy się z odrętwienia, stawiała czoło druzgocącemu ciosowi. Odzyskała natychmiast całą energię i równoważąc swój brak doświadczenia odzie-26 pater familias (łac.) – ojciec rodziny.

111

dziczonym po ojcu zmysłem praktycznym, stanęła do walki z siłą i jasnością umysłu, która w podziw wprawiała sędziego, mimo że nie mógł przyznać jej racji. Słuszność jej sprawy bowiem nie zmieniała faktu, że z prawnego punktu widzenia źle się ona przedstawiała. Wkrótce sama Anetka zrozumiała, że klęska jest z góry przesądzona, ale – obdarzona wrodzonym instynktem bojowym – choć z zimną krwią przyjmowała ewentualność klęski, nawet niespra-wiedliwej, nie godziła się jej ponieść bez walki. Zresztą chodziło teraz o majątek dziecka.

Toteż broniła go piędź po piędzi z zawziętością twardej i przebiegłej chłopki, która wparłszy się obiema nogami w miedzę swojego gruntu, zagradsza drogę intruzom i z góry wiedząc, że wtargną, chce bodaj zyskać na czasie. Ale cóż mogła poradzić? Nie była w stanie zapłacić wymaganej kwoty, a nie chciała prosić krewnych ani dawnych przyjaciół o pomoc, której zresztą odmówiono by jej zapewne, i to w sposób upokarzający. Nie mogła zatem sprzeciwić się sprzedaży. Cała jej energia,

przebiegła i uporczywa, zdołała uzyskać tylko zawieszenie egzekucji na krótki okres czasu, bez widoków uchylenia jej po upływie tego terminu.

Byłoby rzeczą zupełnie usprawiedliwioną, gdyby Anetka okazała się przybita tą katastrofą.

Sylwia, choć nie dotknięta osobiście, na przemian to uderzała w lament, to znów kipiąc ze złości mówiła o procesach, procesach, procesach... Przeciwnie, Anetka dzięki katastrofie odzyskała równowagę. Cios odświeżył powietrze. Rozwiała się miękka, sentymentalna atmosfera, która już od trzech lat rozhartowywała jej serce. Gdy Anetka przekonała się, że nic się nie da zmienić, bez zbędnych wyrzekań pogodziła się z sytuacją. Nie szukała ulgi w obwinianiu rejenta Grenu, nie rzucała jak Sylwia soczystych klątw na jego głowę. Starzec znalazł się w wodzie. Ona również. Tylko że ona miała młode ramiona i umiała pływać. Być może, nawet myśl ta nie była jej przykra. Jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać, obok zmartwienia spowodowanego ruiną istniała w niej pewna ciekawość niebezpieczeństwa, a nawet ukryta radość ze sposobności wypróbowania swych beczynnych dotąd sił. Zrozumiałby to jej ojciec, który w pełni powodzenia doznawał pokusy zburzenia dzieła swego życia dla samej przyjemności odbudowania go na nowo.

Przygotowywała się zatem do opuszczenia domu na Quai de Boulogne. Posiadłość w Burgundii została tymczasem pośpiesznie sprzedana, na śmiesznych wprost warunkach. Było już pewne, że suma uzyskana ze sprzedaży zaledwie pokryje długi i koszty sądowe i jeśli zostanie jakaś nadwyżka, to nie wystarczy na utrzymanie Anetki i jej bliskich. Trzeba będzie szukać nowych środków do żyda. Na razie chodziło o to, żeby ograniczyć wydatki i stworzyć sobie skromniejsze warunki egzystencji. Anetka zaczęła szukać mieszkania i znalazła je dzięki pomocy Sylwii w domu siostry, na czwartym piętrze (Sylwia mieszkała na półpiętrze). Pokoje były małe, z oknami wychodzącymi na podwórze, ale czyste i zaciszne. Nie mogło być mowy o przeniesieniu tam wszystkich mebli z domu bulońskiego. Anetka chciała zatrzymać tylko niezbędne, ale ciotka Wiktoryna błagała ze łzami, aby zachowała wszystko... Anetka tłumaczyła jej, że w obecnym położeniu byłoby nierozsądnie brać jeszcze na siebie koszt wynajęcia składu i że trzeba ograniczyć się do zatrzymania tylko niewielu wybranych sprzętów. Ciotka wstawiała się za każdym meblem. Anetka stanowczo przeprowadziła wybór: poza meblami mającymi znaleźć pomieszczenie w nowym mieszkaniu, zatrzymała tylko kilka specjalnie drogich staruszce – resztę sprzedała.

Sylwia była zdumiona brakiem wrażliwości Anetki. Myliłby się jednak, kto by sądził, że dzielna dziewczyna nie odczuwała smutku. Kochała przecież ten dom, który trzeba było opu-

ścić. Tyle tu wspomnień! Tyle marzeń! Ale tłumiała je wszystkie. Dobrze wiedziała, że nie może bezkarnie dać im miejsca. Było ich za wiele, gotowych wszystko zagarnąć – a ona w tej chwili potrzebowała całej swojej siły. Raz tylko, niespodziewanie zaskoczona, uległa ich na-jazdowi. Było to pewnego popołudnia, na krótko przed wyprowadzeniem się. Ciotka była w kościele, Marek u Sylwii. Anetka, sama w domu bulońskim, w którym już czuło się bliskość odjazdu, klęcząc na wpół zwiniętym dywanie, składała jakąś zdjętą ze ściany draperię. Była zupełnie zajęta swą pracą i podczas gdy czynne jej ręce pozostawały w ciągłym ruchu, głowa 112

nie przestawała obmyślać, jak wszystko urządzić na nowo. Ale widocznie zostało jeszcze trochę miejsca dla marzeń: bo wzrok jej, który od paru chwil błądził gdzieś z dala od wizji rzeczywistości, natrafił wśród mglistych obrazów na desę zwijanej draperii – i poznał go.

Niemal zatarty już motyw białych kwiatów: niby motyle skrzydła czy może opadające płatki?

Mniejsza o to. Tyle tylko że oczy Anetki, gdy była dzieckiem, kładły się na nim, haftując na jego kanwie gobelin ubiegłych dni. I oto nagle gobelin ten wynurzył się z mroku... Ręce Anetki przestały porządkować, mózg jej przez chwilę jeszcze z uporem powtarzał cyfry, któ-

rych ciąg już stracił – potem umilkł. I Anetka osunęła się na podłogę; z czołem opartym na zwoju dywanu i twarzą ukrytą w dłoniach, leżąc z podkurczonymi nogami – zdała się na łaskę wiatru i fal i popłynęła... Nie była to podróż po jakiejś określonej krainie. Taka masa wspomnień (przeżytych? czy śnionych?) – jakże je rozróżnić?... Zawrotna symfonia jednej minuty ciszy! Większa jest jej zawartość niż treść całego życia. W czynnym myśleniu, gdy zdaje się świadomości, że bierze w posiadanie nasz wewnętrzny świat, chwytą ona tylko sam grzebień fali, w chwili gdy promień go złoci. Tylko marzenie przenika rozkołysaną otchłań i rwący jej rytm te nieprzeliczone ziarna pędzone wiatrem wieków, nasiona myśli istot, z których my wyszliśmy, i tych, które z nas wyjdą, ów przepotężny chór nadziei i żalów, których drżące ręce wyciągają się w przeszłość lub też ku przyszłości. Niepojęta harmonia, będąca tkaniną świetlistej chwili – harmonia, do której zbudzenia wystarcza czasem jakiś wstrząs... Bukiet wyblakłych kwiatów wyzwolił ją teraz w Anetce.

Kiedy po długim milczeniu otrząsnęła się wreszcie, pośpiesznie wstała i rękami, które stały się niezdarne, porywcze i drżące, nie patrząc dokończyła rozpoczętego składania draperii. Nie skończyła nawet, na wpół zwiniętą wrzuciła do kufra – i uciekła z pokoju... Nie, nie chciała pozostać tu z tymi myślami! Lepiej je odsunąć. Później będzie miała dość czasu na żałowanie przeszłości, gdy już sama będzie przeszłością... Tak... później... o zmierzchu życia. Na razie zbyt wielki był ciężar przyszłości, a musiała ją dźwigać. Sny jej sięgały naprzód... „Nie chcę nic wiedzieć o tym, co jest poza mną; nie wolno mi się oglądać za siebie...” Szła ulicą przyśpieszając kroku, sztywna, zapatrzona w dal... w lata, w długie lata... w przyszłe życie... w życie dziecka i własne, w życie nowe... w Anetkę jutra.

Tę wizję miała w oczach w wieczór wprowadzenia się do domu Sylwii. Sylwia zaraz po zamknięciu zakładu pośpieszyła na górę do siostry, aby obecnością swoją rozproszyć żal, którego się domyślała. Zastała ją, jak chodząc tu i tam po swojej ciasnej klatce, wcale nie zmęczona wyczerpującym dniem, usiłowała pomieścić w za małych szafach swoją bieliznę i suknie. Ale nie łatwo było tego dokonać i Anetka, stojąc na stołku z ramionami pełnymi prze-

ścieradeł, patrzyła na zavalone półki i obmyślając Inny plan, jak chłopak gwizdała jakąś wagnerowską fanfarę, którą bezwiednie trawestowała w groteskowy sposób. Sylwia obserwowała ją przez chwilę, potem rzekła:

– Anetko, podziwiam cię. (Niezupełnie tak myślała.)

– Czemu? – zapytała Anetka.

– Ja na twoim miejscu byłabym wściekła! Anetka zaczęła się śmiać i, pochłonięta swą pracą, dała siostrze znak, by milczała.

- Zdaje mi się, że znalazłam sposób – powiedziała. Wpakowała głowę i ramiona do szafy, porządkowała, burzyła, przewracała.
- A nie mówiłam ci, że dam sobie z tobą radę! (Mówiła to do szafy, uporządkowanej, za-pchanej, ujarzmionej.) Zeszła zwycięsko ze stołka.
- Sylwio, ty złośnico! – rzekła biorąc ją pod brodę – jako dzieci bawiliśmy się w stawianie domków z kostek domina; a gdy się domek zawalił, czy wściekałaś się wtedy?

113

- Rzucalam domino na ziemię – powiedziała Sylwia.
- A ja mówiłam: „Trach! Zbuduję teraz nowy domek!” – Przyznaj się od razu, że sama trzęśłaś stołem! – Nie przysięgłabym, że nie... – Anarchistko! – zawołała Sylwia.
- Masz tobie – odrzekła Anetka – a ty nią nie jesteś? Nie, Sylwia nie była anarchistką.

Umiała doskonale drwić sobie z porządku i władzy, gdy jej się tak podobało; ale uznawała potrzebę porządku i władzy. Chociażby tylko dla innych! Zresztą dla siebie także: nie ma przyjemności buntowania się, jeżeli nie ma żadnej władzy. Co się zaś tyczy porządku... Sylwia sama miała go we krwi; bojkotowała tylko porządek ustalony, dlatego że nie był jej własnym. Nie miała mu jednak za złe, że był ustalony. Porządek musi być ustalony. Odkąd ustalona była także i jej własna pozycja jako właścicielki pracowni, prowadzącej na własny rachunek swoje interesy – zaczęła być zwolenniczką stałego porządku. Anetka odkryła to ze zdumieniem. Nie było to jej jedyne odkrycie. Człowieka poznaje się prawdziwie dopiero wtedy, gdy się go widzi wśród codziennej pracy, napinającej sprężyny i ukazującej w prawdziwym świetle jego ruchy i gesty. Anetka dotychczas widywała Sylwię w próżniaczych okresach leniwego odprężenia. Cóż można wiedzieć o kotce wylegującej się na miękkich podusz-kach? Trzeba ją ujrzeć na łowach, z wygiętym jak łuk grzbietem i zielonymi błyskami w śle-piach.

Anetka widziała teraz Sylwię na jej własnym terenie, na tym kawałku, który Sylwia wy-kroiła sobie w wielkiej paryskiej dżungli. Mała szefowa zawód swój potraktowała na serio – i nie ustępowała nikomu w sztuce prowadzenia własnych interesów. Anetka mogła ją obserwować swobodnie i z bliska, gdyż w pierwszych tygodniach po przeprowadzce stołowała się u Sylwii. Uzgodniły, że będą prowadzić wspólne gospodarstwo aż do całkowitego zagospodarowania się Anetki na nowym mieszkaniu. Anetka ze swej strony usiłowała stać się użyteczną w pracowni, biorąc udział w tych czy innych pracach. Widywała więc Sylwię o każdej porze dnia, już to z klientkami i pracownicami, już to sam na sam, i dostrzegała w swojej siostrze rysy charakteru, których dotychczas nie знаła lub które podkreśliły. się silniej w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat.

Bystre spojrzenie Anetki dostrzegało teraz pod uroczym uśmiechem pieszczotliwej Sylwii naturę trochę oschłą, która nawet w swoich porywach trzeźwo wiedziała, ku czemu zmierza.

Sylwia miała obecnie Własny niewielki personel i kierowała pracownicami pierwszorzędnie.

Dzięki spostrzegawczości i przymilnemu sposobowi bycia potrafiła je doskonale dobrać i tak zjednać, że na przywiązanie ich zawsze mogła liczyć. Taka na przykład panna Olimpia, jej pierwsza podręczna, dużo starsza od niej i bardziej doświadczona w zawodzie, znakomita pracownica, lecz pozbawiona inicjatywy i nie umiejąca się bronić w życiu. Przybyła z prowincji i zagubiona w Paryżu, wyzyskiwana, oszukiwana przez mężczyzn, przez kobiety, przez pracodawców i współpracowników, miała dość inteligencji, by sobie z tego zdać sprawę, lecz za mało sił, by stawić opór, toteż oglądała się za kimś, kto by nie oszukując jej korzystał z jej pracy i uwolnił ją od wysiłku kierowania sobą. Sylwii udało się bez trudu poddać ją sobie.

Wzbudziwszy wśród swych pracowników przywiązanie, musiała tylko czuwać, aby rywalizując ze sobą pozostały jednak zgodne – i zrećcznie posługiwać się ich antagonizmem, by podniecać ich zapał i wzorem mądrego rządu opierać jedność rywalizujących stron na patriotyzmie ze-społowej pracy. Ambicja małej pracowni, jak i chęć odznaczenia się w oczach młodej szefowej poddawały wszystkich jej zrećcznej władzy, a Sylwia często kazała pracować aż do wyczerpania. Sama dawała przykład – i nikt nie narzekał. Serdecznym połajaniem lub dowcipną drwiną, z której sama śmiała się do rozpuku, z miejsca podrywała umęczony zaprzęg i sprawiała, że wytrzymawał do końca. Dumne ze swej szefowej, pracownice kochały ją zazdro-

śnie. A ona, podsycając te uczucia, sama pozostawała chłodna. Wieczorem, po odejściu pracowników, opowiadała o nich siostrze z tak zimną obojętnością, że to nawet raziło Anetkę.

Zresztą Sylwia w razie potrzeby umiała być uczynna i gdy wiedziała, że któraś z pracowników choruje lub ma jakieś zmartwienie, nie odmawiała jej pomocy. Lecz niezależnie od tego, czy 114

były chore, czy zdrowe – zapominała o nich, gdy tylko traciła je z oczu. Nie miała czasu my-

śleć o nieobecnych. Nie miała czasu kochać długo. Nieustanna, czynna ruchliwość wypełniała wszystkie jej chwile: strojenie się, gospodarstwo domowe, posiłki, zajęcia w pracowni, przy-mierzanie, rozmowy, miłostki, zabawy. Wszystko to, nie wyłączając chwil milczenia, nigdy zbyt długich, kiedy między ruchliwością dnia a nocnym snem przebywała sama ze sobą –

miało ściśle określony charakter. Ani jednego zakątka dla marzeń. Gdy obserwowała siebie samą, czyniła to tym jasnym i zaciekawionym spojrzeniem, którym podpatrujemy drugich – i którym patrzy się na samego siebie jak na przechodnia. Jej życie wewnętrzne było zreduko-wane do minimum: wszystko wyładowywało się w działaniu i w mowie. Nie było tu nic, co by mogło zaspokoić odczuwaną przez Anetkę potrzebę zwierzeń osobistych Anetka czuła się skrepowaną jaskrawością tego wiecznego dnia. Ani odrobiny cienia. A jeśli nawet był cień (znajduje się on w każdej duszy) – to jakieś drzwi zamknęły się za nim. Sylwia zaś nie interesowała się, co, było za drzwiami. Wszak chodzi tylko o to, by dobrze zarządzać swym małym królestwem: cieszyć się wszystkim, swą pracą i przyjemnościami, lecz wszystkim o właściwej porze, aby nic nie uronić – a zatem beznamiętnie i nie nazbyt głęboko, bo ciągła aktywność i nieustanne „przechodzenie” nie pozwalają na to, a nawet z góry wykluczają wszelkie tego możliwości. Nie było obawy, aby Sylwia straciła głowę z powodu swoich kochanków!

W rzeczywistości kochała, naprawdę kochała tylko jedną istotę: Anetkę... I jakież to ciekawe! Dlaczego właściwie kochała tę dziewczynę niepodobną do niej w niczym – lub prawie w niczym?

Ach, to „prawie nic”, to było wiele, to było (kto wie?) może to, co najważniejsze: krew...

Nie zawsze ma to znaczenie u ludzi tego samego pochodzenia. Ale gdy je ma, cóż za moc w nim ukryta! To głos, który nam szeptem: „Ten drugi to jeszcze ja. Odlany w innej formie, ale kruszec ten sam. Poznaję w nim siebie, ale innego i opanowanego przez obcą duszę.” I chciałoby się odzyskać siebie samego, odebrać go uzurpatorowi... Podwójny, nie, potrójny urok: urok podobieństwa, urok przeciwstawień i – nie najmniejszy z trzech – urok zdo-bywczej walki.

Ileż to sił wspólnych Anetce i Sylwii! Duma, niezależność, zamiłowanie do ładu, wola, życie zmysłowe! Ale z tych dwu umysłowości jedna zwrócona była do wewnątrz, druga na ze-wnątrz – dwie hemisfery duszy. Złożone były niemal z tych samych pierwiastków, ale każda pod wpływem jakichś niejasnych i głębokich przyczyn, związanych z istotą osobowości, tłu-miła jedną część swej natury, chcąc widzieć tylko drugą – tę, co wyłaniała się na powierzchnię, lub tę, co zanurzała się w głębi. Zbliżenie obu sióstr w ich wspólnym życiu niepokoiło w każdej z nich powszednią samoświadomość. Ich miłość wzajemna zabarwiała się wrogością.

A im żywsza była miłość, tym żywsza też i wrogość ukryta – czuły bowiem, że żadna nie upodobni się do drugiej.

Anetka, szersza od siostry i lepiej od niej umiejąca czytać w swych ukrytych myślach, zdolna była je sądzić i odpychać: minął już czas, kiedy chciała zagarnąć Sylwię swą despotyczną miłością. Ale Sylwia wciąż żywiła cichą chęć zapanowania nad starszą siostrą – i nie była zbyt zmartwiona, że wydarzenia dały jej możność zaznaczenia swojej przewagi. Oto odwet za nierówność losu obu sióstr w czasie ich młodości! To nie wyznane uczucie w połą-

czeniu z prawdziwą serdecznością pozwalało jej zakosztować skrytego zadowolenia, gdy patrzyła na Anetkę pracującą w zakładzie pod jej kierownictwem. Chciałaby ją wpisać w rejestr swojej służby. Zlecała jej przyjmowanie klientek, rysowanie węglem ozdobnych haftów; starała się ją przekonać, że mogłaby zapewnić sobie ważne stanowisko, a nawet kiedyś, później, wejść jako współniczka do przedsiębiorstwa.

Anetka, która przenikała motywy Sylwii, podporządkować się jej nie miała wcale ochoty.

Pomijała milczeniem jej namowy lub też, na nalegania Sylwii, odpowiadała, że nie nadaje się do tego zawodu. Na to Sylwia zapytywała ironicznie, do jakiego właściwie zawodu siostra czuje się stworzona? Bolało to Anetkę. Gdy ktoś nigdy nie potrzebował pracować na życie – a 115

nagle konieczność go do tego zmusi – przykro mu jest nie wiedzieć, do jakiego rodzaju pracy się nadaje, a nawet czy mimo swojego wykształcenia nadaje się w ogóle do jakiejś pracy. A jednak trzeba było pracować. Anetka nie chciała być dla Sylwii ciężarem.

Oczywiście Sylwia nie byłaby tego okazała: cieszyło ją, że dopomaga siostrze. Ale choć była szczęśliwa, że wydaje pieniądze dla Anetki – wiedziała dokładnie, ile ich wydaje. Prawi-ca jej wiedziała zawsze, co daje lewica. Anetka wiedziała o tym jeszcze lepiej. Nie mogła znieść myśli, że Sylwia obliczając kasę, w myśli obciąża jej konto... Do diabła z pieniędzmi!

Między dwoma kochającymi się sercami czyż powinny one coś znaczyć? Nie znaczyły nic w sercach Anetki i Sylwii – ale znaczyły w ich życiu. Nie żyje się samą tylko miłością. Żyje się też za pieniądze.

Była to prawda, z której wagi Anetka dotychczas za mało zdawała sobie sprawę. Teraz szybko się jej nauczyła.

Nic nie mówiąc Sylwii zaczęła rozglądać się za jakąś posadą. Przede wszystkim przyszło jej na myśl zwrócić się do kierowniczkę liceum żeńskiego, które sama kończyła. Jako uczen-nica zdolna i majątna oraz córka ojca mającego duże wpływy – była swego czasu w łaskach u pani Abraham i sądziła, że może być pewna jej sympatii. Ta wybitna kobieta, jedna z pierwszych, które zorganizowały szkolnictwo żeńskie we Francji, miała rzadkie zalety energii i trafności sądu, uzupełniane, względnie tonowane (zależnie od wypadku) chłodnym zmysłem dyplomatycznym, którego niejednen mężczyzna mógłby jej pozazdrościć. Osobiście bezinteresowna, nie była nią wcale, jeśli chodziło o sprawy szkoły. Była wolnomyślna i nawet (choć nie afiszowała się z tym) nie kryła pewnej antyklerykalnej pogardy, która nie mogła jej szkodzić w oczach klienteli – córek radykalnej burżuazji i młodych Izraelitek. Ale na miejsce od-rzuconych dogmatów została wprowadzona moralność obywatelska, która nie posiadając podstaw ani pewności była jednak nie mniej despotyczna i ciasna. (A nawet więcej – bo im bardziej arbitralna jest jakaś reguła, tym bardziej staje się sztywna.) Anetka dzięki swej pozycji towarzyskiej była w zażyłych stosunkach z dyrektorką i korzystała z pewnej wolności sło-wa; bawiła się nieraz docinkami godzącymi w ową sławną oficjalną moralność i pani Abraham, z natury sceptyczna, słuchała z uśmiechem dowcipów tej nie szanującej niczego smar-kuli. Uśmiechała się, owszem, gdy rozmawiały przy drzwiach zamkniętych, ale gdy tylko drzwi się otwały, a pani Abraham z powrotem przywdziała swój tytuł i rangę oficjalną – wierzyła znów niezachwianie w tablice praw laickich, wypracowanych przez rezonerstwo moralno-etyczne kilku republikańskich i pedagogów. Dość powiedzieć, że jeśli jej nagie sumienie okazywało obojętność wobec konwencjonalnej moralności, to sumienie jej odziane, sumienie na codzienny użytek – surowo ganiło postępowanie Anetki. Wiedziała o wszystkim, gdyż wieść o przygodzie dziewczyny znana już była w sferach towarzyskiej Paryża.

Ale nie wiedziała jeszcze o ruinie Anetki i, powiadomiona o jej przyjściu, nie śpieszyła się zdradzić przed nią ze swymi myślami. Trzeba było dowiedzieć się naprzód, jakie były powody tej wizyty i czy liceum może spodziewać się po niej jakichś korzyści. Przyjęła więc Anetkę uprzejmie, choć z pewną rezerwą, lecz gdy tylko zrozumiała, że Anetka zgłasza się w charakterze petentki, pani Abraham zaraz przypomniała sobie o skandalu i uśmiech jej zastygł.

Można oczywiście przyjąć pieniądze od osoby, której się nie pochwała – nie można jednak z zachowaniem przyzwoitości dawać ich takiej osobie. Nie trudno przyszło pani Abraham znaleźć nieodparte powody do odsunięcia niewygodnej kandydatury. Nie było miejsca w liceum.

A gdy Anetka poprosiła o polecenie jej w innych zakładach, pani Abraham nie zadała sobie nawet trudu zbycia jej nieokreślonymi obietnicami. Gdy miała do czynienia z ludźmi, których koło fortuny wyniosło na wyżyny, umiała być dobrą dyplomatką – natychmiast jednak prze-116

stawała nią być przy zetknięciu się z ludźmi, których koło to strąciło w dół. Ciężki błąd dyplomacji! Gdyż zdarzyć się może, że ci, którzy dziś są u dołu, jutro znów znajdą się na górze

– i dobry dyplomata zawsze. ma na względzie przyszłość. Pani Abraham „liczyła się tylko z terażniejszością. Obecnie Anetka tonęła: było to godne pożałowania, ale pani Abraham nie miała zwyczaju wyławiać tych, co znaleźli się w wodzie. Nie próbowała maskować oschłości swych uczuć, a gdy Anetka nadal prowadziła rozmowę w tonie niestosownej (obecnie) swobody i towarzyskiej równości – pani Abraham, chcąc ją skłonić do zachowania właściwego dystansu, oświadczyła, że sumienie nie pozwala gdziekolwiek ją polecać. Anetka zawrzała oburzeniem i niewiele brakowało, by dała to poznać po sobie. Błyskawica gniewu przemknęła i zgasła: pogarda wzięła górę. Anetkę opanowała chęć splątania jednego z dawnych, trochę diabelskich figłów, jakaś świerzbująca chęć wykpienia. Wstając rzekła:

– W każdym razie proszę pomyśleć o mnie, gdyby pani otwierała kurs nowej moralności!

Pani Abraham spojrzała na nią, zbita z tropu tą oczywistą impertynencją. Odpowiedziała oschle:.

– Dawna nam wystarcza.

– A jednak nie zaszkodziłoby rozszerzyć ją trochę.

– Cóż by pani do niej wprowadziła?

– Och, drobiazg – spokojnie odrzekła Anetka – tylko szczerłość i ludzkość. Pani Abraham, dotknięta, zapytała:

– Prawo do miłości, zapewne?

– Nie – odpowiedziała Anetka – prawo do dziecka. Wyszędłszy wzruszyła ramionami nad swą niepotrzebną fanfaronadą. Jakież to było głupie! Na cóż robić sobie wroga? Mimo wszystko zaśmiała się ze stropionej miny swej przeciwniczki. Kobieta nie jest w stanie oprzeć się przyjemności odplacenia drugiej kobiecie afrontem za afront. Ba! Kobieta taka jak pani Abraham pozostanie jej wrogiem tylko do chwili, kiedy Anetka odzyska z powrotem swoje stanowisko. A odzyska je!

Anetka udała się do innych zakładów, ale nigdzie nie było wolnych miejsc. Nie było ich dla kobiet. Demokracje łańskie stworzone są tylko dla mężczyzn. Umieszczają czasem fe-minizm w swoim programie, lecz nie dowierzają mu. Nie pilno im dostarczać broni tej, która o świcie dwudziestego wieku jest jeszcze ujarzmioną współzawodniczką, ale która dzięki zawziętości kobiety nordyckiej niedługo już nią pozostanie. Aby zgodzono się tu, choćby niechętnie, na kobietę, która pracuje i chce korzystać ze swoich praw – trzeba nacisku opinii reszty świata.

Anetka mimo wszystko mogłaby otrzymać kilka posad, gdyby przez swą drażliwość nie traciła nadarzających się okazji. Zgodzono by się zamknąć oczy na jej nieuregulowaną sytuację, gdyby sama zechciała usprawiedliwić ją bodaj pozornie: wdowieństwem czy rozwodem, do wyboru. Lecz gdy ją zapytywano, uważała, bezsensownie, za swój punkt honoru przedstawiać sprawę tak, jak się w rzeczywistości miała. Po dwóch czy trzech zawodach przestała się zwracać do zakładów

wychowawczych i nie zgłosiła się na uniwersytet. W tym ostatnim zaskarbiła sobie co prawda pewne sympatie – i mogłaby znaleźć umysły dość szerokie, które by ofiarowały jej pomoc bez nagany. Lecz bała się doznać upokorzenia. Była jeszcze nowi-cjuszka w krainie nędzy. Duma jej nie zdążyła jeszcze nabyć twardych odcisków na dłoniach.

Zaczęła szukać lekcji prywatnych. Nie chciała o nie prosić swych znajomych z kół burżuazji. Wolała ukryć przed nimi swe zabiegi. Udała się do owych tajnych biur pośrednictwa, a raczej wyzysku, istniejących podówczas w Paryżu. Nie była dość zręczna, by przedstawić się tam w korzystnym świetle. Była wzgardliwa. Miano za złe jej wymagania. Chciałaby wybierać, zamiast brać, co jest do wzięcia – jak czyni tyle nieszczęśliwych, które pracując od świtu do nocy, za głodową płacę uczą, niemal bez kwalifikacji, wszystkiego, czego się zażąda.

Wreszcie za pośrednictwem klientek Sylwii znalazła kilka cudzoziemek. Zaczęła udzielać lekcji konwersacji Amerykankom, które traktowały ją uprzejmie, przy okazji proponowały jej 117

przejażdżkę powozem, ale płaciły śmiesznie mało nie domyślając się nawet, że należałoby płacić więcej. Bez wahania dawały sto franków za parę bucików, ale za godzinę lekcji francuskiego płaciły franka. (W tych czasach nie było rzeczą niemożliwą znaleźć sprzedawczynię lekcji po 50 centymów za godzinę!) Anetka, choć co prawda nie miała prawa być wymagają-

ca, odrzuciła te poniżające wynagrodzenia, ale po długich poszukiwaniach nie znalazła nic lepszego. Zamożna burżuazja, która pod okiem opinii godzi się łożyć na edukację dzieci tyle, ile nauka jest warta – jeżeli to jest nauka udzielana w szkołach publicznych – w brudny wprost sposób wyzyskuje domowych nauczycieli. Tu nikt nie patrzy, a ma się do czynienia z ludźmi zbyt pokornymi, by próbowali stawić opór. Gdy jeden odmówi – już dziesięciu innych błaga o przyjęcie.

Anetce, osamotnionej, niedoświadczonej, nie łatwo było się bronić. Miała jednak instynkt praktyczny Rivière'ów i swoją dumę, nie godzącą się przyjąć upokarzających wynagrodzeń, do których naginali się inni. Nie należała do gatunku tych mazgajów, co jęcząc godzą się na wszystko. Anetka nie jęczała i nie godziła się. Wbrew oczekiwaniu postawa ta opłacała się jej.

Rodzaj ludzki jest nikczemny; spokojny i z lekka wyniosły sposób, w jaki Anetka odpowiadała „nie” – z miejsca ucinął wszelkie targi. Nie śmiano traktować jej na równi z innymi. To-też udało się jej uzyskać trochę mniej nędzne warunki. Lecz było to tyle co nic. Dobrze musiała się namęczyć, by zarobić to, co wydawała dziennie. Uczniowie jej mieszkali w różnych odległych dzielnicach, a w Paryżu nie było jeszcze wówczas ani autobusów, ani metro. Gdy Anetka wieczorem wracała do domu, stopy jej były obolałe. Buciki darły się. Ale była silna i zadowolona z zapoznawania się z życiem pracy i walki o chleb powszedni. Zarabiać na chleb

– to była dla Anetki nowa przygoda! Gdy czasem odniosła zwycięstwo w jednym z tych ma-

łych pojedynków woli, które staczała ze swymi wyzyskiwaczami, była równie zadowolona ze swego dnia jak owi gracze, co w radości z wygranej zapominają o nikłości stawki. Uczyla się bystrzej patrzeć na ludzi. Widok nie zawsze był piękny, lecz wszystko warte jest poznania.

Wchodziła w kontakt ze światem szarej pracy. Kontakt co prawda niewystarczający, pozbawiony

głębi; bo jeśli bogactwo stwarza osamotnienie – ubóstwo w niemniejszym stopniu odosabnia człowieka. Każdy jest pochłonięty swoją troską i wysiłkiem. I każdy widzi w drugim nie tyle brata w ubóstwie, co rywala, którego część wykrawana bywa ze szkodą jego własnej części.

Anetka wyczuła to u kobiet, z którymi współzawodniczyła. Wyczuła i zrozumiała: gdyż była wśród nich tą uprzywilejowaną. Jeżeli pracowała, by nie być ciężarem swej siostrze, nie zmieniało to faktu, że siostrę tę miała – i że chroniło to ją przed niebezpieczeństwami nędzy.

Nie знаła gorączkowej niepewności jutra. Cieszyła się swoim dzieckiem i nikt nie zamierzał

jej go wydrzeć. Czyż można porównać jej los z losem pewnej kobiety, której historię poznała

– pewnej nauczycielki zwolnionej z pracy, bo tak jak Anetka ośmieliła się zostać matką! Co prawda była początkowo tolerowana w szkolnictwie pod warunkiem, że ukrywać będzie swoje macierzyństwo. Wygnawszy ją do pracy w zapadłej wsi, zmuszono, by oddaliła od siebie owoc swego ciała. Ale nie zdołała powstrzymać się, by nie pośpieszyć do dziecka, gdy zachorowało. Sekret został rozgłoszony – i cnotliwej wiosce dostarczyło to drapieżnej rado-

ści. Władze uniwersyteckie – ma się rozumieć – sankcjonowały wyrok ludowej sprawiedliwości wyrzucając na bruk tych dwoje, co ośmielili się wejść w konflikt z kodeksem. I tym dwojgu właśnie miałyby teraz Anetka wydzierać ich nędzny chleb! Unikała zgłaszania się na posady, o które ubiegała się tamta. Ale wołano Anetkę. Właśnie dlatego że mniej zawzięcie walczyła o posadę, że mniej jej potrzebowała. Nie ceni się ludzi głodnych. Toteż nieszczęśliwe, których miejsca zabierała, uważały ją za okradającą je intruzkę. Wiedziały, że są niesprawiedliwe, lecz własna niesprawiedliwość przynosi ulgę, gdy się jest samemu ofiarą niesprawiedliwości. Anetka. dokonała odkrycia, że największą wojną jest wojna pracowników –

nie z przyrodą czy okolicznościami, nie z bogaczami w celu wydarcia im chleba – ale wojna pracowników z pracownikami, wzajemne wydzieranie sobie okruchów spadłych ze stołów 118

bogaczy oraz nieczułego Krezusa-Państwa... Oto wielkie nieszczęście, dotkliwsze zresztą wśród kobiet; zwłaszcza wśród kobiet owych czasów, bo jeszcze nie były zdolne się zorganizować. Trwały na poziomie prymitywnej walki wszystkich z wszystkimi. Miast łączyć swe trudy w jedno, powiększały jeszcze ich liczbę.

Anetka stawała się coraz twardsza i szła naprzód z krwawiącym sercem, ale mimo wszystko z płomieniem radości w oczach, szła, podtrzymywana w swym niewdzięcznym trudzie nowością tego trudu, bogactwem sił niewyżytych i myślą o swym maleństwie rozpromienia-jącą cały jej dzień.

Mareczek spędzał dzień w pracowni Sylwii. Ciotka Wiktoryna zgasła wkrótce po wprowadzeniu się do nowego mieszkania. Nie potrafiła przeżyć straty dawnego ogniska domowego, starych sprzętów i przyzwyczajień pięćdziesięciu lat spokojnego życia. Anetkę praca jej trzymała do wieczora poza domem, Sylwia zabierała więc dziecko do siebie. Mareczek był, rzecz można, kotem pracowni. Rozpieszczany przez klientki i pracownice, myszkował na czworakach pod stołem, zbierając

gałganki i haftki, zwijając i rozwijając kłęбки, opychany słodyczami i lepki od pocałunków. Chłopczyk, mający obecnie czwarty rok, miał złoto kasztanowate jak Anetka włosy i cerę wciąż jeszcze trochę bladą po przebytej chorobie. Życie było dla niego nieustannym widowiskiem. Sylwia mogłaby sobie przypomnieć pierwsze własne doświadczenia, kiedy siedząc pod ladą w sklepie matki przysłuchiwała się rozmowom klientów. Ale osoby dorosłe mają, z wysokości swych szczudeł, zbyt odmienne pole widzenia, by wiedzieć, co przykuwa oczy dziecka – no i jego różowe uszka... Miały one czym się zająć w warsztacie!

Języki używały sobie, roześmiane, śmiałe, bezczelne. Sylwia i jej czeladka nie grzeszyły pruderią. Gdzie śmiech i ochota, zwawiej idzie robota... O malcu nikt nie myślał. On przecież nie rozumie! I rzeczywiście nie rozumiał (to więcej niż prawdopodobne), ale chwycił nie prze-puszczając niczemu. Dziecko zbiera wszystko, wszystkiego dotyka, wszystko kosztuje. Biada temu, co się poniewiera! Rozciągnięty pod jakimś krzesłem, Mareczek pchał do buzi wszystko, co z góry spadało okruchy biszkoptów, guziki, pestki. A wpychał także i słowa. Nie rozumiejąc, co znaczą. Właśnie by zrozumieć! I podśpiewywał je, przeżuwał...

– Ach, ty świnko!

Któraś z pracownic wyrywała mu z palców wstążkę, którą ssał lub na próbę wpychał sobie do nosa. Ale nikt nie wyrywał mu połkniętych rozmów. Nic z tym na razie nie robił – nie miał co robić. Ale nic nie ginęło.

Wyciągnięty spod sprzętów i spódnic, gdzie oddawał się ciekawym studiom nad niespokojnie poruszającymi się nogami i palcami stóp, które kurczą się uwieszone w bucikach, przywrócony do pozycji i obyczajów zwykłych w świecie dorosłych – siadywał cicho i grzecznie na niskim taborecie między nogami Sylwii albo też (bo Sylwia rzadko kiedy spokojnie siedziała) w fałdach innej spódnicy. Przywierał policzkiem do ciepłej sukni i z odchylną w tył głową, z nosem zadartym do góry, przypatrywał się pochylonym twarzom, oczom zmrużonym, źrenicom żywym, ruchliwym i błyszczącym, ustom, co odgryzają nitkę – widać wtedy ślinę, przyciętą zębami wargę dolną (która zdaje się być u góry) i czerwone, żyłkowane, poruszające się przy mówieniu wnętrze nozdrzy. I te palce biegające wciąż za swą igłą...

Nagle czyjaś ręka łechtła go w podbródek: na palcu miała napałek, który ziębił mu szyję.

Tutaj, jak i wszędzie nic dla niego nie było stracone: te ciepłe i świeże dotknięcia, ta miękkość puchowa, te światła, co różowią, te cienie, co barwą bursztynową złocą kawałki żywego ciała, ta woń kobiecości... Zapewne, on sam nie uświadamiał sobie tego wszystkiego. Ale wieloraka jego świadomość, ta świadomość jak gdyby szlifowana w mnóstwo drobnych lusterek rozsianych na peryferii istoty dziecka, w przelocie utrwałała wszystkie odbicia niby na

taśmie... Kobiety te nie domyślały się wcale, że od stóp do głów obraz ich odbija się na tej małej czułej kliszy. Tylko że Mareczek widział je po kawałku, a niektórych kawałków brakowało. Tak jak w dziecinnej układance, której wszystkie kostki zmieszano. Tu miały swe źródło dziwaczne i przelotne upodobania malca, równie żywe jak urozmaicone, na pozór kapryśne, a jednak nie tyle niestałe, co fragmentaryczne. Chyba tylko ktoś niezwykle sprytny mógłby zgadnąć, co pociągało go w

każdej z tych kobiet. Jak prawdziwy domowy kot, Mareczek bardziej od całej osoby lubił miękkość rąk. I to, co skupiało wszystkie te miękkości: dom – pracownię. Mareczek był egoistą z całą prostotą (i słusznie: mały zbieracz musiał

przede wszystkim pozbierać swoje „ja”) – egoistą nawet w pieszczotach: był pieszczochem, bo chciał się podobać, oraz dlatego że znajdował w tym przyjemność. Toteż był nim tylko wobec tych, których sobie upodobał.

Od początku wielką jego faworytką była Sylwia. Instynktem domowego zwierzątka wyczuł od razu, że to ona jest bogiem domowego ogniska, władcą, który szafuje jadłem i poca-

łunkami i decyduje o barwie dnia – słowem, kimś, kogo warto adorować. Ale lepiej jeszcze być tym, kogo ten ktoś adoruje. I malec potrafił zauważyć, że przywilej ten został mu przyznany. Nie wątpił zresztą, że na to zasługuje; przyjmował więc bez zdziwienia, lecz z zadowolaniem, miły i pochlebny hołd składany mu przez władczynię warsztatu. Sylwia psuła go, rozpieszczała, zachwycała się jego pięknnością, jego ruchami, chodem, słowami, sprytem, oczyma, ustami i nosem. Kazała go podziwiać swym klientkom i pyszniła się nim, jak gdyby był jej własnym pisklęciem. Co prawda wołała także na niego:

– Ty mały łobuzie! Ty głuptasku!

I jak popadło, ucierała mu nos, podcierała go, dawała mu klapsy. Lecz od niej przyjmował to jako coś nie obrażającego, a nawet (mimo głośnych protestów) niezbyt nieprzyjemnego.

Byle kto nie bierze w skórę z ręki królowej! Od kogoś innego – nie daj Boże! Od żadnej z tych smyrd warsztatowych nigdy by tego nie zniósł... Zresztą niezależnie od berła, którym władała, Sylwia miała dla niego jakiś szczególny urok. Do jego „układanki” kobiecej ona właśnie dostarczyła mu największej liczby kawałków. Lubił tulić się do jej sukni i z główką opartą na jej brzuchu wsłuchiwać się w jej głos (poprzez jej ciało słyszał, jak się śmieje); albo też wspinać się po jej biodrach, by dostać się na górę. I wtedy, objąwszy ramionkami jej szyję, ocierał się nosem, wargami, oczyma o jej gładki policzek – i tu, koło ucha, gdzie są te małe złote loczki, co tak pachną. Czym oko dla umysłu dorosłych, tym jest dotyk dla umysłu dziecka. On to jest talizmanem pozwalającym wyrzec poza mur, a potem snuć wewnątrz siebie sen o rzeczach, zdawałoby się, widzianych – iluzję życia. Dziecko przedło swą sieć i – nie wiedząc, czym są te złote loczki, ten policzek i głos, ten śmiech, ta Sylwia ani czym jest on sam, jego „ja” – myślało:

„To jest moje.”

Anetka wracała do domu wieczorem. Była zgłodniała. Przez cały dzień wędrowała po bezwodnej pustyni, po świecie pozbawionym miłości. Przez cały dzień wędrowała z oczyma zwróconymi w stronę źródła, które miała odnaleźć wieczorem. Słyszała jego śpiew. Już naprzód chłodziła w nim swe wargi – i łatwo mogło się zdarzyć, że ktoś mijający ją wzięłby do siebie ów uśmiech, który ta piękna, śpiesząca ulicami kobieta słała obrazowi swego dziecka.

W miarę zbliżania się do domu Sylwii Anetka przyśpieszała kroku jak koń, gdy czuje bliskość owsa. A kiedy nareszcie wchodziła w bramę, choćby najbardziej zmęczona, ze śmiechem głodnej miłości wbiegała pędem po schodach. Drzwi się otwierały, wpadała do pokoju i rzucała się na malca; porywała go w swoje szpony, ścisnęła, dziobała go wściekle, w oko, w nos, pod nosem, byle gdzie, jak popadło, a jej gwałtowna radość wyrażała się bardzo hałaśliwie.

120

On, który właśnie się bawił lub siedząc wygodnie na miękkiej poduszce z wielką powagą zajmował się rysowaniem kredą długich kresek lub plątaniem różnobarwnych nici – nie był

zadowolony z tej napaści. Ta duża, gwałtowna kobieta, która tak wpada zniecka, chwyta go, potrząsa, wrzeszczy coś do ucha i dusi pocałunkami... Nie lubił tego! To było .oburzające, aby ktoś tak się nim rozporządzał bez jego pozwolenia! Nie godził się na to! Wyrwał się, nadąsany, ale ona tym wścieklej całowała go i potrząsała, i śmiała się, i wrzeszczała. Wszystko w niej go raziło: ten brak względów, ta gwałtowność, ta hałaśliwość. Godził się, by go kochała, podziwiała, całowała nawet... Ale cóż to za maniery! Gdzie ich nabrała? Sylwia i jej panny były bardziej dystygowane. Gdy bawiły się z nim, a nawet śmiały się i krzyczały – nie robiły przy tym takiego wrzasku, nie porywały go, nie całowały z podobną brutalnością. Dziwiło go, że Sylwia, która, tak dobrze umiała zmyć głowę swoim podwładnym, nie dała dotychczas porządnej nauczki tej źle wychowanej kobiecie i w ogóle nie broniła go przed jej poufałością. Ale Sylwia, wprost przeciwnie, przybierała wobec Anetki ton serdecznej równo-

ści, którego nie używała w stosunku do innych osób, i mówiła do Marka:

– No, bądźże grzeczniejszy! Pocałuj swoją mamusię! Jego mamusia! Oczywiście, wiedział

o tym. Ale to jeszcze nie racja! Owszem, ona także była domową potęgą. Za blisko był jeszcze ciepła matczynej piersi, by nie czuć w swych łakomych ustach słodkiego smaku mleka, a na ptasim swym ciałku złotego cienia osłaniających go skrzydeł. I jeszcze bliższe było wspomnienie pochylonej nad nim głowy tej dużej opiekunki, w ciągu nocy choroby, kiedy to wróg niewidzialny ścisnął jego ptaszęce gardziółko. Oczywiście! Oczywiście! Ale w tej chwili nie była mu potrzebna. Jeżeli chował te i sto innych wspomnień na swoim strychu – to na razie nie robił z nich użytku. Później, być może – zobaczy się. Obecnie każda chwila przynosiła mu nową manę. Miał dość do czynienia chcąc zebrać ją całą. Dziecko jest z natury niewdzięcz-ne. Mens momentanea²⁷. Nie ma czasu pamiętać, co było dobre wczoraj. Dobre jest dla niego to, co dobre jest dzisiaj. Dzisiaj Anetka popełniała błąd dając się zaćmić osobom miłszym, a nawet, według Marka, przynoszącym więcej korzyści. Zamiast spacerować Bóg wie gdzie i zjawiać się wieczorem w niestosowny sposób – czyż nie mogła, tak jak Sylwia i jej panny, zajmować się cały dzień Markiem i starać o jego łaski! Tym gorzej dla niej! Raczył zatem znosić łaskawie wybuchy czułości Anetki i odpowiadać na deszcz jej szalonych miłością py-tań kilkoma chłodnymi, znudzonymi słówkami: tak, nie, dzień dobry, dobry wieczór. A potem, uciekając przed tą ulewą i ocierając sobie policzek, wracał do swoich zabaw lub na kolana Sylwii. Anetka nie mogła nie widzieć, że Marek woli od niej Sylwię. Sylwia widziała to jeszcze lepiej. Śmiały się z tego obie – i obie zdawały się nie przywiązywać do tego żadnej uwagi. Ale w głębi duszy Sylwii to pochlebiało, Anetka zaś była zazdrosna. Obie strzegły się, by nie zdradzać przed sobą tych uczuć. Sylwia, w gruncie poczciwa, namawiała nieuprzejme dziecko do ucałowania

Anetki... Anetka niewiele miała radości z tych wymuszonych uści-sków. Bardziej cieszyła się nimi Sylwia. Nie przyznawała się przed sobą, że czyniąc to okrada sad ubogiego, a potem królewskim gestem obdarza go kilkoma owocami. Lecz to, czego się nie mówi, by nie obciążać się przykrymi skrupułami – tym lepiej smakuje zamkniętym ustom.

Toteż gdy Anetka była obecna, Sylwia, bez cienia złośliwości, bardziej rozkoszowała się pieścizotami małego i silniej afiszowała się swoją nad nim władzą. Anetka udając, że żartuje, mówiła wówczas swobodnym tonem:

– Co z oczu, to i z serca.

Ale serce jej nie brało tego na wesoło. Nie miało w sobie ironii. Humor Anetki żył tylko w jej intelekcie. Kochała jak zwierzę – zwierzęco, a więc głupio. Przykro jest być kobietą wśród kobiet i musieć się z tym kryć. Ukazać swe biedne, zgłodniałe serce – to wystawić się na śmiech. Anetka wobec innych udawała, że uczucie jej zbladło, mówiła o swoim dniu, o ludziach, których spotkała, a tym, co słyszała, robiła czy mówiła – słowem, o wszystkim, co było jej obojętne (ach! jak bardzo obojętne).

27 Mens momentanea (łac.) – umysł żyjący chwilą.

121

Ale w nocy, znalazłszy się u siebie, w swoim mieszkaniu, sam na sam ze swym dzieckiem, mogła do syta karmić się udręką! A także radością i wybuchami namiętności. Tu już nie potrzeba być ostrożną. Nie ma się przed kim kryć. Tu miała dla siebie samej swego syna, miała go całego. Nadużywała tego trochę, męczyła dziecko swą szaloną czułością. Ponieważ tutaj, z dala od Sylwii, nie czuł się już tym silniejszym – mały polityk nie zdradzał się ze swą niechę-

cią. Do jutra rana musiał mieć względy dla tej dziwacznej matki. Uprawiał swoistą taktykę: udawał, że upada z senności. Nie musiał wiele udawać; sen przychodził szybko po dobrze wypełnionych dniach. Co prawda sen nie nadszedł jeszcze, gdy już Mareczek, z zamkniętymi oczyma, bezbronny jak baranek, lecąc przez ręce matki, zdawał się głęboko uspiiony. Nie było rady – i Anetka przerywając swój szczebiot musiała go zanosić do łóżka. A mały figlarz w owym półśnie, w którym stopień po stopniu (a raczej po poręczy) zsuwał się bezwładnie na sam dół schodów – śmiał się skrycie, patrząc poprzez rzęsy, jak łatwowierna mamusia trwa przy nim w niemej adoracji. Miał poczucie swojej wyższości i wdzięczny był za to matce; zdarzało się nawet, że w nagłym porywie zarzucał swe ramionka na szyję klęczącej. Niespodzianka taka była dla Anetki zapłatą za wszystkie trudy, lecz oszczędne dziecko nieczęsto ją ponawiało. Anetka musiała zasypiać głodna; ale wpierw obracała się jeszcze wiele razy w łóżku, nasłuchując, jak malec oddycha, i snując rozgorączkowane myśli... Nie ucałował jej dość mocno... Mówiła sobie:

„Nie kocha mnie...”

Serce się jej ścisnęło. Lecz opanowywała się natychmiast. „Czegóż ja znów nie wymyślłam?”

Niewłocznie trzeba stłumić taką myśl. Jakżeby można z nią żyć? Nie – to nieprawda...

Takie dobre dziecko, a ona go oskarża. Czym prędzej starała się wyszukać wśród swych wspomnień, co tylko miała tam najlepszego, oznaki przymilności i pieśczoćliwości dziecka.

Na wspomnienie tych obrazów chciałyby wyrwać dziecko z łóżka, aby je ucałować. Lecz cicho! Nie można go budzić! Jak rozkosznie oddycha!... Mój skarbie!... O, jak to będzie dobrze później!

Bo Anetka, aby powetować terażniejszość (stanowczo trochę za ubogą), wyobrażała sobie przyszłą macierzyńską bliskość z synem, który by odpowiadał jej pragnieniom. Potrzeba jej było bożyszczą, aby zając siły swej natury, niepokojące ją znów od pewnego czasu.

Nie była to już owa trwoźna melancholia, ta neurasteniczna depresja, która poprzedziła chorobę dziecka i chorobą dziecka została przerwana. Nie były to już owe dni życiowego bez-robocia, w których czuła się pozbawiona sił i zainteresowań – dni podobne gładkiej powierzchni morza przed przyływem. Był to powrót oceanicznego przyływu. Zapowiadał się gniewnym pomrukiem fal, zmartwychwstaniem zjaw nocnych. Macierzyństwo nasyciło na pewien czas namiętne żywioły. Fizyczne zmęczenie życiem w ciągłej pracy długo stanowiło dla nich tamę. Ale stłoczone w mroku, wciąż biły o skałę. Dusza, która wzrastając wspina się serpentyną po linii kręgów życia, znalazła się znów w stanie podobnym do tego, przez który przeszła przed czterema czy pięcioma laty, między upalnym latem w hotelu szwajcarskim a wiosną miłości z Rogerem Brissot. W stanie podobnym, ale nie tym samym. Wraca się zato-czywszy krąg ponad przeszłością; nie zstępuje się do niej z powrotem. Istota Anetki dojrzała.

Niepokój jej nie miał już ślepej dziewczęcej niewinności. Była kobietą. Pragnienia jej były ostre i wyraźne. Wiedziała, dokąd ją prowadzą – a jeśli nie chciała tego wiedzieć, to dlatego właśnie, że wiedziała. Wola jej w nie mniejszym stopniu dojrzała co jej ciało. Wszystko stało się bogatsze. I wszystko nabrało odcienia namiętności.

122

Toteż powrotne zjawienie się tych znanych groźnych demonów było jak parne południe przed nadchodzącą burzą. Przytłaczająca cisza, cisza brzemienne przyszłymi gromami, nastą-

piła po beztroskiej radości, po beztroskich zmartwieniach młodego poranku. Dotychczas wszystkie cienie przepływały po twarzy Anetki nie zatrzymując się. Obecnie była stale w napięciu. W towarzystwie, gdy nie uważała na siebie lub gdy obecność dziecka nie zaprzętała jej myśli – zapadała w milczenie i głęboka bruzda rysowała się pomiędzy jej brwiami. Gdy zdawała sobie z tego sprawę, wymykała się cicho i szła do siebie. Gdyby się w tej chwili ktoś o nią zatroszczył, zastałby Anetkę w pokoju porządkującą, ścielącą łóżko, przekładającą ma-terace, wycierającą meble i sprząającą, rozwijającą więcej ruchu, niż to było potrzebne; ale mimo wszystko niezdolną stłumić odzywającego się w niej głosu. Zatrzymywała się nagle w połowie jakiegoś ruchu, stojąc na krześle ze ścierką w ręku lub wychyliwszy się przez parapet okna. Zapominała wtedy o wszystkim, nie tylko o rzeczach przeszłych, ale i o terażniejszych, o zmarłych i o żyjących, a nawet o swoim dziecku.

Patrzała nie widząc, słuchała nie słysząc, myślała nie myśląc. Płomień palący się w pustej przestrzeni. Żagiel na wietrze pełnych mór.

Czuła, jak jakiś potężny podmuch przewiewa przez jej ciało i w drzenie wprawia całe omasztowanie okrętu. Potem znów z bezkresu wynurzały się zarysy otaczających ją rzeczy. Z

podwórza, nad którym się pochylała, dolatywały znane dźwięki. Poznawała śpiewny głos dziecka. Ale sen jej trwał... Oto śpiew ptaka w letnie popołudnie... O, serce rozświetnione, ileż miłości masz jeszcze do dania! Ach, objąć w ramiona świat!... Zbyt ciężki to łup. Chwył świadomości lzał. Anetka ponownie staczała się w gorejącą otchłań, gdzie nie było już śpiewu ni głosu dziecka ni samej Anetki... nic... prócz potęgi słonecznych drgnień.

Anetka budziła się, oparta łokciami na parapecie okna. Ale natrętne sny, które znikły po urodzeniu Marka, znów nocą opanowywały mieszkanie. Nadchodziło ich trzy lub cztery razem, następujących po sobie nieprzerwanie. Anetka staczała się z jednego w drugi, coraz to niżej, z piętra na piętro. Rano wstawała rozbita, przepalona, przeżywszy, dziesięć nocy w jedną. I nie chciała przypominać sobie, co jej się śniło.

Troska na czole Anetki i skupiony wyraz jej oczu nie uszły uwagi otoczenia. Nie rozumiano tej nagłej zmiany, lecz nie niepokojono się nią. Przypisywano ją przyczynom zewnętrznym, trudnościom materialnym. Dla Anetki te okresy niepokoju były czasem głębokiej odnowy. Nie sądziła ich niesprawiedliwie, gdyż czuła ich ucisk – brzemień tej ciąży, bardziej za-trważającej niż macierzyństwo. To było też macierzyństwo: macierzyństwo utajonej duszy.

Istota ludzka zagrzebana jest jak ziarnko na dnie materii w amalgamacie ludzkiego humusu i gliny, w których pokolenia zostawiły swoje szczątki. Wyzwolić ją z nich – oto dzieło wielkiego życia. I życia całego potrzeba, by poród ten się dokonał, położną zaś często bywa śmierć.

Anetka czuła skryty lęk przed tą nieznaną istotą, która rozdzierając ją wyjdzie z niej kiedyś. Nawiedzana nagłymi zawstydzeniami, zamykała się w burzliwym odosobnieniu, sam na sam z żyjącą w niej istotą, i obcowanie ich było wrogiem. Powietrze było nasycone elektrycznością. Zrywały się nagłe poddmuchy – i znów opadały w bezruch. Wiedziała, że grozi niebezpieczeństwo. Na próżno świadomość pozostawiała w mroku to, co ją niepokoiło. Ten „mrok”

– to była wciąż ona, to było jeszcze w jej domu. A myśl, że własny dom od góry do dołu pe-

łen jest istot, których się nie zna – nie jest uspokajająca.

„To wszystko... Ja jestem tym wszystkim... Ale czegoż to chce ode mnie? I czegoż chcę ja sama?”

Odpowiadała sobie:

„Już nie masz czego chcieć. Ty już masz.”

Sprężona wola Anetki zwracała całą jej miłość ku dziecku. Te nawroty namiętności macierzyńskiej nie były zbyt szczęśliwe. Anormalna, przesadna, chorobliwa (wynikała bowiem z niemożliwej próby skierowania na jeden, niewłaściwy dla nich tor instynktów bardzo różnorodnych i nie dających się

oszukać) namiętność ta prowadzić mogła tylko do rozczarowań.

123

Odstępiała dziecko. Marek buntował się przeciw tej zachłannej miłości. Nie krył już przed matką swego nadszania. Uważał, że jest natrętna, i mówił jej to w małych, gniewnych monologach, które na szczęście nie docierały do jej uszu, za które jednak Sylwia (raz go na nich przyłapawszy) wykrzyczała malca, pękając przy tym ze śmiechu. Mareczek, stojąc w kącie za drzwiami, rozmawiał ze ścianą i podkreślając swe słowa zdecydowanymi gestami, powtarzał:

– Mam dość tej kobiety!...

Pisze się zawsze historię wydarzeń, które zaszły w czyimś życiu. Chce się w niej widzieć życie – a to jest tylko zewnętrzna jego szata. Życie jest wewnętrzne. Wydarzenia oddziałują na nie tylko o tyle, o ile ono samo je wybrało, o ile (rzec by się pragnęło) samo je wytworzy-

ło; i w wielu wypadkach jest to ścisłą prawdą. Dziesiątki wydarzeń przechodzi co miesiąc mimo nas, w zasięgu naszych rąk. Nie mają dla nas znaczenia, bo nie mamy z nimi co zrobić, ale niech jedno z nich nas dosięgnie – można iść w zakład, że oszczędziliśmy mu połowę drogi, idąc naprzeciw. I jeśli wstrząs spotkania zwalnia w nas jakąś sprężynę, znaczy to, że sprę-

żyna była naciągnięta i czekała na wstrząs.

Pod koniec roku 1904 duchowe napięcie Anetki zelżało i dokonujące się w niej przeobrażenia zdawały się zbiegać z pewnymi zmianami, które równocześnie zaszły w jej otoczeniu.

Sylwia wychodziła za mąż.. Miała dwadzieścia sześć lat i dostatecznie już zakosztowała radości swobody. Uważała, że nadeszła właściwa chwila, aby pokosztować radości pożycia małżeńskiego. Nie śpieszyła się z wyborem. Materiał, z którego jest zrobiony kochanek, nie potrzebuje być trwały – wystarcza, że się podoba. Ale dobry mąż musi być z dobrego, trwałe-go sukna. Oczywiście Sylwia chciała również, by się podobał – lecz między „podość się” a

„podość się” zachodzą różnice. Wybrać męża to co innego niż stracić głowę. Sylwia radziła się swego rozsądku, a nawet i względów społecznych. Przedsiębiorstwo jej szło dobrze. Firma

„Sylwia” (suknie i płaszcze) pozyskała już sobie u elity klientek ze średniej burżuazji uzasadnioną reputację elegancji i stylu, przy umiarkowanych cenach. Sylwia doszła w swych interesach do punktu, poza który o własnych siłach nie mogła się posunąć. By postąpić dalej, nale-

żało wejść w spółkę z innymi siłami, dołączyć do własnej pracowni sukien damskich zakład krawiecki, co pozwoliłoby na rozszerzenie zakresu przedsiębiorstwa.

Nic nie mówiąc nikomu zaczęła rozglądać się za kimś, kto najlepiej mógłby posłużyć jej planom. Na zimno doskonała wyborcu i wybrawszy postanowiła poślubić. Miłość przyjdzie później. I na nią

znajdzie się miejsce: Sylwia nie poślubiłaby człowieka, którego by nie mogła pokochać. Ale miłość to dodatek. Na pierwszym planie były interesy.

Przedmiot wyboru Sylwii zwał się Selve (Leopold) – i na pierwszy rzut oka mała szefowa zdecydowała, jaka będzie nazwa, sztandarowe godło nowego zakładu: „Selve i Sylwia”. Lecz jakkolwiek nazwisko nie jest nigdy dla kobiety sprawą małej wagi, Sylwia nie była tak szalona, aby zadowolić się samym nazwiskiem. Selve (Leopold) był poważną partią. Niezbyt już młody (miał przeszło trzydzieści pięć lat), mówiąc popularnym stylem: dość przystojny (co znaczy właściwie dość brzydki, ale mocno zbudowany), był rudawym blondynem o rumianych policzkach – i pierwszym krojczym u wielkiego krawca; dobry fachowiec, niezłe zarabiał i był człowiekiem statecznym, nie hulaką. Sylwia zasięgnęła informacji – i sprawa była załatwiona. Oczywiście, tylko w głowie Sylwii, bo Selve’ a wcale nie zapytała o zdanie. Zgoda wybrańca była ostatnią z jej trosk. Z góry podejmowała się ją uzyskać.

Selve nigdy nie byłby sam szukał Sylwii. Zamiłowany w swym dobrobycie i swoich przyzwyczajeniach, dobroduszny, nie ambitny i dość egoistyczny, był zdecydowany trwać w kawalerstwie i nie myślał opuszczać swego, drugorzędnego co prawda, ale lukratywnego i nie obciążonego odpowiedzialnością stanowiska u szefa, który umiał cenić jego wartość. Sylwia 124

jednak szybko zburzyła jego spokój i plany. Spotkała go (postarała się o to, by ją spotkał) na jesiennej wystawie mody, gdzie jak i on przybyła dla studiowania modeli, w których lansowaniu oboje brali udział. Sylwia była otoczona – i nie zwracając uwagi na Selve’ a zaczęła obdarzać uśmiechami i dowcipnymi odpowiedziami trzech czy czterech bardzo zakochanych w niej młodych ludzi. Potem, gdy już gorzko nazachwycał się tym nie przeznaczonym dla niego sprytem i urokiem, Selve spostrzegł nagle, że stał się przedmiotem jej łaski: zwracała się wyłącznie do niego, tamci się już nie liczyli. Tą nagłą zmianą był tym bardziej wzruszony, że przypisywał ją swej osobistej zasłudze. Z miejsca został schwyty. Żegnajcie postanowienia!

W jakiś czas potem Sylwia poprosiła Anetkę, by wieczorem, po obiedzie, dotrzymała jej towarzystwa, kiedy już nikogo nie będzie w pracowni.

– Proszę cię, abys przyszła – powiedziała – bo oczekuję kogoś. Anetka zdziwiła się.

– Na cóż ja ci jestem potrzebna? Czy nie możesz przyjąć go sama? Sylwia wesoło odpowiedziała:

– Uważam, że tak będzie stosowniej.

– O, na ten atak przyzwoitości długo trzeba było czekać!

– Lepiej późno niż nigdy – odrzekła Sylwia z miną niewiniątka.

– Głupstwa opowiadasz. Mów to komu innemu.

– Właśnie to robię – odpowiedziała Sylwia. Anetka pogroziła jej palcem:

– Więc już jest ten ktoś inny? Któż to taki?

– Otóż i on.

Selve (Leopold) zadzwonił. Wyglądał na zawiedzionego, że nie zastaje Sylwii samej, lecz jako człowiek dobrze wychowany, nadrabiał miną. Niełatwo było zaprezentować się korzystnie sam na sam z tymi dwiema młodymi kumoszkami, wystarczająco niepokojącymi i sprzymierzonymi w dodatku. Czuł się obserwowany przez dwie pary oczu. Po kilku trochę ciężkich komplementach (których część z grzeczności dostała się Anetce) zaczął mówić o interesach, o swoim fachu, o swoim pracowitym życiu. Anetka litościwie stawiała mu pytania udając zainteresowanie. Nabrał zaufania i opowiadał dalej o trudnościach swojej kariery, o swych

zawodach i sukcesach, nie opuszczając żadnej sposobności podkreślenia swoich walorów.

Robił wrażenie człowieka prostego, serdecznego, lecz zarozumiałego. Grał w otwarte karty.

Sylwia, ostrożniejsza, nim zaczęła grać, zaglądała w karty partnera. Anetka została wkrótce odsunięta na drugi plan i śledząc partię nie tyle podziwiała zręczność siostry, ile skromność jej wyboru. Sylwii łatwo by przyszło znaleźć świetniejszą partię. Ale nie chciała tego. Nie dowierzała mężczyznom zbyt pięknym i zbyt błyskotliwym. Nie byłaby sobie (to się rozumie) wzięła brzydala ani głupca. In medio...²⁸ Chciała znaleźć dobrego zastępcę – ale zastępcę, nie szefa. Wiedziała, że w małżeństwie każda ze stron musi dawać i każda chce brać: to podaż i popyt. Ona chciała zostać panią w swym domu. A jakież były jego żądania? Ach, biedny chłopiec! On chciał być tylko kochany dla siebie samego, dla swych pięknych oczu... A przecież niczego sobie nie wmawiał; wiedział, że nie jest ani piękny, ani pociągający. Ale miał tę słabość, że chciał być poślubiony z miłości. Prawda, że śmieszne? Sam wzruszał nad tym ramionami; bowiem ten naiwny grubas, doświadczony w życiu i sceptyczny w stosunku do kobiet jak trzy czwarte Francuzów, nie był wcale głupi. Ale potrzeby serca są tak silne! Te głupie potrzeby!... „I czemuż nie miałbym być kochany? Wart jestem wielu innych, którzy są przecież kochani.” Tak więc był na przemian to pokorny, to omal pyszałkowaty. Wiecznie proszący. Nie było to zręcznie, zwłaszcza że dawał wszystko poznać po sobie! A ona dobrze widziała, spryciarzka. I w jego duże, niebieskie, trochę wyłupiaste oczy wciąż pytające:

„Czy mnie kochasz?” – patrzyła spojrzeniem słodkim, które nie mówiło ani tak, ani nie, gdyż niepewnością podsycą się miłość.

²⁸ In medio (łac.) – część zwrotu: in medio stat virtus – prawda jest w środku.

125

Gdy siostry zostały znów same, Anetka powiedziała Sylwii:

– Nie igraj z nim zanadto.

– Czemu nie? – odpowiedziała Sylwia przeglądając się w lusterku. – Gra warta trudu.

– A zatem bierzesz to poważnie?

– Bardzo poważnie.

– Nie wyobrażam cię sobie mężatką.

– Dobraś!... Liczę, że widzieć mnie będziesz mężatką jeszcze ze dwa lub trzy razy.

– Nie lubię, gdy śmiejesz się z tych rzeczy.

– Aż czegoż można by się śmiać? Ach, ty Armio Zbawienia! No, pani Booth²⁹ (wymawiała „Bot”), nie marszcz twych pięknych brwi! Nie mam zamiaru zmieniać, dopóki nie spróbuję.

Jeśli wychodzę za mąż, to po to, żeby to trwało. Lecz gdyby nie miało trwać, trzeba umieć się poddać losowi.

– Ja nie o ciebie się niepokoję – rzekła Anetka.

– Doprawdy? Dziękuję ci w imieniu tamtego. Czy zyskał twoją sympatię?

– Nie wart jest ciebie, Sylwio. Ale nie chciałabym, aby ten zacny człowiek miał kiedyś przez ciebie cierpieć. Sylwia uśmiechnęła się pokazując zęby lusterku:

– Cierpieć! Każdy zadaje cierpienia drugiemu... I cóż w tym strasznego! Oczywiście, że będzie cierpiał! Biedny człowiek! Chciałabym być na jego miejscu... Już ty się nie martw o niego! Czy myślisz, że nie znam wartości mego Adonisa? Nie jest to wprawdzie nic olśniewającego, ale ma uczciwą wagę. Znam się na tym. Nie powiem mu tego, bo mężczyzn nigdy nie należy psuć: pomyśleliby zaraz, że mają nad. nami przewagę. Lecz sama dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Nie byłabym tak głupia, by wyrządzając mu krzywdę wyrządzać ją sobie samej. Nie ręcę wprawdzie, że nie będę doprowadzać go do wściekłości (to mu się bardzo przyda na schudnięcie), ale nie będę go dręczyć bardziej niż potrzeba. Oczywiście pod warunkiem, że sama nie będę się musiała na niego skarżyć – bo inaczej, jak Bóg na niebie, dostałby, co mu się należy! Ja zawsze płacę gotówką. Jestem uczciwa w handlu: klientów moich oszukuję tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, aby żyć. Chyba że mają ochotę mnie nabrać –

wtedy to ja ich nabieram. O, jeszcze jak!

– I pomyśleć – zawołała Anetka – że nikt się nie doczeka, żeby ta dziewczyna mówiła serio!

– Życie byłoby nie do zniesienia – odrzekła Sylwia – gdyby trzeba było o rzeczach poważnych mówić serio.

Leopold wkrótce ponowił odwiedziny – i Sylwia nie dała mu długo usychać z tęsknoty.

Szybko zrobiła przegląd pozycji nieprzyjaciela, zbadała, jaką ma za szaniami broń, ekwipunek i zapasy – i poddała się wiedząc już jasno, co czyni. Bez trudu skłoniła go do zgodzenia się na jej projekty i Leopold do końca życia zachował złudzenie, że on sam wpadł na pomysł

otworzenia dużego zakładu krawieckiego pod firmą: „Selve i Sylwia”.

Dzień ślubu ustalono na połowę stycznia, czas, w którym tempo pracy jest zwykle zwolnione. Tygodnie poprzedzające ten dzień były wesołym okresem dla pracowni. Leopold, szczęśliwy, raczył całą gromadkę, zabierał panny do teatru lub kina. Wszystkie czuły tak wielką potrzebę śmiechu! Gdy jedna z nich wychodzi z mężem, to tak jak gdyby wprowadzała do zakładu małżeństwo. I każda z pozostałych wita gościa szepcząc mu:

„Pamiętaj! Na przyszły raz na mnie kolej...”

Anetka uległa ogólnej wesołości. Zamiast tym silniej odczuwać żal za zmarnowanym życiem, pytała się samej siebie, co stało się z jej smutkami? Ześliznęły się po niej jak koszula 29 Booth Ewangelina – jedna z przywódczyń Armii Zbawienia w latach 1904 – 1934.

126

wzdłuż bioder. O, młode ciało! Smutek nie przywiera do twojej skóry... Nie znaczyło to, że Anetka zachwycona była owym małżeństwem. Zbyt czule kochała siostrę, by myśl o jej oddaleniu się mogła nie budzić w niej pewnej melancholii; a przy tym nie było też zbyt miło patrzeć, jak ta śliczna dziewczyna poślubia tego trochę ordynarnego człowieka... O czym innym marzyła Anetka dla Sylwii. Ale marzenia nasze na nic nie zdadzą się innym. Chcą być szczęśliwi na swój własny sposób. I mają rację.

Sylwia była zadowolona. Miłość Leopolda i jego podziw schlebiały jej próżności i powoli zjednywały serce. Tak jak mówiła Anetce, szczerze ceniła stateczność swego wybrańca. Wiedziała, że mieć w nim będzie solidnego i niekrepującego towarzysza. Nie zamierzała wprawdzie nadużywać jego zaufania (choć to nigdy nie wiadomo!), ale miała pewność, że nie wzięła sobie zbyt drobiazgowego buchaltera swego prowadzenia. Leopoldowi nie zależało na poznaniu przeszłości Sylwii. Ufał jej – i była mu za to wdzięczna. Po przebytych w życiu doświadczeniach nie miał już wielu złudzeń, a zwłaszcza nieprzejednanych zapatrywań. Skłaniało go to do przyjmowania dla siebie i stosowania wobec innych reguły postępowania polegającej na szczerym egoizmie człowieka uczciwego, sceptycznego, serdecznego i niewymagającego, który nie żąda od innych więcej, niż sam dać może.

W istocie Sylwia czuła się o wiele bliższa jemu niż Anetce. Kochała bardziej Anetkę – ale gdyby Anetka była mężczyzną (powiedziała jej to raz ze śmiechem), nie byłaby nigdy za nią wyszła. Nie, źle by się to skończyło!

Selve budził w niej uczucie pełnego bezpieczeństwa i to kojące wrażenie zwalniało ją od myślenia o nim: myślała o weselu, o toalecie, którą sobie sprawi, o swoim przyszłym gospodarstwie, o

wielkich planach handlowych. Ogólnie biorąc, była najzupełniej zadowolona.

Ślub odbył się w promienny zimowy dzień. Selve zabrał wszystkich gości do lasu w Vin-cennes. Zorganizowano wesołe zabawy. Anetka wmieszała się w nie ochoczo. Kiedy indziej byłaby ją raziła hałaśliwość i pewna wulgarność tych rozrywek. Dziś nie. Śmiała się wraz z gronem tych poczciwych chłopców i dzielnych dziewcząt, cieszących się dniem radości, który im się nadarzył pośród dni pracy. Wzięła udział w ich grach, budząc swym zapałem powszechny zachwyty. Sylwia, która znała jej wzgardliwy i chłodny sposób bycia, patrzyła ze zdziwieniem, jak biega i szczerze się bawi. Oto właśnie Anetka jest ślepą babką. Z opaską na oczach, czerwona z podniecenia, z otwartymi ustami, roześmiana, podnosi w górę podbródek

– wygląda, jak gdyby chciała w lot chwycić światło – i z wyciągniętymi przed siebie jak skrzydła ramionami idzie wielkimi krokami naprzód, potyka się i znów wybucha śmiechem.

Kogóż chce schwytać to piękne i mocne, pełne namiętności ciało niewidzącej? I któż je weź-

mie?... Niejednemu z patrzących na Anetkę nasuwała się ta myśl. Ale ona zdawała się myśleć tylko o zabawie. Gdzież podziały się troski ciężące jej wczoraj? I wyraz twarzy stroskany, napięty, skupiony?... Jakaż w niej siła, jaka prężność! Sylwia sobie przypisywała zasługę ode-rwania Anetki od jej kłopotów i cieszyła się tym. Ale Anetka dobrze wiedziała, że istotna przyczyna leży głębiej. Nie dlatego przestały jej ciążyć troski, że śmiała się na weselu. Przeciwnie: śmiała się na weselu dlatego, że troski przestały jej ciążyć...

Cóż się właściwie stało? Było to coś bardzo dziwnego, coś, co nie było dziełem jednego dnia, mimo że jednego dnia się ujawniło.

Kilka tygodni temu, w niedzielne rano, siedziała na pół rozebrana przed lustrem. W niedzielę długo robiła toaletę, gdyż w dni powszednie wcześniej musiała wychodzić z domu.

Czuła zmęczenie nagromadzone w ciągu całego tygodnia. Malec, gdy tylko wstał, wymknął

się z pokoju, by pójść do ciotki. Bardzo był zainteresowany jej małżeństwem – i bawił Sylwię uwagami, które wypowiadał na ten temat tonem doświadczonego człowieka. Leopold 127

rozpieszczał go. Chcąc przypodobać się Sylwii, starał się zyskać łaski jej pieska. Toteż Marek, rozpieszczany i dumny ze swojego znaczenia, spędzał na dole cały czas i tylko niechętnie przebywał z matką. Anetkę napełniało to uczuciem gorzkiego zniechęcenia. Lecz tego ranka zmęczenie wzięło górę nad smutkiem, zmęczenie, do którego przymieszało się nawet jakieś tajemne, rozjaśniające je uczucie. Mimo to westchnęła z przyzwyczajenia. Rozkoszowała się tym połączeniem doznań zmęczenia i radości na myśl, że będzie mogła, o dobry Boże! – wy-ciągnąć się jak długa na tym niedzielnym dniu, bez potrzeby najmniejszego ruchu. Niedziela!

Niegdyś Anetka nie domyślała się nawet ceny tego dnia...

„Człowiek jest zmęczony, taki zmęczony! Jak dobrze jest leżeć bez ruchu. Spałoby się ty-siące lat. .

Przysiadłszy gdziekolwiek, w niewygodnej pozycji, oprzeć się na łokciu i trwać tak nieporuszenie. Więzy nas jakiś czar. Boimy się go spłoszyć. Nie poruszajmy się! Jest tak dobrze...” Patrzała przez okno na dach przeciwległego domu, na dym wydobywający się z komina piekarni. Dym kłębił się z wiatrem, jasny i wesoły, rozciągał się i zwił w tańcu po błękitnym niebie. Oczy Anetki śmiały się, a duch jej śladem szalonych arabeskek tańczył po napowietrznych łąkach. Cały ciężar ziemi zsunął się w dół. Dusza czuła się naga na wietrze i słońcu. Anetka śpiewała półgłosem... I nagle ukazały się jej zachwycone oczy młodego człowieka, który patrzył na nią wczoraj w omnibusie. Nie znała go i zapewne nigdy nie miała już spotkać. Ale wzrok jego, który dostrzegła obejrzawszy się niespodzianie (nie myślał, że go zauważy), tak naiwnie i tak wiele mówił o wrażeniu, które wywarła, że od tej chwili chowała w sercu uczucie świeżej radości... Udawała przed sobą, że nie wie, skąd się w niej bierze ta radość

– ale patrząc na swój uśmiech odbity w lustrze, ujrzała się oczyma tego, który ją kiedyś pokocha... Gdzież jesteście, troski? Słysząc jeszcze ich brzęczenie, z daleka, z bardzo daleka...

„Dość! Dość już! Na cóż to wszystko?... Trzeba być rozsądną!” Że Anetka tak mówiła do siebie, nie było wcale rzeczą nową. Już ze dwadzieścia razy tak mówiła. Ale by tak miała postępować, jak zapowiadała, nikt nie mógł oczekiwać. Osiągnięte-go sukcesu nie należało przypisywać rozsądkowi. Rozsądek jest dobrym doradcą; ale doradcy to nie realizatorzy. Serce zaś daje się przekonać tylko racjami serca.

Nie brakowało im teraz. Teraz Anetka godziła się widzieć, jak absurdalne były wymagania jej macierzyńskiej miłości. Lecz jeśli się godziła, to tylko dzięki temu, że ożyły w niej stłumione pragnienia. Nie mogła i nie chciała już przeczyć ich istnieniu.

A z chwilą gdy dała to milczące przyzwolenie, poczuła się oswobodzona. Głos przebudzonej młodości szeptał jej:

„Nie ma nic straconego. Masz jeszcze prawo do szczęścia. Życie twoje się rozpoczyna...” Świat ożył na nowo. Wszystko nabrało smaku. Nawet w pochmurne dni przebłyskiwało słońce. Anetka nie snuła żadnych planów na przyszłość. Oddawała się szczęściu – jakimkolwiek by ono było – szczęściu odzyskanej przyszłości. Tak, była młoda, młoda, jak młody rok... Miała całe życie przed sobą... Nigdy nie będzie go miała dosyć.

Był luty, jeden z tych przedwcześnie wiosennych, które w Paryżu miewają tyle uroku.

Wiosna jest na razie tylko na niebie i w sercu – ale najczystsza. Jest samym światłem i przeźroczą radością budzącego się dziecka. Początek pięknych dni roku. Ptaki jeszcze nie powró-

ciły, ale słysząc je już, jak lecą. Jakby ze szczytu wieży gubiącej się w niebie, widzi się skrzydlate chmury, roje jaskółek powracających zza morza. I oto są. Już wróciły – i znów śpiewają nam w sercach...

Anetka, jak każde zdrowe stworzenie, lubiła wszystkie pory roku. Przystosowując się do nich korzystała z ich ukrytych sił, a siły odnowy wprawiały ją w zachwyt.

128

Szła, szczęśliwa, że idzie, szczęśliwa, że pracuje – i wracając do domu przynosiła zdrowe zmęczenie i głód. Ciekawiło ją wszystko, budziły się znów jej dawne intelektualne zainteresowania, pociąg do książek, zaniechanych od czterech już lat, pragnienie muzyki. Zdarzało się teraz, że wieczorem, półżywa ze zmęczenia, wychodziła z domu i korzystając z jakiegoś biletu na koncert, biegła na drugi koniec Paryża. Sylwia zazdrościła jej, bo sama niedobrze się czuła w początkowym okresie dąży.

Zdarzało się niejednokrotnie w czasie wieczornych wędrówek Anetki, że ten czy ów przechodzień zaczynał nagle iść za nią. Nie spostrzegała tego i szła dalej, roztargniona, rozmarzona, rozbawiona, póki jej rozmowy z sobą samą nie przerywało nagłe odczucie, że „coś” wle-cze się jej śladem. Wtedy budziła się, z ciekawością spoglądała na to szepcące „coś” i wzru-szywszy ramionami lub skrzywiwszy się z niesmakiem, szybko ruszała w dalszą drogę, mówiąc:

– Cóż to za stary głupiec!

Głupiec częstokroć bywał młody – i wtedy Anetka myślała:

„Za jakich dwanaście lat Marek mógłby być taki...” Zatrzymywała się, oburzona. Fałszywy Marek otrzymywał gniewne spojrzenie przeznaczone dla tamtego – i nie nalegał. Oczy Anetki znów zaczynały się śmiać. Myśl ujrzenia na tym miejscu Marka jako dużego, pięknego chłop-ca bawiła ją mimo wszystko – i miłość macierzyńska mimo wszystko znajdowała w myśli tej upodobanie. Spostrzegała to i łajała się sama. Nie dość na tym: łajała Mareczka.

– Ty łobuzie! – burczała. – Gdy wrócę, wytargam cię za uszy.

(I targała go za uszy.)

Te drobne przygody bawiły ją... Owszem, z początku. Ale gdy się to częściej powtarzało...

– Do diabła! Toż to nieznośne! Czy już nie można chodzić spokojnie po mieście? Wystarczy rzucić okiem w prawo czy w lewo, tak sobie, miło i po prostu, lub też uśmiechnąć się idąc

– a już posądzają cię, że myślisz o miłości! Miłość – dobrze ją znam, dość się jej napatrzy-

łam! Głupcy! Zdaje się im, że nie można się bez nich obejść! Nie wyobrażają sobie, że można być bez nich szczęśliwą, najzupełniej szczęśliwą, dlatego tylko że jest pogoda, że się jest młodą i że ma się to, co konieczne do życia! Niech sobie myślą, co chcą! A czy ja o nich my-

ślę?... O nich!..., Nie!... Czyż oni sami nigdy się sobie dość dobrze nie przypatrzyli?

Anetka za to przypatrywała się im – a że była w stanie łaski (to znaczy radosnej wolności), nie idealizowała ich. O nie! Zapytywała siebie samej, jak w ogóle można zakochać się w męż-

czyźnie. Zaiste, nie jest on pięknym zwierzęciem! Trzeba chyba stracić głowę, by móc dopatrzeć się w nim czegoś pociągającego... I córka Raula Rivière, jako dobra Francuzka, z silnej klasycznej rasy, czytana w Rabelais'ie i Moliere, powtarzała sobie słowa Doryny do Tartufe'a.

Drwiła z miłości... (Ach, jak się okłamywała!) Wyzywała ją i nosiła ją w sercu, a miłość podstępnie, sennie czekała na swą godzinę. Te drobne utarczki przygotowywały prawdziwy atak. Nieprzyjaciel nadciągał. Przyjaciel...

Ale czyż można mu było nie dowierzać? Jeśli koniecznie, to już raczej każdy inny! Ale on? Cóż znów za żarty!

Julian Dumont był mniej więcej w wieku Anetki, miał dwadzieścia dziewięć – trzydzieści lat. Wzrostu średniego, lekko przygarbiony, miał twarz trochę smutną, która wydawałaby się pozbawiona wdzięku, gdyby nie oczy dość piękne, brązowe, o łagodnym i poważnym wejrzeniu, które gdy się je obłaskawiło, nabierały wyrazu pokornej pieszczotliwości; czoło miał

kościste, ze zmarszczką po środku, nos gruby, wydatne kości policzkowe i krótką czarną brodę. Łagodne usta zakrywał zbyt długi wąs (Julian jak gdyby umyślnie ukrywał wszystko, co miał najmniej brzydkiego). Cerę miał matową o odcieniu starej kości słoniowej, jak to bywa u ludzi karmionych bardziej książkami niż słońcem. Na ogół twarz nie pozbawiona inteligencji ani dobroci, ale trochę ponura, ospała i nie ukształtowana jeszcze przez życie i namiętności.

Całość miała w sobie coś upartego i zniechęconego.

Julian był jeszcze bardziej naiwny i niedoświadczony od Anetki, bardzo przecież naiwnej, bo mimo owego krótkotrwałego okresu doświadczeń, bardziej gwałtownych niż rozległych, 129

mało na ogół wiedziała o świecie miłości. Co prawda odziedziczona po ojcu intuicja i rozmowy z Sylwią, godne nieraz opowiadań królowej Nawary³⁰, bez reszty wtajemniczyły ją we wszystko. Ale źle przyswaja się lekcję, której serce nasze nie uczyło się własnym kosztem.

Słowa nie są z tej samej substancji co rzeczywistość. I zdarza się, że napotykając w życiu rzeczy znane nam tylko z lektury, me poznajemy ich. Anetka miała jeszcze do poznania wszystko, o czym ją bardzo dobrze pouczono. Lecz Julian miał przed sobą i jedno, i drugie.

Julian żył dotychczas poza miłością. We Francji nazbyt unika się mówienia o tego rodzaju

„niewinnych”. Pobudzają oni do łatwych żartów ten naród dowcipny, którego dowcip jest jednak mało urozmaicony w swych formach. „Niewinnych” tych jest wielu. Skrupuły religijne, purytaniez moralny, wrodzona, czasem chorobliwa nieśmiałość, praca (to najczęściej) przytłaczająca, zajmująca bez reszty lata młodości, życie ubogie, odraza do wulgarnych form miłości, troska o swą przyszłość, cześć dla tej, która ma przyjść (a która może nie przyjdzie), z pewnością we wszystkich wypadkach chłód temperamentu, nordycka powolność budzenia się serca – z której zresztą nie można wyprowadzać wniosków o sile przyszłych namiętności, a która gromadzi je raczej i chowa w rezerwie... Dużo jest takich ludzi; a szczęśliwa młodość mija ich nie troszcząc się o nich wcale. Nic nie ma na świecie dla niewinnych! Odsunięci, stoją na boku. Julian nic prawie nie wiedział o życiu –

do tego zaś, co wiedział, doszedł jedynie drogą intelektu.

Jego mieszczańska, uboga i pracowita rodzina ograniczała się tylko do dwojga rodziców –

ojca, skromnego profesora, który zabił się pracą, i matki poświęcającej się dla syna, jak i syn dla niej się poświęcał. Julian był człowiekiem z natury religijnym, wierzącym i praktykują-

cym katolikiem, a zarazem wyznawcą idei liberalnych; żył monotonnym życiem nieustannej pracy, rozjaśnianym chłodnym blaskiem surowych radości sumienia i nawyków, bez jakichkolwiek zainteresowań politycznych, z odrazą do działalności publicznej i w kulcie dla ukrytego, wewnętrznego, domowego życia: skromna i szczerze ucziwa dusza, świadoma ceny cnót pokornych a mocnych. I na dnie serca kwiat poezji.

Był dyplomowanym nauczycielem, nauk matematycznych w liceum. Anetkę znał niegdyś na uniwersytecie, gdy mieli po dwadzieścia lat. Od pierwszego dnia go pociągała. Ale Anetka, podówczas bogata, wszędzie mile widziana, promieniejąca młodością i szczęśliwym ego-izmem, roztargniona i daleka – onieśmiałała go. Koledzy, śmielsi od niego, zdobywali sobie przy niej miejsce, które on pragnąłby zająć. Zazdrościł im, lecz nie próbował z nimi rywalizować. Uważał się za gorszego od nich – czuł się brzydki, niezgrabny, źle ubrany, nie umiał

się wysławić, dawał fałszywe pojęcie o swej inteligencji i szczeroci. Poczucie własnego fizycznego upośledzenia paraliżowało go tym bardziej, że sam był wrażliwy na piękno, a uroda Anetki wprawiała go w niemy zachwyty. Uważał ją za piękną. Nie miał tej swobody umysłu, co jego koledzy asystujący Anetce, którzy umieli lekko wydawać sądy o dodatnich i ujemnych stronach jej urody, o jej szerokich brwiach, wypukłych oczach i krótkim nosie. Julian nie widział szczegółów, ale on jeden spośród owych wszystkich młodzieńców dostrzegł harmonię tej żywej formy – i on jeden umiał w niej czytać. Każda bowiem forma wyraża jakąś wewnętrzną treść, ale większość patrzących zatrzymuje się na samym rysunku znaków. Julian nie oddzielał oczu, czoła czy szerokich brwi Anetki od jej energii charakteru i siły umysłu.

Patrzył na nią z daleka spojrzeniem prostym, ogarniającym całość. Tym pierwszym rzutem oka ujmował ją prawdziwiej, niż kiedy zbliżył się, by ją lepiej poznać. Należał do tych dalekowidzów umysłowych, którym niedogodnie jest patrzeć z bliska. Bywają czasem genialni –

ale utykają na każdym kroku.

Julian i Anetka spotkali się pewnego ranka w oszklonej sali na pierwszym piętrze Biblioteki św. Genowefy. Upłynęło już prawie dziesięć lat od ostatniego ich widzenia i Julian roz-30 Opowiadania królowej Nawary – mowa o Heptameronie, zbiorze nowel i opowiadań napisanych przez Małgorzatę de Valois (1492 – 1540), siostrę Franciszka I, królową Nawary. Nowele te, wzorowane na Dekameronie Boccaccia, opisywały różne przygody miłosne w sposób nader swobodny.

sądnie usunął był ze swoich myśli obraz, który dziś stanął mu nagle przed oczyma. Podniósł

wzrok znad książki. Po drugiej stronie stołu, o kilka kroków, ujrzał ją czytającą. Na pięknych kasztanowatych włosach miała futrzaną czapkę, na ramiona zarzucony płaszcz. (Była jeszcze zima, okres przedwielkanocny – i sala, do której przez duże okna wnikało z podwórza mroźne powietrze, była niedogrzana. Julian miał podniesiony kołnierz palta, lecz ona, z od-słoniętą szyją, zdawała się nie czuć chłodu.) Z łokciem na stole i policzkiem wspartym na wierzchu dłoni, siedziała w charakterystycznej dla siebie pozycji, w której ją niegdyś widywał –

i gryząc koniec ołówka, z głową pochyloną, ze zmarszczonymi brwiami przebiegała oczyma stronicę. Julian odczuł dawne wzruszenie dwudziestolatka. Ale nie przyszłoby mu na myśl wstać, by przemówić do niej.

Choćby najbardziej pochłonięta czytaniem (jak zresztą zawsze wszystkim, co robiła), Anetka nie poprzestawała na snuciu jednej tylko myśli. Te myśli, których przyszła zaczerpnąć w książkach i które rzeczywiście przykuwały jej uwagę, rzadko kiedy pojawiały się bez or-szaku obrazów mało mających z nimi wspólnego. Odsuwała je od siebie, lecz co pewien czas niedyskretne obrazy ponownie pukały do drzwi jej świadomości. Kobieta, choćby była największą intelektualistką, nie zagłębi się nigdy bez reszty w tym, co czyta: za silny jest prąd życia wewnętrznego. Anetka przerywała lekturę, by na chwilę otworzyć stawią.

I właśnie podczas takiej przerwy, gdy rozglądała się wokoło trochę nieprzytomnym wzrokiem, oczy jej spotkały się z oczyma Juliana wpatrującego się w nią. Przez chwilę zdawało się jej, że obraz Juliana jest jeszcze jednym z obrazów krążących w jej wewnętrznym polu widzenia... Potem, natychmiast rozbudzona, tak jak budząc się rano z głową na poduszce, wska-kiwała jednym susem w sam środek życia – podniosła się, uradowana, i ponad stołem wycią-

gnęła do niego rękę.

Julian podszedł, zmieszany, i niezręcznie usiadł przy niej. Zaczęli rozmawiać. Oszołomiony niespodziewanym szczęściem, Julian nie brał prawie udziału w rozmowie. Anetka sama podtrzymywała konwersację.

Była uradowana przypomnieniem szczęśliwej przeszłości. Julian grał tam bardzo nieznaczną rolę. Był tylko jednym z banalnych ogniw łańcucha. Korowód wspomnień rozwijał

się – a Julian został już był gdzieś daleko... Lecz on wciąż myślał, że widzi siebie w roze-

śmianych oczach Anetki, i zmieszany, nie bardzo wiedział, co mówi. Usiłował (niezgrabny!) ukryć podziw, który w nim budziła. Zdawała mu się teraz piękna, piękniejsza jeszcze, ale zarazem bliższa i bardziej ludzka. Było w niej coś nowego... Lecz co? Nic o niej nie wiedział; od sześciu lat, od śmierci ojca Anetki, nie miał o niej wiadomości. Żył w odosobnieniu i plotki paryskie nie dochodziły do niego... Zapytał, czy Anetka, wciąż mieszka w Boulogne.

– Jak to? Pan nic nie wie? Już dawno się stamtąd wyniosłam. Tak, wyrzucono mnie...

Nie rozumiał. Wyjaśniła pobieżnie, beztrąsko, że sama, przez zaniedbanie swych interesów, spowodowała swą ruinę.

– Dobrze się stało – dodała.

I zaczęła mówić o czymś innym. Ani słowa o swoim życiu. Nie dlatego, żeby coś ukrywać, tylko... co to kogo obchodzi? Gdyby Julian nalegał, gdyby zadawał jakieś pytania, była-by powiedziała całą prawdę. Ale on o nic nie pytał.

Nie byłby się ośmielił – a zresztą miał głowę zaprzętą tą jedyną myślą, że Anetka jest uboga, uboga jak on sam... Pałacy podmuch nadziei wtargnął już do jego serca.

Chcąc zamaskować swe wzruszenie pochylił się z koleżeńską szorstkością nad książką, którą Anetka odłożyła.

– Cóż pani czyta?

Zaczął przewracać kartki. Czasopismo naukowe. Był tego cały plik.

– Tak – powiedziała Anetka – usiłuję się w tym zorientować, ale to rzecz niełatwa. Od pię-

ciu lat straciłam z tym kontakt. Muszę zarabiać na życie, udzielać lekcji. Nie mam czasu. Ko-rzystam z ferii wielkanocnych; lekcji już nie ma, jestem bezrobotna. Staram się powetować 131

stracony czas, łykam podwójne kęsy... O, niech pan spojrzy! (Wskazała na otwarte pisma, którymi była obłożona.) Chciałabym . wszystko wchłonąć. Ale tego jest za wiele, nie mogę nadążyć, muszę wszystkiego uczyć się na nowo. Tyle rzeczy się dokonało, odkąd odeszłam od tego. Wszędzie wzmianki o pracach, których nie znam... Boże! Jak prędko świat idzie naprzód!... Ale ja go dogonię! Przysięgam, że nie chcę zostać w tyle, jak maruder na drodze. Są piękne rzeczy, które warto widzieć. Chcę je zobaczyć.

Julian pił jej słowa. Ze wszystkiego, co mówiła, jedno tylko miało dla niego znaczenie: Anetka w trudzie zarabia na życie – i śmieje się. Podnosiło ją to w jego zachwyconych oczach do wyżyn, których dawna Anetka nigdy nie dosięgła. A ona pociągała go za sobą na te wyży-ny, gdyż przynosiła mu radość, której on sam nie posiadał.

Wyszli razem. Julian był dumny, że idzie w towarzystwie tej pięknej kobiety. Nie mógł się dość nacieszyć myślą, że ona tak dobrze go pamięta. Niegdyś zdawała się omal nie dostrzegać jego istnienia – a oto sama przypomina drobne, zapomniane zdarzenia dotyczące jego osoby.

Zapytała o matkę Juliana. Wzruszył się tym tak bardzo, że aż opuściło go skrępowanie. Z

kolei zaczął opowiadać o sobie, ale szło to powoli, słowa były jakby zmarznięte. Anetka słuchała z wyrazem miłej ironii. Miała ochotę podpowiadać. Ledwie zaczął swoją opowieść i nabierał pewności siebie, gdy nagle podała mu rękę na pożegnanie. Zdążył jeszcze tylko zapytać, czy przyjdzie znów do biblioteki – i z radością usłyszał jej odpowiedź: „Jutro.” Julian wrócił do domu zmieszany. Wstydział się za siebie – ale jutro naprawi to wszystko.

Dziś nie chciał myśleć – o niczym innym, jak tylko o cudzie tej przyjaźni. Ze swej znów strony Anetka, grzęznąc w środowisku Sylwii, cieszyła się odnalezieniem towarzysza z lat pracy

intelektualnej. Nie należy przez to rozumieć, by miał w sobie tak wiele życia – co to, to nie! –

ale był poważnym, sympatycznym, poczciwym chłopcem... Cóż za sopol lodu!

Następny dzień nie dał Anetce okazji do zmiany zdania. Julian odmarzał tylko wtedy, gdy był sam w swym mieszkaniu. Przy spotkaniu z Anetką ponownie lodowaciał. Sam czuł się tym zawiedziony. Przygotował sobie mnóstwo rzeczy, które chciał powiedzieć (rozmowę przygotowywał jak odczyt), ale gdy znalazł się wobec Anetki, nic z tego nie zostało. Nic, prócz ckliwego ekstraktu ze zbyt często odgrzewanego monologu. Aż sam nudził się wystę-

kując go teraz. Pewność siebie odzyskiwał tylko na terenie nauki, gdy temat poruszany nie dotyczył go osobiście. Tutaj był ścisły, jasny, a nawet ożywiał się. Anetka nic więcej nie pragnęła. Chciwa wiedzy, zarzucała Juliana pytaniami, które bawiły go swą bystrością i świadczyły o lotności wyobraźni, a choć Anetka czasem mylnie zgadywała, natychmiast (wystarczało jedno słowo) trafiała tam, gdzie chciał ją doprowadzić. Lubił jej uważny wyraz twarzy, oczy, które starały się go przeniknąć, by prędzej nadażyć za jego myślą – i nagle rozbłyskiwały radością... Zrozumiała! Radość wspólnego myślenia, radość tego niewidzialnego słońca i olbrzymiej przestrzeni, którą ono swym blaskiem rozświetla, radość tej wspólnej, odkryw-czej wędrówki po nowych drogach, na których on służył jej za przewodnika! Cudownie było tak rozmawiać ze sobą, w skupionej atmosferze tej sali pełnej książek, świątyni umysłu.

Rozkoszne to było dla Juliana, lecz bynajmniej nie dla jego sąsiadów! Julian rozprawiał

głośno. Zapomniał, że w ogóle istnieją sąsiedzi. Anetka z uśmiechem uciszyła go i wstała, by odejść. Poszedł za nią. Ale nie mając już przed sobą swego stołu i książek, znów stał się na ulicy tym samym niedołęgą, jakiego wczoraj widziała. Spróbowała wyciągnąć go na rozmowę o jego osobistych sprawach. Na próżno! A w żaden sposób nie mógł powziąć decyzji pożegnania się z nią. Chciał ją koniecznie odprowadzić aż do drzwi jej domu – a jakież był przy tym nienaturalny, zmrożony, szorstki! Wszystko przez nieśmiałość. Chwilami, niechcący, prawie niegrzeczny. Jednym słowem, był arcynudny. Anetka, trochę zniecierpliwiona, my-

ślała:

„Gdzież ja go, u diabła, posieję?”

Julian dostrzegł drwiący grymas w kąciku jej milczących ust. Zatrzymał się i nagle rzekł

tonem rozpaczy:

132

– Ach, przepraszam! Nudzę panią! Ależ tak, tak, wiem o tym! Jestem taki nudny!... Nie umiem mówić. Odzwyczaiłem się, żyję w samotności. Moja matka jest dobra, bardzo dobra, ale nie mogę z nią mówić o moich myślach. Wiele z nich zaniepokoiłoby ją, nie mogłaby ich zrozumieć... A nigdy nie mogłem znaleźć nikogo, co by się nimi interesował. Nie żądam te-go... Pani w dobroci swojej słuchała mnie z wyrozumiałością – i zapędziłem się w opowiadaniu... Ale to niemożliwe... Nie

można tak opowiadać, trzeba zachować dla siebie... To nie jest interesujące i to jest nie, po męsku... Trzeba żyć i milczeć... Proszę mi przebaczyć, że panią tak nudziłem.

Anetka poczuła wzruszenie. W słowach jego było tyle szczerego uczucia; uderzyło ją to połączenie skromności i smutnej dumy. Pod pokrywą chłodu wyczuła wiele zawodów i zranionej tkliwości. W jednym z tych porywów serca, którym nie umiała się oprzeć, powzięła dla Juliana uczucie tkliwego politowania. Ciepło odpowiedziała:

– Nie, nie, proszę niczego nie żałować. Dziękuję panu, dobrze się stało, że pan mówił...

(poprawiła się, ze szpileczką ironii, w której tym razem nie było nic raniącego) że pan próbował mówić. Tak, to nie łatwo – pan nie jest przyzwyczajony... A mnie to właśnie cieszy, że pan nie jest przyzwyczajony! Tylu jest tych przyzwyczajonych!... Ale wolno przecież mieć nadzieję, że ja pana przyzwyczaję... Chce pan? Skoro pan nie ma z kim rozmawiać!...

Julian był wzruszony, zbyt wzruszony, aby móc odpowiedzieć; lecz wzrok jego wyrażał

wdzięczność, jeszcze spłoszoną. Choć minął już czas powrotu do domu, Anetka zawróciła jeszcze, by kilka chwil razem pospacerować. Mówiła teraz do niego z macierzyńską koleżeń-

skością, tonem prostym i serdecznym, który Julian odczuwał jak chłodną dłoń na zboliałym czole. Tak bardzo był udręczony ten duży chłopiec. Przy swej pozornej szorstkości potrzebował bardzo delikatnego traktowania. Teraz odżywał... Mimo wszystko trzeba było wracać do domu! Anetka zaproponowała mu, by się widywali od czasu do czasu. Wyznali sobie, że pracę wykonaną w bibliotece można by równie dobrze wykonać w Ogrodzie Luksemburskim lub...

– Lub... Dlaczegożby nie u mnie? I Anetka, zaprosiwszy Juliana na jedną z najbliższych niedziel, zniknęła nie czekając na odpowiedź.

– Ach! Jakżeby pięknie mówił teraz, kiedy jej już nie było!... Powtarzał sobie w myśli całą scenę i rozkoszował się dobrocią Anetki. A że był człowiekiem, który przy pełnym zrównoważeniu w dziedzinie intelektualnej, niezdolny był do zachowania umiaru w sprawach serca – Julian, bez stadiów przejściowych, prześliznął się od przekonania, że uczucie jego nigdy nie zyska wzajemności, do myśli, że może, kto wie...

Anetka nie domyślała się wcale, co się dzieje w sercu Juliana. Niewdzięczny wygląd nowego towarzysza tak dobrze zabezpieczał ją przed miłością, że w śmieszny sposób wyobra-

żała sobie, iż podobnie zabezpieczać musi i samego Juliana. Szanowała go. Współczuła mu.

Przez to współczucie stawał się jej sympatyczny. Przyjemnie było móc sobie powiedzieć, że czyni mu wiele dobrego, i w związku z tym Julian stawał się jej coraz sympatyczniejszy. Lecz nie przyszłoby jej na myśl strzec się go – a tym bardziej siebie samej.

Zapomniała, że go zaprosiła, gdy w następną niedzielę przyszedł jej to przypomnieć; i radosne zdziwienie, z którym go przywitała, bynajmniej nie było sztuczne. Ale Julian, który przez cały tydzień żył tylko myślą o tej chwili, nie zauważył zdziwienia, dostrzegł tylko radość – i własna jego radość

jeszcze się przez to wzmogła. Pogoda była słotna. Anetka nie zamierzała wyjść z domu w ciągu popołudnia, a że nie spodziewała się nikogo, była w negli-

żu, jak również i jej mieszkanie. Znać było, że przeszedł tędy Mareczek. Choćby ktoś, jak Anetka, najbardziej lubił porządek, dzieci postarają się, by zrezygnował z tego zamiłowania, jak i z wielu pięknych projektów, które powziął bez względu na dzieci. Lecz Julian, sprowadzając wszystko do siebie, widział w tym „artystycznym nieładzie” nie przejaw artyzmu oczywiście – ale wyraz tej intymności, do której raczono go dopuścić. Przyszedł z bijącym sercem, stanowczo zdecydowany przedstawić się tym razem w korzystnym świetle; pozował

133

na pewnego siebie. Nie było mu z tym do twarzy. Anetkę, niezadowoloną, że zastał ją wśród takiego nieładu, rozgniewała bezceremonialność intruza. Przybrała zimny wyraz twarzy – i natychmiast załamała się pycha Juliana. Siedzieli teraz oboje jednakowo sztywni, jedno nie śmiąc się odezwać, drugie wyczekując z miną złośliwej wyższości.

„Jeżeli myślisz, mój pocziwcze że dzisiaj ci przyjdę z pomocą!...

A potem uchwyciła nagle komizm sytuacji, kątem oka dostrzegła żalospną minę zdobywcy

– i roześmiała się w głos. Odczuwszy nagle odprężenie przybrała znowu ton koleżeński. Julian nic z tego nie zrozumiał. Zbity z tropu, ale z uczuciem ulgi, powrócił i on do naturalnego sposobu bycia i zawiązała się nareszcie przyjacielska rozmowa.

Anetka opowiadała mu o swym wypełnionym pracą życiu – i nawzajem wyznali sobie, że oboje nie są stworzeni do swego zawodu. Julian byłby się pasjonował wykładaną przez siebie gałęzią wiedzy, ale:

– ...Oni nie są w stanie iść za myślą wykładowcy! Siedzą i patrzą tępo, mrużącymi się od senności oczyma. Znajdzie się zaledwie dwóch, trzech, w których spojrzeniu czasem coś błę-

śnie. Reszta to ciężka masa nudy, którą – trując się do siódmego potu – udaje się (i to nie zawsze!) poruszyć na krótką chwilę, po czym natychmiast zapadają z powrotem w bezwład. I wyławiaj ich znowu! Robota dla studniarza! Ale ci biedni chłopcy nie są temu winni. Jak my tak i oni są ofiarami manii demokratycznej, która twierdzi, że wszystkie umysły jednakowo wchłonąć mogą tę samą sumę wiadomości – i to przed dojściem do wieku normalnego, kiedy mogliby zacząć pojmować! A potem przychodzą egzaminy, te konkursy rolnicze, na których waży się nasze produkty, nasycone miksturą okaleczonych słów i mętnych pojęć – miksturą, którą większość uczniów natychmiast potem zwraca, a która zdolna jest obrzydzić im naukę na całą resztę życia.

– Ja – odrzekła śmiejąc się Anetka – na ogół bardzo lubię dzieci, nawet najbardziej niewdzięczne. Żadne z nich nie jest mi obojętne. Chciałabym je mieć wszystkie; wszystkie chciałabym objąć w uścisku... Ale trzeba się ograniczać! Nieprawdaż? Wystarczy jedno dziecko...

(Wskazywała na pokój w nieładzie – ale on nie zrozumiał i tylko uśmiechnął się głupio.)

– A szkoda! Gdy któreś z nich mi się podoba, miałabym ochotę je ukraść. A podobają mi się wszystkie. Nawet w najbrzydszych jest jakaś świeżość, jakaś bezkresna nadzieja. Lecz cóż mogę z nimi zrobić? I na cóż mi je dają? Widzę je tylko w przelocie. Powierzają mi je na godzinę, potem biegnę do innych. A moje dziewczynki też przechodzą z ręki do ręki. Czego jedna ręka dokona, inna znów burzy – i nie zostaje nic. Małe duszyczki bez formy, małe formy bez duszy, tańczące bostona i pas de quatre³¹. Pędzi się nieustannie. Wszyscy pędzą. Życie jest torem wyścigowym; nigdy chwili pauzy. Umierają, już umarli, ach, ci nieszczęśliwi, którzy nigdy nie pozwolą sobie na dzień skupienia! A nie dają go także nam, którzy go chce-my.

Julian ją rozumiał. Nie potrzebowała go pouczać o cenie samotności i ohydzie tłoku.

Wzajemne ich zrozumienie wzrosło jeszcze, gdy Anetka wspomniała, że na szczęście jest wśród zalewu kilka wysp, na które można się schronić: piękne książki poetów, a zwłaszcza muzyka. Poeci mieli dla Juliana niewiele uroku. Język ich wymykał się jego rozumieniu. Czuł

do niego tę dziwną nieufność, właściwą wielu umysłom lubiącym przede wszystkim myśl

– umysłom, które mimo że często mają własną poezję, nie odczuwają muzyki słowa i jego głębokich wibracji. Dostępniejsza im jest za to tamta muzyka, będąca mową dźwięków. Julian ją kochał. Niestety, nie miał czasu i środków, aby jej słuchać.

– Ja także ich nie mam rzekła Anetka – a jednak słucham.

Julian nie miał jej żywotności. Po przepracowanym, dniu zamykał się w domu sam. A grać też nie umiał. Zauważył w pokoju fortepian.

– Czy pani grywa?

³¹ pas de quatre (fr.) – nazwa tańca.

134

– Ach, to nie. takie proste! – odpowiedziała ze śmiechem. – On mi nie pozwala!

Julian, zaskoczony i trochę zaniepokojony, zastanawiał się, kto mógłby jej przeszkadzać.

Ale Anetka łowiła już uchem tupot małych nóżek na schodach. Pobiegnęła otworzyć.

– Proszę, oto jest ten potwór! Przyproceedziła Mareczka, który właśnie wrócił od ciotki.

Julian wciąż nic nie rozumiał.

– To mój chłopaczek. Marku, przywitaj się! Julian był jak porażony. Anetce nie przychodziło nawet na myśl, że mógłby się dziwić. Przytrzymując Mareczka, który usiłował się wymknąć, wesoło mówiła dalej:

– Jak pan widzi, mimo wszystko nie traciłam czasu. Julian nie był dość sprytny, by coś

odpowiedzieć. Całą uwagę skupił w wysiłku, by zamaskować swe zmieszanie. Uśmiechnął się dość głupawo. Mareczek zdołał tymczasem wysunąć się z rąk matki nie przywitawszy się.

(Uważał tę ceremonię za śmieszna i wykręcał się od niej, pozwalając matce mówić, „mówić nic nie mówiąc” – bo wiedział dobrze, że już po chwili matka zapomni o wszystkim, aby znów mówić o czymś innym... „U kobiet nigdy jedno się nie trzyma drugiego.”) O cztery kroki od Juliana, kręcąc sznurem od portiery, w której fałdach się schował, surowym okiem przypatrywał się nieznanemu i szybko, na swój dziecinny sposób (który nie był znów tak fałszywy) osądził sytuację. Zdecydował bezapelacyjnie, że nie lubi Juliana. Sprawa była rozstrzygnięta.

Julian, który pod tym spojrzeniem dziecka czuł się jeszcze bardziej nieswojo, usiłował ponownie nawiązać nić rozmowy, nie przestając jednocześnie snuć własnych myśli. W rezultacie poplątał je, lecz mimo wszystko zaczął się powoli ośmielać. Słabo zresztą. Pewność siebie Anetki nie pozwalała mu wątpić, że jest mężatką. Niewątpliwie musiało tak być. Ale gdzież jest ów mąż? Żyje czy umarł? Anetka nie była w żałobie... Nie, nie mógł się uspokoić...

Gdzież się podział ten Człowiek? Julian nie śmiał zapytać wprost. Wreszcie po wielu lawirowaniach odważył się (zdawało mu się, że jest bardzo zręczny) wtrącić niedbale:

– Czy pani od dawna jest sama?

– Przede wszystkim nie jestem sama – odpowiedziała Anetka wskazując na dziecko.

Nie dowiedział się nic więcej. Lecz skoro potwierdziła w ten sposób, że jest sama (ze swym dzieckiem), i w dodatku brała to na wesoło – żałoba jej należała widocznie do bardzo dalekiej przeszłości i nikt już o niej nie pamiętał. Julian, nie bezinteresownie rozumując, doszedł do zwycięskiego przekonania:

„W mogile ciemnej śpi na wieki...”

„Z Bogiem!” – pożegnał więc męża... Nie ma się czym niepokoić! Rzucił jeszcze garść ziemi na jego trumnę – i zwracając się do dziecka wykrzywił twarz w uśmiechu. Zaczynał

czuć sympatię do Marka.

Ale Marek nie zaczynał jej czuć do Juliana. Julian lepiej się znał na budowie ciał atomo-wych niż na strukturze umysłu dziecka. Marek doskonale wyczuł, że ta demonstracja uprzejmości nie była naturalna. I w rezultacie odwrócił się plecami, mrużąc:

– Zabraniam mu śmiać mi się w nos!

Anetka, którą bawiły daremne wysiłki Juliana w celu obłaskawienia dziecka, poczuła się w obowiązku naprawić niegrzeczne powitanie Marka. Z zainteresowaniem, na razie trochę roztargnionym, wkrótce jednak rzeczywistym, zaczęła wypytywać Juliana o jego samotne życie.

Julian, zawsze pewniejszy siebie, gdy siedział w półmroku pokoju, opowiadał o sobie, tym razem z naiwną szczerością. Był prosty; nie pozował nigdy – prawie nigdy – mimo chęci podobania się. W

szczerości swej okazywał niewinność, rzadko spotykaną w Paryżu u mężczyzny w jego wieku. Tematów bliskich sobie dotykał z wielką delikatnością, kryjącą tamowane wzruszenie. W tych chwilach ufności, kiedy życzliwe milczenie Anetki dodawało mu odwagi, zdawała się objawiać jego prawdziwa natura i jakiś odblask duchowego piękna ożywiał jego twarz. Anetka patrzyła nań uważnie – i to, co czuła dla niego, nie było już tylko uprzejmą obojętnością.

135

Odtąd widywali się regularnie co niedzielę, a w ciągu wolnych od pracy tygodni jeszcze częściej. Julianowi służyły za pretekst książki, które pożyczał Anetce, musiał przecież dołą-

czyć do nich trochę wyjaśnień, aby ułatwić ich zrozumienie. Markowi przynosił podarunki, dość drogie i źle wybrane, za które mały wróg nie czuł dla niego najmniejszej wdzięczności: uważał, że są dziecinne i uwłaczają jego godności. Ale nic nie mogło zachwiać dobrej woli Juliana, stanowczo zdecydowanego nie spostrzegać rzeczy, które mu nie dogadzały – tak jak czynią wszystkie umysły samotne, nieufne w stosunku do świata, które z chwilą gdy raz na korzyść jednego wybrańca zrezygnują ze swej nieufności, nie umieją już rozróżniać – nie chcą rozróżniać – i oddają się z zamkniętymi oczyma. Umysł Juliana, przemyślny w oszukiwaniu siebie, kształtował ku własnemu zadowoleniu wszystkie wspomnienia wyniesione z wizyt u Anetki; wszystkie jej powiedzenia i wszystko, co ją otaczało (siebie samego też nie-

świadomie upiększał odbitym blaskiem). Roztargnienia Anetki, jej nieuważne odpowiedzi, ba! nawet jej znudzone milczenia, do których czasem dawał powód – wszystko czyniło mu ją jeszcze piękniejszą i bardziej wzruszającą. A że za każdym razem wykrywał mimo wszystko jakieś drobne nowe rysy nie harmonizujące z portretem, który sobie stworzył – tworzył na nowo cały portret; tworzył go z dziesięć razy. A choć portret się zmieniał i prawie już nie był

podobny do pierwotnego obrazu, Julian nigdy nie wątpił o jego wierności. Gotów był zmieniać swój ideał miłości tyle razy, ile razy zmieniał się jej przedmiot.

Anetka dostrzegła uczucie Juliana. Zrazu była tym ubawioną, potem wzruszona, potem trochę wdzięczna, bardzo wdzięczna mimo wszystko („Nikt nie może dać więcej niż to, co ma... Dziękuję ci, dobry Julianie!...”) – w końcu trochę zaniepokojona. Powiedziała sobie uczciwie, że nie powinna mu pozwolić posuwać się dalej po tej pochyłości... Ale jemu jest tak przyjemnie, biednemu chłopcu! A i jej przecież nie sprawia to przykrości... Anetka była wrażliwa na uczucie; lubiła pieszczotliwą słodycz i tkliwe pochlebstwa. Lubiała może zanadto.

Sama to przyznawała. Miłość, podziw widoczny w ludzkich oczach odczuwała jak pieszczotę, której chciałaby częściej doznawać. Tak, może to i nie bardzo dobrze, przyznawała. Ale to takie naturalne! Nie mogła sobie tego odmówić bez pewnego wysiłku. Zrobiła ten wysiłek, lecz nie powiodło się jej: wszystko, co powiedziała, by oddalić od siebie Juliana (czy naprawdę powiedziała wszystko?) – jeszcze bardziej go do niej przyciągnęło. To chyba los! A losowi trzeba się poddać... Śmiała się z samej siebie, a tymczasem Julian, zaniepokojony, zadawał

sobie pytanie, czy to nie z niego przypadkiem...

„Hipokrytko! Hipokrytko! Czy się nie wstydzisz?” Nie wstydziała się. Czyż można oprzeć się tej rozkoszy, gdy czyjeś serce oddaje się nam bez reszty? Wszak to rozjaśnia nasze dni. A cóż w tym złego? Jakież niebezpieczeństwo? Z chwilą gdy jest się spokojnym i panem siebie i pragnie się tylko dobra, dobra drugiej osoby!

Nie wiedziała, że jedną z tych krętych ścieżek, którymi miłość się wkrada, jest tkliwa próżność polegająca na wierze, że jest się potrzebnym. To uczucie tak silne jest w sercu prawdziwej kobiety – znajduje w nim zaspokojenie podwójna potrzeba: dobroci, do czego kobieta się przyznaje, i próżności, do czego się nie przyznaje – tak silne, że (jeśli ma szlachetną duszę) woli ona często od mężczyzny, którego woli, ale który bez niej obejść się nie może, mężczyznę, którego mniej kocha, lecz nad którym może roztoczyć opiekę. I czy to nie jest istotą macierzyństwa? Gdybyż dorosły syn mógł na zawsze pozostać małym pisklęciem!

Kobieta, obdarzona tak jak Anetka sercem matki, chętnie stroi mężczyznę, darzącego ją miłosnym uwielbieniem, w uroki, których on nie posiada; instynkt skłania ją do tego, by dostrzegać w nim tylko zalety. Julianowi ich nie brakło. Anetka cieszyła się widząc, jak topnieje jego nieśmiałość, a prawdziwa, stłumiona natura jak ozdrowieniec rozkwita w rzewnym szczęściu.

Powtarzała sobie, że tego człowieka dotychczas nie znał nikt, nawet ta matka, o której wciąż opowiadał, a o którą Anetka zaczynała już być zazdrosna. On sam, biedny Julian, też nie znał

siebie samego. Któż by się mógł domyślić, że pod tą szorstką powłoką kryje się dusza delikatna i tkliwa... (Przesadzała!) Potrzebował zaufania, a nigdy nie było mu ono dane: zaufania 136

do innych, zaufania do siebie samego. By wierzyć w siebie, potrzebował, by wierzył w niego ktoś drugi. I oto ona – wierzyła? Tak wierzyła w Juliana na jego rachunek, że w końcu za-częła w niego wierzyć na własny! Julian w oczach rozkwitał, jak roślina, na słońcu. A to tak dobrze być dla kogoś słońcem... „Rozkwitaj, moje serce!... Czy o sercu Juliana, czy o własnym sercu tak mówiła? Już nie wiedziała. Gdyż od dobra, którym darzyła, i ona sama rozkwitała. Natura bogata obumiera, gdy nie karmi sobą zgłodniałych... „Dawać siebie!” Anetka dawała z siebie za wiele. Nie sposób było się jej oprzeć. Uczucie Juliana przestało się maskować – i Anetka, trochę za późno, spostrzegła, że już nie może czuć się bezpieczna.

Gdy zdała sobie sprawę, że i w niej samej miłość lada chwila się obudzi, spróbowała się bronić. Starła się nie brać na serio uczuć Juliana. Ale nie wierzyła samej sobie i sprawiła tylko, że Julian zaczął nalegać usilniej: stał się patetyczny. Wówczas przełękła się i błagała go, by jej nie kochał, by nadal byli tylko przyjaciółmi. – Ale dlaczego? – pytał Julian. – Dlaczego?

Nie chciała odpowiedzieć... Instynktownie bała się miłości. Zachowała w pamięci wszystko, co przez nią wycierpiała; a jakaś intuicja ostrzegała ją przed tym, co jeszcze wycierpieć jej przyjdzie. Przywoływała tę miłość i odpychała ją; pożądała jej i uciekała przed nią. Nalega-niom Juliana opierała się szczerze, ale w głębi serca pragnęła, by przeciwnik pokonał jej opór.

Walka trwałaby dłużej, gdyby pewne zdarzenie nie przyspieszyło jej rozstrzygnięcia.

Anetkę łączyła z mężem jej siostry szczera przyjaźń. Temu z racji, trochę wulgarnemu człowiekowi nie brakło ani prawości, ani zalet serca. Anetka ceniła go, a Leopold okazywał

jej szacunek trochę ceremonialny. Od pierwszego z nią spotkania uznał Anetkę za istotę nale-
żącą do innego gatunku ludzi niż on i Sylwia: onieśmielała go. Toteż tym większą odczuwał

wdzięczność za okazywaną mu przez nią życzliwość. W okresie gdy starał się o Sylwię, Anetka była jego sprzymierzeńcem. Niejednokrotnie przychodziła mu z pomocą, gdy był na-rażony na złośliwe figle narzeczonej, zbyt pewnej swej władzy, aby jej nie nadużywać. Póź-

niej w dyskretny sposób wdawała się nawet w nieporozumienia małżeńskie, starała się wpły-nać na Sylwię, aby porzuciła kaprysy, zachcianki i diabelskie kawały, którymi, chcąc roze-rwać się, zamęczała męża. Leopold, nic z tego nie rozumiejąc, powierzał swoje żale Anetce, która podejmowała się przywieść Sylwię do opamiętania. Doszło do tego, że zwierzał się szwagierce z niejednej rzeczy, o której nie wspominał żonie. Sylwia wiedziała o tym i pokpi-wała z Anetki, która to brała na wesoło. Wśród tych trojga panowała szczerłość i naturalność.

Leopold nigdy nie narzekał, że u jego ogniska zasiada siostra żony i chłopczyk, często dość zawadzający. Raczej byłby skłonny twierdzić, że Sylwia nie dosyć pomaga Anetce, której dzielność podziwiał. Dziecko psuł. Anetka wiedziała przez Sylwię, co myśli Leopold, i była mu za to wdzięczna.

Czas brzemienności Sylwii nie był dla jej otoczenia, a zwłaszcza dla męża, szczęśliwym okresem. Częste zatargi oddalały Leopolda od żony, choć co prawda Sylwia nie twierdziła, że może się bez niego obejść. Mało liczyła się ze swym stanem i nie chciała nic zmieniać w swoim sposobie życia. Nie wyszło jej to na dobre. Długie miesiące ciąży nie były dla niej, tak jak dla Anetki, bezkresnym, za wcześnie zakończonym snem leniwego szczęścia. Sylwia nie była stworzona do hodowania snów. Niecierpliwiła się, nie zamierzała rezygnować z żadnych obowiązków, wyrzekać się żadnych przyjemności i praw. Przemęczała się. Odbiło się to na jej systemie nerwowym i charakter jej na tym nie zyskał. Gdy człowiek jest udręczony, chętnie staje się dręczycielem. Sylwia, sama cierpiąc, uważała za rzecz oburzającą, by mąż jej nie cierpiał również – i starała się o to. Zadrażała go swym humorem złośliwym, dokuczliwym, wiecznie zmiennym, a nawet (to było nieoczekiwane!) zazdrością miłosną, co nie przeszka-137

działo jej w obrzucaniu go obelżywymi wymówkami. Bywały dni, że sam nie wiedział, gdzie szukać ratunku.

Ale istniała Anetka, przed którą mógł się wyskarżyć. Szedł więc do niej, na górę, aby tam jęczeć. Ona słuchała cierpliwie i zawsze w końcu znajdowała jakiś sposób, by go rozśmieszyć ukazując mu zabawną stronę jego małych nieszczęść. Te ich narady, powtarzające się czę-

ściej, stwarzały między nimi ciche porozumienie, oparte na wspólnych sekretach. Czasem w obecności Sylwii zamieniali porozumiewawcze spojrzenia. Oboje byli uczciwi i dlatego, nie zachowując żadnych ostrożności, pozwalali, by wzrastała między nimi pewna poufalskość, niewinna wprawdzie, ale mimo to nie całkiem nieszkodliwa. Anetce nie przychodziło na myśl, że mogłoby w

tym być jakieś niebezpieczeństwo, i dalej bawiła się przyjacielskim przekomarzaniem się. Leopold dał się na to wziąć. Tego tylko pragnął – od dawna już był pod urokiem tej mocy radości, którą promieniowała Anetka. Ona zaś była całkowicie pochłonięta odkryciem niepokojącej ją rozkosznie miłości Juliana. Resztę świata widziała jak przez mgłę. Gdy po widzeniu się z Julianem spotykała Leopolda – słuchała, co mówił Leopold, i nawet odpowiadała mu, lecz uśmiechała się do Juliana. A tego Leopold nie mógł się domyślić.

Wiedział, czego chciał. Jako porządny człowiek – opierał się. Ale nawet porządny człowiek jest jednak człowiekiem. Nie powinien igrać z ogniem.

Pewnej majowej niedzieli wybrali się wszyscy czworo, Sylwia, Anetka, Leopold i Mareczek, na przechadzkę w kierunku Sceaux. Po godzinnym marszu Sylwia, trochę, zmęczona, siadła u stóp pagórka i rzekła:

– Wy młodzi, idźcie dalej, wspinajcie się, jeśli macie ochotę. My tutaj zaczekamy.

Została z Mareczkiem. Anetka i Leopold poszli wesoło dalej. Anetka była ożywiona, ro-ześmiana, koleżeńska. Dobroduszny Leopold był dla niej wycieczką po moralnym napięciu, w którym trzymała ją miłość Juliana i ich intelektualne rozmowy. Ścieżka wiała się pomiędzy długim murem jakiejś wielkiej posiadłości a skarpią porośłą kwitnącymi krzewami.

Poprzez dziury w płotach widziało się, idąc pod górę, stoki sadów, całe w pękach różanego i śnieżnego kwiecia. Po fantastycznym seledynowym niebie mknęły zaaferowane obłoki. Roz-igrany wiatr kąsał zniecka jak młody pies. Anetka szła przodem, śpiewając, zrywając kwiaty. Leopold podążał za nią krok w krok. Gdy się schylała, widział poprzez naciągniętą materię sukni jej silny tors, patrzył na jej nagie ręce, na gołą szyję, zaczerwienioną tnącymi powiewami wiatru, i na ukrytą w puchu włosów różową muszlę ucha, którego koniec czerwienił się jak kropla krwi. Z prawej strony skarpa wyrastała w pagórek, tak że droga tworzyła tu jakby korytarz, z którego wypadał skłębiony wiatr i uderzał ich prosto w twarze. Anetka, nie odwracając się, zagadnęła o coś towarzysza. Nie odpowiedział. Pochylona, nie przestając mówić, zrywała dalej kwiaty. Lecz gdy tak żartowała z milczącego wciąż Leopolda, nagle zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa kryjącego się w tym milczeniu. Kwiaty wypadły jej z rąk. Wyprostowała się, ale nie zdążyła się jeszcze odwrócić, gdy... O mało nie upadła... Leopold chwycił ją w ramiona. Brutalnie objęta, poczuła na karku zdyszany oddech i chciwe usta całujące jej szyję i policzki. W jednej chwili sprężyła się i zebrawszy wszystkie nieznanne, nagromadzone w sobie bojowe siły, z furią strząsnęła z siebie trzymającego ją mężczyznę...

Rozerwała uścisk i stanęła twarzą w twarz z napastnikiem. Oczy jej płonęły gniewem. Lecz on nie dawał za wygraną. Stoczyli twardą walkę nienawidzących się zwierząt. Twardą i krótką. Anetka (zbuntowany instynkt dodawał jej sił) gwałtownie odepchnęła mężczyznę. Zato-czył się. Stał teraz przed nią, podwójnie upokorzony, zdyszany, z czerwoną twarzą; obserwowali się pełnymi wściekłości oczyma. Nie padło żadne słowo. Nagle Anetka wdrapała się na skarpię, przez dziurę w płocie przecisnęła się na drugą stronę – i uciekła. Leopold, już wy-trzeźwiony, wołał za nią. Zatrzymała się o dwadzieścia kroków od niego, nie pozwalając mu się przybliżyć. Zeszli z pagórka idąc po dwóch stronach płotu, zachowując ciągle tę samą odległość, oboje nieufni, wrodzy,

by wróciła, prosił ją o przebaczenie. Anetka udawała, że nie słyszy. Słyszała jednak. Przez mur gniewu dosięgło ją zmieszanie, brzmiące w jego głosie. Zwolniła kroku...

– Anetko! – błagał Leopold – Anetko! Nie uciekaj przede mną! Nie chcę cię gonić... Widzisz przecież, że stoję na miejscu i nie zbliżam się... Zachowałem się jak zwierzę. Wstydzę się, tak wstydzę... Wymyślaj mi! Ale nie uciekaj! Nie dotknę cię więcej, nawet końcem palca... Brzydzę się sobą... Na klęczkach błagam o przebaczenie!

Ukląkł niezgrabnie na żwirze; miał wygląd nieszczęśliwy, był śmieszny.

Anetka, nie patrząc na niego, słuchała z twardym wyrazem twarzy. Zwrócona profilem, rzuciła okiem w jego stronę, ujrzała upokorzonego mężczyznę i upokorzenie to przeniknęło ją do głębi. Jej gorące serce umiało otwierać się dla cudzych wzruszeń, jak gdyby były jej własnymi. Wstyd Leopolda oblał rumieńcem jej twarz. Postąpiła o krok ku niemu i powiedziała:

– Wstań!

Podniósł się z kolan, a ona instynktownie cofnęła się o kilka kroków.

– Boisz się jeszcze – powiedział. – Nigdy mi nie przebaczysz.

– Nie mówmy nic. To już skończone – odpowiedziała oschle.

Zeszli z powrotem drogą. Anetka była milcząca i lodowata. Leopoldowi trudno było zachować milczenie. Skruszony, czuł potrzebę usprawiedliwiania się. Ale nie był wymowny, poczciwiec. Nie miał wykwintnego stylu. Ze złością powtarzał:

– Jestem łajdakiem.

Anetka, jeszcze cała wzburzona, tłumiała śmiech. Wstrząśnięty jej umysł z trudem się uspokajał. Czuła jednocześnie obrzydliwość i śmieszność tej sceny. Nie przebaczyła jeszcze, a już zaczynało jej być żal tego człowieka, który teraz idąc obok niej oskarżał się w sposób tak godny politowania. Leopold w dalszym ciągu plątał się w słowach. Słuchała go z urazą, ironią i współczuciem. On, jak umiał, starał się tłumaczyć, „że to przekłete szaleństwo tak czasem owładnie ciałem...” Tak, znała i ona to szaleństwo... Nie było jednak sensu mówić mu o tym. Ale Leopold miał tak nieszczęśliwą minę, że mimo woli powiedziała:

– Wiem. Człowiek bywa czasem szalony. Co się stało, to się stało. Szli dalej w milczeniu, z ciężkim sercem, oboje smutni i zmieszani. Gdy dochodzili do miejsca, gdzie została Sylwia, Anetka zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała podać Leopoldowi rękę, nie podała jej jednak, tylko rzekła:

– Już zapomniałam.

Leopold poczuł ulgę, ale wciąż jeszcze niespokojny, zapytał tonem chłopczyka, który coś zbroił:

– Nic nie powiesz?...

Anetka uśmiechnęła się z politowaniem.

Nie, nie powiedziała nic. Ale od pierwszego rzutu oka bystre spojrzenie Sylwii odgadło.

Nie zadała żadnego pytania. Zaczęli rozmawiać o czymś innym, lecz gdy w powrotnej drodze wszyscy troje, dla zamaskowania gnębiących myśli, popisywali się hałaśliwym gadaniem, Sylwia uważnie przypatrywała się tym dwojgu.

Od tego dnia począwszy Anetka i Leopold nigdy nie zostawali sami. Zazdrosna żona czuwała. Anetka również się strzegła. Mimo woli zdradzała się ze swym niedowierzaniem. A Leopold, dotknięty, przeżuwał niewyznaną urazę.

Oczy Anetki otworzyły się. Nie wolno jej było, jak dotychczas, ufać bez zastrzeżeń sobie i innym. Nie wolno było, jak dotychczas, iść przez życie z uśmiechem, nie troszcząc się, skoro ich sama nie pragnęła, o pożądania, które mogłaby wzbudzić. W obecnym społeczeństwie, przy obecnych obyczajach, sytuacja jej, jako kobiety samotnej, młodej i wolnej, nie tylko na-

rażała ją na prześladowania, lecz je usprawiedliwiała. Nikt nie mógł zrozumieć, że wyzwoliła się w tak zuchwały sposób po to tylko, by zamknąć się we wdowieństwie, wiernym a bez-przedmiotowym. Sama oszukiwała się macierzyństwem. Oczywiście, macierzyństwo to wielki płomień, ale inny jeszcze płomień zawsze się w niej palił. Starła się o nim zapomnieć, gdyż budził w niej trwogę; wyobrażała sobie, że nikt go nie dostrzega. Lecz myliła się. Żar miłości bił od niej niezależnie od jej woli – i jeśli nie ona sama, to inni łatwo tu mogli paść ofiarą. Przygoda z Leopoldem ukazała jej to wyraźnie. Wydała się jej ohydna i na myśl o tym budził się w niej bunt. Wolnym od złudzeń oczom człowieka, który nie kocha, akt miłosny wydaje się groteskowym lub wstrętnym bestialstwem. Zakusy Leopolda były jednym i drugim w oczach Anetki. Lecz sumienie jej nie było spokojne. Wszak sama roznieciła te pragnienia. Przypominała sobie swą nie zamierzoną kokieterię, .grę podniecających żarcików, przekomarzania się i podstępny... Co ją do tego popchnęło? Owa ujarzmiona siła, ów żar we-wnętrzny, który sycić trzeba lub stłumić. Stłumić nie można, nie wolno! To przecież jest słoń-

cem życia. Bez tego wszystko pogrążone jest w mroku. Ale niechże przynajmniej, jak wóz słoneczny kierowany ręką Faetona³², nie spala tego, co ożywiać winien! Niech biegnie prawi-dłowo swoim niebieskim szlakiem!... A zatem małżeństwo? Długo odsuwała tę możliwość, lecz teraz zrozumienie grożących jej niebezpieczeństw skłaniało ją do uznania, że małżeństwo oparte na uczuciu, szacunku i spokojnej sympatii mogłoby stać się tamą trzymającą w zamknięciu demony jej serca oraz obroną przed napaściami z zewnątrz. W miarę jak przekony-wała się o tym (wszystko jakby zmówiło się, żeby ją przekonać: bezpieczeństwo materialne i moralne, urok domowego ogniska, pragnienie serca), mniejszy stawiała opór błagalnym proś-

bom Juliana. By ustąpić, przytaczała sobie wszystkie powody, dla których mogłaby go kochać. Ale z pokochaniem nie czekała, aż powody te mieć będzie.

Rozpoczęła się już w niej owa twórcza praca ducha, który stwarza sobie egzaltowaną wizję wybranej istoty. U Juliana zaczęło się to wcześniej, ale Anetka, bogatsza duchowo i namiętniejsza, wyprzedziła go.

Nie czuwała już nad sobą i ulegając porywowi swej szczerzej natury nie używała sztuczek, przy pomocy których kobieta zręczniejsza od niej maskuje przegraną, udając, że jest jeszcze panią serca, które już oddała. Anetka ofiarowała swoje. Wyznała to Julianowi. I od tej chwili Julian zaczął się niepokoić.

Nie znał kobiet. Pociągały go i zbijały z tropu. Zamiast starać się je poznać, wolał wydawać o nich sądy. Idealizował jedne, drugie potępiał; tymi zaś, które nie wchodziły w żadną z owych dwu kategorii, nie interesował się wcale. Ludzie bardzo młodzi (a Julian pozostał takim przez brak doświadczenia) zawsze sądzą zbyt pośpiesznie. Zajęci jedynie sobą i swymi pragnieniami, w innych szukają tego tylko, co od nich otrzymać by chcieli. Zarówno ci naiwni jak i ci przebiegli, gdy kochają, myślą tylko o sobie samych, a nigdy o kobiecie. Tak w dziedzinie spraw duchowych jak i cielesnych, nie chcą widzieć, że kobieta istnieje poza nimi.

Właśnie miłość jest doświadczeniem, które mogłoby ich o tym pouczyć – i rzeczywiście uczy, ale tylko garstkę tych, co są w stanie się nauczyć – i to na ogół własnym ich kosztem i kosztem ich partnerek, bo gdy nareszcie wiedzą, jest już za późno. Dla tego stanu początkowej niewiedzy charakterystyczny jest ów zawiedziony sen o jedności, owo naiwne odwieczne zdziwienie, bolejące nad nieodwracalnym rozdzieleniem gorzkim owocem miłości. Bo cóż znaczy słowo: „kochać”, jeśli nie: „kochać kogoś drugiego”? Julianowi, choć me był takim egoistą jak Roger Brissot, równie trudno było, z powodu tej niewiedzy, wyjść poza siebie. A jego widzenie kobiecego świata było jeszcze ciaśniejsze. Tu trzeba by go ostrożnie prowadzić za rękę.

32 Faeton – wg mitologii greckiej syn Heliosa (słońca); gdy na swą prośbę kierował raz rydwanem słońecz-nym, nie umiał opanować rumaków i utrzymać ich na właściwym torze. Zeus widząc szkody, jakie wyrządza pędzący na oślep rydwan, palący wszystko za swym zbliżeniem, zabił Faetona piorunem.

140

Anetka z natury nie była nic a nic ostrożna. A miłość, budząc w niej potrzebę wielkodusz-nego zaufania, nie uczyła jej ostrożności. Uzyskawszy pewność, że kocha i jest kochana, Anetka nic już nie ukrywała. W człowieku, którego pokochała, nic nie mogłoby jej już do niego zrazić. Po cóż miałyby się sztucznie upiększać? Duchowo zdrowa, nie wstydziła się być taką, jaką była naprawdę. Niechże i ten, co ją kocha, widzi ją taką, jaką jest! Dobrze dostrzegała jego naiwność, niemożność zrozumienia, jego zalęknienia. Znajdowała w tym przyjemność, tkliwą i przekorną. Cieszyło ją, że jest pierwszą, która daje mu poznać kobiecą duszę.

Pewnego dnia wybrała się, by go niespodzianie odwiedzić w jego mieszkaniu. Drzwi otworzyła matka, wiekowa pani o gładko zaczesanych siwych włosach i spokojnym czole, rozświetlonym uważnym blaskiem surowych oczu. Z nieufną uprzejmością przyjrzała się Anecie, po czym wprowadziła ją do schludnego i zimnego saloniku, gdzie meble były okryte pokrowcami. Wyblakłe fotografie rodzinne i reprodukcje obrazów do reszty oziębiały panują-

cą w nim atmosferę. Anetka została sama. W sąsiednim pokoju Usłyszała jakieś szepty – i po chwili Julian śpiesznie wszedł do salonu. Był uradowany, lecz zarazem onieśmielony. Nie wiedział, co mówić, odpowiadał bez sensu. Siedzieli na niewygodnych krzesłach o twardych oparciach krępujących naturalną swobodę ruchów. Między nimi stał stolik, jeden z tych salo-nowych stolików, na których nie można się oprzeć, a których ostre kanty potraça się wciąż kolanami. Chłód lśniącej, nie pokrytej dywanem posadzki i martwych twarzy, umieszczonych pod szkłem jak zasuszone rośliny w zielniku, mroził słowa na ustach i skłaniał do ściszenia głosu. Anetka wyraźnie marzyła w tym salonie. Czy Julian zostawi ją tu przez cały czas wizyty? Zapytała, czy nie chciałby jej pokazać pokoju, w którym pracuje. Nie wypadło mu od-mówić, miał nawet na to ochotę – ale tyle widać było wahania w wyrazie jego twarzy, że spytała:

– Może nie dogadza to panu?

Zaprzeczył i przepraszając za nieporządek wprowadził ją tam. Nieporządku było tu mniej niż u Anetki podczas pierwszej wizyty Juliana, tylko że jego nieporządek pozbawiony był

wesołości. Pokój służył równocześnie jako pracownia i sypialnia. Książki, znana litografia przedstawiająca Pasteura, papiery na krzesłach, fajka na stole, studenckie łóżko. Nad łóżkiem zauważyła mały krzyżyk z gałązką bukszpanu. Siedząc w twardo wyściełanym fotelu, starała się wprowadzić swego gospodarza w swobodniejszy nastrój, wspominając wesoło różne epi-zody z ich studenckich czasów. Bez pruderii opowiadała historie, które znali oboje. Lecz Julian był roztargniony, zmieszany jej obecnością i swobodą jej słów. Zdawał się wciąż zajęty tym, co działo się w przyległym pokoju. Anetce udzielało się jego skrępowanie, ale trzymała się dzielnie i dokazała nawet tego, że Julian przestał trapić się myślą „co ludzie powiedzą?” Wreszcie ożywił się i odtąd śmiali się już wesoło. Dopiero gdy odchodziła, stał się znów skrępowany. Odprowadzał ją korytarzem, którym trzeba było przejść koło pokoju jego matki.

Drzwi były uchylone. Pani Dumont udała, że ich nie widzi, czy to przez delikatność, czy też nie chcąc kłaniać się nieznajomej? Obie kobiety zamieniły jedno tylko spojrzenie i już były sobie wrogie. Pani Dumont była zgorzona wizytą tej śmiałej dziewczyny, jej swobodnym zachowaniem, dźwięcznym głosem, jej śmiechem i żywotnością: węszyła niebezpieczeństwo.

Anetce zaś, która w czasie wizyty wyczuwała między Julianem a sobą tę niewidzialną obecność, pozostało jakieś, uczucie nieprzyjaźni. Przechodząc koło pokoju starej damy, odwróconej do niej plecami, mówiła i śmiała się głośnie. I już zazdrosna, myślała:

„Odbiorę ci go.”

W tydzień potem Julian znów przyszedł wieczorem, po obiedzie. Na temat Anetki miał

pierwszą w życiu dyskusję ze swą matką – i chciał zaznaczyć swoją wolę. Byli sami. Leopold zabrał Mareczka do cyrku. Gdy Julian żegnał się z nią około jedenastej, Anetka zaproponowała, że go odprowadzi na piechotę, dla przyjemności odetchnięcia razem świeżym nocnym powietrzem. Ale gdy doszli do jego drzwi, Julian, zaniepokojony, nie chciał się zgodzić, by Anetka sama wracała do domu. Ubawił ją ten niepokój, ale Julian mimo to upierał się, że te-141

raz on z kolei ją odprowadzi. Anetka nie sprzeciwiała się: będzie z nim dłużej! Poszli więc z powrotem, obierając najdłuższą drogę – i sami nie bardzo wiedząc jak, znaleźli się nad brzegiem Sekwany. Była noc czerwcową. Usiedli na ławce. Topole szumiały nad ciemną wodą, na której kładły się wydłużone smugi czerwonych i żółtych świateł latarni płonących na mostach. Niebo było dalekie, a gwiazdy bezkrwiste, jakby wysrane przez ową wielką pijawkę: miasto. W górze była ciemność – na dole światło. Milczeli. Słowa nie mogły już wyrazić ich myśli; ale nie patrząc na siebie, oboje nawzajem czytali w sobie. Pragnienie Juliana paliło serce Anetki, ale nieśmiałość trzymała go w swych pętach, tak że nie odważał się nawet oczu na nią podnieść. Ona, nie odwracając głowy, uśmiechała się i patrzyła na czerwone odbłaski na rzece; wiedziała: on nigdy się nie zdecyduje!... I wtedy, pochyliwszy się ku niemu, poca-

łowała go...

Wrócił do domu upojony miłością i wdzięcznością – i z tkwiącym w myśli zradliwym cierniem niepokoju. Jedno złośliwe zdanie matki:

„Te biedne a śmiałe dziewczęta, co tylko myślą, za kogo by się wydać...” Dopiero co był z gniewem wyrwał ten cierni, ale koniec został i tkwił pod skórą. Julian zawstydział się. W myśli przeproszał Anetkę. Wiedział, że to obelżywe posądzenie jest niesłuszne. Wierzył w nią religijnie. Czuł jednak jakiś niepokój. I każda nowa wizyta niepokoiła go coraz silniej. Swoboda Anetki, swoboda myślenia, swoboda w zachowaniu, i wypowiedaniu się na jakikolwiek bądź temat, zwłaszcza w zakresie moralności społecznej, spokojne obchodzenie się bez wszelkich przesądów – to wszystko przerażało go. Sposób myślenia Juliana był

równie ciasny jak jego ubrania, cechowało go pewne ubóstwo idei i skłonność do surowości.

Anetka, przeciwnie, była roześmiana i szczerze wyrozumiała. Nie pojmował, że mogła mieć w sprawach jej dotyczących równie purytańskie zapatrywania jak on sam – i jednocześnie umiała z ironiczną tolerancją stosować do drugich inną, ich własną miarę. Ironia i tolerancja wprawiały go w zakłopotanie.

Anetka to zauważyła – i gdy Julian wypowiadał się na jakiś temat z niesprawiedliwym i skrajnym rygoryzmem, nie próbowała narzucać mu swego punktu widzenia. Z uśmiechem przechodziła do porządku nad tym jego naiwnym nieprzejednaniem, które się jej nawet podobało. Ale uśmiech ten bardziej jeszcze od słów niepokoił Juliana. Doznawał wrażenia, że ona wie więcej od niego. To była prawda. Ale o ile więcej? I właściwie cóż ona takiego wiedzia-

ła? Czego doświadczyła?

Julian, który był człowiekiem o subtelnej, lecz zubożalej żywotności, czuł się teraz, podobnie jak jego matka (pewne złośliwe uwagi matki przyczyniły się do tego), niejasno zaniepokojony tą promienną, tryskającą zdrowiem Anetką. Gorąco jej pragnął – i bał się równocze-

śnie. Na wspólnych przechadzkach czuł się przy niej słaby. Doskonała swoboda, z jaką Anetka umiała znaleźć się w każdym środowisku, zwiększała jeszcze jego skrępowanie i choć Anetka zauważywszy to skrępowanie byłaby je na pewno pokochała, Julian czuł się nim upokorzony. Lecz

ona nie dostrzegała tego wcale. Zbyt była zajęta swoim wewnętrznym roz-

śpiewaniem. Błędem jej było, że wyobrażała sobie, iż śpiewu tego nikt poza nią nie słyszy. I nie widziała trwożnego wzroku Juliana, który zadawał sobie pytanie:

„Do kogo, do czego ona się tak śmieje?...”

Wydawała się wówczas tak daleka!

Nie przestawał widzieć – widział lepiej niż kiedykolwiek jej wielkie zalety umysłu i energię ducha. Ale równocześnie pozostawała dla niego niebezpieczną zagadką. Był rozdarty dwoma sprzecznymi uczuciami: przemożnego pociągu i ponurej nieufności; jakby jakaś resztką prymitywnego instynktu, która przypomina dzisiejszemu mężczyźnie i kobiecie pierwotną wrogość płci, dla których fizyczne złączenie było formą walki. Ten podejrzliwy instynkt obronny jest może silniejszy jeszcze u mężczyzn obdarzonych jak Julian bystrą inteligencją i zarazem mało doświadczonych. Nie umieją oni jasno spojrzeć na kobietę, widzą ją to zbyt prostą, to znów pełną zasadzek.

142

Anetka przyczyniała się do tych oscylacji myślowych przez zmienność swych nastrojów; przez tę kolejność mówienia i zamilczania, ukazywania i znów ukrywania wszystkiego – kolejność odruchów namiętnej ekspansji i owych hermetycznych zamilknięć, trwających czasem przez dużą, część spaceru. Te straszne milczenia (czyż jest mężczyzna, który nie cierpiał z ich powodu?), podczas których życie idącej obok nas towarzyszki odbiega w jakieś krainy, któ-

rych nigdy nie będzie dane nam poznać! Nie znaczy to, by w większości wypadków kryły się w nich jakieś głębokie tajemnice! Bywają milczenia, które – gdyby brodzić w nich można jak w wodzie – nie sięgałyby nam nawet do kostek; ale jakakolwiek byłoby ich głębia, po-wierzchnia milczenia jest nieprzezroczysta: oko nie może jej przeniknąć. I tutaj samodręczy-cielski umysł człowieka ma szerokie pole do wymyślania sobie niepokojących tajemnic. Julianowi nie byłoby nigdy przyszło na myśl, że sam jest ich twórcą i że jeśli kobieta milczy, to niejednokrotnie dlatego, że wie, jak źle mężczyzna ją rozumie. Ironiczne i trochę zmęczone milczenie Anetki godziło się czasami na fałszywe interpretowanie jej uczuć przez mężczyznę, który ją kochał. Wiedziała, że kocha on właśnie tę „fałszowaną” – i że nie kochałby prawdziwej.

„Jeżeli chcesz... Dobrze, jak chcesz!... Zgoda. Nie jestem taka, jaka jestem. Jestem taka, jaką ty mnie widzisz...”

Ale niedługo trwały te przytakujące milczenia. Z chwilą gdy Anetka spostrzegła, że w szczerym wyjaśnieniu może kryć się niebezpieczeństwo (bo Julian nie był zdolny jej zrozumieć) i że wobec tego rozsądniej byłoby milczeć – zaczęła mówić. Owszem, gotowa była milczeć, aby oszczędzić Julianowi niepotrzebnych przykrości, ale nie by nadużyć jego zaufania! A jeśli powiedzenie prawdy jest niebezpieczne – to tym bardziej nie wolno się od niego uchylać. Im większe jest niebezpieczeństwo, tym większa i dumna chęć zmierzenia się z nim.

Owa próba miłości Juliana przyśpieszała tętno jej serca. Jeśli się próba powiedzie, kochać go będzie

jeszcze bardziej. A jeśli się nie powiedzie?... Powiedzie się! Czyż Julian jej nie kocha?

Niech się dzieje, co chce!

Anetka prowadziła uczciwą grę. Ale bywają mężczyźni, którzy woleliby, żeby partnerka szachrowała. Sylwia, dowiedziawszy się o miłości Juliana i projektowanym małżeństwie, surowo przestrzegła Anetkę, żeby, na miłość boską, nie ważyła się mówić całej prawdy.

Oczywista, z konieczności będzie musiał coś niecoś się dowiedzieć, bo przecież przy obrzę-

dzie ślubnym już same akta stanu cywilnego o niejednym go pouczą. Ale zawsze jakoś można odpowiednio prawdę przykroić – a że chłopak ją kocha, więc przymknie oczy. Oby mu ich tylko sama nie otwierała! To by już naprawdę było nadto głupie! Później będą mieli czas wszystko sobie opowiedzieć... Przez Sylwię przemawiało rzetelne doświadczenie. Pragnęła dobra siostry (pragnęła też i własnego dobra i rada byłaby jak najszybszemu wyprowadzeniu się Anetki); była zdania, że nie ma się obowiązku mówić całej prawdy wszystkim, a zwłaszcza narzeczonemu: wystarczy, że się go kocha. Prawda Anetki, oczywiście, była czymś bardzo niewinnym – ale ludzie są tacy słabi! Żadnej prawdy nie potrafią znieść. Trzeba im ją podawać w niewielkich dawkach.

Anetka spokojnie słuchała Sylwii – i zaczynała mówić o czymś innym. Po cóż odpowiadać? Przecież i tak zrobi jak będzie chciała. Moralność Sylwii nie była jej moralnością. Anetka wolała nie mówić, co myśli. Sylwia była Sylwią. Anetka kochała ją... Ale jakimże spojrzeniem byłaby zmierzyła każdego poza siostrą, kto by spróbował mówić do niej w ten sposób!

„Biedna Sylwia! Mierzy mężczyzn miarą tych, których znała. Mój Julian jest innego pokroju. Kocha mnie taką, jaką jestem. I kochać mnie będzie taką, jaką byłam. Nie ma nic, co bym chciała przed nim ukryć. Nigdy nie wyrzuciłam mu krzywdy. A jeśli w ogóle wyrzą-

dziłam komu krzywdę, to chyba tylko sobie samej...”

Postanowiła mówić otwarcie – i świadoma ryzyka, lecz ufna w wielkoduszność Juliana, naprowadziła rozmowę na swoją przeszłość. Przez obustronną wstydlivość unikali dotych-143

czas oboje tego tematu. Ale niejednokrotnie czytała Anetka w oczach Juliana, jak gorąco pragnął i bał się zarazem zapytać o to, co chciałby równocześnie wiedzieć i nie. wiedzieć.

Z tkliwością położyła rękę na rękę Juliana i rzekła:

– Drogi mój, zachowywałeś się zawsze w stosunku do mnie z tak miłą mi dyskrecją. Dzię-

kuję ci za to. Kocham cię... Ale muszę wreszcie pomówić z tobą o tym, czego nie wiesz, o tym, jaką byłam. Trzeba, żebyś mnie poznał. Nie jestem bez winy.

Uczynił lękliwy gest, jak gdyby protestował przeciw temu, co chciała powiedzieć, jak gdyby gestem tym chciał ją powstrzymać. Uśmiechnęła się:

– Nie lękaj się. Nie mam ciężkich win na sumieniu. Przynajmniej tak mi się wydaje, choć być może,

jestem zbyt wyrozumiała dla siebie samej, bo świat osądza to inaczej. Ty sam musisz rozsądzić. Wierzę w słuszność twego wyroku. Jestem taka, za jaką ty mnie uznasz.

Zacząła opowiadać. Była bardziej onieśmielona, niżby chciała okazać. Z góry przygotowała sobie, co będzie mówić, i choć wydawało jej się to łatwe do wypowiedzenia, nie przychodziło teraz bez trudu. Chcąc przemóc ten opór zaczęła mówić tonem na pozór wolnym od wzruszenia, które w rzeczywistości odczuwała. Chwilami odsłaniała nawet godzące w nią samą ostrze ironii – co nie licowało wcale z budzącym się w niej w miarę opowiadania niepokojem: posługiwała się ironią dla własnej obrony... Julian tego nie zrozumiał. W zachowaniu takim widział tylko gorszącą lekkomyślność i brak poczucia odpowiedzialności.

Powiedziała na wstępie, że nie jest mężatką. Tego właśnie obawiał się Julian. Prawdę mów-

wiąc, był o tym nawet milcząco przeświadczony. Ale wciąż miał nadzieję, że myli się i że coś go o tym przekona. Gdy usłyszał to z ust Anetki i zrozumiał, że nie może już wątpić, poczuł

się ogłuszony. Będąc pod zewnętrzną warstwą liberalizmu głęboko wierzącym katolikiem, nie był wyzwolony od pojęcia grzechu. Natychmiast pomyślał o matce: ona się nigdy nie zgodzi!

I przewidywał już walki, które mu przyjdzie stoczyć. Był bardzo zakochany. Mimo bólu, któ-

ry zadało mu wyznanie Anetki, i mimo że tę dawną jej słabość, jej „winę”, uważał za rzeczywisty upadek – kochał ją i chcąc ją zdobyć gotów był walczyć z oporem swej matki. Ale potrzebował pomocy, potrzebował współdziałania Anetki. Był słaby. Do walki, którą miał stoczyć, musiał wezwać wszystkie swoje siły, wśród których siła złudzenia nie była bynajmniej najsłabsza. Odczuwał potrzebę idealizowania Anetki – i gdyby Anetka była sprytna, dopomogłaby mu w tym.

Zdała sobie sprawę, jak wielki ból sprawiły jej słowa. Przewidywała to. Było jej przykro, ale nie mogła mu tego bólu oszczędzić: skoro mają żyć razem, każde z nich musi wziąć na siebie część doświadczeń, a nawet błędów drugiego. Lecz nie domyślała się konfliktu, który w nim powstał – a gdyby się go nawet domyśliła, i tak nie przestałaby wierzyć w zwycięstwo miłości.

– Mój biedny Julianie – rzekła – wiem, że zadaję ci ból. Przebacz mi. Ja także cierpię. My-

ślałeś, że jestem lepsza. Stawiałeś mnie wyżej, za wysoko, w twych myślach... Jestem kobietą. Jestem słaba... Ale jeśli się sama oszukałam – to przynajmniej nie oszukałam nikogo.

Zawsze działałam w dobrej wierze.

– Tak – rzekł pośpiesznie – jestem tego pewny. On nadużył twego zaufania? Prawda?

– Kto? – zapytała Anetka.

– Ten nędznik... Przepraszam!..., Ten mężczyzna, który cię opuścił!

– Nie oskarżaj go!... Ja sama jestem winna. Słowa „winna” użyła tu tylko w sensie tkliwego żalu za ból, który Julianowi zadaje, lecz on chciwie rzucił się na to słowo. W zamęcie uczuć chciał ucześcić

się myśli, że Anetka jest uwiedzioną ofiarą i że żałuje za swoje winy...

Konieczny mu był ten moment „skruchy”: stanowiło to dla niego coś w rodzaju kompensaty za szkodę, którą mu wyrządzono; jakby balsam położony na ranę, balsam, który rany nie leczy, lecz sprawia, że ból staje się znośniejszy. Dawało mu to nad Anetką pewną moralną przewagę, z której – sprawiedliwie przyznać trzeba – nie byłby zrobił użytku. Wreszcie, nie mając wątpliwości co do grzechu Anetki, nie miał ich także co do obowiązku skruchy. Tak 144

jednym jak i drugim z tych pojęć przesiąknięta była jego chrześcijańska natura. Najbardziej wolnym duchem chrześcijanie nie wyzwalają się z tego nigdy.

Lecz dusza Anetki wywodziła się z innej rasy. Rivière’owie mogli być czyści lub nieczyści w znaczeniu, jakie moralność chrześcijańska nadaje temu słowu. Ale jeśli byli czyści, to nie przez posłuszeństwo niewidzialnemu Bogu lub Jego zbyt widzialnym przedstawicielom i ich tablicom przykazań: byli nimi dlatego, że lubili czystość jako moralną schludność, jako jedną z form piękna. Jeśli zaś byli nieczyści, to uważali, że jest to tylko wewnętrzną sprawą ich sumienia – a nie sumienia innych ludzi. Anetka nie poczuwała się do obowiązku zdawania ra-chunków przed kimkolwiek. Jeśli spowiadała się przed Julianem, było to darem miłości.

Uczciwość wymagała tylko sprawozdania z zewnętrznego przebiegu życia, Anetka nie miała obowiązku odsłaniać przed nim swoich przeżyć wewnętrznych. Odsłoniła mu je dobrowolnie.

Widziała teraz, że Julian byłby wołał, żeby upiększyła prawdę – ale była nadto dumna, by korzystać z kłamliwych wybiegów, których potrzeby wcale nie odczuwała. Wprost przeciwnie, gdy tylko zorientowała się, co Julian pragnąłby od niej usłyszeć, właśnie dołożyła starań, by zrozumiał, że to ona sama oddała się kochankowi.

Julian, przerażony, nie chciał jej słuchać.

– Nie, nie! Nie wierzę ci! – wołał. – Jesteś za wspaniałomyślna! Nie oskarżaj się, by bronić tego człowieka, który zasługuje tylko na wzgardę!

– Ależ ja nie oskarżam nikogo – odrzekła z prostotą, To słowo dotarło do jego sumienia, ale odrzucił je – nie chciał zrozumieć.

– Starasz się go uniewinnić.

– Nie ma potrzeby uniewinniania. Nie ma tu winowajcy. Julian miotał się bezradnie.

– Anetko, błagam cię, nie mów tak!

– Dlaczego?

– Wiesz przecież, że to źle!

– Ależ nie, ja tego nie wiem.

– Jak to? Więc nic nie żałujesz?

– Żal mi, że cię zasmucam. Ale nie zapominaj, mój drogi, że wówczas cię nie znałam.

Miałam prawo dowolnie sobą rozporządzać. Obowiązki miałam tylko względem siebie samej.

Pomyślał:

„Czyż to mało?”

Ale nie śmiał jej tego powiedzieć.

– Więc jednak żałujesz? – nalegał. – Uznajesz, że zblądziłaś?

Nie chciał jej oskarżać, ale tak bardzo pragnął, by sama się oskarżyła.

– Być może – odrzekła.

– Być może? – powtórzył zgnębiony.

– Nie wiem – powiedziała.

Teraz dostrzegła, gdzie Julian ją chciał doprowadzić... Być może, iż zblądziła – o ile w ogóle jest błędem ulec porywowi serca i szczerzej litości. Być może. Tak... „Ale jeśli mogę nawet żałować w swym sercu błędu w dobrej wierze popełnionego – nie mam obowiązku się uniewinniać. Serce moje samo zostało ze swą boleścią i samo rozmawiało z nią w milczeniu.

Niech zatem i teraz samo rozmawia ze swoim żalem. Nikogo to nie obchodzi... Mój żal?...

Bądźmy szczerzy do końca! Nie ma żalu!...” Po chwili namysłu rzekła:

– Nie sędzę.

Być może przesadzała przez reakcję na nieświadomy faryzeizm Juliana... (Biedny Julian!) Ale nawet w chwilach gdy kochała go najbardziej, nie zdobyła się na to słowo żalu, którego od niej oczekiwał. „Tak pragnęłabym je wymówić! Ale nie mogę. To nieprawda...” Czegóż tu żałować? Postąpiła nie tylko zgodnie ze swym prawem, ale i zgodnie ze swoim szczęściem.

Bo jakkolwiek drogo je okupiła, miała to szczęście: dziecko. I wiedziała (ona jedna tylko), że ten dar dziecka nie pozbawiał jej czci – jak wyobraża sobie głupia opinia publiczna – ale 145

oczyścił ją, wyzwolił na długo z wewnętrznego zamętu, zaprowadził w niej pokój i ład. Nie, nie popełni nigdy tej podłości, by miała poniewierać miłość minioną w celu zapewnienia sobie miłości przyszłej. Teraz czuła nawet wdzięczność dla Rogera, który był tylko narzędziem jej przeznaczenia, o ileż niższym od miłości i płomienia życia, które rozniecił. Julian, zazdrosny, odczuł to.

– Wciąż kochasz jeszcze tego człowieka! – zawołał.

– Nie, mój drogi.

– Ale nie masz do niego żalu!

– A o cóż miałabym go mieć?

– I myślisz o nim?

– Myślę o tobie, Julianie!

– Lecz o nim nie zapominasz!

– Nie umiem zapominać o niczym, co było dla mnie dobre, nawet, gdy już nim być przestało. Nie wymawiaj mi tego, ty, który jesteś lepszy ode mnie.

Julian był zanadto prawy, by nie cenić szczerości Anetki i nie uznawać w duchu jej szlachetności. To wszystko było dla niego nieoczekiwanym widokiem, którego niecodzienna do-stojność odsłaniała mu jakiś Świat Nowy – nową kobietę. Ale inna część jego natury buntowała się. Był dotknięty w swoich samczych instynktach. Był zgorszony w swoich katolickich i mieszczańskich przesądach. Wyobrażenie, które miał i nie przestawał mieć o Anetce, zatrute było poniżającymi podejrzeniami. Zamiast czuć się pewniejszym kobiety wyznającej mu z całą lojalnością swoją tajemnicę – czuł się mniej pewny kobiety, której dawny błąd został mu teraz ujawniony. Wątpił, czy będzie wierna w przyszłości. Myślał o tym drugim żyjącym mężczyźnie, który ją posiadał, a którego dziecka on teraz będzie ojcem. Bał się, że będzie oszukany. Bał się, że będzie śmieszny. Czuł się upokorzony – i nie mógł przebaczyć.

Gdy Anetka zdała sobie sprawę z niebezpiecznej walki toczącej się w duszy Juliana i dostrzegła, jak bardzo zagrożone są jej nadzieje – zadrżała. Do głębi owładnięta była miłością, którą sama rozbudziła. Wszystkie swe moce kochania, całą swą zdolność do szczęścia skupiła na osobie Juliana. I w istocie myliła się częściowo – ale tylko częściowo. Julian nie był jej niegodny, zalety jego były rzeczywiste i zasługiwały na miłość. Jakkolwiek tak bardzo różni, byliby mogli żyć razem przy odrobinie obustronnego wysiłku, aby się zrozumieć i tolerować nawzajem – oczywiście cierpiąc przy tym trochę. Ale czyż odrobina cierpienia byłaby zbyt wielką zapłatą za prawdziwą i szczerą miłość? Anetka uczyniłaby mu wiele dobrego; dałaby mu siłę, byłaby tym wielkim tchnieniem wiary w życie, tchnieniem, które wydymając jego żagle uniosłoby go tam, gdzie nigdy by nie dotarł bez niej. A delikatna tkliwość Juliana, jego

.część dla kobiety, jego moralna czystość, nawet jego naiwna, nie podzielana przez Anetkę religijna wiara – wszystko to byłoby dla niej zdrowe, tworzyłoby dla jej namiętnej natury grunt bezpieczeństwa, dając jej pokój domowego ogniska i duszy, której jest się pewnym.

Ach, ta nędza serc, które przez wyolbrzymione namiętnością nieporozumienie marnują swój los – i wiedzą o tym, i wyrzucają to sobie, i wiecznie wy rzucac sobie będą – a jednak nigdy nie zgodzą się ustąpić w tym, co je dzieli; właśnie dlatego że kochają się zanadto, by móc sobie nawzajem robić ustępstwa moralne, które wzgardliwie zrobiliby komuś obojętnemu!

Anetka dręczyła się obecnie niepokojami, które wzniesiła w umyśle Juliana. Czy Julian miał rację? Nie była zarozumiała na punkcie własnego sądu. Starła się rozumieć cudze sposoby sądenia. Charakter jej nie był całkowicie ukształtowany. Instykt moralny miała silny, lecz poglądy jej nie były ustalone – i przyznawała sobie prawo do ich zmiany. Będąc jeszcze zupełnie młoda zorientowała się już, jak sztuczna jest moralność jej otoczenia; nie znalazła wówczas nic, na czym mogłaby się oprzeć, nic prócz własnego rozsądku, który niejednokrotnie ją zawiódł. Nieustannie szukała – szukała innych myśli, którymi by mogła oddychać. A gdy spotykała sumienie tak szczere jak sumienie Juliana, chciwie starała się je zgłębić: czy 146

głos ten odpowie wołaniu jej serca? Ona, ta zbuntowana, pragnęła wierzyć. Szukała, ciągle szukała swej moralnej ojczyzny... Jakżeby chciała wejść w ojczyznę Juliana i uznać jej prawa, nawet gdyby ją miały potępić! Ale nie wystarczy pragnąć. Trzeba móc – a Anetka nie mogła tego uczynić. To, czego chciał Julian – nie! To było nieludzkie!

Powiedziała mu serdecznie:

– Pojmuję, że sądzisz mnie tak, jak świat by mnie sądził. Nie robię ci z tego zarzutu. Podziwiam siły zachowawcze i rygoryzm ich praw. Mają one miejsce w wielkiej całości – i wiem, że korzenie ich głęboko tkwią w tej rasie ludzi, do której należysz. Jest rzeczą naturalną, że jesteś im posłuszny. Szanuję je w tobie. Ale, mój drogi, przy całym wysiłku woli nie potrafię potępić czynu, któremu zawdzięczam moje dziecko, choćby czyn ten był ganiony przez wszystkich... Julianie drogi, jakże mam potępić to, co było moją jedyną pociechą i rado-

ścią może najczystsza, jaką w mym życiu obdarzyło mnie niebo?... Nie staraj się zmącić tej radości, lecz raczej, jeśli mnie kochasz, dziel ze mną moje szczęście. Nie ma w nim nic, co by mogło cię obrazić!

Mówiąc to czuła, że Julian jej nie rozumie i że rozdrażnia go jeszcze bardziej. Była tym zrozpaczona. A więc cóż robić? Okłamywać go? I tak już za wiele, że pomyślała o tym upokarzającym wybiegu. Ale czyż ma dopuścić, by rozszerzała się rysa w tej tak pięknej miłości?

Doznawała uczucia, że rysa ta rozdziera jej serce. Każde spotkanie z Julianem napełniało ją lękiem: cóż dziś znowu wyczyta w jego twarzy?

A on wykorzystywał sytuację z nikczemnością właściwą mężczyznom zbyt pewnym, że są kochani. Wiedział, że sprawia jej ból – i nadal to czynił. Teraz on, z kolei, próbował swej władzy. I teraz, gdy miał pewność, że Anecie na nim zależy – mniej zależało mu na niej...

A ona rozumiała wszystko, wszystko! Martwiło ją, że zdradziła się ze swą słabością, lecz brnęła dalej. Poddawała się zabobonnemu uczuciu: jeżeli los chce, by została żoną Juliana, zostanie nią niezależnie od tego, co mówić mu będzie. Cokolwiek by mu zaś mówiła, straci go, jeśli taki jest jej los...

W głębi duszy jednak skłonna była wierzyć, że w zamian za jej poddanie się losowi – los ją obdarzy: Julian wzruszy się.

„Oddaję się w twoje ręce. Czy za to mniej kochać mnie będziesz?...”

W umyśle Juliana dokonywał się dziwny proces. Zawsze jednakowo kochał... nie! jednakowo pożądał Anetki – i kto wie?... (Ale wołał nie wiedzieć...) Jednym słowem, nadal jej pragnął. Tylko że teraz miał już pewność, że nie tylko matka nie zgodzi się nigdy na to małżeń-

stwo, ale i on sam nigdy na nie się nie zdecyduje. Dla wielu powodów: uraza, zraniona próż-

ność, potępiający osąd moralny, obawa przed opinią, odpychająca siła zazdrości... W każdym razie wołał nie zgłębiać tych powodów. „Dobrze już, wiem o was Ale nie pokazujcie mi się na oczy!” Umysł jego obmyślał wybiegi, które by uczyniły zadość tak jego ukrytym racjom jak i pragnieniom... Przeszłość Anetki okazywała, że w miłości była ona kobietą niezależną.

Nie pochwałał tego. Bynajmniej. Ale ostatecznie, kiedy już taka była, czemu kochając go nie miałyby się okazać równie swobodna w stosunku do niego?

Nie powiedział jej tego w tak brutalny sposób. Przytaczał powody wykluczające małżeń-

stwo (rodziły się coraz to nowe, w miarę jak je zbijała) – a więc: przeszkody niepokonalne, sprzeciw matki, konieczność współżycia z matką, trudności materialne Juliana, nawyki Anetki przyzwyczajonej do życia towarzyskiego, do bogactwa (biedna Anetka, od dwóch lat go-niąca za lekcjami!), różność umysłów i temperamentów... (Ten ostatni argument wypłynął na samym końcu, przerażając i zniechęcając Anetkę, w chwili gdy jej się zdawało, że uporała się już z poprzednimi.) Z upartą złą wiarą Julian sam obniżał swą wartość, by silniej podkreślić 147

różnice zachodzące między nim a Anetką. Było z czego śmiać się i płakać zarazem! Czepiają-

cy się najbłahszych pretekstów, byle tylko się wymknąć, Julian przedstawiał widok wprost żaloszny, a ona, niepomna swej dumy, udawała, że nie rozumie; do znużenia wyszukiwała odpowiedzi, walczyła gorączkowo, by nie odszedł.

I nie odchodził. Był gotów przyjąć wszystko. Lecz nic nie chciał dać...

Gdy Anetka dostrzegła, w jakim celu buduje owe zasieki i czego właściwie chce od niej –

doznała nie tyle uczucia buntu co przygnębienia. Nie miała już nawet sił, by się oburzać. Nie warto już walczyć... Oto czego chciał... On! Nieszczęsny! Czyż sam nie znał siebie? Czyż nie wiedział, co reprezentuje w jej oczach? Jeśli był kochany, to przecież właśnie dla swej powagi moralnej. Nie było mu ani trochę do twarzy w tej roli Don Juana, poszukiwacza przygód, wolnego kochanka! (Mimo zmartwienia umysł Anetki zachował ironiczną trzeźwość i chwycił każdy przejaw komizmu łączącego się z tragedią życia.)

„Przyjacielu – myślała z czułością, politowaniem i wstrętem – kochałam cię bardziej, gdyś mnie potępiał. Twoje ciasne co prawda, ale wysokie wyobrażenie o miłości dawało ci do tego prawo. Teraz już go nie masz. Na cóż mi się zda owa umniejszona miłość, którą mi dzisiaj proponujesz, ta

miłość pozbawiona ufności? Z chwilą gdy nie ma ufności, nie ma już nic między nami...”

Każda miłość ma swe odrębne, najistotniejsze życie. W warunkach, w których jedna mi-

łość rozkwita – inna marnieje. Miłość zmysłowa może się obejść bez szacunku. Miłość oparta na szacunku nie może zniżyć się do samej tylko rozkoszy.

Anetka, w uniesieniu buntu, wołała z głębi serca:

„Raczej oddam się pierwszemu lepszemu, który mi się spodoba, niż tobie, którego kocham!...”

Bo z nim byłoby to poniżające. Wszystko lub nic!

Sugestiom Juliana przeciwstawiła czuły i stanowczy opór, którym poczuł się urażony. Ko-chali się jednak nadal, sądząc się przy tym surowo, i żadne z tych dwojga nie chciało zgodzić się na utratę szczęścia. Trwali tak, wołając się wzajemnie, tęskniąc za sobą, ofiarowując się nawet sobie – a niezdolni wypowiedzieć słowa, które jednoczy: jedno przez wewnętrzną słabość, ową wątpliwość moralną, właściwą z małymi wyjątkami (niech mężczyzna ma odwagę to przyznać!) każdemu mężczyźnie, choć żaden nie przyznaje się do niej – drugie przez najgłębszą, kobiecie właściwą dumę, do której kobieta również się nie przyznaje: obie płci zostały bowiem tak zniekształcone przez konwencje moralne społeczeństwa zbudowanego na zwycięstwie mężczyzny, że zapomniały obie, jaki jest ich prawdziwy charakter. Słabszą z dwojga nie zawsze jest w rzeczywistości ta, którą określa się tym mianem. Kobieta jest o wiele bogatsza w siły natury – i jeśli daje się wciągnąć w sieci zarzuconej na nią przez mężczyznę, to jak niewolnica, która jednak jeszcze nie uległa...

Julian dostrzegał słuszne racje Anetki i bynajmniej nie wątpił o ich szlachetności; ale nie był w stanie zadać gwałtu swemu nieśmiałemu sercu. Szedł za opinią świata, którą cenił

mniej niż Anetkę. Sam byłby się pogodził z jej przeszłością, ale nie mógł zgodzić się z nią przed obliczem świata – i wmawiał sobie, że tu chodzi o jego sumienie. Nie miał odwagi wziąć za żonę kobiety, której pragnął, i małoduszność swoją określał mianem godności. Ale łudząc się nie potrafił tego czynić całkowicie i miał żal do Anetki, że i ona nie ulega złudzeniu. Powinien był przynajmniej zerwać, ale na to znów nie chciał się zgodzić. Gdy zaś Anetka wspominała o odejściu, zatrzymywał ją, wahał się, sam cierpiał i zadawał cierpienie. Nie chciał ani przyjąć, ani się wyrzec. Prowadził okrutną grę podtrzymując nadzieje, które potem zrywane, krwawiły. Odsuwał się, gdy miłość Anetki najsilniej się wypowiadała – i stawał się bardziej kochający, gdy ona skłaniała się do rezygnacji. Zraniona czułość Anetki zdradzała się okrzykami bólu. Zadręczała się. Sylwia dostrzegła to i wreszcie wydobyła z niej prawdę; Widziała Juliana i osądziła go:

148

– On jest z tych, co się decydują dopiero wtedy, gdy się ich zmusi. Nie brak na to sposobów. Wymuś na nim zgodę. Później będzie ci za to wdzięczny.

Ale Anetka zanadto by cierpiała na myśl, że Julian mógłby kiedyś w przyszłości wyrzucać jej (nawet

nie mówiąc tego głośno), że została jego żoną. Z chwilą gdy już nie mogła nie widzieć nieuleczalnej słabości charakteru tego człowieka ani mieć nadziei że poweźmie on jakąś trwałą decyzję, której niespokojny jego umysł nie będzie znów starał się cofnąć – przecięła sprawę. Napisała do Juliana, żeby nie przeciągał dłużej tej jałowej udręki. Ona cierpiała, on cierpiał, a oboje przecież musieli żyć. Ona musiała pracować dla swego dziecka, on miał

swoje obowiązki. Już za długo odciągała go od nich. Wzajemnie pozbawiali się tylko sił, a nie mieli ich przecież za wiele? Skoro nie mogli dawać sobie wzajemnie dobra, tak jak pragnęli –

niechże sobie przynajmniej nie sprawiają bólu! Niech przestaną się widywać! Ona dziękuje mu za wszystko, czym był dla niej.

Julian nie odpowiedział. I zapadła cisza...

Gdzieś na dnie serc miotała się uraza, żal i zraniona namiętność.

Miłość ich nie pozostała tajemnicą dla nikogo z ich otoczenia. Leopold dostrzegł ją z irytacją, której nie zdołał przed Sylwią ukryć. Przykre wspomnienie jego niezbyt chlubnej przygody pozostawiło w nim mimowolną urazę, która po upływie kilku miesięcy nie straciła nic na ostrości. Wręcz przeciwnie! Mógł bowiem teraz udawać przed sobą, że nie pamięta jej przyczyn. Dziwaczne jego zachowanie zwróciło uwagę Sylwii, której czujność już była obudzona.

Zaczęła go obserwować i straciła wszelkie wątpliwości: Leopold był zazdrosny. Zgodnie z przedziwną logiką serca gniew Sylwii obrócił się przeciw Anetce: nie mogła wprost jej znosić. Stan zdrowia Sylwii tłumaczył w pewnej mierze te przesadne reakcje. Całe nieszczęście w tym, że echo takich reakcji trwa znacznie dłużej niż stan, który je spowodował.

W październiku Sylwia urodziła córeczkę. Radość była ogólna. Anetka pokochała dziecko tak gorąco, jak gdyby było jej własne – ale Sylwia niechętnie widziała je na rękach siostry i nie starała się już kryć tłumionej dotychczas wrogości. Anetka, która w ostatnich tygodniach usłyszała od Sylwii niejedno przykre słowo, ale wszystko kładła na karb jej chwilowego nie-domagania, teraz nie mogła już wątpić o niechęci siostry. Zamilkła, unikając wszystkiego, czym by ją mogła podrażnić. Miała nadzieję, że dawna serdeczność powróci.

Sylwia wyzdrowiała. Stosunki między siostrami były na pozór takie same, tak że ktoś obcy nie dostrzegłby w nich żadnej zmiany. Ale Anetka wyczuwała u Sylwii wrogą oziębłość i bolała nad tym. Chciałaby wziąć Sylwię za rękę i zapytać:

„Co ci jest? Co mi zarzucasz? Powiedz mi, kochana!” Ale spojrzenie Sylwii mroziło ją.

Nie śmiała. Intuicyjnie czuła, że jeśli Sylwia zacznie mówić, to powie rzeczy, których nie będzie już można naprawić. Lepiej więc milczeć. Wyczuwała w siostrze wolę niesprawiedliwości, wobec której była zupełnie bezsilna.

Pewnego dnia Sylwia oświadczyła Anecie, że ma z nią do pomówienia. Anetka z bijącym sercem zadała sobie pytanie:

„Cóż ona mi powie?”

Sylwia nie powiedziała nic, co mogłoby dotknąć Anetkę, nie wspomniała ani słowem o swych pretensjach. Zaczęła z nią mówić na temat zamążpójścia.

Anetka łagodnie odsunęła ten temat, ale Sylwia nalegała dalej, twierdząc, że ma dla niej odpowiednią partię. Mówiła o przyjacielu Leopolda, człowieku nie pozbawionym pewnego szyku i towarzyskiej ogłady, będącym czymś w rodzaju agenta handlowego i poniekąd dzien-nikarza – miał on rozmaite (zbyt rozmaite) źródła dochodu: sprzedawał auta i reklamy, po-

średniczył między przemysłowcami a klientelą klubów i salonów, biorąc prowizję od obu 149

stron. Uczucia Sylwii wobec siostry musiały widocznie ulec wielkiej zmianie, skoro mogła dla niej uczynić podobny wybór. Anetkę przykro dotknął ten umyślny brak zrozumienia świadczący o zubożeniu siostry. Stanowczym gestem przerwała wywody dotyczące tej kandydatury. Sylwia wzięła to ze złej strony i zapytała, czy Anetka uważa, że proponowana partia jest za niska w stosunku do jej wymagań. Anetka powiedziała, że nie wymaga nic wię-

cej, jak tylko dalej żyć samotnie. Sylwia odrzekła, że łatwo to powiedzieć, ale chcąc żyć samotnie, trzeba to potrafić.

– A czyż ja tego nie potrafię?

– Ty! Z góry ręczę, że nie!

– Jesteś niesprawiedliwa. Umiem zarabiać na życie!.

– Tak – z pomocą innych!

W tonie Sylwii, bardziej jeszcze niż w samych słowach, czuć było chęć zranienia. Anetka zaczerwieniła się, ale nie podniosła kwestii. Nie chciała doprowadzić do poróżnienia.

W ciągu następnych tygodni Sylwia jawnie okazywała swój zły humor, chwytając się wszelkich możliwych pretekstów. Najmniejsza różnica zdań w rozmowie, jakiś szczegół

ubrania, spóźnienie się Anetki na obiad, hałas Mareczka na schodach. Skończyły się wspólne przechadzki. Jeśli ułożono jakiś projekt spaceru na niedzielę, Sylwia, nie uprzedziwszy siostry, wychodziła sama z Leopoldem, a potem przypisywała winę niepunktualności Anetki, lub też w ostatniej chwili odwoływała wspólnie ułożone spotkanie. Anetka widziała już, że jej obecność staje się ciężarem. Wspomniała nieśmiało, że zamierza szukać mieszkania w innej dzielnicy, mniej odległej od domów, w których dawała lekcje. Miała nadzieję, że napotka na głośne sprzeciwy, na prośby, by się nie wyprowadzała. Ale wszyscy zdawali się nie słyszeć.

Okazała się małoduszna. Została. Czepiała się tego przywiązania, które się jej wymykało.

Nie tylko z Sylwią nie chciała się rozstawać. Przywiązała się bardzo do małej Odetki. Znosiła niejedną przykrość, udając, że jej nie dostrzega. Rzadko zachodziła do siostry.

Ale dla Sylwii to było jeszcze za często. Nie powróciła do normalnego stanu. Trawiła ją chorobliwa zazdrość. Gdy pewnego razu Anetka niewinnie bawiła się z Odetką, nie licząc się z oschłym upomnieniem, którym Sylwia kazała jej zaprzestać – Sylwia wstała, rozgniewana, i wyrwawszy jej z ramion dziewczynkę krzyknęła:

– Wynoś się!

W oczach jej było tyle wrogości, że Anetka, zaskoczona, odrzekła:

– Ale cóż ja takiego zrobiłam? Nie patrz na mnie w ten sposób! Nie mogę tego znieść.

Chcesz, żebym sobie poszła? Czy chcesz, żebym już nie wróciła?

– Nareszcie zrozumiałaś – odpowiedziała ze złością Sylwia.

Anetka zbladła.

– Sylwio! – krzyknęła.

Sylwia ciągnęła dalej z zimną wściekłością:

– Żyjesz na mój koszt. Dobrze. Zgoda. Ale dość już tego. Mój mąż i moja córka należą do mnie. Precz z rękami! Anetka, przerażona, powtarzała zbielełymi wargami:

– Sylwio!... Sylwio!...

Potem nagle i w niej zawrzał gniew.

– Nieszczęsna! – krzyknęła. – Nie zobaczysz mnie więcej! Pobiegnęła w stronę drzwi – i odeszła.

Sylwia, zawstydzona własną porywcznością, próbowała szydzić:

– Zjawi się z powrotem dziś wieczór jeszcze.

150

Część druga

Anetka wyszła z mieszkania Sylwii z zamiarem niepowrótenu tam już nigdy. Płakała.

Płonęła ze wstydu i gniewu. Te dwie namiętne natury, gdy tylko przestawały się kochać, natychmiast bliskie były nienawiści.

Niemożliwe było dla Anetki pozostawać nadal pod tym samym dachem! Gdyby miała odpowiednie środki, wyprowadziłaby się nazajutrz. Na szczęście musiała dostosować się do praktycznej konieczności: dać wypowiedzenie, poszukać nowego mieszkania. W pierwszym przystępie gniewu byłaby skłonna oddać meble na skład i zamieszkać w hotelu. Ale nie była to chwila właściwa do trwonienia pieniędzy. Dotychczas odłożyła ich bardzo niewiele.

Wszystko, co zarabiała, rozchodziło się od razu. Świadomość, że w razie potrzeby może odwołać się do siostry, darzyła Anetkę (nawet gdy nie korzystała z tej pomocy) poczuciem bezpieczeństwa i uwalniała ją od zbyt piekającej troski o przyszłość. Teraz, gdy chciała obliczyć, ile jej potrzeba na życie, z upokorzeniem musiała przyznać, że skoro przyjdzie poprzestać na własnych tylko środkach, dotychczasowe zarobki nie wystarczą na pokrycie kosztów utrzymania. Sąsiedowanie z siostrą, częściowa wspólność posiłków zmniejszyły wydatki. Ubranka malec dostawał w prezencie od Sylwii, a za swoje suknie Anetka płaciła jej tylko cenę materiału. Nie mówiąc już o rzeczach pożyczanych, o tym wszystkim, co będąc własnością jednej służyło obu siostram, o drobnych podarkach, o niedzielnych spacerach, o całym tym skromnym zbytku, który rozjaśnia codzienną szarość życia. Kredyt, który Sylwia miała w całej dzielnicy, sprawiał, że Anetka korzystała z pewnych swobód w płatnościach. Obecnie przy każdym wydatku trzeba będzie liczyć się z koniecznością płacenia gotówką. Ciężkie będą początki. Przeprowadzka, zadatek, koszt zagospodarowania się na nowym mieszkaniu... I najważniejsza sprawa: opieka nad dzieckiem. Sprawa nie do rozwiązania: bo dla dziecka trzeba zarabiać, a chcąc zarabiać, trzeba wychodzić z domu; któż więc ma czuwać nad dzieckiem? Anetka zdała sobie sprawę, że nigdy by sobie nie poradziła z podobnymi trudnościami, gdyby zaistniały wcześniej, kiedy Marek był jeszcze maleńki. Jakżeż radziły sobie inne kobiety? Anetka litowała się nad tymi nieszczęśliwymi i czuła się upokorzona.

Czy oddać dziecko do internatu? Chłopiec był już obecnie w wieku szkolnym. Ale Anetka wzdragała się przed zamknięciem go w jednej z owych menażerii. To, co słyszała o dawnych szkołach (od tego czasu nastąpiła pewna zmiana na lepsze), i to, co instynktem wyczuwała w owym fizycznym i moralnym stłoczeniu – kazało jej uważać za zbrodnię rzucenie tam swego dziecka. Chciała wierzyć, że malec cierpiałby na tym... Kto wie? Może byłby rad wyrwać się spod jej opieki. Lecz któraż matka pomyśleć by mogła, że ciąży swemu dziecku?... Nie zgodziła się nawet umieścić go na półinternacie. Jako powód wysuwała wobec samej siebie delikatne zdrowie Marka: potrzeba mu było specjalnego odżywiania, musiała czuwać nad jego posiłkami. Ale jakież to trud zdążyć do domu na godziny posiłków, gdy za lekcjami biegać musiała nieraz na drugi koniec Paryża. Tam i z powrotem, wciąż w ruchu. A lekcje nie wystarczały na wszystko, ciągle trafiały się jakieś nie przewidziane a pilne wydatki. Malec rósł

szybko i Anetka nieraz żałowała, że nie był podobny do ziarenek grochu, które nigdy nie rosną szybciej niż ich strączek. Trzeba go było odziać. Anetka też nie mogła pozwolić sobie na zaniedbanie w ubiorze. Pominąwszy już ambicję sam zawód zmuszał ją do tego. Musiała więc starać się o nowe zarobki. Jakieś przepisywania w domu, korekta pracy jakiejś cudzoziemki lub przekładu (zadania niewdzięczne i źle wynagradzane), jakieś sekretarzowanie raz lub dwa 151

razy na tydzień (także źle płatne). Lecz wszystko razem wzięte jakoś wystarczało. Zarabiać na wszelki sposób! Anetka kumulowała zajęcia. Ściągnęła na siebie nienawiść zgłodniałych

konkurentek, z którymi się znowu starła w pościgu za chlebem. Ale tym razem – trudno! Nie pora na sentymenty. Trzeba się przepchać. Nikt nie ogląda się wstecz, by podnosić tych, co upadli. Dostrzegała nieraz przelotnie, jak z nerwowym skurczem twarzy wrogo wpatrywała się w nią jakaś pokonana rywalka, której w innym momencie chętnie byłaby przysłała z pomocą. Ale trudno! Nie było na to czasu. Chodziło o to, by samej być pierwszą. Wiedziała już teraz, gdzie można znaleźć pracę – i która droga najkrótsza. Dyplomy i prawo nauczania zapewniały jej przewagę, a poza tym świadoma była innej jeszcze przewagi: osobistej swej klasy, swych oczu, głosu, sposobu bycia i swojej sztuki poskramiania ludzi, z którymi w pracy się stykała. Rzadko kiedy wahano się w wyborze między nią a innymi kandydatkami. Ofiary jej nie przebaczały tego.

Nowe życie Anetki układało się według planu opartego na zdrowej dyscyplinie. Nie było w nim miejsca na niepotrzebne myśli. Z dnia na dzień. Dzień każdy był pełny jak orzech, peł-

ny i twardy. Po pierwszych tygodniach lęklivego drżenia, kiedy nie wiedziała jeszcze, czy potrafi sama wyżyć i utrzymać syna – przywykła, uspokoiła się i w końcu pokonane trudności zaczęły ją nawet cieszyć. Bez wątpienia, w rzadkich chwilach, kiedy konieczność działania nie trzymała w napięciu jej umysłu lub gdy wieczorem kładła głowę na poduszce, zdarzało się, że przed zaśnięciem dręczyły ją kłopotliwe myśli, obliczenia, trudności budżetowe... A gdyby tak padła w drodze? Gdyby zachorowała? Nie! Nie chcę! Spokój. Trzeba spać... Na szczęście była zmęczona. Sen nie dawał długo na siebie czekać. A gdy powracał dzień, nie było już miejsca na żadne „gdyby” i lęki. Nie było miejsca na to, co rozstraja, osłabia i rozkłada duszę. Niedostatek i praca, przywracały każdej rzeczy jej właściwą wagę, wprowadzając podział, i na to, co potrzebne, i to, co jest luksusem...

Potrzebny jest chleb powszedni. Luksusem są problemy serca... Czyż byłaby to kiedy po-myślała! A teraz wydawały się jej one czymś drugorzędnym... Dobrym dla tych, co mają za dużo czasu. Sama nie miała go ani za dużo, ani za mało. W sam raz ile potrzeba. Po jednej myśli na każdą czynność – i ani jednej ponadto. Teraz, w pełni sił, czuła się jak mocna łódź

puszczona na fale.

Miała trzydzieści trzy lata i nic dotychczas nie zużyło jej energii. Uświadomiła sobie, że nie tylko nie potrzebuje żadnej opieki, ale że jest silniejsza, gdy nie ma oparcia. Twardość życia wzmagala jej siły. Pierwszym dobrodziejstwem było pozbycie się obsesji Juliana i tej nostalgii miłosnej, która, głucha lub gwałtowna, zatruwała wszystkie minione lata. Zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia osłabiły ją sentymentalne marzenia, tkliwość, słodycz i pełna zakłamania zmysłowość. Sama myśl o tym budziła w niej teraz wstręt. Mieć do czynienia z szorstkością życia, znosić jego raniące dotknięcia, samej być twardą – to właśnie jest dobre, to właśnie ożywcze. Cała część jej jestestwa – może ta najlepsza, a w każdym razie najzdrowsza – odradzała się.

Nie marzyła już. Nie dręczyła się. Nawet zdrowiem swojego dziecka. Gdy było chore, ro-biła, co należało zrobić. Nie. myślała o tym naprzód. Nie myślała i potem, nieustannie. Była przygotowana na wszystko; ufała. I to było najlepszym lekarstwem. W tych pierwszych latach zacieklej pracy ani jednego dnia nie była chora i dziecko też nie dało powodu do prawdziwego zaniepokojenia.

Jej życie intelektualne zostało w równym stopniu ograniczone jak jej życie uczuciowe.

Niemal wcale nie miała już czasu czytać. Powinna była cierpieć z tego powodu... Ale nie!

Umysł uzupełniał te braki z własnych zasobów. Miał dość zajęcia z klasyfikowaniem swych nowych odkryć. Bo w tych pierwszych miesiącach odkryła wiele rzeczy; odkryła wszystko. A jednak, cóż się właściwie zmieniło? Praca... znała ją przecież (sądziła, że zna). A miasto, ludzie, wszystko było takie samo dziś jak wczoraj...

152

A jednak z dnia na dzień zmieniło się wszystko. Od chwili kiedy zaczęła usilnie zabiegać o chleb, rozpoczął się okres prawdziwych odkryć. Nie dała jej tego miłość ani nawet macierzyństwo. I jedno, i drugie tkwiło w jej naturze i w małej części tylko znalazło wyraz w jej życiu. Ale zaledwie przeszła do obozu ubóstwa, odkryła świat.

Świat jest różny, zależnie od tego, czy się nań patrzy z góry, czy z dołu. Anetka była teraz na ulicy między wydłużającymi się w dal rzędami domów: widać tu asfalt, błoto, groźnie pę-

dzące auta i strumień przechodniów. Widać niebo, tam w górze (rzadko kiedy promienne) –

tam w górze, gdy ma się czas! To, co pośrodku, znika: wszystko, co było przedmiotem poprzedniego życia, towarzystwo, rozmowy, teatr, książki – luksus przyjemności i intelektu, Wie się, że istnieje on nadal, może by się go nawet lubiło, ale jest dość innych rzeczy, o któ-

rych trzeba myśleć!... Trzeba patrzeć pod nogi, przed siebie, uważać, śpieszyć się... Jakżeż ci wszyscy ludzie biegną!... Z góry widać było tylko leniwy bieg rzeki. Zdawała się spokojna, nie dostrzegało się rwącego jej prądu. Pościg, pościg za chlebem...

Tysiące razy myślała niegdyś Anetka o tym stanie, w jakim dziś sama się znalazła – o świecie ubóstwa i pracy. Ale to, co wówczas o nim myślała, w niczym nie było podobne do tego, co myślała dziś, sama do niego należąc.

Wczoraj wierzyła jeszcze w demokratyczny aksjomat o Prawach ludzkości i za niesprawiedliwe uważała, że masy mogły być tych praw pozbawione. Dzisiaj niesprawiedliwość (je-

śli mogła być jeszcze mowa o tym, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe) polegała na tym, że istniały jeszcze prawa dla uprzywilejowanych. Nie ma Praw. Człowiek nie ma prawa do niczego. Nic nie jest jego własnością. Trzeba, aby człowiek każdą rzecz zdobywał od nowa, każdego dnia. Oto przykazanie: „W pocie czoła na chleb twój pracować będziesz.” Prawa są podstępny wymysłem niezdolnego do dalszej walki bojownika, który chce uprawomocnić to, co jest łupem jego dawnych zwycięstw. Prawa nie są niczym innym jak siłą dnia wczorajszego gromadzącą bogactwa. Ale prawem żywym, jedynym jest praca. Zdobywanie każdego dnia... Cóż za niespodziewana wizja ludzkiego pola walki! Nie przerażała ona Anetki. Mężnie przyjmowała tę walkę jako konieczność i uważała ją za słuszną, bo sama była „w formie”, młoda i silna. Jeśli zwycięży, tym lepiej! Jeśli zostanie pokonana, tym gorzej dla niej! (Ale ona nie zostanie pokonana...) Litości się nie wyrzekła – ale wyrzekła się słabości. Najpierw-szy z obowiązków: „Nie bądź małoduszny!”

W nowym świetle tego prawa pracy wszystko stawało się jej jasne. Dawne wierzenia poddawane były próbie, a na gruzach starej moralności wyrastała nowa, oparta na fundamencie bohaterstwa. Moralność szczerości, moralność siły – nie faryzeizmu i słabości... Badając w tym świetle zwątpienia, które ją trapiły, a zwłaszcza to jedno, najbliższe jej sercu: „Czy mia-

łam prawo mieć dziecko?” – odpowiadała sobie:

„Tak, o ile potrafię, je wyżywić i zrobić z niego człowieka. Jeśli potrafię – postępem mój był dobry. Jeśli nie potrafię – zły. Oto jedyna moralność. Wszelka inna jest hipokryzją.” Ten nieugięty wyrok podwoił siły Anetki i jej radość walki.

Rozmyślała tak w ciągu dnia, chodząc po Paryżu, zdążając od jednych obowiązków ku drugim. Ruch pobudzał jej myślenie. Teraz, kiedy codzienne czynności były metodycznie uporządkowane, marzenie odzyskiwało swe prawa. Ale marzenie trzeźwe, jasne, ściśle spre-cyzowane – marzenie wolne od mgieł. Im skąpiej czas mu był wyliczony, tym bardziej korzystało z najmniejszej szczeliny i jak bluszcz pięło się, okrywając nagie mury powszednich dni.

Anetka zestawiała codzienne doświadczenia ze swoimi rozszerzonymi koncepcjami prawdziwej moralności ludzkiej. Ubóstwo i praca otwierały jej oczy. Nowym spojrzeniem przenikała zakłamanie współczesnego życia, nie dostrzegane przez nią, gdy jeszcze sama w nim grzęzła.

Potworna bezużyteczność tego życia – dziewięciu dziesiątych tego życia – zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety... Jeść, spać, rozradzać się... Tak, to jest ta użyteczna dziesiąta część. Ale reszta?... Ta „cywilizacja”?... To, co się nazywa „myśleniem”?... Człowiek (vulgus umbra-153

rum33) – czyż jest on naprawdę stworzony do myślenia? Chce sobie to wmówić, zasugerował

sobie tę postawę stworzenia myślącego i czuje się w obowiązku ją zachować jak uświęcony gest. Ale nie myśli. Nie myśli przy czytaniu gazety ani gdy siedzi przy swym biurku, ani wobec wirującego koła codziennych czynności. Koło kręci się z nim razem, kręci się jak młyn, który nic nie miele. Czy myślą cokolwiek te panny, które Anetka obowiązana jest uczyć? Czy rozumieją cokolwiek ze słów, które czytają, słyszą, wymawiają? Do czego ogranicza się ich życie? Kilka instynktów potężnych a posępnych, które drzemią w odrętwieniu, pod stosami świecideł. Pożądanie i użycie... Myśl jest także jednym ze świecidełek. Kogóż się tu właściwie oszukuje? Siebie samego... Szata tej cywilizacji, jej zbytek, jej sztuka, jej ruch i jej hałas (Ten hałas! Jedna z masek, przy pomocy których wmawia ona sobie, że śpieszy do jakiegoś celu! Jakiego celu? Śpieszy, żeby się otumanić...) – cóż kryje się pod tym wszystkim? Pustka.

Szczycą się nią. Szczycą się swoim blichtrzem, swoimi słowami, swoimi brzękadłami. Jakże rzadcy są ludzie, w których objawia się błyskawica konieczności!... Ale tysiącletnie Zwierzę nie rozumie głosu swych bogów i swych mędrców: dla niego jest to tylko jedno brzękadło więcej.

Nie wychodzi poza zakłęte koło pożądania i nudy... O, jakże sztucznym tworem jest Człowiek i społeczeństwo ludzkie! Trzyma się ono tylko siłą przyzwyczajenia. Zawali się nagle...

Tragiczne były to myśli. Nie rzucały jednak mroku na żarliwą duszę Anetki. Nie myśli, ale tchnienie

wewnętrzne stanowi o radości lub smutku. Pod niezmaconym niebem anemiczna dusza ginie z melancholii. Dusza silna, wystawiona na potężne uderzenia wiatru, radośnie spowija się tak w cieniu jak i w blaski słońca. Wie dobrze, że zjawiają się na przemian. Anetka wracała; nieraz przytłoczona zmęczeniem, przyszłość wydawała się jej nieprzeniknionym mrokiem. Kładła się i zasypiała. Pośród nocy nagle budziła się ze śmiechem, rozbawiona jakimś groteskowym snem. Albo znów wieczorem, gdy czuwała z czołem pochylonym nad robotą: palce szybko pracowały, mózg biegł swoim szlakiem i nagle zrywał po drodze jakąś zabawną myśl – oto znów jest wesoła! Uważać musi, by nie śmiać się za głośno i nie obudzić Marka. „Idiotka jestem!” – mówi do siebie, ocierając oczy. Ale czuje ulgę. Owe chwile dziecinnego odprężenia, niespodziewane reakcje – to zbawienna spuścizna jej rasy. Gdy serce jest zasnute chmurami, nagle zrywa się podmuch radości. I rozprasza je.

Nie, nie było jej potrzeba rozrywek, książek! Anetka miała dosyć do czytania w sobie samej. I z wszystkich książek najciekawszą: swego syna.

Miał już prawie siedem lat. Zmianę środowiska zniósł, o wiele lepiej, niż można się było spodziewać. Przyjemna czy nieprzyjemna – zawsze była to jakaś zmiana. On sam zmieniał

wówczas skórę jak młody wąż... Dzieciństwo nie zna wdzięczności! Świetnie obchodził się bez pieczyt i czułości Sylwii. (A ona była tak pewna swojej władzy nad nim!) Nie upłynęły dwie doby, a już o nich nie myślał.

Dziecku zawsze podoba się, względnie nie podoba, nie to, co przypuszczamy. Marek w swoim życiu cenił najbardziej szkołę, do której matka posyłała go ubolewając nad nim – i owe godziny samotności, w ciągu których nikt się nim nie zajmował.

Anetka wynajęła. małe mieszkanie na piątym piętrze, przy ruchliwej ulicy Monge. Schody strome, lokal bardzo niewielki, hałasy z zewnątrz, ale za to przestrzeń otwarta ponad dachami: to było jej konieczne, hałas jej nie przeszkadzał: była paryżanką, przyzwyczajoną do ruchu; był on jej niemal potrzebny – i najlepiej marzyło się jej wśród największego rozgwaru.

Być może, natura jej także zmieniła się z nastaniem dojrzałości, pełnia fizycznego życia i regularna praca obdarzyły ją siłą nerwów i pewnością siebie; me zawsze przedtem je miała i nie na zawsze miały pozostać.

33 vulgus umbrarum (łac.) – tłum cieni.

154

W mieszkaniu Anetki od strony ulicy znajdował się jej pokój będący zarazem salonem (ja-ko łóżko służyła sofa), pokoik Marka i ciasne pomieszczenie w narożniku domu wysuniętym między dwiema ulicami. Po drugiej stronie korytarza, ciemnego nawet w południe, znajdował

się pokój stołowy, z oknami na podwórze, oraz kuchnia, którą piec i zlew wypełniały niemal całkowicie.

Między pokojami matki i dziecka drzwi były stale otwarte, a Marek był jeszcze za mały, aby móc przeciw temu protestować. Znajdował się teraz w tym nieokreślonym wieku, który chwieje się między bezpłciowym dziecięctwem a pierwszym niepewnym przebudzeniem małego mężczyzny. Wszedł już z jednego, a nie wszedł jeszcze w drugi. Zdarzało się czasem, w poranki niedzielne, że prosto ze swego łóżeczka biegł do łóżka matki – i wyjątkowo pozwalał, żeby myła go od stóp do głów. W inne dni miewał napady trwożliwej wstydlivosti, to znów zaciekawienia, zwłaszcza zaś napady krycia się – i nie lubił, by mu wtedy przeszka-dzano. Zamykał ukradkiem drzwi swego pokoju. Anetka otwierała je ponownie. Nie mógł

zrobić najmniejszego ruchu nie będąc przez nią słyszany. To było nieznośne! Ale umiał siedzieć zupełnie bez ruchu. Wówczas zapominała o nim na pewien czas. Nie na długo.

Na szczęście Anetka nie zawsze była w domu. Musiała wychodzić. Marek szedł do szkoły, która była niedaleko. Anetka odprowadzała go tam z rana, a gdy była wolna (rzadko się to zdarzało) także i po południu. Ale już nie mogła przyprowadzić go z powrotem do domu, bo właśnie wtedy miała lekcje. Musiał wracać sam i to ją niepokoiło. Próbowwała umówić się z pewną rodziną z sąsiedztwa, aby służąca, odprowadzając tamto dziecko, zabierała i Marka.

Ale Markowi to nie dogadzało i zwiewał wcześniej. Wtedy, dumny i trochę strwożony, przychodził do domu sam – i sam zamykał się w mieszkaniu. Jak dobre miewał tam chwile, póki nie powróciła matka! Anetka łajała go za tę niezależność, ale niezbyt ją gniewało (nie przyznawała się do tych złych uczuć), że obchodził się bez kolegi... Nie dowierzała jego kolegom.

Nie chciała, by któryś zepsuł jej syna. Jej syna! Była zatem tak pewna, że jest on jej własno-

ścią? Oczywiście starała się opanować swą egoistyczną miłość. To już nie tak jak wówczas, kiedy Marek był jeszcze maleńki – to już nie ta ślepa, żarłoczna potrzeba wchłonięcia owej drobnej istotki swoją namiętą miłością. Teraz dostrzega w nim już osobowość. Ale wyobra-

za sobie, że klucz do niej ma w swym posiadaniu i że wie lepiej od dziecka, jakie nim rządzą prawa i co jest jego szczęściem. Chciałaby kształtować tę osobowość na podobieństwo swego ukrytego Boga. Jak większość matek, które czują się niezdolne same dokonać tego, czego pragną, marzyła, by pragnienia jej urzeczywistnił ten, który się zrodził z jej krwi (wieczne, wiecznie zawiedzione marzenie Wotana³⁴).

Ale chcąc go urobić, trzeba by go wpierw pochwycić. Nie dać mu się wymknąć!... Robi, co może, aby go ze wszystkich stron sobą otoczyć. Robi za dużo. Z dniem każdym chłopiec bardziej się jej wymyka. Z dniem każdym Anetka doznaje zniechęcającego wrażenia, że zna go coraz mniej. Dobrze zna tylko jedno; jego ciało, jego fizyczne zdrowie, jego choroby i ich najmniejsze symptomy; tutaj instynkt nigdy jej nie zawodzi. Myjąc je, pielęgnując, dotykając trzyma przed sobą to drogie, kruche ciało małego androgyne... Zdawałoby się, że jest prze-zroczyście... Ale co tam jest wewnątrz? Pożera je oczyma, rękoma... jest całe jej wydane.

– Boże! Jakżeż cię kocham, potworku! A ty, czy mnie kochasz?

– Tak, mamusiu – odpowiada uprzejmie. Ale co on myśli, naprawdę?

Marek w siódmym roku życia nie wykazywał niemal żadnych cech rodzinnych. Anetka na próżno dopatrywała się w nim jakiegoś podobieństwa, na próżno usiłowała je sobie wmó-

wić... Nie, Marek nie był do niej podobny – ani kształt czoła, ani oczy, ani zarys ust – ten ich jak gdyby obrzęk, charakterystyczny dla Rivière'ów, zwłaszcza dla Anetki – jak gdyby ciasto tu rosło pod naporem woli i wewnętrznego żaru. Co najwyżej kolor tęczy, ale zagubiony w jakimś obcym świecie... W jakim świecie? Czy w świecie ojca? Brissotowie? Też nie! A przynajmniej jeszcze nie teraz. Anetka zazdrośnie mówiła: 34 Wotan – w mitologii germańskiej ojciec bogów i bohaterów; inaczej zwany Odynem.

155

„Nigdy!”

A jednak czyż byłoby jej tak nieprzyjemnie odnaleźć w rysach syna jakiś ślad podobień-

stwa do Rogera? Czyż nie byłaby doznała jakiejś niejasnej radości? Wspomnienie mężczyzny, któremu się oddała, budziło w niej teraz zmieszane uczucie zawiści i niewyznanego po-ciągu – pociągu, odczuwanego nie tyle wobec prawdziwego Rogera, co wobec tego, którego sobie wymarzyła – bo właściwie oddała się temu wymarzonemu. Gdyby ujrzała go w postaci jego syna, doznałaby uczucia dziwnego zwycięstwa, uczucia, że wydarła mu ukochaną przez siebie formę, aby wypełnić ją swą własną duszą. Tak, zgodziłaby się, aby Marek miał rysy Rogera, byle tylko dusza chłopca do niej jednej była podobna.

Ale Marek ani do niego, ani do niej nie był podobny. Twarz Rogera, pozbawiona oryginalno-

ści właściwej Rivière'om, była piękna otwartością i regularnością rysów: była to książka łatwa do odcyfrowania. Lecz ta dziecinna twarzyczka... jej sens... Jakby to określić? Wymykał się...

Rysy ładne, delikatne, ale nieregularne, czoło wąskie, kobiecy zarys brody, oczy lekko skośne, nos... (do czyjogoż nosa był podobny ów nos cienki, długi, o ostrych liniach?) I te usta duże, o wąskich bladych wargach biegnących trochę krzywo?... Nawet gdy stał bez ruchu, robił wrażenie, jak gdyby nie miał stałego gruntu pod nogami. Było w nim coś niepewnego, zmiennego... Zapewne szukał dopiero swojej formy, wahał się jeszcze. Ale na jaki kierunek zdecyduje się ostatecznie? Czy może zdecyduje się nie powziąć żadnej decyzji?

Od czasu swej ciężkiej choroby był dzieckiem, które na pierwszy rzut oka wyglądało na nerwowe i wrażliwe (a może rzeczywiście było takie), przy bliższej jednak obserwacji zbijało z tropu swym spokojnym zachowaniem, swą obojętnością i zamkniętym wyrazem twarzy. Nie był ani nieprzyjemny, ani nadąsany, nigdy nie mówił: nie...

– Tak, mamusiu...

Ale dostrzegano potem, że nie wiedział wcale, co się do niego mówiło: nie słuchał... Ale czy nie słuchał? Trudno to wiedzieć!... Patrzył na matkę, chcąc zobaczyć, co teraz nastąpi. A ona patrzyła na niego... Ach, ten mały sfinks!... Tym bardziej sfinks, iż nie wiedział sam, że nim jest. Sam nie znał

siebie lepiej, niż znała go Anetka. Zresztą było to najmniejszą z jego trosk. W siódmym roku życia nie usiłuje się ani już, ani jeszcze poznać siebie samego. Za to starał się poznać ją, swoją panią i służącą. Miał na to dość czasu: zamykała go przecież z sobą na całe dni. Obserwowali się nawzajem. Ale ona mu w tym nie dorównywała!

Anetka myliła się sądząc, że Marek nie jest podobny do nikogo spośród jej bliskich. W

umyśle jego istniały zadziwiające analogie z dziadkiem – Raulem Rivière’em. Ale Anetka, mimo że sądziła, iż dobrze zna swojego ojca, w rzeczywistości znała go bardzo mało. Znadto była pod jego urokiem, by mogła choć raz ujrzeć prawdziwego Raula. Coś niecoś tylko podejrzewała, zwłaszcza po przeczytaniu jego sławetnej korespondencji. Nie chciała jednak tego rozważyć; wołała – retuszując je trochę – zachować wspomnienia pełne pietyzmu i czułości, które przez chwilę tylko uległy zachwianiu. A zresztą znała Raula tylko w ostatnim wydaniu.

Gdyby jednak stary Rivière mógł wrócić, by przyjrzeć się badawczo (jak to umiał) małemu bękartowi, z pewnością byłby orzekł:

„Zaczynam żyć na nowo.”

Ale nie zaczynał żyć na nowo. Nic nigdy nie zaczyna się na nowo. Powracał w szczegółach.

Złośliwe igraszki krwi! Ponad głową Anetki dwaj kumotrowie podawali sobie ręce. Ale jedną z najbardziej uderzających cech charakteru, którą szczerza Anetka z dziadka przekazała wnukowi, była wybitna zdolność udawania. Bynajmniej nie z potrzeby kłamstwa. Człowiek taki jak Raul Rivière ma dość dobroduszej pogardy dla swych współczesnych i czuje się dość silny, by móc bez lęku, gdyby mu się tak spodobało, pokazywać się w całej swej nagości (a podobało mu się to niejednokrotnie – toteż powtarzano sobie jego okrutne powiedzenia, od których wszystko szło w drzazgi). Ale nie! To była bezinteresowna przyjemność, humor far-sowy, powołanie sceniczne, przekorne upodobanie do duchowej charakteryzacji, mistyfiko-wania ludzi. Malec odziedziczył te skłonności, oczywiście bez własnej winy. Dusza jego, 156

nieustalona jeszcze, lecz inna całkiem i w istocie swej wcale nie błaznowata, wśliznęła się przy urodzeniu w ten wór pełen złośliwości i posługiwała się organami, które jej dała Natura.

Gdyby weszła na przykład w ciało jakiegoś zwierzęcia, włochatego czy pierzastego, próbo-wałaby teraz swego dzioba, pazurów czy skrzydeł. I podobnie, okryta łachmanem puścizny starego Rivière’a, instynktownie odnajdywała podstępna chytryść swego dziadka.

Przed dorosłymi Marek miał się na baczności i umiał czytać w nich wszystko, co dotyczyło jego osoby. Geniusz jego uwagi był w tym kierunku specjalnie nastawiony. I wtedy gdy dostrzegał, jakim go sobie wyobrażają, stawał się takim. Chyba że mu przyszła fantazja podroczyć się z nimi, bo mu dokuczyliby – albo po prostu dla zabawy.

Jednym z jego ulubionych zajęć było rozbieranie mechanizmów tych żywych zabawek, doszukiwanie się ich ukrytych sprężyn i słabych punktów, obmacywanie ich, bawienie się nimi i wprawianie ich w „ruch”. To znowu wcale nie jest takie trudne. Są na ogół dość prymitywne i nie strzegą się przed nim.

Przede wszystkim matka.

Intrygowała go. Było w niej coś tajemniczego. W pracowni Sylwii, kiedy siadywał jeszcze u nóg pracownic i nikt nie zwracał na niego uwagi, słyszał na jej temat różne aluzje. Nie rozumiał wiele z tego, co mówiono. Ale pogłębiało to jeszcze tajemnicę, on zaś próbował ją sobie jakoś wytłumaczyć. Zgadywać, wymyślać... Ciało, jak łasica na czatach, nieruchome; oczy błyszczą, a umysł wiecznie w ruchu.

Teraz, kiedy z powodu słabego zdrowia, zimowych katarów oraz chciwej miłości matki bywał często zamknięty z nią razem i po kilka dni z rzędu – matka była niemal jedynym jego towarzyszem. Korzystał z tego, by ją podpatrywać ciekawie – podśpiewując, bawiąc się, nie przerywając swych zajęć; bo. umysł dziecka jest jak jego nóżki, ruchliwy i zwinny, i choćby nawet malec odwrócony był do ciebie plecami, to patrzy oczyma, które, zdaje się mieć w tyle głowy, a kocie jego uszy, jak chorągiewki na dachu, obracają się za dźwiękiem głosu. Jego rozproszona uwaga ugania się równocześnie za czterema zajęciami, lecz nigdy nie gubi tropu

– i dziecko bawi się tym, i wie, że jutro zacznie od nowa... Zajęc dawał się chwytać. Wybuchowa, porywcza, marnotrawna w swoich uczuciach, Anetka nie skąpiła nigdy: dawała siebie bez rachuby.

Czasem przemawiała do niego jak do małego dziecka: obrażało go to i uważał, że jest śmieszna. To znów mówiła do niego jak do ponad wiek dojrzałego towarzysza swych myśli: to go nudziło, uważał, że jest męcząca. Innym znów razem pozwalała sobie myśleć głośno, monologować w jego obecności, tak jak gdyby nie rozumiał: wtedy osądzał, że jest dziwaczna, obserwował ją surowo i drwiąco. Nie rozumiał jej, ale nierozumienie nigdy nie przeszkodziło nikomu osądzać.

Przybrał pewną sztuczną postawę, która mu była wygodna, gdyż mógł ją dopasowywać do wszelkich sytuacji: była to impertynencka i roztargniona uprzejmość dobrze wychowanego dziecka, które udaje, że słucha, bo słuchać musi, ale wcale nie interesuje się tym, co do niego mówią; ma swoje własne sprawy – i gdy mówisz do niego, czeka, żebyś wreszcie skończył.

Kiedy indziej bawił się w udawanie pieszczotliwego, żeby matce sprawić przyjemność. Wiedział, że na pewno wybuchnie radością. A ona w swej prostoduszności dawała się wziąć na to jak najchętniej. Gdy wpadała w jego pułapki, miał dla niej uczucie tkliwej pogardy. W wypadkach zaś, gdy zareagowała w nie przewidziany przezeń sposób, irytowało go to, ale bardziej zaczynał ją szanować.

Nie był w stanie grać przez dłuższy czas tej samej roli. Dziecko jest na to zbyt giętkie, zbyt ruchliwe. Dopiero co udawał pieszczołka i w zachwyty wprawiał matkę swoimi czułościami –

a już w kilka chwil potem, nie krępując się, szorstko okazywał swoją obojętność. Anetka była zdezorientowana.

Czasami nie mogła się już obronić przed uczuciem zawodu i rozdrażnienia, zwłaszcza w rzadkich chwilach, kiedy nieokreślone podejrzenie ostrzegało ją, że Marek uparcie odgrywa jakąś rolę. Wtedy gwałtownie i nerwowo (niech nam wybaczą współcześni pedagodzy) 157

dawała mu porcję klapsów. Naprawdę, postępowała wbrew wszystkim dobrym zasadom i godności dziecka! W oczach Anglosaksonki byłaby się biedna Anetka pogrążyła na wieki.

Ale my starzy Francuzi nie bierzemy tego tak ściśle... „Qui bene omat...”³⁵ Maksyma ta wciąż kwitnie w rodzinach mieszczańskich, które zachowały resztki łatyńskiego pokostu. My wszyscy byliśmy „prawdziwie kochani” – i w gruncie rzeczy sądziliśmy, tak jak syn Anetki, że w trzech czwartych słusznie nam się to należało. Ale jeżeli miłość nasza do tej, która nam da-wała klapsy, nie malała wcale z powodu tych klapsów, tak jak i miłość Marka, to jednak klapsy te sprawiały, że ta, która je nam dawała, traciła w naszych oczach trochę swego autorytetu.

Przyznajmy otwarcie, że może właśnie dlatego, tak Marek jak i my, prowokowaliśmy ją do ich dawania!...

Marek mógł potem do woli udawać brutalnie potraktowaną ofiarę. Anetka wyrzucała sobie, że nadużyła swej siły. Czuła się winna. Musiała szukać sposobów, by znów pozyskać jego łaski. Marek na to tylko czekał.

Triumf słabości! Oto broń, którą świetnie szermować umieją kobiety. Ale z tych dwojga dziecko bardziej było kobietą. To młode ciało, jeszcze całe skąpane w matczynym mleku, jest więcej niż na poły kobiece – a ma podstępny i szelmostwa dziewczki. Anetka była bezbronna.

Wobec tego małego nicponia ona była płcią silniejszą – tą głupią płcią silniejszą, która wstydy się swojej siły i stara się, by ją jej wybaczone. Gra była nierówna. Malec drwił sobie z matki.

Nie był jednak, mimo wszystko, przebiegłym komediantem, który bawi się swoją grą. Podobnie jak jego dziadek miał i on nie jedną tylko naturę. Niewielu ludzi zdołało dostrzec tę, która kryła się pod drwiącą maską starego Rivière’a – ów dramat kryjący się czasem pod cynicznym błazeństwem i łakomym sybarytyzmem pewnego typu zdobywców. Raul nosił w sobie mroczne otchłanie, których nie ukazywał nikomu. Pod zasłoną galickiego śmiechu bywa ich nieraz więcej, niżby można przypuszczać. Ale chowa się je zawsze dla siebie. Anetka, która miała swoje własne, nigdy nie zdradziła przed ojcem ich tajemnicy; otchłani zaś ojca tak samo nie znała, jak nie miała, poznać tych, które nosił w sobie jej syn. Każde z nich trojga trwało zamknięte w swym wewnętrznym życiu. Dziwna wstydlivość. Mniej by się człowiek wstydził

ukazać swoje nałogi i żądze (Raul popisывał się nimi) niż odsłonić tragizm swej duszy.

Markowi także dostała się jego część. Dziecko, które żyje samo, bez rodzeństwa i towarzyszy, ma dość czasu na błąkanie się po piwnicach życia. Piwnice Rivière'ów były obszerne i głębokie. Matka i dziecko mogliby się byli w nich spotkać. Ale nie widzieli się nawzajem.

Nieraz przechodzili tuż obok siebie, myśląc, że są od siebie daleko. Oboje mieli zawiązane oczy; Anetce przesłaniał je demon namiętności, trzymający ją ciągle w swych szponach –

dziecku naturalny w jego wieku egoizm. Oboje żyli w ciemnościach. Ale Marek był dopiero na samym progu lochu i nie szukał wyjścia objając się o ściany, jak czyniła to Anetka. Siedział skulony na jednym z pierwszych stopni i marzył o przyszłości. Niezdolny do wytłumaczenia sobie życia, tworzył je sobie w wyobraźni.

Nie potrzebował iść daleko, by natknąć się na ów groźny mur, przed którym cofa się przerażone „ja”. Śmierć. Mur wznosił się ze wszystkich stron. Choroba biegła wzdłuż niego jak droga okrężna. Darmo by tu szukać przejścia. Mur jest masywny i nie ma w nim żadnego wyłomu. Nikt nie potrzebował mówić Markowi, że mur ten istnieje. Sam wyczuł go natychmiast w mroku i zachrapał trwożnie jak koń ze zjeżoną grzywą. Nie wspominał o tym nikomu

– i nikt mu o tym nie mówił. Wszyscy jak gdyby się umówili.

35 Qui bene omat (łac.) – jest to część zwrotu: qui bene amat, bene castigat – kto prawdziwie kocha, surowo karze.

158

Anetka, tak jak ogół współczesnych kobiet, była złym pedagogiem. Będąc panną dużo słyszała o pedagogii, mówiła o niej chętnie i z namaszczeniem i do sposobu wychowywania dzieci przywiązywała dużo więcej znaczenia niż matki poprzedniej doby, idące na oślep w tej dziedzinie. Ale z chwilą urodzenia dziecka poczuła się zupełnie bezradna wobec tysiąca i jednej niespodzianek życia, niezdolna do zajęcia jakiegokolwiek określonego stanowiska; obmyślała teorie, których potem nie stosowała wcale albo też zarzucała od razu po pierwszych próbach. W końcu wreszcie dała spokój, licząc już tylko na swój instynkt.

Problem religijny był jednym z tych, nad którymi rozmyślała, nie dochodząc jednak do praktycznego rozwiązania go na użytek dziecka. Przyjaciółki jej młodości, należące do kół

bogatej i republikańskiej burżuazji, były po większej części wychowywane religijnie przez matkę, a niereligijnie przez ojca – i nawet nie zdawały sobie sprawy z konfliktu tych dwu koncepcji (obie bowiem godzą się z sobą w życiu światowym, tak jak wiele innych sprzeczności, gdyż żadne uczucie nie ma tu trzeciego wymiaru). Anetka chodziła do kościoła, tak jak chodziła do szkoły. Podobnie jak zdawała maturę, przyjęła też i pierwszą komunię, sumiennie i bez głębszych wzruszeń. Ceremonie, na których bywała obecna w swojej bogatej parafii, miały w jej oczach charakter raczej towarzyski. Wyzwoliwszy się z życia towarzyskiego wyzwoliła się także i z nich.

Spółeczeństwo współczesne (a Kościół jest jednym z jego filarów) zdołało tak gruntownie, przez odebranie im wszelkiego smaku, wynaturzyć wielkie siły człowiecze, że Anetka, mająca w sobie więcej bogactwa wiary, niż się go mieści w stu dewotkach, uważała siebie za niereligijną. Myliła bowiem religię z młynkiem modlitewnym i ceremoniami o przestarzałym egzotyzmie – z tym wszystkim, co jest duchowym luksusem dla bogatych i pocieszającą złudą dla oczu i serca ubogich, złudą umacniającą trwałość ich nędzy i trwałość całego społeczeństwa.

Od czasu jak Anetka zarzuciła praktyki religijne, nigdy nie odczuwała ich potrzeby. Nie orientowała się, że w chwilach gwałtownych wzlotów wewnętrznych, sama, w namiętnych monologach, odprawiała swoją mszę.

Nie przyszło jej na myśl dać synowi to, bez czego sama mogła się obejść. Może nawet nie byłoby się jej w ogóle nasunęło to zagadnienie, gdyby (cóż za paradoks!) nie postawiła go Sylwia. Sylwia, mająca w sobie tyle religijności co paryski wróbel, nie byłaby się uważała za mężatkę bez interwencji Kościoła. Uważała za rzecz nieprzyzwoitą, że Anetka nie dała ochrzcić swego syna. Anetka nie zamierzała tego robić, zrobiła jednak, aby Sylwia mogła być chrestną matką. Potem przestała myśleć na ten temat. I tak wyglądały te sprawy do chwili, kiedy zjawił się Julian. Wiara Juliana, który był praktykujący, nie udzieliła się wprawdzie Anetce, stała się jednak dla niej czymś godnym poszanowania i z powrotem skierowała jej uwagę ku zaniedbanemu przez nią problemowi. Jak powinna postąpić z Markiem? Czy posy-

łać go do kościoła? Uczyć go religii, w którą sama nie wierzy? Zapytała Juliana o zdanie.

Julian, zgorszony, oświadczył kategorycznie, że dziecko musi być pouczone o prawdach bożych.

– Ale jeśli dla mnie to nie są prawdy? Czyż mam kłamać, gdy Marek mnie będzie pytał?

– Nie, nie kłamać. Trzeba tylko pozwolić mu wierzyć, skoro to jest dla jego korzyści.

– Nie może być korzyścią dla niego, abym go oszukiwała. I jakąż miałabym powagę, jeśli-by to kiedyś odkrył? Miałby wówczas prawo zrobić mi z tego zarzut. Przestałby we mnie wierzyć. A skąd mogę wiedzieć, czy ta wyuczona wiara nie będzie kiedyś krępować jego prawdziwego rozwoju?

W tym miejscu Julian pochmurniał i Anetka śpiesznie zmieniała temat. A jednak – co czynić? Nie mogła przecież, idąc za radą swoich przyjaciół protestantów, kazać chłopcu odbyć kurs wszystkich religii, aby gdy skończy lat szesnaście, wybrał sobie tę, która mu najlepiej odpowiada! Anetka wybuchała śmiechem. Cóż za dziwaczny sposób pojmowania religii jako przedmiotu do roztrząsania!

Koniec końców, Anetka nie zrobiła nic. Chodziła z Markiem na spacer, wstępowała do kościoła, siadała w jakimś kącie, podziwiając wraz z chłopcem las wytryskujących w górę kamiennych pni i blaski witraży podobne światłu przesianemu przez gąszcz leśny, zachwycała się śmiałymi łukami sklepień, echemi dalekich psalmodii, rozlewnym dźwiękiem organów. Była to kąpiel w skupieniu i

snach...

Marek chętnie tak siadywał, z ręką w ręce matki, słuchając i szepcząc. To było słodkie, ciepłe i w miarę rozkoszne... Tak, ale pod warunkiem, żeby nie trwało za długo! Ta sentymentalna drzemka nudziła go. Odczuwał potrzebę ruchu i myślenia o rzeczach określonych. Mała jego główka pracowała, obserwowała, robiła spostrzeżenia: ten rozmodlony tłum, ta matka, która się nie modli... Nie wyrażając ich, snuł refleksje. Rzadko zadawał pytania, znacznie rzadziej niż większość dzieci: miał dużo ambicji i bał się powiedzieć coś naiwnego. Zapytał

jednak:

– Mamusiu, co to jest Bóg? Odpowiedziała:

– Nie wiem, kochanie,

– No, to co ty wiesz?

Uśmiechnęła się i przyciągnęła go do siebie:

– Wiem, że cię kocham.

Tak, to było banalne. To wiedział. Ale nie warto było iść po to do kościoła!...

Marek nie był zbyt czuły i nie lubił niewyraźnych stanów duszy, w których „te baby” tak dobrze się czują. Anetka, gdy miała przy sobie swego malca i nie za wiele trosk materialnych, gdy miała jakąś godzinkę odpoczynku zyskaną wśród codziennych naglających obowiązków –

czuła się szczęśliwa. I nie potrzebowała szukać Boga zbyt daleko: był w jej sercu. Lecz Marek byłby zdania, że w jego sercu jest on sam: Marek – a wszystko inne to głupstwo. Sprawę należy stawiać jasno. Co to jest, ściśle mówiąc, Bóg? Czy ten człowiek tam przed ołtarzem, w spódnicy jak dziewczyna i z połączoną skorupą na grzbiecie? Czy ten szwajcar, z laską i łydkami w pończochach? Czy te jaskrawe obrazy – po jednym w każdej kaplicy – wykrzywają-

ce się słodkim uśmiechem jak owe obcałowujące go panie, których tak bardzo nie lubił?

– Mamusiu, chodźmy już!

– A czy to nie ładne?

– Tak, dość ładne. Wracajmy!

...Cóż to właściwie jest – Bóg?... Nie nalegał już, nie pytał matki. Gdy dorośli przyznają się, że czegoś nie wiedzą, znaczy to, że ich owa sprawa nie interesuje... Sam prowadził dalej pobieżne dociekania. Zasłyszane modlitwy – „Ojcze nasz, któryś jest w niebie” (lokalizacja pobudzająca sceptycyzm bardziej rozwiniętych współczesnych chłopców, którzy właśnie za-czynali uważać niebo za nowe pole dla sportu), Biblia przeglądana ze znużoną ciekawością, tak jak inne stare historie, kilka tu i ówdzie niedbale zadanych pytań, kilka zasłyszanych odpowiedzi... – „Bóg, ktoś

niewidzialny, który stworzył świat...” – Tak się mówi!... To jest zbyt dalekie. I niejasne. Marek był taki jak matka: Bóg nie interesował go. O jednego króla więcej czy mniej!

Ale tym, co go interesowało, było jego własne istnienie i to, czym ono było zagrożone, i to, co miało być potem. Idiotyczne rozmowy, zasłyszane u Sylwii, dość wczesnie rozbudziły jego uwagę. Rozkoszny dreszczyk, z którym te dziewczęta rozprawiały o wypadkach, o na-głych śmierciach, chorobach, pogrzebach i tak dalej, bez końca! Śmierć podniecała je. Zwierzęcy instynkt malca jeżył się na sam dźwięk tego słowa. Na ten temat chętnie byłby matkę popytał. Ale Anetka, obdarzona wspaniałym zdrowiem, nigdy nie mówiła o śmierci i nie zajmowała się nią wcale w tym okresie swojego życia. Co innego miała do roboty! Musiała zarabiać dla swego malca. Gdy od rana do nocy trzeba myśleć o tym, co jest po tej stronie –

luksusem wydaje się to, co jest po tamtej. Czymś najistotniejszym staje się ono dla nas dopiero wtedy, gdy ci, których kochamy, przejdą na tamtą stronę. Syn jej był tutaj. Zresztą gdyby 160

go straciła, to i życie, i śmierć nie miałyby dla niej wartości. Była zbyt namiętna, aby móc zadowolić się światem niematerialnym, światem, w którym nie ma ukochanego ciała!

Marek widział ją silną, nieustraszoną, zawsze zajęta, nie troszczącą się o te jego obawy –

byłby wstydził się zdradzić ze swoją słabością. Musiał więc radzić sobie sam. Nie było to łatwe, lecz przyjąć można, że malec nie gubił się w zbyt skomplikowanych problemach my-

ślowych. Sprowadzał zagadnienie do swoich własnych wymiarów. Śmierć to są inni ludzie, którzy znikają. Jeśli znikają, to ich sprawa! Ale ja, czy ja mogę zniknąć?

Sylwia raz przy nim powiedziała:

– Ach, co tam! I tak wszyscy pomrzemy! Zapytał:

– A ja? Sylwia zaśmiała się:

– O, ty! Ty masz jeszcze czas!

– Jak długo?

– Póki nie będziesz stary.

Ale on doskonale wiedział, że grzebie się także dzieci. A poza tym, nawet gdy będzie stary, będzie jednak sobą. Pewnego dnia Marek umrze... Był przerażony. Czyż nie ma sposobu wymknąć się temu? Przecież musi coś gdzieś być, jak gwóźdź w ścianie, jakaś rzecz, o którą można się zaczepić, jakaś ręka, której by, się można chwycić... Ja nie chcę zniknąć...

Potrzeba tej ręki byłaby właśnie mogła doprowadzić go, jak tylu innych, do Boga – do tej wyciągniętej ręki, którą ludzki lęk rzutuje w ciemność; ale fakt, że matka nie zdawała się szukać tego oparcia, wystarczał do odsunięcia owej myśli. Nawet gdy krytykował Anetkę, ulegał

wpływowi jej postawy. Że matka, nie dbając o to, co ją czeka, potrafi zachować spokój, nie było dla niego uspokojeniem, ale zmuszało go, by trzymał się dzielnie, tak jak ona. Choć jest się małym chłopczykiem, nerwowym, słabowitym i troszeczkę tchórzliwym – nie na darmo jest się synem Anetki. Skoro ona, kobieta, nie, boi się – i ja nie powinienem się bać.

Tylko że nie było mu dane, tak jak dorosłym, nie myśleć o tym. Myśl przychodzi i odchodzi, kiedy chce, i nie ma na to rady, zwłaszcza w nocy, gdy się nie śpi... Trudno – wtedy trzeba myśleć i nie bać się: „Jak to jest, gdy się umiera?” Oczywiście nie mógł tego wiedzieć. Oszczędzano mu wszelkich pogrzebowych widowisk.

Kilka obrazów w muzeum... Zesztywniały w swym łóżeczku, obmacywał ściany swojego ciała... Jak to zobaczyć? Nieostrożnie wypowiedziane słowo wskazało mu też blisko okno wychodzące na przepaść, w którą spojrzeć tak gorąco pragnął.

Pewnego dnia w lecie stał, gapiąc się, przy oknie. Łapał muchy i wyrывał im skrzydła.

Bawiło go patrzeć, jak się rzucały. Nie zdawał sobie sprawy, że zadaje im ból; myślał, że płata im figle. To były żywe, niekosztowne zabawki, które wolno psuć... Matka przyłapała go na tym zajęciu. Z porywcznością, której nie umiała opanować, chwyciła go za ramiona i potrząsnęła nim, krzyżąc, że jest wstrętnym małym niegodziwcem...

– Co byś ty na to powiedział, gdyby ci ktoś wyłamywał ręce? Czy nie wiesz, że te stworzenia cierpią tak samo jak ty?

Udawał, że się śmieje, ale był przejęty. Wcale mu to nie przyszło na myśl. A więc te stworzenia były takie jak on!...

Nie litował się, wcale na to nie miał ochoty, ale patrzył na nie teraz zupełnie innym wzrokiem, niespokojnym, uważnym, wrogim... Koń, który upadł na ulicy... Pies przygnieciony, skowyczący... Marek wypatrywał... Potrzeba dowiedzenia się była zbyt silna, aby mogła obudzić się litość.

Po zimie bez mrozu i słońca, szarej, wilgotnej, niosącej podstępne, pozornie łagodne grypy, które Markowi wysały wszystkie kolory z twarzy, malec był tak osłabiony, że Anetka w okresie wielkanocnym wynajęła na dwa tygodnie pokój u chłopca w dolinie Bièvres. Było tam tylko jedno obszerne łóżko dla niej i dla dziecka. Marek nie bardzo to lubił, ale nikt się go nie pytał o zdanie. Na szczęście w ciągu dnia był sam. Anetka wracała do Paryża, do swoich zajęć, zostawiając go pod opieką gospodarzy, którzy nie opiekowali się nim wcale. Marek ry-161

chło zaczął się wymykać w pola. Rozglądał się, myszkował, usiłując pochwycić w zwierzę-

tach i rzeczach jakąś tajemnicę, która by jego dotyczyła: odnosił do siebie wszystko, co było w przyrodzie. Gdy pewnego razu błądził po lesie, posłyszał z daleka wrzaski jakichś chłopaków. Nie szukał towarzystwa innych chłopców, bo nie był dość silny, a pragnął górować; ale mimo wszystko coś go ku nim pociągnęło. Zbliżywszy się ujrzał, że stało ich pięciu czy sze-

ściu dookoła zranionego kota. Zwierzę miało złamany kręgosłup – i malcy zabawiali się poruszając

go, drażniąc i klując końcami trzymanyh patyków. Marek bez namysłu rzucił się na nich, okładając pięściami. Ochłonawszy z pierwszego zdumienia banda obiała go wśród wrogich okrzyków. Wycofał się; ale o kilka kroków stanął ukryty za drzewami i zatykał sobie uszy. Nie mógł się zdecydować odejść... Wrócił. Chłopcy przywoływali go drwiąco:

– Hej, ty fajtłapo! Boisz się? Chodź, przypatrz się, jak zdycha.

Podszedł. Nie chciał, by go mieli za tchórza. A zresztą chciał widzieć. Zwierzę leżało na boku z wypływającym, na pół wyrwanym okiem i zadem zeszywniałym, już martwym. Boki dyszały ciężko, a głowa próbowała się podnieść, charcząc rozpaczliwie. Nie mogło umrzeć.

Dzieci aż skręca się ze śmiechu. Marek patrzył, skamieniały. I nagle chwycił kamień i zaczął

bić nim zapamiętałe głowę zwierzęcia. Przeszył go chrapliwy krzyk. Bił, bił coraz mocniej, jak wściekły. Bił dalej, kiedy już było po wszystkim...

Chłopcy patrzyli na niego, zmieszani. Jeden z nich spróbował zażartować. Zaciskając kamień w pokrzwawionych palcach, Marek, blady, ze zmarszczoną brwią, z drżącymi wargami, mierzył ich złym spojrzeniem. Poszli. Dosłyszał z daleka ich śmiech i śpiewy. Zaciskając zęby wrócił do domu. Nic nikomu nie powiedział, ale w nocy, w łóżku zaczął krzyczeć.

Anetka wzięła go w ramiona. Dreszcz wstrząsał delikatnym ciałem...

– Cóż to był za brzydki sen? Aniołku mój, to nic... A on myślał:

„Zabiłem go. Już teraz wiem, co to śmierć.” Okropna duma: już wie, już widział i zniszczył! I inne jeszcze uczucie, którego Marek nie może zrozumieć, uczucie . obrzydzenia i zarazem pociągu... Dziwna więź łącząca zabijającego z zabitym, palce lepkie od krwi i strzaskaną głowę... Którego z nich dwu jest ta krew?... Zwierzę przestało już cierpieć. W Marku żyła jeszcze jego ostatnia trwoga...

Na szczęście w tym wieku umysł nie może utrzymać długo jednej myśli. A ta myśl byłaby niebezpieczna, gdyby ją musiał utrwalić. Przepływały inne wrażenia, a fale ich odświeżały mózg. Ale ta myśl osiadła na dnie; obecność jej zdradzała się od czasu do czasu ciemnymi połyskami, grubymi bańkami powietrza, które z mułu strumyka wypływały ku powierzchni.

Pod miękkim miąższem istnienia kryje się twarda pestka: śmierć, siła, która zabija... Zabijają mnie i ja zabijam... Nie chcę się dać zabić... Zwycięża silniejszy! Ja walczę...

Pycha, ponura pycha, którą człowiek jak rusztowaniem podpira swoją słabość... Skąd bierze się w Marku ta stal, jeżeli nie z matki, którą przecież gardzi z powodu jej nieopanowanych wybuchów, którą gardzi, bo ją wykorzystuje? Marek wie o tym. Nawet w czasach gdy wołał

Sylwię, która go rozpieszczała, doceniał wyższość Anetki. I kto wie? Może ją naśladuje. Ale musi się bronić przed zagarnięciem przez tę osobowość, która go zanadto kocha, przetłacza sobą, zagraża jego życiu. Trwa przeciw niej w obronnej postawie, trzyma ją z dala od siebie.

Ona także jest wrogiem.

Sylwia znikła z horyzontu. Po upływie pierwszych miesięcy urazy zaczęła odczuwać jak gdyby ostrze wyrzutu na myśl o trudnościach, wśród których miotała się jej siostra. Czekala, aby Anetka przyszła prosić ją o pomoc; pomocy tej nie byłaby odmówiła, ale i nie byłaby ofiarowała jej pierwsza. Anetka zaś wolałaby raczej na śmierć się zapracować niż prosić Sylwię o pomoc. Obie siostry zacięły się w uporze. Raz dostrzegły się nawzajem na ulicy, lecz 162

uniknęły spotkania. Ale gdy Anetka spotkała kiedyś Odetkę z jedną z pracownic, nie zdołała się oprzeć porywowi czułości. Chwyliła dziecko w ramiona, okrywając je gorącymi pocałunkami. Sylwia ze swej strony, zobaczywszy raz Marka wracającego ze szkoły (udawał, że jej nie widzi), zatrzymała go pytając:

– Cóż to? Nie poznajesz mnie już?

Rzecz nie do wiary, małpison przybrał sztywną minę i odrzekł chłodno:

– Dzień dobry cioci.

Rozmyślając po swojemu, doszedł do pewnych wniosków i – słusznie czy niesłusznie –

uznał, że powinien stanąć po stronie matki... „My country, right or wrong...”³⁶ Sylwię aż zatkało. Zapytała:

– A zatem wszystko dobrze?

– Wszystko bardzo dobrze – odpowiedział zimno. Patrzała za nim, jak się oddalał, sztywny, zaczerwieniony od narzuconego sobie wysiłku. Wyglądał schludnie, był ładnie ubrany...

Smarkacz!... „Wszystko bardzo dobrze...” Chętnie dałaby mu lanie!

Fakt, że Anetka zdołała dać sobie bez niej radę, powiększał jeszcze urazę Sylwii. Mimo to korzystała z każdej okazji, by się o siostrze czegoś dowiedzieć, i nie rezygnowała z nadziei kierowania Anetką. Jeśli nie w rzeczywistości, to przynajmniej w myślach! Dobrze wiedziała, jak surowe życie prowadzi teraz siostra, i nie pojmowała, jak Anetka mogła się na nie skazać.

Znała ją dostatecznie, by wiedzieć, że kobieta jej pokroju nie jest stworzona do tego moralnego przymusu i życia ogołoczonego z radości. Jak można w ten sposób zadawać gwałt swej naturze? Któż ją zmuszał do trwania we wdowieństwie? W braku męża dość było przyjaciół, którzy czuliby się szczęśliwi, gdyby mogli osłodzić jej troski. Gdyby Anetka zgodziła się na to, Sylwia byłaby ją może mniej szanowała; ale czułaby się jej bliższa.

Nie ona jedna tylko nie mogła zrozumieć Anetki. Anetka sama nie lepiej od niej rozumiała powody swego klasztorного życia i tego dzikiego strachu, który sprawiał, że cofała się gwał-

townie, gdy tylko zaświtała jej – już nie możliwość nawet – ale myśl sama o tych naturalnych radościach, których żadne prawo religijne ani społeczne zabronić jej nie mogło (w moralność

kościelną nie wierzyła; a czyż nie była panią siebie samej?)...

„Czego ja się boję?”

„Siebie...”

Instynkt nie mylił jej. Dla natury tak naładowanej namiętnością, pragnieniami, ślełą zmysłowością – nie ma niewinnej rozkoszy, nie ma gry wolnej od następstw: najlżejszy wstrząs może ją wydać mocom, których opanować nie byłaby w stanie. Anetka znała już to psychiczne zachwianie, jakie w dotychczasowym życiu spowodowały jej krótkie zetknięcia z miłością.

A dzisiaj niebezpieczeństwo byłoby znacznie większe! Dziś nie potrafiłaby się oprzeć. Oddawszy się rozkoszy zostałaby porwana bez reszty – utraciłaby ową wiarę, której tak bardzo jej potrzeba... Jaką wiarę? Wiarę w siebie. Pycha? Nie. Wiara w to coś niewytłumaczonego, boskiego, co w niej żyje i co nieskażone przekazać chce swemu synowi. Kobiecie takiej jak ona, poza ścisłą dyscypliną małżeństwa, pozostaje tylko wybór między całkowitym opanowaniem moralnym a dobrowolnym oddaniem się namiętności. Wszystko lub nic... A więc nic!

A jednak mimo porywów tej dumnej żarliwości – od kilku miesięcy co jakiś czas lęk chwyta ją za gardło: – „Marnuję życie...”

Zjawił się znów Marceli Franck. Przypadek postawił go na drodze Anetki. Nie myślał już o niej, ale jej nie zapomniał. Niemało miał w życiu doświadczeń miłosnych. Na giętkim jego sercu nie pozostawiły one zbyt głębokich rys: ot, kilka delikatnych zmarszczek, jak ślad pa-znokcia, dokoła złośliwie uśmiechniętych oczu. Pewne zmęczenie, jakaś życzliwa pogarda, tak dla swych łatwych zdobyczy jak i dla samego zdobywcy. Gdy tylko ujrzał Anetkę, doznał

jak dawniej wrażenia świeżości i pewności, które w ciekawy sposób pociągało tego zblazowanego sceptyka. Badał ją oczyma: ona także musiała już przejść niejedno! W głębinie jej 36 My country, right or wrong (ang.) – zły czy dobry, ale to mój kraj.

163

spojrzeń kryły się jakieś wchłonięte błyski, jakby jakieś bruzdy wodne, jakby ślady jakichś katastrof. Ale zdawała się spokojniejsza i bardziej pewna siebie. I znów zbudził się w nim żal za tą zdrową towarzyszką, która wymknęła mu się już dwukrotnie. Nie było jednak za późno!

Nigdy jeszcze nie zdawali się tak bliscy porozumienia.

Nie rozpytując potrafił zorientować się dyskretnie co do jej zajęć i środków życia. Wkrótce potem za jego pośrednictwem ofiarowano Anetce dość dobrze wynagradzaną pracę. Chodziło o klasyfikację fiszek do katalogu prywatnej kolekcji dzieł sztuki, którą się opiekował. Powód całkiem naturalny do spędzania z nią kilku godzin tygodniowo. Oboje umieli rozmawiać pracując równocześnie. Wkrótce też wróciła ich dawna zażyłość.

Marceli nigdy nie pytał Anetki o jej życie, ale sam opowiadał o sobie: to był najlepszy sposób, by dowiedzieć się, co ona myśli. Jego zabawne przygody miłosne dostarczały różnorodnych tematów,

które z upodobaniem poruszał. Lubił mieć w Anetce powiernicę, która śmiejąc się łajała go po trosze. Gotów był pierwszy drwić z siebie, tak jak drwił ze wszystkiego. A ona ze śmiechem słuchała jego libertyńskich wyznań, gdyż była liberalna we wszystkim, co nie dotyczyło jej osobiście. On rozumiał to inaczej – i cieszyło go jej wesołe, pobłaż-

liwe wobec życia zrozumienie. Nie dostrzegał w Anetce ani śladu tej pedantycznej moralno-

ści, tej nietolerancji młodej dziewczyny, aż ograniczonej trochę swoją cnotą. Gdy tak zamieniali ironiczne refleksje, myślał, że uroczo byłoby związać z sobą tę inteligentną przyjaciółkę i dzielić z nią przygodę życia... A jak? Tak jakby chciała! Jako kochanka czy żona, do wyboru! Nie miał przesądów. Tak jak nie przywiązywał wagi do „wagarowego macierzyństwa” Anetki, tak też i nie zajmował się tym, co później mogło się zdarzyć w jej życiu. Nie dręczy-

łby jej czujnym nadzorem. Nie ciekawiły go jej tajemnice. Każdy ma prawo mieć swoje sekrety i przypadający nań udział wolności! Żądałby od niej tylko, aby w życiu wspólnym była wesoła i rozsądna, by była dobrą współpracowniczką w interesach i przyjemnościach (pod słowem

„przyjemność” rozumiał wszystko: inteligencję, uczucia i resztę).

Tak długo o tym myślał, aż jej to w końcu powiedział, pewnego wieczora, gdy w bibliotece kończyli pracę, a słońce poprzez drzewa starego ogrodu złociło płowe okładki książek.

Anetka bardzo się zdziwiła. Jak to? Więc jeszcze wracał do tego! Czyż to nie zostało zakończone?

– Drogi przyjacielu – odrzekła – jakże to miło z pańskiej strony! Ale o tym nie trzeba już myśleć.

– Właśnie że trzeba o tym myśleć – odpowiedział. – Dlaczegoż to nie trzeba?

„Tak, istotnie, dlaczego? – zapytała się w duchu Anetka. – Miło mi jest z nim rozmawiać, widywać się z nim. Ale nie, to niemożliwe! Tu nie ma nawet nad czym się zastanawiać...” Franck siedzi naprzeciw niej po drugiej stronie stołu i słońce pada na jego jasną brodę.

Wyciąga ręce poprzez stół, ujmuje obie jej dłonie i mówi:

– Niech pani pięć minut pomyśli!... Dobrze?... Już nic nie powiem... Znamy się od... od ilu lat? Dwunastu? Piętnastu?... Nie potrzebuję nic tłumaczyć. Wszystko, co bym mógł powiedzieć, pani już wie.

Anetka nie stara się uwolnić rąk, uśmiecha się i patrzy, patrzy w niego swymi jasnymi oczyma, których spojrzenia – choć spoczywa ono na nim – Marceli nie może uchwycić, gdyż wzrok jej wybiega poza niego, w jakąś dal. Anetka patrzy w siebie samą – i myśli:

„Tu nie ma nawet nad czym się zastanawiać?... Przecież nad wszystkim trzeba się zastanowić. Czemuż miałoby to być niemożliwe? On mi się podoba... Jest ładnym chłopcem, po-ciągającym, dość dobrym, inteligentnym, miłym... Jakże łatwe byłoby życie! Tylko że ja nie mogłabym żyć z nim

razem jego życiem... On się podoba – i jemu podoba się wszystko. Ale on niczego nie szanuje: ani mężczyzn, ani kobiet, ani miłości, ani Anetki... (Sama o sobie tak mówi, bo patrzy na siebie od zewnątrz.) Z pewnością nie skąpi delikatnych względów i światowego szacunku, a dla mnie szafuje jej pełną miarą. Może nawet traktuje mnie wyjątkowo... Ale... Kochany sceptyk! Co on właściwie bierze na serio? Sam rozkoszuje się swym 164

zupelnym brakiem wiary w naturę ludzką – i korzysta z jej słabości z wyrozumiałym zaciekawieniem współwinowajcy. Zdaje mi się, że czułby się zawiedziony, gdyby go coś zmusiło do jej szanowania... Dobry chłopiec! Tak, życie z nim byłoby łatwe – tak łatwe, że nie miałabym już żadnej racji, aby żyć.”

A potem Anetka już nie znajduje słów – nawet, by myśleć. Ale myśl biegnie dalej i krzepnie w postanowienie.

Franck uwolnił jej ręce. Czuje, że przegrał. Wstaje, podchodzi do okna i oparty o parapet, filozoficznie zapala papierosa. Stoi za Anetką; widzi ją siedzącą nieruchomo, z rękoma wyciągniętymi na stole, jak gdyby wciąż jeszcze miała go przed sobą. Jej piękna złotawa szyja, jej krągłe ramiona... Stracone!... Na kogo czy na co czeka? Jakies nowe szaleństwo w rodzaju dawnej „brissoterii”?... Nie, on wie, że serce Anetki jest wolne... A zatem? Nie jest przecież bez temperamentu! Potrzebuje być kochana – i kochać...

A ona przede wszystkim potrzebuje wierzyć. Wierzyć W to, co się robi, w to, czego się chce, czego się szuka lub o czym się marzy – wierzyć w to, czym się jest, mimo wszelkich obrzydzeń i rozczarowań, wierzyć w siebie i w życie!... Franck niszczy szacunek. Anetce łatwiej by przyszło nie być szanowaną przez ludzi niż – samej – stracić szacunek dla życia. Bo to jest źródło energii. A bez mocy działania Anetka byłaby niczym. Bierne przeżywanie szczęścia jest dla niej śmiercią. W tym leży główna różnica między ludźmi: że jedni są czynni, drudzy bierni. A z wszystkich jej form najbardziej zabójcza byłaby dla Anetki bierność ducha, spokojnie na podobieństwo Francka osiadłego w komforcie zwątpienia, które nie zna już nawet zwątpień, a tylko rozkosznie poddaje się obojętnemu prądowi wielkiego Nic... Samobójstwo!... Nie! Anetka odmawia... Co zatem myśli o swoim życiu? Może nie będzie ono czymś udanym, pełnym. Może nawet będzie zmarnowane. Ale zmarnowane czy nie, zawsze będzie porywem ku jakiemuś celowi... Nieznanemu? Złudnemu? Być może. Wszystko jedno!

Poryw nie jest złudzeniem. I niechże padnę na drodze, byłam upadła na swej własnej drodze!...

Anetka przytomnieje i zdaje sobie sprawę, że milczenie trwa już dość długo i że Franck nie siedzi już na przeciwko niej. Odwróciwszy się spostrzega go, uśmiecha się i wstając mówi:

– Przebacz, przyjacielu! Zostańmy tym, czym jesteśmy! Tak dobrze jest być przyjaciółmi.

–A inaczej nie byłoby lepiej? Anetka potrząsa głową. („Nie!”)

– No tak – stwierdza Franck. – Otóż i jestem spalony przy trzecim egzaminie. Zaśmiała się i podchodząc do niego mówi przekornie:

– A chce pan przynajmniej tego, czego odmówiłam panu przy drugim?

I objąwszy za szyję całuje go. Jest to serdeczny pocałunek, ale bez najmniejszych wątpliwości tylko przyjacielski. Franck nie myli się co do tego. Mówi:

– A więc jest nadzieja, że za jakich lat dwadzieścia zdam może ten egzamin.

– Nie – odpowiada śmiejąc się Anetka – granica wieku. Niech się pan ożeni, drogi przyjacielu. Ma pan wolny wybór: wszystkie kobiety na pana czekają.

– Ale nie pani.

– Ja zostanę starym kawalerem.

– Zobacz, zobacz pani jeszcze. Za karę wyjdzie pani za mąż po pięćdziesiątce.

– „Bracie, trzeba umierać...” A do tego czasu!...

– Do tego czasu życie mniszki...

– Nie zna pan radości takiego życia...

Była to fanfaronada. Nie wszystko było radością. Jej życie klasztorne dolegało nieraz Anetce jak za ciasne odzienie. Należała do tego gatunku mniszek, którym nie wystarcza rzą-

165

dzić jednym tylko opactwem i kochać jednego Boga. Opactwo ograniczało się do mieszkanek na piątym piętrze, a Bóg do jej dziecka. To było maleńkie i ogromne. Nie wystarczało jej to; rachunek nie zamykał się, więc przenosiła pozycje na konto marzeń. W tę monetę była dobrze zaopatrzona. Jeśli codzienne jej życie było na pozór purytańskie i ciasne, umiała to sobie powetować w życiu wyobraźni. Tutaj bez hałasu i wstrząsów równo płynęło wieczne „zaczarowanie”.

Ale czyż możemy wnikać za jej śladem w te kryjówki duszy? Wewnętrzny sen nie jest utkany ze słów – a chcąc być rozumianym i rozumieć samego siebie, musimy posługiwać się słowami... Tym tworzywem, które schnie nam na końcach palców, lepkie i ciężkie!... Anetka, by wytłumaczyć się sobie samej, doznaje czasem także potrzeby ujęcia swych marzeń w ciche, szeptane opowiadania. Ale te opowiadania to nie wierne transkrypcje – to zaledwie transpozycje podsunęte w miejsce marzenia, lecz doń nie podobne. Nie mogą uchwycić ducha w chwili jego wzlotu, mózg stwarza sobie opowieści, które go pochłaniają i fałszują istotę wielkiej feerii lub wewnętrznego dramatu....

Olbrzymia, płynna równina, dolina dyluwialna płynąca równo z brzegami, bezbrzeżne rzeki z ognia, wody i chmur. Wszystkie żywioły są tu jeszcze zmieszane i tysiące prądów splata się z sobą jak pasma włosów; ale jedna jedyna siła sprawia, że ich ciemne, błyskami przetykane kędziory toczą się pierścieniami. To Duch nieogarniony i jego stado snów, pędzone na mroczne pastwisko Nadziei

przez milczącego pasterza: Pragnienie, króla światów. Władcza siła ciężenia pcha owo stado ku chciwej krawędzi, która je pochłania – to zdradliwie łagodna, to urwista.

Anetka czuje, jak płynie zaczarowana rzeka: na swym wrzecionie nawija i rozwija war-kocz pierścienistych prądów, poddaje się im i igra ze zdradliwą siłą, która ją unosi... Ale gdy zmysł rozsądku, nagle przebudzony, chce grę skontrolować – zastaje już tylko Anetkę wyrwaną ze swego snu i rozglądającą się za innym, w który by znów mogła zapaść. Wtedy roztropnie wymyśla nowe marzenie, buduje je ze wspomnień i kontrolowanych świadomością co dziennych przeżyć; z kształtów przeszłości, z baśni życia, którą się już przeżyło lub może przeżywać będzie... I Anetka udaje przed sobą, że to dalszy ciąg wielkiego marzenia; lecz wie, że prawdziwy sen już się rozwiął. Nie niepokoi się tym. Powróci on, jak ewangeliczny oblubieniec, w godzinie, gdy nie spodziewa się już jego przyjścia.

Ileż jest dusz kobiecych, których ukryty geniusz wypowiada się, tak jak u niej, w tej rzece wewnętrznej! Kto umiałby czytać w ich głębi, znalazłby nieraz ciemne namiętności, ekstazy, wizje otchłani. A w spokojnej krzątaninie powszednich dni – to poprawna, panująca nad sobą mieszcza, która zimno i trzeźwo zajmuje się swymi interesami, czasem nawet siłą przeciwieństwa przesadnie jak Anetka, przybierająca wobec swoich uczniów i syna (tylko że on nie daje się na to wziąć) postawę zimnego i moralizatorskiego rozsądku...

Nie, ona nie zwiedzie malca! On widzi daleko. On umie czytać między słowami. On także już wie, co to znaczy marzyć. Codziennie ma swoje godziny królowania, w których jest sam ze swymi snami, sam jeden w mieszkaniu. Anetka, jak zawsze nieostrożna, nie zastanawiając się nad tym zostawia do dyspozycji dziecka mnóstwo książek, ocalałych z katastrofy szcząt-ków biblioteki jej własnej i dziadka. Są tam książki wszelkiej maści i odcieni. Od kilku lat Anetka nie miała czasu w nich szperać. Malec się tym zajął. Codziennie, wróciwszy ze szko-

ły, gdy matki nie ma w domu, wyrusza na łowy. Czyta bezładnie. Wcześniej nauczył się czytać prędko, bardzo prędko – i galopuje po zboczach stronic w pościgu za zwierzyną. Cierpią na tym jego szkolne obowiązki: jest oceniany jako zły uczeń, roztargniony, który nigdy nie umie lekcji, a zadania odpisuje od kolegów. Nauczyciel zdziwiłby się bardzo, gdyby mały kłusownik wyrecytował mu to wszystko, co oczy jego upolowały na zastrzeżonym terenie.

Marek chwytą także czasem pozycje „klasyczne”, lecz jakże inną mają tu dla niego woń!

Wszystko, co swobodnie ueziera w tej nieznannej dziedzinie, ma dla niego smak pięknego, zakazanego owocu. Żadna z napotkanych tu rzeczy nie może go jeszcze skalać ani nawet 166

brutalnie uświadomić. Na niebezpiecznych zakrętach wzrok jego ożywia się i biegnie dalej, nie zwęszywszy w pułapce przynęty zmysłowej. Ale szczęśliwe i beztróskie dziecko czuje, jak prosto w twarz bije mu gorący podmuch życia. W tym lesie książek wciąga nozdrzami przygodę i walkę odwieczną – miłość...

Miłość... Czymże jest miłość dla dziesięcioletniego dziecka? To całe szczęście, którego się nie ma – które się będzie mieć: zdobyte... A jakież będzie jego oblicze?... Ze strzępów tego, co widział i czytał, usiłuje odtworzyć tę twarz Nie widzi nic. Widzi wszystko. Wszystkiego chce. Wszystko chce

mieć. Wszystko chce kochać. (Być kochanym! Oto co jest dla niego prawdziwym sensem kochania... „Kocham siebie samego, więc i inni powinni mnie kochać...

Ale kto?...”) Jego wspomnienia nie przychodzą mu z pomocą. Za blisko są jeszcze, aby mógł je dobrze zobaczyć. W jego wieku nie ma wcale (lub jest tak mało!) przeszłości. Teraźniejszość jest tematem o tysiącu wariacji...

Teraźniejszość? Dziecko podnosi wzrok i widzi matkę. Wieczorem, po obiedzie, siedzą oboje przy okrągłym stole, w ciepłym świetle naftowej lampy. Marek uczy się (powinien się uczyć) lekcji na jutro; Anetka ceruje jakąś suknię. Oboje, jedno i drugie, nie myślą o tym, co robią. Każde z nich zdaje się na maszynierię swego organizmu, tę uczynną służebnicę. Płynnie marzenie. Anetka daje się unosić prądowi. Dziecko obserwuje ją i marzy... Oto ciekawe wi-dowisko, dużo ciekawsze od lekcji, którą machinalnie powtarza ustami!

Wydawać by się mogło, że Marek nie dostrzegał nic z tego, co działo się dokoła niego w ciągu tych wszystkich lat; nie potrafiłby wytłumaczyć nic z tego, co absorbowało jego matkę.

A jednak nic nie uszło jego uwagi! Miłość Juliana. Miłość do Juliana. W jakiś niejasny sposób o wszystkim był powiadomiony. I nieświadomiona zazdrość radowała się z ostatecznej porażki, jak mały ludożerca tańczący dokoła słupa. Matka pozostawała nadal jego własnością.

Należała do niego! A więc dbał o to? Cenił to, ale dopiero od chwili, kiedy ktoś inny zamierzał mu ją zabrać. Patrzył na nią – te oczy, te usta, te ręce... Przywiązywał się do każdego rysu jej twarzy na sposób dzieci, które w jednym szczególe zatapiają się jak w jakimś odrębnym świecie... (To zresztą nie zawsze jest błędem!...) Każde drgnienie powiek, rozchylenie warg, to wszystko są tajemnicze, rozległe krajobrazy. Urzekały one umysł dziecka. Dziecko jest jak pszczoła. Spojrzenie jego fruwa dookoła półotwartych ust... Czerwone wrota... Wpada w nie i znów wraca... Studiując je chłopiec zapominał o tym, na co patrzy – zapominał o kobiecie...

Ogarniała go jakaś pieszczotliwa senność... Budziło z niej wspomnienie (uff!) o jutrzejszej szkole, o jakimś koleźce, którym gardził, o złym stopniu zatajonym przed matką... I znów ogarniało go światło lampy w mrocznym pokoju i cisza mieszkania wpośród gwaru Paryża –

uczucie, jak gdyby był na wyspie czy łódce na morzu, wypatrując brzegów i tego, co na nich znajdzie, co zabierze ze sobą na swój statek, pełen własnych dóbr i nadziei przyszłych łupów.

Zaliczał do nich swą matkę, jej piękne jasne włosy, łuki jej brwi... Mały Wiking! Jak nagle ją pokochał! Z żarliwością kochanka, który by jednak zachował dar boskiej niewiedzy! A w nocy nie śpiąc wsłuchiwał się w jej oddech. To całe tajemne życie niepokoiło go i pochłania-

ło...

Tak więc oboje marzyli; ale ona znajdowała się na pełnym morzu, przyzwyczajona do długich podróży. On zaś wyruszał dopiero i wszystko było dla niego odkryciem. A że wszystko było dlań nowe, patrzył bystrzej od niej i często dalej niż ona sięgał wzrokiem. Miewał chwile zadziwiającej

powagi. Lecz trwały one krótko. Był jak zwierzęta: ów przenikliwy wzrok stawał się nagle niepewny, błędzący – i już nie było nikogo! Ale w chwilach, gdy zamknięty z nią razem w żarliwym milczeniu, skupiał na towarzysze-matce swą młodą, niezużytą siłę uwagi i miłości – całe jego jestestwo nasycano się wonią tej Duszy. Nie rozumiejąc odgadywał najmniejsze jej drgnienia i w przebłyskach dosięgał tajemnic jej serca.

Wkrótce już zgubi klucz od nich. Przystanie się nimi interesować. Nie będzie już umiał

patrzeć. Istnieją w nim dwa pierwiastki: światło wewnętrzne i zewnętrzny mrok. Gdy rozwija się ciało dziecka, mrok rośnie wraz z nim – i przesłania światło. W miarę wstępowania 167

wzwyż, dziecko odwraca się plecami do słońca i w miarę jak dzieckiem być przestaje, coraz bardziej zdaje się nim być; kiedy staje na szczycie, horyzont jego się zacieśnia. W tej chwili Marek, choć sam się tego nie domyśla, jest jeszcze w posiadaniu owego daru magicznego jasnowidzenia. Nigdy jeszcze nie był tak blisko Anetki – i wiele lat upłynie, zanim znów tak blisko niej się znajdzie.

Pod koniec tego okresu pociąg stał się silniejszy od nieufności. Nie opierał się już nagłym porywom, rzucającym go w ramiona matki, do której tulił się twarzą, oczyma, ustami. Anetka z uniesieniem odkryła, że dziecko ją kocha. A już straciła nadzieję.

Upłynęło kilka miesięcy, rozkosznych jak młoda wzajemna miłość. Miodowy miesiąc bliskości matki i dziecka Zachwycająco czysta miłość – cielesna jak wszelka miłość, ale bez-grzesznie cielesna. Żywy kwiat róży...

Już mija. Już minęła godzina jedyna. Przeminięły te lata najbliższej wspólnoty, surowej dyscypliny, zamkniętego życia. Bogate lata... Anetka w pełni sił, nienaruszona, nieskalana.

Dziecko w pełnym rozkwicie swego małego wszechświata...

Ale do zmacenia tej harmonii dusz wystarczy powiew najlżejszy... Czy drzwi domknięte?...

Ranek niedzielny. Anetka była sama w domu, Marek z jakimś kolegą grał w piłkę w Ogrodzie Luksemburskim. Anetka nic nie robiła. Była szczęśliwa, że w tym dniu spoczynku może sobie tak bez ruchu, bez słowa siedzieć spokojnie w fotelu. Strumień jej myśli wił się w me-andrach. Znużona, pozwalała mu się unosić. Ktoś zapukał do drzwi. Zawahała się, czy otworzyć. Zmącić tę chwilę ciszy?... Nie poruszyła się. Znów zapukano i zadzwoniono natarczywie. Wstała niechętnie, otworzyła... Sylwia! Nie widziały się już od miesięcy. Pierwszym odruchem Anetki była radość – i Sylwia na widok serdecznego wyrazu jej twarzy odpowiedziała tym samym. Potem wróciła im pamięć uraz wzajemnych, napiętych stosunków... Poczują się skrupowane. Zamieniły grzecznościowe pytania i odpowiedzi na temat zdrowia.

Mówiły sobie ty – i tak pytania jak odpowiedzi zamieniane były w tonie zażyłości. Ale serca pozostawały chłodne. Anetka myślała: „Po co ona właściwie przyszła?” – a Sylwii, jeśli nawet wiedziała, nie pilno było przyznać się do tego. Rozmawiając o tym i owym była widocznie zaprzętnięta jedną tylko myślą, której wypowiedzenie starała się opóźnić, a która jednak w końcu musiała wyjść na jaw. I w końcu rzeczywiście powiedziała nagle:

– Anetko, skończmy już z tym! Były winy po obu stronach.

Ale dumna Anetka nie poczuwała się do winy. Silna, zbyt silna poczuciem swej słuszności i nie mogąc zapomnieć doznanej krzywdy odrzekła:

– Z mojej strony nie ma żadnej winy.

Sylwia nie lubiła wychodzić w pół drogi, gdy druga strona nie wyruszała naprzeciw. Powiedziała z rozdrażnieniem:

– Jeśli się popełniło winy, trzeba przynajmniej mieć odwagę je uznać. – Uznaję, ale twoje

– z uporem odrzekła Anetka.

Sylwia, rozgniewawszy się, wyrzuciła z siebie nagromadzone od dawna zarzuty. Anetka odpowiadała tonem wyższości. Były bliskie powiedzenia sobie najtwardszych prawd. Sylwia z natury niecierpliwa, już podniosła się, aby odejść; ale siadła z powrotem i rzekła:

– A to uparty kozioł! Nie ma sposobu skłonić ją do przyznania, że nie miała racji!

168

– Kiedy to nieprawda! – odcięła nieprzejednana Anetka.

– No, to przynajmniej przez grzeczność, żeby nie wyglądało, że ja tylko nie mam racji!

Roześmiały się.

Patrzyły teraz na siebie wzrokiem uspokojonym i drwiącym. Sylwia wykrzywiła się do Anetki. Anetka mrugnęła do niej. Jednak nie składały broni.

– Diablico! – powiedziała Sylwia.

– Nie zgadzam się... – odrzekła Anetka. – To właśnie ty...

– Dość już, nie zaczynajmy na nowo!... Posłuchaj, ja jestem szczerą: słusznie czy niesłusznie, sama z siebie nie byłabym tu przyszła. Ja także nie zapominam...

I na przekór wszystkiemu, co powiedziała przed chwilą, zaczęła zazdrośnie przypominać, na poły błaznując na pół serio, z mieszaniną urazy i drwiny, że Anetka próbowała zawrócić głowę jej mężowi. Anetka wzruszyła ramionami.

Ostatecznie – zakończyła Sylwia – możesz być pewna, że gdyby chodziło tylko o mnie, nie byłabym tutaj przyszła.

Anetka, zaciekawiona spojrzała na nią pytająco. Sylwia powiedziała:

– Odetka mnie przysyła.

– Odetka?

– Tak. Pyta, dlaczego ciocia Anetka nigdy teraz nie przychodzi.

– Jak to! Pamięta o mnie? – zdziwiła się Anetka. – A któż mnie jej przypomniał?

– Nie wiem. Zobaczyła u mnie twoją fotografię. A poza tym musiałaś, jak przypuszczam, zrobić na niej silne wrażenie, gdy ją spotkałaś – już nie wiem gdzie, na ulicy. czy w domu...

Intrygantko! Niby to obojętna mina, chłodny sposób bycia, ale dobrze znasz się na sztuce zabierania ludziom serc!

(Mówiła to tylko na pół żartobliwie.)

Anetka przypominała sobie delikatne ciało, które przy przypadkowym spotkaniu chwyciła w ramiona, i małe wilgotne usta tulące się do jej policzka. Sylwia mówiła dalej:

– Powiedziałam jej wreszcie, żeśmy się pogniewały. Zapytała, dlaczego. Odpowiedziałam jej: „Będziesz mi cicho!” Dziś rano, gdy przyszedłam ją uściskać w łóżeczku, mała powiada do mnie: „Mamusiu, ja bym chciała, żebyśmy się nie gniewały z ciocią Anetką.” A ja na to: „Daj mi święty spokój!” Ale widziałam, że jej przykro. Więc pocałowałam ją i mówię: „Tak ci bardzo zależy na tej ciotce? Cóż cię to może obchodzić? Też pomyśl!... Ale jeśli ci tak bardzo na tym zależy – no... to nie będziemy się już gniewać.” Zaczęła klaskać w rączki i zawołała:

„Kiedy ona tu przyjdzie?!” – „Jak będzie miała ochotę.” – „Nie, ja chcę, żebyś zaraz poszła jej powiedzieć, żeby przyszła.” I poszłam. Ach, to ziółeczko! Robi ze mną, co się jej tylko podoba... Teraz musisz przyjść. Czekamy na ciebie z obiadem, Anetka spuściła oczy, nie odpowiadając ani tak, ani nie. Sylwia oburzyła się:

– Mam nadzieję, że masz na tyle serca, by nie dać się prosić!

– Tak – odrzekła Anetka podnosząc promienne oczy, w których błyszczały łzy.

Uściskały się namiętnie. W odruchu miłości i gniewu Sylwia żartobliwie ugryzła Anetkę w ucho. Anetka krzyknęła:

– Ach, ty! To ty teraz kłasasz? Gdybym to jeszcze ja zrobiła, ja, którą wszyscy mają za na-rwaną! Ale ty! Chyba się wściekłaś?

– Tak, jestem wściekła – odpowiedziała Sylwia. – Jakże chcesz, bym mogła nie czuć do ciebie

nienawiści? Kradniesz mi wszystko, co mam, mojego męża, moją córkę...

Anetka wybuchnęła śmiechem.

– Schowaj sobie twojego męża! Nie dbam o niego!

– Ja także nie dbam – odpowiedziała Sylwia. – Ale on jest mój i nikomu nie pozwolę go tknąć!

– Umieść napis ostrzegawczy!

169

– Na tobie go umieszczę... Ty brzydactwo! Co ty masz w sobie takiego, że ich tak pociągasz? Kochają cię wszyscy...

– Ależ nie.

– Ależ tak. Odetka, Leopold, ten cymbał... I inni... Wszyscy. I ja też!... Nie cierpię cię.

Chciałby się człowiek ciebie pozbyć, a nie może. Nie ma sposobu! Trzymasz, nas!...

Trzymały się za ręce i śmiały się patrząc na siebie, tym razem już po bratersku.

– Moja staruszko!

– Nie wiesz, jak słusznie to mówisz!

I rzeczywiście, postarzały się obie. Obie to zauważyły. Sylwia pokazała ukradkiem sztuczny ząb, który dała sobie wprawić, tak aby nikt tego nie dostrzegł. Anetka zaś miała na skroni pasmo siwych włosów. Ale nie kryła się z tym.

– Pozerka! – powiedziała Sylwia.

I oto znów stały się bliskie sobie jak niegdyś! I pomyśleć, że gdyby nie ta mała, nigdy by się już nie zobaczyły!

Wieczorem Anetka przyszła z Markiem na obiad. Odetka schowała się i nigdzie nie można było jej znaleźć. Anetka wybrała się na poszukiwania. Znalazła ją wreszcie, ukrytą za firanką.

Schyliwszy się, żeby ją objąć, przysiadła na podłodze i mówiąc pieszczotliwe słowa wycią-

gnęła do niej ręce. Mała odwracała główkę, nie chciała patrzeć. A potem nagle nastąpił wybuch; rzuciła się Anetce na szyję. Przy stole, gdzie miała szczęście siedzieć obok ciotki, nie odzywała się wcale: wielkość wydarzenia odebrała jej mowę. Dopiero pod koniec obiadu zainteresowała się deserem. Pito za pomyślność odnowionej przyjaźni – i Leopold wzniosł żartobliwy toast na cześć przyszłego małżeństwa Marka i Odetki. Marek uczył się tym dotknięty: ambicje jego sięgały wyżej.

Odetka zaś wzięła to na serio. Po obiedzie dzieci próbowały ba-wić się razem, ale nie mogły dojść do porozumienia. Marek zachowywał się pogardliwie, Odetka czuła się tym upokorzona. Rodzice, zajęci rozmową, usłyszeli uderzenia i płacz. Rozdzielono walczących. Oboje boczyli się. Odetka była zdenerwowana wzruszeniami dnia.

Trzeba ją było położyć. Opierała się, nadąsana. Ale Anetka zaproponowała, że sama zanieś ją do łóżka – i dziecko pozwoliło się wziąć. Anetka rozebrała ją i ułożyła ucałowawszy jej tłuściutkie nóżki. Odetka była zachwycona. Anetka pozostała przy niej, dopóki nie zasnęła (co zresztą wkrótce nastąpiło) – i znajdując Marka na kolanach Sylwii, zapytała:

– Chcesz, żebyśmy się zamieniły?

– Zgoda – odpowiedziała Sylwia.

Lecz w głębi serca żadna z nich nie byłaby się zgodziła na zamianę. A jednak Marek byłby może bardziej odpowiadał Sylwii, Odetka zaś Anecie. Cóż, kiedy to nie było „to własne”.

Dzieciom bardziej niż matkom podobał się pomysł zamiany. Usłyszawszy o niej żartobliwą wzmiankę, zaczęły się jej domagać. Żeby im sprawić przyjemność, przychyłono się do ich prośby.. Zamiana między dwiema matkami następowała w sobotę wieczór. Odetka spędzała noc z soboty na niedzielę i cały dzień niedzielny u Anetki, Marek u Sylwii. W niedzielę wieczór oboje wracali do właścicielek. W czasie bezkrólewia psuto ich niegodziwie. I – co zresztą jest zupełnie naturalne – oboje wracali do domu nadąsani. Co mieli najlepszego w sercu, chowali dla tej, która nie była matką „na co dzień”.

Odetka wprowadzała Anetkę w zachwyt swą pieśczołliwością, dziecinnymi zwierzeniami i ciągłą paplaniną. Anetka była tego pozbawiona. Marek miał wprawdzie namiętny temperament matki, ale lepiej umiał go tłumić; nie lubił odsłaniać się, zwłaszcza przed najbliższymi, bo nadużywali tego. Przed obcymi to mniej niebezpieczne: pojmują zazwyczaj fałszywie...

Odetka była pieśczołliwa i wylewna jak Sylwia, ale miała bardzo kochające serce. Głośno wypowiadała wszystko, co Anetka pragnęła słyszeć. Sprytna mała zorientowawszy się w tym, zdwajała dozę; budziła echa tego, co Anetka myślała będąc dzieckiem. Przynajmniej Anetka tak to sobie wyobrażała – i kochała Odetkę po części za to, że echa te wywoływała. Przysłu-170

chując się jej śniła o swych najmłodszych latach, których obraz nieświadomie fałszowała, rzucając nań gorące światła swoich dzisiejszych myśli...

Te kochane poranki niedzielne! Mała leżała na dużym łóżku (było to święto dla niej, gdy mogła spędzić noc wtulona w ramiona ciotki, która bez drgnienia przyjmowała jej kopanie i nie śmiała odetchnąć, lękając się, by jej nie obudzić), patrzyła na ubierającą się Anetkę i szczebiotowała jak wróbel. Mając już całe łóżko dla siebie i chcąc zaznaczyć, że wzięła je w posiadanie – leżała w poprzek i poza plecami Anetki wyprawiała przeróżne szaleństwa. Ale Anetka, chesząca się przed lustrem, śmiała się dostrzegając wierzgające w powietrzu gołe nóżki i leżącą na poduszce ciemną rozczochraną główkę. To wszystko nie przeszkadzało Odetce śledzić każdy gest ciotki i wygłaszać komiczne uwagi o jej toalecie. W trakcie szczebiotania miewała niespodziane, dalekie jakieś i

poważne refleksje, które, sprawiały, że Anetka nadstawiała uszu:

– Coś ty takiego powiedziała? Powtórz! Ale Odetka już nie pamiętała... I wtedy wymyślała inne powiedzenia, które nie były warte poprzednich. Albo znów miała nagle porywy czułości:

– Ciociu Anetko! Ciociu Anetko!

– No, cóż? Co takiego?

– Uwielbiam cię... O Boże! Jak ja cię uwielbiam! Anetka śmiała się z energii, którą mała wkładała w swe słowa.

– Niemożliwe!”

– Ach, kocham cię do szaleństwa!

(Bo nawet będąc Szczera, była jednak z natury komediantką.)

– Ba!... A ja wolę bez szaleństwa. – Ciociu Anetko, ja chcę cię pocałować.

– Za chwilę.

– Natychmiast! Ja chcę. Chodź, chodź!

– Zaraz.

I Anetka spokojnie kończyła się czesać.

Odetka, rozzalona, przewracała się po łóżku rozrzucając; pościel na wszystkie strony.

– Ach, ta kobieta nie ma serca!

Anetka, wybuchając śmiechem, rzucała grzebień i biegła do łóżka.

– Ty małpeczko, gdzieś ty się tego nauczyła?

Odetka całowała ją gwałtownie.

– No już... No już... Dusisz mnie... Masz! Rozrzuciłaś mi włosy!... Kiedyż ja dziś skończę z tym ubieraniem? Ty potworku, nie chcę cię już znać!

Głos dziewczynki stawał się trwożliwy. Była bliska płaczu:

– Ciociu Anetko, kochaj mnie! Chcę, żebyś mnie kochała. Błagam cię, kochaj mnie! Anetka tuliła ją w ramionach:

– Ach! – wzdychała patetycznie Odetka. – Oddałabym za ciebie moją krew!

(Zdanie z powieści odcinkowej, którą czytano w pracowni.) Marek, gdy był świadkiem tych wybuchów, wkładał ręce do kieszeni i z pogardliwym grymasem, wzruszając ramionami, odchodził z miną wyższości. Pogardzał tym całym gadul-stwem, tym sentymentalizmem kobiet, które mówią wszystko. Jak to oświadczył jednemu ze swoich kolegów:

– Te baby są beznadziejne...

W istocie czuł się dotknięty oznakami czułości, których matka jego nie szczędziła Odette: gdy sam był ich przedmiotem, odpychał je, ale nie podobało mu się, że ktoś inny z tego korzystał.

Miał wprawdzie ciotkę, u której mógł szukać odwetu – i rzeczywiście go znajdował: chcąc ukarać niewdzięczność matki zachowywał się wobec Sylwii dziesięć razy grzeczniej niż kiedykolwiek wobec Anetki. Ale trzeba przyznać, że choć Sylwia rozpieszczała go, Marek czuł

się zawiedziony. Sylwia traktowała go jak dziecko – a tego nie mógł znieść. Nie lubił, by wy-171

obrażała sobie, że sprawia mu przyjemność, prowadząc go co niedzieli do cukierni. Rozumie się, że nie był obojętny na ciastka – ale nie lubił, by go obrażano myśląc, że przywiązuje do nich jakąś wagę. A poza tym czuł aż nazbyt dobrze, że ciotka uważa go za kogoś, z kim nie trzeba się liczyć: nie krępowała się przy nim. Ciekawość Marka znajdowała może dzięki temu zaspokojenie, ale nie jego miłość własna – on zaś wyczuwał tę subtelną różnicę.

Owszem, chętnie zgodziłby się, żeby Sylwia dała mu się poznać w swoim życiu osobistym –

ale jak prawdziwemu mężczyźnie, nie jak dziecku. Wreszcie (do tego jednak nie przyznawał

się chętnie nawet przed samym sobą) przypatrzwszy się Sylwii z bliska, stracił pewne złudzenia. Beztraska dziewczyna nie podejrzewała tego wszystkiego, co budzi się w niewinnym a niespokojnym umyśle dziesięcioletniego chłopczyka – wytworzonej przez niego baśniowej wizji kobiety i urazów, jakie przynoszą mu jego pierwsze odkrycia. W swych gestach i słowach Sylwia nie krępowała się jego obecnością bardziej niż obecnością domowego zwierząt-ka... (Zresztą nic nie przemawia za tym, żeby domowe zwierzę nie miało też czasem czuć się zgorszone!) Chroniąc się instynktownie przed rozczarowaniem, które sprawiało mu jego już zachwiane bożyszcze, zaczynał snuć pewne przedwcześnie dojrzałe i naiwnie cyniczne myśli, których lepiej nie zgłębiać. Starał się wyglądać (w swych własnych oczach: na razie nie my-

ślał o innych) – na zblazowanego człowieka. Ale wszystkimi ślepych zmysłami chciwego i niewinnego dziecka wdychał niespokojnie tajemniczy urok i zwierzęcość istoty kobiecej. Kobieta budziła w nim zmieszane uczucia pociągu i obrzydzenia.

Pociąg. Odraza. Zna je każdy prawdziwy mężczyzna. U Marka w tej godzinie życia góro-wała odraza. Ale ta właśnie odraza miała ostry smak, w porównaniu z którym Markowi mdłe się wydawały wszystkie inne uczucia, jak i wszystkie istoty będące w jego wieku. Odetką gardził – i uważał, że godność jego nie pozwala mu zniżać się do tej małej dziewczynki.

Rzeczywiście bardzo mała dziewczynka, a jednak przedziwnie kobieca. Na przekór teo-riom owych

sławnych pedagogów, którzy dzielą dzieciństwo na ściśle odgraniczone przegródki – po jednej na każdą władzę duszy – w dziecku, od wczesnego dzieciństwa począwszy, mieści się już wszystko, wszystko, czym jest i czym będzie, podwójny Byt teraźniejszo-

ści i przyszłości (nie mówiąc już o Przeszłości, niezmiernie i nieprzeniknionej, która panuje nad tamtymi, nad jedną jak i nad drugą). Tylko że chcąc to dostrzec trzeba nieustannej czujności. W porannym mroku zdradza się to tylko przebłyskami.

U Odetki przebłyski te były częstsze niż przeciętnie bywają u dzieci. Przedwcześnie dojrzewający owoc. Bardzo zdrowa fizycznie, nosiła w sobie mały światek namiętności przerażający ją samą... Skąd się on brał? Gdzieś z daleka, spoza Anetki i Sylwii? Anetka rozpoznawała w nim siebie z czasów, gdy sama była w wieku Odetki. Myliła się jednak, bo sama w tym wieku nie była tak przedwcześnie dojrzała; i kiedy obserwując Odetkę odtwarzała zapomniane namiętności swego własnego dzieciństwa, w dobrej wierze antydatowała uczucia należące do późniejszego okresu czternastu czy piętnastu lat.

Odetka była jak klatka pełnego gorączkowego trzepotu skrzydeł. Wciąż przefruwały tam niewidzialne amorki, rozsnuwając swym lotem grę świateł i cieni. Była na przemian to zadowolona, to rozdrażniona – ni stąd, ni zowąd miała ochotę szlochać, to znów wybuchnąć śmiechem, potem była zmęczona i obojętna na wszystko – aż znów, nie wiadomo dlaczego, jakiś gest czy słowo, które interpretowała sobie na swój sposób, wprawiało ją nagle w radość – i to jaką radość! Zmiażdżona szczęściem lub też upita nim jak drożd, gdy się naje winogron, ga-dała, ga-dała... I frrr!... Znikała nagle nie wiadomo gdzie, aż w końcu odnajdywano ją w jakimś kącie składziku, rozkoszującą się swoim nieznanym szczęściem, którego sama nie była nawet w stanie zrozumieć. Jakby ptaki jej duszy przelatywały tam i z powrotem, jeden po drugim, szybkie jak strzały.

Nie wiadomo nigdy, do jakiego stopnia dzieci są zupełnie szczerze w swoich wzruszeniach: przybywają im one z daleka, z bardziej daleka niż dzieci same – i wobec tego dzieci są pierwszymi zdziwionymi ich świadkami, a potem ich aktorami odgrywającymi je, aby ich doświad-

czyć. Ta możność nieświadomego rozdawania się jest u nich instynktownym działaniem ochronnym, umożliwiającym im znoszenie brzemienia, które bez tego byłoby za ciężkie dla ich wątych barków.

Odetka miewała wobec tej czy innej osoby – a czasem wobec nikogo – nagłe porywy uczucia; spontanicznie dawała im teatralny wyraz, nie zawsze głośno, czasem w cichych monologach, w których sama szukała ulgi; odgrywając uczucia łagodziła wywoływany przez nie wstrząs. Porywy te zwracała najczęściej ku Anecie lub ku Markowi – a także ku obojgu na raz

– i często, myśląc o Marku, mówiła „Anetko”. Bo Marek wyśmiewał się z niej, Marek pogardzał nią – i ona go nie znosiła! Miewała więc paroksyzmy upokorzonego i zazdrosnego cierpienia, pragnęła zemsty... Ale jak to zrobić? W jaki sposób zadać mu ból? Ból jak największy! W czym go osiągnąć?... Niestety! Miała tylko swe dziecięce pazurki! Jakie to smutne!...

Nie mogąc (na razie) nic, udawała obojętność... Ale ciężko było nic nie móc; a ciężko także udawać obojętność, gdy ciągle miało się ochotę śmiać lub płakać. Taki przymus przeciwny był naturze; Odetka czuła się przybita i wyczerpana – do chwili, gdy nagłe, władcze przebudzenie jej dziecięcej

wesołości i potrzeba ruchu rzucały ją z powrotem w wir zabawy.

Anetka obserwowała ją i odgadywała – wymyślała po trochu – jej miniaturowe rozpacze, z litością wspominając swe własne. Jakże gorączkowo szafowała nimi sama, kochając, trapiąc się i pragnąc. I dla kogo to, i po co? Czy było warto? Cóż za dysproporcja w stosunku do ograniczonych możliwości natury! Trwonicielka sił! Na los szczęścia rozdaje siły kochania!

Jedni mają ich za wiele, inni za mało. Anetka zaliczała siebie i Odetkę do tych, co mają za wiele, a syna do tych, którzy mają zbyt mało. On był tym szczęśliwszym. Biedaczek!...

A on nie był znów taki bardzo biedny! Ani jego życie uczuciowe nie było uboższe niż Odetki, ani bieg sprzecznych myśli mniej żywy (tylko że ich nie wypowiadał), ani porywy serca mniej gwałtowne (choć zwracał je w innym kierunku). Tak, on był obojętny na to wszystko, czym zajmowały się kobiety – ale umysł jego był targany zupełnie innymi namięt-nościami. Bogatszy umysłowo i znacznie mniej zajęty powolniej budzącymi się zmysłami, mały ów mężczyzna wyczuwając mroczny przypływ Pożądania, jak prawdziwy mężczyzna siły jego obracał ku działaniu i władzy. Marzyły mu się zdobycze tak wspaniałe, że w porównaniu z nimi zdobycie serca kobiety wydałoby mu się czymś bardzo marnym, gdyby w ogóle w tym okresie dzieciństwa przyszło mu to do głowy. Chłopcy poprzednich generacji marzyli o żołnierzach, o dzikich, o piratach, o Napoleonie, o przygodach morskich. Marek marzył o samolotach, samochodach i telegrafie bez drutu. Myśl współczesnego świata krążyła wokół niego w zawrotnej sarabandzie. Opanowana gorączką ruchu drżała cała planeta; wszystko pędziło, latało, pruć powietrze i wody, kręciło się, wirowało. Szaleńcza magia wynalazków przeistaczała żywoiły. Nie było już granic możliwościom, a więc i chęciom! Przestrzeń i czas rozwiewały się („hokus-pokus”), zniweczone przez szybkość. Nie liczyły się już. A ludzie jeszcze mniej od nich. Liczyła się tylko Wola, nie ograniczona niczym Wola! Marek znał

zaledwie najbardziej elementarne podstawy współczesnej wiedzy. Czytywał nie rozumiejąc czasopisma naukowe abonowane przez Anetkę. Ale nawet nie rozumiejąc skąpany był od urodzenia w cudowności wiedzy. Anetka nie dostrzegała tego, gdyż sama zapoznała się z nią na drodze nauki; oddychanie wiedzą nigdy nie było u niej naturalną życiową funkcją. Widziała cyfry i figury rysowane kredą na tablicy, widziała tok rozumowania. Marek tworzył

wyobraźnią jakieś siły bajeczne. Nie był skrępowany rozumem i dlatego właśnie dawał się unosić liryzmowi równie nieokreślonego i płomiennemu jak ów, który wzdymał żagle Argo-nautów³⁷. Chłopiec obmyślał nadzwyczajne wyczyny: przewiercić na wylot tunelem cały glob ziemski; wznieść się w powietrze bez motoru, połączyć Marsa z Ziemią, jednym naciśnięciem guzika wysadzić całe Niemcy – albo jakieś inne państwo (nie miał tu specjalnych upodobań!).

Tajemniczymi słowami, jak volty, ampery, rad, karburator, używanymi z wyrazem pewności ³⁷ Argonauci – w mitologii greckiej bohaterzy, którzy pod przewodem Jazona na okręcie Argos wyruszyli w świat w poszukiwaniu złotego runa.

siebie, a na chybił trafił, wyczarowywał bajki z tysiąca i jednej nocy. Jakżeż, u licha, mogłaby myśleć

jego zniżyć się z tych wyżyn do małej, głupiej dziewczynki?

Ale ciało i myśl to dwoje bliźniąt idących nierównym krokiem. Gdy równolegle wzrastają, zawsze jedno z nich (lecz nie zawsze to samo) pozostaje w tyle, drugie zaś wybiega naprzód.

Ciało Marka było wciąż jeszcze ciałem dziecka – i podczas gdy umysł jego bujał w górnych regionach, nitka jakaś trzymała go za nóżkę i sprowadzała znów na niziny, gdzie tak przyjemnie jest się bawić. Wówczas, w braku czegoś lepszego, zniżał się do zabawy – albo też bez zniżania się całym sercem bawił się z tą głupią małą dziewczynką. Były to szczęśliwe an-trakty.

Nie trwały one długo. Za dużo było różnic między tym dwojgiem dzieci. Nie tylko że wiek ich był inny i że Odetka była dziewczynką – ale i temperamenty ich zbytnio się różniły. Odetka, nieładna, podobna raczej do ojca, miała oczy Anetki i dobrą, okrągłą, pyzată twarzyczkę o trochę spłaszczonym nosku. Była silnym, zdrowym dzieckiem, a żar jej uczuć, nie zamącając bynajmniej równowagi fizycznej, robił wrażenie wyzywającego się naturalnie nadmiaru sił

żywotnych. Szczęśliwie uszła wszystkim drobnym dolegliwościom dziecięcego wieku. Marek, przeciwnie, naznaczony był piętnem choroby przebytej w pierwszym roku życia i choć w późniejszych latach silny jego organizm wziął górę, to walka z chorobą, w której często by-wał pokonany, zepsuła mu część dzieciństwa. Nadal najmniejsze przeziębienia były niebezpieczne dla jego zdrowia; lekkie nawroty bronchitów i gorączki często zatrzymywały go w łóżku. Jego miłość własna cierpiała nad tym, bo wszystkie jego instynkty zwrócone były ku dumie i sile.

Około roku 1911, w rok po pogodzeniu się obu sióstr, Marek zapadł na jedną z owych zimowych chorób, komplikację grypy, co stało się powodem przejściowego niepokoju.

Odetka przyszła odwiedzić chorego. Zabroniono jej tego w obawie przed zarażeniem, ale gdy pewnego wieczoru obie matki zajęte były w sąsiednim pokoju, znalazła sposób, by wkraść się do Marka. Okazała mu żywe współczucie i Marek, który miał trochę gorączki, odpowiedział taką szczerością, jak nigdy dotychczas. Był zaniepokojony.

– Co one mówią, Odetko?

(Wyobrażał sobie, że ukrywają przed nim, jak ciężka jest jego choroba.)

– Nie wiem. Nic nie mówią.

– A co powiedział lekarz?

– Powiedział, że to nic.

Marka uspokoiło to trochę, ale był nadal nieufny.

– Czy to prawda? Nie, to nieprawda. Coś kryją przede mną... Ja dobrze wiem, co mi jest.

– A co ci jest?

Milczał.

– Marku, co tobie jest?

Zamknął się w dumnym i nieprzyjaznym milczeniu. Odetka była przerażona. W końcu uwierzyła, że jest ciężko chory. Niepokój jej udzielił się Markowi. Z namiętną przesadą przybierającą melodramatyczne formy Odetka złożyła rękę:

– O Marku, ja cię błagam, nie bądź tak bardzo chory! Ja nie chcę, żebyś umarł!

Nie miał na to najmniejszej ochoty. Lubił, by go żalowano, ale nie wymagał aż tyle! Gdy usłyszał to, czego się obawiał, zmroził go strach. Nie chciał dać tego poznać po sobie, a jednak dał poznać.

– A widzisz, ukrywałaś przede mną!... Ty wiesz... Więc jestem ciężko chory?

– Nie, nie, ja nie chcę, ja nie wiem, ja nie chcę, żebyś był ciężko chory... O Marku, nie umieraj! Jeżeli umrzesz, chcę umrzeć razem z tobą!

Płacząc rzuciła mu się na szyję. Był bardzo wzruszony i także płakał, choć nie wiedział

czy to z powodu jej, czy też siebie. Na ten hałas przybiegły mamusie i łajac rozdzielili ich. W

owej chwili czuli się sobie bardzo bliscy...

174

Ale nazajutrz rano Marek zdążył się zastanowić. Nie czuł już niepokoju, a nawet (wyśmiano go, by rozwiać jego obawy) złościło go, że się okazał tchórzem; miał pretensję do Odetki, że to ona swoim głupim niepokojem doprowadziła go do okazania słabości. A poza tym (słyszał jej śmiech i widział, jak chodziła tryskająca zdrowiem) miał do niej żal za to zdrowie. Za dużo go miała. Zazdrościł jej i czuł się zawstydzony.

Długo jeszcze po wyzdrowieniu trwało w nim uczucie upokorzenia, że tak zdradził się w oczach kuzynki. Irytowało go to tym więcej, że naprawdę się przestraszył. A ona to widziała.

Odetka, ze swej strony, ochłonawszy z pierwszego wzruszenia zachowała trochę złośliwe wspomnienie tego epizodu. Ujrzała Marka bez szcudeł – wystraszonego, małego chłopczyka.

Kochała go za to tym bardziej. A nie mógł jej tego przebaczyć.

Marek powrócił do zdrowia. Odetka wyglądała kwitnąco. W ciągu minionego lata z dumą przystąpiła do pierwszej komunii. (Było to w tej epoce, kiedy kościół jak Ariostowy Jokond³⁸

w pościgu za niewinnością, wężąc swym wielkim, nieufnym nosem, jaki wiatr dziś wieje, uznał, że nie ma jej już po siódmym roku życia.) Odetka uważała się za dojrzałą kobietę i dokładając starań, by

na taką wyglądać, miarkowała swą gwałtowność koźlęcia na postronku; ale co chwila rogate zwierzątko jednym susem wrywało się z rąk... Sylwia była szczęśliwa, interesy szły dobrze. A także i Anetka, która przy ognisku siostry zaspokajała potrzebę serdeczności, przytłumioną już trochę przez wiek i przeżycia, dotarła, zdawać się mogło, do spo-kojniejszej strefy. Wszystko napełniało ufnością.

Ciepłe popołudnie, pomiędzy godziną trzecią a czwartą... Koniec października... Jeden z tych promiennych dni, kiedy światło niczym nie przesłonięte zdaje się równie nagie jak ogo-

łoczone z liści drzewa. Okna stały otworem, aby wpuścić promienie jesiennego słońca, słodkie i złote jak miód. Nazajutrz przypadała ósma rocznica urodzin Odetki. Anetka była u Sylwii.

W pokoju od podwórza obie siostry, rozgadane i pochłonięte swym zajęciem, oglądały wspólnie jakieś materiały. Odetka była po drugiej stronie korytarza, w ostatnim pokoju wychodzącym na ulicę. Przed chwilą mała ciekawska wsunęła nosek przez uchylone drzwi, aby zobaczyć, co się dzieje. Odprawiono ją przykazując surowo wykonanie jakiejś niewielkiej pracy, zanim wszyscy razem siądą do podwieczorku. Marek był w szkole, za pół godziny spodziewano się jego powrotu.

Czas płynął równo, gładko, bez najmniejszej zmarszczki, bez pośpiechu, jak gdyby miał

płynąć tak przez całe życie. Wszyscy czuli się dobrze, ale nikomu nie przychodziło na myśl rozkoszować się tym: było to tak naturalne! Na podwórzu, w bluszczu pokrywającym mur, świergotały szczęśliwe wróble. Ostatnie jesiennie muchy brzęczały z zadowolenia, wygrzewając w cieple ostatnich słonecznych dni swoje zdrętwiałe skrzydełka.

Nie dosłyszały nic... Nic. A jednak w tej samej chwili obie zamilkły, jak gdyby zerwała się krucha nieć, na której wisiało ich szczęście...

Ktoś zadzwonił.

– Czyżby już Marek? Nie, to za wcześnie. Zadzwoniono znów zastukano... Ależ się komuś spieszy! Zaraz, zaraz!

Sylwia poszła otworzyć, Anetka szła za nią o kilka kroków. W drzwiach dozorczyńi krzyczała bez tchu, wymachując rękami. Zrazu nie zrozumiały nic.

– Pani nic nie wie... Co za nieszczęście się stało... Mała panienka...

– Kto?

– Panna Odetka... biedactwo małe...

38 Jokond – bohater XXVIII pieśni Orlanda szalonego Ariosta, przekonawszy się o niewierności swej młodej żony, rzucił się w wir przygód miłosnych, nadaremnie szukając kobiety, która zdołałaby mu się oprzeć.

– Co? Co takiego!?! – Spadła...

– Spadła!

– Jest na dole.

Sylwia zawyła. Odepchnęła dozorczynię i pędem zbiegła po schodach. Anetka chciała biec za nią, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Musiała odczekać, aż serce pozwoli jej iść. Była jeszcze na górze, oparta o poręcz schodów, gdy z ulicy doszedł ją dziki krzyk Sylwii.

Cóż, się właściwie stało? Odetka, która na ogół pracowała dosyć niechętnie, musiała prawdopodobnie, myszkując, zbijając bąki, podejść do okna, żeby wyjrzeć, czy idzie Marek –

i wychyliła się. Biedne dziecko nie miało nawet czasu zrozumieć... Gdy Anetka, słaniając się na nogach, znalazła się wreszcie na ulicy, ujrzała zbiegowisko i Sylwię jakby obłąkaną, a w jej ramionach bezwładne ciało, z nóżkami i główką zwisającymi jak u zabitego jagnięcia.

Ciemne runo włosów zakrywało strzaskaną czaszkę. Widać było tylko trochę krwi koło no-sa... Oczy, otwarte jeszcze, zdawały się pytać... Odpowiedziała im śmierć.

Anetka byłaby się rzuciła na ziemię krzycząc z przerażenia, gdyby dzika furia Sylwii nie wchłonęła całego bólu świata. Sylwia upadła kolanami na bruk i niemal leżąc na dziecku to podnosiła je, to potrzasała z rozpaczliwym krzykiem. Wołała je, wołała, lżyła... Kogo? Co?

Niebo, ziemię... Pieniła się z rozpacz i nienawiści...

I po raz pierwszy Anetka ujrzała w swej siostrze te szalone namiętności, które Sylwia nie-

świadomie nosiła w głębi swej istoty, a których rozpętania dotychczas oszczędziło jej życie. I poznała je jako będące z jej krwi.

Nadmiar tej rozpacz nie pozwolił Anetce oddać się swej własnej. Przeciwnie, musiała być spokojna i silna. Dopięła tego. Ujęła Sylwię za ramiona. Miotła się krzycząc przeraźliwie, ale Anetka schyliwszy się nad siostrą podniosła ją i Sylwia, ulegając tej łagodnej stanowczo-

ści, umilkła, uniosła głowę, zobaczyła stojących wokół ludzi, spojrzała na nich dzikim wzrokiem i z dzieckiem na rękach, bez słowa, poszła do domu.

Właśnie wchodziła w bramę, gdy idąca za nią Anetka spostrzegła na rogu ulicy zbliżające-go się Marka. I mimo całej zranionej miłości, którą miała dla biednej małej, serce Anetki aż podskoczyło w jej piersi:

„Co za szczęście, że to nie on!”

Podbiegła do Marka, chcąc nie dopuścić do tego, by zobaczył. Marek po pierwszych słowach zbladł i zacisnął zęby. Odprowadziła go na bok. Powiedziała mu, że Odetka jest ciężko ranna, ale on nieufną intuicją dziecka zrozumiał, że nie żyje – iż zaciśniętymi pięściami usi-

łował odepchnąć tę straszną myśl. Mimo wzburzenia był wciąż zajęty sobą, swoim zachowaniem i przechodzącymi ludźmi. Zauważył, że matka z gołą głową idzie ulicą obok niego i że ludzie na nich patrzą: był tym zmieszany. To przykre uczucie sprawiło, że się uspokoił. Anetka, widząc go bardziej opanowanym, w połowie drogi kazała mu wracać do domu samemu.

Pośpieszyła do Sylwii, która wyczerpana i jakby złamana, siedziała przy łóżku małej zmarłej, nie słysząc ani nie rozumiejąc nic i dysząc głośno jak zranione zwierzę. Pracownicy zajęły się dzieckiem. Anetka obmyła małe ciało, przyoblekła je w świeżą bieliznę i ułożyła na łóżku, tak jak w owe odległe – a wczorajsze – wieczory, odległe o wieczność, gdy przychodziła słuchać szeptanych zwierzeń dziecka. Gdy już skończyła, podeszła do Sylwii i ujęła ją za rękę.

Ręka, wilgotna i zimna, poddała się bezwładnie. Anetka ścisnęła palce, z których życie, zdawałoby się uciekło; i nie miała odwagi szeptać czułych słów, które i tak nie zdołałyby przebić muru rozpacz. Jedynie siostrzany kontakt ich ciał zdolny był zwolna przesączać współczucie. Z czołem opartym o jej policzki objęła Sylwię i łzy Anetki padały kroplami na szyję siostry, jak gdyby chciała stopić nimi lód ścinający jej serce. Sylwia, milcząca, nie poruszała się, ale palce jej zaczynały już słabo odpowiadać na uścisk siostrzanej dłoni, gdy nadszedł mąż.

Anetka opuściła Sylwię.

Wróciła do Marka i powiedziała mu prawdę. Nie było to dla niego niczym nowym. Nie okazał wzruszenia. Bał się go i chciał zachować spokojny wygląd, lecz na to trzeba było nie

mówić: gdy tylko otworzył usta, głos mu zaczął drzeć. Pobiegł skryć się do swego pokoju, aby tam się wypłakać. Anetka wyczuła intuicją matki, jaką trwogą napęła serce dziecka to pierwsze zetknięcie ze śmiercią, i nie poruszając groźnego tematu, wzięła chłopca na kolana jak niegdyś, kiedy był mały. A on, nie myśląc skarżyć się, że go traktują jak malca, schronił

się w ciepło matczynych objęć. Gdy uspokoił się już, ukołysawszy swój lęk i czując, że bronić się będą we dwoje, ułożyła go do snu i prosiła, żeby był dzielnym małym mężczyzną i nie bał się, gdyby musiała odejść i zostawić go samego przez część nocy. Zrozumiał i przyrzekł.

Wyruszyła nocą w powrotną drogę do tragicznego domu. Chciała czuwać przy małej zmarłej. Sylwia otrząsnęła się z ponurej nieczułości. Nie wpadła ponownie w szaleńczą rozpacz pierwszej chwili, ale widok jej był niemniej przykry. Coś pomieszało się w jej głowie.

Na jej wargach Anetka dostrzegła uśmiech. Słyszając ją wchodzącą do pokoju, Sylwia podniosła oczy, spojrzała na siostrę, podeszła do niej i rzekła:

– Śpi.

Wzięła ją za rękę i zaprowadziła do łóżka.

– Popatrz, jaka ona śliczna!

Twarz Sylwii promieniała, lecz Anetka dostrzegła, jak cień niepokoju przesunął się po jej czole. I gdy po chwili Sylwia powtórzyła półgłosem:

– Dobrze śpi, prawda?

Anetka wyczytała w jej rozgorączkowanych oczach oczekiwanie, by odrzekła:

„Tak jest. Śpi.”

I powiedziała to.

Poszły usiąść razem w przyległym pokoju, gdzie był mąż i jedna z pracownic. Silili się na rozmowę, by zająć czymś uwagę Sylwii. Ale zraniona jej myśl uciekała, skacząc z tematu na temat i nie zatrzymując się na niczym. Wzięła do rąk jakąś robotę, którą co chwila rzucała, brała i znów rzucała, by wsłuchiwać się w ciszę tamtego pograżonego we śnie pokoju, i wo-dząc oczyma po obecnych, żeby ich... żeby siebie przekonać, powtarzała:

– Jak ona śpi!...

Raz jeden podeszła do łóżeczka i pochylona nad dzieckiem przemawiała doń pieszczotliwie. Dla Anetki było to straszne. Chciała, żeby Sylwia zamilkła. Mąż szeptem błagał ją, by nie naruszała złudzenia.

Złudzenie runęło samo. Sylwia wróciła na swoje miejsce i wzięła się znów do roboty. Milczała. Tamci rozmawiali wokół niej, ale ona już ich nie słuchała. Z kolei i oni zamilkli. Zapadła posępna cisza... Nagle Sylwia krzyknęła. Długi krzyk bez słów. Upadłszy twarzą na stół

tłukła weń głową. Spiesznie usunięto igły i nożyce. Gdy odzyskała mowę, zaczęła lżyć Boga.

Nie wierzyła w Niego, ale trzeba mieć kogoś, na kim by się można mścić! Z błędnym wyrazem w oczach policzkowała Go karczemnymi obelgami...

Nastąpiło wyczerpanie. Zaniesiono ją na łóżko. Nie poruszała się już. Anetka została przy niej, póki Sylwia nie zasnęła.

Wtedy poszła do domu, złamana. Ulice w bladym brzasku... Marek nie spał. Dygocąc z zimna położyła się. Lecz w chwili gdy kładła się do łóżka (to było za wiele, to wszystko, co od dwunastu godzin musiała wycierpieć i zdusić w sobie!) – pobiegła boso, w koszuli do pokoju swego syna i namiętnie zaczęła całować jego usta, oczy, uszy, szyję, ramiona, ręce. Mó-

wiła:

– Mój mały, mój najdroższy maleńki.... Ty mnie nigdy nie opuścisz?

Marek był bardzo wzruszony, zmieszany i zalęknięty.

Płakał z nią razem, bardziej nad sobą niż nad innymi. Nad innymi także. Teraz zdawał sobie już sprawę z tego, co stracił, i opłakiwał ową miłość, której nie chciał. Przypomniawszy sobie ów wieczór, kiedy był chory i Odetka przyszła do niego. Przeniknęła go czułość i smutek. I pomyślał:

„A jednak ja żyję.”

177

Anetka drżała na myśl, że przyjdzie jej znów przeżywać dzień podobny do wczorajszego.

Nie starczyłoby jej na to sił. Lecz to, co nastąpiło, nie miało już przerażającej gwałtowności poprzednich godzin. Cierpienie ludzkie, gdy dojdzie do szczytu napięcia, z konieczności opada. Człowiek umiera – lub przyzwyczajają się.

Sylwia odzyskała panowanie nad sobą. Śmiertelnie blada, naznaczona w kątach nozdrzy i ust jakimś twardym rysem, który zacierając się z czasem, pozostawił jednak swoje piętno –

była spokojna, czynna, zajęta wraz z pracownikami przykrawaniem i szyciem żałobnych sukien. Wydawała rozkazy, doglądała, sama pracowała – i ręce jej były równie pewne i dokładne jak jej oko. Siostrze sama przymierzyła suknię. Anetka bała się każdego słowa, które mogłoby przypomnieć o pogrzebie, ale Sylwia pierwsza zimno zaczęła o tym mówić. Nikomu nie powierzyła troski zajęcia się szczegółami. Sama załatwiła wszystko i do końca ceremonii zachowała ów wymuszony spokój. Tylko z zimną wściekłością przeciwstawiła się jakimkolwiek obrzędom religijnym. Nie przebaczała! Dotychczas była raczej niewierząca, obojętna, ale nie wroga. Patrząc na swą śliczną córeczkę w białej sukience przyjmującą pierwszą komunię, czuła się wzruszona, mimo że śmiała się i nie przyznawała do tego. Właśnie! Została oszukana. Nikczemny!... Nie przebaczyła nigdy.

Anetka liczyła się ,z tym, że nieludzki przymus, który nałożyła sobie Sylwia, okupiony bę-

dzie po powrocie do domu nowym atakiem rozpacz. Ale Anetce nie było dozwolone pozostać przy siostrze. Sylwia twardo zakazała jej tego. Nie mogła znieść obecności Anetki...

Anetka miała swego syna!

Nazajutrz zaniepokojony mąż przyszedł powiedzieć Anetce, że Sylwia w nocy wcale się nie położyła. Nie płakała, nie narzekała, ale dręczyła się w milczeniu. Nieubłaganie podjęła swą pracę: to był obowiązek mechaniczny, nakaz silniejszy niż życie. Jaki był jej prawdziwy stan, można się było zorientować tylko z pewnych przypadków, omyłek, które się jej dawniej nigdy nie zdarzały: to jakaś suknia źle skrojona, którą potem bez słowa niszczyła; to znów skaleczyła się w palec nożycami. Zdołano ją namówić, by w nocy się kładła – ale nie śpiąc siedziała w łóżku i nie odpowiadała, gdy do niej mówiono.

Codziennie rano, przed pojawieniem się w pracowni, odwiedzała cmentarz.

To trwało dwa tygodnie. Potem znikła. Było to po południu. Przyszły klientki, czekały.

Nadszedł czas kolacji, jej nie było. Minęła dziesiąta, jedenasta. Mąż obawiał się jakiegoś aktu rozpacz. Wróciła około godziny pierwszej i tej nocy spała. Nic nie można się było od niej dowiedzieć. Ale nazajutrz wieczorem znów zniknęła; i następnego dnia to samo. Teraz już

rozmawiała, robiła wrażenie odprężonej. Ale nie powiedziała, dokąd chodzi. Pracownice plotkowały. Pocziwy mąż, wzruszając z litością ramionami, powiedział Anecie:

– Jeżeli mnie zdradza, nie mogę jej tego mieć za złe: zanadto cierpiała. A nawet, jeśliby ją to mogło wyrwać z jej obsesji... to niech tam!

Anecie udało się raz pochwycić przechodzącą Sylwię. Dyskretnie dała jej do zrozumienia, jaki niepokój, podejrzenia i smutek budzi jej znikanie. Sylwia, która początkowo nie chciała się dać zatrzymać, wydała się obojętna na to, co można by o niej pomyśleć, ale wzruszyła się dobrocią swego męża – i nagle ogarnięta chęcią zwierzeń, zaprowadziła Anetkę do swego pokoju zamykając za sobą drzwi. Usiadła tuż obok niej i tajemniczo, półgłosem, z błyszczą-

cymi oczyma, wyjaśniła, że chodzi co wieczór rozmawiać ze swą córeczką w kółku wtajemniczonych, zgromadzonych dokoła wirującego stolika. Anetka, przerażona, lecz nie śmiąc zdradzić się ze swymi uczuciami, słuchała Sylwii powtarzającej rozrzewnionym głosem odpowiedzi dziecka. Teraz już nie trzeba była zachęcać jej do mówienia; rozkoszowała się gło-

śnym powtarzaniem tych naiwnych słów, które przepoiła całą krwią swego serca.

Anetka nie mogła burzyć złudzenia, które siostrze przywracało życie. Leopold niemal był

skłonny złudzenie to podtrzymywać. Jego trochę prostacki zdrowy rozsądek mówił mu, że ta 178

religia warta jest tyleż co jakakolwiek inna. Anetka poradziła się lekarza, który orzekł, że należy czekać, aż boleść sama się wyczerpie.

Sylwia teraz promieniała. Anetka zadawała sobie pytanie, czy nie wolałaby już dawnej, świętej rozpaczki od tej śmiechu wartej radości profanującej śmierć. W pracowni Sylwia nie ukrywała już swoich pozagrobowych kontaktów. Robotnice wyciągały ją na opowiadania o seansach. Rozkoszowały się tym z dreszczykiem rozbawienia podobnym do owego, który wywołuje odcinkowa powieść. Anetka nadchodząc słyszała, jak wtrącały ożywione uwagi do sprawozdania z ostatniej rozmowy, którą Sylwia miała z Odetką. Jedna z uczennic chichotała za sztuką materiału, który marszczyła – a Sylwia, niegdyś tak biegle posługująca się ironią, nic nie dostrzegając, rozgadana, zatopiona w swych fantasmagoriach.

Nie poprzestała na tym. Pewnego wieczora, nie uprzedzając Anetki, zabrała ze sobą Marka. Na nowo poczuła do niego egzaltowaną miłość. Na sam jego widok twarz jej się rozja-

śniała. Anetka, nie zastając Marka w domu, odgadła, co się stało, ale o nic go nie pytała, gdy wrócił późno w nocy, przygnębiony i zdenerwowany. Chłopiec krzyczał przez sen. Anetka wstała, uspokoiła go, głaskała po głowie swymi czułymi rękoma.

Rano miała z siostrą surową rozmowę. Chodziło tu o jej syna, nie miała więc względów dla Sylwii. Tym razem nie kryła już przed nią swej pełnej obrzydzenia odrazy do tego rodzaju obłądnych i niebezpiecznych praktyk, i ostro zakazała jej mieszać w nie malca. Sylwia, która kiedy indziej byłaby odpowiedziała w tym samym tonie, pochyliła głowę, z dwuznacznym uśmiechem unikając gniewnego

spojrzenia Anetki. Instynktownie czuła się nie dość pewna swoich rewelacji, by móc je wystawić na namiętną krytykę siostry. Nie wdawała się w dyskusję i nic nie przyrzekła z fałszywą przymilnością wyłajanej kotki, która i tak robi, co jej się podoba.

Co prawda nie ośmieliła się już zabierać ze sobą Marka, ale zwierzała mu się z tego, co słyszała na seansach, i niełatwo było przeszkodzić ich rozmowom, które Marek, równie nieufny jak jego ciotka, chował w tajemnicy. Sylwia opowiadała Markowi, że Odetka o nim mówi. To właśnie przywiązywało ją do chłopca; Odetka powierzyła go jej. Sylwia przekazywała dzieciom ich wzajemne zlecenia. Marek nie wierzył w to tak naprawdę. Krytyczny zmysł dziadka bronił go przed podobnymi nonsensami, ale wyobraźnia jego była poruszona.

Słuchał z zaciekawieniem i odrazą. Godząc się brać udział w tej niezdrowej zabawie, surowo osądzał Sylwię – i potępienie owo rozciągał na wszystkie w ogóle kobiety. Ale ta grobowa atmosfera była niezdrowa dla chłopca w jego wieku. Straszliwe błazeństwo życia i śmierci jawiło mu się przedwcześnie. Czuł wokół siebie woń gnijącego mięsa. Chwilami dusił się. A że myśl jego nie była jeszcze dość silna, by go bronić – rozgorączkowana jego żywotność, żywotność chłopca w przededniu okresu dojrzewania, reagowała, szukając ucieczki w naj-ciemniejszych instynktach, które krążyły dokoła jak zwierzęta w mroku. Groźne stado! Rzec by można, że prawem jakiegoś embriogenetycznego procesu organizm psychiczny w ciągu swej ewolucji przechodzi przez całą serię form zwierzęcych i przejść musi najbrutalniejsze z nich, zanim inteligencją i wolą ludzką wzniesie się do ich sublimacji. Na szczęście krótko trwa ów odzew dzikich prapoczątków, krótko jak przelot widm. Najlepiej dać im przelecieć jak najprędzej i zejść im z drogi nie czyniąc nic, co by mogło obudzić ich mroczną świadomość. Lecz godzina ta nie jest wolna od niebezpieczeństw i najtkliwsza nawet czujność nie może uchronić przed nimi dziecka. Bo widma widzi tylko ono – mały Makbet: w oczach innych – najbliższych – miejsce Banka pozostaje puste... Słyszą świeży . głos dziecka, widzą jego czyste rysy i nie dostrzegają groźnych cieni przewijających się w głębi przeźroczonego spojrzenia. A dziecko, zaciekawiony widz, samo zaledwie je dostrzega. Skąd mogłoby je znać, skoro nie ze świata, w którym ono się narodziło, pochodzą owe instynkty posiadania, gwałtu, a nawet... zbrodni! Nie ma tak przewrotnej myśli, która przelotnie nie tknęłaby dziecka w owych dniach, której nie skosztowałoby ono bodaj końcem języka. Żadna z dwu roz-179

pieszczających Marka kobiet nie domyślała się, jakiego potworka trzyma czasami przy swej spódnicy...

Sylwia mimo wszystko uspokajała się po trochu. Jej opowiadania o seansach nie miały już cech tajemniczości. Mówiła o nich bez wzruszenia, pośpiesznie; nie kładła na nie takiego nacisku. A nawet po upływie krótkiego czasu mówiła o nich już tylko z przymusem. I nagle zupełnie przestała o nich mówić. Nie odpowiadała na pytania... Czy doznała jakiegoś zawodu, do którego nie chciała się przyznać? Czy może sprzykrzyło się jej to wszystko? Nie powiedziała tego nikomu. Dość, że w długich rozmowach, które w dalszym ciągu prowadziła z Markiem, świat tajemny zajmował coraz mniej miejsca, aż wreszcie znikł z nich zupełnie.

Wydawało się, że odzyskała równowagę. W oczach otoczenia doświadczenie, które przeszła, zaznaczyło się tylko jakby pewną różnicą wieku, jakimś nowym wyrazem twarzy. Przebyte cierpienie nie uszlachetniło go wcale, przeciwnie, stał się jak gdyby bardziej materialny, pojawiła się pewna ociężałość rysów i zaokrąglenie form, przy tym samym wdzięku, a nawet spotęgowanym blasku

urody, Odradzająca się potężna potrzeba życia brała odwet za wycierpianą agonię. A potem nowe smutki i nowe radości, liście opadających dni i kurz gościńca, zwolna zasypały grób otwarty w sercu.

Kłamliwe pozory...

Dom Rivière'ów powracał zwolna do życia, ale katastrofa uczyniła wyłom w duszach.

Zniknięcie dziecka to bardzo drobne wydarzenie w ogólnym porządku rzeczy. Śmierć otacza nas ze wszystkich stron i nigdy nie powinniśmy czuć się nią zaskoczeni. Ledwo nauczyli-

śmy się patrzeć, już widzimy ją przy pracy i oswajamy się z tym widokiem. Zdaje się nam, że się oswajamy. Wiemy, że któregoś dnia przyjdzie wykonać swą pracę w naszym domu i przewidujemy ból, jaki nam zada. Ale to coś więcej, nie tylko ból. Niech każdy sam siebie zapyta! Mało jest ludzi, którzy by nie przyznali, że śmierć wywołuje przewrót w całym ich istnieniu. To początek nowej ery... „Ante, Post Mortem...”³⁹ Ktoś zniknął. Całość życia zostaje tym dotknięta, całe królestwo bytu, wczoraj jeszcze królestwo dnia, dzisiaj Mroku... O

Boże! Wystarczyło, że jeden kamyczek, ten jeden drobny kamyk wypadł ze sklepienia – i całe sklepienie się wali! „Nic” jako takie nie ma rozmiarów. Jeśli to maleńkie „ja” jest niczym, każde „ja” jest niczym. Jeśli niczym jest to, co kocham – i ja, który kocham, też jestem niczym... Bo jestem tylko dlatego, że kocham... Ujawnia się nagle nierealność wszystkiego, co żyje. Wszyscy ją sobie uświadamiają, lecz każdy na swój sposób i przy pomocy swych własnych organów – instynktem czy intelektem: jedni śmiało patrzą prawdzie w oczy, inni –

trwożnym, ukradkowym spojrzeniem.

Na drzewie rodziny, z którego odłamana została jedna mała gałązka, Odetka – pozostałe gałęzie nadal rosły. Ale z nich czterech kierunek rozwoju trzech co najmniej uległ zmianie.

Najmniej dotknięty był ojciec. W dzień pogrzebu przykro było patrzeć na jego cierpienie, gdy dyszał ciężko i robił bokami jak dogorywający koń. Ale już po upływie dwóch tygodni, wciągnięty w wir interesów i ulegając silnym potrzebom życia fizycznego, zabrał się do pracy, jadł za dwóch, podróżował – i zapomniał.

Z dwu kobiet Anetka zdawała się być prawdziwą matką. Nie mogła znaleźć pociechy. Żal jej gorzkniał, w miarę jak zacierał się ślad dziewczynki, tak jak za statkiem wygładza się smuga poruszonej wody. Odetka była jej dzieckiem „z wyboru”, dzieckiem zrodzonym nie z jej ciała, lecz z potrzeby czułości – bardziej jej niżli Sylwii i będącym bardziej nią samą niż rodzony syn. Wyrzucała sobie, że za mało dała Odetce miłości, że skąpiła jej pieczęt, któ-

³⁹ Ante, Post Mortem (łac.) – przed, po śmierci.

pozostała wierna dziewczynce, której pamięci sprzeniewierzyli się inni.

Sylwia okazywała teraz jakąś dziwną wesołość. Podniecona, zaaferowana, mówiła głośno, a męczący potok jej słów, pełen groteskowych wyskoków i dwuznaczności, powodował

głośne wybuchy śmiechu jej roboczej czeladki. Marek rozkoszował się skrycie jej powiedzonkami, o ile był dość blisko, by je chwycić w przelocie. On również rozpuścił się ostatnio, uczył się gorzej, zbijał bąki, łobuzował, szukając pretekstów, by nic nie robić i śmiać się: organizm bronił się w ten sposób przed jakąś wewnętrzną grozą. Lecz któż może domyślić się tego od zewnątrz? Jesteśmy nieprzeniknieni jedni dla drugich, wyglądamy na nieczułych chcielibyśmy się zwierzyć, a nie możemy. Nie ma możliwości współrozumienia w cierpieniu.

Pod wpływem tak silnego uczucia dla zmarłej Anetka stawała się niesprawiedliwa, dla żyjących. Widziała w nich tylko egoizm, pragnący za wszelką cenę powrotu do życia, podczas gdy kamień wspomnienia opadał na dno. I miała żal do nich.

Pewnej niedzieli, gdy Marek był z Leopoldem na jakimś meczu, Anetka przyszedłszy do Sylwii zastała drzwi mieszkania otwarte. Weszła i usłyszała ciężką, zawodzącą skargę. Sylwia, sama w zamkniętym pokoju, mówiła i jęczała głośno. Anetka wycofała się na palcach, zamknęła za sobą drzwi wejściowe i zadzwoniła. Sylwia przyszła otworzyć; oczy miały zaczerwienione, powiedziała, że ma katar – i rozgadała się hałaśliwie, wulgarnie. Zaczęła opowiadać jedną ze swych nieprzyzwoitych anegdot, których miała zawsze cały zapas. Anetka słuchała ze ściśniętym sercem. Czyż to możliwe, aby tak grała?! Ale Sylwia grała tylko połowicznie. Bardziej niż innych chciała oszukać siebie samą. Bezgraniczna rozpacz, bez odrobiny światła, bez wyjścia, doprowadziła ją do jakiejś szyderczej pogardy życia. Nie chcąc się załamać nie miała innego wyboru prócz zapomnienia i tej maski cynicznej beztroski, która w końcu zaczęła kształtować prawdziwe rysy jej twarzy. Wszystko jest niczym. Nic nie ma wartości. Uczciwość, honor – pusta blaga! Nic nie należy brać na serio. Trzeba śmiać się z życia. Używać życia. Tylko praca ostać się może, gdyż jest potrzebna i obejść się bez niej nie można...

Wiele jeszcze innych rzeczy ostało się w tym zniszczeniu. U Sylwii instynkt silniejszy był od myślenia – i gdy odrzucała wszystko, Anetka i syn Anetki pozostawali nadal jakby wrośnięci w jej ciało. Oni troje tworzyli jedno! Ale ta miłość instynktowna, niemal materialna, nie wykluczała złych uczuć. Sylwia nie roztkliwiając się nad samą sobą nie miała też tkliwości dla Anetki. Nieraz względem siostry zachowywała się ironicznie i napastliwie. Moralna powaga Anetki i jej niemy, ciężki od wspomnień smutek drażniły ją jak cichy wyrzut.

I rzeczywiście był to wyrzut. Anetka nie miała dość miłosierdzia, aby go siostrze oszczędzić. Widziała jednak wyraźnie, że Sylwia ucieka przed swoją męką jak zwierzyzna przed psem – i współczuła z nią. Współczuła nędzy natury ludzkiej, ale gardziła nią równocześnie za to, że szuka ratunku kosztem najdroższych swych skarbów – i za tę wieczną gotowość zdradzania najświętszych

umiłowań, byle tylko zmylić zażarty pościg cierpienia. Dręczyło ją to tym bardziej, że we własnym sercu słyszała także krzyk owej nikczemnej żądzy życia. I potępiała ją.

Dlatego to w miesiącach, które nastąpiły po katastrofie, narzuciła sobie surową dyscyplinę serca, moralny rygorizm, pesymistyczny i wyniosły, za którym kryła się jej zraniona tkliwość...

Po smutnej zimie nadeszła znów Wielkanoc. W niedzielę rano Anetka błądziła po Paryżu: niebo kwitło błękitne powietrze było nieruchome; z duszą spowitą w żałobę słuchała pełnego nostalgii wołania dzwonów, a dźwięczny strumień zagarniał ją w swoją sieć i wyciągał z nurtu nie troszczącego się o nic stulecia na piaszczyste wybrzeże, gdzie leżał umarły Bóg.

Wstąpiła do jakiegoś kościoła i ledwo postawiła w nim pierwsze kroki, zdławiły ją łzy; od dawna tłumione, wezbrały teraz nagle. Ze spuszczoną głową, klęcząc w kącie kaplicy, po-181

zwoliła im płynąć. Nigdy jeszcze nie odczuła tak głęboko jak w tej godzinie tragizmu owego dnia. Słuchała tych organów, tych radosnych śpiewów... Ta radość!... Sylwia się śmieje... A na dnie duszy łzy,.. Ach! Dobrze dzisiaj wiedziała: biedny zmarły nie zmartwychwstał! A rozpaczliwa miłość jego wiernych, miłość wieków wciąż, do upadłego zaprzecza jego śmierci... O ileż większa i bardziej religijna jest owa przejmująca prawda niż złudne zmartwychwstanie! Namiętne, rozdzierające samooszukiwanie się serca nie mogącego się pogodzić ze stratą ukochanego!

Z nikim nie mogła podzielić się swymi myślami. I zamknięta w sobie razem z małą zmar-

łą, broniła jej przed tą drugą śmiercią, najstraszniejszą – przed zapomnieniem. Twardo wystę-

powiała przeciw sobie samej i przeciw drugim, a że każdy sprzeciw .wobec myśli jakiegoś środowiska, wywołując jego opór, sprowadza odwrotną reakcję – surowa postawa Anetki prowokowała tych, którzy poczuli się nią dotknięci, do przesadnego akcentowania własnej postawy. Nieporozumienie rosło.

Niemal zupełne stało się ono pomiędzy synem a matką. Marek coraz bardziej oddalał się od Anetki. Już od lat. zapowiadał się ten antagonizm, lecz dotychczas ze strony dziecka był

on ukryty, podstępny, ostrożny. W czasie długiego okresu, kiedy żył z matką we dwoje, Marek pilnie unikał wdawania się z nią w dyskusję: partia była nierówna, najważniejsza rzecz mieć spokój! Pozwalał matce mówić. W ten sposób odsłaniała mu, jedną po drugiej, wszystkie swoje słabe strony; a on nie odsłaniał się wcale. Lecz teraz, znalazłszy sprzymierzeńca w ciotce, już nie ukrywał swojej gry. Dawniej, zniecierpliwiona na tego ślimaczka za najlżejszym dotknięciem chowającego się ze swą myślą do skorupy, matka mówiła mu wielokrotnie:

– No, wylaż z tej swojej norki! Pokażże twój łebek! Czy wcale nie umiesz mówić?

Umiał mówić. Anetka mogła być zadowolona! Teraz już mówił... Lepiej by było, gdyby nadal milczał... Ależ z tego malca był rezoner! O, nie unikał już sprzeciwiania się czyjemuś zdaniu. Jednemu słowu nie pozwolił wyjść z ust matki, nie sprzecząc się zawzięcie. A co za ton imprtynencki!

Wystąpiło to nagle – i zapewne Sylwia, która złośliwie zachęcała go do oporu, ponosiła tu część odpowiedzialności. Ale istotna przyczyna leżała znacznie głębiej. Ta zmiana postawy związana była ze zmianami w organizmie, z nadchodzącym kryzysem dojrzewania. Dziecko przeobrażało się, w przeciągu kilku miesięcy zmieniło charakter, nabrało jakichś manier kapryśnych, brutalnych, urozmaiconych nawrotami dawnej milkliwości. Ale nie było to już owo uprzejme, pojednawcze, trochę fałszywe milczenie dziecka, które chce się podobać; obecnie czuło się, że jest ono najeżone i wrogie... Szorstkość jego zachowania, grubiańska niegrzeczność, niewytłumaczalna cierpkość, z jaką reagował na każde serdeczne zbliżenie, do krwi raniły uczucia Anetki. Dobrze opancerzona przeciw napaściom świata, nie była nią wcale wobec tych, których kochała; każde ostre słowo z ust syna raniło ją do łez. Nie dawała tego poznać po sobie. Ale chłopiec dobrze o tym wiedział. I w dalszym ciągu ją ranił. Rzecz by można, że wypatruje, co mogłoby nie podobać się matce.

Byłby się wstydził postępować tak wobec ludzi obojętnych. Lecz ona, oczywiście, nie była mu obojętna! Zależało mu na niej – i jak jeszcze! Był jak owoc żywy, który gdy przyjdzie czas, wydziera się z łona matki. Z jej ciała jest utworzony i chcąc to ciała uczynić swym własnym – rozdziera je.

Marek miał w sobie wiele pierwiastków właściwych naturom innego pokroju niż jego matka. Ale rzecz dziwna! Tym, co najczęściej wprowadzało go w konflikt z matką, nie były wcale owe pierwiastki odmienne – ale właśnie te, które im były wspólne. Choć zazdrośnie pragnął niezależności, własna osobowość jego nie była jeszcze zupełnie ukształtowana i dlatego każdy rys podobieństwa z matką zdawał mu się być groźbą aneksji z jej strony. Chcąc bronić się przed tym, rozmyślnie stawał się odmienny. Cokolwiek by powiedziała, cokolwiek by uczyniła – wszystkiemu przeczył. Ponieważ ona była kochająca – on stawał się nieczuły; ponieważ była ufna – on stawał się skryty; ponieważ była namiętna – on stawał się zimny i 182

bezwzględny. Wszystko, co zwalczała Anetka, wszystko, co budziło w niej odrazę (ach! jak się dobrze w tym orientował!) – natychmiast stawało się dlań pociągające i natychmiast musiał jej o tym powiedzieć. Widząc, że Anetka przywiązuje wielką wagę do moralności, smarkacz uznał za rzecz wytworną uważać się za amoralnego, a przede wszystkim proklamować swoją amoralność:

– Moralność to wymysł...

– oświadczył pewnego razu swej matce. I łatwowierna Anetka na serio wzięła tę wypowiedź. Przypisywała to godnemu pożałowania wpływowi Sylwii, która bawi się wprowadzaniem zamętu w tak starannie pielęgnowany mózdzek... Masz! Oto garść chwastów w grządki!

I pod włos grabiami po wygracowanej ścieżce! Sylwii nie brak było argumentów dla przekonania siebie samej, że działa w interesie dziecka. „Ten biedny malec, trzymany w cieplarni, ściśnięty jak w skrzynce! Zaraz go przesadzimy do większej doniczki!...” Mimo że kochała siostrę, z żywą i okrutną przyjemnością kradła to serce, które było jej sadzonką.

Bystra inteligencja dziecka zainteresowanego wszystkim, co go dotyczy, spostrzegła ów pojedynek zawiązujący się między siostrami – i oczywiście ciągnęła z niego korzyść. Kierowany chytrą złośliwością, Marek zachowywał swoje łaski dla Sylwii – i cieszył się zazdro-

ścią, którą wzbudzał w matce. Anetka już jej nie kryła i usprawiedliwiała ją, z większą słusnością

niż Sylwia, troską o dobro Marka. Sylwia kochała chłopca i nie brak jej było rozsądku.

Jej mądrość lekkiej wagi warta była innej o wadze znacznie większej, ale nie była odpowiednią dla trzynastoletniego chłopca. Korzyści, które stąd czerpał, były bardzo niebezpieczne: zaostrażając w nim apetyt do życia nie wpajały mu dłań szacunku; a gdy przedwcześnie szacunek pójdzie w las – baczność!... wszystko się wali! Sylwia nie była też powołana do kształtowania gustów Marka, z wyjątkiem chyba spraw toaletowych. Prowadziła go na głupie filmy, do music-hallów, skąd przynosił okropne refreny i obrazy, które niewiele miejsca zostawiały poważnym myślom. Cierpiała na tym jego nauka. Anetka rozgniewała się i zakazała Sylwii zabierać Marka. To był najlepszy sposób przypieczeniem sojuszu siostrzeńca z ciotką. Marek uznał, że jest prześladowany. Dokonał odkrycia, że być narodem uciśnionym jest w obecnych czasach zawodem popłatnym. Anetka zaś dowiedziała się swoim kosztem, że być narodem ciemniącym to zawód raczej niespokojny.

Teraz Marek przy każdej sposobności dawał jej odczuć, że jest ofiarą i że ona nadużywa swej przewagi. Zgoda! Niech i tak będzie: nadużywa jej po to, aby on sprawiał się dobrze!

Przestała tolerować jego lekkomyślne gadanie, impertynenckie drwiny, nieprzyzwoity nawyk wyśmiewania się ze wszystkiego. By go ujarzmić, podkreślała surowość swoich poglądów.

Miał teraz pole do popisu: było na co odpowiadać! Od dawna czekał już na tę sposobność.

Pewnego dnia, gdy sprzecząc się z matką z powodu jakiegoś jej zakazu, zaczął się powoływać na słowa ciotki – Anetki, zniecierpliwiona, odpowiedziała mu, że Sylwia ma prawo mówić i robić, co się jej podoba; nie należy jej sądzić; ale to, co odpowiednie dla ciotki, nie jest odpowiednie dla niego i nie powinien brać jej sobie za wzór: „Nie wszystko w niej jest godne naśladowania...”

Marek wysłuchał tej tyrady i niedbale odpowiedział:

– Tak, ale ona ma męża.

Anetka zrazu nie była w stanie odpowiedzieć: nie chciała zrozumieć tych słów... Co on takiego powiedział? Nie, to niemożliwe!..., A potem rumieniec oblał jej czoło. Z rękami bezwładnie leżącymi na robocie, siedziała bez ruchu. Marek nie poruszał się także. Nie był zbyt dumny z tego, co powiedział, i z tego, co miało nastąpić. Milczenie przeciągało się. Fala gniewu zalała gwałtowne serce Anetki. Pozwoliła jej przepłynąć. Politowanie, ironia zajęły jej miejsce. Uśmiechnęła się ze wzgardą:

„Ach, ty nędzne stworzenie!” – pomyślała.

W końcu, biorąc znów do ręki robotę, rzekła:

183

– Uważasz zapewne, że kobieta, która nie mając męża sama pracuje na wyżywienie swego dziecka, mniej jest godna szacunku?

Marek stracił pewność siebie. Nie odpowiedział nic. Nie usprawiedliwiał się. Był upokorzony.

Anetka tej nocy nie spała. A więc daremne było jej poświęcenie! Że świat ją potępiał, to było w porządku. Ale on, on, któremu wszystko z siebie dała! Jak się dowiedział? Kto mu podsunął tę myśl? Nie mogła mieć żalu do niego; ale była zgnębiona.

Marek spał spokojnie. Miał wprawdzie wyrzuty sumienia, ale sen mocniejszy był od wyrzutów. Po dobrze przespanej nocy byłby zapomniał o nich, gdyby nie to, że odnalazł je w stroskanym spojrzeniu matki. Nie podobało mu się, że matka nie zapomina równie prędko jak on sam. Było mu przykro, ale nie mógł się zdobyć na okazanie żalu, a że go to wszystko nu-

żyło, z dziecku właściwą logiką miał o to pretensję do matki.

Nie wspomnieli już ani słowem o tej scenie. Ale odtąd nie byli już w stosunku do siebie ta-cy sami jak przedtem. W uściskach ich był jakiś przymus. Anetka nie traktowała go już cał-

kiem jak dziecko...

Jak się dowiedział? Pod wpływem rozmów w szkole zastanowił się nad nazwiskiem, które nosił, a które było nazwiskiem jego matki. Dawne aluzje, zasłyszane niegdyś w pracowni i wówczas niezrozumiane, wyjaśniły się teraz. Pewne nieostrożne słowa, które Sylwia w obecności dziecka mówiła do siostry... I zagadkowość tej matki, drażniącej i jednocześnie fascynującej aurą namiętności, którą, choć sam nie umiał jej jeszcze rozpoznać – węch jego, jak młody psiak, z daleka już wyczuwał. Z tego wszystkiego wysnuwał sobie jakieś niejasne, dziwaczne historie, nie trzymające się razem, niepowiązane. Sprawa jego urodzenia intrygowała go. Jakby się to tu dowiedzieć? Obrażająca odpowiedź, którą dał matce, była po części zastawioną na nią pułapką... W sercu jego ciekawość mieszała się z urazą w stosunku do czegoś, co kiedyś zaszło, a o czym on nie wiedział. Nigdy nie ośmielił się zapytać o to Sylwii –

był dumny ze swej matki, a podejrzewał, że popełniła tu jakiś błąd. Sądził jednak, że ma prawo czuć do niej żal za tę ważną tajemnicę, którą przed nim kryje. Między nim a matką tajemnica ta stała jak ktoś obcy.

Zaiste ktoś obcy. Marek nie domyślał się wcale, że to za jego właśnie przyczyną chwilami oczom matki ukazywał się ten obcy – jego ojciec – i gorzej jeszcze: Brissotowie! Bo w tej cichej walce, która toczyła się obecnie pomiędzy matką i młodym chłopcem – chłopiec instynktownie kuł sobie broń ze wszystkiego, co z cech obcych Anetce zdołał wyszukać w swej własnej naturze. I tak, sam nie wiedząc, wygrzebywał czasem i wygrywał przeciw niej rysy charakteru zaczerpnięte z brissotowskiej gleby: ów słynny, pobłażliwy uśmiech, to zadowolenie z siebie, to bez troskie filisterstwo, którego wrogiej pewności nic nie jest w stanie zachwiać.

Cień jakiś, jakieś odbicie na powierzchni wody. Anetka poznawała je wszystkie i myślała:

„Zabrali mi go!...”

Czyż naprawdę obcy? Nie, on nie był obcy. Broń, zapożyczone rysy – tak. Ale ręka, która je trzymała, była utworzona z tej samej co Anetka substancji. I ta zbuntowana ręka kurczowo zaciskała się w oporze – przeciwstawieniu dwu pokrewnych sobie i zbyt bliskich istot – w przeciwstawieniu, które

jest tylko jedną z tysiącznych gier Miłości i Przeznaczenia.

Marek nie miał przyjaciół. Ten trzynastoletni chłopiec, przebywający rano i wieczór razem z trzydziestu innymi dziećmi swej klasy, trzymał się z dala od towarzyszy. Póki był mniejszy, lubił rozprawiać, bawić się, biegać, krzyczeć. Od roku czy dwóch miewał napady milczenia i odczuwał czasem ostry głód samotności. Nie znaczyło to bynajmniej, że nie potrzebował już towarzyszy. Potrzebował ich może bardziej niż przedtem. Właśnie! Potrzebował ich zanadto: za dużo pragnął i dawać, i otrzymywać... A ile było cierni w tym wiosennym krzaku! Wiecz-184

nie najeżona miłość własna. Byle dotknięcie raniło go; bał się być ranionym, a bardziej jeszcze – dać poznać to po sobie: jest to słabością, a należy się strzec przed odsłonięciem wrogo-wi swoich słabych miejsc. (W każdym przyjacielu ukrywa się wróg.) To, co pojał, a raczej wyobraził sobie na temat swego stanu cywilnego i przeszłości matki, trzymało go w głupim zażenowaniu, śmiesznym i wyniosłym. Przy pomocy lektury doszedł

do przekonania, że jest „dzieckiem naturalnym” (jego romantyczne książki nazywały to silniejszym mianem). Znalazł nawet sposób zrobienia sobie z tego przedmiotu dumy. Niewiele brakło, a byłby dowąchał się w tej archaicznej obeldze jakiegoś dzikiego posmaku szlachec-twa. Sądził, że jest interesujący, odrębny od innych, samotny, trochę potępiony. Chętnie był-

by się zaliczył do szylerowskich i szekspirowskich satanicznych bastardów. To dawało mu prawo do gardzenia światem w dumnych tyradach – in petto40.

Ale gdy odnajdywał się znów w „świecie” – w swojej szkolnej klasie, w gronie towarzyszy – czuł się onieśmielony, obciążony swoją tajemnicą i podejrzeniami, że ktoś mógłby ją odgadnąć. Jego dziwaczne zachowanie, tragiczna mina, wątlý głos, zaczynający już mutację, twarzyczka jak u panienki, nagłe rumieńce, kogucikowata bezczelność – to wszystko zwracało uwagę i pobudzało złośliwość kolegów; naraziło go nawet na sromotne zakusy jednego z tych małych łajdaków, który na pół błaznując i na pół serio prześladował go swoimi propozy-cjami. Markiem wstrząsnęło to; w nocy był wprost chory z buntu i obrzydzenia; nie chciał już wracać do szkoły, ale matce nie mógł wyznać powodów. Sam musiał innym narzucić szacunek dla siebie; powtarzał sobie:

„Zabiję go.”

W jego wzburzony umysł biły idące gdzieś z głębin fale.

Znajdował się w tym okresie, kiedy budzą się siły rozrodcze. Fascynowały go one i przera-

zały równocześnie. Matka jego, dziwnie niewinna, żyła obok niego nie widząc nic i nic nie wiedząc. Umarłby ze wstydu, gdyby widziała i wiedziała. I sam gardząc sobą ulegał, oszalały, straszliwym pokusom poniżającego instynktu... Ale cóż ma robić dziecko, biedne dziecko, wydane tym obłąkańczym mocom? Potworna natura roznieca w trzynastoletnim ciele brutalny pożar, który nie mając innej strawy pożera je. Dziecko, jeśli ma w sobie dobrą krew, nie może ocalić się inaczej, jak tylko przez drugą krańcowość – ascetyczną egzaltację ducha, któ-

ra często rujnuje ciało. Ówczesna młodzież, szczęśliwsza od starszych pokoleń, zaczynała uprawiać męską dyscyplinę atletyki. Marek niczego by tak nie pragnął, jak iść tym śladem.

Ale i tutaj natura zwróciła się przeciw niemu. Nie miał sił. Ach, jakżeż zazdrościł silnym! Jak zazdrośnie kochał ich piękność!... Aż do nienawiści! Nigdy nie będzie taki jak oni!...

Pragnienia, wszystkie pragnienia, czyste, nieczyste – chaos! Wszystkie wrogie demony!

Stałby się teraz zabawką w rękach przypadku (nikt mu pomóc nie może), gdyby nie miał w sobie podłoża moralnego zdrowia i uczciwości, a nawet więcej: nieuświadomionej wielkości, jakiegoś boskiego pierwiastka, owocu trudu, odwagi i długiej cierpliwości najlepszych z jego rasy, pierwiastka, który nie ścierp i wstydu pokalania, hańby staczania się w dół, który ma żywe wycucie wszystkiego, co brzydkie i podłe, i tropi to od wewnątrz, aż do najtajniejszych załamów myśli, a choć nie zawsze zdoła uniknąć splamienia, nigdy go nie zaniedba osądzić, jak również osądzić, potępić i ukarać samego siebie...

Duma!... Chwała jej! Sancta!⁴¹...U takich natur dziecięcych duma to zdrowie. Ona jest afirmacją pogrążonego w błocie ziemskim boskiego pierwiastka, pierwiastka wybawienia.

Któż mógłby walczyć, samotny i pozbawiony miłości, gdyby nie duma? Po cóż by człowiek walczył, gdyby nie wierzył, że winien bronić dóbr najwyższych i że walcząc o nie trzeba zwyciężyć lub zginąć!

Marek chce zwyciężyć! Zwyciężyć to, co rozumie, i to, czego nie rozumie. Zwyciężyć to, czego nie zna, i co budzi w nim odrazę. Zwyciężyć zagadkę świata i pokonać jego podłość...

⁴⁰ In petto (wł.) – dosłownie: w piersi; w znaczeniu przenośnym: w głębi serca, w myślach.

⁴¹ Sancta (łac.) – święta.

185

Ach! I tu, jak gdzie indziej, nieustannie jest pokonywany. Gdy z wysiłkiem pracuje, gdy czyta, gdy próbuje się skupić, wymyka się sam sobie, czuje, że nie może podolać. Zawsze brak mu siły... A jednak ta siła jest, tylko że . ledwie ukształtowana i nie dorastająca do jego zadań i woli. Wydany bywa na pastwę żądz i zaciekawień, zdrowych i niezdrowych, rozrywających go na wszystkie strony, to znów zapada w tępę odrętwienie, niezdolny robić cokolwiek, niezdolny nic ustalić. Traci czas, a zarazem zbytnio się śpieszy.

Troszczy się już o swoją przyszłość, myśli o wyborze drogi życiowej: wie, że będzie musiał zdecydować wcześniej, a nie ma żadnej racji, żeby decyzję powziąć. Chwieje się między jednym a drugim, w równym stopniu zainteresowany i obojętny, odczuwając jednocześnie pociąg i obrzydzenie. Chce i nie chce zarazem – i nawet nie jest w stanie chcieć czy nie chcieć. Motor nie pracuje sprawnie. Chłopiec rozpędza się i nagle zatrzymuje – defekt! Albo też potyka się, pada i znów widzi, że jest na dnie.

Wtedy bada owo dno. I to dziecko, które dręczy się i cierpi, bardziej niż niejeden człowiek zdolne

jest zrozumieć pustkę i nudę czasu, który zmierza ku zniszczeniu. „Ma ostre wycucie przepaści...

Lecz matka nie widzi nic. Widzi chłopca nadąsanego, pretensjonalnego, zbuntowanego, dziecinnego, chorobliwie drażliwego, rozprawiającego górnolotnie, z fanfaronadą, który lubi czasem mówić na tematy śliskie, a kiedy indziej płoszy się byle śmielszym słowem. Drażni ją zwłaszcza jego szydery śmiech. Nie domyśla się gorzkiego sensu tego śmiechu, a tym mniej wyzwania, które rzuca złemu losowi. Chłopiec boleśnie odczuwa doznawaną niesprawiedliwość:

nie ma (czy też sądzi, że nie ma) siły, urody, uzdolnień, wartości; pogłębia swoje przygnę-

bie nie dodając do swych prawdziwych klęsk inne, zmyślane; sprzymierza się z wszystkimi pozorami mogącymi go upokorzyć... Dwie młode robotnice śmiejąc się przechodzą koło niego – a on już myśli, że to z niego się śmieją. Nie przychodzi mu na myśl, że śmieją się, żeby go przywabić i że wcale nie wydaje im się brzydka jego rumieniąca się twarzyczka zalęknionej dziewczynki... W spojrzeniach profesorów dopatruje się wzgardliwego politowania dla swej przeciętności.

Wydaje mu się, że silniejsi od niego koledzy gardzą jego słabością i demaskują jego tchó-

rzostwo. Będąc nadmiernie nerwowy miewa momenty małoduszności, a że jest szczery, przyznaje się do nich i uważa się za zhańbionego; aby się, ukarać, zmusza się potajemnie do niebezpiecznych nieostrożności, od których aż pot występuje mu na czoło, a które mało – tak mało! – rehabilitują go we własnych oczach. Ten mały Nikomedes⁴² natrzęsa się nieraz z siebie samego i swoich porażek. Ale ma żal do świata, który stworzył go takim, jakim jest – a przede wszystkim ma żal do matki.

A ona nie rozumie jego wrogiej twarzy... Jakiż z niego egoista! Myśli tylko o sobie...

Tylko o sobie myśli?... A cóż by się z nim stało, gdyby o sobie nie myślał? Kto by go bronił, gdyby nie bronił się sam?

Trwają tak, samotni i zamknięci w sobie, jedno naprzeciw drugiego. Minał okres tkliwych wynurzeń. Anetka zaczyna powtarzać zwykłą skargę matek:

„O ileż bardziej był kochający, gdy był dzieckiem!

A on powiada sobie, że matki tylko dla własnej przyjemności kochają swe dzieci. Każdy kocha tylko siebie...

Nie, tak nie było, każde z nich chciało kochać to drugie. Ale w niebezpieczeństwie trzeba myśleć o sobie. O drugim będzie się myśleć potem. Bo jakżeż można by ocalić to drugie, gdyby się wpięrw nie ocaliło siebie? I jakżeż można by ocalić siebie będąc obciążonym tym drugim niby kamieniem u szyi?

⁴² Nikomedes – aluzja do bohatera tragedii Corneille’a pod tymże tytułem. Rozwój charakteru młodego Ni-komedesa i jego walka z przeciwnikami są osnową sztuki. Wypowiedzi jego charakteryzuje nuta ironii.

Odepchnięta przez syna, Anetka stała się równie twarda jak on. Z własnej woli zamknawszy serce przed miłością, o umyśle tym swobodniejszym, że nie było nic, czym by karmić się mogła jej tkliwość – musiała nasycić czymś swój głód intelektualny i swoją potrzebę działania. Pracowała całymi dniami, wieczorem czytała, w nocy spała twardym snem. Marek, zawistny, z zazdrością i pogardą patrzył na zdrowie tej silnej kobiety i na tę zdolność niedre-

czenia się, która zdawała się być jej udziałem.

Anetka jednak cierpiała odczuwając, brak towarzysza, z którym mogłaby podzielić się swymi myślami. Pustkę zapełniała pracą, tym czynnym zapomnieniem... Cóż, kiedy praca dla pracy jest sama w sobie tak pusta! I te siły nie zużytkowane, które się czuje w sobie – komuż je poświęcić?

Poświęcić!... Ta potrzeba poświęcenia! Anetka widziała ją wszędzie wkoło siebie, często godną pożałowania, czasem nedorzeczną! Będąc dobrą obserwatorką całymi dniami nie przestawała zgłębiać sensu twarzy i dusz. Pograżając się w cudze troski odrywała się od swych własnych. Być może ciekawość brała tu górę nad litością, w okresie kiedy serce jej (jak twierdziła) skamieniało w obliczu cierpień, a zwłaszcza rezygnacji i klęsk.

Ileż spośród kobiet jak ona walczących ze społeczeństwem, by wydrzeć mu środki do życia, padało zmiażdżonych nie tyle przez twardą rzeczywistość co przez własną słabość i wy-rzeczenie! Wszystkie niemal wyzyskiwane były przez jakąś miłość i nie mogły się obejść bez tego, by je wyzyskiwano. Rzec by można, że to jest jedyną racją, dla której żyją – a która zadaje im śmierć...

Jedna poświęca się dla starej matki lub starego ojca-egoisty. Druga dla ordynarnego męża lub innego mężczyzny, który ją zdradza... Inna (ta inna to ja!) dla dziecka, które jej nie kocha, które o niej zapomni, które być może już jutro ją zdradzi... Ach! Co tam! Jeśli i w tym znajdę radość, że będę przez niego zdradzona, oszukana, zapomniana!... „Jeśli podoba mi się być bitą!” Ach! Wszystko śmiechu warte! Oszukaństwo!... A te inne jeszcze, które ci zazdroszczą, które nie mają nikogo, komu by się mogły poświęcić! Przywiązują się do psa, do kota, do ptaka!... Każda ma swoje bożyszcze. Ale jeśli już za wszelką cenę mieć je trzeba – czyż Pan Bóg nie wart więcej? To przynajmniej jest jakaś klasa!... Ja także mam swojego Boga, mego nieznanego Boga, moją ukrytą prawdę i tę namiętność, która mnie zmusza, bym go szukała...

Może to też oszukaństwo.

Ale o tym dowiem się dopiero wtedy, gdy już dotrę. A jeśli nawet byłoby to oszukaństwem

– to przynajmniej jest ono szczytne i warte trudu...

Anetka buntowała się przeciw bezsensowi niektórych poświęceń. Nie, natura nie chce, że-by lepsze poświęcało się dla mniej godnego! A jeśliby nawet chciała, dlaczegóż miałabym się temu poddać? Lecz ona tego nie chce! Chce, żebyśmy się poświęcali dla tego, co najlepsze, największe, najmocniejsze...

Poświęcenie się za wszelką cenę dla czegoś gorszego czy lepszego, może chętniej nawet dla gorszego, bo pełniejszą jest wtedy ofiara – poświęcenie dla poświęcenia – tak, to jest zgodne z

pojęciem, jakie oni sobie wytworzyli o Bogu!... Credo, quia absurdum⁴³... Jaki pan, tacy słudzy! Ów Bóg jest rzeczywiście tym, który siódmego dnia odpoczął, uważając, że dobre jest to, co stworzył. Gdyby go usłuchano, wóz człowieczy zatrzymałby się za pierwszym obrotem koła. Każdy krok postępu świata dokonuje się wbrew Jego woli... Fiat⁴⁴! Pchać bę-

dziemy ten wóz. A choćby nas nawet miał zgnieść, to chcę przynajmniej, by posuwał się naprzód!

43 Credo, quia absurdum (łac.) – wierzę, ponieważ jest to niedorzeczne.

44 Fiat (łac.) – niech się tak stanie.

187

Pewne tragiczne spotkanie wzmogło jeszcze odrazę Anetki do bezsensownego poświęca-nia się (cóż ona mogła o tym wiedzieć?) tych, którzy warci są więcej, dla tych, którzy warci są mniej.

Niegdyś, ubiegając się w jednej ze szkół w Neuilly o kierownictwo kursu dla cudzoziemek, współzawodniczyła z pewną młodą kobietą, której chłopska, uparta twarz pociągnęła ją.

Próbowała nawiązać rozmowę, lecz tamta, nieufna, myślała tylko o tym, jakby Anetkę pokonać. Anetka, podówczas nie przyzwyczajona jeszcze do tych wstrętnych dla niej walk, nie umiała się bronić, a nawet ustąpiła współzawodniczce chcąc zyskać sobie w niej przyjaciółkę.

Lecz ta bynajmniej nie odczuła wdzięczności. Prócz zarobku nic nie miało dla niej znaczenia.

Mrówka pośpiesznie i chciwie gromadząca swą zdobycz... Anetka nie obchodziła jej wcale.

Anetka straciła ją z oczu; a gdy po sześciu latach przypadkowo znów się spotkały, obie były zmienione. Anetka nie była już skłonna grać roli wspaniałomyślnej czy brzydzącej się...

Życie jest takie, jakie jest. Nie mam możliwości go zmienić. Chcę żyć – a ty czekaj na twoją kolej...

Starcie nastąpiło. Nie trwało długo. Już w pierwszej rundzie konkurentka była znokauto-wana... Jakżeż się postarzała! Anetka przerażona była jej wyniszczeniem. Zapamiętała mło-dziutką brunetkę o rumianych policzkach z kilku czarnymi, jak rodzynki w bułce, pieprzyka-mi – silną, krępą chłopkę z krótkim stanem, o twarzy zarysowanej suchymi, ostrymi liniami.

Całość nie byłaby nawet pozbawiona pewnego wdzięku, gdyby nie wyraz nadąsania – uparte czoło, ruchy osoby żyjącej w wiecznym pośpiechu. Teraz Anetka ujrzała twarz wychudłą i ściągniętą, spojrzenie twarde, usta zgorzkniałe, wpadnięte policzki – kobietę młodą i zwiędłą jak spalona trawa.

Zajęcie, o które toczyła się walka, była to posada sekretarki u pewnego inżyniera; zajmowała tylko dwa przedpołudnia w tygodniu, przeznaczone na przejrzanie korespondencji i przyjęcie interesantów. Anetka w przedpokoju spotkała się z Rut Guillon. Skrzyżowały wrogie spojrzenia. Rut Guillon rzekła:

– Pani przychodzi w sprawie tej posady. Została mi już przyrzeczona. Anetka odpowiedziała:

– Mnie nie została przyrzeczona, ale rzeczywiście przychodzę w sprawie tej posady.

– Niepotrzebnie, bo posada będzie moja.

– Potrzebnie czy niepotrzebnie, dość że przychodzę. A pogada będzie tej, która ją otrzyma.

Po chwili Anetka została wezwana do gabinetu inżyniera i wybór padł na nią. Znana była jako staranna i inteligentna pracownica.

Wychodząc natknęła się na Rut i chłodno przeszła obok niej. Rut ją zatrzymała:

– Dostała pani posadę?

– Dostałam.

Ujrzała, jak czoło tamtej pokrywa się dziwnym rumieńcem. Oczekiwała jakiegoś ostrego słowa. Ale Rut nie powiedziała nic. Anetka poszła dalej, a tamta za nią. Zeszły ze schodów.

Gdy były już na ulicy, Anetka odwróciwszy się obrzuciła szybkim spojrzeniem swoją pobladłą rywalkę – i widoczne przygnębienie Rut poruszyło ją. Choć postanowiła być twarda, wró-

ciła do niej i rzekła:

– Przykro mi. Ale trzeba żyć.

– O, ja dobrze o tym wiem – odpowiedziała Rut. – Niektórym wszystko się wiedzie! Ja nigdy nie mam szczęścia.

Ton był zupełnie inny. Przygnębienie bez cienia wrogości. Anetka chciała ująć ją za rękę; ale Rut cofnęła swoją.

188

– Niech się pani zbytnio nie przejmuję! Dziś jedna przegrywa, jutro druga.

– Ja przegrywam codziennie, Anetka przypomniała ich pierwsze spotkanie, kiedy to Rut zajęła jej miejsce Rut nie odpowiedziała i z ponurym wyrazem twarzy szła dalej obok Anetki.

– Czy nie mogłabym pani w czymś dopomóc? – Spytała Anetka: Rumieniec oblał znowu czoło Rut. Wzruszenie czy urażona duma? Sucho odrzekła:

– Nie!

– Zrobiłabym to z przyjemnością – nalegała Anetka i poufałym gestem ujęła ją pod ramię.

Rut, zaskoczona, nerwowo przycisnęła ramieniem rękę Anetki i odwróciwszy głowę zagryzła wargi.

Potem wyrwała się, zirytowana, i poszła.

Odprowadzając ją oczyma, Anetka pozwoliła jej się oddalić. Rozumiała ją: tak, nie ma się prawa ofiarowywać litości komuś, kto o nią nie prosi...

Kilka dni potem wchodząc do mleczarni ujrzała tam Rut. robiącą zakupy. Wyciągnęła do niej rękę. Rut ją przyjęła tym razem, ale z miną lodowatą. Mimo to starała się być mniej na-dąsana; wyrzekła kilka banalnych słów – i Anetka, ucieszona tym nikłym wyrazem sympatii, odpowiedziała na nie. Obie kobiety zaczęły rozmawiać o tym, co kupowały. Anetka dziwiła się skrycie, że Rut więcej od niej wydaje na świeże jaja i butelkowane mleko. Rut z pewną ostentacją płaciła tak, aby Anetka to widziała. Anetka rzekła:

– Jak drogo życie kosztuje!

I nieomal przepraszając za te jaja, które kupiła, dodała:

– To dla mojego malca.

A Rut odrzekła pyszniąc się:

– Ja kupuję dla mojego męża.

Anetka nic nie wiedziała o jej życiu. Zapytała:

– Czy jest chory?

– Nie, ale bardzo delikatny.

Z dumą opowiadała o staraniach, których wymagało jego zdrowie. Anetka, znając już drażliwość Rut, nie zadawała jej żadnych pytań, czekając, co powie. Ale Rut nie powiedziała nic więcej – i właśnie miały się pożegnać, gdy nagle Anetka przypomniała sobie... Zaproponowała Rut pewną robotę – korektę pracy jakiejś cudzoziemki; robotę ową zamówiono u niej, ale z powodu braku czasu nie mogła się tego podjąć. Rut okazała natychmiast żywą wdzięcz-ność: pieniądze grały dla niej rolę najważniejszą. Anetka zapytała o jej adres, na wypadek gdyby mogła odstąpić jej jeszcze inne zamówienia. Rut zawahała się, odpowiedziała wymi-jająco. Anetka rzekła, zniecierpliwiona:

– Chciałam pani dopomóc. W każdym razie ja mieszkam...

I podała swój adres. Rut niechętnie podała swój. Anetka, zrażona, postanowiła nie troszczyć się o nią więcej.

Jednak Rut przyszła do niej po kilku tygodniach. Usprawiedliwiała się ze swego braku uprzejmości – i tym razem opowiedziała trochę (niewiele) o swoim życiu. Pochodziła z rodziny bogatych rolników; z ojcem poróżniła się z powodu swych zamiarów udania się do Pa-ryża, aby tam zostać nauczycielką. Ojciec uraził jej miłość własną i wtedy przysięgła, że nigdy już nie przyjmie od niego pomocy. Sama chciała zarabiać na życie. Wyczerpała się tym.

Mimo całej energii praca umysłowa męczyła ją. Nad książką trudziła się jak wół przy orce, aż krew pulsowała jej w skroniach, tak że musiała przerywać pracę. Początki neurastenii zmusiły ją do zrezygnowania z egzaminów. Wtedy przerzuciła się na lekcje prywatne. Z trudem zarabiała na własne utrzymanie, gdy zakochawszy się wyszła za mąż za człowieka, który stał się dla niej jednym ciężarem więcej. Ale tego oczywiście nie powiedziała; Anetka dowiedziała się o tym skądinąd. Zresztą była dość sprytna, by przejrzeć część prawdy, w miarę jak zadawała dyskretne pytania swojej nowej przyjaciółce. Wywnioskowała, że mąż jej nie ma. żadnego fachu: jest „intelektualistą”, „artystą”, „pisarzem”, Nie zdołała dowiedzieć się dokład-189

niej, co on właściwie pisze. Wiersze? Jeśli chodzi o poezję, to Rut tyle się na niej znała co prowincjonalna mieszczka, ale poezja imponowała jej.

Rut nie pilno było pokazać swojego „artystę”. Zamykała go w domu. Ale odtąd widywała Anetkę często – za często. W końcu zaczęła ją zasypywać objawami przyjaźni, kwiatami, grzecznościami, rzadko kiedy dobrze pomyślanymi i drażniącymi Anetkę. Bez umiaru! Ta namiętna natura uznawała tylko wszystko lub nic. Nigdy dotąd nie miała przyjaciółki. Nigdy nie zwierzała się przed nikim. Z chwilą gdy postanowiła kochać Anetkę, zagarnęła ją na własność. Anetka, zmęczona tą miłością, pojęła, że i dla męża nie musi być ona lekka.

W końcu Anetce udało się niespodziewanie przyjrzeć temu rzadkiemu ptakowi: mdły, pospolity człowiek, o błękitnych mętnych oczach, zrobił na niej wrażenie cichego czciciela ab-syntu. Bardzo próżny i bardzo mało pewny siebie, doskonale przeciętny – był niespokojny, jakie zdanie poweźmie o nim Anetka. Żony nie kochał, lecz uważał, że wygodnie jest być rozpieszczanym, i mówiąc o swoim zdrowiu, swoich zapoznanych talentach, o zazdrości kolegów przybierał miny tęskne, gorzkie, cierpiętlive. Anetka na wskroś przejrzała go swymi jasnymi oczyma. On w stosunku do niej zachowywał ostrożność i powściągał jeremiady, na które czyhała jej milcząca ironia. Ale Rut, niezdolna do wyrobienia sobie zdania, była zachwycona i dumna jak Artaban⁴⁵... „Zostawmy jej złudzenia! Ona musi mieć kogoś, kogo mogłaby kochać, mężczyznę, którym mogłaby się opiekować. Ona ma duszę namiętnej służą-

cej. Położyłaby się u jego stóp...” Zdarzało się też, że łajała go szorstko; a raz idąc po schodach Anetka usłyszała wrzaskliwe zawrozenia „poety”, który jęczał głośno: to Rut policzkowała męża.

Anetka nie miała wątpliwości, że lwia część pieniędzy Rut pochłaniały lumpki i absyntu Joségo. José grał na wyścigach. Rut nie skarżyła się nigdy: zaciekle składała grosz do grosza, by zebrać, ile potrzeba, na wydanie zbioru jego wierszy. Ale on nie śpieszył się z ich napisaniem; a gdy pewnego razu obliczała swą kasę, okazało się, że ściągnął trzy czwarte pieniędzy: sam siebie okradł!

Tego dnia duma jej się załamała i wyznała Anetce swoją niedolę. Nie byłaby nic powiedziała, gdyby chodziło o nią samą. Ale od lat wyczerpywała się pracą dla niego („dla jego sławy” – jak się wyraziła). I oto on sam ją niszczy!

Jedno zwierzenie pociąga za sobą dalsze. Anetka w końcu wiedziała niemal wszystko o cierpieniach Rut. Zdrowie jej było zniszczone. Rut, z dniem każdym słabsza, coraz mniej umiała ukrywać swoje myśli. W miarę zbliżania się śmierci oczy jej otwierały się; jasno widziała nicość tego człowieka i to, że jej nie kocha. José prawie nigdy nie był teraz w domu.

Wymykał się, uważając, że niemiłe jest towarzystwo kobiety chorej i zgorzkniałej.

W ostatnich dniach życia Rut straciła wszelkie złudzenia. Utrzymywała jednak z dumną szczerością, że nie żałuje nic, że na nowo uczyniłaby to samo...

– To mnie zabiło. Ale tym żyłam.

Nie wierzyła w nic, niczego nie oczekiwała ani na tym, ani na tamtym świecie...

Anetka sama była przy niej, gdy umierała, powalona uderzeniem krwi do mózgu...

José, który uciekł na widok nadchodzącej śmierci, w chwilę potem ukazał swoją wylękną twarz – gdy już było po wszystkim. Doznał krótkiego wzruszenia. Gdy skończył popłakiwać, pierwsze jego słowa brzmiały:

– Ależ, u diabła, co teraz będzie ze mną?! Anetka odrzekła:

– Znajdzie sobie pan inną, żeby pana żywiła...

Obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem. Ale pozwolił jej zapłacić kosztą pogrzebu.

Anetka stojąc u łóżka zmarłej myślała:

„Otóż to!... Była potęgą dumy, woli, ascetycznego poświęcenia... A na co przydało się to wszystko? Cóż za marnotrawstwo! Ofiara z samej siebie dla psa!.. Biedna Rut była twarda...

Nie dość twarda. Trzeba stać się jeszcze twardszą...”

45 Artaban – bohater romansu pt. Cleopâtre pióra la Calprenede’a; duma jego stała się przysłowiowa.

190

Reakcja przeciw oszukaństwu serca – przekłete serce, które istnieje tylko po to, żeby mnie oszukiwać!... Moja głowa i moje zmysły chcą i wiedzą. Ale moje serce jest ślepe. To ja muszę nim kierować! Reakcja przeciw miłości, przeciw poświęceniu, przeciw dobroci...

W życiu każdego człowieka, tak jak i w życiu społecznym, uczucia ulegają jakby modom, które następują po sobie nie będąc do siebie podobne. A nawet ich podstawowym prawem jest to, że nie są do siebie podobne. Jak długo trwa jedna moda, każdy dostosowuje się do niej z pełną powagą, czując już tylko pogardę dla śmieszności mód przestarzałych, w przekonaniu, że jego moda jest i zawsze będzie najlepsza... Anetka przechodziła teraz modę twardości.

Ale niezależnie od ubioru istota ludzka pozostaje ta sama. Nie może się obejść bez innych.

Najdumniejszy nawet potrzebuje swojej części uczucia; a im bardziej okoliczności zmuszają go do zamykania się w sobie, tym bardziej jego zdradziecka myśl spiskuje, żeby go wydać.

Anetka czuła się silna. Silna doświadczeniem i inteligencją, śmiała, praktyczna, wolna od złudzeń. Teraz była już pewna, że żyć będzie według swojej woli – oczywiście pracując, ale praca była także z jej woli. Nie bała się braku pracy. Nie potrzebowała niczyjej pomocy. I nie troszczyła się o to, czy się komuś podobać będzie, czy nie.

Obecnie od niedawna zmagala się z nowym rodzajem konkurencji: z mężczyznami.

Udzielała lekcji chłopcom przygotowując ich do szkół i egzaminów. Miała dobre wyniki, ale wraz z sukcesem rosła także wrogość tych, przed którymi dawano jej pierwszeństwo. Uważa-li, że pozbawia ich tego, co się im należy. Tu już nie było mowy o galanterii! A wcale nie najmniej bezwzględni byli ludzie żonaci: żony podniecały ich. Na Anetkę rzucano oszczerstwa: czegoż nie insynuowano na temat środków, dzięki którym porywała im najlepsze posady? Anetka, ze swym twardym, urzekającym uśmiechem na ustach, szła prosto przed siebie, gardząc opinią ludzką.

Ale na dnie mimo wszystko zaznaczało się – choć na razie niedostrzegalne – znużenie długimi latami bezlitosnej pracy. Zbliżała się czterdziestka. Życie minęło niepostrzeżenie. Rodził

się jakiś niejasny bunt... To całe stracone życie, życie bez miłości, bez czynu, bez zbytku, bez żadnej potężnej radości... A ona była stworzona do rozkoszowania się tym wszystkim, czego jej brakło!

Po co zastanawiać się nad tym? Wszak teraz już za późno!

Czy za późno?

191

Część trzecia

Solange miała okrągłą, prostą twarzyczkę gotyckiej Madonny: coś starszuskowatego i dziecinnego w wyrazie, śmiejące się, przymrużone oczy, miły nosek, usta przymilne, podbródek trochę za ciężki, delikatna skóra, żywe rumieńce. Lubiła poruszać poważne tematy i czyniła to tonem poważnym, bardzo poważnym, kontrastującym komicznie z jej śmiejącą się, poczciwą twarzą, grzecznie usiłującą nadać sobie poważniejszy wygląd; mówiła zawsze z po-

śpiechem, w obawie, by nie stracić wątku swych ważnych myśli; i rzeczywiście zdarzało się, że urywała w pół zdania, z uczuciem pustki w głowie:

– Co to ja chciałam powiedzieć?...

Słuchacze rzadko kiedy podpowiadali jej odpowiedź, bo nie słuchali jej wcale. Ale nie brali jej tego za złe. Solange nie należała do tych gaduł, których nudnych wywodów musi się wysłuchiwać. Nie miała w sobie pychy i gotowa była serdecznie przeproszać, jeśli może znudziła. Niezdolna do

utrzymania ciągłości myśli, miała naiwne aspiracje do myślenia i ogrom dobrej woli. Nie wynikało z tego zbyt wiele: myśli gubiła gdzieś po drodze; poważne książki: Platon, Guyau, Fouillée, całymi tygodniami i miesiącami ziewały otwarte na tej samej stronicy; a wielkie, piękne, idealistyczno-altruistyczne projekty z dziedziny opieki społecznej czy nowych systemów wychowania były dla niej tylko zabawkami umysłu, o których rychło zapominała gubiąc je po kątach i pod meblami, do chwili kiedy przypadkiem znów na nie natrafiała. Dobra ta mieszczańeczka, łagodna, uprzejma, ładna, rozsądna, zrównoważona, troszeczkę pedantyczna, nie krępująca nikogo, miła, bez pozy, wyobrażała sobie, że ma poważne potrzeby intelektualne, a ściśle biorąc potrzebowała tylko mówić o ideałach i wielu innych rzeczach, wszystko na jednym planie, wszystko spokojne, czyściutkie, uporządkowane, uczciwe, niewinne i żadne.

Młodsza od Anetki o trzy lub cztery lata, odczuwała. niegdyś w stosunku do niej ów para-doksalny pociąg, jakiego doznają wobec niebezpiecznych natur natury nie kryjące w sobie żadnych zadatków niebezpieczeństwa. Co prawda zjawiska te występują zazwyczaj na odległość i rzeczywiście Solange mało stykała się z Anetką w liceum, gdzie uczęszczały do róż-

nych klas. Mała Solange widywała ją w przelocie, czasem zasłyszała coś o niej od starszych koleżanek i tylko pod tym wrażeniem ulegała onieśmielającemu a fascynującemu urokowi Anetki, która nawet nie domyślała się tego. Solange od owego czasu zupełnie o Anetce zapomniała. Wyszła za mąż i była szczęśliwa. Aby nią nie była, mąż jej musiałby chyba być potworem – albo mężczyzną namiętym. Wiktor Mouton-Chevallier nie był, dzięki Bogu, ani jednym, ani drugim! Z zawodu był rzeźbiarzem, ale natchnienie nie dręczyło go zbyt, bo miał renty i właściwego bogatym lenia. Nie brakło mu gustu, ale nie odczuwał żadnej naglą-

cej konieczności wypowiedzania w swej sztuce czegoś więcej lub inaczej, niż wypowiedział to dotychczas ten czy ów, czy też jeszcze inny z jego znakomitych kolegów wszystkich czasów.

A że nie miał większych ambicji i wolny był od małostkowych uczuć (może też i od innych), czuł się ku pełnemu swemu zadowoleniu najkompletniej wypowiedzianym (a przynajmniej chępił się tym) przez Michała Anioła, Rodina, Bourdelle'a lub też przez mniejszych od nich panów: był bowiem eklektykiem i zewsząd czerpał to, co mu odpowiadało. W tym błogim stanie, doprawdy, nie byłoby warto trudzić się własną produkcją, gdyby nie zaprawiało to przyjemności życia domieszką nowego posmaku: pochlebnym złudzeniem przynależności do tej samej rodziny. Chętnie odnosił do siebie ów rozrzewniony szacunek, który czuł się w obowiązku okazywać bohaterom sztuki i ich niedolom: w tych ostatnich brał udział – z daleka; i zadowolona jego twarz siliła się na wyraz melancholii, gdy słuchał Sonaty Patetycznej 192

grzecznie wybrzdąkiwanej przez żonę (bo Beethoven także należał do rodziny). Solange w całej pełni uczyniła zadość jego domowym wymogom. Spokojna miłość, łatwa dobroć, usposobienie łagodne, równe, uczynne, idealizm „kameralny”, nie wążący się wyjść poza próg domu, gdy był wiatr i błoto skłonność do podziwiania, która czyni życie o tyle miłszym! Jednym słowem: bezpieczeństwo – ich prawdziwy, niewyznany ideał... Pozwalały im na to za-równo ich środki majątkowe jak i możliwości serca. Byli zabezpieczeni przed materialnymi kłopotami i nie zachodziła obawa, że mogliby wprowadzić do swego home'u troskę.

A jednak wprowadzili doń Anetkę. Gdyby byli w stanie się domyślić, jakie elementy niepokoju nosi

w sobie ta Frau Sorge⁴⁷, zrobiłoby im się diabelnie niemiło. Ale nie dowiedzieli się o tym nigdy. Należeli do tych niewiniątek, co beztrosko bawią się materiałem wybucho-wym; gdyby wiedzieli, co trzymają w rękę, dostaliby ataku nerwowego; ale nie mając o niczym pojęcia, wybawiwszy się należycie, idą bez złej myśli grzecznie złożyć swą zabawkę w ogródku któregoś z przyjaciół. Złożyli w ten sposób Anetkę w ogródku państwa Viillard.

Gdy Solange spotkała ponownie Anetkę, odnalazła zarazem swe dawne dla niej uczucie: znalazła się znów pod jej urokiem. Jak wszyscy, wiedziała i ona o „nieuregulowanym” życiu Anetki, lecz będąc dobra z natury – bez głębi, ale i bez pruderii – nie sądziła jej źle. Przyznać trzeba, że dobrze jej nie rozumiała. Ze swą skłonnością do pobłażliwości, która była najsym-patyczniejszą stroną jej miłego usposobienia, Solange myślała, że Anetka była zapewne ofiarą lub też że miała ważne powody, by postąpić tak, jak postąpiła – a w każdym razie wszystko to było tylko jej osobistą sprawą. I oburzała się na opinię. Po spotkaniu z Anetką zasięgnęła informacji i dowiedziawszy się o jej odwadze i zaparciu się siebie poczuła dla niej płomienne uwielbienie. Był to jeden z tych periodycznych ataków entuzjazmu, które na dłuższy czas nie zostawiały w niej miejsca dla żadnego innego uczucia. Jej mąż, którego karmiła swymi entu-zjasmami, znalazł w tym ostatnim jedną okazję więcej do rozczulania się nad szlachetnością serca Anetki, serca swej żony, a także swoją własną. (Czyż jest coś na świecie, co dawałoby nam lepszą okazję rozkoszowania się własną moralną pięknnością niż rozczulanie się nad moralną pięknnością bliźniego?) Między dwojgiem małżonków w stosunku do Anetki doszło do istnej licytacji szlachetnych zamierzeń. Nie można przecież zostawić samej biednej kobiety pozbawionej wszelkiej sympatii, ofiary niesprawiedliwości społecznej! Państwo Mouton-Chevallier poszli z wizytą do Anetki aż na jej piąte piętro. Zaskoczyli ją podczas zajęć gospo-darskich. Wydała im się dzięki temu jeszcze bardziej wzruszająca, a chłód jej zdał się im być wyrazem zachwycającej godności. Nie pożegnali Anetki, póki im nie przyrzekła, że w jeden z najbliższych wieczorów przyjdzie do nich ze swym malcem na obiad w najściślejszym gronie.

Anetce ta odnowiona przyjaźń nie dała wiele przyjemności. Wyczuwała, jak mdły jest jej smak. Długie lata moralnego osamotnienia obdarzyły ją dziką wrażliwością węchu. Niedobrze jest zbytnio oddalać się od świata: niełatwo wchodzi się do niego z powrotem. Jest się już uczulo-nym na jego trupi zapach wydobywający się spod kwiatów. W zacisznym ognisku domowym państwa Mouton-Chevallier Anetka nie czuła się dobrze; ich szczęście małżeńskie nie budziło w niej zazdrości... „Dobrotliwi, dobrotliwi, dobrotliwi” – jak mówi Moliere... Nie, dziękuję! To nie dla mnie! Była teraz w okresie, w którym potrzeba jej było ostrych tchnień życia.

Niech się więc stanie zadość jej pragnieniu! Dobrotliwa Solange postara się je dostarczyć...

Anetka ubierała się na obiad u Mouton-Chevallierów. Miała tego wieczora spotkać u nich owych przyjaciół, o których Solange opowiadała jej już do uprzykrzenia – doktora Villard, modnego chirurga o hałaśliwej sławie, i jego zachwycającą młodą żonę. Anetka była zakłopotana... „A gdybym tak nie poszła?” Chętnie posłałaby parę słów wymawiając się od wizyty, ale Marek, który nudził się we dwoje z matką, z radością przyjmował każdy pretekst do wyj-

ścia z domu. Anetka nie chciała pozbawiać go tej rozrywki, a zresztą sama wydała się sobie 46 Home (ang.) – dom, ognisko rodzinne.

⁴⁷ Frau Sorge (niem.) – dosłownie: pani troska. Aluzja do bohaterki powieści Hermana Sudermanna,

niedorzeczna. „Cóż znowu? Co cię tak niepokoi?...” To było jak gdyby złe przeczucie...

Głupstwo! Racjonalistyczny umysł, współmieszkający w niej wraz z instynktami, które się z nim nie liczyły, sprawił, że wzruszyła ramionami. Dokończyła toalety i z synem pod rękę udała się do Solange.

Zabobonny instynkt niedługo czekać musiał na wzięcie odwetu. W rzeczywistości to nie żaden cud, jeśli przeczucie się sprawdza. Przeczucie jest predyspozycją do czegoś, czego boimy się doznać, a zatem jeśli coś zapowiada, nie jest jeszcze koniecznie wróżbiarzem.

Igrając słowami moglibyśmy je raczej nazwać różdżkarzem⁴⁸: gdy zbliża się do źródła, dreszcz jakiś zwiastuje mu, że podziemna struga podmywa tu korę ziemi.

Na progu salonu Anetka doznała jak gdyby ostrzeżenia; ale zmarszczyła brwi, a gdy już weszła, uspokoiła się. Zanim Solange zdążyła jej go przedstawić – Anetka już jednym rzutem oka osądziła Filipa Villard: wydał się jej antypatyczny. Stwierdziła to z uczuciem ulgi.

Filip wcale nie był piękny. Niski i krępy, czoło miał nad oczyma wypukłe, szczęki mocne, krótką spiczastą bródkę, oczy błękitne o stalowym spojrzeniu. Bardzo opanowany, miał w sobie chłód uprzejmy i rozkazujący. Siedząc przy stole obok Anetki, brał równocześnie udział

w dwu konwersacjach: w ogólnej, którą na swój sposób beładnie kierowała Solange – i w tej, którą sam, w przerwach pierwszej, prowadził ze swoją sąsiadką. W obu odzywał się w ten sam krótki, ścisły, przecinający kwestię sposób. Nigdy wahania ani w słowie, ani w myśli. Im dłużej Anetka go słuchała, tym większą czuła wobec niego wrogość. Odpowiadając maskowała ją obojętnością, oschłą nieco i daleką. Nie zdawał się przywiązywać dużej wagi do tego, co mówiła. Widocznie wyrobił sobie sąd o niej na podstawie ckliwych pochwał zasłyszanych od Solange. Był zaledwie grzeczny. Nie dziwiło to nikogo. Obecni przywykli już do jego szorstkich manier. Ale Anetkę zachowanie jego denerwowało. Rys po rysie obserwowała go z boku, na pozór nie patrząc, i nie widziała w nim nic, co by się jej podobać mogło. Ale ogólne wrażenie nie było sumą wrażeń poszczególnych i gdy bez niepokoju dobiegała do końca swych oględzin – odnajdywała znowu niepokój. Jakiś ruch ręki, ściągnięcie twarzy... Bała się go. I myślała: „Przede wszystkim, żeby mnie nie przejrzał!” Solange mówiła o jakimś autorze, który – jak się wyraziła – miał dar łez.

– Ładny mi dar! – powiedział Filip. – Łzy nawet w życiu niewiele są warte. A w sztuce nie znam nic obrzydliwszego jak butelkowanie łez.

Panie gorąco zaprotestowały. Pani Villard oświadczyła, że łzy są jedną z przyjemności życia, a Solange nazwała je ozdobą duszy.

– No, a pani? Pani nie protestuje? – zwrócił się Filip do Anetki. – Czy pani też zaopatruje się u dostawcy?

– Mam dość własnych łez – odrzekła. – Nie potrzeba mi cudzych.

– Żyje pani z własnego kapitału?

– A ma pan sposób, by mnie od tego uwolnić?

– Niech pani będzie twarda!

– Uczę się tego – odrzekła.

Rzucił na nią z ukosa krótkie spojrzenie.

Pozostali mówili dalej z wylaniem.

– O, widzi pani – rzekł Filip do Anetki – oto jest ktoś, kogo trzeba by tego nauczyć.

(Kątem oka wskazywał na Marka, którego ruchliwa twarz naiwnie zdradzała przeróżne wrażenia wywoływane sąsiedztwem pięknej pani Villard.)

– Obawiam się – odrzekła Anetka – by nie miał już za wiele skłonności ku temu.

– Tym lepiej!

– Czy tym lepiej dla tych, którzy są na drodze?

– Niech ich podepcze!

– Łatwo panu tak mówić!

48 W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów: sorcier – wróżbiarz, sourcier – różdżkarz.

194

– Wystarczy, żeby mu pani zesłała z drogi.

– To byłoby przeciwne naturze.

–Ależ nie. To tylko nadmierna miłość przeciwna jest naturze.

– Miłość do swego dziecka?

– Do kogokolwiek, a zwłaszcza do swego dziecka.

– On mnie potrzebuje.

– Niech mu się pani przypatrzy! Czy myśli on o pani? Wyparłby się pani za jedną okruszynę zjedzoną z ręki mojej żony.

Palce Anetki skurczyły się na obrusie... Ach! Jakżeż go nienawidziła!... Widział jej palce...

– Urodziłam go nie po to, by się go wyrzec – odrzekła.

– To nie pani zasługa, że go pani urodziła – powiedział. – To natura stworzyła go. Posłużyła się tylko panią, a teraz panią odrzuca.

– Ale ja się nie dam odrzucić.

– A zatem walka?

– Walka!

Spojrzał jej prosto w twarz:

– Pani będzie pobita.

– Wiem o tym. Zawsze jest się pobitym. Ale mniejsza o to! Walczy się dalej.

Pod maską chłodu oczy jej uśmiechały się wyzywająco. Ale jego twarde błękitne spojrzenie przejrzało Anetkę na wskroś. Zdradziła się.

Filip był gwałtowny. Gwałtowność była częścią składową jego geniuszu. Wnosił ją zarówno do swej kliniki, do swych piorunujących diagnoz i pewności ręki na sali operacyjnej jak do swych życiowych posunięć i decyzji. Nawykły do czytania jednym spojrzeniem w głębi ciał, z miejsca pochwycił całą istotę Anetki – jej namiętności, jej dumę i niepokoje, jej temperament i potężną naturę. Anetka poczuła się jak w potrzasku. Z natychmiast nasuniętym głęboko hełmem i opuszczoną przyłbicą, rozwścieczona doznana przykrością, oczom przeciwnika ukazywała już tylko zimną jak lód zbroję. Po ściśnięciu serca poznała teraz, że wróg jest tuż.

Wróg? Tak, miłość... (Ach, jakie mdłe jest to słowo, jak odległe od okrutnej potęgi!...) Wzbudzonemu nagle zainteresowaniu, które w nim dostrzegła, przeciwstawiła ironiczną sztywność, złe osłaniającą jej niechęć. To zdradziło ją do reszty. Była zbyt prawdziwa, zbyt namiętna.

Nie umiała udawać. Nawet jej wrogość odsłaniała ją do głębi. Filip sam jeden widział to wszystko. Nie próbował ożywić rozmowy. Już dosyć wiedział i z wyrazem obojętności, opowiadając towarzystwu jedną z tych gorzkich a zabawnych historii, w których przejawiały się twarde jego doświadczenia, mierzył oczyma tę, którą miał wziąć.

Nikt z obecnych niczego nie spostrzegł. Państwo Mouton-Chevallier stwierdzili ze smutkiem, że Anetka i Filip nie sympatyzują ze sobą: charaktery ich nie miały nic wspólnego.

Zresztą poznając Anetkę z Villardami mieli na myśli tylko zbliżenie jej z panią Villard:

„Wszak są jakby stworzone dla siebie!” – i z tej strony miło im było stwierdzić, że się nie pomylili.

Noemi Villard była uroczą Kreolką o drobnych kościach i pulchnym ciałku, złotawą jak pieczony gołąbek. Nos miała cienki, oczy sarnie, policzki szczupłe, pyszczek wysuwała naprzód, jak gdyby chciała nim coś schwycić. Młode jej piersi, wspaniałomyślnie odsłonięte, były okrągłe i kształtne; ramiona wiotkie, talia cienka, nóżka mała, wszystkie członki delikatne. Pozowała na kobietę-dziecko, z wszystkimi właściwymi temu typowi tęsknotami, porywami, łzami, śmiechem i sepleniącą mową. Wyglądała na stworzonko delikatne, wylewne, czułe, niezbyt inteligentne. W rzeczywistości było przeciwnie. Trzeźwa i zmysłowa, oschła i namiętna, obserwująca wszystko, obliczająca wszystko, nie znająca, co to zmęczenie, nie do złamania, delikatna – owszem, jak pręt łoziny, co zgina się i – hop! – znów śmiga w górę –

jakby z wapna i piasku pod warstwą kruchej emalii (ona jedna tylko mogłaby powiedzieć, jaką sumą energii opłaca się tę delikatną glazurę). Co do inteligencji, śmiało mogłaby jej jeszcze odsprzedać. Trzymała ją ukrytą jak w banku i używała tylko wtedy, gdy w grę wchodziła 195

jedyna interesująca ją sprawa: mąż, którego była zazdrosną właścicielką. Małżeństwo ich było obustronnie małżeństwem z namiętności – namiętności głowy i zmysłów: rozkosz i próżność.

Decyzja Noemi znacznie wyprzedziła wybór Filipa, a nawet jego zainteresowanie się jej osobą. Ten człowiek, który za przykładem swoich znakomitych paryskich kolegów z jednakim zapałem rozwijał przytłaczającą rozmiarami działalność zawodową i prowadził bez przerwy życie światowe – potrafił przy tym znaleźć jeszcze czas na wzbudzanie licznych namiętnych miłości. Jego reputacja zwycięzcy nie miała też odegrała rolę w szalonej miłości Noemi i jej stanowczej chęci wzięcia go sobie na własność, ale wyłącznie dla siebie i po to, aby go zatrzymać na zawsze. Filip nie dbał o inteligencję u kobiet. Chciał, żeby były dobrze zbudowane, zdrowe, eleganckie i głupie. Lubił mówić, że jego zdaniem kobieta . nigdy nie jest dość głupia. Noemi nie była taka; ale mniejsza o to! Kobieta, gdy chce mężczyzny, robi sobie przed lustrem umysł i oczy takie, jakich on pragnie. Noemi upoiła Filipa swoim młodym cia-

łem i bałwochwalczym uwielbieniem. Wchłonęła go łakomie.

Lecz kariera kochanki nie jest synekurą. Trzeba szafować w niej pewnego rodzaju geniu-szem. I nigdy spokoju! Po długim okresie obustronnej miłosnej niewoli Filip zaczynał być znużony. Noemi, przedziwnie szybko wyczuwająca w sercu swego męża-kochanka każdą najłżejszą zapowiedź zmiany wiatru, we śnie nawet czuwała jednym okiem. Stale trwając w zazdrosnym pogotowiu, umiała, w niedostrzegalny dla Filipa sposób, jednym uderzeniem łapki odwrócić grożące niebezpieczeństwo i przynętą zmysłów oraz przebiegłym sprytem ująć z powrotem w swe sidła wymykającego się już mężczyznę. Zrazu było to zabawą – ale niedługo nią było. Bardziej jeszcze niż Filipa musiała pilnować siebie samej, być zawsze gotowa do zapobiegania niespodziewanym szkodom wyrządzanym przez złośliwe minuty, nie-uniknionym spustoszeniom dokonywanym przez dni i lata. Noemi straciła już pierwszą świeżość. Cera jej nie była już tak czysta; delikatne rysy stawały się ostre, biust robił się ocię-

żały i czyste linie szyi były już zagrożone. Sztuka śpieszyła z pomocą zagrożonemu arcy-dziełu, a nawet przysparzała mu jeszcze kilku nowych wdzięków. Ale cóż za nieustanne na-pięcie! Jedna chwila zaniedbania mogła wydać sekret bystremu oku władcy, który nie byłby już o tym zapomniiał. Nigdy nie dać się zaskoczyć, gdy się jest nieprzygotowaną! Cóż to była za tragedia, gdy pewnego

ranka złamał się jeden górny ząbek! Noemi zniknęła wówczas; przepadła na pół dnia u dentysty – a gdy wróciwszy ukazała swój nieskazitelnny uśmiech, Filipowi nie nasunęły się inne przypuszczenia jak tylko zazdrosne domysły... (Ale to nie jest tak straszne jak złamany ząb!) Trzeba było grać z największą ostrożnością. Filip nie należał do mężów, których łatwo oszukać na towarze. Był znawcą. Noemi odczuwała zawsze lekkie bicie serca, gdy spoczęło na niej jedno z tych jego spojrzeń: „Promieni X” (jak nazywała je żartem, chcąc siebie samą oszukać), poddających ją inspekcji. Zapytywała siebie samą: „Czy widzi?...” On widział, ale nie dawał tego poznać po sobie. Sztuka u Noemi zdawała mu się częścią natury; i jeśli podobał mu się osiągnięty efekt, wszystko było dobrze. Ale biada dniowi, w którym efekt by zawiódł! Dwóch nocy z rzędu nie mogła przespać na laurach. Codziennie musiała je zdobywać na nowo. A nie wolno jej było zdradzić się ze swą troską. By podobać się władcy, trzeba było wyglądać radośnie, młodo, promiennie. Jak męczące było to czasem! W chwilach wyczerpania, gdy wiedziała, że nikt jej nie widzi, padała w kąt sofy, z twardą zmarszczką między oczyma i cierpkim, krwawym uśmiechem na ukarminowanych wargach. Ale moment słabości nie trwał nigdy dłużej jak jedną do dwóch minut. Trzeba było iść dalej. I wyruszała. Młoda, wesoła, promienna... Czemuż by nie? Przecież jest taka. I posiada go. I nigdy nie da go sobie zabrać... A zresztą na tyranie, bez którego obejść się nie można, a który nadużywa swej władzy, można się zemścić... Dość! Ani słowa więcej. Ona ma swoje sekrety... Pomówimy o tym wkrótce, jeśli pozwoli... Na razie śmieje się nie tylko ustami, jest zadowolona tak z siebie jak z niego, czuje się pewna, trzyma go! I oczywiście właśnie w tej chwili Filip wymyka się jej... Na nic się nie zda jej talent! Na nic ten cały trud! Zawsze nad-196

chodzi chwila, kiedy słabnie napięcie uwagi. Nawet Argus49 zasnął. I zwierzę zamknięte w klatce, serce kochanka trzymane pod kluczem, odzyskuje wolność.

Na skutek jednej z owych aberacji powszechnych w naturze (ta dobra stręczycielka znajduje w nich korzyść) Noemi po raz pierwszy bez nieufności spojrzała na kobietę. Kobietą tą była Anetka.

Noemi żyła błędną pewnością, że Filip ma odrazę do kobiet intelektualistek. Anetkę stawiała na ostatnim miejscu w rzędzie tych, których mogłaby się lękać. Na wzór fizycznego wyglądu swych byłych rywalek jak i swego własnego, Noemi stworzyła sobie portret tej, któ-

ra mogłaby ukraść jej męża. Widziała ją drobną jak ona sama, raczej brunetką, niewątpliwie piękną, delikatną, zalotną, umiejącą wygrywać swoje atuty. Filip głosił żartobliwy pogląd, że kobieta, będąc stworzona wyłącznie do użytku mężczyzny, powinna w życiu współczesnym być domowym bibelocikiem, bardzo wypielegnowanym, lecz łatwym w użyciu, który nie zajmując za dużo miejsca, zdołałby równie miło salon jak sypialnię. Nie lubił kobiet dużych i bardziej zależało mu na wdzięku niż na piękności. Co do zalet umysłu, mawiał, że gdy mu ich potrzeba, może je znaleźć u mężczyzn – i że jedyną inteligencją, jakiej żąda od kobiety, jest inteligencja ciała. Noemi nie sprzeciwiała się temu: jej obraz pokrywał się z tym portretem.

Obraz Anetki nie pokrywał się z nim. Widząc ją taką dużą i silną a nawet, gdy była w spoczynku i nic jej nie wzruszało, ciężką w swojej piękności i pozbawioną (kiedy mieć go nie chciała) wdzięku – podobną do Juno-jałowicy drzemiącej na łące – Noemi nie uważała jej za niebezpieczną. Lodowaty zaś chłód, który Anetka okazywała Filipowi, w oczach Noemi dodawał jej uroku. Anetka ze swej strony, bardzo wrażliwa na urodę kobiet i skłonna do lubienia wszystkiego, co niepodobne było do niej – uległa czarowi Noemi. Rozmawiając z nią dowiodła, że ona także, gdy zechce, potrafi mieć

czarujący uśmiech. Filip dostrzegł to wszystko; i budząca się miłość rozgorzała w nim do tej Anetki o dwu obliczach, z których jedno nie było mu przeznaczone... (Czy nie było mu przeznaczone? Z jaką mądrą przebiegłością odepchnięta miłość umie wracać na miejsce, z którego ją wypchnięto!) W tym samym czasie gdy Anetka zabraniała Filipowi zgłębiania jej myśli i wycofywała się poza zasłonę najniekorzystniejszego ze swych wyglądków – nie była niezadowolona, że patrząc ponad murem dostrzega on najbardziej urzekający wyraz jej twarzy... O tak, dobrze ją widział. Z przeciwnego rogu salonu, opowiadając gospodarzom o jednym z ostatnich swych doświadczeń, obserwował, jak żona bezwiednie pracuje na jego korzyść. Anetka i Noemi świadczyły sobie mnóstwo czulo-

ści, których Noemi zawsze miała sporo w zapasie, a które Anetce podszeptowało jakieś zło-

żone uczucie, bynajmniej nie wolne od myśli o Filipie. I ucho jej łowiło z tamtego rogu salonu apodyktyczne akcenty głosu, który wiedział, że jest słuchany...

Nienawidziła go, nienawidziła... On był najistotniejszą głębią jej tłumionej natury – natury, którą chciała stłumić – wszystkim, co w niej było mocne i złe; pychą twardą i władczą, potrzebą panowania, żądaniami tak woli jak inteligencji i zmysłowego gwałtownego ciała, na-miętnością bez miłości, silniejszą niż miłość. I tak jak nienawidziła w sobie tej fauny duszy, nienawidziła jej także i w nim. Lecz było to podjęcie nierównej walki. Dwoje ich było przeciwko niej jednej: on i ona sama.

Filip Villard pochodził z dołów drobnomieszczańskich w Franche-Comté. Ojciec jego był

drukarzem w małej mieścinie; czynny, ruchliwy, śmiały, miał energię, a zarazem i brak skrupułów w wystarczającym stopniu, by odnosić sukcesy na szerszej widowni; lecz nie powiodło mu się, bo chcąc odnieść sukces, trzeba umieć osiągnąć, a nie przekroczyć; pewnej istnieją-

49 Argus – w mitologii greckiej władca Peloponezu mający sto oczu. Gdy z rozkazu zazdrosnej Hery strzegł

przed Zeusem nimfy Io zamienionej w jałówkę, usnął i wtedy z rozkazu Zeusa został zabity przez Hermesa.

197

cej granicy śmiałości – on zaś ją zawsze przekraczał. Jako redaktor lokalnej gazetki zeglującej po mętnych wodach polityki, republikanin, gambettysta⁵⁰, antyklerykał w każdym calu i ruchliwy agent wyborczy, przebrawszy pewnego razu w zniesławianiu i szantażu miarę dozwoloną przez prawo (nie! przez zwyczaj), został ogólnie potępiony, a opuszczony przez tych, którym się wysługiwał, i w dodatku chory, doczekał się ruiny, rozprzedaży sprzętu i nagonki wszystkich lokalnych nienawiści puszczonych bez kagańca – w chwili gdy nie miał

już warunków, aby być użytecznym lub budzić lęk. Wtedy zaczął się miotać wściekle jak wilk, walcząc z chorobą, z nędzą, ze złością ludzką; a że to rozjątrzenie pogarszało stan jego zdrowia, zdechł, ziejąc aż do ostatniego tchu nieubłaganą nienawiścią do zdrady swych dawnych towarzyszy.

Mały Filip miał wówczas dziesięć lat i ani jedno z tych złorzeczeń nie przeszło mimo jego uszu.

Jego matka, dzielna chłopka z jurajskiego płaskowzgórza, nawykła do walki z niewdzięczną, ostrym wichrem kąsaną glebą, zaczęła wynajmować się na dniówki piorąc bieliznę w rzece, wykonywała najcięższe roboty, mocna jak klacz perszerońska, odwalająca robotę swymi czterema kulasami i żelaznym kadłubem, chciwa na zarobek, ale dokładna, uczciwa, twarda dla siebie i skąpa. Lękano się jej, ale oceniano ją: był to groźny język, na razie trzymany na wodzy; wiedziano, że poprzez zmarłego męża była w posiadaniu wielu domowych sekretów; nie użytkowała ich, ale je posiadała: ostrożniej było opłacać jej posługi niż obchodzić się bez nich. Pozbawiona skrupułów moralnych, bezwzględnie, przebojem szła przez życie; z ponurym żarem (w rasie tej Hiszpania pozostawiła domieszkę swej krwi) i na-miętną, nie znającą granic energią o przymieszce galickiej trzeźwości, nie wierząc w nie działała tak, jak gdyby szło o zbawienie lub potępienie wieczne. Kochała tylko swego syna.

Dzika to była miłość! Nie kryła przed nim nic z tego, co tała wobec innych: traktowała go jak współnika. Ambitna tylko dla niego, poświęcała się sama – i on też musiał się poświęcać – w imię czego? W imię swego odwetu. (Swego? Tak, jej własny odwet, odwet syna, to przecież to samo!) Żadnej czułości, żadnego psucia, a zwłaszcza obżalowywania!... „Odmawiaj sobie!

Oblizywać się będziesz później...” Gdy wracał ze szkoły (Bóg wie jakim wysiłkiem pracy i dyplomacji uzyskała dla niego stypendium w szkole miejskiej, a potem w gimnazjum w głównym mieście departamentu), gdy wracał pobity i upokorzony przez małych burżujów, nieostrożnych spadkobierców skrytej niechęci swych ojców, mówiła mu:

– Bądź silniejszy od nich, kiedyś, później! Po nogach cię będą całować. I mówiła:

– Licz tylko na siebie! Nie oglądaj się na nikogo! Nie oglądał się na nikogo – i wkrótce pokazał, że to z nim trzeba będzie się liczyć. Kurczowo trzymając się żyda zdołała dotrzeć do chwili, gdy syn ukończywszy świetnie szkołę zapisał się w Paryżu na medycynę. Był właśnie w trakcie zdawania jednego z egzaminów, gdy położyła się zapadłszy na zapalenie płuc. Nie chciała go niepokoić, dopóki nie zda. Umarła sama, bez niego. Swym grubym piśmem, peł-

nym zawijasów (jak wiosenne wąsy winorośli, z kropkami i przecinkami dokładnie położonymi na swym miejscu) skreśliła na nie zapisanej ćwiartce, starannie odciętej od listu syna, który nie szczędził papieru:

„Odchodzę już. Trzymaj się mocno, chłopcze, i nie poddawaj się!” I Filip się nie poddał. Wróciwszy w rodzinne strony, aby pochować matkę, zastał tam uskładaną z dnia na dzień małą sumkę, która umożliwiła mu pokrycie kosztów utrzymania przez jeden jeszcze rok. Potem, zdany już na własne siły, spędzał połowę swych dni, a czasem i nocy, na zarabianiu tego, co konieczne, by móc wyżyć przez drugą ich połowę. Nie odstrę-

czała go żadna robota. Wypychał zwierzęta i ptaki u preparatora, był modelem u rzeźbiarza, chłopcem donajmowanym na niedziele w kawiarniach podmiejskich lub w. wieczory sobotnie w restauracjach, gdzie wyprawiane są przyjęcia weselne; a kiedyś – zdarzyło się to w zimie, w jakiś głodny poranek – dał się nawet wciągnąć przez urząd oczyszczania miasta do ekipy 50 Gambettysta –

zwolennik Gambetty. Gambetta Leon (1838—1882) – francuski działacz polityczny, jeden z przywódców burżuazyjnej partii republikańskiej.

198

zamiataczy śniegu. Nie wahał się uciekać do bezwstydnego zebrania, do upokarzających pomocy i pożyczek, których nigdy nie był w stanie zwrócić, a które za pięć franków dają róż-

nym bałwanom prawo traktowania cię bez żadnych względów. (Diabła tam! Żaden nie odwa-

żył się na to po raz drugi pod jego spojrzeniem! Ale wtedy, nie mogąc zapłacić sobie pogardą, płacili nienawiścią, ostrożną, poza jego plecami, szerząc na jego temat różne oszczerstwa.) Posunął się tak daleko, że przez kilka miesięcy zawziętej pracy przyjmował pieniądze ofiaro-wywane mu przez dziewczynę uliczną z jego dzielnicy. Nie wstyd mu było: bo nie czynił tego dla siebie (zabijał się odmawiając sobie wszystkiego), ale dla sukcesu. Potrzeby miał, oczywi-

ście! Byłby chciał wszystko osiąść; ale je ujarzmił. To później! Wpierw trzeba zwyciężyć.

A chcąc zwyciężyć trzeba żyć, żyć, na wszelki sposób. Zwycięstwo zmywa wszystko; a nale-

ży mu się ono: świadomy był swego geniuszu.

Ściągał na siebie uwagę profesorów, kolegów. Powierzano mu prace, które po pozornym poprawieniu podpisywali ludzie na stanowiskach. Pozwalał się wyzyskiwać, aby zdobyć pewne prawa wobec tych, którzy zamykali dostęp nowym przybywającym siłom. Nie pilno im było go wpuścić. Szanowali go, ale szacunek jest monetą, która zwalnia od innych świadczeń. Ceniono go – i jak jeszcze! Lecz nie tyje się od tej zapłaty. Mimo swej jurajskiej krze-py, był już na skutek niedożywienia i trudu bliski załamania, w chwili gdy spotkał Solange.

Miało to miejsce w jednej z licznych instytucji charytatywnych, którym patronowała ze szczerą, lecz niesystematyczną wspaniałomyślnością serca i pieniędzy: w klinice dziecięcej. Solange ujrzała tam, jaką furiją – z tą furiją zwyciężania, która ogarniała go wszędzie, gdzie widział bodaj szansę zwycięstwa – Filip poświęca się przy łózkach małych pacjentów skazanych już, zdawałoby się, na śmierć. Spędzał tam całe noce i powracał z tych walk mizerny i wyczerpany, ale z płomieniem gorączki i geniuszu w oczach. Gdy odniósł zwycięstwo, stawał się niemal piękny i zdawał się więcej niż dobry w trosce o małego pacjenta, którego uratował. Czy go kochał? Być może, nie wiadomo... Ale w walce z chorobą ostatnie słowo należało do niego!

Gdy Solange zapoznała się z położeniem Filipa, przeszła jeden ze swoich . periodycznych ataków „wzniosłości”, w czasie których cały jej horyzont był przesłonięty jedną jedyną sprawą. Chcąc z tego momentu skorzystać nie należało tracić czasu. Filip nie tracił go nigdy. To-nący człowiek uchwycił wyciągającą się do niego rękę. Chwycił wraz z nią nawet i ramię, a byłby porwał i resztę, gdyby nie spostrzegł, że Solange pośród tych uniesień nie zaświtała nawet myśl o stosunku miłosnym. Lubiała egzaltować się, ale w niczym nie naruszało to jej spokoju. Filip nigdy dotychczas nie spotkał kobiety, która zainteresowałaby się nim bezinteresownie. Dobra Solange znajdowała przyjemność w sobie samej. Od innych żądała tylko, by nie przeszkadzali jej w kształtowaniu sobie ich obrazu. W gruncie

rzeczy nie zależało jej wcale na ich poznaniu. Usuwała sprzed swych oczu wszystko, co u kogoś drugiego mogło jej się nie podobać – pod pretekstem, że to nie jest jego „prawdziwa natura”; i jako prawdziwe zatrzymywała tylko to, co do niej samej było podobne. Tą drogą dochodziła do stworzenia sobie świata ulepionego z nieszkodliwych pocziwców, takich jak ona sama. Filip pozwolił

jej na to z odrobiną pogardy i odrobiną szacunku. Nie lubił ludzi głupich, a za głupich uważał

tych, którzy nie widzieli świata takim, jakim jest. Ale dobroć, czynnie realizująca dobro, o którym mówi, nie była dla niego powszednim widowiskiem. Jakikolwiek byłyby wartości: moralne czy niemoralne, główną rzeczą jest, aby w ogóle były coś warte. Dobroć Solange nie była fikcyjna. Gdy tylko dowiedziała się o ubóstwie i ciężkiej pracy Filipa, wyznaczyła mu pensję, stwarzając tym, póki nie ukończy studiów, warunki spokojnej pracy. Zrobiła więcej jeszcze: korzystając ze swych rozległych znajomości zainteresowała nim jednego z wpływo-wych profesorów Wydziału Lekarskiego, czy też (jako że ów przezorny człowiek zauważył

już niepokojącą wartość wygłodniałego wilczka) dołożyła starań, żeby to zainteresowanie nie pozostawało tylko intus et in cute⁵¹, ale by wydostało się na światło dzienne. Ona też w koń-

cu, skontaktowawszy go z jednym z amerykańskich królów oleju pragnących unieśmiertelnić 51 intus et in cute (łac.) – formuła medyczna znacząca: wewnątrz i pod skórą.

199

się pośrednio, otwarła Filipowi szybką drogę do sławy, którą ugruntował zrazu za oceanem swymi zuchwałymi wyczynami w Palace Hospitalu tegoż potentata.

Zresztą zdarzało się też w ciągu tych lat próby, że Solange zapominała najzupełniej o swym protegowanym na przeciąg całych miesięcy i przyobiecana pensja przestawała wpły-wać na skutek jej roztargnienia. Cała ich dobra wola nie jest w stanie sprawić, by bogaci zrozumieli, że zawsze trzeba myśleć o pieniądzech. Pieniądze to troska biednych. Solange posy-

łała Filipowi bilety na koncert. Dobrze trzeba było nalykać się wstydu, by w jej teatralnej łoży przypomnieć tej uroczej kobiecie o zaległej pensji. Filip łykał ten wstyd. Czasami było to jedyną strawą tego dnia. Solange szeroko otwierała zdziwione oczy:

– Czy to możliwe?... Ach, drogi przyjacielu, jakaż ja jestem roztargniona! Gdy tylko wrócę do domu...

Obiecywała, znów zapominała dzień lub dwa – i w końcu posyłała, usprawiedliwiając się najuprzejmiej w świecie. Filip, rozwścieczony oczekiwaniem i upokorzeniem, przysięgał sobie, że na przyszły raz zdechnie raczej, niżby miał ponowić swoją prośbę. Lecz zdychanie jest dobrym wyjściem dla tych, co nie potrzebują żyć. A on żyć potrzebował... Gotów był ponowić swą prośbę, ile razy tylko byłoby potrzeba... Solange nie brała mu tego za złe. Jeśli często zapominała („tyle miała do myślenia!”) – gdy tylko jej przypomniano, zawsze dawała z tą samą przyjemnością.

Jakież dziwne były stosunki tych dwojga – tego mężczyzny młodego, gorącego, spragnionego wszelkich dóbr ziemi, i tej kobiety zaledwie trochę od niego starszej, wytwornej, ładnej, słodkiej, dobrej jak cukierek – którzy w ciągu wielu lat często widywali się sam na sam, a nigdy. nic dwuznacznego nie wkrađło się w ich przyjaźń! Spokojna Solange po macierzyńsku udzielała Filipowi rad co do stroju i wielu drobnych problemów z zakresu życia światowego i praktycznego. Filip, mimo swej dumy, nie wstydził się rad tych przyjmować, prosić o nie, a nawet zwierzać się Solange i opowiadać jej o swych ambicjach i rozczarowaniach. Mógł

śmiało to czynić! Solange nie rozumiała z tego nic, nic złego; nic realnego. Mniejsza z tym!

Słuchała, a potem mówiła ze swym dobrym uśmiechem:

– Pan chce mnie przestraszyć. Ale ja panu nie wierzę.

Wierzyła bowiem tylko w to, co nie było prawdą.

I ten człowiek bezlitosny dla wszelkich przeciętności zrobił jeden jedyny w swym życiu wyjątek: dla Solange. Nie pozwalał sobie jej sądzić.

Poprzedzony reputacją po amerykańsku hałaśliwą, lecz rzetelną, opartą na faktach nie podlegających dyskusji, był już od siedmiu czy ośmiu lat z powrotem w Paryżu. Pomoc jego menażera, ciągnące w trop za beczelnymi dolarami oficjalne poparcie utorowało mu drogę na przekór potrójnym barierom, wznoszonym przez rutynę, zazdrość oraz słuszne prawa tych, którzy od dawna czekali na swą kolej. Lecz bez względu na to, czy słuszne były te prawa, czy niesłuszne, Filip przeszedł wszystkim rywalom po brzuchach. Nie zniósłby niezasłużonych zaszczytów i korzyści – wiedząc jednak, że są zasłużone, nie krępował się w wyborze środków, jakimi po nie sięgał. Zanadto gardził ludźmi, aby jeśli zaszła tego potrzeba, nie wypożyczać sobie u nich – chcąc ich pogrzyć – ich godnej pogardy broni. Nie zaniedbał puszczania w ruch prasowej reklamy, ogłuszającej jak owe trąby akompaniujące ongiś wyrywaczom zę-

bów na rynkach wsi i miasteczek. Pokazywał się w świecie, stał się bywalcem prapremier, wernisażów, oficjalnych uroczystości. Godził się na sensacyjne wywiady. Sam pisał (przez nikogo nie jest się tak dobrze obsłużonym jak przez siebie samego) – i na jednym czy dwóch przykładach pokazał swoim oponentom, że umie równie dobrze władać piórem jak lancetem.

Uwaga, znawcy!... Żadnej dwuznaczności! Jego sposób podawania ręki mówił: „Sojusz czy wojna?” Nie zostawiał żadnej możliwości wywinięcia się neutralnością.

A przy tym wszystkim zaciekała praca, bez oszczędzania siebie i innych, lekceważenie ryzyka, olśniewające rezultaty, których nie sposób zaprzeczyć, zmieniające pacjentów! szpitala, którego był dyrektorem, w entuzjastycznych popleczników; zuchwałe sprawozdania składane 200

w Akademii, wzniecające zrozpaczoną niewiarę umysłów ustalonych, nie lubiących, by je niepokojono; boje homeryckie, z których wychodził niemal zawsze z rozstrzygającym, a zawsze z ostatnim słowem.

Przerażał nieśmiałych. Nie miał względów dla jednostek, gdy sądził, że w grę wchodzi interes wiedzy lub ludzkości. Rad byłby eksperymentować na zbrodniarzach, likwidować potwory, kastrować anormalnych, dokonywać na żywym ciele heroiczych doświadczeń. Nienawidził sentymentalizmu. Nie rozczulał się nad swymi pacjentami i nie pozwalał im rozczulać się nad sobą. Ich jęki nie obchodziły go wcale. Lecz tam, gdzie mógł wyratować, ratował

– z całą szorstkością; ciał żywe ciało, aby uzdrowić żyjącego. Serce miał twarde, ale łagodne ręce. Obawiano się go i poszukiwano. Z bogatych ścigał haracz, .od biednych nie żądał nic.

Żył szeroko, zasmakowawszy w zbytku – który zresztą mógłby z dnia na dzień, bez żalu, całkowicie odrzucić; ale skoro się już ma to życie, to trzeba je brać ze wszystkim! Żona wchodziła w skład tego luksusu. Korzystał z jednej jak z drugiego, nie wymagając od nich tego, czego dać nie mogły. Nie żądał od Noemi, by podzielała jego myśli, i nie proponował

jej tego. Noemi na tym nie zależało: mając resztę, uważała, że jest w posiadaniu lepszej części. On uznał, że w każdym razie jest to jedyna częśćka, którą przyznawać należy kobie-tom. Kobieta myśląca jest meblem, który zawadza.

Czymże więc, tak z miejsca, wzięła go Anetka?

Tym wszystkim, co do niego było podobne. Tym, co było do niego podobne w Anetce z tego czasu i co on jeden zdolny był wyczytać. Przy skrzyżowaniu kling ich pierwszych spojrzeń, przy starciu się pierwszych uderzeń – żelazo z żelazem – powiedział sobie:

„Ona widzi ludzi tak, jak ja ich widzę. Jest z mojej rasy.” Z jego rasy? Nie wyglądało na to, sądząc według faktów: Anetka spadła ze sfery społecznej, do której Filip podciągnął się siłą swych mięśni; i spotkali się na przejściowym szczeblu.

Ale w tym właśnie momencie znajdowali się na równi. Oboje czuli się obcy temu światu, byli przeciwnikami tego świata – oboje jak gdyby z innej rasy, niegdyś posiadającej ziemię, obecnie wyzutej, rozproszonej po całej kuli ziemskiej, nieomal zanikającej. I któż wreszcie zna tajemnice ras i zmienne ich koleje, tę walkę tysiącletnią, w której ludzkość zdaje się zmierzać ku ostatecznemu triumfowi przeciętności?... Ale bywają przeskoki; i czasem dawny pan ziemi na dzień jeden odzyskuje swą własność. Czy była jego własną, czy też nie, Filip domagał się jej dla siebie. I jako taką przysądził sobie Anetkę.

Gdy Anetka powróciła do domu, z ciężącą głową i pochylonym czołem – położyła się spać, nie mówiąc ani słowa. Próbowała stworzyć w sobie próżnię. Ale nie zasnęła. Musiała czuwać, by odpędzać pewien obraz: gdy tylko sen zaczynał ją ogarniać, obraz pojawiał się u progu. By o nim zapomnieć, sięgnęła myślą do swych zajęć codziennych; ale nie interesowały jej. Wtedy, broniąc się przed grożącą inwazją, odwołała się do sprzymierzeńca, którego zazwyczaj bała się przyzywać, gdyż mógł poruszyć zbyt wiele minionych niepokojów: do Juliana i całego świata myśli nagromadzonych przez żal i marzenie dokoła drogiego, bardziej fik-cyjnego niż realnego imienia. Ukazały się na chwilę – i opadły, jak mrozem zwarzone. Uparła się, żeby siłą schwycić je na nowo, lecz w

ramionach został jej tylko uwiędły snop. Słoneczny żar wypił z nich wszystkie soki. Próbując je wskrzesić, Anetka do reszty spalała je swymi rozgorączkowanymi rękami. Rzucała się na łóżku, przekładając i obracając poduszkę. A jednak trzeba było spać ze względu na jutrzejszą pracę. Zażyła proszek nasenny i pogрузzyła się w niepamięć. Lecz gdy po trzech czy czterech godzinach ocknęła się, troska wciąż była przy niej i Anetce wydało się, że nie odstępowała jej nawet w czasie snu.

201

Nazajutrz i w ciągu następnych dni ów zamęt myśli trwał nadal. Szła, gdzie było trzeba, dawała lekcje, śmiała się, rozmawiała jak zazwyczaj. Dobrze nastawiona maszyna szła dalej siłą rozpędu. Ale dusza była niespokojna.

Gdy tak szła raz poprzez Paryż, w pochmurny, szary dzień, nagle wszystko rozjaśniło się dokoła... Drugą stroną ulicy przechodził Filip Villard... Wróciła do domu, skąpana w radości.

Kiedy zdecydowała się zrozumieć powody owej radości – ogarnęło ją przerażenie. Tak jak gdyby przekonała się o istnieniu raka w swym ciele... A zatem raz jeszcze została schwycona w pułapkę! Miłość? Miłość do człowieka, który znów mógł stać się dla niej powodem niepotrzebnych cierpień, człowieka, którego nie знаła, ale wiedziała, że jest niebezpieczny i pozbawiony dobroci, człowieka, który nie należał do niej, który należał do innej, człowieka, którego nie kochała, bo przecież kochała innego! Innego? Tak, wciąż jeszcze kochała Juliana.

Więc jakże? Jeżeli go kochała, to czyż mogła kochać kogoś innego? Kochała go... Ale w jaki sposób, w jakiz to sposób serce oddać się może na raz dwu istotom? Oddać się każdej z nich całkowicie i niepodzielnie! Bo serce Anetki, gdy się oddawało, oddawało się całe... Miała uczucie, że się prostytuuje. Zaiste, mniej haniebnym wydawałoby się jej oddanie ciała niż oddanie serca dwu miłościom równocześnie. Czy może nie była szczerą, uczciwą względem samej siebie? Otóż to właśnie. Nie zdawała sobie sprawy, że ma nie tylko jedno serce i że nie tylko jedną jest istotą. W lesie duszy współistnieją kępy wysokopiennych drzew myśli i gąszcze żądz, w kilkunastu odmiennych gatunkach. Zazwyczaj nie rozróżnia się ich: pogrążone są we śnie. Lecz gdy powieje wiatr, gałęzie ich trącają o siebie... Konflikt pożądań od dawna już budził w Anetce świadomość własnej wielorakości. Była równocześnie kobietą obowiązku i namiętnej dumy, namiętną matką, namiętną kochanką. Kochanką? Kochankami... Lasem pod falami wichru i ramionami lasu wyzyskującymi ku szerokiej płaszczyźnie nieba... Lecz Anetka, upokorzona, przygnębiona prawie mocą, która władała nią bez jej zgody, myślała:

„Po cóż chcieć i walczyć latami całymi, jeśli do zburzenia wszystkiego wystarczy jedna chwila? Skąd bierze się ta moc?”

Odrzucała ją z wściekłością, jak coś obcego. Czyż nie poznawała własnej swojej substancji? Ach! To właśnie było najbardziej przygnębiające. Jak wymknąć się samej sobie?

Nie była typem kobiety uginającej się pod naciskiem wewnętrznej fatalności, którą pogardzała. Postanowiła stłumić upokarzające ją uczucie. I przy pomocy codziennego trudu byłaby tego dokonała, gdyby nie Noemi.

Otrzymała list Skreślony dużym pismem tej małej osóbkę, która wystudiowała światową elegancję tonu, nie umiejąc zamaskować jego oschłości. Kilka uprzejmych słów zaproszenia na obiad. Anetka wymówiła się swymi zajęciami, Noemi napisała powtórnie, tym razem wy-rażając gorące pragnienie zobaczenia się z nią i zostawiając jej wybór wieczoru. Anetka, zdecydowana nie stawiać czoła niebezpieczeństwu, które już wyczuła, znów nie przyjęła zaproszenia pod pretekstem, że pod koniec dnia zanadto bywa zmęczona. Uważała sprawę za za-

łatwioną, ale mały Pandarus, który w jego godzinach nudy i przekory jest jedną z tysięcznych postaci Amora, nie dał Noemi spokoju, dopóki nie wprowadził Anetki do jego owczarni. I gdy Anetka pewnego wieczora wróciwszy z lekcji zajęta była przygotowywaniem obiadu (zawsze tę godzinę wybierają sobie na wizyty ludzie nie pracujący) – ujrzała wchodzącą Noemi, która rozkosznie szczebiocząc zapewniła ją o swej dozgonnej przyjaźni. Anetka, zażenowana, że zastano ją W chwili, gdy tak niekorzystnie wygląda, a zarazem wbrew swej woli ujęta czułościami tej, w której nieświadomie a z przyjemnością widziała jakiś odbłysek „tamtego” – mimo wszelkich nalegań wytrwała przy swoim i oświadczyła, że na obiad w ogóle przyjść nie może. Nie mogła jednak nie obiecać przynajmniej wizyty, upewniwszy się przezornie co do godzin, w których z całą pewnością mogłaby Noemi zastać samą. Noemi zauwa-

żyła, że Anetka stara się uniknąć spotkania z Filipem; złożyła to na karb nieśmiałości i braku sympatii. Jej własna sympatia jeszcze przez to wzrosła. Wróciwszy do domu okazała się na tyle nieostrożna i gadatliwa, że opowiedziała mężowi o swej wizycie, kładąc nacisk – z uro-

czą perfidią właściwą najlepszym przyjaciółkom – na wszystko, co w jej rozumieniu mogło do reszty poniżyć kobietę w oczach Filipa: na ubóstwo, nieporządek, zapach atramentu i kuchni, jednym słowem, na Anetkę przy blasze. Filip, znający bohaterskie dzieje Anetki, a lepiej jeszcze znający zapach ubóstwa, poczynił inne refleksje niż te, na które liczyła Noemi; zachował je jednak dla siebie.

Nie było to jedynie wynikiem przypadku, że w kilka dni potem Anetka wychodząc od Noemi spotkała na ulicy powracającego do domu Filipa. Nie uczyniwszy nic, aby się z nim spotkać, sądziła, że wolno jej nie zwalczać tajemnej radości, którą odczuła. Zamienili z sobą kilka słów. Gdy tak stali rozmawiając, przeszła koło nich jakaś młoda kobieta, której Filip się uklonił i którą Anetka poznała. Była to inteligentna aktorka, która podówczas grała rolę Ma-słowej, Anetka była pod jej urokiem – błysk sympatii zajaśniał w jej oczach.

– Czy pani ją zna? – zapytał Filip.

– Widziałam ją – odrzekła – w Zmartwychwstaniu.

– Ach! – skrzywił się pogardliwie. Anetka zdziwiła się:

– Nie podoba się panu jej gra?

– Tu nie chodzi o grę. – A zatem sztuka? Nie podoba się panu?

– Nie – odrzekł Filip.

I dodał widząc, że Anetka chciałaby poznać jego racje:

– Przejdźmy razem kilka kroków; pozwoli pani? To trochę niezgodne z przyjętymi formami. Ale formy nie są stworzone dla nas.

Szli razem. Anetka była zmieszana, ale pochlebiało to jej. Filip mówił o Zmartwychwstaniu z mieszaniną niechęci i humoru, tak jak sam Tołstoj (sprawiedliwy odwet rzeczy!) zwykł

mówić o tych, których nie lubił.

Przerwał, ubawiony własną surowością.

– Nie jestem sprawiedliwy. Gdy widzę jakiś utwór, widzę tych, którzy go widzą, widzę go pod oponami ich mózgów; widok nie jest piękny.

– Jest piękny u niektórych – odrzekła Anetka.

– Tak zdarzają się tacy, którzy mają dar upiększania nędzy świata. Zwalnia ich to od szukania na nią lekarstwa. Ci zacni idealiści zapewniają sobie niejedną słodką godzinę dzięki cudzemu nieszczęściu, które daje im sposobność do niczym nie zakłóconych wzruszeń artystycznych czy charytatywnych; ale lepsze jeszcze chwile zapewniają korsarzom eksploatują-

cym to nieszczęście. Ich sentymentalizm pokrywa swoim sztandarem ligi patriotyczne czy repopulacyjne, nowe emisje, wojny kolonialne i inne filantropijne przedsięwzięcia... Epoka łezki w oku!... Nie ma na świecie oschlejszej i bardziej interesownej... Epoka dobrego pracodawcy (czytała pani Piotra Hampa?52), który zbudował przy fabryce kościół, szynk, szpital i burdel. Dzielą swe życie na dwie części: jedna – to przemówienia o cywilizacji, postępie, demokracji. Druga – to wyzysk i brudne niszczenie całej przyszłości świata, zatruwanie rasy, unicestwianie innych ras w Azji i Afryce. A potem idą rozczulać się nad Masłową i odbywać sjestę przy miękkich harmoniach Debussy'ego... Strzeżcie się chwili przebudzenia! Gromadzą się drapieżne nienawiści. Nadciąga katastrofa. Tym lepiej! Ich brudna medycyna stara się tylko podtrzymywać choroby. Zawsze trzeba będzie odwoływać się do chirurgii.

– A czy chory wyjdzie z tego cało?

– Ja usuwam chorobę. Mniejsza o chorego!

Był to żart. Anetka uśmiechnęła się. Filip spojrzał na nią z ukosa.

– Nie przeraża to pani?

–Ja nie jestem chora – odrzekła. Przystanął, by się jej przypatrzeć.

– Nie, pani nie jest chora. Z panią wdycha się jakiś zapach zdrowia... To dla mnie pożądana odmiana po moich infekcjach fizycznych i moralnych! Te ostatnie są najgorsze... Przepra-52 Hamp Piotr (ur. w 1876 r.) – powieściopisarz francuski, autor cyklu powieściowego La. pełne des hommes (Trud ludzki).

szam za moją diatrybę. Ale wychodzę z posiedzenia, z dysputy z bandą Tartufów na temat oficjalnego podtrzymywania chorób, to jest higieny. Dusilem się z gniewu i obrzydzenia; i gdy ujrzałem panią, gdy ujrzałem pani jasne oczy, ten swobodny chód i wszystko w pani takie zdrowe i dumne – egoistycznie zaciągnąłem się haustem zdrowej atmosfery, która panią otacza. O tak! Teraz mi lepiej. Dziękuję.

– Znaczy to, że zostałam promowana na lekarza. Po tym wszystkim, co pan powiedział?

– Nie na lekarza. Na lekarstwo. Tlen.

– Pan ma dziwny sposób traktowania ludzi!

– Oto jak ich klasyfikuję: wdech, wydech. Ci, którzy odświeżają, i ci, którzy zabijają, których należy zabijać.

– Kogóż pan jeszcze chce zabić?

– Jeszcze! – podchwycił. – Uważa pani, że wystarczą moi chorzy?

– Nie, nie, to tak mimo woli – odrzekła śmiejąc się Anetka. – To ta stara klasyczna krew...

Ale czy wolno zapytać, na kogo był pan tak wściekły, gdy pana spotkałam?

– Wolałbym o tym zapomnieć, teraz kiedy jestem z panią. Krótko mówiąc, chodzi tu o blok wyjątkowo niezdrowych domów, gdzie od czasów króla brudasa, Henryka od kury w garnku⁵³, hodzi się raka i tuberkulozę. Wzmózona wydajność: w ostatnich dwudziestu latach dochodzi do 30%. Wniosłem sprawę przed komitet higieny, zażądałem zastosowania radykalnych pociągnięć: wysiedlenia i zburzenia. Na pozór zgodzono się i poproszono o złożenie raportu na piśmie. Złożywszy raport przychodzę i zastaję wyroki zupełnie odmienione: „Raport bardzo sugestywny, drogi, znakomity kolego, zaiste, piękny dokument, zobaczymy, zobaczymy, trzeba się zastanowić, ci zmarli rzeczywiście zmarli w swoich domach, ale czy rzeczywiście zmarli z powodu swoich domów?” Jeden wyciąga jakieś zaświadczenia (kto wie, w jaki sposób sfabrykowane?) stwierdzające przy współudziale rodzin przekupionych przez właściciela, że zmarły zakupił już sobie miejsce na cmentarzu, zanim po raz pierwszy zasiadł

w poczekalni administracji, albo że nowotwór jego powstał w następstwie wypadku. Inny zwalcza zdanie, jakoby stare domy były mniej zdrowe od nowych, i twierdzi, że są przestronniejsze i bardziej przewiewne, Za przykład podaje swój dom... Należy uzdrowotnić, a nie burzyć, w niczym nie trzeba iść za daleko; wystarczy dobrze wyszorować; właściciel podejmuje się przeprowadzić dezynfekcję... A zresztą jesteśmy biedni, kieszenie mamy puste, nie ma pieniędzy na odszkodowania. Ba! Gdyby tu chodziło o skonstruowanie nowej armaty!... Lecz cóż? Rak ostatecznie zabija lepiej niż armata... By dopełnić tej farsy, jeden z augurów zaczął

rozprawiać na temat piękna. Chałupy te, pochodzące z czasów króla Ćwieczka, mają być jakoby

zachowane dla sztuki i historii. Ja także kocham sztukę – pokażę pani u siebie dość piękne obrazy, stare i nowe; ale starość nie jest dla mnie nigdy chyba że chodziłoby o tę czy ową piękną panią) oznaką piękności i bez względu na to, czy coś jest piękne, czy niepiękne, nie godzę się, aby przeszłość zatruwała teraźniejszość. Ze wszystkich hipokryzji najbardziej odrażająca jest dla mnie hipokryzja estety, bo oschłość swoją podaje za szlachetność. Toteż dość ostro wypowiedziałem się na ten temat. W ciągu dyskusji jeden z kolegów kiwa na mnie, odciąga mnie na bok i powiada: „To pan nie wie? Ta larwa, ten żuk-grabarz żywiący się tru-pami swoich lokatorów jest bliskim przyjacielem prezesa owego wielkiego komitetu do spraw handlu i wyżywienia, który decyduje o wyborach i układzie sil – jednej z tych szarych eminencji, co to królują na konwentykłach i bankietach demokratycznych – niewidzialnego człowieka, którego wolnomularska żarłoczność wolno muruje chwiejny gmach naszej Republiki. I ten przyjaciel ludu nie chce, by wysiedlano lud z jego grobu.” I niech pani słucha, bo to najpiękniejsze: właśnie przez filantropię!... W końcu przedkładają mi petycję lokatorów, dobrze wystylizowaną, protestującą przeciw naszym uroszczeniom przenoszenia ich do innych mieszkań! Cóż pani chce, bym mógł działać przeciw wszystkim? Powiadają, że augu-53 Mowa o Henryku IV, królu Francji (1553 – 1610). Przypisują mu powiedzenie, iż chciałby, aby Francja pod jego berłem doszła do takiego stanu, by: „Każdy chłop miał w niedzielę na obiad kurę w garnku.” 204

rowie się śmieją. A więc śmiałem się i ja. Lecz oświadczyłem im, że dobrego żartu nie chowa się tylko dla siebie, że nie jestem egoistą i że mam zamiar podzielić się nim zaraz jutro z czy-telnikami „Matin”. Zakrzyczeli mnie. Ale zrobię tak, jak powiedziałem. Wiem, co mnie czeka: porwą się na mnie ze swymi kielniami. A ci z naszego Hipokratesowego grona, którym niedawno dobrze się dałem we znaki, nie przepuszczą tej sposobności. Wiedzą, jak we mnie trafić. Ale jak pani mówi: walka! Tak, pani wojowniczo. Pamięta pani, wtedy na wieczorze u Solange?.... Zdaje się, że panią to bawi?

– Tak, to jest piękne, lubię to, lubię walczyć z niesprawiedliwością. Chciałabym być mężczyzną!

– Nie potrzeba na to być mężczyzną. I pani brała w tym udział...

– Nigdy nie skarżyłam się na mój udział w walce; skarżę się na ucisk. Walka w piwnicy to nasz los, los kobiet. Ale pan walczy na wolnym powietrzu, na szczycie góry.

– Cóż za rozdęcie chrapek! Jak u konia, gdy poczuje zapach prochu. Znam je już. Zauważyłem wtedy wieczorem.

– Wtedy drwił pan sobie ze mnie.

– Nie, na pewno nie. To wszystko jest zbyt do mnie podobne, abym mógł z tego drwić.

– Pan mi dokuczał. Pan mi dawał szkołę!

– Tak, dojrzałem zaraz... Nie pomyliłem się.

– A jednak początkowo zachowywał się pan dość pogardliwie.

– Do diabła, nie spodziewałem się przecież spotkać panią, spotkać panią u Solange!

– No – a pan sam? Dlaczegoż się pan tam znalazł?

– Ja to co innego.

– Czy przez zamięłowanie do sentymentalizmu?

– Z kolei pani teraz drwi... Biedna Solange! Nie, nie mówmy o niej. Wiem wszystko, co można by powiedzieć. Ale Solange to tabu!

Nie pytała już więcej, lecz patrzyła na niego wyczekująco.

– Kiedy indziej pani powiem... Tak, dużo jej zawdzięczam...

Zatrzymali się. Mieli się pożegnać. Anetka rzekła z uśmiechem:

– Pan nie jest taki zły, jak na to wygląda.

– A pani może nie taka dobra.

– Razem daje to wartość przeciętną. Spojrzał jej prosto w oczy:

– Czy chce pani tego?

Nie żartował już. Fala krwi zalała policzki Anetki. Nie znalazła odpowiedzi. Filip trzymał

ją wzrokiem jakby na uwięzi. Powiedział to? Czy nie powiedział?... Na wargach jego wyczytała: „Ja ciebie chcę...”

Skłonił się i odszedł.

Anetka została sama, w morzu płomieni. Szła prosto przed siebie. Dziesięć minut potem znalazła się na tym samym miejscu, które dopiero co opuściła. Idąc okrążyła nieświadomie Ogród Luksemburski. Zbudziły ją ogniste, palące słowa jawiące się na czarnym tle. Usiłowała je zatrzeć.... Czy wypowiedział je naprawdę? Wciąż widziała przed sobą jego niewzruszoną twarz. Próbowwała wątpić. Ale świadomość zachowała niezatarte piętno. Opór jej słabł – i nagle ustał... Dobrze jest tak... To było pisane... Z góry o tym wiedziała... Przed godziną jeszcze by myślała, że będzie się buntować; tymczasem doznała uczucia ulgi. Kości były rzucone...

Do domu wróciła z umysłem jasnym, wolnym od gorączki, zdecydowana.

Wiedziała, że czego Filip chce, tego dokona. A czego Filip chciał – i ona także chciała.

Była wolna. Nic jej nie wstrzymywało... Myśl o Noemi? Noemi należało się od niej tylko jedno:

prawda. Kłamać nie będzie. Odbierze swoją własność... Swoją własność? Męża tamtej!... Ale ślepa namiętność szeptała, że to Noemi jej go ukradła.

205

Nie uczyniła nic, by przyspieszyć nieuniknione. Była pewna, że Filip przyjdzie. Czekala.

Przyszedł. Wybrał godzinę, w której wiedział, że jest sama. Gdy szła otworzyć, ogarnęła ją trwoga. Ale musiało tak być. Otworzyła. Niczym nie zdradziła swego wzruszenia, chyba tylko bladością. Wszedł do pokoju. Stali o kilka kroków od siebie, z lekko pochylonymi głowami; on patrzył na nią swoim poważnym wzrokiem. Po chwili milczenia rzekł.

– Kocham cię, Riviére.

I w jego ustach nazwisko to: Riviére – rzeka – przywoływało na myśl płynąca wodę.

Anetka, nieruchoma, drżąca, odpowiedziała:

– Nie wiem, czy pana kocham – nie sędzę – ale wiem że jestem twoja. Przebłysk uśmiechu rozjaśnił poważną twarz Filipa.

– To dobrze. Pani nie kłamie... Ani ja...

Postąpił ku niej. Ona cofnęła się instynktownie i przywarła plecami do ściany pokoju, bezbronna, z dłońmi obydwu rąk opartymi o mur; nogi ugiwały się pod nią. Filip zatrzymał się i wpatrywał w nią przez chwilę.

– Niech się pani nie lęka – rzekł.

I w jego twardym spojrzeniu była tkliwość. Anetka, jak zwyciężona przyjmująca swą klę-

skę, odrzekła ze spokojem i cieniem wzgardy:

– Czego pan chce ode mnie? Chce pan mojego ciała? Nie bronię go panu. Ale czy pan tego tylko chce?

Zbliżył się jeszcze o krok i usiadł na niskim krześle u jej stóp, policzkiem dotykając sukni.

Ujął rękę Anetki, która bezwładnie pozostała w jego dłoni. Odetchnął jej wonią, wargami musnął czubki palców i pochyliwszy się położył ją na swej głowie, na oczach.

– Oto, czego chcę.

Anetka czuła pod palcami twarde, krótko przycięte włosy, wypukłość czoła, pulsujące skronie. Ten władczy człowiek powierzał się jej opiece... Schyliła się ku niemu. Filip podniósł głowę. To był ich pierwszy pocałunek.

Ramiona jego obejmowały Anetkę, która osunęła się przy nim na kolana, nie opierając się już, jak gdyby bez tchu. Gwałtowny Filip nie myślał o wyzyskaniu swego zwycięstwa. Mówił:

– Wszystkiego chcę. Chcę ciebie całe: kochanki, przyjaciółki, towarzyski, żony – ciebie całe.

Anetka uwolniła się z jego objęć. Obraz Noemi stanął jej przed oczyma. Przed chwilą sama skreśliła ją ze swych myśli. Ale fakt, że Filip uczynił to samo, zranił ją niemal. Zranił w owej instynktownej, tajemniczej wspólnocie nawet wrogich sobie kobiet, które natychmiast solidaryzują się z sobą przeciw zniewadze wyrządzonej przez mężczyznę – zniewadze wspólnej, mimo że godzi tylko w jedną z nich...

– Tego nie może pan uczynić. Należy pan do innej – powiedziała.

Wzruszył ramionami:

– Ona nie ma nic.

– Ma pana nazwisko i wiarę.

– Co zależy pani na nazwisku? Pani ma resztę.

– Nie dbam o nazwisko, ale trzeba mi wiary. Sama ją daję i wzajem jej żądam.

– Gotów jestem dać ją padli.

Ale Anetka, która żądała tej wiary, w momencie kiedy sam chciał ją dać, zbuntowała się:

– Nie, nie! Odebrały ją pan tej, która od lat dzieli pana życie, aby dać mnie, którą widzi pan po raz trzeci?

– Nie trzeba mi było aż trzech razy, żeby panią przejrzeć.

– Nie zna mnie pan.

– Znam panią. Życie nauczyło mnie spostrzegać szybko. Życie mija; i żadna chwila nigdy nie zjawia się dwa razy. Trzeba chcieć natychmiast – albo nigdy. Przeżywasz, Riviére, przepływasz, Rzeka; i jeśli cię nie wezmę, to cię stracę. Biorę cię.

206

– Może myli się pan.

– Być może. Wiem, że człowiek często się myli, gdy czegoś chce. Ale gdy nie chce, wtedy zawsze się myli. Nie darowałbym sobie nigdy błędu, który bym popełnił, gdybym ujrzawszy panią nie chciał jej.

– Co pan o mnie wie?

– Więcej, niż pani sądzi. Wiem, że była pani bogata, a teraz jest uboga; że miała pani młodość obsypaną radościami, jakie daje majątek, że została pani zrujnowana, odepchnięta przez swój świat – i że pani nie osłabła, że pani walczyła. I wiem, jaka jest ta walka, bo sam dzień w dzień, przez trzydzieści lat mego życia toczyłem tę walkę i ze dwadzieścia razy byłem o włos od klęski. Pani wytrwała. Ja byłem przyzwyczajony, od kołyski znałem najpodlejszą nędzę. Pani miała skórę delikatną, pani była pieszczona i psuta. Pani nie ustąpiła, nie poszła na żaden podły kompromis. Nie starała się uniknąć walki jednym z tych waszych kobiecych sposobów, przez uwodzenie lub uczciwy wybieg małżeństwa dla interesu.

– Czy myśli pan, że mi je tyle razy proponowano?

– Och, oni dobrze czują, nawet ci najbardziej ograniczeni, że pani nie jest z tych, które się kupuje na podstawie kontraktu. – Tak, nie jestem na sprzedaż.

– Wiem, że pani kochała, i że począwszy, nie zgodziła się pani zostać żoną ojca swojego dziecka. Nie mam prawa znać pobudek pani serca. Ale wiem, że pani ośmieliła się, w obliczu podłego społeczeństwa, dochodzić nie prawa do rozkoszy, ale prawa do trudu, prawa do dziecka i do tego, by mimo ubóstwa wychować je samej. Niczym byłoby jeszcze samo domaganie się tego prawa. Ale pani wykonywała to prawo sama jedna od trzynastu lat. Ja wiem z doświadczenia, co znaczy takich trzynaście lat trudu i codziennych trosk, a widzę panią przed sobą nietkniętą, wyprostowaną, dumną, bez śladu znużenia. Uniknęła pani dwu klęsk: rezygnacji i zgorzknienia. (Ja sam nie uniknąłem piętna tej drugiej...) Jestem znawcą bitwy życia.

Znam wartość hartu natury takiej jak natura pani. Ten uśmiech poważny, te jasne oczy, spokojna linia brwi, rzetelność tych rąk, ta pełna spokoju harmonia – a pod tym wszystkim płonący ogień, radosne rwanie się do walki, nawet wtedy, kiedy jest się pokonanym.. („Mniejsza o to! Walczy się dalej...”) Czy pani myśli, że człowiek taki jak ja nie zna wartości kobiety takiej jak pani? I że znając ja mógłby nie być na wszystko gotowy, aby ją zdobyć? Riviére, ja ciebie chcę. Potrzeba mi ciebie. Posłuchaj! Nie staram się panią oszukać. Choć pragnę twego dobra – nie dla twojego, ale dla mego dobra chcę ciebie mieć. Nie korzyści ofiarowuję pani, lecz nowe doświadczenia... Pani nie zna mego życia... Niech pani usiądzie tu przy mnie, moja pięknobrewa!

Siedząc na podłodze podnosiła ku niemu oczy. On trzymał obie jej ręce i nie wypuszczał

ich mówiąc dalej:

– Mam sławę, mam powodzenie, mam pieniądze i wszystko, co one dać mogą. Ale pani nie wie, w jaki sposób je zdobyłem i nadal je zachowuję. Wydarłem je siłą i siłą je trzymam.

Zgwałciłem mój los, jeśli w ogóle los istnieje. Dopiąłem swego na przekór rzeczom i ludziom. I nigdy nie umiałem (ani nie chciałem) opatrywaniem zranionych miłości własnych i interesów zdeptanych po drodze starać się, by przebaczone mi moje osiągnięcia. Kochani koledzy liczyli, że może sukces podziela na mnie jak narkotyk. Ale nic z tego. Darmo starali się mnie ugłaskać; oni dobrze czują, że nie jestem i nigdy nie stanę się jednym z nich. Nie jestem w stanie zapomnieć tego, ,com widział po tamtej, stronie bariery: tej masy łajdactwa i nieprawości. Miałem dość czasu na rozmyślanie o kłamstwach społecznych, których najlepszym stróżem była zawsze (na przekór

wszystkiemu, co sama twierdzi i czego oczekuje się od niej) kasta intelektualistów. Z wyjątkiem kilku spryciarzy, którzy w intymnym światku swojej sztuki i myśli uchodzą za nie szanujących niczego, lecz gdy tylko wyjdą ze swego ogródka, grzecznie zdejmują kapelusz przed panującą głupotą. Mnie opanowało to szczytne szaleń-

stwo, by nie starać się o jej względy. Obecnie mam nawet zamiar zaatakować pewne uświęcone oszustwa, które ciężar swój dorzucają do brzemienia ludzkiej nędzy i skazują tysiące 207

istot na nie kończącą się niedolę. Doprowadzę do tego, że ujadać zaczną trzy paszcze Cerbera⁵⁴, trzy hipokryzje: moralności, ojczyzny i religii. Kiedyś, później, opowiem to pani wszystko. Ja także będę pobity, wiem o tym, a jednak biję się – dla radości, dla trudu – i dlatego że trzeba. Rozumie pani teraz dlaczego słowa pani, wypowiedziane wówczas, przyniosły mi nie przewidzianą przez panią wieść. Słowa pani są moimi słowami. Usta także muszą być moje.

Anetka mu je podała. Czule ujął jej policzki i skronie w swe mocne ręce:

– Trzeba mi ciebie, Riviére. Nie myślałem, że ciebie znajdę. Ale teraz, kiedy cię już mam, potrafię cię utrzymać.

– Niech mnie pan dobrze trzyma. Boję się, żebym się nie wymknęła.

– Wiem, jak panią związać. Ofiaruję pani moje twarde życie, moich wrogów, moje niebezpieczeństwa.

– Tak, pan mnie zna... Ale żadna z tych rzeczy nie może należeć do mnie. Pan nie ma prawa nimi dysponować. To wszystko należy do pańskiej Noemi.

– A cóż ona by z tym zrobiła? Ona tego znać nie chce. Ona usuwa z życia prawdę i trud.

Anetka patrzyła na Filipa; wyczytał w jej oczach pytanie, którego nie wypowiedziała.

– Pani myśli: „Dlaczegoż on się z nią ożenił?...” Wiem, ta kobieta kłamie; od włosów do czubków paznokci jest przepojona kłamstwem. Otóż – i to jest niesłychane! – wziąłem ją wła-

śnie dlatego. Dlatego kocham ją niemal... Kłamstwo, gdy staje się aż tak doskonałą sztuką, jest tyle warte co piękny teatr. (A czy nie wiadomo, że teatr, że prawie cała sztuka kłamie, z wyjątkiem kilku dziwaków, którzy zbijają z tropu swych kolegów; wtedy koledzy mówią o nich, że to nie artyści, że psują rzemiosło...) Jeśli świat jest kłamstwem, to mamy przynajmniej prawo żądać, żeby to kłamstwo było miłe. Ogólnie biorąc, wolę dla mej przyjemności i w moim towarzystwie tych, którzy kłamią pięknie. Nabierać się im nie daję. Widzę. Wdzięk Noemi jest równie sztuczny jak jej uczucia. Lecz dzieło jest udane. Przynosi mi zaszczyt. Rozkoszuję się nim, gdy wieczorem, ze zbrukany wzrokiem, wracam z mojej jatki zepsutego mięsa.

Ona jest śmiejącą się wodą. Obmywam się w niej. Niech kłamie! To jest bez znaczenia. Gdyby mówiła prawdę, nie miałyby nic do powiedzenia. – Twardy pan jest. Ona pana kocha..

- Zapewne. Ja także ją kocham.
- Jeżeli ją pan kocha, to na cóż ja panu jestem potrzebna?
- Kocham ją na jej sposób.
- To dużo.
- Może i dużo dla niej. Ale dla mnie to mało.
- A to, co ona panu daje – czy ja będę mogła panu dać?
- Pani nie jest grą.
- Ja także chciałabym być grą. Życie jest grą.
- Tak, ale pani w nie wierzy. Pani należy do graczy, którzy biorą partię na serio.
- Pan także.
- Bo ja tak chcę.
- A kto panu mówi, że i ja nie dlatego, że tak chcę.
- Dobrze więc! Chciejmy razem!
- Nie chcę szczęścia zbudowanego na ruinach. Sama cierpiałam. Nie chcę być powodem cudzych cierpień.
- W życiu wszystko trzeba okupić cierpieniem. Każde szczęście w przyrodzie zbudowane jest na ruinach. Wszystko w końcu jest ruiną. Wiedzmy przynajmniej, żeśmy budowali!
- Nie mogę zdecydować się na to, by ofiarą padła inna kobieta. Biedna mała Noemi!
- Ona mniej by się litowała, mając panią u swych nóg.
- Wierzę. Ale ona pana kocha. A dla mnie zbrodnią jest zabijać miłość.
- Czy pani chce, czy nie chce – rzecz jest już dokonana. Obecność pani zabiła ją.

54 Cerber – w mitologii greckiej trójgłowy pies, strażnik Erebu (piekła), dokąd wpuszczał każdego, lecz nie wypuszczał nikogo.

208

- Pan myśli tylko o sobie.
- W miłości człowiek myśli tylko o sobie.

- Nie, nie, to nieprawda! Myślę o sobie, o panu, o tej, która pana kocha, o wszystkim, co pan kocha, i o wszystkim, co kocham ja sama. Chciałabym, aby miłość moja była dobra i radosna dla wszystkich.
- Miłość jest pojedynkiem. Gdy spojrzysz w prawo czy w lewo, już jesteś zgubiony. Niech pani patrzy w oczy swego przeciwnika, który stoi przed panią.
- Gdzież ten przeciwnik?
- To ja.
- To pan, oczywiście. Nie obawiam się pana. Lecz ona, Noemi, nie jest moim przeciwnikiem. Nie zrobiła mi nie złego. Czyż mogę wejść w jej życie po to, żeby je zburzyć?
- Czy lepiej ją okłamywać?
- Oszukiwać ją? Nie, raczej zniszczyć!... Albo siebie zniszczyć. Wyrzec się.
- Pani się nie wyrzeknie.
- Cóż pan może o tym wiedzieć?
- Kobieta taka jak pani nie wyrzeka się przez słabość
- Czemuż nie miałyby wyrzec się przez siłę?
- Ja nie uznaję siły w wyrzeczeniu. Kocham panią i pani mnie kocha. Niech pani spróbuje się wyrzec.
- Niech pan mnie nie prowokuje!
- Pani mnie kocha.
- Kocham pana.
- A zatem?
- Zatem... ma pan słuszność, nie mogę, nie mogę się wyrzec.
- A zatem?
- Zatem, niech już tak będzie.

Nic jeszcze nie powiedzieli „tamtej”.

Anetka przysięgła sobie, że nie będzie należeć do Filipa, póki on nie rozmówi się z Noemi. Ale siła namiętności wzięła górę nad jej postanowieniami. Namiętność nie przejmuje wyznaczonej sobie

godziny: sama ją bierze. I teraz Anetka powstrzymała Filipa. Bała się jego bezwzględności.

Filip bez skrpułów zostawiłby Noemi w niewiedzy. Za mało ją cenił, by sądzić, że winien jej prawdę. Ale gdyby już miał powiedzieć tę prawdę, byłby powiedział ją bez żadnych osłonek. Był strasznym człowiekiem, straszliwie pozbawionym dobroci, gdy opanowała go na-miętność. Nic innego nie istniało wtedy dla niego. Miłość, którą miał dla Noemi, była miło-

ścią pana do cennej niewolnicy i ogólnie biorąc Noemi nie była dla niego niczym więcej. Jak wiele innych kobiet, godziła się z tym: gdy niewolnica trzyma pana w swych rękach, nic nie dorównuje jej władzy. Ona jest wszystkim aż do dnia, kiedy staje się niczym. Noemi wiedziała o tym; ale przez wiele lat czuła się pewna swej młodości i swego wdzięku. Après nous le déluge!..55 A zresztą czuwała. Nie uszły jej wiadomości przelotne zdrady Filipa. Nie przywiązywała do nich większej wagi, liznąwszy je słusznie za przygody bez jutra. Pozwalała sobie tylko na luksus małych odwetów, do których mu się nie przyznawała. Z wściekłością zdradziła go raz tylko, gdy niewierność Filipa bardziej jej dokuczyła. Doznała niewiele przyjemności, a nawet trochę obrzydzenia; mniejsza o to! Spłaciła swój dług. Potem okazała się wobec męża pieśczośliwsza niż poprzednio; miło jej było całując go powtarzać sobie: 55 Après nous le déluge (fr.) – po nas niech będzie nawet potop (słowa przypisywane Ludwikowi XV).

209

„Kochaneczku, okłamuję cię. To cię nauczy! Jesteś... wiesz, czym!” Bała się reakcji Filipa, gdyby się dowiedział, i przez to rzecz stawała się jeszcze bardziej interesująca. Filip nic dokładnie nie wiedział; nie wiedział o żadnym fakcie: ale w spojrzeniu Noemi czytał kłamstwo. Czy go zdradziła, czy nie zdradziła – pewien był, że o tym myśli.

Widziała w jego oczach przelotne błyskawice: ręce jego gotowe były ją zmiążdżyć. Ale nie wiedział nic i nigdy nie miał się dowiedzieć; przymykała oczy z omdlewającą miną gołąbki.

On mówił brutalnie:

– Spójrz na mnie!

Miała czas nadać spojrzeniu wyraz niewinności. On wiedział, że to fałsz – a nie mógł się jej oprzeć.

Nie chował do niej urazy, choć co prawda byłby jej kości połamał, gdyby ją przychwycił

na gorącym uczynku. Nie oczekiwał od niej tego, czego nie mogła mu dać: szczerości i wierności. Skoro mu się podoba i póki mu się podoba – wszystko jest dobrze. Ale czuł się w prawie z nią zerwać, gdy tylko mu się podobać przestanie!

Anetka miała więcej skrpułów. Była kobietą i lepiej się orientowała, co dzieje się w sercu Noemi. Noemi mogła być fałszywa, próżna, mogła zdradzać Filipa – ale kochała go, Nie, to nie było dla niej grą, tak jak to Filip określił. Zależało jej na nim, jak gdyby była częścią jego ciała. Złączona z nim była nie tylko ognistym gwoździem rozkoszy, ale i tym, co było na dnie serca, dobre czy złe. I dobre, i złe. W miłości nic nie wchodzi w rachubę prócz siły miłości, tego władczego magnesu, który

sprawia, że jedna istota duszą i ciałem wrasta w drugą. Noemi zależało na nim jak na celu własnego życia, jak na czymś, czego chciała, chciała, chciała, w ciągu bardzo długich lat. Kobieta nie zawsze wie, dlaczego się zakochała. Ale skoro się zakochała, nie może przestać już kochać. Za wiele wydatkowała swoich sił i swego pragnienia, by móc je przenieść na kogoś innego. Na wybranej istocie żyje jak pasożyt. By oderwać ją, trzeba ciąć w jedno i w drugie.

Noemi zaczynało gryźć podejrzenie. Zrazu nic prawie: delikatny mysi chrobot. W życiu nie było żadnej zmiany Filip, jak zwykle śpieszący się, szorstki, nieskłonny do rozmowy, słuchał jej nie słysząc, pochłonięty czymś, z płomieniem w oczach. W tej chwili był wplątany w dość nieprzyjemną sprawę, w jakąś bezwzględną polemikę, którą sam wywołał. Noemi wiedziała o tym i nie pragnęła być bliżej informowana o jego kłopotach. Gdy już zaangażował

się w jakąś sprawę, nie mógł myśleć o niczym innym i zaniedbywał żonę. Nie pozostawało wtedy nic, jak czekać i dać mu pościć. Wracał do niej potem z lepszym apetytem.

Tym razem jednak pościł za długo! Kiedy indziej bawiła się drażniąc go, co wywoływało burkliwe odpowiedzi Filipa zirytowanego, że odrywa go od zajęć. I choć protestowała głośno przeciw jego nieuprzejmości, właściwie nie gniewała się o to. Była jak dziecko bawiące się petardą: im więcej huk, tym lepsza zabawa... Ale tym razem (katastrofa!) petarda nie wypaliła. Zaczepki Noemi spotkały się z obojętnością, Filip nie zauważył ich nawet... Podejrzenie

– niespokojna mysz – przebiegło tu i tam, aż umiejscowiło się.. Gryząc niestrudzenie, dobrało się do żywego ciała. Pewnego dnia Noemi krzyknęła z bólu...

Leżeli rano obok siebie. On miał otwarte oczy. Ona przebudziła się właśnie, lecz udawała, że śpi i obserwowała go. Doznała instynktownie wrażenia, że po jego twarzy przemknął jak gdyby refleks twarzy innej. (Bowiem zewnętrzna osłona myśli jest nieświadomie modelowana przez obraz, który w niej mieszka.) Natychmiast zazdrosna uwaga Noemi znieruchomiła jak pies wystawiający zwierzynę. Przenikając go świdrującym spojrzeniem poprzez rzęsy, i nadal oddychając regularnie jak uśpiona – Noemi chciwie badała tego mężczyznę, tak dalekiego i tak bliskiego jednocześnie, tego mężczyznę, który należał do niej – wiecznie nieznanomy – którego udo dotykało jej uda, a od którego dzielił ją cały nieprzekraczalny świat...

Nie, nie myliła się; on miał jakieś inne troski niż te, które wiązały się z jego wielkimi planami... Czy troski? Ujrzała, że się uśmiecha... A więc myśli o innej!... By odebrać go owej zjawie, czy też aby spróbować swej władzy nad nim, jęknęła jak gdyby we śnie i oplótła go sobą. Ozię-

210

ble uwolnił się od wabiącego ciała, upewnił się, czy śpi, po czym wstał bez hałasu, ubrał się i wyszedł. Nie poruszyła się... Ale nie zamknął jeszcze za sobą drzwi, gdy już podniosła się ze zmienioną twarzą. I biła swe piersi obiema piąstkami, tłumiąc krzyk przerażenia i gniewu.

Od tej chwili począwszy była wciąż na łowach. Napięta, drżąca, śledziła, węszyła; pazurki kurczyły się boleśnie: płonęła żądzą rozszarpania przeciwniczki. Oh! bez hałasu, delikatnie...

Rozdrapać jej serce!... Lecz serca tego nie mogła znaleźć. Gdzie się kryło? Z gorączkową dokładnością tropiła, szukała w kole swych znajomych – pod młodzieńczym uśmiechem uszminkowanych ust kryjąc ostre ząbki, nie tracąc z oka najlżejszych drgnień twarzy Filipa w obecności innych samic, śledząc oczy, ręce, ton głosu każdej z nich – jakby w sercu miała sforę psów węszących za tropem... Ale trop okazywał się fałszywy. Zwierz uchodził...

Dziwna aberracja, pod której wpływem od razu usunęła Anetkę z pola swych podejrzeń, trwała nadal. Od wielu tygodni Noemi nie myślała o Anetce. Anetka zaś nie pokazywała się.

Świadoma swej winy i wcale z siebie nie dumna, w obecności Noemi czułaby się upokorzona swym tajnym, skradzionym zwycięstwem. Unikała okazji pojawienia się w domu Villardów.

Nie zabrakłoby jej pretekstów, gdyby Noemi wyraziła chęć zobaczenia się z nią. Lecz Noemi nie wyraziła tej chęci. Za wiele miała kłopotów, by pamiętać Anetce.

Na darmo usiłowała sobie wmówić, że kaprys Filipa przeminie. Stwierdzone symptomy jego zubożenia w stosunku do niej bynajmniej nie przemijały, owszem, zaostrzały się: zimne niedostrzeżenie jej słów i gry twarzy, a nawet obecności „czulej małżonki”, zupełna obojętność, gorzej jeszcze, bo nuda i znużenie oraz źle zamaskowana odraza, unikająca narzuconego kontaktu, w chwilach gdy Noemi chciała przemocą przypomnieć mu swoje istnienie. Nie mogła już kryć przed sobą powagi sytuacji. Szalała. Ale trzeba było starać się nie okazywać tego. Być zawsze, zawsze wesołą, pewną siebie i jego, podrzucać wciąż przynętę, na którą nawet spojrzeć nie raczył! Zadręczała się. I ta nieuchwytna nieprzyjaciółka, przeciw której wzbierała w niej wściekła nienawiść! Z rozpaczy, że nie może jej schwycić, byłaby tłukła głową o ściany... Wszystkie, wszystkie śledziła na darmo – wszystkie z wyjątkiem Anetki; Anetka była ostatnią, która by jej na myśl przyszła.

I oto Anetka zdradziła się sama.

Szła ulicą, gdy nagle w odległości jakich dwudziestu kroków ujrzała nadchodzącą Noemi.

Noemi nie widziała jej. Szła ze spuszczoną głową, z niewidzącymi oczyma, a ładna jej twarzyczka była blada i postarzała od troski. W tej chwili nie uważała na siebie – i na nic dokoła nie zwracała uwagi. Od szeregu dni, jakby opanowana uporczywą manią, z umęczoną zaciekłością obracała kamień młyński powracającej wciąż jednej i tej samej myśli. Widok Noemi wstrząsnął Anetką. Byłaby mogła zawrócić lub przejść koło niej niepostrzeżenie – a tymczasem z niezgrabnym pośpiechem opuściła chodnik i przeszła w poprzek przez jezdnię. Ruch ten, przerywający równy strumień przechodniów, machinalnie ściągnął ku niej spojrzenie Noemi. Poznała Anetkę usiłującą uniknąć spotkania. I śledząc ją oczyma, dostrzegła, jak Anetka z przeciwległego chodnika spojrzała na nią ukradkiem i odwróciła głowę. Nagłe światło oślepiło Noemi... To ona!

Stała, bez tchu, wbijając paznokcie w dłonie, z zaciśniętymi zębami, zjeżona jak szyku-jąca się do skoku kotka; w oczach jej był mord. Spojrzenie jakiegoś przechodnia przypomniało jej, że znajduje się w świecie, w którym trzeba kłamać, i że tym razem wyszła z niego.

Wróciła doń. Ale dziesięć kroków dalej zaśmiała się okrutnie. Już ją ma...

Anetka była wstrząśnięta widokiem Noemi. Odkąd się oddała Filipowi, dręczyły ją wyrzuty sumienia. Nie to, iżby za winę poczytywała sobie miłość do człowieka, który ją kochał: miłość ich była prawdziwa, zdrowa i mocna. Nie trzeba jej było wymówek ani udawania.

Żadna konwencja społeczna nie miała nad nią mocy. W gorączce namiętności Anetka nie 211

poczuwała się nawet do żadnych obowiązków wobec Noemi: to ona sama była prawdziwą żoną Filipa i nie uznawała tej drugiej, która nie umiała dzielić z nim jego zmagania i prac ani dać mu szczęścia. Ale cała ta jej pewność siebie nie przekreślała faktu, że okupem jej szczę-

ścia stało się szczęście tej drugiej kobiety, które przez Anetkę zostało zabite. Próbowwała narzucić sobie przekonanie, że Noemi jest zbyt płytka, aby bardzo cierpieć, i że uczucie jej do Filipa minie. Ale wiedziała, że jest przeciwnie; i wszystko, co zrobić mogła, ograniczało się tylko do usunięcia Noemi ze swych myśli. Ułatwił jej to egoizm pierwszych dni spełnionej miłości.

Od chwili spotkania Noemi nie było to nadal możliwe. Anetka miała nieszczęsny dar wychodzenia poza siebie i wbrew swym namiętnościom dawała się wchłaniać namiętnościom innych, zwłaszcza ich cierpieniom, które wykryć potrafiła jednym spojrzeniem.

Wróciła do domu prawie na równi z Noemi udręczona bólem, który trawił tamtą. Nie wystarczały jej słowa, nie mogła zbroić się w prawa miłości. Noemi także kochała. I Noemi cierpiała. Czy miłość, która cierpi, mniej ma praw od tej, która zadaje cierpienia? Nie ma żadnych praw! Jedna z dwu cierpieć musi. Ona albo ja!...

Ona!... Namiętność Anetki nie zostawiała jej wyboru... Ale to nie było wesołe...

Oby tylko nie pogłębiać tego cierpienia! Przedłużać je, jak to czynią, pozwalając zaognić się ranie, nie sięgając do niej śmiałą ręką, aby przeciąć i opatrzyć – to karygodne! Unikać śmiałego Wyznania, dopuszczać, by Noemi sama od kryła swe nieszczęście – było to tchórzostwo i okrucieństwo. Anetka od pierwszego dnia oświadczyła Filipowi:

– Nie chcę się kryć.

Jakim więc sposobem pozwoliła sobie, tak z dnia na dzień, ześliznąć się ku tej niegodnej sytuacji? Wciąż ta słabość serca... Mówiła Filipowi:

– Trzeba powiedzieć.

Lecz gdy tylko Filip chciał mówić, wstrzymywała go. Obawiała się jego brutalnej szczerości. To, czego już nie kochał, odrzucał jak wyciśniętą cytrynę. Stare więzy zawadzały mu.

Mówił:

– Prędeż! Skończmy już z tym! Zaś Anetka:

– Nie, nie – nie dzisiaj!

Przewidywała zło, które wyrządzi. Boże! Jakże ciężko jest zabić czyjeś serce!

Filip miał dość innych spraw, o których musiał myśleć. Dnie jego wypełniała zaciekle walka z podburzoną opinią i prasą. Nie była to dla Anetki właściwa chwila na męczenie go własnymi troskami. Wdał się w niebezpieczną kampanię, podjąwszy inicjatywę utworzenia ligi ograniczenia urodzin. Czuł odrazę do bezwstydnego hipokryzji rządzącej burżuazji, która nie dbając wcale o poprawę higieny i zmniejszenie nędzy klas pracujących, troszczy się tylko o ich szybkie rozmnażanie, z obawy by nie zabrakło żeru dla fabryk i armat. Gdy o nią samą chodzi, strzeże się, by nie uszczuplić swego dobrobytu i nie komplikować sobie życia płodzeniem zbyt wielu dzieci! Ale nie niepokoi jej fakt, że źle regulowana rozrodczość utrwała wśród ludu nędzę, choroby i ucisk. Robi z tego obowiązek narodowy i religijny. Filip dobrze przeczuwał, jaką wściekłość rozpęta, ale nigdy nie cofał się przed niebezpieczeństwem. Rzucił się do ataku. Reakcja przeszła jego oczekiwania.

Ściągnął na siebie nienawiść mnóstwa ludzi: przede wszystkim kolegów, tych kapłanów zranionych w swej miłości własnej, w swej doktrynie i swych interesach, rywali, których miejsce zajął, a nawet wielu swoich stronników, którym nie skąpił słów prawdy. Nie należał

bowiem do ludzi licytujących się na komplementy z tymi, którzy ich chwala, a wdzięczność była najmniejszą z jego wad. Brał, co mu się należało, oddawał zaś tyle tylko, na ile, zdaniem jego, zasłużył: nie oddawał wiele! Z wyjątkiem jednej Solange, tytuł dobroczyńcy nie imponował mu wcale. Nie uznawał wyjątkowego traktowania. Mógł więc spodziewać się, że będzie ostro atakowany i źle broniony. Krępował machinacje paskarzy ideału. Ilekroć organizowało się jakieś szlachetne filantropijne oszustwo, z góry wiedziano, że zjawi się, by stawić

opór. Skandaliczną przyjemność sprawiało mu pakowanie cnotliwych ludzi nosem w ich własne kręta. Toteż wyrobił sobie w szanownych środowiskach reputację (*sotto voce*⁵⁶) niespokojnego ducha, burzyciela, anarchysty. Szepty te nie ważyły się jeszcze dotrzeć do publicznego ucha – do monstrualnego ucha Pasquina⁵⁷: do prasy gadzinowej. Czekają na sposobną chwilę. *Eccolo!*⁵⁸ Ależ okazja! Nastąpił istny wybuch patriotycznej wściekłości. Wmieszały się w to wszystkie dzienniki. Echa powszechnego oburzenia doszły do Parlamentu, gdzie wypowiedziane zostały nieśmiertelne słowa żądające przyznania ubogim prawa do licznej rodziny. Kilku egzaltowanych złożyło projekt ustawy grożącej srogimi karami wszelkiej propagandzie, która wprost czy pośrednio zachęcałaby do depopulacji. Krańcowość wypowiedzi pewnego anarchicznego odłamu prasy, stawiającej egoistyczną przyjemność przed humanitarnymi racjami, dostarczyły argumentów do zdyskredytowania sprawy. Stronnicy Filipa okazywali się wrogami społeczeństwa. Odpowiadał sam na łamach wielkiego dziennika, z rozmachem, bez ogródek. Lecz zachodziła obawa, że trybuna tej mu zabraknie, do redakcji bowiem napływały protestujące listy. Urządzał konferencje, przemawiał na hałaśliwych mityngach. Jego gwałtowność dorównywała gwałtowności jego przeciwników. Czyhali na nieostrożne słowo, za które by mogli go zmiażdżyć. Ale twardy zapaśnik panował nad swymi uniesieniami i ani na włos nie dawał się pociągnąć poza granicę tego, co chciał powiedzieć.

Pozyskał sobie olbrzymią popularność, budząc zachwyty, szyderstwa i nienawiści. Swobodnie oddychał w kurzawie walki. Lecz wśród tej burzy cóż znaczyła Noemi?

Noemi spiesznie wracała do domu. Przypominała sobie pierwsze spotkania Filipa z Anetką, których była świadkiem, swoją własną głupotę i zdradę tych dwojga. Szalała. Gdy tylko znalazła się w mieszkaniu, pozwoliła się ogarnąć wściekłości. Jak gdyby cyklon przeszedł; w okamgnieniu wszystko dokoła zostało spustoszone. Ktokolwiek ujrzałby ją w tej chwili, płaczącą i rzucającą się kurczowo, z trudem by ją poznał; z twarzą wykrzywioną gniewem gryzła i targała chusteczkę, rozrzucała papiery na biurku męża, za ból swój mściła się na piesku, który przyszedł do niej się połasić, i na papudze, której o mało nie udusiła. Ale nie omieszkała przedtem zamknąć się na klucz. Oczywiście, rola Furii musi być grana przy drzwiach zamkniętych. Nie jest upiększająca. Noemi robiła wrażenie twardej, postarzałej, zniszczonej.

Ale bez świadków widzieć siebie w lustrze brzydką i złą – nie sprawiało jej przykrości i niemal przynosiło ulgę: to była także zemsta. Potem rozczuliła się nad sobą, nad swoją twarzą – i dzięki temu współczuciu zapominając o złości, głośno szlochając rzuciła się na dywan... Nie mogło to jednak trwać długo, Filip wróci do domu, trzeba się więc śpieszyć, łykać gorycz zdwojonymi haustami, płakać prędko, płakać mocno... Nie przestawała się skarżyć, ale wła-

ściwie było już po burzy. Piesek, niepomny urazy, przyszedł polizać ją w ucho. Żaląc się ucałowała go. Siadła na dywanie i gładząc jego łapkę, uciszyła się. Myślała. Nagle, powziąwszy decyzję, skoczyła na równe nogi, odgarnęła włosy, które opadały jej na oczy, pozbierała przedmioty rozsypane po pokoju, uporządkowała rozrzucone papiery, starannie zrobiła sobie twarz, poprawiła suknię. Czekwała.

Filip zastał ją spokojną i pieszczotliwą. Spróbowała najpierw najprostszej broni. W rozmowę wplotła niewinnie kilka niekzemnych uwag na temat znieawidzonej rywalki. Słodkim głosem wypowiedziała o Anecie kilka okropności – oczywiście o jej stronie fizycznej! Strona 56 sotto voce (wł.) – cichym głosem.

57 Pasquino – nazwę tę nadano znalezionemu w Rzymie torsowi statui antycznej. Począwszy od w. XIV saty-rycy rzymscy naklejali na niej anonimowe epigramaty i paszkwile.

58 Eccolo (wł.) – otóż i on.

213

moralna jest sprawą drugorzędną. Nawet gdy kocha się duszę, funkcję miłosną wykonuje ciało. Noemi celowała w wyszukiwaniu w piękności kobiet rysów ukazujących ich brzydotę, rysów, których – raz je dostrzegłszy – nie można już zapomnieć. Tym razem przeszła samą siebie. Zatrwanie obrazu kochanki w oczach kochanka to praca darząca natchnieniem. Filip ani drgnął.

Zmieniła baterie. Wzięła Anetkę w obronę przeciw pewnym plotkom, wychwalała jej cnoty (to pochwała bez następstw!). Starła się doprowadzić do tego, żeby Filip przemówił, żeby się zdemaskował, żeby wszedł na teren, na którym go oczekiwała. Ale czy mówiła o Anecie dobrze, czy źle, Filip pozostawał obojętny.

Z kolei przystąpiła do innych działań: zalotnym przekomarzaniem spróbowała pobudzić jego zazdrość; śmiejąc się zagroziła mu, że jeśli ją kiedy zdradzi, to odpłaci mu nie na różne sposoby, ale jednym sposobem we wszelkich odcieniach. Filip nie uśmiechnął się nawet i pod pretekstem jakichś zajęć zabierał się do wyjścia.

Wtedy porwał ją gniew. Zaczęła krzyczeć, że wie o wszystkim, że wie, iż jest kochankiem Anetki. Groziła mu, złorzeczyła, błagała, wołała, że się zabije. Filip wzruszył ramionami i odwróciwszy się do niej tyłem, bez słowa skierował się ku drzwiom. Pobieгла za nim, chwyciła go za ramiona i z twarzą tuż przy jego twarzy powiedziała zmienionym głosem:

– Filipie!... Ty mnie już nie kochasz... Patrząc jej prosto w twarz, odrzekł:

– Nie!

I wyszedł.

Jeśli Noemi była szalona, to teraz stała się wprost opętana. Przez kilka godzin umysł jej mიაł się w nieprzytomnej furii. Szukała wszelkich sposobów zemsty, okrutnych, niedo-rzecznych. Zabić Filipa. Zabić Anetkę. Zabić siebie. Spotwarzyć Filipa. Zniesławić Anetkę.

Sprawić, by Anetka cierpiała. Oblać ją witriolem... O rozkoszy! Oszpecić ją... Zranić jej godność, zranić ją poprzez jej dziecko. Pisać, posyłać anonimowe listy... Gorączkowo skreśliła kilka zdań; podarła, zaczęła na nowo, znów podarła. Równie dobrze byłaby zdolna podpalić dom...

Lecz nie podpaliła go. Uspakajając się stopniowo, znów zebrała siły. I geniusz właściwy kobiecie zakochanej zaczął działać.

Uświadomiła sobie, że bezpośrednio wobec Filipa nie może nic... Kiedyś zapłaci on jej za to!... Ale na razie nie było do niego dostępu. A zatem trzeba oddziaływać na Anetkę. Poszła do niej.

Nie wiedziała właściwie, co uczyni. Była gotowa na wszystko. Do torebki włożyła rewolwer. Idąc, w myśli odgrywała sceny, które następnie odrzucała. Bo instynktownie zgadywała odpowiedzi Anetki i w miarę tego poprawiała swoje plany. I jeszcze raz w ostatniej chwili zmieniała wszystko. Fala wściekłości uniosła ją, gdy niemal biegła po schodach, zdyszana, przez materiał torebki kurczowo ściskając w dłoni rewolwer. Lecz gdy otworzyły się drzwi, gdy stanęła naprzeciw Anetki – od pierwszego spojrzenia zrozumiała... Gest jeden, jedno gwałtowne słowo, a rozgniewana Anetka jeszcze bardziej nieubłagane pójdzie za głosem namiętności.

Wściekłość Noemi momentalnie opadła. I czerwona, niby to zdyszana po zbyt szybkim wejściu po schodach, ze śmiechem rzuciła się Anetce na szyję. Zaskoczona tym wtargnię-

ciem, zmieszana tym uściskami, Anetka zachowała rezerwę. Lecz tamta, wszedłszy do mieszkania, bez ceremonii wtargnęła do sypialni, upewniając się szybko, czy przypadkiem nie ma tam Filipa. Przysiadła bokiem na poręczu fotela, zasypując czułymi słówkami sztywno stojącą obok niej Anetkę; a nawet w trakcie rozmowy objęła ją wpół ramieniem i bawiła się kryzą jej kołnierzyka. Nagle wybuchnęła płaczem. Anetka w pierwszej chwili myślała, że to wciąż jeszcze komedia. Ale nie! To

było na serio. Prawdziwe łyzy...

– Noemi! Co pani jest?

214

Nie odpowiadała i z twarzą opartą o pierś Anetki płakała dalej. Anetka, wzruszona tym głębokim smutkiem, starała się ją uspokoić. Wreszcie Noemi, podnosząc głowę i wciąż łka-jąc, jęknęła:

– Niech mi go pani odda!

– Kogo? – spytała Anetka, zaskoczona.

– Pani wie kogo!

– Ależ...

– Pani wie, na pewno wie! I ja wiem, że pani go kocha. I wiem, że on panią kocha... Dlaczego mi go pani zabrała?

I znowu łyzy. Anetka ze ściśniętym sercem słuchała Noemi, powołującej się żałośnie na zaufanie i uczucie, jakim Anetkę darzyła; nie, nie mogła na to odpowiedzieć, sama się bowiem oskarżała. I te bolesne, wolne od gwałtowności wymówki celnie godziły w jej serce. A jednak gdy Noemi z goryczą oświadczyła, że Anetka nadużyła jej przyjaźni, aby ją oszukać – Anetka spróbowała się usprawiedliwić, tłumacząc, że miłość ta wbrew jej woli opanowała ją i ujarzmiła. Noemi, dla której wyznania te nie były zbyt miłe, starała się je odsunąć. I udając, że pomaga Anetce w jej usprawiedliwianiu się, zdawała się wierzyć, że Filip jest głównym winowajcą; zaczęła mówić o nim w sposób obelżywy. Przynosiła tym ulgę swojej urazie, a zarazem próbowała sprawić, by Filip wydał się Anetce ohydny lub co najmniej podejrzany.

Lecz Anetka wzięła go w obronę. Nie godziła się, by oskarżano go o to, że ją uwiódł. Jego postępowanie było uczciwe. To ona, ona sama popełniła ten błąd, że nie pozwoliła mu mó-

wić. Noemi nienawistnie wznawiała swe oskarżenia, Anetka zaś stawiała jej czoło. Ton rozmowy zaostrzał się – i zdawać się mogło, że to Anetka jest prawdziwą żoną Filipa. Noemi nagle jak gdyby uświadomiła to sobie; niepomna wszelkiej ostrożności i na nowo uniesiona wściekłością, krzyknęła:

– Zabraniam pani mówić o nim! Zabraniam! On jest mój! Anetka wzruszyła ramionami:

– On nie jest ani pani, ani mój. Należy tylko do siebie. Noemi powtórzyła porywczo:

– On jest mój!

I zaczęła powoływać się na swe prawa. Anetka rzekła twardo:

– W miłości nie ma praw. Noemi znów zaczęła krzyczeć:

– On do mnie należy, mam go!

– Do niego ja należę – odparła Anetka. – Pani nic nie ma.

Obie kobiety mierzyły się wrogimi spojrzeniami. Anetka zbrojna w egoizm i niezłomna, Noemi płonąca chęcią spoliczkowania Anetki. Nienawidziła jej całej, od stóp do głów. Niewiele brakło, a zaczęłyby mściwie krzyżeć o jej brzydocie, biczowałyby ją najokrutniejszymi słowami, słowami, których już cofnąć nie można. Cóż to byłaby za rozkosz!... Ale wstrzymała się: za wiele mogła na tym stracić!

I szybko schyliwszy się po torebkę, która upadła jej pod nogi, wyrwała z niej rewolwer i skierowała go... przeciw komu? Sama jeszcze nie wiedziała... Przeciw sobie samej!... Zrazu było to udaniem; ale gdy Anetka rzuciła się, by ją chwycić za ramię – Noemi dała się unieść swej grze, Obie kobiety zmagaly się: Noemi na klęczkach, Anetka pochylona nad nią. Nie-

łatwo było powstrzymać małą desperatkę. Teraz naprawdę już chciała się zabić... Choć gdyby broń dotknęła piersi Anetki – z jakąż rozkoszą Noemi nacisnęłyby cyngiel! Lecz Anetka odchyliła jej rękę; strzał padł, kula utkwiała w ścianie. I Noemi nie dowiedziała się nigdy, w którą z nich dwu celowała...

Wypuściła broń z ręki, przestała walczyć. Nastąpiła reakcja nerwowa. Bezwładna, leżała szlochając u stóp Anetki. Dostała ataku nerwowego. Zrazu Anetka podejrzewała intuicyjnie, że Noemi odgrywa komedię... do pewnego stopnia (czyż można kiedykolwiek wiedzieć, do jakiego stopnia?) – i z głuchym rozdrażnieniem myślała, że szantażuje ją samobójstwem. Ale czyż mogła wątpić o cierpieniu tej biednej, małej, złamanej istoty? Próbowała być nadal twarda, odwróciła się od niej, lecz nie potrafiła, i zawstydzona swymi podejrzeniami, z ser-215

cem pełnym litości, uklękła obok Noemi, podtrzymując jej głowę, starając się pocieszyć i przemawiając do niej po macierzyńsku:

– No, no! Moja mała...

Wzięła ją w swoje silne ramiona i uniosła. Poczwała tuż przy sobie to młode, łkaniem wstrząsane ciało, poddające się jej bezbrannie. Myślała:

„Czyż to możliwe, abym ja była powodem tych cierpień?”

Inny głos jej szeptał:

„A nie kupiłabyś twojej miłości za cenę wszystkich cierpień?”

„Mych własnych – tak.”

„I własnych, i cudzych. Dlaczego cudze miałyby być uprzywilejowane?” Spojrzała na Noemi, którą niosła na pół zemdloną. Jaka lekka! Jak ptaszek! Wydało jej się, że to jej córka – i mimo woli przycisnęła ją do siebie. Noemi otwarła oczy. Anetka pomyślała:

„Czy oszczędziłaby mnie, gdyby była na moim miejscu?” Ale Noemi patrzyła na nią przybitym wzrokiem, Anetka ułożyła ją na szezlongu – i stojąc przy niej, z ręką na jej głowie (Noemi wzdrygnęła się pod wstrętnym sobie dotknięciem, lecz nie okazała tego) mówiła do niej jak do splakanego dziecka:

– A więc tak bardzo pani go kocha?

– Jego jednego kocham!

– Ja też go kocham.

Noemi poderwała się zazdrośnie.

– Tak – rzekła cierpko – ale ja jestem młoda. A pani jest (zawahała się)... pani już miała swoje życie. Może się pani obejść bez Filipa.

Anetka powtarzała sobie z goryczą to niedomówione słowo:

„Tak jest. Już wkrótce będę stara; dlatego właśnie czepiam się tak tej ostatniej godziny młodości, tego ostatniego blasku – i nie dam go sobie zabrać... Ach! Gdybym tak jak ty miała przed sobą skarb młodości!” Smutno dodała:

„Zapewne zmarnowałabym go po raz drugi.” Ale Noemi dostrzegła, że spojrzenie Anetki spochmurniało, i zaniepokoiła się, czy przypadkiem osiągnięta przed chwilą, słaba zresztą, przewaga nie została zagrożona. Rzekła pośpiesznie:

– Ja wiem, że on panią kocha. Ja wiem, że pani jest piękna...

(Anetka pomyślała: „Ależ kłamie!”)

...że pani przewyższa mnie w tych rzeczach, które mu są drogie. I nawet nie mogę mieć do pani żalu, bo mimo wszystko ja też panią kocham...

(„Ależ kłamie! Ależ kłamie!” – powtarzała sobie Anetka.)

– ...Partia jest nierówna. To nie jest sprawiedliwe! Nie. Ja jestem tylko biedną kobietą, któ-

ra płacze. Jestem niczym. Ja to wiem... Ale kocham go, kocham go, nie mogę obejść się bez niego. Cóż ze mną będzie, jeśli pani mi go zabierze? Po cóż więc kochał mnie, jeśli ma mnie teraz opuścić? Ja nie mogę! On jest moim życiem; wszystko inne nic dla mnie nie znaczy...

Ton nie kłamał teraz – i Anetka na nowo poczuła litość.

Była niewrażliwa na te prawa, na które powoływała się Noemi w stosunku do swojego męża: nie wierzyła w prawa jednej istoty do drugiej – w te, podpisywane na całe życie kon-trakty wzajemnego posiadania. Ale bolała nad igraszkami okrutnej przyrody, która rozłączając kochające się serca, nie wyrzywa nigdy miłości z obu równocześnie, ale sprawia, że jedno z nich przestaje kochać pierwej, po

to aby drugie, bardziej kochające, mogło paść ofiarą. I poczuła odrazę do służenia planom wielkiej dręczycielki. Życie jest udziałem silniejszych. Mi-

łość się nie waha. By osiągnąć swój cel, depta nogami wszystko inne. Biada słabym! Dlaczegoż więc ja nie mogę tego powiedzieć? Chciałabym, ale słowa nie przechodzą mi przez gardło. Nie mogę. To budzi we mnie wstręt... Czy może nie kocham już dość silnie? Stara jestem, jak ona powiada. Stoję po stronie słabych... Nie! Nie! Nie! Oszukaństwo!... Jakim 216

prawem ona staje pomiędzy mną a szczęściem? Nie odstąpię jej mojej części szczęścia... A jej łzy? Cóż dla mnie znaczą? Będę bezwzględna!

Ale gdy tak wrogim spojrzeniem patrzyła na leżącą Noemi – Noemi, która nie przestawała obserwować jej poprzez łzy, ująwszy jej rękę, ramię zwisające obok oparcia krzesła, przywarła doń policzkiem i rzekła błagalnie:

– Niech mi go pani zostawi!

Anetka próbowała się uwolnić. Noemi trzymała mocno. Uniósłszy się, obejmowała oburącz ramię Anetki, zmuszając ją, by się nachyliła, by popatrzyła na nią:

– Niech mi go pani zostawi!

Anetka wyrwała się z uchwytu jej palców i zbuntowana rzuciła:

– Nie! Nie!... Nie chcę. Jestem mu potrzebna. Noemi odrzekła z goryczą:

– On nie potrzebuje nikogo prócz siebie. On kocha tylko siebie samego. W pani szuka tylko przyjemności, tak jak znalazł ją we mnie. Panią także porzuci, tak jak mnie porzucił. On nie przywiązuje się do niczego.

Zaczęła wygłaszać o nim sądy, surowe, głębokie. Anetka zdziwiona była jej inteligencją. Z

jaką ostrością zawiści i cierpienia czytała w nim ta drobna istota, na pozór tak nieuważna i lekkomyślna. Jakże zgodne było niejedno z jej strasznych spostrzeżeń z obawami, które budziły w Anetce jej własne doświadczenia. Powiedziała:

– A jednak pani go kocha!

– Kochani go. Ja mu nie jestem potrzebna. To on mi jest potrzebny... Ach! Czy pani myśli, że ja nie cierpię nad tym, iż jest mi potrzebny, on, któremu ja nie jestem potrzebna, który mną pogardza – i którym ja pogardzam? Pogardzam nim, pogardzam! Ale nie mogę obejść się bez niego... Czemuż go poznałam? Ja sama tego chciałam. Chciałam go mieć, zdobyłam go. A teraz sama jestem zdobyta. Ach, gdybym go była nigdy nie spotkała! Nie, nie chciałabym tego!... Brak mi sił. Aż zanadto jestem zdobyta. On jest treścią mnie samej. Nienawidzę go.

Nienawidzę miłości. Po cóż, po cóż człowiek kocha?

Umilkła, wyczerpana – i niepewnym wzrokiem szczonego zwierzęcia oglądała się w prawo i w lewo, jak gdyby szukając możliwości ucieczki. Obie kobiety chyliły głowy pod jarzmem dzikiej potęgi.

I Noemi ponurym i natarczywym tonem podjęła znów swą skargę:

– Niech mi go pani zostawi.

Anetka czuła, jak ta wola uparta i lepka przywiera niczym mątwą do jej członków opatrzo-nymi w ssawki ramionami. Raz jeszcze wyrwała się i krzyknęła:

– Nie chcę!

Błysk gniewu zaświecił w oczach Noemi. Palce jej zacisnęły się. Potem przemówiła głosem słodkim i żalnym:

– Niech go pani kocha! Niech on panią kocha! Ale niech mi go pani nie odbiera! Miejmy go obie, pani i ja!

Anetka zachnęła się z odrazą. Wściekłość Noemi zawrzała:

– Czy pani myśli, że to dla mnie nie wstrętne? Brzydę się panią! Nienawidzę pani! Ale nie chcę go stracić. Anetka odsunęła się od Noemi i rzekła:

– Ja nie mam do pani nienawiści. Pani cierpi – i ja cierpię. Ale podział w miłości jest rzeczą nikczemną. Jest to nikczemność miłości. Godzę się być ofiarą. Godzę się być katem. Nikczemna być nie chcę. By zachować to, co kocham, nie oddam tego połowy. Daję wszystko i chcę wszystkiego. Albo też nie chcę nic.

Noemi, zaciskając zęby, wołała w głębi serca:

„Nic!”

(Nawet proponując podział liczyła, że odbierze wszystko.) Ale jednym ruchem zerwawszy się z krzesła, podbiegła do Anetki i osunawszy się do jej kolan, ramionami oplotła jej nogi.

217

Niech mi pani przebaczy! Czyż ja sama wiem, czyż ja wiem, o co proszę? Czyż wiem, czego chcę? Ale jestem nieszczęśliwa, nie mogę tego znieść... Cóż mogę uczynić? Niech mi pani powie! Niech mi pani pomoże!

– Ja mam pani pomóc... Ja?

– Pani. Tak. Do kogóż mam się udać o pomoc? Jestem sama, sama z tym człowiekiem, którego nic nie obchodzi, przed którym nie można się zwierzyć nawet wtedy, gdy kocha. A przedtem miałam matkę, która myślała tylko o sobie, o swoich przyjemnościach. Nikogo, kto by coś doradził. Żadnej przyjaciółki. Gdy panią ujrzałam, myślałam, że pani nią będzie. A pani stała się najgorszym moim

wrogiem. Dlaczego mnie pani krzywdzi?

Anetka była wstrząśnięta.

– Moje biedne dziecko – rzekła – to nie moja wina! Ja tego nie chciałam.. Noemi rzuciła się na to współczujące słowo:

– Pani dziecko, powiedziała pani... Tak! Niech pani będzie dla mnie jak matka, jak starsza siostra! Niech mnie pani nie krzywdzi! Niech mi pani doradzi! Niech mi pani powie, co mam czynić! Ja go nie chcę stracić... Niech pani powie, niech pani powie... Zrobię wszystko, co pani każe...

Kłamała tylko na pół. Tak była przyzwyczajona do udawania tego, co czuła, że aż czuła rzeczywiście to, co udawała. Jej miłość, ból, to, że potrzebowała Anetki, i nadzieja wzruszenia jej – wszystko to było naprawdę szczerze. A nawet ufność, którą jej okazywała, ta ostatnia karta w jej grze! Wygrywała ją z desperacką pasją. Ale przy całej ufności, z jaką powierzała się Anecie, nie traciła z oka zmieszania, którego twarz Anetki nie była w stanie ukryć; Anetka słabła. Ufność Noemi rozbijała ją. Nie miała już siły odpowiadać. A jednak nie dała się oszukać. Słodkawy ton niektórych akcentów zdradzał fałszywość przeciwniczki. Pozwalała jej mówić. Czytała na dnie JEJ słów. Myślała: „Cóż mam robić? Poświęcić się? Co za oszukaństwo! Nie chcę. Nie lubię tej kobiety. Ona kłamie, ona mnie nienawidzi. Ale ona cierpi...” I gładziła ręką głowę klęczącej nieprzyjaciółki, która nie przestając jęczeć obserwowała ją, śledziła, jak ścigane zwierzę, jej chwiejącą się wolę, i we właściwej chwili z drzeniem lęku i radości – ostrej, dyszącej, krwawej – przyciskając usta do jej rąk znienawidzonych, które rada by kasać – powtórzyła:

– Niech mi go pani zostawi.

Anetka zmarszczyła brwi. Chciała Noemi odtrącić. Ujrzała w jej oczach chytryść i ból, miłość i kłamstwo, rozpaczliwe wyczekiwanie. Uśmiechnęła się ze zmęczeniem, litością, wstrętem do tamtej – do niej i do siebie – do wszystkiego – i odwracając głowę, w chwili sła-bości wyrzekła:

– Niech go pani zatrzyma!

Jeszcze nie dopowiedziała tych słów, gdy już zapragnęła je cofnąć. Ale Noemi, zerwawszy się jednym susem, już ścisnęła Anetkę, obsypując ją nieprzytomnymi czułościami... (Nigdy jeszcze nie czuła do niej tak strasznej nienawiści! Nareszcie miała ją w swym ręku... Ale czy miała rzeczywiście?) Anetka już mówiła:

– Nie! Nie!

Noemi udawała, że nie słyszy. Nazywała ją swą najdroższą, swą najlepszą przyjaciółką, ofiarowywała jej dozoną miłość i wdzięczność, śmiała się i płakała. Ale nie traciła czasu na próżne wybuchy czułości. Chciała się dowiedzieć, co Anetka uczyni, aby oddalić Filipa.

Anetka zbuntowała się:

– Ja nic nie powiedziałam.

– Powiedziała pani, powiedziała, przyrzekła mi pani!

– Wyrwało mi się to słowo...

– Słowo? Pani słowo!

– Pani mi je wydarła, zostałam zaskoczona...

218

– Nie, pani ma tylko jedno słowo i nie może go cofnąć. Pani powiedziała: „Niech go pani zatrzyma!” Pani to powiedziała, Anetko. Niech pani przyzna, że tak było! Nie może pani zaprzeczyć...

– Proszę mnie zostawić! Proszę mnie zostawić! – wołała Anetka, wyczerpana. – Niech mnie pani nie dręczy! Nie mogę, nie mogę...

Złamana, usiadła; a Noemi, stojąc przy niej, nie przestawała jej męczyć. Role były teraz odwrócone. Anetka nie chciała się wyrzec: miłość wrosła w nią zbyt głęboko. Noemi nie dbała o to: niechby Anetka zachowała swą miłość, byle nie zatrzymywała Filipa. Chciała, żeby Anetka zerwała. Natychmiast, niezwłocznie. A sposobów mogła jej podać bez liku; miała ich pełną głowę. Naciskała, schlebiała, błagała, zniewalała, całowała, ogłuszała Anetkę potokiem słów, odwoływała się do jej wspaniałomyślnego serca, prosiła, błagała, żądała, dyktowała odpowiedzi...

Anetka, zimna i sztywna, nie odpowiadała ani słowem. Nie próbowała nawet wstrzymać tej powodzi. Siedziała z zaciśniętymi wargami, z ponurym wzrokiem... Wreszcie Noemi zamilkła w obliczu tego kamiennego spokoju. Ujęła ręce Anetki, zimne, wilgotne. Rzekła:

– Niech pani odpowie! Niech pani odpowie!

Anetka, nie patrząc na nią, szepnęła:

– Proszę mnie zostawić w spokoju. (Tak cicho, że Noemi raczej wyczytała to na jej wargach, niż dosłyszała.)

– Chce pani, żebym poszła? – zapytała. Anetka przytaknęła ruchem głowy.

– Odchodzę więc Ale pani przyrzekła? Anetka powtórzyła zmęczona:

– Proszę mnie zostawić, proszę mnie zostawić... Muszę być sama...

Noemi szybko przed lustrem poprawiła włosy i idąc ku drzwiom, powiedziała:

– Do widzenia... Pani mi przyrzekła...

Anetka zdobyła się jeszcze na ostatni odruch sprzeciwu:

– Nie! Nic nie przyrzekłam...

Noemi poczuła, że znów ogarnia ją gniew... Po tylu wysiłkach! Ale instynkt pouczył ją, że nie trzeba iść za prędko, nie trzeba zbytnio przeciągać struny. Tak czy inaczej, cios został

zadany.

Wyszła.

Poznała słabość przeciwniczki. Zdepcze ją.

Anetka trwała jeszcze pewien czas bez ruchu na miejscu, gdzie zostawiła ją Noemi. Po tej długiej scenie czuła się jakby złamana. Stawiłaby silniejszy opór, gdyby ten atak nie zaskoczył jej już udręczonej podwójnym wyczerpaniem: z jednej strony namiętnością i nieprzerwaną pracą, ciągłą gorączką, udziałem w walkach Filipa, współżyciem z jego burzliwą duszą – z drugiej tłumionymi wyrzutami sumienia, zamkniętą w sercu udręką, przy równoczesnym zmęczeniu ciała i myśli. Ta jej bezsilność stała się siłą Noemi. Noemi znalazła teren już przygotowany oraz sprzymierzeńca w swojej przeciwniczce.

Osoba samej Noemi małą grała rolę w troskach Anetki. Jako kobietę niezbyt ją lubiła. Jako rywalki nie lubiła jej wcale. Uważała, że jest fałszywa, perfidna, pozbawiona dobroci. I z zazdrosną niesprawiedliwością odmawiała teraz Noemi uroku, który początkowo tak ją ujął.

Wszystko w niej wydawało się Anetce sfalszowane – wszystko prócz cierpienia. I mniejsza o to, czy w grę wchodziłaby tu Noemi, czy inna kobieta! Ona jest ciałem, które cierpi – ciałem, któremu ja zadaję cierpienie... I serce Anetki drażyła dziwna litość.

Ta skłonność rozwijała się. w niej w ostatnich latach pod wrażeniem nędzy ludzkiej, na którą patrzyła, w zetknięciu z dwoma zgonami: śmiercią Odetki i śmiercią Rut. Pozostał w 219

niej po tym wszystkim jakiś niezrozumiały niepokój. Jakaś słabość. Uważała ją za chorobliwą i być może, że było tak istotnie. Życie stałoby się niemożliwe, gdybyśmy nie przechodzili mimo cierpień świata! Wszelkie szczęście żeruje na cierpieniu innej istoty. Życie zżera życie, jak robaki lęgące się w swym żywym łupie. I każdy pije cudzą krew, krew wszystkich.

Dawniej piła ją i Anetka, nie zastanawiając się nad tym nawet. A krew ta dawała jej ciału ciepło i radość. Póki była młoda, nie myślała o ofiarach. Jeśli pewnego dnia pomyślawszy o nich powiedziała sobie: „Trzeba być twardą” – znaczyło to, że zaczyna słabnąć. Czuła już teraz: twardą, mogła być tylko dorywczo. Starzała się. Krzywdę, którą wyrządzała Noemi, byłaby jej dziesięć lat temu wyrządziła bez chwili wahania. „Moje szczęście jest moim prawem. Biada temu, kto je naruszy!... Nie potrzebowała wtedy szukać pretekstów. Obecnie, chcąc wydrzeć życiu swoją część szczęścia, musiała doszukiwać się innych racji niż swoje własne szczęście. Nie mogła już sobie wystarczyć. Znalazła dość siły, by w pogoni za chlebem rugować bez skrupułów mniej szczęśliwe rywalki; bo chleb ten był chlebem jej syna. Tu podtrzymywał ją zwierzęcy instynkt, który sprawia, że człowiek niby zwierzę jeży się w obronie swych młodych i karmiłby je ciałem bliźniego. Lecz drugi zwierzęcy instynkt: miłość ku sobie brać i zachowywać dla siebie – wygasł już, czasem tylko

objawiając się w gwałtownych nawrotach. Właśnie macierzyństwo, przywłaszczysz sobie jego miejsce, zniszczyło go częściowo.

W obecnym kryzysie syn w niczym nie był jej pomocny. Mało tego! Był dla niej jedną troską i wyrzutem więcej. Anetka nie mogła się okłamywać: namiętność jej nie liczyła się wcale z osobą syna. Czuła się wobec niego winna i dokładała starań, by wszystko przed nim ukryć.

Znała chłopca; w przeszłości dostrzegła, jak pod wpływem zazdrości pokazywał pazury tym, których ona kochała. Nie robiła mu z tego zarzutu, owszem, była szczęśliwa, że chciał sam jeden ją kochać... Ale dzisiaj broniła swego dobra. Przed kim?... Przed swoim dobrem! Konflikt dwóch namiętności. Żadnej z nich nie chciała poświęcić. A że obie były zazdrosne, władcze, wyłączne, zmuszona była przed każdą z nich taić sekret tej drugiej. Czy się jej to udało?

Marek nie cierpiał „tamtego”. Wprawdzie nie wiedział o niczym (była tego pewna) – ale choćby nie wiedział, czy wąż nie ostrzegał go już przed tym? Wstyd jej było się kryć, a bardziej jeszcze zawstydziała ją myśl, że mógłby coś podejrzewać... Ale nie, on nie miał żadnych podejrzeń – nienawidził Filipa z zupełnie innych powodów.

Co się tyczy Filipa, nie zaszczycał on Marka swoim zainteresowaniem. Żeniąc się z Anetką, byłby wziął w dodatku jeszcze dwa czy trzy bachory więcej. Nie miało to dla niego znaczenia, tak pod względem uczuciowym jak materialnym, i nie byłoby tu za co odczuwać dlań wdzięczności. Marka na ogół widział chętnie. Uważał, że jest niegłupi, leniwy, dość nieru-chawy. Niewątpliwie byłby go dobrze rozruszał. Ale nie widział racji, by się do niego przywiązywać – i nie krył się z tym. Miał swój specjalny sposób mówienia o chłopcu – mówienia do chłopca – z brutalną dobroduszością, która do żywa raniła Anetkę. Otrzaskany z grubiań-

stwami życia, nie miał wyobrażenia o względach, jakich wymaga delikatna i dumna natura, nie wyczuwał, że uraża jej wstydlivość. Nazywając rzeczy po imieniu, w obecności matki bez ogródek dawał dziecku szorstkie przestrogi i rady lekarskie, które sprawiały, że rumienili się oboje, tak dziecko jak matka. Matka bardziej jeszcze niż dziecko. Filip głosił teorię, że nic nie należy ukrywać przed dzieckiem. Takie były też zapatrywania Anetki. A także i Marka.

Ale są sposoby i sposoby! Anetka cierpiała niemal fizycznie. Marek upokarzany, gromadził w sercu urazę. Między nim a Filipem nie mogło nigdy być nic prócz wzajemnego niezrozumienia. Zanadto różne były ich temperamenty. Anetka przewidywała tarcia i wieczną niezgodę.

Myśl straszna dla niej, namiętnej kochanki i matki!

W powzięciu jakiejś decyzji nie mogła liczyć na pomoc żadnego z nich. Musiała zdecydować sama, egoistycznie. A czyż nie miała prawa pomyśleć także i o sobie? Samo prawo nie wystarcza, jeżeli nie dość silnie obstaje się przy swym prawie. Czy obstawała przy nim? Tak 220

– chwilami jak lwica – gdy zdawała sobie sprawę, że grozi jej zaprzepaszczenie szczęścia, młodości i życia... Czy szczęścia? O szczęściu nie mogło być mowy w małżeństwie z człowiekiem tego rodzaju co Filip! Ale zarazem i mniej, i więcej niż szczęście, o, nieporównanie więcej dla kobiety takiej jak Anetka: życie pełne, inteligentne, śmiałe, nie życie spoczynku, zasypiające w swym bezpieczeństwie,

ale życie burz, wichrów, czynów i zmagañ – ze światem, z nim – życie trudów i cierpieñ – ale we dwoje – ale życie, życie naprawdę godne tego, by je przeżyć i wreszcie umrzeć, zmęczona i szczęśliwa, że opuszcza te dni twarde i owocne i że je miała... To było piękne! Lecz na to potrzeba sił. Miała ich dość, aby z podniesioną głową do końca dźwigać nałożony sobie ciężar. Ale samej nałożyć go?... Potrzebowała, by jej ktoś dopomógł, a nawet trochę ją zmusił. O, gdyby Filip nałożył jej ten ciężar na barki, gdyby jej go narzucił! Gdyby” jej rzekł: „Nieś go! Nieś dla mnie! Jesteś mi potrzebna...” Słowo to pozwoliłoby jej przejść mimo wszelkich wyrzutów sumienia... Ale czy była potrzebna Filipowi? Powiedział jej to w pierwszych dniach, kiedy pragnął ją zdobyć. Lecz nie powtarzał

tego więcej. Anetka zaś chciała słyszeć to wciąż i wciąż, aby nabrać pewności. Widziała Filipa takim, jakim był: zajęty tylko sobą, przywykły pracować sam, walczyć sam, radzić sobie sam – i pyszniący się tym. Czułby się upokorzony, gdyby wezwał czyjejś pomocy. Więc mówiła sobie: „I na cóż mogę mu się przydać?” Dobrodziejstwo miłości nie polega na tym tylko, że darzy ona nas wiarą w drugiego człowieka, ale na tym że przywraca nam wiarę w nas samych. Niechże nam będzie litościwa! Filip z uczucia tego nieczęsty robił użytek. Ten wielki lekarz ciała, jak większość jemu podobnych, nie troszczył się o choroby duszy. Nie myślał

wcale o wątpliwościach trawiących kobietę, której ciało leżało u jego boku. Nie powinien był

zostawiać jej czasu na badanie siebie samej. Powinien był skończyć z tym, poślubić ją! Anetka podsuwała mu nieśmiało: „Wyjedźmy razem! Aby nie mogła już odebrać siebie samej!” Lecz Filipowi nie śpieszyło się teraz. Był wciąż opanowany namiętnością – lecz teraz były to zupełnie inne namiętności, które większe miały dla niego znaczenie. Żył teraz swoimi ideami, walką, pochłaniającą go polemiką, gdy Anetka chciała, żeby myślał wyłącznie o niej.

Bynajmniej nie zamierzał wywoływać skandalu i wplątywać się w głośną sprawę rozwodową, póki nie wydotanie się z ognia toczących się zmagañ. Był zdecydowany dotrzymać swych zobowiązań. Ale później! Niech Anetka uzbroi się w cierpliwość. Wszak on sam także musiał

być cierpliwy! Czerpał z Anetki rozkosz. Godził się na przeciąganie tej sytuacji. Pochlebiał

sobie, że Noemi narzucił podobną wielkoduszną cierpliwość. Bardzo sobie pochlebiał! Nie raczył widzieć, jak nieznośne jest to wyczekiwanie dla obu kobiet...

„Oczywiście! – myślała Anetka. – Człowiek – człowiek godny tego, byśmy go kochały –

nie będzie nigdy nas kochał na równi ze swymi ideami, swoją wiedzą, sztuką czy polityką.

Naiwny egoizm, który sądzi, że jest bezinteresowny, bo wciela się w idee! Egoizm mózgu, bardziej zabójczy niż egoizm serca. Ileż serc on złamał!” Nie dziwiła się temu, bo znała życie, ale cierpiała. Byłaby zgodziła się na wszystko, gdyby chodziło tu tylko o cierpienie; może zgodziłaby się nawet z radością – z tą charakterystyczną u kobiet radością ze złożonej ofiary, którą chętnie uważają za okup miłości. Ale nie posuwała się aż do tego, by przez pozostawanie w tak upokarzającej sytuacji zgodzić się na poświęcenie własnej czci i honoru swego syna. Przykro jej było, że Filip tego nie odczuwa. Oczywiście, nie grzeszył delikatnością. Dobrze wiedziała, co myślał o kobiecie i miłości.

Musiał tak myśleć: tak ukształtowało, go wychowanie i twarda szkoła życia – i ona pokochała go takim. Ale miała nadzieję, że potrafi go zmienić. A teraz spostrzegła, że z dnia na dzień traci nad nim władzę.

Gorzej jeszcze: władzę nad sobą. Anetka czuła się opanowana przez demona zmysłowości i z każdym dniem bardziej ujarzmiona, coraz mniej była panią swej woli. Pojedynek dwu namiętności zachowuje swój szlachetny charakter, póki siły walczących są równe. Gdy jeden z nich ulega, drugi nadużywa swej przewagi, a wtedy pokonany zaczyna się poniżać, Anetka przeżywała teraz ów przejmujący moment, który poprzedza klęskę i decyduje o niej. Wie-221

działa, że nie na długo starczy jej sił. Filip także to wiedział. I zdradzał to swoim zachowaniem. Mimo że wciąż jednakowo zależało mu na Anetce (obecnie może nawet bardziej) –

mniej miał teraz dla niej względów, brutalnie nadużywał tego, co do niego należało, traktował

ją jak podbitą prowincję. Dnie Filipa były szczelnie wypełnione systematyczną i burzliwą pracą, a noce przez Noemi (zależało mu na zachowaniu pozorów); z Anetką miewał więc tylko krótkie, namiętne spotkania, dorywcze zbliżenia miłosne. Żadnej serdecznej bliskości.

Zwykł mawiać cynicznie, że dostaje się jej lepsza część.

Anetka pragnęła wyrwać się z tego poniżenia, w którym zmysły spiskowały przeciw niej.

Lecz one z dniem każdym stawały się coraz bardziej despotyczne. A gdy pewnego razu chciała wymknąć się ich tyranii, dostała się jej od nich miażdżąca wprost odprawa. Gdy kobieta, jak ona silna i gorąca, przez dziesięć lat trzyma swe namiętności w surowej dyscyplinie, a potem w najupalniejszej godzinie burzliwego lata otwiera im klatkę – naraża się na unicestwienie.

Anetka mogła się ocalić tylko przez narzucenie Filipowi szacunku należnego małżonce, którą mu być chciała, tej równej mu współniczce „rei humanae atque divinae”⁵⁹. Z rozpaczliwą trwogą prosiła, błagała Filipa, aby wyrzekł się jej aż do chwili, kiedy dane im będzie za-

ślubić się i kochać jawnie na oczach świata. Filip odmówił. Jak w polityce tak i w namiętno-

ściach nie chciał być krępowany. Nie chciał ani obejść się bez Anetki, ani też zenić się z nią w niedogodnej dla siebie chwili. Udał, że w próbie wyzwolenia się Anetki widzi poniżający manewr mający na celu silniejsze przykucie go do niej. A wiedział przecie, jak szczerze i bez ukrytej myśli niesie mu siebie w darze! To znieważające podejrzenie odczuła jak policzek

– i znów mu się oddała z rozpaczą namiętności i wstrętu. Ale on nic widzieć nie chciał. Powracał, dochodząc swych egoistycznych praw kochanka, nie bacząc, że każde z jego cielesnych zwycięstw pozostawia w Anetce, nawet jeśli godzi się z tym, piętno zhańbienia.

Anetka dostrzegła swe poniżenie. Nie oddawała się już, lecz prostytuowała w miłości.

Czuła, że jeśli śmiałym porywem nie zbroczy z pochyłości, po której staczało się jej opętane żądzą ciało– będzie zgubiona...

Pewnego popołudnia uciekła. Poszła do Sylwii z prośbą, by na kilka dni wzięła do siebie jej dziecko. Za pretekst podała konieczność jakiegoś wyjazdu. Sylwia nie żądała wyjaśnień; wystarczyło jej jedno spojrzenie. Choć ciekawość czyniła ją nieraz niedyskretną i choć z wielu względów niezdolna była zrozumieć myśli siostry – kobiecym instynktem wyczuwała miłość i jej tragiczne drogi. Tak jak za czasów swej dawnej bliskości z Anetką nigdy nie zwierzała jej sekretów swego miłostnego życia (mówiła tylko o tym, co było zabawą) – tak i teraz nie oczekiwała zwierzeń Anetki.. Wiedziała, że każda kobieta ma prawo do swych godzin milczenia – tych swoich wielkich godzin. I nikt nie może tu pomóc. Samej trzeba się ocalić lub zginąć samotnie. Ofiarowała siostrze schronienie w małym domku, który miała w okolicy Paryża, koło Jouyen-Josas. Anetka, wzruszona, uściskała ją i przyjęła.

W wiejskim domostwie na skraju lasów zamknęła się na okres dwóch tygodni. Nawet Markowi nie mówiła, dokąd się udaje. Gdzie się ukryła, wiedziała jedna tylko Sylwia.

Gdy opuściwszy Paryż Anetka wy dostała się z zaklętego koła – natychmiast zobaczyła i osądziła obłęd, jaki nią owładnął w ciągu ostatnich tygodni. I przeraziła się. To ona stała się tą szaloną, tą nędzną, służalstwem własnym upojoną niewolnicą! Namiętność – mord duszy!...

Kleszcze rozluźniały chwyt. Wieczorem zaczęła swobodnie oddychać; widziała znów pola, lasy, spokój ziemi. Od dwóch miesięcy gęsty, czerwony welon krył przed nią żywy świat.

Nawet najbliżsi – nawet jej syn – stali się jacyś dalecy... Z chwilą przybycia do wiejskiego domku, przy blasku za chodzącego słońca rozdarła się ta zasłona. Usłyszała dzwony, ptaki, głosy wieśniaków: płakała czując ulgę... Ale pośród nocy (spała kamiennym snem) – zbudziła się nagle. Lęk jakiś dławił ją. Czowała pierścienie węża oplatające jej szyję.

Upływały dni znaczone ciągłymi przejściami od upokarzających tortur i ślepych porywów do nagłej, ostrej, absolutnej jasności wzroku, na wskroś przenikającego wielkie oszustwo.

59 rei humanae atque divinae (łac.) – rzeczy ludzkiej i boskiej 222

Anetka czuła się jednak nieustannie zagrożona. Mimo że świadoma była niebezpieczeństwa i uzbrojona, byle drobiazg spowodować mógł ponowny jej upadek. Przedłużyła pobyt na wsi.

Nie było to bezpieczne dla jej sytuacji materialnej. Nagłe jej zniknięcie spowodowało utratę lekcji. Garstka klientów, których zgromadziła sobie z takim trudem, przechodziła w inne ręce. Sylwia odsyłała siostrze listy i informacje, ale nie dołączała do nich nic prócz dobrych wiadomości o zdrowiu Marka; nie chciała nic doradzać; sama tylko Anetka mogła tu być sędzią.

Anetka dobrze wiedziała, że powinna wracać; ale wciąż odkładała swój powrót. Nie wystarczało zostać; nie mogła zabronić swym myślom, by nie biegły do Filipa: co on tam robi?

czy jej nie szuka?... Od niego nie otrzymała żadnych wiadomości. Bała się ich i wołała o nie.

Usuwała Filipa ze swych myśli; sądziła, że wyzwoliła się już od niego. Ale on nie opuszczał

jej. I nagle zjawił się przed nią.

Pewnego wieczora, beczynna i zatopiona w dręczących ją myślach, błądziła w cieniu gra-bowego szpaleru ciągnącego się wzdłuż niskiego muru ogrodu. Poprzez gałęzie spostrzegła w dali, na białej szosie, nadjeżdżający samochód. I pomyślała: „To on!...” Rzuciła się wstecz.

Auto przemknęło wzdłuż muru do końca małej posiadłości. Anetka ze ściśniętym sercem słuchała warkotu motoru – usłyszała, że zwalnia. Nie dalej jak o trzydzieści kroków rozwidlała się droga i auto jak gdyby się zawahało. Rzuciwszy okiem poprzez firankę liści Anetka ujrzała plecy mężczyzny, który, niezdecydowany, rozglądał się, jakby szukając czegoś na hory-zoncie. Poznała go. Ogarnął ją strach... Rzuciła się za bukszpanowy żywopłot; upadła na ziemię, kurczowo wpijając w nią palce. Pochyliła głowę; fala krwi zalała jej policzki. Myślała:

„Znów mnie weźmie!” I chciała mówić: „Nie!” A krew wołała: „Tak!” Czuła, jak pod jej palcami kruszą się suche bryłki, i z twarzą, wtuloną w rozprażony słońcem, gorzko pachnący bukszpan starała się uciszyć szumiącą w uszach krew, by móc zza muru słyszeć odgłos kroków. Auto ruszyło. Pobiegnęła w róg ogrodu, na szosę i zawołała:

– Filipie!...

Wóz znikł na zakręcie...

Nazajutrz Anetka wróciła do Paryża. Czy sama wiedziała, czego chce, co zamierza? Sylwia spojrzała na nią współczująco i powiedziała:

– Nic ci nie lepiej...

Nie dopytywała się o nic. Anetka, wdzięczna za to, siedziała złamana, milcząca w kącie pokoju siostry, szukając uspokojenia w ciepłe jej obecności. Sylwia chodziła tu i tam po pokoju, pozwalając Anetce, by w milczeniu przysła do siebie. Wreszcie Anetka wstała, by wrócić do domu. Na odchodnym Sylwia ujęła jej skronie w obie ręce, raz jeszcze długo na nią popatrzyła, pokiwała głową i rzekła:

– Jeśli już nie możesz inaczej, to poddaj się. Przestań walczyć! To minie; Wszystko mija.

Złe, dobre i my sami... A zresztą, to wszystko tak mało znaczy!...

Lecz dla Anetki znaczyło to dużo. To nie była tylko sprawa między nią a Filipem. To była sprawa między nią a nią samą. Powrót do Filipa, uznanie się za pokonaną – dałoby jej gorzką rozkosz. Lecz tym, co ją przerażało, była klęska głębsza, bardziej osobista, której była jedynym świadkiem. W sobie samej nosiła śmiertelnego wroga. Od lat całych nie zapominała o nim nigdy, mimo że wołała o nim nie myśleć, przez dumę czy też z ostrożności. Otchłań żą-

dzy i rozkoszy, którą wykopało jakieś poprzednie życie (życie ojca?)... Otchłań ta wciągała wszystko, co było siłą Anetki i dumą jej życia, jej wolą i. zdrowiem jej duszy, ten czysty, swobodny powiew zalewający jej płuca. Mors animae...60 Lecz Anetka, której rozum nie wierzył może w istnienie duszy, nie chciała, by dusza jej umarła.

Przywleczona z powrotem do Paryża ku Filipowi jak jeniec z płaskorzeźb asyryjskich z powrozem na szyi – nie zobaczyła się w Paryżu z Filipem. Uciekała przed nim.

60 Mors animae (łac.) – śmierć duszy.

223

Filip, tak samo opętany przez Anetkę jak ona przez niego, dobijał się do jej drzwi w czasie jej nieobecności. Oburzył go nagły wyjazd Anetki. Nie dopuszczał myśli, by mogła mu się wymknąć. Zażądał adresu. Podano mu adres Sylwii; poszedł do niej. Już od pierwszego spojrzenia wypowiedzieli sobie wojnę. Sylwia zrozumiała. Zbrojna w zawistną nieufność, osą-

dziła Filipa patrząc nań swymi oczyma, nie oczyma Anetki. Uznała, że to człowiek niebezpieczny jako wróg, a bardziej jeszcze jako kochanek, człowiek, który łamie wszystko, co ukocha. Znała ten gatunek ludzi – i nie chciała mieć z nim do czynienia. Filipowi, rozkazującym tonem pytającemu, gdzie jest Anetka, odpowiedziała, chłodno, że nie wie, starając się przy tym, by odgadł, że wie doskonale. Filip silił się ukryć swe rozdrażnienie. Spróbował ją sobie zjednać, ale Sylwia była nadal jak z drewna. Odszedł wściekły.

Nie miał zamiaru szukać Anetki na końcu świata i ani mu przyszło do głowy tłuc się w kurzu gościńców autem do Jouy-en-Josas. Nie szukał Anetki wcale. Nie myślał poświęcać czasu na zbędny pościg. Był pewien, że Anetka wróci. Ale że mu jej brakowało, że pozwoliła sobie zaniepokoić go – i to jeszcze w takiej chwili! – tego nie mógł jej przebaczyć. I uraza jak również wściekła potrzeba odwrócenia myśli pchnęły go znów w objęcia żony. Zbliżenie to było prowizoryczne i dość upokarzające dla tej, która grała rolę zastępczą. Zwrócił się bowiem do niej z braku czegoś lepszego – a czekał na tamtą.

Ale Noemi umiała nie być dumną, gdy wymagała tego jej korzyść. Nie myślała tracić czasu. Ostatnie doświadczenia ukazały jej dawne błędy. Zrozumiała, że chcąc zatrzymać przy sobie mężczyznę, nie wystarczy sama tylko miłość, że trzeba schlebiać jego dumie i jego in-telektualnym maniom. Filip zdumiony był zainteresowaniem, które okazała dla prowadzonej przez niego kampanii, i w ogóle faktem, że postarała się zapoznać z tą sprawą. Domyślał się motywów Noemi, ale bez względu na to, czy zainteresowanie jej było szczere, czy nieszczere

– sprawiało mu ono przyjemność. Z przyjemnością przekonał się o inteligencji żony. Nie kryła jej już obecnie. Tą bronią przecież pokonała ją Anetka. Użyła więc jej broni, i to udo-skonalając ją jeszcze. Nie wtrącała się jak Anetka w osądzanie istoty sprawy. Zostawiła to swemu mężowi i władcy. Sama ograniczyła się do sugerowania mu taktyki najrzęczniejszej prowadzącej do zwycięstwa. Pomysłowość jej wprawiła Filipa w podziw.

Polemikę prowadzono w tej chwili ze skrajną gwałtownością. Noemi, pokonując wstręt i nudę, którą budziły w niej te męskie dysputy, zrozumiała, że powinna śmiało rzucić się w wir walki. Z dowcipną bezczelnością zaczęła podtrzymywać w salonach śmiałe tezy, które mąż jej głosił. Jej wdzięk, jej humor, jej żartobliwa pasja, dowcip gawrosza w połączeniu z żarliwą powagą – gorszyły po trochu, lecz bardzo bawiły. Pozyskała dla sprawy sporo młodych kobiet, zachwyconych, że mogą mienić się wolnymi od przesądów społecznych. Ale zręczna Noemi miała się na bacności, by z przesądami nie

zrywać. Choć w nos im dawała lekceważące szcutki – rezerwowała sobie równocześnie pewną wyrozumiałość w obozie moralności i ludzi przyzwoitych. Z powagą głosiła, że prawo pozwalające ubogim nie mieć dzieci ma swoją przeciwwagę w obowiązku bogatych zaopatrywania w nie Państwa i Społeczeństwa. Aby to powiedzieć, trzeba było mieć niemało tupetu: bo sama w ciągu siedmiu lat małżeństwa nie znalazła czasu na spełnienie” tego obowiązku. Lecz – bohaterska – teraz właśnie czas ten znalazła.

Wkrótce po przyjeździe Anetki Filip dowiedział się o jej powrocie. Próbował zastać ją w domu w godzinach, w których wiedział, że jest sama. Lecz Anetka miała się na baczności.

Drzwi były zamknięte. Mimo urazy i wielu pochłaniających go spraw – namiętność w nim nie przygasła. Opór Anetki wprawiał go w pasję. Nie był człowiekiem, którego łatwo się pozbyć.

Anetka ujrzała go na ulicy o kilka kroków przed sobą. Zbladła, lecz nie próbowała uniknąć spotkania. Podeszli ku sobie. Filip powiedział stanowczo: 224

– Wracasz do domu. Idę z tobą.

– Nie – odrzekła.

Zboczyli na maleńki skwer pod murem kościoła. Kurzem pokryte drzewo ledwo zasłaniało ich przed tłumem przechodniów. Musieli się opanowywać. Filip powiedział cierpko:

– Boisz się mnie.

– Nie – odrzekła. – Siebie.

Filip płonął namiętnością i urazą. Lecz gdy twarde jego spojrzenie spotkało się z nie uchylającym się wzrokiem Anetki, wyczytał w nim siłą woli opanowywane cierpienie. Gniew jego stopniał i Filip zapytał łagodniejszym już głosem:

– Dlaczego uciekaś?

– Bo ty mnie zabijasz.

– Czy nie wiesz, co to znaczy kochać?

– Wiem; i właśnie dlatego uciekam. Boję się, bym cię nie znienawidziła.

– Och, możesz mnie nienawidzić - proszę bardzo! Nienawiść to wciąż jeszcze miłość.

– Nie dla mnie. Nie mogę tego znieść.

– Nie jesteś taka słaba, abyś znieść nie mogła miłości pełnej, wraz z jej dobrem i złem.

– Nie jestem tak słaba, Filipie. Chcę miłości całej i pełnej. Ciałem i duszą. Ale połowy nie chcę.

– Dusza to bzdurstwo.

– Czemuż więc poświęcasz całą swoją energię? Czemu, jeśli nie twojej idei, poświęcasz się, odkąd żyjesz? Wzruszył ramionami:

– Głupstwo!

– Żyjesz nią. Ja także mam swoją ideę. Nie zabijaj jej!

– Czego ty chcesz?

– Chcę, żebyśmy przestali się widywać, dopóki nie zdecydujemy, czy połączymy nasze życia, czy nie.

– Dlaczego?

– Bo ja już nie chcę, nie chcę dłużej się ukrywać. Nie chcę dzielić się tobą. Nie chcę, nie chcę... Ale nie wymieniła najtajniejszego powodu:

(„Gdybym zgodziła się raz jeszcze, to wkrótce nie zostałoby mi dość woli, by móc chcieć inaczej; nie należałabym już do siebie. Stałabym się zabawką, którą się łamie, skalawszy ją przedtem.”)

On, niezdolny zrozumieć tego buntu instynktu, broniącego się przed uległością wobec swych śmiertelnych żądz, wciąż dopatrywał się tu tylko nieufnej kobiecej chytryści, zmierzającej do zapanowania nad nim. Nie powiedział tego.

Nie mogę się obejść bez co prawda, ale i nie starał się ukryć. Gdy Anetka wyczytała tę myśl, gwałtownie zerwała się, żeby odejść. Filip, drżąc z niecierpliwości i z wysiłku, jaki sobie zadawał, by nie zdradzić się przed oczyma przechodniów, chwycił ramię Anetki i ściskając je rzekł, z trudem tłumiąc porywcze akcenty głosu:

– A ja, ja nie chcę, nie chcę wyrzec się ciebie. Chcę cię widywać... Milcz! Nie odpowiadaj mi!... Nie można tutaj rozmawiać. Przyjdę dziś wieczór do ciebie.

– Nie! Nie! – zawołała.

– Przyjdę – powtórzył. ciebie. Ani ty beze mnie. Zbuntowała się:

– Ja mogę.

– Kłamiesz.

Walczyli z sobą, nieruchomi, mówiąc ściszym, porywczym głosem, raniąc się wzajemnie. Mierzyli się oczyma. Wzrok Filipa załamał się. Rzekł błagalnie:

– Anetko!...

Lecz twarz Anetki wciąż jeszcze płonęła; palił ją brutalny zarzut kłamstwa i wstyd, że naprawdę skłamała. Wyprostowała się, uwolniła rękę, którą trzymał – i odeszła.

225

Wieczorem Filip przyszedł. Całą resztę dnia spędziła Anetka w trwodze przed tą chwilą i w obawie, czy wystarczy jej sił, by drzwi zostawić zamknięte. Bo nie chciała raz jeszcze stanąć twarzą w twarz wobec tej bezlitosnej namiętności. Przekonała się, że nie byłaby w stanie żyć nadal z tą żagwią płonąca w jej łonie. Czuła, że musi ją wyrwać, póki ma jeszcze choć trochę energii. Czy miała jej dosyć jeszcze? Kochała go. Kochała ten trawiący ją płomień.

Jutro – być może – pokochałaby hańbę, zniewagi. Wstydziła się wyznać przed sobą, że nawet gdy dziś rano buntowała się przeciw niemu – na dnie tego buntu kryła się rozkosz...

Poznała jego kroki na schodach. Usłyszała dzwonek, lecz nie ruszyła się z krzesła. Zadzwoił powtórnie, zapukał. Anetka, odchylona do tyłu, ze zwisającymi bezwładnie ramionami, powtarzała sobie:

– Nie, nie...

Nawet gdyby chciała wstać, by pójść otworzyć – zabrakłoby jej tchu. Nie słyszała nic wię-

cej. Może odszedł? Zerwała się, nim jeszcze postanowiła to uczynić. Chwiejnie, cichym krokiem prześliznęła się ku drzwiom. Jedna z desek w podłodze zatrzeszczała. Anetka zatrzymała się. Uplłynęło kilka sekund: nikt się nie poruszył. Ale wyczuwała za drzwiami obecność Filipa, który czekał... I Filip wiedział, że Anetka nadśluchuje z tamtej strony drzwi. Ciężka cisza. Śledzili się... Głos Filipa, tuż przy drzwiach, powiedział:

– Anetko, ty tam jesteś. Otwórz! Anetka, oparta o ścianę, czuła, jak serce jej przestaje bić.

Nie odpowiedziała.

– Wiem, że tam jesteś. Nie próbuj się ukrywać! Anetko! Otwórz! Muszę z tobą pomówić.

Przytłumił głos, aby go nie słyszano na schodach; ale fala zmieszanych namiętności dźwi-gała się w nim: niewiele brakło, a zaczęłby szarpać drzwiami.

– Muszę się z tobą zobaczyć. Czy chcesz, czy nie chcesz, wejdę. Cisza.

– Anetko, zraniłem cię dziś rano. Przebacz!... Ja ciebie chcę. Czego żądasz ode mnie? Powiedz, zrobię wszystko... Cisza. Cisza.

Filip zacisnął pięści. Zaduśiłby ją. Z ustami przyciśniętymi do drzwi, zawarczał:

– Jesteś moja. Już nie masz prawa się odebrać. I po chwili:

– Namyśl się dobrze! Jeśli nie otworzysz, to wszystko skończone na zawsze. I znowu:

– Anetko, moja Anetko! Unosi się:

– Podła! Boisz się ze mną spotkać. Silna jesteś tylko za zamkniętymi drzwiami. Zza drzwi odzywa się głos:

– Czemu mnie dręczysz?

Filip milczy, wstrząśnięty.

Znów umęczony głos:

– Drogi mój, szarpiesz mi serce. Filip czuje wzruszenie, ale jego urażona duma nie chce tego okazać. Pyta:

– Czego żądasz?

– Litości – odpowiada Anetka.

Wzruszony jest tonem jej głosu, ale nie rozumie.

– Na cóż ci litość? Ona:

– Zostaw mnie!

Gniew znów w nim zawrzał.

– A więc wypędzasz mnie? – pyta.

– Błagam ciebie o spokój... O spokój!... Zostaw mnie na kilka tygodni samą.

– A zatem już mnie nie kochasz?

– Bronię mojej miłości.

– Przed czym? Przed kim jej bronisz?

– Przed tobą.

– Szaleństwo! Otworzysz mi!

– Nie!

226

– Ja tego chcę. Ja chcę ciebie.

– Nie jestem twoją zdobyczą.

Drżąc z uniesienia, stała wyprostowana i dumna; wzrok jej poprzez drzwi rzucał mu wyzwanie. Choć nie mógł jej widzieć, wzrok ten go dosięgnął.

– Żegnaj! – krzyknął.

Usłyszała, że odchodzi, i krew cała zmroziła się w jej żyłach. On nie przebaczy.

I nie przebaczył. Filip nie powrócił więcej.

Anetka powtarzała sobie:

„Tak było trzeba, tak było trzeba...”

Ale nie mogła się z tym pogodzić. Chciałaby zobaczyć raz jeszcze Filipa, wytłumaczyć mu łagodnie (ach, czemuż się uniosła?), że nie odchodzi od niego, że zazdrośnie broni swej miło-

ści – ich miłości – i wspólnej ich dumy, którą on poniewierał brutalnie i nieświadomie. Pragnęła, aby dane im było obojgu skupić się, wyrwać z tego strumienia namiętności, który toczył ich wraz z pianą swoją i błotem – i wtedy dopiero, w pełnej wolności, rozsądzić i rozstrzygnąć. I jeżeli miał ją wybrać, żeby uszanował w niej swoją żonę i siebie samego...

Lecz Filip nie przebaczał, gdy kochana przez mego kobieta przeciwstawiła się jego woli.

Gdyby należała do innej klasy społecznej, byłby ją wziął przemocą. Więziony przez swoją klasę, zmuszony był liczyć się z tym światem, nad którym pragnął zapanować, i urażona jego namiętność przeobraziła się w gniewną jej negację: nie mogąc zniszczyć kobiety, pragnął

zniszczyć uczucie, które miał dla niej! To także był sposób – wiedział o tym – ugodzenia w jej serce. Bo instynkt jego mówił mu, że mimo wszystko Anetka go kocha...

Po trzech miesiącach palącej samotności, gorzkich i pełnych udręki rozmów z sobą samą, po trzech miesiącach wyrzeczenia i nadziei, dumy, upodzeń, wyrzutów sumienia, po trzech miesiącach nieuleczalnego i jałowego czekania – Anetka pewnego dnia dowiedziała się od rozradowanej Solange o szczęśliwym spełnieniu pragnień małżeństwa Villard: Noemi spodziewała się dziecka.

Anetka byłaby chciała szukać ucieczki u swego dziecka, ukryć zboląłą głowę pod skrzydła miłości, która – jak mówią – nie zawodzi nigdy: miłości syna do matki. Niestety! Zawodzi ona tak jak inne. Anetka ze strony Marka nie mogła oczekiwać żadnych oznak czułości ani nawet zainteresowania. Nigdy chłopiec nie zdawał się bardziej zimny, oschły, obojętny. Nie dostrzegał wcale trosk wyniszczających jego matkę. Oczywiście starała się ukryć je przed nim. Ale przecież tak źle je ukrywała! Mógł je wyczytać w oczach jej pogłębionych bezsennością, w bladości twarzy, w wychudzeniu rąk, w całym jej ciele trawionym okrutną namiętnością. Nie wyczytał nic. Nie patrzył nawet na nią. Sobą tylko był zajęty. A co się w nim działo, chował dla siebie samego. Matka

widziała go tylko w godzinach posiłków, przy któ-

rych nie odzywał się ani słowem. Starła się nawiązać rozmowę, lecz on z tym większym uporem zacinał się w swoim milczeniu. Zaledwie mogła uzyskać, żeby z początkiem i koń-

cem dnia mówił dzień dobry i dobranoc: uznał te formy za pretensjonalne i godził się na nie (nie codziennie!) tylko dla świętego spokoju. Pośpiesznie nadstawiał ustom matki znudzone czoło i jeżeli nie wychodził do szkoły lub w swoich osobistych sprawach (niełatwo było skłonić go, by się z nich wypowiedział) – zamykał się w swojej pracowni, rupieciarni nie większej niż szafa, ściśniętej między jego sypialnym pokojem a jadalnią; i tam niebezpiecznie byłoby 227

go niepokoić. Przy stole w domu robił wrażenie kogoś obcego. Anetka mówiła sobie z goryczą:

„Gdybym umarła nie zapłakałby nawet.”

I przypominała sobie dawny sen o kochanym małym towarzyszczu poczętym z jej krwi, tulą-

cym się do niej, bez słów odgadującym, dzielącym z nią wszystkie tajemnice serca. Jakże mało w nim było tkliwości! Czemuż był taki twardy? Zdawałoby się chwilami, że ma do niej żal. Lecz za co? Czy za to, że zanadto go kocha?

„Tak, to jest moją chorobą, że kocham zanadto! Nie należy kochać nadmiernie. Ludzie nie potrzebują tego. Zawadza im to... Mój syn mnie nie kocha! Aż drży z pragnienia, żeby mnie opuścić... Mój syn, a tak mało mój! Nie odczuwa nic z tego, co ja czuję! W ogóle nic nie czuje...”

W tych właśnie dniach serce małego Marka rozświetlone było miłością i poezją. Do szaleństwa zakochał się w Noemi. Była to jedna z tych dziecinnych miłości, bezsensownych i pożerających. Dziecko nieomal nie wie, czego chce od kobiety: czy pragnie widzieć ją, czy czuć jej bliskość, czy dotykać jej, czy skosztować? I z pewnością nie domyśla się wcale, co znaczy ją posiadać. Samo jest w jej posiadaniu. Marek omdlewał niemal, gdy do małej rączki, którą doń wyciągała Noemi, przytykał swe wargi i czubek nosa, tego łakomego nosa, którym jak młody pies węszył na delikatnym kwiecie ręki odurzająco tajemniczą słodycz kobiecego ciała. Cała ona zdawała mu się żywym kwiatem, owocem żywym. Umierał z pragnienia wbić w nią – bardzo delikatnie – swych zębów, jak i ze strachu, że mógłby ulec tej pokusie. I pewnego razu (o wstydzie!) uległ... Cóż stanie się teraz? Zaczerwieniony i drżący, oczekiwał

najgorszych klęsk, jak publiczne upokorzenie, słowa Pełne oburzenia, haniebne wypędzenie z domu. Ale ona roześmiała się głośno i powiedziała mu:

– Ty psiaczku!

Dała mu klapsa po uchu i parokrotnie potarła mu nos o ukąszone miejsce, mówiąc:

– Przepróż! Ty brzydalu!

Od tej chwili wpadła na pomysł igrania z młodym zwierzątkiem. Nie miała nic złego na myśli. Ale i nic dobrego. Bawiła się drażnieniem zakochanego malca. Nie miało to dla niej najmniejszego

znaczenia i nie wyobrażała sobie wagi, jaką to miało dla dziecka. Ale chłopiec (jakżeż on był, mimo pozorów, nieodrodnym synem Anetki!) wziął to tragicznie.

Od dnia gdy ją pierwszy raz ujrzał, stała się dla niego rajem zakazanym, tym cudnym mi-razem kobiety, który jawi się nie rozbudzonym jeszcze oczom niewinnego dziecka. Na fascynujący ten obraz składa się zarówno to, co jest, jak i to, czego nie ma, to, co dziecko widzi, i to, czego nie widzi, to, czego ono nie wie, to, czego się lęka i pragnie, to, czego chce i nie chce – a także straszliwy pociąg, co spręży młodzieńcze ciało na brutalny i ekstatyczny zew natury. Być może z rysów Noemi chłopiec nie widział dokładnie żadnego. Ale każdy jej rys i każdy ruch, fałdy jej sukni i pukle jej włosów, jej zapach, głos i błyski oczu – wszystko sprawiało, że z głębi jego spragnionego ciała i serca szaleńczo zrywały się nagłe fale radości i nadziei, okrzyki szczęścia i potrzeba płaczu.

W tym samym dniu, kiedy wobec zgnębionej Anetki był twardy, wrogi i oziębły, a ona niezręcznym naleganiem usiłując dociekać przyczyn tego chłodu i wydrzeć mu bodaj jedno jedyne serdeczniejsze słowo, doczekała się tylko raniącej odpowiedzi – w tym właśnie dniu chłopiec przeżywał najbardziej wzruszającą rewelację czarownego snu. Od tygodnia żył stale w upojeniu. Noemi, z którą – bez wiedzy swej matki – widywał się w dalszym ciągu, a która posługiwała się nim jak szpiegiem informującym ją niewinnie o wszystkich ruchach nieprzy-jacielskiego obozu – Noemi, którą zastał raz w jej salonie, nie przerywając rozmowy i przeglądając się w maleńkim lusterku ukrytym w chustce do nosa, umalowała dla zabawy swoją pomadką jego blade wargi. Poczul wtedy na ustach smak ukochanych ust. Odtąd chował go na języku, smakował go, czuł się nim przeniknięty. Ten czerwony owoc granatu, te usta stale rozchylone o uniesionej nieco górnej wardze, za krótkiej czy też zbyt ruchliwej, by mogła 228

złączyć się z drugą, jak wiśnia mięsistą wargą – te usta wciąż widział owego ranka, kiedy brutalnie trzasnąwszy drzwiami wychodził z mieszkania matki, postanawiając pójść na węgry; te usta rozkwitały nieustannie w sadzie obłoków lipcowego nieba, w rozigranej wodzie fontanny, w roztargnionym uśmiechu przechodzących kobiet. Pożerały jego umysł.

Szedł przed siebie, z odsłoniętą głową, a wiatr rozwiewał jego jasne włosy. Ale mimo że roztargniony i bez reszty zaabsorbowany swym szaleństwem, dostrzegł i poznał swym rysim wzrokiem nadchodzącą przeciwległym trotuarem ciotkę Sylwię. Co prędzej uskoczył w boczną ulicę; nie miał wcale ochoty spotkać się z ciotką. Nie z obawy, aby go nie przyłapała na wagarach: byłaby raczej skłonna śmiać się z tego. Tylko że gdy miał przed nią jakiś sekret (to nie było tak jak z matką!) – nie czuł się nigdy pewny. Instynkt mówił mu, że ciotka Sylwia jest mistrzem w przenikaniu tego rodzaju sekretów.

Nie zauważyła go. Odetchnął z ulgą. Będzie mógł przez cały ranek rozkoszować się swoją miłością. Próżniaczym krokiem – miłość nie przeszkadzała mu w przystawaniu przed wysta-wami sklepowymi dla przypatrzenia się jakiejś krawatce, laseczce lub ilustrowanemu pismu –

zmierzał nieświadomie prosto do celu; tak jak te gołębie paryskie, które co rana lecą ponad stłoczonymi, brudnymi domami szukając wielkich ogrodów i świeżego cienia starych drzew.

Chłopiec szukał ich także. Potrzebny mu był ten cień, to gruchanie.

Zszedł z Góry Św. Genowefy i zanim spostrzegł, że tu właśnie chciał przyjść, znalazł się u wylotu starych, ludnych ulic, w jasnych, cichych przestrzeniach Jardin des Plantes.

Mało ludzi było tu o tej porze. Gdziekolwiek rzadcy przechodnie. W dali gwar Paryża jak huczenie bąka. Chłopiec znalazł ławkę ukrytą w grupie drzew i przyknuł oczy Pograżając się w kontemplowaniu swego skarbu. Młodzieńczo długie, nerwowe jego ręce, przyciśnięte do piersi zdawały się osłaniać serce przed niedyskretnymi spojrzeniami.

Cóż krył w nim tak drogiego, że zaledwie śmiał o tym Pomyśleć? Jedno słowo Noemi, z którego zbudował sobie świata które ona wypowiedziała bezmyślnie. Tego dnia, któ-

rym widział ją po raz ostatni, Noemi, zaledwie zwraca jąć uwagę na obecność malca, od niechcienia rzucała mu roztargnione uśmiechy, podczas gdy uwagę jej pochłaniały wielkie wydarzenia (Filip odzyskany, Anetka upokorzona, ostateczne zwycięstwo!... „Ale nigdy wiedzieć nie można! Nic nie jest definitywne. Trzeba zadowolić się dniem dzisiejszym!”). Westchnęła ze zmęczenia, zdenerwowania i zadowolenia. Marek zapytał ją, czemu wzdycha. Oderwana od swych rozmyślań zaniepokojonym, naiwnym spojrzeniem dziecka, odrzekła chcąc go zaintrygować:

– To sekret...

I głębiej jeszcze westchnęła. Marek zapytał;

– Jaki sekret?

Złośliwa myśl przeszła przez głowę Noemi.

– Nie mogę tego powiedzieć – odparła. – Sam musisz zgadnąć.

Drżąc ze wzruszenia powiedział:

– Nie wiem. Niech mi pani powie!

Powieki jej zatrzepotały nad omdlewającymi oczyma.

– Nie, nie, nie...

Marek czerwienił się i jękał, bał się tego, czego miał się dowiedzieć. Przeciągając swą grę Noemi przybrała tajemniczy wyraz twarzy i zapytała:

– Czy chcesz wiedzieć?

Wzruszony, był niemal gotów krzyknąć:

„Nie!”

– A zatem... Nie, nie dzisiaj!... Powiem ci to innym razem.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Wkrótce – to kiedy?

229

– Wkrótce. Za tydzień, gdy przyjdiesz na obiad. Tydzień już minął. Marek myślał: „Zobaczę ją dziś wieczór.” Żył już tylko oczekiwaniem tej chwili. Ze dwadzieścia razy przeżył ją naprzód w wyobraźni. Nigdy nie ośmielił się domyśleć jej do końca. To było zbyt przejmują-

ce... Ale jakże słodko było tak trwać w zawieszeniu! Na ogrodowej ławce omdlewał z tęsknoty. Jakiś dzwon obwieścił południe. Za firanką drzew piasek alei zaskrzypiał pod stopami małej dziewczynki, która szła śpiewając. Gdzieś dalej, w jakiejś klatce, egzotyczne ptaki świergotały coś w swej dziwacznej, wruszającej mowie. Daleko na Sekwanie przeciągle wyła syrena holownika. Nie dostrzegając Marka dwoje kochanków przeszło cicho, powoli koło niego. Szli obejmując się: ciemnowłosa dziewczyna i młody, blady robotnik; całowali się w usta i pożerali oczyma. Chłopiec, wstrzymując oddech, odprowadził ich wzrokiem aż do zakrętu alei, a gdy znikli, zaszlochał ze szczęścia. Ze szczęścia, które przeszło obok niego. Ze szczęścia które nadejdzie. Ze szczęścia, które było w nim i we wszystkim dokoła – w tym południu lipcowym i we własnym jego sercu gorejącym, ogarniającym to wszystko.

Wrócił do domu w aureoli tej ekstatycznej chwili. Sięgała ona daleko poza obraz kobiety, która ją rozjarzyła: cień Noemi roztapiał się w powodzi złota; i aby widzieć ją jeszcze, musiał

tego chcieć. Marek chciał, ale mu umykała: oszukiwał się udając sam przed sobą, że rozpo-znaje ją pod postacią tego szczęścia, aż bolesnego w swym nasileniu, w ogromie bezkresnych nadziei, bohaterskich postanowień i owej siły i dobroci, wypełniających duszę chłopca i niosących go jak na skrzydłach, gdy pędem wbiegał na piętro przeskakując po cztery schody na raz. Ale zaledwie spotkał się z surowym spojrzeniem matki (o trzy kwadransy spóźnił „się na drugie śniadanie) – aureola zgasła. I znów okrył go posępny obłok milczenia.

Anetka nie próbowała z nim rozmawiać. Miała swe własne brzemie trosk, których z nikim nie mogła podzielić. Jej syn, naprzeciw niej siedzący przy stole, wydawał się jej egoistyczny i daleki. Jadł żarłocznie. Miał dobry apetyt i pilno mu było skończyć, by móc znowu zanurzyć się w swoich rojeniach. Anetka myślała: „Nie jestem dla niego niczym innym jak tylko żywi-cielką.”

Nie miała już nawet siły protestować. Była opuszczona. Pod koniec posiłku Marek spostrzegł, że nie powiedział dotąd ani słowa. Poczł jakiś niejasny wyrzut sumienia, ale bał się, że gdy przemówi, matka zacznie go wypytywać. Źle złożoną serwetkę wepchnął w kółko, wstał pośpiesznie i uważając, by w przelocie nie spotkać się ze spojrzeniem matki, wyszedł...

a raczej chciał wyjść, gdy nagły impuls... Zapytał (był tego pewny, skoro Noemi sama mu to powiedziała, ale pragnął, by potwierdzono mu jeszcze to, co wiedział):

– Dziś wieczór jesteście na obiedzie u Villardów?

Anetka, siedząc jeszcze przy stole, nieruchoma w swym smutku, odrzekła nie patrząc na niego:

– Nie zapraszali.

Marek zatrzymał się na progu, zaskoczony:

– Jak to! Słyszałem!...

– Od kogo słyszałeś?

Chłopiec, zmieszany, nic nie odrzekł: Anetka nie wiedziała o jego wizytach u Noemi. Pytanie matki odsunął pośpiesznie innym pytaniem.

– To w takim razie kiedy? – nalegał, zawiedziony. Anetka wzruszyła ramionami. Nie było już mowy o obiadach u Villardów! Noemi żartem powiedziała „Za tydzień” – tak jak mogła-by powiedzieć: „Na święty nigdy”.

Marek puścił klamkę i wrócił, zaniepokojony. Anetka spojrzała na niego, dostrzegła jego rozczarowanie i rzekła:

– Nie wiem.

– Jak to! Nie wiesz?

– Villardowie wyjechali – odpowiedziała. Marek krzyknął:

– Nie!

230

Anetka jakby nie słyszała, Marek położył niecierpliwą dłoń na rękach matki, wyciągniętych na stole, i rzekł błagalnie:

– To nieprawda?

Anetka, budząc się z odrętwienia, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Ale dokąd? Dokąd? – krzyczał Marek, przerażony.

– Nie wiem – odrzekła matka.

Zabrała naczynia i wyszła.

Marek pozostał jak błędny wobec ruiny swego snu. Nie rozumiał... Ten nagły, nie zapowiedziany wyjazd... To niemożliwe! Poruszył się, aby biec za matką i wydrzeć jej jakieś wyjaśnienia. Ale

nie!... Zatrzymał się... Nie, to nieprawda! Rozumiał teraz... Anetka dostrzegła jego miłość. Chciała ich rozłączyć. Ona kłamie, kłamie! Noemi nie wyjechała... I poczuł nienawiść do matki.

Wymknął się z mieszkania, zbiegł pędem ze schodów i poszedł, popędził z bijącym sercem do Villardów. Chciał się upewnić, że nie wyjechali. I rzeczywiście byli na miejscu. Służący oświadczył, że pan przed chwilą wyszedł, pani zaś czuje się zmęczona i nie przyjmuje. Marek mimo wszystko kazał prosić o chwilę rozmowy. Służący powrócił:

„Pani bardzo żałuje, ale to niemożliwe.” Chłopiec zaczął gorączkowo nalegać: „Musi widzieć się z nią, bodaj chwilę, do powiedzenia bardzo ważne rzeczy.” A tymczasem mówił

rzeczy niepowiązane, łamiącym się, zdławionym głosem, gestykulując niezgrabnie, czerwieniąc się, niemal płacząc. Pod zaciekawionym i drwiącym spojrzeniem niewzruszenie spokojnego lokaja gubił wątek myśli. Poczul się popchnięty ku drzwiom; postawił się głupio, krzycząc, że nie pozwala, by go dotykano: służący powiedział mu, żeby zmykał – i jeśli nie za-milknie, to zatelefonuje do dozorczy, żeby go sprowadził ze schodów... Drzwi zamknęły się za jego plecami. Zawstydzony i wściekły, stał na progu, nie mogąc zdecydować się odejść. Lecz gdy tak machinalnie opierał się o drzwi, poczuł, że są nie domknięte i ustępują. Popchnął je i wszedł z powrotem. Za wszelką cenę chciał dotrzeć do Noemi. Przedpokój był pusty. Wiedział, gdzie jest pokój Noemi, i wśliznął się do korytarza. Z wnętrza pokoju dosłyszał głos Noemi. Mówiła do służącego:

– Dosyć tego! Nudzi mnie ten smarkacz. Dobrześ zrobił, żeś mu utarł nosa!

Znalazł się znów na schodach. Uciekał. Płakał, zgrzytał zębami, był jak obłąkany. Dusząc się usiadł na stopniu schodów. Nie chciał, by na ulicy widziano, że płacze. Otarł łzy i sztucznym spokojem przesłaniając wściekły ból, ruszył bezwiednie w powrotną drogę do domu. Był

zrozpaczony. Chciał umrzeć, umrzeć! Życie było niemożliwe. Było zbyt wstrętne, zbyt niskie, kłamliwe. Wszystko jest kłamstwem! Tchu mu brakło. Przechodząc mostem pomyślał o rzu-ceniu się do Sekwany, ale uprzedził go już jakiś inny nieszczęśnik. Skarpy były czarne, jak gdyby obsiadły je muchy. Z tysiąc osób – mężczyzn, kobiet, dzieci – przechylonych przez balustradę mostu, chciwie patrzyło, jak wyciągają topielca. Jakie uczucie ich tu pchało? Bardzo nielicznych sadystyczny dreszcz. Dość nielicznych – litość. Olbrzymią większość – urok sensacji, próżniacza ciekawość. Dużą ilość, być może – zwrócenie myśli ku sobie: widzieć, jak się cierpi („jak sam mógłbym cierpieć”), widzieć, jak się umiera („jak ja umrę”). Marek dostrzegł tylko niską ciekawość i poczuł do niej odrazę. Zabić się: tak, ale nie na oczach wszystkich! Był podobny do Anetki. Miał dziką wstydlivość dumy; nie chciał z siebie robić widowiska dla tej hołoty, nie chciał dać się obmacywać ich rękami ani być bezczeszczonym w swej nagości brudnymi ich spojrzeniami. Zaciął zęby i pobiegł do domu prędko, czym prę-

dziej, zdecydowany się zabić.

W ciągu poszukiwań, które w czasie nieobecności matki skrupulatnie przeprowadzał w całym mieszkaniu, znalazł pewnego razu rewolwer. Był to rewolwer Noemi, który Anetka po jej odejściu podniosła z podłogi i zbyt beztrosko włożyła do jakiejś szuflady. Przywłaszczył

go sobie i schował. Obecnie decyzja była powzięta. I tak jak dziecko, u którego gdy tylko nadarza się sposobność, czyn idzie w ślad za myślą – Marek chciał natychmiast wykonać swe 231

postanowienie. Wróciwszy do mieszkania równie cicho jak wyszedł, zamknął się w swoim pokoju i odbezpieczył rewolwer, jak tego nauczył się od swego kolegi z liceum, trochę od siebie starszego, który obnosił w kieszeni jedną z tych niebezpiecznych zabawek i podczas lekcji greki, w głębi teczki zwisającej mu między kolanami, objaśniał sposób użycia uważ-

nym sąsiadom. Teraz broń była gotowa. Marek przygotowywał się do strzału... W jakiej pozycji? Chodzi o to, żeby nie chybić. Tu, na stojąco, przed lustrem. Ale potem... Jak będzie z upadaniem?... Raczej tutaj, siedząco, z łokciami na stole i z lustrem naprzeciw... Zdjął lustro ze ściany, postawił je na stole i podparł słownikiem. Tak. Teraz widział się dobrze. Ujął rewolwer i przyłożył... Gdzie? Do skroni; powiadają, że tak jest najlepiej... Czy bardzo będzie to boleć? Ani razu nie pomyślał o matce. Bez reszty zajęty był swą namiętnością, cierpieniem, przygotowaniem... Wzruszył go widok własnych oczu w lustrze... Biedny Marek!... Doznał

potrzeby wypowiedzenia, rozgłoszenia, zanim istnieć przestanie, co ucierpiał od świata i jak światem tym gardzi. Doznał potrzeby zemśczenia się, pozostawienia żalu, wzbudzenia podziwu... Wyszukał duży arkusz papieru, złożył go krzywo (śpieszył się) – i swym niepewnym pismem dziecka, starającego się pisać poprawnie, napisał:

„Nie mogę już żyć, bo ona mnie zdradziła. Wszyscy ludzie są źli. Nie kocham już nic, więc wolę umrzeć. Wszystkie kobiety kłamią. Są podłe. Nie umieją kochać. Gardzę nią. Proszę, aby mnie pochowano z tą kartką: «Umieram dla Noemi».” Przy tym droгим imieniu zapłakał przyciskając chustkę do ust, aby nie szlochać głośno.

Otarł łzy, odczytał swoje słowa i poważnie pomyślał:

„Nie powinienem jej kompromitować.”

Podarł kartkę i zaczął na nowo. Zrozpaczone słowa mimo jego woli wlatywały jak race.

Doszedłszy do zdania:

One nie umieją kochać” – ciągnął dalej:

„Ja umiałem – i umieram.”

Wśród swej boleści uczuł wielkie zadowolenie z tego zdania; niemal pocieszyło go ono.

Skłoniło go to do dobroci dla tych, którzy pozostają, i wspaniałomyślnie zakończył:

– „Przebaczam wam wszystkim.”

Położył swój podpis. Kilka sekund jeszcze i wszystko będzie skończone: będzie wyzwolony; i już naprzód widział, jak piękny będzie efekt!

Lecz w momencie gdy starannie przeciągał raz jeszcze piórem dziecinny zakrętas, w miejscu gdzie brakło atramentu, drzwi otworzyły się nagle za jego plecami. Zaledwie zdążył zakryć ramionami broń i papiery. Anetka ujrzała tylko lustro ustawione na słowniku i pomyśla-

ła, że Marek jest w trakcie podziwiania się. Nie zrobiła żadnej uwagi. Wyglądała na strasznie zmęczoną i rzekła głosem cichym, jak gdyby wyczerpanym, że zapomniała kupić mleka do obiadu i że Marek byłby bardzo miły, gdyby poszedł po nie, aby oszczędzić jej trudu chodzenia tam i z powrotem na czwarte piętro. On, zajęty tylko jedną myślą, aby nie dostrzegła tego, co zakrywał ramionami, nie chciał się poruszyć. Odpowiedział szorstko, że nie ma czasu: jest zajęty. Anetka ze smutnym uśmiechem zamknęła drzwi i poszła.

Słyszał, jak powoli schodziła po schodach (robiła wrażenie złamanej). Poczł wyrzuty sumienia. W sercu pozostał mu zmęczony wyraz jej twarzy i ton głosu... Szybko rzucił rewolwer do szuflady, ukrył pod stosem książek swe „Pożegnanie z życiem” i wybiegł z mieszkania. Wpadł na matkę na schodach i krzyknął jej szorstkim tonem, że pójdzie ją wyręczyć.

Anetka zawróciła z cokolwiek lżejszym sercem. Pomyślała, że jednak dziecko nie jest tak złe, jak na to wygląda. Ale cierpiała z powodu jego szorstkości, jego kanciastości. Boże! Jakże mało był czuł!... Tym lepiej dla mego! Biedny mały, mniej będzie cierpiał w życiu...

Gdy Marek wrócił, zapomniał już zupełnie o zamiarze samobójstwa. Bez przyjemności odnalazł na stole niewystarczająco ukryty sławetny „Testament”. Pośpiesznie schował go na dnie jakiejś teczki. Odsunął ciężącą myśl. Czł teraz, jak okrutną byłoby to podłością wzglę-

dem matki której zdrowie zaczynało go niepokoić. Ale trosce tej dał bardzo niezręczny wy-232

raz; nie umiał zapytać matki, a ona nie miała mu odpowiedzieć. Przez fałszywie zrozumianą miłość własną nie chciał okazać swego szczerego niepokoj. Wyglądało to, jak gdyby z nadą-

saniem czynił zadość obowiązkowi uprzejmości. A ona, jak on dumna, nie chciała go niepokoić i zmieniła temat rozmowy. Wtedy oboje z powrotem zapadli w milczenie. Uwolniony od niepokoj, Marek poczuł się w prawie mieć pretensje do matki: przecież poświęcił dla niej swoje samobójstwo... Dobrze wiedział, że nie ma już na nie najmniejszej ochoty, ale czuł potrzebę zemśczenia się za to, co przecierpiał. Gdy nie możemy zemścić się na innych, mścimy się na matce: ona jest zawsze blisko, pod ręką; i ona nie odpowiada tym samym.

I tak trwali, jak gdyby odgradzeni murem, każde zajęte swoim smutkiem. Marek, któremu ciężyc zaczął własny smutek, czuł wzrastającą niechęć do smutku Anetki Z ulgą usłyszał

dzwonek u drzwi wejściowych (poznał sposób dzwonięcia) obwieszczający przyjście ciotki Sylwii. Przyszła, aby go zabrać na występ Izadory61: nagle zapaliła się do tańca. Na przekór obowiązkowi, do którego, jak sądził, winien się” poczuwać, zachowania w swej duszy i na twarzy (przede wszystkim na twarzy) piętna przebytej próby – nie zdołał ukryć radości na myśl, że wymknie się z domu. Pobiegł się ubrać zostawiając drzwi otwarte, aby nic nie stracić z wesołych opowiadań ciotki, która ledwo przyszedłszy już zaczynała jakąś frywolną aneg-dotkę. I Anetka, mimo zgnębienia siląca się na uśmiech, pomyślała:

„Czyż to możliwe, że to ta sama kobieta, która rok temu wyła z rozpaczyny nad ciałem swego dziecka? Czy zapomniała?”

Nie zazdrościła jej owej giętkości. Ale śmiech syna, odpowiadający z drugiego pokoju żartom Sylwii, świadczył o niemiejszym darze zapominania. I Anetka, bolejąc nad tym jako nad brakiem serca, nie zdawała sobie sprawy, że i ona sama posiada ten dar cudowny i okrutny. Gdy Marek ukazał się, promienny i gotowy do wyjścia, nie potrafiła tak opanować wyrazu twarzy, aby ukryć surową dezaprobatę. Marka dotknęło to bardziej niż słowa nagany. Zemścił

się doprowadzając swoją wesołość do przesady. Zachowywał się hałaśliwie i tak pilno mu było odejść, że aż zapomniał pożegnać się z matką. Pomyślał o tym, gdy już wyszedł. Czyby nie wrócić? Mniejsza z tym! Dąsał się na nią. Poczł ulgę, zostawiwszy za sobą tę twarz peł-

ną wyrzutu, a zwłaszcza ten smutek, tę deprymującą atmosferę, którą w domu wyczuwał – i te żenujące ślady swych całodziennych wzruszeń. Cóż za ogromny dzień! Wielki jak świat! W

kilku godzinach więcej niż jedno życie – szczyt radości i dno rozpaczyny... To brzemie wzruszeń powinno było go zmiażdżyć. Ale na giętkim młodzieniaszku nie zaważyło to więcej niż ptak na gałęzi. Ptak odlatuje, gałąź prostuje się i tańczy na wietrze. Odleciały radości i smutki ubiegłego dnia! Zostało po nich tylko marzenie. Chłopiec zaciera je pośpiesznie, by móc przeżywać nowe radości i smutki.

Lecz Anetka, nie mogąca wiedzieć, co on przeżywa, Anetka, która jak on była naturą namiętą, sprowadzała wszystko do siebie; i słyszając jego śmiech oddalający się na schodach, odczuła jak cios w samo serce tę radość, z którą syn ją opuścił. Myślała, że ją nienawidzi. Bo namiętność jej zawsze przesadzała we wszystkich kierunkach. Myślała, że jest mu ciężarem.

Tak, to było widoczne. On dążył do pozbycia się jej. Będzie szczęśliwy, gdy ona umrze...

szczęśliwy! Ona też. Przeszyła ją niedorzeczna myśl, że jej syn, jej maleniu mógłby pragnąć jej śmierci... (Czy niedorzeczna? Któż może wiedzieć? W głębi serca, w chwilowym obłąkaniu, któreż dziecko nie zapragnęło śmierci swej matki?) Przerazenie spowodowane tym wy-czuciem, a godzące w Anetkę w chwili, gdy już tylko słabnącą ręką trzymała się życia – stało się dla niej śmiertelnym ciosem.

Przez dzień cały szalone nawroty namiętności pustoszyły jej duszę. Kiedy powzięła decyzję i wykonała ją, kiedy dopełniło się to, co nieodwołalne, kiedy spełniła narzucony swej woli obowiązek – brakło jej sił, by wytrzymać natarciu wewnętrznego wroga. A wróg zwałił się na nią jak potężna fala.

61 Duncan Izadora – słynna tancerka amerykańska (1887 – 1927); występy jej w Paryżu cieszyły się wielkim powodzeniem.

Była z nim w znowie. Sama otworzyła mu bramy. Gdy już wszystko stracone, człowiek ma chyba

prawo sycić się swoją rozpaczą! Cierpienie moje moją jest tylko sprawą. Niech je mam całe dla siebie! Krwaw, krwaw, moje serce! Niechże cię ranię zmuszając patrzeć na to, coś straciło! Filip... Był wciąż tutaj... Przed nią. Obraz był tak wyrazisty, że Anetka widziała Filipa, mówiła z nim, dotykała go... To był on – i wszystko, co w nim kochała, urok wszystkich podobieństw i przeciwieństw, antagonistyczny związek płonący dwoistym płomieniem miłości i walki. Uścisk i walka: to jedno. I ten iluzoryczny uścisk był tak cielesnie gwałtowny, że opętana miłością omdlewała jak Leda w uścisku łabędzia. Rzeka namiętności odpływała wśród rozpacz. Wtedy zjawily się te śmiertelne lęki, nie obce życiu żadnej kobiety stworzonej do miłości, a której odmówiona została przypadająca jej część – na tym zakręcie lat, kiedy kobieta, widząc, jak jej miłość ginie, myśli, że to umiera Miłość. Tej nocy, gdy Anetka, opuszczona przez syna, została w swym pokoju sam na sam ze swoją okaleczoną namiętnością, a zgłodniałe jej serce cierpiało męki konania, natarczywa myśl o miłości straconej na zawsze, o życiu straconym bez miłości, nieustannie trzymała ją za gardło, nie dając chwili wytchnienia; odpędzana, wracała natrętnie. Anetka daremnie próbowała zająć cokolwiek swój umysł, brała jakąś robotę, odrzucała ją, wstawiała, to znów siadała z głową opartą na stole i załamanymi rękoma. Uporczywa myśl doprowadzała ją do szaleństwa. Anetka doszła już do tego stopnia cierpienia, kiedy kobieta, by wymknąć się samej sobie, gotowa jest do najbardziej obłądnych czynów. Zdając sobie sprawę, że bliska jest pomieszczenia zmysłów, odczuła w swym rozgorączkowaniu jakby dziki poryw, okropną chęć zejścia na ulicę i oddania się w pasji sponiewierania, zniszczenia swego udręczonego ciała i serca – pierwszemu napotkanemu mężczyźnie. Gdy uświadomiła sobie tę potworną myśl, aż krzyknęła z odrazy. Lecz odraza ta sprawiła, że nikczemna myśl nie chciała już ustąpić. Wtedy, tak jak syn, pomyślała o samobójstwie. Wiedziała, że nie zapanuje nad swym opętaniem.

Wstała i szła w stronę drzwi, lecz by do nich dojść, musiała przejść koło otwartego okna.

Zdecydowała, że gdy tam dojdzie, rzuci się. Kierowana przedziwnym instynktem czystości, chciała duszę uchronić przed zbrukaniem! Tę duszę, która jest tylko złudzeniem! Rozum Anetki nie dawał się oszukać zwykłej moralności. Ale instynkt był silniejszy i widział jaśniej.

Pochłonięta podwójną obsesją – drzwi i okna – na nic wkoło siebie nie zwracała uwagi. Idąc ku oknu, gwałtownie uderzyła się w brzuch o ostry róg kredensu. Ból był tak silny, że aż pozbawił ją tchu. Zgięta we dwoje, przyciskając rękami uderzone miejsce, czuła gorzkie, mściwe zadowolenie, że właśnie w brzuch została ugodzona. Chciałaby zmiażdżyć w swoim cielesnym ślepego pijanego władcę, boga-tygrysa. Potem nastąpiła reakcja. Gdy opadła na niski fotel, wciśnięty między kredens i okno, zabrakło jej sił. Ręce jej były jak lód zimne, a twarz spocona. Nierówne uderzenia serca ustawały. Czując, że leci w przepaść, myślała tylko jedno:

„Oby prędzej! Prędzej!”

Zemdlała.

Gdy znów otwarła oczy (Kiedyż to było? Po kilkunastu sekundach?... Otchłań...) – miała głowę w tył odchyloną jak na pieńku katowskim, szyję opartą na parapecie okna, ciało leżało jak przedtem, wciśnięte w róg pokoju. Otwierając oczy ujrzała nad ciemnymi dachami, na tle lipcowej nocy –

gwiazdy... Jedna z nich przeszywała ją swym boskim spojrzeniem...

Cisza była niepojęta, bezbrzeżna jak równina. A jednak tam w dole, na ulicy, huczały po-jazdy. W kredensie dźwięczały szklanki. Nie słyszała... Zawieszona między niebem a ziemią... „Lot bezszelestny...” – „Wciąż jeszcze nie rozbudzona...” Opóźniała tę chwilę. Bała się, że odnajdzie z powrotem wszystko, co pozostawiła: straszliwe zmęczenie, udrękę, sidła kochania – miłość, macierzyństwo – zaciekły egoizm przyrody, 234

która nie dba o mój ból! Która .czyha na me przebudzenie, aby mi zmiażdżyć serce... Obym nie zbudziła się więcej!

A jednak obudziła się. I ujrzała, że nie, ma już wroga. Nie było już rozpaczy... Czy nie było? Tak, była jeszcze. Ale nie była już w niej. Widziała ją od zewnątrz. Słyszała jej echa...

Cóż to za magia! Straszliwa muzyka rozwierająca nieznaną przestrzeń... Owładnięta niemo-cą, Anetka wsłuchiwała się w śpiew jak gdyby niewidzialną ręką wyczarowanych w jej pokoju łkań – Fatum jednego z preludiów Chopina... Serce jej zalewała nigdy nie zaznana radość. Prócz, nazwy nic nie ma wspólnego między ubogą radością powszedniego życia, która lęka się cierpienia, a istnieje tylko dzięki temu, że cierpieniu przeczy – a tą niezmierną rado-

ścią, która jest zarazem cierpieniem... Anetka słuchała z zamkniętymi oczyma. Głos zamilkł.

Nastąpiła cisza pełna wyczekiwania. I nagle na rozwiniętych skrzydłach wzleciał z rozdartej duszy dziki krzyk wyzwolenia... Jak rysa diamentu na szkle, zaczął się jego ślad na sklepieniu nocy... Anetka z rozbitym ciałem, na twardym wezgielcu, na progu nocy boleści urodziła nową swą duszę...

Milczący krzyk oddalił się wirując, przepadł w otchłani myśli. Anetka pozostała cicha, nieruchoma. Długo – aż wreszcie podniosła się, z szyją obolałą, z członkami jakby połamanymi.

Ale dusza była wyzwolona.

Nieodparta siła pchała ją w kierunku stołu. Nie wiedziała, co będzie czynić. Serce rozpierało jej piersi. Nie mogła zatrzymać tego tylko dla siebie. Porwana wirem niezmiernych namiętności, ujęła pióro i nierównym, kalekim rytmem, jedną rwącą masą popłynął strumień bólu...

Przyszłaś. Ręka twa chwyta mnie – całuję twoją rękę.

Z miłością, z przerażeniem – całuję twoją rękę.

Przyszłaś, aby mnie zniszczyć, Miłości!... Wyczuwam to z lękiem.

Kolana moje drżą – przyjdź! Zniszcz mnie! – Całuję twoją rękę.

Wgryzasz się w owoc i rzucasz go. Gryż, nasyć się krwią moją.

Błogosławiony twych zębów ślad! – Całuję rękę twoją.

Chcesz mnie mieć całą: a gdy mnie masz, nic ze mnie nie budujesz.

W gruzach odchodzisz mnie. – Ja rękę twą całuję.

Twa ręka, co dziś pieści, jutro zabić może mnie snadnie.

Całując ją czekam na cios śmiertelny, co z ręki twej na mnie spadnie.

Zabij mnie! Uderz! Dobro czynisz mi, gdy mi zadajesz mękę.

Wyzwalasz mnie, burzycielko – Całuję twoją rękę.

Pod ciosem, co mnie rozkrwawia, mój łańcuch pęka ze szczękiem.

Z łańcuchem odrywasz dało. – Całuję twoją rękę.

Rozbijasz więzienie ciała, okrutna – z trwogą czuję,

Jak szczerbą uchodzi me życie. – Lecz rękę twą całuję.

Jam jest zraniona ziemia. Niech w łonie mym skiełkuje

Ból, któryś ty posiadała. – Ja rękę twą całuję.

Siej święty ból! O, niech całego świata mękę

W łonie mym wykołyszę! – Całuję twoją rękę. Całuję twoją rękę...

235

Burza, fale morskie rozpryskujące się o skały, dusza nasycona słonym oparem i oślepiającymi błyskami, w spienionym tumanie namiętności i łez ciśnięta w niebo...

I wraz z ostatnim krzykiem dzikich ptaków dusza nagle opadła. Anetka, doszczętnie wyczerpana, rzuciła się na łóżko i zasnęła.

Gdy ranek zaświtał, z udręki wczorajszego dnia zostało tyle tylko co odrobina śniegu topniejącego w słońcu...

Cosi la neve al sol si disgilla...62

I owa słodycz w rozbolałym ciele, które stoczyło walkę i wie, że zwyciężyło.

Czuła się syta, syta swej boleści. Bolesć jest jak namiętność. By wyzwolić się od niej, trzeba ją nasyścić. Ale niewielu stać na tę odwagę. Podtrzymują jej głód jak złego psa, żywiąc go odpadkami ze

swego stołu. Zwyciężają boleść jedynie ci, którzy ośmielili się objąć uściskiem jej nadmiar i powiedzieć:

„Biorę cię. Sprawię, że rodzić będziesz.” Potężny jest uścisk duszy twórczej, brutalny i płodny na równi z cielesnym aktem posiadania....

Anetka znalazła na stole to, co napisała. Przedarła. Nieznośne wydały się jej te bezładne słowa, jak i uczucia, które wyrażały. Nie chciała niczym mącić błogości, w której była skąpa-na. Doznawała uczucia ulgi, jak gdyby rozluźniły się jakieś więzy, jak gdyby ogniwo jakieś pękło w łańcuchu... I w nagłym błysku ujrzała ten łańcuch służalstwa, z którego powoli, stopniowo uwalnia się dusza poprzez kolejne istnienia – tak własne jak i innych ludzi (to to sa-mo)... I pytała siebie:

„Po cóż, po cóż to wieczne przywiązywanie się – i odrywanie się wieczne? Ku jakiemu wyzwoleniu popycha mnie ten krwawy pochod pożądań?”

Lecz była to tylko chwila. Po cóż niepokoić się tym, co przyjdzie? Przejdzie tak samo jak to, co już przeszło. Wiemy dobrze, że cokolwiek by się wydarzyło, potrafimy przebić się dalej. Tak jak mówi ludowe przysłowie, starodawne bohaterskie słowa modlitwy i wyzwania:

„Oby Bóg nałożył na nasze barki tyle tylko krzyżów, ile unieść zdołamy!...” Anetka uniosła swój własny krzyż, krzyż jednego dnia. Z dnia na dzień! Jej ciało i serce czuło ulgę...

To strive, to seek, not to find, and not to yield...63

„Dobrze, dobrze jest tak... Nie zmarnowałam dnia. A jutro – dalej!...”

Wstawała. Była naga. A w górze, nad dachów poranne słońce, gorące sierpniowe słońce zalewało jej ciało i pokój. Była szczęśliwa... Tak, mimo wszystko!

Wszystko dokoła było takie same jak wczoraj: ziemia i niebo, przeszłość i przyszłość. Ale wszystko to, co przytłaczało ją wczoraj – dziś stało się promienne.

Marek wrócił bardzo późno w nocy. Teraz, kiedy minęły już przyjemne chwile spędzone bez matki, wyrzucał sobie, że ją samą w domu zostawił i że z jego powodu zmuszona była czuwać. Bo wiedział, że Anetka nie kładzie się spać, dopóki on do domu nie wróci; i spodziewał się nader zimnego przyjęcia. Mimo że czuł się winny – a raczej dlatego właśnie –

idąc po schodach przygotowywał się do zajęcia wyzywającej postawy. Z impertynenckim uśmiechem na ustach, w gruncie rzeczy niepewny siebie, wyciągnął klucz spod słomianki i otworzył. Nikt się nie poruszył. Wieszając płaszcz w przedpokoju zaczekał chwilę. Cisza. Na palcach przekradł się do swego pokoju i bezszelestnie położył się. Czuł ulgę. Poważne sprawy odłożone do jutra! Ale nie zdążył się jeszcze całkowicie rozebrać, gdy przeszył go niepokój.

62 Jak świeca, co roztapia się w słońcu...

63 Dążyć i szukać, nie znaleźć i nie ustąpić.

Ta cisza w domu nie była naturalna. Tak, jak matka miał wyobraźnię żywą i skłoną do niepokoju. Co się tu stało? Był o sto mil od domyślenia się śmiertelnych burz, które tej nocy szalały w sąsiednim pokoju. Ale matka była dla niego niezrozumiała, niepokojąca, nigdy nie wiedział, co ona myśli... Wstał, zdjęty trwogą, w koszuli i boso, aby przyłożyć ucho do drzwi pokoju Anetki. Uspokoił się.. Była tam. Spała oddychając mocno i nierówno. Uchylił drzwi w obawie, czy nie chora, i podszedł do łóżka. Przy blasku światła z ulicy ujrzał ją leżącą na wznak jak powaloną, z włosami rozrzuconymi na policzkach; miała tę tragiczną twarz, która niegdyś intrygowała po nocach jej współmieszkanek Sylwię. Gwałtowny, ciężki oddech podnosił piersi i opadał złamany. Marek poczuł lęk i litość dla tego ogromu trudu i zmęczenia, których się w ciele tym domyślał. Nachylony nad poduszką, cichym, drżącym głosem wyszeptał:

– Mamusiu...

Jak gdyby w dali snu dosłyszala to wołanie, zrobiła wysiłek, by się ocknąć — i jęknęła.

Chłopiec cofnął się, przestraszony. Ona zapadła z powrotem w bezruch. Marek położył się spać. Beztraska jego wieku i całodzienne wyczerpanie pokonały niepokój. Spał do rana nieprzerwanym snem.

Gdy się obudził, znów powróciły obrazy i lęki dnia wczorajszego. Dziwiło go, że jeszcze nie widział matki: zazwyczaj wchodziła rano do jego pokoju (złościło go to), by na dzień dobry ucałować go w łóżku. Tym razem nie przyszła. Ale słyszał, jak chodziła po przyległym pokoju. Otworzył drzwi. Klęcząc na podłodze, okurzała meble i nie obejrzała się. Marek powiedział jej dzień dobry; podniosła na niego oczy rozjaśnione uśmiechem:

– Dzień dobry, mój mały – odrzekła i powróciła do swej pracy nie troszcząc się o niego.

Spodziewał się, że wypytywać go będzie o wczorajszy wieczór; nie cierpiał tych pytań, ale fakt, że ich nie zadała, sprawił mu przykrość. Chodziła teraz po pokoju porządkując, kończąc się ubierać: była to pora jej lekcji j, więc przygotowywała się do wyjścia. Ujrzał ją w lustrze przyglądającą się sobie: powieki miała podsiniąte, rysy twarzy zmęczone, ale jaki blask w oczach! i roześmiane usta. Był tym zdumiony. Sądził, że zastanie twarz zasmuconą, i nawet gotów był w głębi serca współczuć z matką; to zaś pokrzyżowało mu plany. Drażniło logikę małego mężczyzny...

Lecz Anetka miała swą własną logikę. Serce ma swoje racje, które znane są rozumowi o wiele wyższemu od powszedniego rozumu. Tym, co inni mogliby pomyśleć, Anetka już nie przejmowała się .wcale. Wiedziała teraz, że nie należy żądać od innych, by nas rozumieli.

Jeśli nas kochają, to tylko z zamkniętymi oczyma. Nieczęsto je zamykają! „Niech będą, jacy chcą! Jacykolwiek by byli, kocham ich. Nie mogę się obejść bez kochania. A jeśli oni mnie nie kochają, mam w sercu dość miłości i dla siebie, i dla nich.” W lustrze uśmiechała się w dal, daleko poza zasięg swych oczu, do ogniska, którego była jednym płomykiem – do odwiecznej Miłości. Ręce, którymi się czesała, opadły. Odwróciła się do syna, ujrzała zakłopotaną minę malca, przypomniała sobie wczorajszy wieczór, wzięła go za podbródek i akcentując każdą zgłoskę powiedziała wesoło:

– A więc tańczył pan, bardzo się tym cieszę! Teraz niech pan śpiewa!

Roześmiała się widząc jego zdumienie, czule objęła wzrokiem, ucałowała w pyszczek, wzięła ze stołu torebkę i rzekłszy:

– Do widzenia, mój świerszczyku – poszła.

Usłyszał, jak gwizdże w przedpokoju jakąś beztruską piosenkę (był to talent, którego jej zazdrościł pogardzając nim równocześnie: bo gwizdała dużo lepiej od niego).

Był oburzony! Ta nieprzyzwoita wesołość po wczorajszym zmartwieniu! Matka wymykała się. Przypisywał to – jak słyszał niejednokrotnie – wiecznym kaprysom i brakowi powagi u kobiet... „la donna mobile...”⁶⁴

⁶⁴ la donna mobile(wł.) – kobieta zmienna jest.

237

Właśnie zamierzał wyjść, gdy jakaś kartka papieru w koszu ściągnęła jego uwagę. Na strzępie podartego arkusza kilka słów, z daleka, bezmyślnie odcyfrowanych myszującym, byстрым spojrzeniem małego drapieznika. Stał nieruchomo jak pies wystawiający zwierzynę.. Te słowa... Pismo matki... Zebrał strzępy ,i gorączkowo zaczął czytać. Zrazu po kawałku, jeden po drugim, bezładnie... Cóż za płomienne słowa! A to, że były podarte w kawałki, przerwane w połowie swych wzlotów, sprawiało, że jeszcze bardziej fascynujące stawało się su-gerowane przez nie wzruszenie. Zgromadził strzępy, przeszukał koszyk – zebrał wszystko, aż do najmniejszych fragmentów – i zdobył się na cierpliwość, by wszystko ułożyć. Ręce mu drżały nad przyłapanym sekretem. Gdy wszystko zestawil i objął wzrokiem całość poematu, poczuł się głęboko wstrząśnięty. Nie rozumiał dokładnie, ale dziki żar tego samotnego śpiewu odślaniał mu nieznanne źródła namiętności i bólu, miażdżył go i porywał. Czyż to możliwe, aby ten krzyk wśród burzy dobył się z piersi jego matki?... Nie, nie, to niepodobieństwo! On tego nie chciał. Wmawiał sobie, że musiała przepisać to z jakiejś książki... Ale skąd? Nie mógł jej o to zapytać. A jeśli to jednak nie było wzięte z książki... Łzy napływały mu do oczu, pragnąłby wykrzyczeć swe wzruszenie, swoją miłość, namiętnie rzucić się w ramiona matki, upaść jej do nóg, otworzyć jej swoje serce, czytać w jej sercu... Ale nie mógł...

A gdy w południe matka wróciła na śniadanie, dziecko, które spędziło cały ranek na od-czytywaniu i przepisywaniu starganych strzępów, dziecko, które ukryło je w kopercie na swojej piersi – nie powiedziało nic. A nawet siedzący przy swym stoliku Marek nie chciał

wstać i zwrócić ku niej głowy, gdy weszła. Im bardziej pałaca była jego chęć poznania, tym silniejsze też skrępowanie zmuszające go, by krył wzruszenie pod maską nieczułości... A zresztą, jeśli te tragiczne słowa nie były napisane przez Anetkę! Na nowo budziła się wątpliwość, gdy patrzył na spokojną twarz matki. A jednak tamto wstrząsające przypuszczenie nie ustępowało. A nuż to jednak ona? Ta kobieta, moja matka?... Siedziała przy stole, naprzeciw niego... Nie śmiał spojrzeć na nią. Ale gdy odwrócona plecami, chodziła po pokoju szukając czegoś, przynosząc jakieś danie, śledził ją chciwie inkwizytorskim, pytającym wzrokiem:

„Kimże ty jesteś?”

Nie umiał wytłumaczyć sobie owego niejasnego, pełnego niepokoju, urzekającego odczucia. Anetka zaś nic nie dostrzegła, wypełniona po brzegi swoim nowym życiem.

Po południu wyszli, każde w swoją stronę. Marek patrzył na oddalającą się matkę. Szarpały nim sprzeczne uczucia: podziwiał ją, a jednocześnie był zirytowany... Kobieta mu się wymykała. Kobieta: istota kobiecości. Chwilami była tak bliska. W innych znów chwilach tak daleka! Jak gdyby z jakiejś obcej rasy,.. W niczym nie podobna do nas. Nigdy nie wiadomo, co się w niej dzieje, dlaczego się śmieje i dlaczego płacze. Lekceważy ją, gardzi, znieść nie może – a potrzebuje i tęskni za nią. Zły był na nią za to opętanie. Gotów był gryźć – ten kar-czek biegnącej ulicą dziewczyny – tak jak ugryzł rękę Noemi (tak jak chciałby ją ugryźć: do krwi!). Przy tym nagłym wspomnieniu serce jego poderwało się, zaskoczone. Przystanął, nagle pobladły, i splunął z obrzydzenia.

Przechodził przez Ogród Luksemburski, gdzie bawili się młodzi ludzie. Patrzył na nich z zazdrością. Wszystko, co było najlepsze w nim i w jego ukrytych pragnieniach, rwało się do męskich czynów, czynów nie związanych z miłością, z kobietą, do sportu, do bohaterских zapasów. Ale był wąty: niesprawiedliwy los, choroba przebyta w dzieciństwie zadecydowały o jego niższości wobec młodzieży jego pokolenia. A siedzący tryb życia, książki, marzenia, towarzystwo tych dwu kobiet (obu sióstr) – to wszystko zatruło go owym jadem miłości, wsączonym przez matkę, przez ciotkę, przez dziadka, przez całą, Rivière’owską krew. Pra-238

gnąłby przelać tę krew, otworzyć sobie żyły! Ach! Jakżeż im zazdrościł, tym młodzieńcom o pięknych muskułach, wolnym od myśli a pełnym światła!

Gardził bogactwami, które posiadał. Myślał tylko o tych, z których sam był ograbiony. O

zabawach i walkach ciał pełnych harmonii. I w swojej niesprawiedliwości nie dostrzegał owej walki, którą staczała przy nim matka...

Anetka szła przez miasto. Lato rozlewało się dokoła wspaniałą falą. Błękitne spojrzenie nieba opływało szczyty domów. Miło by było znaleźć się z dala od miasta, wśród pól! Lecz nie można na to liczyć. Anetka nie miała środków na wyjazd z Paryża. Marek pojedzie zapewne z ciotką spędzić kilka tygodni na jednej z normandzkich plaż. Anetka nie pojedzie.

Duma nie pozwalała jej jechać na koszt siostry. A zresztą miała jeszcze z czasów, kiedy oglą-

dała je razem ze swym ojcem, odrazę do tych targowisk nudy i flirtu, na których tłoczą się żądni wrażeń próżniacy. Zostanie sama w domu. I nie będzie jej przykro. W sobie nosi i morze, i niebo, i zachody słońca za pagórkami, i mgły mleczne, i pola rozłożone szeroko pod księżycowym całunem, i pogodną śmierć nocy. W sierpniowym popołudniu, wdychając gorą-

ce powietrze hałas ulic wśród przepływających fal ludzkich, Anetka szła przez Paryż swym rześkim, pewnym krokiem, tym, dawnym swoim krokiem, różnym i rytmicznym, widząc wszystko, co mijała po

drodze, a jednak bardzo daleka od wszystkiego. Wśród kurzu ulicy wstrząsanej kołami ciężkich autobusów błędziła myślą pod sklepieniem lasów w tej Burgundii, gdzie spędziła dnie swego szczęśliwego dzieciństwa; i nozdrza jej wchłaniały zapach mchów i kory. Szła po opadłych jesiennych liściach, wiatr z deszczem wiał poprzez ogołoczone gałęzie, muskając mokrym skrzydłem jej policzek. Magiczny śpiew ptaka płynął wśród ciszy; wiatr z deszczem wiał... I przez te lasy szła także młoda Anetka i jej płaczący kochanek

– i był płot z dzikiej róży – i pszczoły dokoła opuszczonego domu... Radości i smutki... Tak dalekie! Uśmiechała się do swej dziewczęcej zjawy, tak niedojrzałej jeszcze w cierpieniu...

„Czekaj, biedna moja Anetko! To zaledwie początek...”

„Czy nie żałujesz nic? „Nic.”

„Ani tego, co zrobiłaś, ani tego, czego nie zrobiłaś?”

„Nic. Duchu oszukańczy! Czyhałeś na moje żale? Daremny twój trud. Biorę wszystko, wszystko, co miałam, i wszystko, czego nie miałam – cały mój udział w życiu, mądry i szalony Wszystko było prawdziwe, mądre i szalone. Człowiek się myli – to właśnie jest życie...

Ale ten, który kocha, nigdy się nie myli całkowicie... Choć przybywa mi lat, zachowałam serce wolne od zmarszczek i mimo wszystkich cierpień szczęśliwe, że kochało...” I z wdzięczną myślą przesłała uśmiech wszystkim, których kochała.

W uśmiechu tym przy dużej serdeczności mieściło się niemało francuskiej ironii. Anetka ciekawie patrzyła – wzruszona równocześnie – na śmieszność tych wszystkich udręk, tak własnych jak i cudzych... Na tę żalosalną gorączkę pragnień i wyczekiwania. Na cóż jeszcze czekała?... Koniec dla mnie z miłością! Na was teraz kolej!...

Ujrzała tych innych: swojego syna, tego chłopca o palących dłoniach, drżącego z chęci pochwycenia niepewnej przyszłości; Filipa niesytego strawą przeciętności, którą społeczeństwo dać mogło pożerającemu go głodowi; Sylwię, która zagłusza swój ból i czyha na każde wydarzenie zdolne zapełnić ziejącą w sercu pustkę; ten tłum szarych ludzi ziewających nad nudą własnego życia; i tę młodzież niespokojną, która błędzi i czeka... Na cóż ona czeka? Do czego wyciągają się te ręce?

Zbyszy się ciężaru siebie samej patrzy na tych ludzi obciążonych brzemieniem, widzi to stado, ten tłum uliczny, tych wszystkich, którzy biegną i tłoczą się nie dostrzegając jedni drugich, a każdy jakby zaganiany przez psy owczarskie – w pozornym nieporządku jakiś rytm władczy – wszyscy przekonani, że sami kierują sobą, a wszyscy kierowani... Ale dokąd? Do-kąd prowadzi ich pasterz niewidzialny? Dobry pasterz? Nie! Poza dobrem...

Dawała lekcje tak jak zazwyczaj, cierpliwie, uważnie, słuchając miło, jasno tłumacząc, nie myląc się nigdy. Mówiła – a niezależnie od tego w dalszym ciągu spowijało ją marzenie. Kto 239

przywykł do tego, temu łatwo jest żyć równocześnie jednym i drugim życiem, życiem przyziemnym z innymi ludźmi, a zarazem życiem owych głębin marzenia skąpanego we własnym, wewnętrznym

słońcu. Nie zaniebuje się żadnego z nich. Oba na raz czyta się jednym spojrzeniem jak partyturę, którą ogarnia oko muzyka. Życie jest symfonią: każdy moment życia śpiewa kilka partii równocześnie. Odblask tej ciepłej harmonii różowił twarz Anetki. Uczennice podziwiałały dnia tego jej młody wygląd i uległy jednemu z tych tak silnych oczarowań, których dorastające dziewczęta doznają w stosunku do starszych, do Zwiastunek – wzruszeń, do których nie mają odwagi się przyznać. Anetka nie zdała sobie wcale sprawy z tego śladu miłości, który jak ślad okrętu na wodzie, przejście jej w tym dniu pozostawiło w sercach tych, do których się zbliżyła.

Pod wieczór wróciła do domu z tą samą nadpowietrzną, uskrzydloną lekkością duszy, której przestało ciążyć jej brzemień. Nie umiałyby tego wytłumaczyć. To była owa potężna tajemnica kobiety, którą spowija promienna radość bez przyczyn widocznych, a nawet sprzeczna z rozsądkiem. Wszystko, co ją otacza, cały zewnętrzny świat jest dla niej w takich chwilach jedynie tematem swobodnych rojeń, w których wypowiada się namiętna fantazja jej snu.

Idąc ulicami Anetka mijala gromadki zatroskanych ludzi. Sprzedawcy dzienników biegle wykrzykując nowiny, które komentowali przechodnie. Nie zwracała na to uwagi.

Z tramwaju, który minęła, ktoś krzyknął do niej. Poznała go potem: to był mąż Sylwii. Nie dosłyszawszy odpowiedziała mu wesoło, gestem ręki... Jacyż oni wszyscy podnieceni!...

Znów na krótką chwilę doznała wrażenia zawrotnego prądu, który płynie wirując – i jak gwiezdna mgławica uchodzi i spływa przez szczyrbę w sklepieniu niebios do wysysającej go otchłani... Jakiej otchłani?...

Poszła na górę do mieszkania. Na progu, z błyszczącymi oczyma, czekał na nią Marek, a za nim Sylwia, bardzo podniecona. Pilno im było powiedzieć jej nowinę... Cóż takiego?

Oboje mówili równocześnie. Każde chciało być pierwsze.

– Cóż wy opowiadacie? – zapytała śmiejąc się. Rozróżniła jedno słowo:

– Wojna...

– Wojna? Co za wojna?

Ale nie zdziwiła się... Otchłań...

„A więc to ty? Od dawna już czułam twój oddech, który nas wysysa.” Tamci nie przestawali krzyżeć. Aby im sprawić przyjemność, ocknęła się – cokolwiek –

ze swego somnambulicznego stanu...

„Wojna? Niech i tak będzie. Wojna, pokój, wszystko jest życiem i jego grą... Biorę udział

w grze!...”

Dobrym była graczem dusza zaczarowana!

„Bogu rzucam wyzwanie!”

240

Document Outline

- ROMAIN ROLLAND - DUSZA ZACZAROWANA
 - ❖❖
 - TOM PIERWSZY - ANETKA I SYLWIA
 - ❖❖
 - ❖❖
 - TOM DRUGI - LATO
 - ❖❖
 - ❖❖
 - ❖❖

Table of Contents

[Rozpoczni](#)